

Adam Kazimierz Musiał

KRWAWY UPIORY



*Oficyna Wydawnicza KARAT
Tarnów 1993*

© Copyright by Adam K. Musiał, 1993

All rights reserved.

Projekt okładki: Marek Gil
Redaktor techniczny: Mirosław J. Niedbałowski
Korekta: Maria Kozioł

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001 008889766



14905.834

Printed in Poland

Oficyna Wydawnicza „KARAT” Sp. z o. o.
Tarnów 1993
Wydanie pierwsze

ISBN 83 – 85601 – 33 – 3

Skład: „KARAT” Sp. z o. o., Tarnów, ul. Krakowska 2
Druk: Drukarnia Narodowa w Krakowie, ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 19

RODZICOM MOIM

1994 do 5156 / 10

WSTĘP

Wydarzenia będące tak wielkimi wstrząsami społecznymi jakimi są wojny, szczególnie sprzyjają elementom bandyckim, kryminalnym i zwalają aktywność tego rodzaju marginesu. Dzieje się tak od zamierzchłych czasów. Podobnie było w Polsce od zarania historii jej wojen. Wystarczy wskazać na fakt, że grodzkie sądownictwo krakowskie zawierają m.in. zapisy ze śledztwa, tortur i procesów z czasów Polopu w sprawach o rozbój.

Okrutna druga wojna światowa, która przyniosła bezprzykładną pod względem terrorku okupację Polski, tym bardziej i łatwiej wyzwała rozpasanie rozwydrzonego, acz statystycznie marginalnego elementu kryminalnego.

Solidarność ujarzmionego narodu, dzieje jego walki, bohaterstwo konspiracji, bezprecedensowa ofiara krwi i podobne względy nie wpływają bynajmniej na zgodne z prawdą historyczną doszczerzenie tych, co poszli na współpracę z hitlerowcami przeciw ujarzmionym współziomkom.

Wybrali okazję wyżycia się, przypodobania się potężnej władzy, zaskotowania uszczknętej władzy nad życiem i losem ludzkim, wzbogacenia się itd.

Niejednemu czytelnik oburzy się zapewne i zapyta: „To hańba, że istniałyby takie kreatury, w nich nie zmniejszające bohaterstwa i zwycięstwa narodu polskiego. Po cóż jeszcze o nich pisać i wywlekać na światło dzienne te brudne ohydne sprawy?”. Otóż po to, aby pokazać całą prawdę o tamtych czasach, o nielicznym zresztą środowisku kolaborancko-bandyckim, na którego dle jaskrawiej widać „męczeństwo ludności, jej walkę obronną, konspiracyjną i w ogóle ciężar i okrucieństwo bytowania w okupowanym kraju, zwłaszcza na tzw. prowincji. Po to, aby zobaczyć, co złego mogło stać się z człowiekiem podczas nocy okupacyjnej. Podobnie badamy np. zagadnienie obozów koncentracyjnych, aby dowiedzieć się, co w potwornych warunkach kacerów działo się z ludźmi — tymi dobrymi i tymi złymi, ich opawami.

Książka ta odpowiada na te pytania tylko częściowo, zaledwie szkicu-je sylwetki psychiczne renegatów, na przykładzie zresztą tylko nielicznych postaci, obficie relacjonuje czyny, fakty mówiące wystarczająco za siebie. Ogania zaledwie mały teren, wybrane gośsetu kultury, wyzwolenie tym, do czego może prowadzić zrzućcenie gośsetu kultury, ostrzeżenie przed tym, do czego może prowadzić ostrzeżenie. Daleka jest od syntety, która by objęła to zagadnienie w skali całego kraju. Mniemam jednak wolno, że w owym wybranym powieście małopolskim, jęczącym pod jarzmem okupanta, uwidocznili się opisany problem jak gdyby w soczewce, pozwalając wyobrazić sobie, jak też mógł wyglądać w skali reszty okupowanych terenów.

Impulsem do podjęcia tematu był przede wszystkim brak szerszej informacji o bandytyzmie w okupowanej Polsce w dotychczasowej literaturze. Sygnalizowano zaledwie to zjawisko, a publikacje są rozproszone, źródła raczej trudno dosięgnąć; nie dziwne, gdyż ludzie ze zrozumiałych względów niechętnie wspominają o tych sprawach. A nawet nie tyle drażliwość spraw związanych z takimi nieprawdopodobnymi karami i opreskami, jak przedstawiony w tej książce zandarm Engelbert Karol Guzdek, czy bandyta Stanisław Kosieniak, ile zawity, bardzo skomplikowany charakter ich działalności i jej dla odstraszających zainteresowanych autorów, amatorów od podjęcia i analizy takiego zagadnienia. W odczuciu mieszkańców opisywanych okolic niedopowiedzenia te sprawiają, że obraz wegetowania podczas okupacji pozostaje niepełny. Nawet zagadnienie pokrewne, jak polskie sądownictwo podziemne, poruszone także w niniejszym opracowaniu, należą do unikatowych tematów w piśmiennictwie dotyczącym okresu „wojny światowej”.

W tym więc stanie rzeczy trudno się dziwić, że wokół tematyki związanej z kolaboracją w naszym kraju narodziło się sporo nieporozumień i mitów szkodliwych z punktu widzenia społecznego. Istnienie tego elementu kryminalnego w okupowanej Polsce i jego zbrodnicza współpraca z hitlerowcami bynajmniej nie umniejsza winy w wykonywaniu eksterminacji narodu polskiego; pomoc bandytów w tych masowych zbrodniach i w utrzymaniu terroru była marginesowa, a konspiracja — ogólnospołeczna.

Czytelnik łatwo dostrzeże opozycję między bandytami a narodowym zjawiskiem ruchu podziemnego i moralnym potępieniem bandytów przez naród. Tutaj etycznych wątpliwości nie było.

Wiele lat upłynęło już od tamtych czasów i nadeszła pora najwyższa, aby chcąc opracować ten temat w sytuacji braku odpowiedniej literatury naukowej, zebrać relacje od świadków i uczestników opisywanych wydarzeń, zwłaszcza od byłych konspiratorów. Teren, którego temat dotyczy — to w zasadzie ówczesny powiat Dąbrowa Tarnowska, wybrany nie dlatego, że pochodził stamtąd, ale przede wszystkim dlatego, że zjawiska i fakty, o których piszę, szczególnie ostro dały o sobie znać na ziemi tarnowskiej i do dziś są żywe w pamięci jej mieszkańców.

W przeświadczeniu, że nie wolno tych bolesnych spraw przemilczać, utwierdził mnie rozmowy z mieszkańcami tamtejszymi, prowadzone w czasie wakacyjnych podróży szlakami wydarzeń z czasów okupacji. Osobista znajomość z wieloma spośród mych rozmówców, rozeznanie w terenie — to wszystko ułatwiło mi dotarcie do wiarygodnych świadków i informatorów. Uzupelnieniem notatek z ustnych relacji jest obfita korespondencja, jaką prowadziłem, chociaż nie wszyscy adresaci mych listów odpisywali, bądź odpisywali z dużym opóźnieniem.

Relacje mych rozmówców okazały się wiarygodne, a porównywanie źródeł pozwoliło na krytyczny wobec nich dystans. Ten rodzaj źródła jest tym bardziej ważny, że dokumentacja z czasów okupacji jest uboga z uwagi na zasady i dobro konspiracji. Relacje ustne, zwłaszcza informatorów o dużym wyrobieniu społecznym, poczuciu rzeczywistości i odpowiedzialności moralnej, wspomnienia i pamiętniki okazały się kapitalną wartością.

Niniejsze opracowanie, stanowiące próbę zarysu losu mojej ziemi rodzinnej w najtrudniejszych dla niej latach hitlerowskiej okupacji, jest jak już zaznaczyłem — owocem rzetelnej pracy i usilnych starań dla dotarcia do prawdy historycznej. Próbowałem do niej dotrzeć bez względu na to czy obraz przeszłości okaże się godny uznania, czy w niektórych wypadkach zastruży na krytykę, lub nawet potępienie.

Wymowa faktów jest jednoznaczna. Po jednej stronie brutalność, częściej nawet zbrodniałość okupanta sprzyjająca uaktywnieniu elementów z marginesu społecznego. Po drugiej — nigdy nie wygasała wola walki o wolność narodową, a przy tym i sprawiedliwość społeczną. Te czynniki mam nadzieję, widoczne są w różnicowanym obrazie rzeczywistości, zarysowanym na kartach mej pracy.

Nie brakło trudności w gromadzeniu nie raz — wydawałoby się — dostępnych materiałów. Przykładem tych trudności może być choćby na-jeżona przeszko-dami droga do odtworzenia życiorysu hitlerowskiego

zbrodniarza Engelberta Guzdeka w latach poprzedzających jego służbę zandarna w okupowanej Polsce.

Wielu przypuszczało, że Guzdek pochodził ze Śląska. Również i ja, zasugerowany z początku wskazówką księdza Józefa Kłocha, który napisał w kronice parafialnej, że Engelbert Guzdek to „Wasserpolek ze Śląska”, poszedłem tym tropem. Pracując w jednej ze szkół średnich na terenie Gliwic, wykorzystywałem kontakty z uczniami i słuchaczami (z Wydziału Zaocznego). Ułatwiło mi to penetrację źródła, a w końcu doprowadziło do ustalenia rodowodu zbrodniarza.

Nie od razu się to udało, bo Śląsk — to rejon w wysokim stopniu zurbanizowany i najgęściej zaludniony. Szukałem więc śladów Guzdeka długo i z początku bez rezultatu. Wreszcie znalazłem ten ślad po czeskiej stronie.

Moje poszukiwania przedłużała pewna ławowierność niektórych działaczy zbawidowskich, którzy na moją prośbę penetrowali swój teren, rozpytując ludzi o tym nazwisku. I tak na przykład zbawidowcy w polskim Cieszynie pytali o zandarna zamieszkającego w centrum miasta Józefa Guzdeka i zadowolili się odpowiedzią przeczącą, nie wnikając głębiej w istotę zagadnienia. Nie wiem dlaczego, w piśmie urzędowym do mnie skierowanym, poinformowali niezgodnie z prawdą, że na ich terenie nie ma mieszkającego o tym nazwisku (!). Dziś wierzę, że ci skądinąd jak najbardziej wartościowi działacze, niegdyś torturowani w kazniach hitlerowskich, poszli fałszywym tropem, lub zbyt wcześnie zrezygnowali ze swych poszukiwań.

Urząd Miejski, Wydział Spraw Wewnętrznych w Cieszynie, niepokojony przeze mnie po raz któryś z rzędu pismem z 4 lipca 1975 r. odpowiedział, że w tutejszej kartotece ewidencyjno-adresowo-dowodowej nazwisko Guzdek nie figuruje. Znamienne jest ostatnie zdanie „sprawę niniejszą uważamy za ostatecznie załatwioną”. Podpisał kierownik wydziału z tytułem naukowym.

Inna poważna instytucja odpisała, że była taka rodzina w Stonawie, ale wyjechała do RFN, co też okazało się nieprawdą. Ale to ustaliłem później.

Wobec tego czynnem poszukiwania w Czechosłowacji i tu dowiedziałem się, że w polskim Cieszynie, blisko rynku mieszka jedyny żyjący najbliższy krewny zbrodniarza (brat Józef). Ten jednak patrząc na zdjęcie Engelberta stanowczo zaprzeczył, jakoby był jego krewnym. Jednocześnie podał fałszywe dane personalne rodziny, stwierdzając na przykład, że

matka zwie się Emilia Cieślar. Zdziwiła mnie taka postawa, bo mieszkańcy Stonawy, wsi rodzinnej Guzków, zapewniali mnie, że ów brat zbrodniarza ma opinię uczciwego Polaka. Dopiero w czasie drugiej wizyty, pod naporem dowodów przyznał się, że jest bratem poszukiwanego, ale tak, jak inni Polacy przeżył koszmar okupacji i wysiady się renegeata, co zresztą brzmiało przekonująco.

Jadąc czeskim autobusem z Cieszyna do Stonawy przebyłem kilkanaście kilometrów. Od przystanku Dąbkowa szedłem podeksycylowany pieszko trzy kilometry. Świadomość, że po tylu latach odkryłem prawdę i trafiłem na gniazdo rodzinne kata — rozdziła zrozumiane emocje. Tak oto udało się przebyć jeden z progów na drodze do poznania przeszłości.

Ale jeszcze większe trudności należało odtworzyć ustaleniu okoliczności śmierci Guzdeka. Gwoli ścisłości należało odnotować, że do jego śmierci, poza Steinem i Mądrym przyznały się różne osoby. Do nich należy Franciszek Sas — akowicz z Ujścia, a wiele lat po wojnie Tadeusz Krasnodębski. W przypisach poświęcono sporo uwagi narosłym wokół tego epizodu kontrowersjom.

Guzdek zaślubił sobie — napisał Stanisław Dąbrowski-Kostka — na pamięć historyczną. Chociaż podczas hitlerowskiej okupacji każdy rejon miał takiego „upiora” — na Dukiszczyźnie był nim zandarm Diebal, w rejonie zapory Rożnowskiej zandarm Riedelmeier, w Krośnińskim gestapowiec Becker, w Jasielskim gestapowiec Drzyzga, w Jarosławskim gestapowiec Schmidt, w Kolbuszowskim kripowiec Haliński itd. itd. — to jednak Guzdek pozyskał sobie rzeczywiste „wyjątkową sławę”.

W rozdziale „Likwidacja konfidentów i walka z donosicielstwem”, a czasem innych fragmentach książki znajda Czytelnicy przy postaciach zamordowanych jedynie inicjowanie nazwisk, lub nawet nazwisk i imion. Wypada wyjaśnić, że pełne nazwiska i imiona znane są autorowi; nie będą również stanowiły tajemnicy dla pewnej części Czytelników.

Zastosowanie inicjałów wydaje się celowe z uwagi na powiązania rodzinne i zbieżność nazwisk spośród miejscowego społeczeństwa. Niejednokrotnie pokrewieństwo lub nawet wspólne nazwisko łączyło patriotę, a nawet żołnierza podziemia z człowiekiem, któremu jako zdrajcy trzeba było wymierzyć sprawiedliwość.

Starano się w niniejszym opracowaniu uniknąć drastycznych i dla niejednego dotkliwych skojarzeń. Dodajmy dotyczących zarówno konfi-

dentów, jak i wykonawców wyroków podziemnej, patriotycznej sprawiedliwości.

Udało się też, jak sądzę — ułożyć obraz tej przeszłości, przedstawiony w kolejnych rozdziałach, a w dużym stopniu koncentrujący się wokół głównych ujemnych „bohaterów” dramatu udręczonego społeczeństwa.

Takich bowiem złowrogich cieni nie brakowało w burzliwej przeszłości lat okupacyjnych i tej prawdy nie należy przemilczeć. Co niestety obserwujemy w skądinąd wartościowych opracowaniach z najnowszych dzieł regionu Powiśla Dąbrowskiego.

Ta złożona prawda stanowi bowiem przyczynek do trudności z jakimi musieli się borykać Ci, którzy przez lata wojny szli drogą czystą, dyktowaną przez poczucie obowiązku wobec udręczonej, ale ostatecznie zwycięskiej Ojczyzny.

Dobnie ślady walki, toczonej przez tych bojowników antyhitlerowskiego podziemia odnajdujemy w archiwach, skupiających raporty Komendy Kedywu Okręgu Krakowskiego Armii Krajowej. Bogaty zestaw takich archiwaliów udostępnił mi ze swych prywatnych zbiorów redaktor Stanisław Dąbrowa-Kostka, wybitny autor prac o tematyce wojenno-okupacyjnej.

Przy tej okazji wyrażam podziękowanie także za bardzo cenne uwagi i lachowe wskazówki. Pod adresem burmistrzów Mięczysława Pyrcza z Dąbrowy Tarnowskiej i inż. Zbigniewa Łosia z Żabna, a także pań Zofii Kopec i Stanisławy Kalafarskiej kieruję słowa podziękowań za życzliwe zainteresowanie i finansowe wsparcie przedsięwzięcia.

Szczególne podziękowanie należy się generalnemu dyrektorowi Wydawnictwa p. Zbigniewowi Armatyśowi przede wszystkim za promowanie edycji mocą swojej kieszy.

Widoczna poniekąd skrótność opisu wydarzeń wynika nie tylko z ograniczeń nader zresztą skromnego limitu miejsca, ale także z braku lub niedostępności części źródeł. Okoliczność ta sprawia, że uwagi, rady i wskazówki Czytelników mogą być pomocne w eliminacji usterek.

TEATR WYDARZEN

Stosunki społeczno-gospodarcze i polityczne w powiecie Dąbrowa Tarnowska (lata 1918 – 1939)

W okresie międzywojennym powiat dąbrowski położony w widłach Dunajca i Wisły stanowił północno-wschodni kraniec województwa krakowskiego. Był jednym z mniejszych powiatów tego województwa. Obejmował też obszar typowo rolniczy, pozbawiony zakładów przemysłowych¹⁾.

Samorząd terytorialny stanowił w swej strukturze pozostałość z czasów zaboru austriackiego aż do pierwszej połowy lat trzydziestych.

Dopiero na mocy ustawy z 23 marca 1933 roku wydzielono w tym powiecie dwa miasta i osiem tzw. gmin zbiorowych, wiejskich. Zwierzchnią władzę w powiecie sprawował starosta, który przewodniczył różnym organom np. Powiatowemu Związkiowi Samorządowemu oraz 24-osobowej Radzie Powiatowej. Działały na swoim szczeblu zarządy gminne i rady gminne z wójtami na czele. W gromadach funkcje kierownicze sprawowali sołtysi. Mimo ogólnych tendencji do likwidacji powiatów starych ekonomicznie, Dąbrowa Tarnowska utrzymała swoją strukturę administracyjną.

Organizacja samorządu wiejskiego opierała się na gminach: Boleśław, Dąbrowa – wieś, Gręboszów, Mędrzechów, Orlinów, Radgoszcz, Szczucin i Wicirzychowice. Status miast posiadały: Żabno i oczywiście Dąbrowa Tarnowska, stanowiąca siedzibę władz powiatowych.

Sytuacja społeczno-ekonomiczna

Problemy powiatu dąbrowskiego były dość typowe dla sytuacji społeczno-ekonomicznej większości obszaru Polski międzywojennej: przeludnienie wsi, znaczny odsetek analfabetów w rejonach rolniczych i w miastach. W tych ostatnich znaczną część mieszkańców stanowili Ży-

dzi. Trudna sytuacja ekonomiczna była przyczyną emigracji, zarówno sezonowej jak i stałej.

Ratowali się w ten sposób przede wszystkim rolnicy gospodarujący na ziemiach nieurodzajnych, zwłaszcza we wschodniej części powiatu, gdzie przeważały gleby piaszczyste. Z żyznej słynęła natomiast trzecia część powiatu, położona nad Dunajcem i Wisłą. Znaczna część gruntów należała do wielkich właścicieli ziemskich. Baron Jan Leon Konopka dzierżył majątki w Oleśnie, Ćwikowie i Dąbrowskach Breńskich, Feliks Konopka — w Podborzu. Księżna Eleonora Lubomirska miała swe dobra w rejonie Szczucina, zaś Edward Bogusz — w Lubaszu. Byli prócz nich inni obszarnicy.

Nad Dunajcem i Wisłą rozwijała się hodowla bydła, które dostarczało do Krakowa. Na rolnictwie opierał się drobny przemysł spożywczy. Ważną rolę odgrywał handel i spółdzielczość. I tak np. spółdzielnia rolniczo-handlowa „Łan” w Dąbrowie Tarnowskiej pośredniczyła w handlu płodami rolnymi, zaopatrywała wieś w narzędzia i artykuły przemysłowe.

Powiat dąbrowsko-tarnowski dostarczał też dla celów budowlanych drewna, które przygotowywały nieliczne tartaki. Przemiały zboża dokonywano w miejscowych młynach. Były też dwie gorzelnie. O wspomnianym już wcześniej rozwoju hodowli świadczyły rozsiane w powiecie mleczanie.

Okręgowe Towarzystwo Rolnicze podległo Małopolskiemu Towarzystwu Rolniczemu z siedzibą w Krakowie. Pod jego egidą podjęto w powiecie szeroką gamę działań, zmierzających do intensyfikacji rolnictwa. Upatrywano w tym słuszną drogę do poprawy bytu. W roku poprzedzającym najazd hitlerowski ziemianie zostali wyparci z zarządu Okręgowego Towarzystwa Rolniczego przez ludowców. Główny ciężar pracy spadł na kotła rolnicze, których liczba rosła.

Ten wybitnie rolniczy obszar odczuł szczególnie boleśnie skutki kryzysu gospodarczego w latach 1929 – 1933, które pogłębiały jeszcze wielką powódź 1934 roku.

Wzburzone wody przerwały ziemne umocnienia wzdłuż Dunajca pod Niedomicami, wzdłuż Wisły pod Karsami i Laskówką Delasowską. Przerwane zostały również wały potoków Breń i Upust.

Wobec ogromnych strat gospodarczych doniosłego znaczenia nabrała działalność Powiatowego Komitetu Pomocy dla Powodźian. Korzystał on z dotacji oraz różnego rodzaju darów. Klasę żywiołowa zwiększyła

rozmiary emigracji zarobkowej. Nie zapobiegła jej nawet fala inwestycji z budową Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Zaledwie otarła się ona o ten powiat linią wysokiego napięcia, biegnącą z Rożnowa przez Tarnów, Dąbrowę Tarnowską do Radomia, co podkreśla w swojej niezwykle plastycznej wizji rozbudowy Polski Melchior Wańkowicz na kartach książki „Sztafeta”²².

Rozwój życia politycznego

Istotnym sprawdzianem układu sił politycznych w powiecie były wyniki wyborów sejmowych w roku 1919. W wyborach tych zwyciężyło — podobnie jak w sąsiednich powiatach PSL „Piast”. Na 9 możliwych „Piast” zdobył w okręgu wyborczym aż 6 mandatów. Poślem obrany został m.in. Jakub Bojko z Gręboszowa. W 1922 roku wszedł on do senatu. Najsilniejszą konkurencją dla „Piasta”, aż do przewrotu majowego w 1926 roku było Stronnictwo Katolicko-Ludowe. Bardzo skromne wpływy miały: PPS i PSL – Wyzwolenie. Ludność żydowska, stanowiąca spory odsetek mieszkańców, utworzyła Powiatowe Koło Ortodoksów oraz Stronnictwo Narodowe Żydowskie. Trzeba dodać, że Żydzi bronili przede wszystkim swoich interesów gospodarczych.

29 maja 1926 roku w Dąbrowie Tarnowskiej nowo utworzone Stronnictwo Chłopskie i PPS na wiecu dały wyraz swego poparcia dla przewrotu Piłsudskiego. Dążąc do rozbiicia jedności chłopów, w końcu 1927 roku sanacja zdołała pozyskać dla swej polityki starzejącego się już Jakuba Bojkę. Opowiedział się on za utworzeniem Zjednoczenia „Juda”²³. W środowisku miejskim starosta założył Partię Pracy. Obydwa te ugrupowania zasiły potem Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem (BBWR), który ścierał się ostro z opozycją, a na terenie powiatu Dąbrowska zwalczał przede wszystkim „Piasta”.

Mimo to, w okresie kryzysu gospodarczego „Piast” i PPS wspólnie i skutecznie propagowały wśród mieszkańców powiatu postulaty zwolnogo w Krakowie Kongresu Centrolewu, budząc zainteresowanie i zyskując akceptację ze strony chłopów. Dochodziło też do zaostreżenia sytuacji i przejawów niezadowolenia chłopów. Ich wystąpienia miały miejsce w rejonie Szczucina i Wietrzychowic. Przywódcą pracy i walki politycznej w powiecie dąbrowsko-tarnowskim stało się powstanie w 1931 roku Stronnictwo Ludowe. Wcześniej jeszcze, w wyborach do

Sejmu 1930 roku lista wyrażająca postulaty Centrolewu uzyskata w tym powiecie znacznie więcej głosów niż BBWR.

Coraz większą popularność zyskiwały hasła najbardziej radykalne. Już w 1929 roku wśród chłopów pojawiły się komórki KPP. Rosta ich siła liczebna i rola w irspirowaniu wystąpień antysanacyjnych. W latach 1936 – 37 coraz większa była popularność głoszonych przez dąbrowskich komunistów hasel frontu ludowego. Wprawdzie już wcześniej, wiosną 1935 roku został aresztowany niemal cały aktyw komunistyczny, a wkrótce potem w więzieniu znalazło się całe Prezydium Zarządu Powiatowego Stronnicwa Ludowego; mimo jednak tych aresztowań i skazujących wyroków działalność Partii Komunistycznej przetrwała do 1938 roku. Wzrastał wpływ KPP na działalność ludowców.

Sprawozdania Komitetu Okręgowego KPP z 1936 roku donoszą z powiatu dąbrowskiego, że „tendencje ludowo-frontowe opanowują całą organizację Stronnicwa Ludowego wraz z powiatowym kierownictwem. Stały kontakt, systematyczne rozmowy, wszystkie sprawy całkowicie uzgadniane”.

Władze sanacyjne próbowały różnych środków w walce z opozycją, starały się — nie bez efektów — eliminować aktywne ludowców z władz Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego. Odpowiedzią było uniezależnienie się od MTR Związku Młodzieży Wiejskiej „Znicz”. Związek ten wyzbył się patronatu Towarzystwa. Zbliżenie ideowe młodzieży do Stronnicwa Ludowego, uczestniczenie jej w kursach, organizowanych przez SL — wszystko to niepokoiło miejscową prokuraturę, która dopatrywała się wśród ludowców tendencji komunistycznych.

O znacznym wpływach opozycji w powiecie świadczyły wyniki wyborów sejmowych w 1938 roku. Hasło bojkotu głosowania okazało się skuteczne. W wyborach wzięło udział około 45,5% uprawnionych.

Ogólna ocena osiągnięć powiatu w międzywojennym XX-leciu nie jest łatwa. Należy odnotować widoczny dorobek w dominującym sektorze gospodarki, jakim było rolnictwo. Ważnym krokiem naprzód była reforma administracji i samorządu, zachęcająca różnicę między dawnymi zaborami. Istotną rolę odegrała działalność partii i stronnictw politycznych, opozycyjnych w stosunku do BBWR, a po jego rozwiązaniu — wobec następcy porządkowego stronnicwa — tzw. Obozu Zjednoczenia Narodowego.

Działania wojsk regularnych na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska podczas II wojny światowej

Główny ciężar walki z Niemcami na Powiślu Dąbrowskim przypadł dowodzonej przez gen. bryg. Mieczysława Borułę-Spiechowicza Grupie Operacyjnej, nazwanej jego wojennym pseudonimem „Boruta”. Będąc częścią armii „Kraków” gen. bryg. Antoniego Szylinga wchodziła wraz z nią i armia „Karpacz” gen. dyw. Kazimierza Fabrycego w skład większego związku bojowego armii „Małopolska”. Jej dowódcą został gen. K. Fabrycy, wcześniej dowódca armii „Karpacz”.⁴⁾

Działania wojenne na obszarze powiatu dąbrowskiego zostały poprzedzone ciężkimi walkami w miejscowości Radłów i wsi Biskupiec. W końcu oddziały polskie opuściły Radłów i wysadziły most na Dunajcu w Biskupicach, w obawie przed zagrożeniem wycofały się w dół rzeki. W nocy z 7 na 8 września i w ciągu kilku następnych godzin przedpołudniowych Polacy przeprawili się na prawy brzeg Dunajca na wysokości wsi powiatu dąbrowskiego: Konar, Niecieczy, Othnowa i Wietrzehowic.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zmałał niemiecki napór na GO „Boruta”. W dramatycznych okolicznościach, przez powyższy nurt rzeki przedzierały się tabory i artyleria polska. Odwrót jednostek Grupy Operacyjnej „Boruta” za Wisłokę i San odbywał się dla naszych oddziałów w niezwykle ciężkiej sytuacji.

W nocy z 8 na 9 września padł Rzeszów. Już 8 września niemiecka dywizja pancerna, zajmująca Lisią Górę pod Tarnowem, kicrowała swoje podjazdy poprzez Dąbrowę Tarnowską na Bolesław, Mędrzechów i Szczucin. Hitlerowska dywizja pancerna, walcząca w nocy 7/8 września pod Radłowem — Biskupicami przeprawiła się w południe 8 września przez Dunajec koło Biskupiec, by przemarszerować przez Dąbrowę Tarnowską ku Radomysłowi Wielkiemu.

Na północy udało się doraznie odsunąć niebezpieczeństwo dzięki wysadzeniu 7 września mostu na Wiśle w Szczucinie i powstrzymanie nacierającej od Pińczowa niemieckiej kolumny pancerno-motorowej. Dowódcy oddziałów polskich, mając świadomość zagrożenia od południa, forsowali Dunajec w rejonie wsi powiatu dąbrowskiego, kierując się ku północy. Szlakami nadwiślańskimi dążyli w kierunku Mielca.

Colaające się oddziały GO „Boruta” trwały w nieustannej walce. Stoczyły wiele potyczek m.in. w Oleśnie i na wschód od Dąbrowy Tarno-

wskiej. Do większych starć doszło w Bolesławiu, skąd Polacy odeszli do Szczucina, a rankiem 9 września z kolei do Baranowa. Tego samego dnia, po mostach pontonowych w rejonie Opatowic — Ujście Dunajec — kierunku Borsowej na prawy brzeg Wisły ciągnęły w stronę Szczucina i Dąbrowy Tarnowskiej oddziały niemieckie.

Pisząc o dramatycznych walkach we wrześniu 1939 roku na terenie powiatu dąbrowskiego, nie sposób pominąć fakt, że z tego terenu wywodził się urodzony w Gręboszowie major Henryk Sucharski, bohaterki dowódca załogi Westerplatte.

Ruch oporu w powiecie dąbrowskim ZWZ-AK

Zanim powstały zorganizowane formy polskiego życia podziemnego, walkę z okupantem zapoczątkowały żywiołowe akty oporu wobec niemieckich poleceń i nakazów. Gromadzone i przechowywano broń, pozostawioną przez wycofujące się polskie oddziały, ukrywano radioodbiorniki, przekazywano sobie ustnie, a następnie za pomocą doraznie sporządzanych biuletynów prasowych wiadomości o wydarzeniach militarnych i politycznych.⁵⁾

W takiej atmosferze zaczął się rodzić i rozwijać ruch oporu. Dla powstawania pierwszych grup konspiracyjnych duże znaczenie miały dotychczasowe przedwojenne znajomości i kontakty między ludźmi. Już w jesieni 1939 roku aktyw „Wici” w gminie Wietrzychowiec, wchodzącej w skład powiatu dąbrowskiego, rozpoczęła gromadzenie broni i szerzenie propagandy antyhitlerowskiej. Pierwsze instrukcje o sposobie konserwowania broni i sprzętu wojskowego opracował kpl. Władysław Kabat, który po odyciu kampanii wrześniowej i ucieczce z niewoli niemieckiej powrócił do rodzinnego domu w Miechowiec Małych. Wkrótce nawiązał on kontakt z miejscowymi działaczami „Wici” i Stronnictwa Ludowego.

W marcu 1940 roku zorganizowano komendę obwodu ZWZ Dąbrowa Tarnowska, której dowódczo powierzono kpl. Władysławowi Kabatowi. Jako komendant obwodu złożył przysięgę na ręce mjr. Kazimierza Kosiby. W myśl pierwszego otrzymanego rozkazu w każdej gminie powiatu dąbrowskiego miał być zorganizowany pluton bojowy, składający się z 5 sekcji sześciuosobowych, z tego po trzy sekcje strzeleckie. Obwód otrzymał początkowy kryptonim „Drewniak”. W pierwszym okresie

praca organizacyjna w obwodzie „Drewniak” polegała na werbowaniu ludzi i doborze członków ZWZ o odpowiednich walorach na stanowiska dowódców plutonów, drużyn i sekcji, powstających w poszczególnych gminach, dalej, na zorganizowaniu sieci łączności, utworzeniu wywiadu, wreszcie na gromadzeniu broni i kolportażu prasy konspiracyjnej.

Pod koniec marca 1940 roku przy pomocy Marii Tretetowej, żony właściciela majątku Nivki w powiecie Dąbrowa Tarnowska zorganizowano sieć punktów kontaktowych na trasie: Busko — Szczucin — Radgoszcz — Pilzno — Sanok oraz Busko — Szczucin — Tarnów — Nowy Sącz. Punkty kontaktowe zlokalizowano w folwarkach, leśniczówkach i gajówkach, a drogi miały służyć przerzuceniu ochotników na Węgry.

W organizowaniu konspiracji ważna rola przypadła tzw. „mężom zaufania”, reprezentującym władzę cywilno-polityczną, a działającym równolegle do organizacji wojskowej. W obwodzie dąbrowskim „Drewniak” sieć „mężów zaufania” tworzyli najaktywniejsi działacze „Wici” i Stronnictwa Ludowego, cieszący się pełnym zaufaniem miejscowego społeczeństwa.

W rejonie tarnowskim zorganizowano w 1942 roku Wojskową Służbę Ochrony Powstań. W pierwszej połowie 1943 roku stan WSOP rozbudowany został w powiecie dąbrowskim do 10 plutonów, 4 drużyn i 5 sekcji. Ze sprawozdania za okres od 1 lutego do 31 lipca 1943 roku wynika, że 4 plutony otrzymały zadanie bojowe na terenie tzw. Inspektora „Traktor”, zaś pozostałym powierzono kontrolę 5 stacji kolejowych, 9 posterunków policji, 2 fabryk i 12 magazynów oraz likwidację jednostek nieprzyjaciela na terenie obwodu „Drewniak”.

Wcześniej już — w maju 1942 roku — ppłk Musiałek-Łowicki po kontroli przeprowadzonej w powiecie stwierdził, że prezentuje się on najlepiej w Inspektoracie „Traktor”. Świadczyła o tym najmniejsza ilość fikcyjnych członków oraz dobry poziom pracy szkoleniowej. Stan liczący obwód kształtował się wówczas w granicach około 400 zaprzysiężonych. Trudno było o większą ilość wobec kadrowego charakteru ZWZ, oraz fali aresztowań, przeprowadzonych w powiecie dąbrowskim przez gestapo po dwukrotnej wpadce siatki kolportażowej „Odweu”, obsługującej Inspektorat „Traktor”.

Żywszy rozwój szeregów ZWZ-AK przypadł na drugą połowę roku 1942 i rok 1943. Tworzono wówczas oddziały, zbliżone liczbą do etatowych tzn. przewidzianych przez przedwojenną organizację wojska. Trwałoby szkolenie w ramach konspiracyjnych kursów podchorążych.

W okresie pełnienia funkcji komendanta obwodu przez kpt. Zbigniewa Rogawskiego (kwiecień 1943 – 15 grudnia 1944) ośrodek kierowniczy podziemia znajdował się w spółdzielni rolniczo-handlowej „Rolnik” w Dąbrowie Tarnowskiej, gdzie zatrudnieni byli ludzie, związani z AK i (Ruch Oporu Chłopów) „Rochem”. Biura „Rolnika” były dla konspiratorów znakomitym miejscem spotkań aż do czasu aresztowania przez tarnowski gestapo wielu członków spółdzielni, co nastąpiło 6 maja 1944 roku.

Dowództwo obwodu przeniesiono wówczas do Żabna. Ważniejsze spotkania i narady odbywały się w mieszkaniu Wilhelma Saka na Targowisku.

Siatkę wywiadowczą (wywiadu i kontrwywiadu) zorganizowano 1943 roku w placówce „Malwina”. Placówka ta obejmowała dwie gminy: Mędrzechów i Bolesław, a w strukturze organizacyjnej wywiadu stanowiła dwa obwody nr 1 i 2. Pod kryptonimem „Bakas” prawdopodobnie kryła się komórka odbiorcza meldunków wywiadowczych z szefem wywiadu „Zakliczyńskim”.

Stan liczebny oddziałów ZWZ-AK rósł nieustannie. Według zestawienia ppłk W. Kabata w maju 1944 roku — już po szkoleniu z Batalionami Chłopskimi — w obwodzie dąbrowskim około 1900 żołnierzy zorganizowanych było w 25 plutonach. Zestawienie to nie obejmowało Wojskowej Służby Ochrony Powstania.

Konspiracje ruchu ludowego

Ruch oporu ludowców działań w powiecie dąbrowskim w sposób zorganizowany i pod ustalonym kierownictwem już w maju 1940 roku. Przewodniczącym trójki powiatowej był znany przed wojną działacz ludowy Stanisław Klimczak, pseudonim „Żelazny”, pochodzący ze Słupca. Funkcje członków kierownictwa pełnili: Władysław Latocha z Żabna, Julian Zawiasz z Gręboszowa, wg innych źródeł: Wojciech Witaszek z Zaluża i Emil Kozioł z Jadownik Mokrych.

Organem pomocniczym powiatowych kierownictw ruchu ludowego był powołany przez te kierownictwa Powiatowy Wydział Planowania. W powiecie dąbrowskim zebrania Wydziału odbywały się początkowo w biurach spółdzielni „Rolnik” w Dąbrowie Tarnowskiej. Później — w miarę wzrostu aktywności ruchu, punktem centralnym spotkań stał się

dom Stanisława Kozaczki w Ćwikowie. Miejscem narad najwybitniejszych działaczy konspiracyjnego ruchu ludowego był również dom Stanisława i Anny Słupków w Dąbrowie Tarnowskiej.

Na rok 1943 przypada w powiecie dąbrowskim wydawniejszy rozwój organizacji „Straż Chłopska” („Chłostra”), mającej charakter wyraźnie wojskowo-polityczny. Osiągnięto liczbę 446 ludzi, z której do Batalionów Chłopskich zaszerogowano 114 żołnierzy, zaś 332 osoby weszły w skład Ludowej Straży Bezpieczeństwa.

Działalność zbrojna oddziałów BCh związana była z realizacją ogólnych planów walki z okupantem w ramach akcji „Burza”. Oddziały te brały również udział w akcji „III Most” wykonanej przez Inspektora AK „Tama” w lipcu 1944 roku. Do wypełnienia zadań dywersyjnych, zgodnie z wytycznymi „Rocha” i kierownictwa Walki Podziemnej przeznaczone były Oddziały Specjalne (OS), wyłonione z załóg terytorialnych. W skład Oddziału Specjalnego na terenie powiatu dąbrowskiego wchodziły 5-osobowe sekcje OS, utworzone w siedmiu „Leśniczówkach” (gminach). Dowodził Oddziałem Specjalnym Tadeusz Boberek z Zaluża.

Gdy w roku 1943 Referaty Administracyjne Wojskowe przekształcono w Delegatury Powiatowe, okazało się, że na terenie regionu tarnowskiego jedynie w powiecie Dąbrowa Tarnowska urzędy Delegatury obsadzone zostały w większości przez ludowców, zaś prowadzona działalność ściśle zączyła się z pracami Powiatowego Wydziału Planowania, zwłaszcza na odcinku tajnego nauczania oraz przygotowywania administracji terenowej, do której typowano aktywnych ludowców. Na czele Delegatury Powiatowej stanął wybitny działacz SL Stanisław Klimczak.

Podziemny nurt rewolucyjny

Organizatorem Komitetu Powiatowego Polskiej Partii Robotniczej w Dąbrowie Tarnowskiej był przedwojenny działacz KPP Józef Łabuz. Początek organizatorskiej działalności przypada na wiosnę 1942 roku. Jako znany granatowej policji ze swej komunistycznej działalności, miał Józef Łabuz w powiecie dąbrowskim ograniczoną swobodę ruchów. Sekretarzem dąbrowskiego Komitetu PPR był Stanisław Blachno. W skład Komitetu wchodził również wprowadzony przez J. Łabuza Michał Doktor, który już o rok wcześniej organizował Milicję Ludową.

Równolegle z utworzeniem komórki powiatowej PPR rości liczebnie piątki jako załazek Gwardii Ludowej. Komendantem powiatowym GL został por. Jan Łachut. Oddziały bojowe GL szkoliły się, korzystając z instrukcji, przekazywanych przez Augusta Micała, członka Grupy Inicjatywnej PPR. W sierpniu 1942 roku przeprowadził on odprawę z komendantami dąbrowskich piątek. Przygotowywano się do podjęcia akcji zbrojnych, którym przeskoczyli liczne aresztowania. Duże strasy pomógł ruch lewicowy przede wszystkim w czasie pacyfikacji Radgoszczy w dniu 13 listopada 1942 roku. Mimo wszystkich represji Komitet Powiatowy PPR umacniał dąbrowską organizację partyjną. Najaktywniejsze komórki działały na terenie Radgoszczy, Szczucina i Mędrzechowa. Podejmowano w pierwszym rzędzie pracę uświadamiającą, przekazując ludziom lewicy i coraz liczniejszym sympatykom ideologię partii i program walki o Polskę Ludową.

Formy i efekty walki

Niezwykle ważną rolę w walce z okupantem odgrywała konspiracyjna prasa. W Jadownikach Mokrych mieścił się punkt przebiekowy pisma „Odwet”, wydawanego w latach 1940 – 1942 przez ZWZ-AK. Od maja 1942 roku do stycznia 1945 roku w powiecie Dąbrowa Tarnowska. W roku 1944 w Dąbrowie Tarnowskiej wydawano pisma „Bysk” oraz „Młody Bojownik” („Poznaj swój kraj”).

Żywo rozwijała się w powiecie dąbrowskim akcja tajnego nauczania, poczynając od 1940 roku. Od następnego roku opiekę nad szkolnictwem objęła Powiatowa Komisja Oświaty i Kultury w składzie 4 osób pod przewodnictwem dr Ludwika Regorowicza. Powiat podzielono na cztery regiony, których kierownicy zorganizowali zespoły nauczycieli. Zadanie konspiracyjne tych zespołów polegało na uzupełnianiu programów nauczania w zakresie szkoły powszechnej lub na organizowaniu kompletów gimnazjalnych.

Najwięcej tajnych kompletów pracowało w Dąbrowie, gdzie od 1920 roku istniało jedynie w powiecie gimnazjum ogólnokształcące, które w ostatnim przedwojennym roku szkolnym kształciło w czterech klasach gimnazjalnych i dwóch licealnych 193 uczniów. Większymi ośrodkami tajnego nauczania były jeszcze Zabno i Szczucin. W tej ostatniej miejscowości wykorzystywano nawet dla celów konspiracyjnych pomieszcze-

nia szkoły handlowej. Większość jednak kompletów pracowała w mieszkaniach prywatnych nauczycieli, bądź uczniów. Tam też odbywały się egzaminy końcowe. Zestawienie danych liczbowych z powiatu dąbrowskiego wspomina o 22 nauczycielach i 144 uczniach, zaangażowanych w akcji tajnego nauczania na poziomie szkoły powszechnej. Jeśli chodzi o szkołę średnią, to dane z tego samego roku szkolnego 1943/44 mówią o 25 nauczycielach i 117 uczniach. Liczba zweryfikowanych świadectw szkoły średniej wynosiła około 300.

Odpowiednie przygotowanie kadry pozwoliło na podjęcie w powiecie dąbrowskim akcji sabotażowo-dywerysyjnej. Pierwsza odnotowana akcja była dziełem grupy dywersyjnej ZWZ i została przeprowadzona w Szczucinie 30 marca 1941 roku. W tym dniu na stacji kolejowej wyładowano około 17 wagonów z częściami baraków dla wojska. Podłożony w kilku miejscach materiał wybuchowy spowodował pożar; został on jednak ugąszony przez wojsko niemieckie. 10 września tegoż roku 10-osobowy oddział pod dowództwem „Burzy” z Nieczajnej rozbił magazyn odzieżowy w Zabnie, a 3 listopada dokonał wypadu po broń. Rozprawiono się skutecznie z wieloma donosicielami i kolaborantami. Wymierzono sprawiedliwość zbrodniarzom współdziałającym w akcjach ekstremalnych w stosunku do ludności polskiej, w masowych mordach Żydów i Cyganów. Zlikwidowano gorliwych służusów hitlerowskiego okupanta m.in. spośród niektórych funkcjonariuszy granatowej policji.

Szereg akcji przeprowadziło dąbrowskie podziemie przeciw niemieckim oprawcom i agentom w lecie i jesieni 1943 roku oraz wiosną 1944 roku.

Nie ustawiano w przeprowadzaniu akcji ekspropriacyjnych. W czerwcu 1944 roku skonfiskowano z magazynów niemieckich na terenie obwodu dąbrowskiego kilkadziesiąt kilogramów cukru oraz dwa wozy butów.

9 lipca 1944 roku oddział dywersyjny dowodzony przez J. Motylek „Groźnego” z Łuszwic przeprowadził akcję na hurtonię tytoniową w Dąbrowie. Nie dopuszczono też do wywieżenia przez okupanta kilku set sztuk bydła z majątku barona Konopki w Brni. Na polecenie Delegata Powiatowego w Dąbrowie Stanisława Klimczaka baron kazał przeprowadzić bydło na foliark w Podlesiu — skąd zostało rozprządzone wśród najuboższych chłopów w Wólce Grądzkiej i Mędrzechowskiej. To ostatnie wykonali żołnierze podziemia z oddziału Kubika i Mleczki. Brawurowym-przedsięwzięciem była akcja na wieżnicie w Dąbrowie Tarnowskiej, przeprowadzona na rozkaz komendanta obwodu

kpt. Z. Rogawskiego przez ludzi placówki „Danua” pod dowództwem „Janusza” — ppor. Stanisława Węgla. Uwolniono wówczas — wiosną 1944 roku — około 40 ludzi, których Niemcy zatrzymali jako zakładników.

Główną stała się akcja „Węgiel”, zorganizowana na przełomie czerwca i lipca 1944 roku wyłącznie w powiecie dąbrowskim. Polegała ona na utrzymaniu galarów z węglem, płynących po Wiśle. Za symboliczną opłatą węgiel ten zabierali chłopcy z przybrzeżnych wsi. Inspiratorem i dowódcą tej akcji był Z. Baszak „Pirat” oraz J. Kamysz „Rejtan” z placówki „Walcawa”. W działaniach uczestniczyły drużyny dywersyjne pod dowództwem I. Łazarza „Lola” oraz „Rejtana”.

W ostatnich dniach lipca 1944 roku w wielu miejscowościach powiatu dąbrowskiego rozbrajano niemieckie posterunki policyjne a władzę przejmowała zakonspirowana administracja. W Żabnie np. wywieszono flagi biało-czerwone na Ratuszu i na kilku domach na Ryнку. 28 lipca pluton dywersyjny komendy obwodu wraz z plutonem z placówki „Zofia”, dowodzonej przez por. Eugeniusza Kozaka „Zora” uderzyła na oddział żandarmerii polowej, ładującej się w pościechu do pociągu na stacji kolejowej w Żabnie. Nie były to akcje łatwe i pociągały za sobą nieraz dotkliwe straty.

Akcje „Mostowe”

W pierwszej połowie 1944 roku działania zbrojnego podziemia spod znaku ZWZ-AK wkroczyły w nową fazę. Miejsce planu powszechnego powstania zajęła akcja militarno-polityczna „Burza”. Miała to być „wzmocniona akcja dywersyjna”, polegająca na atakowaniu tylnych straży niemieckich, w czasie odwrotu, niszczeniu urządzeń komunikacyjnych, oraz obronie ludności przed wyniszczeniem przez wycofujących się hitlerowców. W gruncie rzeczy „Burza” stwarzała siłom zbrojnym obozu emigracyjnego możliwość wystąpienia wobec Armii Radzieckiej w roli pełnoprawnego gospodarza kraju i współkomandanta.

Przeprowadzenie akcji „Burza” wymagało uprzedniego szybkiego dobrojenia oddziałów, czemu służyć miało przyjęcie zapowiedzianych przez Komendę Okręgu Kraków trzech zrzutów broni — po jednym na każdy obwód regionu tarnowskiego. Planowany późną jesienią 1943 roku zrzut w rejonie lasów radłowskich, na północ od wsi Jadowniki Mo-

kre, nie został zrealizowany. Doszedł do skutku dopiero drugi zrzut w rejonie Lubasza i Skrzynki w grudniu 1943 roku. W tych warunkach następne zapowiedziane zrzuty broni dla regionu tarnowskiego postanowiono zastąpić dwoma „Mostami”. Kryptonim ten oznaczał operację dwustronną, obejmującą przerzut z Anglii, połączony z lądowaniem w kraju i powrót drogą lotniczą z możliwością przesłania kurierów, poczy i innych materiałów.

Z trzech „Mostów” dwa zrealizowano w rejonie miejscowości Wał Ruda — Jadowniki Mokre na terenie powiatu dąbrowskiego. Najśmiejniejszy jest „Most III”, z uwagi na ważność przesyłki, którą stanowił raport wraz z najważniejszymi częściami rakiety V-2, podobnie jak i na dramatyczny przebieg startu samolotu.

Jeśli chodzi o sprawność operacji, to na pierwszym miejscu można by postawić akcję „Most II”. Samolot bowiem przebywał wówczas na ziemi tylko 6 minut, wylądowano dwóch ludzi i 437 kg sprzętu, a zabrano 3 emisariuszy i poczę.

W kwestii akcji „III Most” panowała w relacjach niezgodność autorów zwłaszcza w przedmiocie dowodzenia w czasie przygotowań i realizacji. Pominieć przy tym relację ppłk Stefana Musiałka-Łowickiego „Mirosława”, dowódcy Inspektoratu „Tama”, a właśnie z „Mirosławem” oficer KG AK por. Gedymin „Włodek” i komendant Okręgu AK-Kraków ustalił szczegóły obu „Mostów”. Ze względu na dowódcze stanowisko „Mirosława” na obszarze powiatu brzeskiego, dąbrowskiego i tarnowskiego oraz jego osobisty udział z akcji, wspomnienia ppłk Musiałka-Łowickiego można za najbardziej wiarygodne.

Jako teren akcji wskazał „Mirosław” rozległe łaki między Dunajcem a Wiśłą, z przylegającym do nich dużym kompleksem leśnym. Rano 29 maja 1944 roku nadeszła z bazy przerzutowej w Brindisi oczekiwana wiadomość o mającym nastąpić w tym dniu lądowaniu samolotu na lotnisku „Moryl”, w rejonie Wał Ruda — Jadowniki Mokre, leżącego na styku trzech powiatów: dąbrowskiego, brzeskiego i tarnowskiego. Wiadomość ta została potwierdzona przez dziennik wieczorny w języku polskim, według umówionego systemu „Jadoforn”. Nadano też przez radio dwie umowne melodie: „Pię Kuba do Jakuba” i „O mój rozmarzynie”.

Okolo godziny 23 wszystko było gotowe na przyjęcie samolotu. W godzinę później po wymianie umówionych sygnałów świetlnych wylądowała na „Morylu” angielska „Dakota”. Wyładunkiem bagażu i przybywających kurierów sprawnie kierował kpt. Zbigniew Rogawski „Młot”.

Przybyli wówczas do Polski mjr sap. Romuald Bielski „Bej” oraz gen. Tadeusz Kossakowski „Krysynek”. Szybko zajęli miejsce w samolocie odlatującym do Anglii mjr Zbigniew Leliwa „Wyga”, płk Roman Rudkowski „Rudy” oraz działacz polityczny Jan Domański „Bartnicki”. 30 maja 1944 roku odebrano z Brindisi wiadomość, że samolot powrócił do bazy.

Akcja „III Most” została przeprowadzona w dwa miesiące później według planu opracowanego dla „II Mostu”, z tym tylko, że wzmocniono obsadę i ubezpieczenia lądowiska, z uwagi na zmianę sytuacji na froncie. 25 lipca około godziny 24 lądowanie pod wiatr za drugim nalotem odbyło się sprawnie. Odlecieli wówczas na Zachód Tomasz Arciszewski ps. „Szymon” i dr Józef Retinger „Salamander”, ponoć zaangażowany w działalności brytyjskiego wywiadu i znany dobrze osobście Winstonowi Churchillowi.

Oczywiście koronną rolę odegrał ładunek, zawierający najważniejsze części wymontowane z rakiety V-2.

Wyładunek i załadunek przesyłki oraz pasażerów odbył się zgodnie z planem „podobnie jak w II Moście”. Denerwującą niespodzianką był jednak kilkakrotny, nieudany start samolotu. Padła nawet, żywiołowo odrzucona myśl zniszczenia samolotu. Cała załoga lądowiska ubijała grząski grunt pod kołami samolotu. Dalsze przeszukody miękkiego terenu usunięto przez odpowiednie podkopanie i doprowadzenie do szczęśliwie ukończonego startu. Pomysłne zakończenie akcji „III Most” w warunkach zachowania ścisłej konspiracji był dowodem godnie spełnionego żołnierskiego obowiązku i szczerego patriotyzmu mieszkańców powiatu dąbrowskiego.

Zmierzch konspiracji

W toku realizacji planu „Burza” Inspektorat Tarnowski przewidywał mobilizację trzech batalionów partyzantów po jednym dla każdego obwodu — wyznaczając im zadania dywersyjno-bojowe na tyłach nieprzyjaciela; z uwagi na niekorzystne dla partyzantów warunki terenowe, miał pozostać w konspiracji w stanie alarmowym.

Z końcem lipca zarządził mobilizację podziemnych sił AK obwodu dąbrowskiego do akcji „Burza”, jednak ustabilizowanie się wbrew przewidywaniom — linii obronnej wzdłuż Wisły sprawiło, że żołnierze skon-

centrowani koło gajówki w miejscowości Bolesław, w rejonie lasów mędrzechowskich, powrócili na — jak określono w raporcie — „macierzyste miejsce postoju do stanu pełnego pogotowia”.

Pozostawiono jedynie po wschodniej stronie Dunajca pluton partyzancki „Aleksandra”. Zaś po zachodniej stronie tej rzeki kpt. W. Kabat „Brzechwa”, w myśl rozkazu „Miroslawa” z 25 lipca 1944 roku sformował z czterech placówek („Renata”, „Wachawa”, „Róża”, „Rena”) trzy plutony jako zgrupowanie Zachód-Dunajec. Miało ono stanowić bazę dla formowania IV batalionu 16 pułku piechoty.

Po rozwiązaniu zgrupowania partyzanckiego w rejonie Bolesławia i Mędrzechowa, obowiązywał stan pełnego pogotowia IV batalionu do akcji „Burza”. Organizowane od 29 lipca 1944 roku na zachód od Dunajca plutony partyzanckie z szeroko rozbudowanym sztabem IV batalionu 16pp pod dowództwem kpt. M. Kabata „Chmury”, patrolowały lasy, a w nocy i okoliczne gromady rozbrajały pojedynczych żołnierzy niemieckich, prowadzili drobną dywersję gospodarczą. Zgrupowania te, w sile około 150 żołnierzy, oczekiwały w lasach radłowskich na rozkaz do rozpoczęcia właściwych działań dywersyjno-bojowych, ujętych w planie „Burza”.

Najczęściej stosowano zasadzki i uderzenia na kolumny i pojedyncze samochody oraz placówki policyjne i gospodarcze okupanta, by pozabawić go broni lub żywności. Przeprowadzono także akcje kolejowe, zakłócające transport w dojazdach do frontu. W miarę przedłużania się zastoju na froncie częstotliwość tych działań malała, a dynamika słabła. Stopniowo akcję „Burza” zastępowała samoobrona ludności. Starano się przeciwdziałać usuwaniu ludności z jej siedzib i wywożenie mienia polskiego do Niemiec, lub w ogóle na zachód.

Okupantowi brakło już sił do stosowania represji. W rejonie Dąbrowy Tarnowskiej mężczyźni otrzymali rozkaz opuszczenia miejscowości i udania się w kierunku zachodnim. Nie było już oddziałów hitlerowskich do przeprowadzania łapanek, a walki toczyły się w rejonie Olesna i Mędrzechowa.

Najwcześniej odzyskało wolność społeczeństwo powiatu dąbrowskiego, 16 stycznia 1945 roku natarcie oddziałów 60 Armii gen. płk Pawła Kuroczkina wywniosło Szczucin, Radgoszcz, potem zaś Dąbrowę Tarnowską i Zabno.

Kończył się okres niewoli, w którym ruch oporu regionu tarnowskiego pod względem antyniemieckiego działania z pewnością dotrzymał kroku sąsiednim regionom.

Miał nawet w swym dorobku osiągnięcia o skali międzynarodowej, do których można zaliczyć akcję „III Most”. Ogólnie można stwierdzić, że okupacyjne chwile dąbrowskiego powiatu zawierały w sobie liczne, wstrząsające elementy agresywności najeźdźcy. Jednocześnie ukazywały bezmiar patriotyzmu i siłę tkwiącą w narodzie, walczącym o swe biologiczne przetrwanie, o postęp i niezależny byt.

WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI POLSKI WALCZĄCEJ

W całokształcie walki z okupantem hitlerowskim sądownictwo podziemne i wykonawstwo jego wyroków stanowi dziedzinę specyficzną, skromną w porównaniu z szeroką falą sabotażu i aktami bezpośredniej dywersji. Bez jego poznania obraz stosunków w kraju, objętym hitlerowskim terrorem, byłby jednak niepełny.

Dla nakreślenia zarysu wymiaru sprawiedliwości przez władze i żołnierzy Polski Walczącej oparto się na czterech źródłach. Pierwsze zawarte są w czterech tomach opracowania „Armia Krajowa w dokumentach 1939 – 1945”, wydane przez „Studium Polski Podziemnej” w Londynie, w roku 1970. Drugim źródłem jest obszerny szkic Tadeusza Seweryna pt. „Polskie sądownictwo podziemne”, zamieszczony w „Przeglądzie Lekarskim”, organie Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego (szósty zeszyt, poświęcony zagadnieniom lekarskim okresu hitlerowskiej okupacji) nr 1 z 1966 roku. Jako trzecie źródło skierowany do autora list płk Stefana Musiatka-Łowickiego z 25 października 1976 roku. List ten zawiera wyjaśnienie oficera AK, sprawującego nadzór nad wymiarem sprawiedliwości Polski Walczącej w rejonie, objętym treścią niniejszego opracowania. Wreszcie za czwarte źródło uważa wy-pada wsparte raportami miejscowych placówek AK wspomnienia ludności dawnego powiatu Dąbrowa Tarnowska, o aktach zdrady jednostek i karze, jaka je za nią spotykała z rąk żołnierzy podziemia.

Punktem wyjścia dla struktury podziemnego sądownictwa są dwa dokumenty ZWZ-AK, a mianowicie: „Uchwała Komitetu dla spraw kraju z dnia 16 kwietnia 1940 roku w sprawie sądów kapturowych w kraju” (Tom I, str. 220, AK w dokumentach 1939 – 1945) oraz „Zasady organizacyjne i procedura sądów kapturowych” z maja (bez dokładnej daty) 1940 roku (Tom I, str. 229, AK w dokumentach 1939 – 1945).⁶⁾ Obydwa dokumenty szczegółowo określają charakter i zasięg terytorialnego działania sądów kapturowych. Charakteryzując ich skład i zasady postępo-

wania oraz przebieg procesu i zawierają dokładną instrukcję wykonania wyroków.

Uzupełnienie obu dokumentów stanowią „Przepisy materialne” wyjaśniające szczegółowo kogo należy uważać za winnego zbrodni zdrady, szpiegostwa, prowokacji, denuncjacji, wreszcie — nieludzkiego prześladowania i krzywdzenia ludności polskiej. Orzeczono, że kto dopuszcza się którejkolwiek z tych zbrodni, podlega karze śmierci. Dokumenty te podpisał Komendant Główny ZWZ Józef Godziemba — a zatwierdził Eugeniusz Strazińska. Pierwszego z tych pseudonimów używał generał broni Kazimierz Sosnkowski, drugiego — Premier i Wódz Naczelny, generał dywizji Władysław Sikorski.

Dokładną charakterystykę „Polskiego sądownictwa podziemnego” przynosi szkic pod tymże tytułem piora Tadeusza Seweryna, zamieszczony we wspomnianym wcześniej „Przeglądzie Lekarskim” nr 1 z 1966 roku.⁷⁾ Autor szkicu stwierdza, że w okupowanej Polsce istniały trzy piony tajnych sądów: a) komisja sądząca (KS), b) wojskowe sądy specjalne (WSS) i c) cywilne sądy specjalne (CSS) wraz z pomocniczym organem sprawiedliwości, placówkami ekspertryzacji śledczej (PES).

Komisje sądzące działały według regulaminu opracowanego przez Główny Kierownictwo Walki Cywilnej (KWCC), a zatwierdzonego przez pełnomocnika rządu na kraj. Przytaczając najważniejsze (w ilości 16) punkty regulaminu Komisji Sądzących, autor Tadeusz Seweryn stwierdza, że miały one charakter przede wszystkim wychowawczy. „Trzeba było — brzmiał dosłowny cytat — pouczyć społeczeństwo, jak w życiu codziennym ma się zachować, by wytworzyć jednolity wrogi front przeciw okupantowi. Otóż obowiązki Polaka podczas wojny podane zostały w artykułach 9 – 16 w broszurze pt. „Nakazy”, zredagowanej przeze mnie (czyli przez Tadeusza Seweryna) przy współpracy z Bipem (Biuro Informacji Prasowej), a wydanej przez kierownictwo Walki Podziemnej (KWP) w pięciu tysiącach egzemplarzy. Broszury te wydrukowały Konspiracyjne Wojskowe Zakłady Wydawnicze (KWZW) w podkrakowskiej wsi Kosocice w sierpniu 1943 roku.

Oto kilka zdań, określających potępioną i karalną postawę kolaboranta, a w konsekwencji najczęściej zdradcy narodu polskiego. „Kto w jakiegokolwiek formie służy propagandzie niemieckiej, nauce niemieckiej, niemieckim instytucjom naukowym i prasie, stawia siebie poza szrankami Polski Walczącej. Bojkujemy, piętnujemy i karzemy: jednostki o typie służalnym, gotowe na każde skinienie okupanta wycierać przed-

siłki urzędników niemieckich i swoją niewolniczą skłonnością wciskać się w ich względy... Piętnujemy i karzemy osoby informujące okupanta o nieznanych mu faktach służbowych lub ważnych odcinkach pracy obywatelskiej przed 1.IX.1939 roku i w czasie okupacji, oraz osoby, które wyszukując władzę utrzymaną z rąk okupanta znęcają się nad ludnością polską, porabiając ją środkami żywności, wymuszając na niej okupy lub w ogóle utrudniając jej byt w czasie niewoli”.

Komisje sądzące w dużym stopniu spełniły swe zadania profilaktyczne i wychowawcze, niemniej jednak — stwierdza autor — trzeba owarcie powiedzieć, że orzekane przez nie kary, inq. infamii, często nie były przysposobione do naszej rzeczywistości okupacyjnej.

Dla ogromnej większości ludzi skazanych wyrokiem Komisji Sądzących infamia była pojęciem niezrozumiałym. Konieczne stało się opracowanie i wprowadzenie w życie kodeksu kar fizycznych, podyktowanych warunkami, a w pierwszym rzędzie chłosty.

Poważniejsze przestępstwa członków siły zbrojnej oraz przestępstwa przeciwko sile zbrojnej sądziły Wojskowe Sądy Specjalne. Wyroków swych WSS — w przeciwieństwie do KS i CSS — nie publikował w prasie podziemnej.

Cywilne Sądy Specjalne powołane zostały na mocy uchwały Komitetu Ministrów do spraw Kraju w Londynie 16 kwietnia 1940 roku. Statut tych sądów uchwalła Rada Jedności Narodowej przy pełnomocniku Rządu. Wspomniana już broszura „Nakazy” wydana przez Kierownictwo Walki Podziemnej szczegółowo określała rodzaje przestępstw, które karane były śmiercią.

„Kara śmierci — przestrzegano — grozi każdemu, kto zdradza tajemnice organizacji niepodległościowych, kto współdziała w zaciągu lub zaciąga się do służby w niemieckich formacjach wojskowych lub policji niemieckiej, kto stoi na usługach wywiadu niemieckiego, kto drogą denuncjacji spowodował prześladowanie, uwięzienie, zesłanie lub śmierć obywatela państwa polskiego, kto szantażuje obywateli państwa polskiego, ukrywających się przed gestapo, kto wielokrotnym i ciągłym działaniem przestępczym znęca się nad obywatelami państwa polskiego, kto bierze udział w mordowaniu obywateli państwa polskiego”.

Cywilny Sąd Specjalny działał do października 1944 roku. W okresie swej działalności CSS w Krakowie wydał 67 wyroków śmierci na przestępców współdziałających z władzami niemieckimi. Wśród skazanych byli ludzie, którzy okazali się zupełnie niewrażliwi na ostrzeżenia,

bądź moralne kary wymierzone im przez komisje sądzące i brnęli w co-róż to większe przestępstwa. Zebranie materiałów dla udowodnienia przestępstwa było oczywiście w warunkach okupacyjnych sprawą trudną. Sąd opierał się na materiałach dowodowych, dostarczonych mu przez wywiad Kierownictwa Oporu Społecznego, wywiady stronnictw politycznych oraz wywiad wojskowy.

W imię prawdy godzi się jednak przyznać, że w społeczeństwie w warunkach okupacyjnej demoralizacji pojawiło się zjawisko samowoli w dysponowaniu życiem obywatela państwa polskiego. Pod autorytet sądów podziemnych zaczęły się podszycać niektóre amoralne indywidua z zemsty osobistej, lub dla osiągnięcia korzyści materialnych przysłały różnym osobom wyroki śmierci. Kierownictwo Walki Podziemnej zdecydowało te podłe machinacje, informując za pośrednictwem prasy konspiracyjnej, że żaden sąd specjalny nie przesyła pisanych wyroków skazanemu.

Zaczęły się też mnożyć przestępstwa kryminalne. Pojawiały się zbrojne bandy, które nocą napadały na spokojnych obywateli i obrabowywały ich bez skrępowań.

Z początku żadne prawo podziemne nie regulowało tego problemu. Dopiero 31 stycznia 1944 roku postanowienie rządu, podpisane przez pełnomocnika rządu na kraj zapowiedziało najostrożniejszą walkę z wszelkiego rodzaju rabunkami i wymuszeniami.

Wymierzone było głównie przeciw bandytnizmowi i szantażom. Zarządzano niezwłocznie podjęcie walki ze zbrodniarzami przez podziemne organy bezpieczeństwa. Zbrodniarze schwyceni na gorącym uczynku mieli być traceni na miejscu. 7 lutego 1944 roku ukazało się rozporządzenie, powołujące do życia tzw. placówki ekspozytury śledczej, w skróceniu „pesy”. Miały one zwalczać rozboje i zuchwałe kradzieże, wymuszanie łapówek i datków na nieistniejące organizacje niepodległościowe.

O tym, jak przebiegał wymiar sprawiedliwości w terenie, informuje nas list płk Stefana Musiałka-Łowickiego, przesłany na ręce autora tego opracowania.⁸⁾ Pułkownik Musiałek-Łowicki przypomina, jak to równolegle do organizowanego podziemia wojskowego zaczęto tworzyć podziemną administrację państwową. Powstały sądy przy jednych i drugich władzach podziemia. Na terenie Inspektoratu „Tama”, który prowadził właśnie pułkownik Musiałek takiej dwukrotności — jak pisze —

nie było. Kierownictwo Walki Cywilnej nie utworzyło tu sądów. Decydowały w powiecie Dąbrowa Tarnowska sądy wojskowego podziemia.

Pisze płk Stefan Musiałek-Łowicki o dość daleko posuniętej ostrożności w wyrokowaniu. „Wiele doniesień w sprawach „gardtowych” — stwierdza — chyba około 33% było zwracanych wnioskodawcom, celem uzupełnienia (np. celem dodatkowego przesłuchania świadków). W takich wypadkach sprawa się przewlekła, ale sąd był nieugięty, bo chodziło o życie ew. niewinnego człowieka. Zdarzało się często, że zwrócony do uzupełnienia wniosek nie wracał do sądu, gdyż przy skrupulatnych ponownych dochodzeniach okazywało się, że oskarżenie było bezpodstawne, często oparte na zatargach sąsiedzkich czy też innych poglądach politycznych „oskarżyciela” i „podejrzanego”.

„Wyroki sądu specjalnego — wspomina płk Musiałek — zasadniczo były dwa: w sprawach ciężkich (współpraca z Niemcami, z gestapo, zandarmem i etc.) — kara śmierci. W przypadku, gdy były poszlaki, ale nie całkowicie udowodnione — oskarżony otrzymywał ostrzeżenie... Działano ono piorunująco. Oskarżeni, poza nielicznymi wyjątkami zmieniali gwałtownie swoje postępowanie, swój stosunek do Niemców. Wyroki śmierci wykonywały specjalne patrole „likwidacyjne” (1+2 do 1+4) uzbrojone w broń krótką, a czasami posiadały maszynową (obstawa, ubezpieczenie).

Trudno mi dzisiaj powiedzieć, ile dokładnie wydał sąd podziemny przy Delegaturze na powiat Tarnów wyroków śmierci, przypuszczam, że nie mniej niż 30 (podpisanych, zatwierdzonych przeze mnie). Ale było około 15 wypadków, że wyroków nie podpisałem, gdyż uznałem, że brak dostatecznych dowodów, by zastosować ten najwyższy wymiar kary”.

Liczne przykłady koniecznej rozprawy ze zdrajcami zebrane w terenie, stanowią ilustrację wymiaru sprawiedliwości przez siły Polski Walczącej w dawnym powiecie Dąbrowa Tarnowska.

LIKWIDACJA KONFIDENTÓW I WALKA Z DONOSICIELSTWEM

Unieszkodliwianiem donosicieli, wykonywaniem na nich wyroków śmierci, zajmowała się w obwodzie sekcja przy placówce obwodu „Drewniak” pod dowództwem pch. Zdzisława Baszaka, działającego pod pseudonimem „Pirat”.⁹⁾

Jego drużyna dywersyjna utworzona została spośród grona najbardziej bojowych chłopców z placówki „Malwina” (gmina Mędrzechów).

Komendant Inspektoratu „Tama” (Tarnów) ppłk Stefan Musiatk-Lowicki w liście do Jana Kamysza z 1972 r. oraz w piśmie do autora niniejszej pracy stwierdza, że z obwodu „Drewniak” otrzymał do zatwierdzenia trzy wyroki śmierci, a o innych nie wie. Podaje również, że byli komendanci tego obwodu „Brzechwa” i „Młot” zgodnie twierdzili, iż na terenie określonym kryptonimem „Drewniak” nie było wypadków, które by się kwalifikowały do przekazania sądowi specjalnemu. Podobnie wypowiadał się pełniący obowiązki oficera dywersyjnego pch. „Pirat”.

Wszystkie te opinie różnią się dość wyraźnie od danych uzyskanych z innych źródeł. Sam ppłk Stefan Musiatk-Lowicki donosi w meldunkach do swych władz zwierzchnich Okręgu ZWZ-AK o zastrzeleniu Kazimierza Łysika, Władysława Curyło w Bolesławiu, Stanisława Kochanka z Kanny koło Bolesławia, Leopolda Wendlanda, niejakiego Barańskiego, Rudolfa Dybały i Zbigniewa Rozmusa (dane z raportów zbiorowych szefostwa Kedywu Okręgu do Komendanta Okręgu Krakowskiego płk Lutego — Józefa Szychalskiego, w których jest mowa i o innych zastrzelonych konfidentach). Można domniemywać, że w obwodzie „Drewniak” zastrzelono w formie tego rodzaju samobrony przeszło 50 osób, często z rozkazu niektórych dowódców, z pominięciem sądu. Zarówno „Pirat” jak i „Młot” nie odpowiedzieli autorowi na wiele pytań, dotyczących np. uzasadnienia wyroków śmierci.

Są to sprawy niejasne, zawikłane, często obrośnięte swoistą legendą i dziś niezwykle trudne do rozszyfrowania. Winnemu z reguły odczytywa-

no wyrok (zgodnie z zasadami organizacyjnymi i procedurą sądów kapiturowych. Vide „Armia Krajowa” w dokumentach 1939 – 1945. Studium Polski Podziemnej. Londyn 1970. Tom I – IV, str. 229). Czasami jednak, zwłaszcza w wyjątkowych okolicznościach, uproszczano tę procedurę. Zazwyczaj skazany prosił o darowanie życia.

Bywało jednak i inaczej. Na terenie Inspektoratu „Tama” (Tarnów) zdarzył się niecodzienny wypadek w Tuchowie. Członek AK Tadeusz Wróblewski „Werbel” odczytał w sklepie wyrok śmierci wydany na niejakiego S. Nieoczekiwanie, skazany rzucił się nań, obalił na podłogę i zbiegł. Uciekającego akowca zranił w brzuch zaalarmowany policjant granatowy Skulnicki, a dobił Ukraińiec, komendant posterunku.

Mimo takich ofiar trwała zbrojna akcja samobrony przed zdajacami. W roku 1942 zlikwidowano konfidenta z Kozłowa, Stefana Z., zwanego Cwajnosem. Była to zastręba zakonspirowanego członka AK z placówki „Genowefa”, który sprytnie nastął na zdajcę żandarma Engelberta Guzka. Nieświadomy roli, jaka mu przypadła, Guzek przywiózł konfidenta Z. do Orlinowa i tam go zastrzelił.

Wznagał się ruch oporu, któremu coraz dotkliwiej zagroźli konfidenti. W 1942 r. miejscowi partyzanci próbowali w Szczucinie zastrzelić funkcjonariusza Sonderdienstu Paula Preschera. Jednocześnie dokonano sabotażów w dziedzinnie zaopatrzenia okupantów w artykuły żywnościowe, zwłaszcza w mięso. Wzmogło to czujność Niemców i utrudniało akcje ilkwidacyjne.

24 kwietnia 1943 r. został zastrzelony Michał G. z Wietrzychowic. Jako rzeźnik woził on wyroby mięsne do miasteczka Radłowa i tu jak stwierdzono w placówce „Rena-Róza” (gmina Radłów), brat udział w li-bacji alkoholowej z Niemcami, a że były wówczas „wssypy”, przeto wysunęto przeciw niemu zarzut współpracy z wrogiem.

Wieczorem wyprowadzono go z domu pod wał Dunajca i tu, jak zanotował ksiądz Stanisław Opoka, zastrzelono.

Wyrok ten wykonała placówka „Wachawa” (gmina Wietrzychowice). Wkrótce potem Niemcy spędzili miejscową ludność i ogłosili, że tak oto czynią „polscy bandyci”. Zastrzelonemu okupanci urządzili manifestacyjny pogrzeb. Po wojnie rodzina Michała G. zwróciła się do sądu o rehabilitację zastrzelonego, ale nie uzyskała przychylnego wyroku. Warto dodać, że w raporcie zbiorowym szefostwa Kedywu do Komendanta Okręgu ZWZ płk Lutego podano jako datę śmierci Michała G.

8 kwietnia 1944 r. Jednak data 23 kwietnia 1943 r. zanotowana przez urząd parafialny wydaje się bardziej prawdopodobna.

W lipcu 1943 r. w krzakach nad dołem (zwanym przez miejscową ludność Czanotorią) przy szosie pod Ofińnowem znaleziono przykryte ziemią i liśćmi zwłoki dorezczyela urzędu pocztowego w Ofińnowie Eugeniusza D., zwanego potocznie „Trybułą”.

Był on w swoim czasie na robotach w Rzeszy i znał język niemiecki. Później miał pod kościołem stragan ze słodczami. Znany był z dziwnego zachowania. I tak, wożąc gazety z Żabna do Ofińnowa wykrzykiwał: „Serce Londynu się pali!”. Chodząc po domach miał okazję oglądać egzemplarze tajnego pisma „Odwet”, które kolportował inż. Jan Miła z Pieszczy.

Eugeniusz D. napisał do generalnego gubernatora Franka w Krakowie list zawierający wręcz zbrodniczą propozycję. Oto zapewniał on hitlerowskiego wielkorađcę, że gotów jest dostarczyć 100 nazwisk sikorszczyków w zamian za oddanie mu w zarząd ziemi, stanowiącej fundusz Szpitala dla ubogich, a pochodzącej z fundacji b. dziedzica Ofińnowa Sypka Ligęzy z 1631 r. Należy dodać, że dzięki tej fundacji utrzymywano wielu ludzi zniepełniających i w podeszłym wieku. W myśli aktu erekcyjnego fundacji, jej zarząd podlegał wójtowi i proboszczowi. Mechanizem wykorzystania fundacji był następujący: ziemię dzierżawili rolnicy, a należne opłaty uiszczali księdzu.

List „Trybuły” został przejęty i nie dotarł do hitlerowskiego adresata. Do wójta Z. Wrzóska wydelegowano podziemie patriotyczne z Krakowa sędziego Józefa Saleznika, który pochodził z Ofińnowa. Sprawę przekazałano placówce „Zofia”, która wydała odpowiedni rozkaz sekcji dywersyjnej w składzie: Antoni S. i Antoni S. z Zadyczy, bracia Józef i Kazimierz W. z Niecieczy. Wieczorem w drodze powrotnej z Żabna do Ofińnowa, koło dołu w Czanotorii „Trybuła” został zlikwidowany bez użycia broni palnej, ze względu na bliskość ruchliwej trasy i niemieckich posterunków.

Po makabrycznym odkryciu zwłok, Engelbert Guzek mówił zapłakanie żonie zabitego: „Trybuła teraz rozkłada kontyngenty na księżycu”. To znów śmiał się, że Trybuła nie będzie wykrzykiwał o płonącym sercu Londynu. Śląd też podejrzewano żandarna Guzka o zamordowanie dorezczyela. W rzeczywistości partyzanci pozbawili go życia, strzegąc się tylko, by nie użyć broni palnej co mogłoby zaalarmować Niemców. „Kostek” — Tadeusz Krasnodębski twierdzi, że Eugeniusz D. sporządził

listy osób przeznaczonych na wywóz do Niemiec na przymusowe roboty. Miał to być — jak głosił komentarz do listy tzw. „osoby zbędne”. Dodajmy, że ciała zabitego nie ukryto dostatecznie starannie, przykryto je pobieżnie i woda w dole „Czanotoria” wyniosła zwłoki na powierzchnię.

Niedługo potem rozprawiono się ze zdrajcą w mundurze granatowego policjanta. Funkcjonariusz posterunku w Żabnie Jan D. jawnie współdziałał z Niemcami, uczestnicząc w różnych obławach i wysiłkach ludzi na roboty do Rzeszy. W roku 1943 wraz z policją w Wietrzychowicach przeprowadził łapankę młodych mieszkańców gminy przeznaczonych na wywóz. Podczas majowego nabożeństwa w Wietrzychowicach policjanci otoczyli kościół, wyciągali ukrytych na chórze i wieży. Wszystkich zamknęli w areszcie, aby nazajutrz wywieźć ich do Dąbrowy Tarnowskiej. Schwytano w ten sposób ponad 40 mężczyzn. Starszych puszczano wolno. W ciągu nocy, mimo posterunków wartowniczych, wielu zatrzymanym udało się uciec. Niemcy zdołali wywieźć tylko 7 ludzi.

Podobne obławy urządzał Jan D. i w sąsiednich kościołach. Zginął, wracając ze służby do domu w okolicach wspomnianej już „Czanotorii”, położonej między Ofińnowem a Czyżowem.

Zdarzały się jednak tragiczne pomyłki. Gdy miejsce czujności zajmowała podejrliwość, wymierzano czasem cios w złym kierunku. 30 października 1943 r. w Łuszwicach został zastrzelony w czasie wypasania krów Tomasz Madura. Podeszło do niego dwóch żołnierzy podziemia; jednym z nich był kurier spod Opatowa, noszący pseudonim „Domin”.

Zaskoczony Madura położył na ziemi dziecko, które nosił na ręku i zaczął uciekać. Padł jednak strzały. Właściwym wykonawcą wyroku był „Tygrys” (pod tym pseudonimem działał Tadeusz B.) z placówki „Szpak” (gmina Szczucin). Wyrok został podpisany jak zwykle, a przynajmniej jak najczęściej przez delegata Rządu Stanisława Klimczaka. Po latach przekonano się, że Tomasz Madura padł ofiarą tragicznego nieporozumienia. Podejrzanie było po prostu niesłuszne. Sprawę tę szczegółowo omawia artykuł pt. „Tragiczna pomyłka” zamieszczony 4 kwietnia 1974 r. w „Zielonym Sztandarze”. Czytelnicy znajdą ten artykuł w przypisach do niniejszego opracowania.¹⁰⁾

Również w Łuszwicach zlikwidowano tym razem w sposób jak najbardziej uzasadniony — konfidenta Józefa Sz. Jeszcze przed najazdem hitlerowców w 1939 roku przybył on do Łuszwic. Ostał tu potem w domu pożyczowskim i ożenił się z panną na robotach w Niemczech

mieszkanką wsi. Znał język francuski i niemiecki. Przyjął volkslistę, dzieci wypisał z miejscowej szkoły i przeniósł je do niemieckiej w Tarnowie. Otrzymał zezwolenie na broń palną i na otwarcie sklepu w Lusowicach. Wkrótce stał się postrachem okolicy. Był — jak to określano — ubezpieczony na 10 głów zakładników. Zginął w okolicznościach zgola niecodziennych. Oto często bywał we wspólnej kompanii z niejakim Mieczysławem Ściukiem. Przed wojną pracowali razem przy budowie w Niedomicach, grzali w karty. Ściuk miał opinię nieźrównoważonego. Podczas gry wbił nóż w siód i wykradał na blat dość grube banknoty. Czasem wrzucał je do ubikacji, obserwując z uciechą, jak ludzie starali się wyciągać zabrudzone pieniądze. Kiedyś ostrzeżał znieścacka niemiecki wóz pancerny, czym wywołał strach i panikę ucieczkę hitlerowców. Gdy zbliżał się front, Ściuk włożył mundur polskiego oficera, a za cholewę zaknał biało-czerwoną chorągiewkę. Żołnierze niemieccy, zajmujący stanowisko przy baterii¹⁾ dział wzięli go za zwiadowcę polskiej armii i znowu ulegli panice.

Nie należał do żadnej organizacji podziemnej, ale rwał się do jakiegoś nieskoordynowanego działania. Podobno zginął w Krakowie ostrzelany uciekających Niemców. Nim to jednak nastąpiło rozprawił się z Sz., zadając mu wiele ran nożem. Stało się to podczas podróży Sz. na rowerze do Tarnowa. Ciało zostało przykryte liśćmi w lesie w pobliżu szosy za Lipinami.

Miejscowa ludność odczekała z ulgą, okupanci nie zastosowali represji. Może rzeczywiście dzięki celowo rozszerzonej wersji, że Sz. zginął z rąk Żydów, ukrywających się w miejscowych lasach.

Walka ze zdrajcami toczyła się dalej. Na terenie placówki „Rena-Róża” (gmina Radłów) działali konfidentci: Jan B., Władysław K. ze wsi Wał Ruda i ich współnik Antoni R. — syn gajowego. Wydali oni w ręce Niemców wielu działaczy patriotycznych.

I tak np. do Władysława K. zwrócił się sierżant WP Adam Hatudziński z prośbą o pozwolenie na dokonanie przecinki w lesie, chciał w ten sposób pomóc ludziom, którzy udzielali mu schronienia.

Sierżant ukrywał się przed gestapo w Przysławowicach.

Gajowy K. pozwolił ciąć drzewo, potem sprowadził leśniczego Niemca Kunzego, który sterował sierżanta, a Antoni R. związał mu ręce. Adam Hatudziński aresztowany przez Niemców nigdy już nie powrócił.

Działo się to wiosną 1943 roku. Wyrok na zdrajcę długo się wazył, bo K. miał sześćoro dzieci.

8 stycznia 1944 roku wieczorem partyzanci wprowadzili go z domu i zastrzelili w rejonie gajówki „Bór”, położonej we wsi Wał Ruda. Po znalezieniu zwłok, pogrzeb odbył się 14 stycznia 1944 roku we wsi Zabawa.

Czasami w akcji przeciw konfidentom uciekano się do podstępu. Zastosowano go wobec Antoniego R. z Nowej Wsi pod Radłowem. Był niemieckim konfidentem i został zlikwidowany w obejściu rolnika Bylicy we wsi Rybawa.

Jan B. był zarządcą majątku w Zabawie u Stanisława Piątkowskiego. W roku 1939 przyjął volkslistę. Współpracował z niejakim M. w Bielicy, kierownikiem młyna w Szczepanowicach. Przyczynił się do wielu aresztowań.

Jan B. mimo występowania się Niemcom został przez nich aresztowany za grabież mienia żydowskiego. Osadzono go w Pustkowie pod Mielcem, w obozie karnym. Tam kapo skatował go i ledwie żywego rzucił obok toru kolejki. Wkrótce konfident—więzień zmarł.

M. był kiedyś aresztowany, zalał się i przyjął ofertę współpracy z Niemcami. On to wspólnie ze wspomnianym Janem B. spowodował aresztowanie około czterdziestu członków ZWZ-AK w Radłowszczyźnie. Niemcy nie ukrywali tego faktu i aranżowali konfrontację np.: z Tadeuszem Krupą — organizatorem ruchu podziemnego.

Oddział egzekucyjny AK postrzelił śmiertelnie w pachwinę wspomnianego M. w jego gospodarstwie. Konfident zmarł wkrótce w szpitalu. Michał Guzy wspomina: „aresztowania miały szeroki zasięg i pochłonęły kwiat miejscowej ludności”.

Do ofiar należał: Kierownik Szkoły Powszechnej w Radłowie Łucarz z osiemnastoletnim synem, plutonowy Józef Piątek, hrabia Henryk Skrzyński — właściciel majątku w Radłowie, pracownik sądu w Radłowie Bronisław Folię, kierownik kancelarii sądu Tadeusz Krupa, ks. Józef Jurkowski, sędzia Tadeusz Świerad, Paweł Piotrowski, hrabia Szebek z poznańskiego, krowy Skrzyńskiego, pracujący w nadleśnictwie, nauczyciel Władysław Orzechowski.

Ten ostatni ranny podczas ucieczki, zmarł. Wszystkich wywieźli do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

Jednak wielu zdołało uniknąć aresztowania.

Wicęcej szczęścia miał inny konfident, kierownik Szkoły Powszechnej w Zdrochcu, Ukrainiec Bucmanik. Zdołał zbiec przed karą, a zanim uciekł, ujawnił Polakom, kogo zdążył zdradzić”.

4 marca 1944 r. w Bolesławiu wykonano wyroki śmierci na Władysławie C. i Kazimierzu Ł., oraz zamierzano dokonać egzekucji granatowego policjanta Pawła J. Nie było innej rady; iść usunąć wyjątkowo niebezpiecznych szkodników.

Kazimierz Ł. współpracował ściśle z policjantem J. Mieli na sumieniu niejedno morderstwo.

Oto jeden z przykładów ich zbrodniczego okrucieństwa. Ł. obiecał Żydówce Kupelmanowej przewiezienie w bezpieczne miejsce. Wybrał się po nią furmanką do Tarnowa, dbając o to, by uciekająca zabierała z sobą najcenniejsze rzeczy. Wcześniej jednak umówił się z J., który zaczął błądzącą na trasie przejazdu. W pobliżu Bolesławia — jak pisze Kabat — zgwaltowali nieszczęsną kobietę a następnie bestialsko ją zamordowali.

Nie była to jedyna zbrodnia tego typu. Ł. podejmował się pomocy przy przetrzymywaniu Żydów za Wisłą. W rzeczywistości grabił ich i zabijał; wszyscy bezpowrotnie znikali ludziom z oczu. Również J. miał na sumieniu morderstwa Żydów i bicie chłopów. On też walczył przyczynił się do wyspy kolportażu pisma „Odweł” i śmierci wielu osób.

Paweł J. w marcu 1944 roku nie podzielił losu C. i Ł. Mimo usiłowań nie doszło do wykonania na nim wyroku i zbrodniczy granatowy policjant zniknął w czerwcu 1944 roku z terenu powiatu Dąbrowa Tarnowska. Po wojnie, dzięki staraniom adwokata mgr Franciszka Tracza, rozestano za nim listy gończe. Pawła J. zidentyfikowano w Bydgoszczy. Rejonowy Sąd Wojskowy w Krakowie skazał go na karę śmierci, którą potem zamieniono na dożywotnie więzienie.

O Władysławie C. wiadomo było, że miał dostarczyć Pawłowi J. listy członków konspiracji. Inny policjant nazwiskiem Chrzanówek ostrzegł nawet C. przed konsekwencjami takiego postępowania. Przestroga pozostała jednak bezskuteczna. Hitlerowski konfident zginął od kuli wymierzonej w czoło, zastrzelono go we własnym łóżku.

Obaj: C. i Ł. zginęli z wyroku patriotycznego podziemia w wyniku szeroko rozgłoszonej i starannie przygotowanej akcji. Ściągnięto wielu akowców i zablokowano miejscowe drogi. Wykonawcy wyroku czekali cierpliwie na koniec libacji alkoholowej w domu Ł., który gościł u siebie policjantów. Okazją do tej libacji były imieniny Kazimierza Ł.

Władysław Mądry, mieszkaniec Bolesławia, stał się mimowolnym świadkiem tych zdarzeń. Tak oto wspomina je po latach:

„Wieczorem wracając z kolega ze sklepu spod kościoła. Koło dworu uszyliśmy: „Halt! Wracać!” To wołali partyzanci leżący w rowach,

którzy — jak później stwierdziłem — wracali po zastrzeleniu Władysława C. Pytali, gdzie mieszka Kazimierz Ł. Poprowadziłem ich. U Kazimierza Ł. policjanci i Niemcy uczciwali, nie wiedząc że dom jest otoczony. Wnuc goście odeszli. Ktoś zagwiżdżał i partyzanci wyszli z ukrycia. Nam kazano leżeć w rowie. Było ich około dwudziestu. Weszli do izby. Przez otwarte okno uszyliśmy: „Pan Polak? To tak robią Polacy?” Po chwili padł rozkaz „Padnij”. To odnosiło się do obecnych tam pijaków. Po chwili z mieszkania dobiegł huk wystrzału. Ktoś wyszedł na próg i oświadczył, że wyrok został wykonany. Rozległ się gwizd i znów zeszli się na drodze.

Teraz pytali, gdzie mieszka Paweł J. Udali się za nami. Pod drzwiami wołali, by im otworzono. Żona J. odpowiedziała, że mąż w Kannic na służbie. Znów nalegali, żeby otwierać. Pchnęli wreszcie drzwi, które puściły. Weszli do wnętrza, z którego w tym momencie rozległ się krzyk żony J. Ktoś zawołał: „Nie strzelaj, kobiety!”. Wrócili na drogę, kazali nam wstać z rowu, gdzie leżeliśmy w na pół zamarniełym błocie. Otoczyli nas na środku drogi i ogłądali kienkarty. Wreszcie kazali iść do domu”.

Krótką relację o wykonaniu wyroków na C. i Ł. przekazał Komendantowi Okręgu AK w Krakowie ppłk Musiałek-Łowicki. 4 marca 1944 r. okazał się też fatalny dla dwóch innych renegatów. Wykonano wyrok śmierci na konfidente Janie B., mordercy Żydów, współdziałającym z granatowym policjantem, wspomnianym już Pawłem J. Inny konfident — Bronisław W. zagrożony wyrokiem, wołał nie czekać na wymiar sprawiedliwości i popełnił samobójstwo przez powieszenie. W tym czasie rozprawiono się również z konfidentem i wołksdeutsem, leśniczym Rudolfem D. z Toni pod Bolesławiem. Jego sylwetkę tak opisali dwaj sąsiedzi Józef Sajdera i Kazimierz Kozioł.

„Był to niepospolity łotr, ze starą i bogatą hipoteką. Potrafił cudzo kopki brać z pola i nieść do domu. Pszczelarzowi sprzed nosa zabierał wiodro miodu.

Z upodobaniem wypuszczał też swoje konie na cudze pole. Chwytał też cudze konie, malował im pięciny. W ciągu dnia używał tych koni w kieracie do młócki, a wieczorem wypuszczał je. To było jeszcze nie w porównaniu z tym, jak traktował ludzi i to sobie bliższych. Siostrę żony wrzucił do studni podczas żniw, na teściową przewrócił młockarnię łamiąc jej kości. W imieniny żony Heleny odbywała się pijatyka, po której wezwał świadków i pokazał im zwłoki żony oraz wybite szyby. Miało to oznaczać, że padła ofiarą jakiegoś zabójstwa. To dziwne tłumaczenie uz-

nano za wiarygodne i śledztwo poprowadzono tak, że wyszedł obroną ręką. Sporządził bowiem listę 12 osób, których nie lubił i które mu ręką komo zagrażały.

Wszystkie wskazane osoby Niemcy aresztowali. Zbiec zdołał tylko niejaki Wrobel z Pawłowa”.

Wyrok na zbrodniarza i zdraicę zapadł już dawno, ale jego wykonanie przewlekło się. Rudolf D. zorientował się, że jest obserwowany przez żołnierzy podziemia i poszukał sobie kryjówki. Stwierdzono w końcu, że schował się w stodole gospodarza Smoły w Samocicach. Sześciu partyzantów podjechało tam na rowerach.

Wysiedliency Wilmanowie, których tam zastano, uparcie tłumaczyli, że nie znają miejsca pobytu leśniczego. Zirytowani partyzanci uciekli się do ostateczności: przyłożyli przesłuchiwanym do ciała rozgrzane żelazko. To poskutkowało. Rudolfa D. schwytano i poddano przesłuchaniu. Wyprowadzony w pole wpadł w rozpacz i podniósł krzyk. Odmówiono mu pogrzebu przywiązując kamień do szyi i topiąc w Wiśle. Miejscowa ludność opowiadała, że wypłynął niedaleko miejsca egzekucji, ale własny ojciec brzydząc się zloczyncą i zdraicą, wepchnął zwłoki z powrotem do rzeki ze słowami: „Jakie życie, taka śmierć”.

Niedaleko stamtąd, w Pojawiu, wsi położonej koło Wietrzehowic, wykonano wyrok śmierci na 20-letnim Jóźefie B., synu gajowego. Józeł nigdzie nie pracował, miał opinię lekkoducha i czynnego współpracownika Niemców. Zastrzelono go wieczorem na podwórzu, gdy wracał od narzeczonej.

30 marca 1944 roku zastrzelono też Stanisława K. z Kanny pod Bolesławiem. Należał on do budzącej strach kliki zaprzaneńców, którym przewodził Władysław C. i Kazimierz Ł. Stanisław K. był młodym chłopakiem o usposobieniu lekkoducha. Z początku związał się z bandą rabunkową Stanisława Kosieniaka, później został wywieziony na przymusowe roboty, skąd ściągali go Niemcy jako swojego konfidenta. Służył im też jako tłumacz. Nie obowiązywała go godzina policyjna. Chętnie uczęstińczył w libacjach alkoholowych z policją.

Ulubionym zajęciem Stanisława K. było podpatrywanie okolicznych mieszkańców. Zakradał się pod okna i gdy wyszedł, że ktoś bije świnie, sprowadzał Niemców, którzy początkowo nie karali „przestępcy” śmiercią, lecz poprzestawali na rekwirowaniu mięsa i wyrobów. Chłopi bronili się zwykle, chowając ubitą świnie w zaspę śnieżną. W wypadku rozkopania zasy py tłumaczyli, że zwierzę padło na różycę.

Stanisław K. otoczony opieką Niemców czuł się pewnie, zapowiadał chełpliwie, że jeśli zechce, to pół wsi może zgubić. Później jednak przestraszył się konsekwencji własnych pogroźek i całego postępowania. Właśnie odebrał pieniądze za sprzedanego konia i zamierzał jechać w góry. Jednego wieczoru wracał z nauczycielką Walerią K. — sympatią z Kaczówki, tolerującą go ze strachu. Poszli do krów do obory.

Wtedy pojawili się akowcy i otoczyli zabudowanie. Stanisław K. zorientował się w niebezpieczeństwie: wspiął się ponad wyżej położony kurnik, ale z dołu widać było buty zbiega. Partyzanci weszli do środka i wołali: „Złazi!” Przłapany zdrójca chciał coś tłumaczyć, ale kazano mu milczeć. Dostał celne strzały w czoło i w serce, zginął na miejscu. Partyzanci odeszli, ale wkrótce wrócili i polecili Jóźefowi Kmicikowi przeprowadzenie rewizji. Znaleziono przy zastrzelonym piśmie od Niemców i pieniądze: zabrano jedno i drugie. Odchodząc kazali powiedzieć Niemcom, że stanowili 40-osobowy oddział.

Kmiciek zameldował o wszystkim warcie, która dała znać policji w Bolesławiu. W nocy przybyło kilku Niemców, ale hali się wyraźnie i niepewnie rozglądali wkoło. Likwidacja tego szkodnika była dotkliwym ciosem dla okupanta. Miejscowy komendant policji mówił, że wołabły stracić czterech ludzi niż tego jednego konfidenta.

Słyszał to Józeł Kmiciek, który z odległości towarzyszył rozmowie, a znał język niemiecki. Matka zlikwidowanego konfidenta oskarżyła potem Kmicikę przed policją kryminalną w Dąbrowie Tarnowskiej o zabranie pieniędzy, które miał przy sobie Stanisław K. Oskarżony wyjaśnił jednak, że zarekwirowali je „bandyci”. Miejscowa ludność przyjęła śmierć Stanisława K. jako akt sprawiedliwości i odetchnęła z ulgą.

3 kwietnia 1944 roku w restauracji w Szczucinie podano trucinę wójtowi z Mędrzechowa, volksdeutschowi Leopoldowi Wendlandowi. Zmarł w drodze powrotnej do domu. Pozorowano zatrucie alkoholem i nocą partyzanci przenieśli trumnę ze zwłokami na bagna, obawiając się ekshumacji i wykrycia przyczyny śmierci. Raport zbiorowy szcłostwa Kedywu do Komendanta Okręgu ZWZ-AK w Krakowie zawiera zdanie: „W Mędrzechowie Leopold Wendland wydał około 60 osób i został otuty”.

W dramatycznych okolicznościach doszło do likwidacji w dniu 6 kwietnia 1944 roku niebezpiecznego konfidenta Wilhelma F. Jeszcze przed wojną przebywał on na robotach w Niemczech: jak się to potoczyło nie mówiło, chodził „na Saksy”. W czasie okupacji korzystał z pomocy

oficera SS syna swego dawnego bauera. Udało mu się nawet uzyskać zwolnienie z obozu w Oświęcimiu.

Potem pracował jako strażnik w warszatach w Tarnowie. Jako konfident władz okupacyjnych przyczynił się do śmierci kilku osób. Zdzisław Baszak znany pod pseudonimem „Pirat” wspominał, że Wilhelm B. miał jak gdyby szcący zmysł i zdolność przewidywania grożącego mu niebezpieczeństwa. Akowcy kilkakrotnie czekali na konfidenta w jego mieszkaniu, pewni, że ich nie widział. Tymczasem Wilhelm B. chwyciwszy za klamkę, zatrzymał się przy drzwiach, nie wchodził do środka, po czym nagle robił w tył zwrot i uciekał. Noc spędzał wtedy poza domem.

Długo śledzili go i chodzili za nim akowcy, aż wreszcie dopadli go w Żabnie, w domu Szwakiewicza, przy grze w karty. Kazano wszystkim paść na ziemię i okazać swoje kenkarty. Nagle jeden z leżących zerwał się i wyskoczył przez okno parterowego domu. Był to Wilhelm B. Partyzant „Juhas” strzelił za uciekającym. Na zewnątrz budynku rozbłysły się w ciemnościach iskrzy i trwała strzelanina za rannym już, ale ciągle biegnącym konfidentem. Wreszcie trafiony celnym pociskiem zginął na miejscu. Ofiarą strzelaniny padło dziecko Szwakiewiczów, znajdujące się przy oknie sąsiedniego domu.

W pięć dni później w Bolesławiu, w pobliżu walu Wisły zastrzelono przejeżdżającego wozem Mariana B. Partyzanci podjechali doń rowerami i akcja odbyła się błyskawicznie. M. B. mieszkał w Dąbrowie Tarnowskiej i oficjalnie zajmował się skupowaniem drobiu. W rzeczywistości jednak, oddawał Niemcom cenne usługi, parając się donosicielstwem.

Akcja likwidacji konfidentów trwała nieprzerwanie. Znowu w pięć dni po opisanych tu wypadkach kula dosięgła — 16 kwietnia 1944 roku — Jana P. pochodzącego z Adamierza. Dramat rozegrał się tuż za opłotkami Dąbrowy Tarnowskiej. W tym mieście Jan P., przedwojenny sierżant zawodowy WP został poborą podatkovym. Wkrótce zgłosił żandarmerii, że ma trudności w spełnianiu tej funkcji i poprosił o broń palną.

Z jego przyczyny żandarmeria usiłowała aresztować członka AK z Dąbrowy Tarnowskiej, Tadeusza Koguta, który jednak w porę zbiegł. Jan P. został skazany przez sąd podziemny za nadgorliwość wobec okupanta, oraz za zdradę. Oto relacja Władysława Pilasa, któremu znane są szczegóły rozprawienia się ze szkodnikiem.

„W AK byłem dowódcą drużyny w Dąbrowie Tarnowskiej. W roku 1942 wróciłem z niewoli jako inwalida wojenny. Prowadziłem gospodar-

swo rolne w Rudzie Zamczu, 6 listopada 1943 roku aresztowało mnie gestapo. AK ostrzegła wcześniej, że może to nastąpić, skoro wpadł w ręce Niemców mój zastępca Antoni Wardzała. Znaleźli przy nim pismo „Odwet”, gdy poddał go rewizji w Lisiej Górze pod Tarnowem. Pismo to miało od swoich uczniów. Bałem się, że Wardzała nie wytrzyma tortur i sygnie.

Przez trzy miesiące ukrywałem się w Podborzu u Józefa Machaja. Znajomy — jak się później okazało konfident — z Podborza umówił się ze mną w moim domu w sprawie handlowej. Byłem zmęczony i zasnąłem. Miałem jakiś straszny sen i chciałem uciekać. O trzeciej rano do drzwi zaczęło się dobijać gestapo. Niemiec wymierzył mi kolbą cios w głowę, planując krwią pościel. Miałem w łóżku dwa granaty, ale nie użyłem ich z obawy o los rodziny. Rewizja nie nie dała, a zakrawiona pościel uratowała nas, bo gestapowcy nie przeszukiwali łóżka. Gestapowcy zabrali mnie, ale potem zostałem wypuszczony. Po pewnym czasie moja drużyna stwierdziła, że prześladowe nas Jan P. Wieczorem jechał on rowerem do domu w Swarzowie, na obrzeżu Dąbrowy Tarnowskiej. Jan P. mieszkał tam jako sublokator. Na polnej drodze konfidenta zastrzelił z zasadzki ukryty w trawie żołnierz naszej drużyny, Józef B.”

Walka ze zdurkami przybierała na sile. Kolejnym przykładem tego stał się były student Politechniki Lwowskiej Stanisław M., mieszkający razem z matką w Wietrzachowicach u Aurelii P. Policjanci zatrudniali go sobie na posterunku przy sprzątaniu i rąbaniu drewna. Stanisław M. wiedział, że na tym terenie działa ruch oporu i szukał z nim kontaktu. Pierwszy sygnał dała podziemiu kobieta, u której mieszkał. Drugi sygnał pochodził od Ludwika P., działającego pod pseudonimem „Walek”. Nawasiwały się podejrzenia, które wreszcie doprowadziły do rozrachunków. Wieczorem wyprowadzono Stanisława M. nad Dunajec i zastrzelono. Według relacji „Pirata” przy konfidentce znaleziono pismo, upoważniające do swobodnego poruszania się w nocy. Ciało utopiono, aby Niemcy nie urządzili pokazowego pogrzebu.

Czasem przypadek decydował o wykryciu konfidenta. Niejaki Zygmunt M. napisał podobno anonim do posterunku policji w Orlnowie, zawiadamiający, że żona Teofila M. w Wielopolu jest Żydówką. Policjanci przyjechali na miejsce wskazane w donosie, ale wobec zaprzeczenia sołtysa, zatuzszowali sprawę. Zainteresowano się domniemanym autorem anonimem, szybko dochodząc do wniosku, że ma on za sobą roz-

leżą przesłóć kryminalną. Był po prostu działającym w pojedynkę bandytą. Wywodził się przy tym z zamożnej i poważanej rodziny.

Przed wojną niejaki Curyło z Oleśnicy skarżył się, że Zygmunt M. zamordował mu syna idącego spokojnie ulicą Dąbrowy Tarnowskiej. Przyczyną śmierci było straszkanie czaszki przez uderzenie łomem. Zamorderstwo Zygmunt M. odbył karę więzienia. Ofiarą podobnego napadu stał się Mieczysław Łoś z Grobli, który pozostał przy życiu, ale pokazywał wklęsłość w czaszce jako ślad uderzenia jakimś narzędziem.

Świerdził także, że Zygmunt M. nawet nie szukał pretekstu do napadów. Postępował w ten sposób zarówno z obcymi i z bliskimi krewnymi. Zeliży publicznie bez powodu Józefa Łosia. Pędzącemu byłoby Andrzejowi Stróżowi wybił zęby, gdy jedna z krów zawadziła o krzak tarniny, stawiący własność wojowniczego gospodarza. Rozbił wesołą, chrzączącą dziesiątkom ludzi pobiciem i groźbą swe wprowadzał w czyn. Na widok wychodzącej z bramy kościelnej ciężarnej ciotki, wyrwał wóznica Alekseja, podciął konie i usiłował ją strącić. Wspomniany wóznica Aleksander Krupa zapobiegł tragedii. Często obrazkiem było wybieganie na gościniec z siekierą w dłoni.

Ale najbardziej wymyślne tortury zadawał z lubością zwierzętom i placu domowemu sąsiadów. Wleczenie jeli przez poranione stworzenia wcale nie należało do rzadkości. Ten małownicz, czerwony od krwi życiora, obfitujący w multum okrucieństwa i sadyzmu nadaje się na powieść — horror.

Sąsiedzi szukali rady u przybyłego w te strony misjonarza. Jedyna odpowiedź brzmiała: „Unikajcie go, schodźcie mu z drogi”.

Do tych awanturniczych wybryków doszły inne, już o akcentach politycznych, gdy rozpoczęła się wojna i okupacja. Ciężko pobił zgłodniałą Żydówkę, wędrującą po miejscowych domach. Od handlujących bydlęciem żądał okupu. Doszło do tego, że sąsiedzi wyprowadzili z obejścia żywy inwentarz chytliwym i tylnymi przejściami, byle ich tylko Zygmunt M. nie zauważył.

Otrzymane upomnienia zupełnie lekceważył. Gdy zdecydowano się usunąć szkodnika, niełatwo było wykonać wyrok, bo Zygmunt M. ukrywał się nocami w stodolach sąsiadów. W swoje imieniny 2 maja 1944 roku nocował jednak w domu. Gdy partyzanci zastukali do drzwi, ukrył się w piwnicy pod piecem. Odnaleziono go jednak szybko i swierdzono też samosąd na podstawie kenkarty. Dopełniono formalności wymaganych przez podziemne sądownictwo. Wyprowadzonemu do sąsiedniej nie wy-

kończonej izby odczytano wyrok. Niebezpieczny szkodnik zginął od dwóch strzałów wymierzonych w czoło.

Wyrok wykonał Ryszard Kotra „Juhas” z placówki „Zofia” w gminie Zabno. Dowódczo placówkę miało swoją siedzibę w lesie, na terenie Grobli, w gospodarstwie Mieczysława Kozy. Grupa bojowców, jak się okazało, już wieczorem czatowała na Zygmunta M. za stodolami sąsiadów. Jej obecność zauważył Władysław Bienkowski z Warszawy, który ukrywał się w bunkrze pod warstwą słomy w stodole Jana Musiała.

Nim doszło do egzekucji, partyzanci wychostali Eugeniusza M., który w końcu wskazał miejsce pobytu swego brata Zygmunta. Tragiczne okoliczności hitlerowskiej okupacji i warunki konspiracji zmuszały do tak surowego postępowania. Wyrok — i tak zresztą spóźnie — był konieczny. Raport zbiorowy, skierowany do Komendanta Okręgu Krakowskiego ZWZ-AK ujmował sprawę krótko: „W Wlepolu Zygmunt M. został zastrzelony”. Należy dodać, że w tym wypadku obeszło się bez represji ze strony władz okupacyjnych. Policja spisała protokół i zabrala łuski od naboju. Okoliczni mieszkańcy, a i członkowie sztabu obwodu, stacjonujący w lesie, pozbyli się szkodnika i odetchnęli z ulgą.

Maj 1944 roku wymagał nieustannej wnikliwości ze strony podziemnego sądownictwa. Wykonano w tym miesiącu wyrok śmierci na byłym komendancie posterunku policji granatowej w Dąbrowie Tarnowskiej — Zbigniewie R. z Żywiecczyny.

Miał on na sumieniu zdradziecką współpracę z okupantem. Dostarczał m.in. Niemcom listę ośmiu absolwentów miejscowego gimnazjum. W następstwie tego wszyscy zostali aresztowani. Z racji swej anypolitycznej działalności był ostrzegany przez patriotyczne podziemie. Zwołani się więc ze służby w policji i zajęli handlem jajkami. Zmienili swe postępowanie; manifestował swoją pobożność; wędrując przez las śpiewał pieśni nabożne i godzinki.

Rejestr przewinień był jednak zbyt długi. Gdy były komendant wracał ze stacji kolejowej w Szczucinie, został zastrzelony przez Ignacego Łazarza „Łoia”, dowodzącego patroliem dywersyjnym z placówki „Malwina” w gminie Mędrzechów. „Tyu ofiar nie wolno było mu darować” pisze w liście do autora niniejszego opracowania płk. Stefan Musiałek-Łowicki.

12 maja 1944 roku zgrupowanie AK obwodu „Drewniki” obejmującego powiat Dąbrowa Tarnowska i część powiatu Brzesko, poleciło „Bogdanowi” Z. Baszakowi wykonanie wyroku na znanym z okrucień-

siwa żandarmerie Robercie Johnie. Do pomocy przydzielono „Bogdanowi”, „Groźnego”. John wybrał się właśnie ze swoją kochanką na jarmark do Radłowa. Akowcy pojechali tam na rowerach, ale zrezygnowali z wykonania wyroku ze względu na bezpieczeństwo ludzi z miasteczka. Nie chcieli ich narażać na represje. Przygotowali więc zasadzkę na drodze z Radłowa do Szczurkowej. Za zakretem drogi „Groźny” wyprowadził bryczkę wiozącą Johna. Jednocześnie „Bogdan” zbliżył się do żandarmy. Ten, uprzedzony przez woźnicę o podejrzanych manewrach rowerzysty, odwrócił się i strzelił do „Bogdana”. Trafiłony partyzant wpadł do rowu. Nie koniec na tym. John dopadł ранego i wystrelił w niego całą zawartość magazynku.

Nagle „Bogdan” zerwał się, a przerażony John uciekł z krzykiem. Trudno zrozumieć, dlaczego „Groźny” nie próbował strzelać do żandarmy, w każdym razie wrócił do ранego kolegi, przykrył go liśćmi i wyruszył na poszukiwanie furmanki. „Bogdan” był ranny ciężko, ale jak się okazało — nie śmiertelnie. Jedna kula wywarła mu lewy łuk brwiowy, druga przeszła przez kark i szczękę; wyszła lewym policzkiem. Trzecia utkwiła pod topatką.

Kiedy „Groźny” nie wracał, ranny wydostał się z rowu i nocą włókł się drogą. Zatrzymali go granatowi policjanci, uczesniczący w obławie. Na wezwanie „Rece do góry”, „Bogdan” odpowiedział, że nie może ich podnosić bo ma przestrzelone. Gdy go pytano, co chciał zrobić z Johnem odpowiedział krótko: „Zastrzelić go!”. Dodał, że nie da się wziąć żywcem i zażądał, by go puszczono wolno. Komendant posterunku po naradzie z resztą patrolu wskazał ранemu wyjście z piścienia obławy — do gajówki Małka. I tak dzielny partyzant uszedł z życiem — wspomina Jan Aniol.

Po roku 1970 Johna zidentyfikowano w Piaskach koło Lublina. Miejszał z żoną niejakiego Długą spod Tarnowa, do którego śmierci się przyczynił i którego nazwisko oraz dokumenty sobie przywatczył.

W tym czasie zapadł również wyrok sądu podziemnego w sprawie niejakiego K. — leśniczego w miejscowości Skrynka, dokąd przybył z Wielkopolski lub Pomorza przed 1939 roku. Folwark i las stanowiły własność Żydów rumuńskich, a ich pełnomocnikiem był również Żyd z miejscowej ludności. Z kolei las kupiła rodzina Żurawskich z Warszawy. W początkach okupacji hitlerowskiej schronił się w lesie porucznik Żurawski, syn właściciela. Ale leśniczy K. pozbył się go łatwo, wskutek

przyjęcia folkslisty. Nie dowiedziano się nigdy, jaki los spotkał ukrywającego się przed hitlerowcami porucznika.

Tymczasem K. rozpoczął wygodne i dostatnie życie. Przyjeżdżali do niego na polowania Niemcy ze starostą i bratem K. — jakimś ważnym funkcjonariuszem. K. obrastał w piórka. Ożenił się z o wiele młodszą nauczycielką z Radłowa, wkrótce cieszył się z przyjścia na świat córki. Przejął pozdowski sklep w Szczucinie. Zamieszkała tam i była sprządawczynią jego żona. Jeśli ktoś nie chciał u niego pracować, musiał się kryć przed wywózką na roboty do Niemiec.

Inwalida wojenny Orszulak był nieostrożny i odmówił pracy u K. Szybko został wywieziony do Rzeszy i tylko kalectwo sprawiło, że jako nieprzydatny został odesłany z powrotem.

Żydzi zmuszani byli do pracy za darmo. Robotników traktowano w gospodarstwie K. jak w obozie koncentracyjnym. Bicie pałą było na porządku dziennym.

W nocy pod folwark przychodzili jacyś ludzie z lasu. Można przypuszczać, że badali na miejscu sytuację.

Któregoś dnia, a raczej nocy o godzinie 22 formal wyjechał po K. na stację kolejową w Delastowicach. Gdy wracali przez las, zza drzew wyszło nagle dwóch mężczyzn w letnich płaszczach, zapytali formal kogo wiezie. Leśniczemu kazali podnieść ręce do góry, a następnie rozebrać się.

Zrzucił jesionkę i prosił o darowanie życia. Usłyszał twardą odpowiedź, że już za późno, bo nie postuchał ostrzeżeń. Zginął od celnego strzału w skroń. Furman pobiegł do leśniczówki z wiadomością, że zabito pana. Domownicy ruszyli na miejsce egzekucji. Rano znaleźli się tam gestapowcy, mający za przewodnika furmana. Znaleźli dwie łuski od naboju z pistoletu. Ciało złożono w leśniczówce. Po przeprowadzeniu sekcji K. pochowano w Szczucinie. Jak twierdził mieszkaniec wsi Skrynka Ludwik Obara, wieść o bogactwach K. sprawiła, że złodzieje dwa razy odkopywali grób.

Okoliczności rozprawy ze zdrajcami byłyby różne, ale finał przebiegał z reguły identycznie. W roku 1943 do Radłowa przybył ze wschodu Piotr S. współz z głuchoniemą siostrą. Do czasu objęcia funkcji tłumacza i nadzorca robot przy budowie ziemnych umocnień uchodził za dobrego Polaka. Jednak później w czasie tych robot dał się poznać jako niemiecki sługus, odnoszący się wrogo do zatrudnionej tu miejscowej ludności. Właśnie w tym czasie sporządzono listy osób uchylających się od robot.

Na tej podstawie żandarmeria osadzała opornych w obozach pracy np. w Wietrzychowicach. Zdzisław Guzy jako mąż zaufania, obowiązany był wyrazić zgodę na wyrok śmierci. Przedtem „ochotniczo” przez dwie niedziele pracował przy umocnieniach. Ponieważ zarządy stawiane Piotrowi S. potwierdziły się w całej rozciągłości, wniosek o zastosowaniu kary śmierci podpisał.

Oto wymowny przykład, ilustrujący tego typu akcje polskiego, partyzanckiego podziemia.

Wykonaniem wyroku zajęła się placówka „Rena-Róża” (gmina Radków). Ponieważ jednak członkowie sekcji znani byli Piotrowi S. osobiście, przydzielono jeszcze jednego żołnierza dywersji. Do bezpośredniego wykonania wyroku wyznaczono „Krakusa”, Romana Horodyńskiego — „Jastrzębia” i Stanisława Kufraśa, który miał zająć się unieszkodliwieniem siostry Piotra S. w czasie akcji. Ubezpieczali sekcję Jan Kmieć, Jan Szveda, Zdzisław Maśto, Zdzisław Guzy, Jan Kulka, Stanisław Miślak.

Po przybyciu na miejsce akcji stwierdzono, że u gospodyni domu Janiny Matek czterech żandarmów obficie raczą się wódką. Mieszkanie Piotra S. od lokalu gościnnej dla żandarmów gospodyni oddzielały tylko drzwi, zamknięte na klucz. Wszystko to stanowiło dla partyzantów zaskoczenie. Członkowie dywersji, znani z odwagi, nie wahali się jednak z przeprowadzeniem akcji. Przez zastraszenie bronią zmuszono do milczenia przebywającą akurat w kuchni siostrę Piotra S. Następnie skazanemu odczytano wyrok śmierci. Dla stłumienia huków wysłuchano posłuszono się poduszka. Wyrok wykonał Roman Horodyński.

Zabitego przykryto i dokonano pobieżnej rewizji. Z dokumentów, znalezionych w walizce wynikało, że Piotr S. pełnił na terenach wschodnich funkcje niemieckiego starosty. Warto dodać, że w trakcie egzekucji, żandarmi oddzielni tylko drzwiami usłyszeli hałas, ale odgłos strzału wzięli za skutki krzataniny kuchennej siostry Piotra S. Sądzieli, że upuściła ona pokrywkę i zlekceważyli niespodziewany sygnał.

Akcja przebiegająca tak pomyślnie omal nie zakończyła się jednak fatalnie dla jednego z jej uczestników, a mianowicie Stanisława Kufraśa. Po kilku dniach siostra Piotra S. rozpoznała go i wskazała Niemcom. Ojciec Kufraśa próbował ratować Stanisława. Zwrócił się do komendanta w Radowicach, tłumacząc, że aresztowanie syna to z pewnością pomyłka, gdyż nie mógł on brać udziału w tej akcji. Wtedy na polecenie komendanta żandarmeria zatrzymała kilkunastu spośród młodych ludzi, prze-

chodzących przez rynek. Odbędzie się konfrontacja. Wprowadzona siostra Piotra S. tym razem nie rozpoznała przebranego w inny garnitur Stanisława Kufraśa. Został więc zwolniony.

Tymczasem akcja oczyszczania okolicy z wrogów trwała dalej. 7 lipca 1944 roku we wsi Żelazówka wykonano wyrok śmierci na sotysie Wincentym J. Podczas gdy ogół Polaków zatrudnionych w urzędach starał się działać na szkodę okupanta, a przynajmniej pracować mało wydajnie, sotys z Żelazówki był nadgorliwy, wymuszał różne świadczenia, chętnie denuncjował.

W marcu 1944 roku odwiedził sotysa akowcy i wymierzili mu chłostę jako ostrzeżenie. Dano mu czas na poprawę. Zamiast tego Wincenty J. postanowił się zemścić. Działając poprzez gestapo spowodował podobno aresztowanie dwóch akowców z Brnika: Józefa Jachyma i Tomasza Wieczorka. Po okrutnym śledztwie obaj zostali straceni.

Jak informuje Jan Wenc z Żelazówki, sotys tej wsi został zdemaskowany jako niemiecki konfident przez młodą dziewczynę Frydmanównę — pracownicę miejscowego gestapo.

Tuaj — parę słów niezbędnego wyjaśnienia. Frydmanowie byli wysiedleni ze wschodu i znali język niemiecki. Ojciec pracował w urzędzie skarbowym w Dąbrowie Tarnowskiej. Właśnie Frydmanówna zawiadomiła ojca, że Wincenty J. przedłożył gestapowcom listę z 12 nazwiskami członków ruchu oporu. Nastąpiły wówczas aresztowania w Dąbrowie Tarnowskiej. Zginął m.in. działacz patriotyczny Duszyński.

Na tym się nie skończyło. Sotys sporządził i dostarczył nową listę z 24 nazwiskami. Tym razem jednak nie zastał gestapowców, którzy byli na konferencji u starosty. Wobec tego listę przedłożył sekretarce, zapewniając, że pojutrze tj. w czwartek przyjedzie do szefa. Działo się to we wtorek i sekretarka (a była nią Frydmanówna) zaraz telefonicznie doniosła o tym ojcu, a ten niezwłocznie przekazał wiadomość bojownikom podziemia. Dlatego akowcy z Zabna zebrani w zagrodzie Franciszka Kąganka w Wielopolu (leśnisiy przysiółek Grobla) mogli i postanowili działać już w środę. Wieczorem przyszli do sotysa. Ten był już w łóżku, wahaną, widząc broń w ich rękach, odpowiedział: „Tak panie”. Zastrzelił go w obecności rodziny i przeprowadzonych świadków.

Zdaniem mieszkańców wsi należało się z nim rozprawić znacznie wcześniej. Nie wszyscy wiedzieli, że wykonanie wyroku poprzedziło szczegółowe śledztwo i obserwacja postępowania sotysa. Gdy jechał wo-

zem z konnym zaprzęgiem, a towarzyszyła mu żona, spotkanych znajomych zapewniał, że wybrał się do Pawezowa po kupno krowy. W rzeczywistości kierował się do gestapo w Tarnowie. Nie spodziewał się, że zwiadowcy AK jadą za nim na rowerach i śledzą wszystkie szczegóły podróży. Na zebraniach gromadzkich słuchano bacznie wystąpień sołtysa. Otrzymał więc upomnienie, ale nic sobie z tego nie robił, a nawet na zebraniach wykpiwał ostrzeżenia.

W swej nadgorliwości i chęci służenia hitlerowcom zapewniał, że Niemcy wygrają wojnę. Gdy znaleźli się odważni oponenci, którzy drwili z jego wyroków, krzyczał, straszył. Wyciskał jak najwięcej z natruncy przez okupantów kontrygentów. Kilku rolników pozorowało sprzyjanie mu w tej działalności. Jeden radził sołtysowi, by się u niego schronił do czasu przesunięcia się frontu. Ogół mieszkańców był jednak wrogo usposobiony do renegata.

— Wezwał mnie — wspominał jeden z mieszkańców Żelazówki nazwiskiem Jan Wenc — jako cieślę i kazał budować dom dla swojej córki, oczywiście bezpłatnie. To samo polecił Józefowi Barabasowi, biedakowi stale głodnemu, który w domu mógł jedynie napić się mleka. Sołtys nie zapewniał wiktury pracującemu. Żona sołtysa przyszła do mojej żony i zażądała pszenicy, twierdząc, że u siebie w domu nie mają co jeść. Faktycznie mogło tak wyglądać, bo mieli mało gruntu, mieszkali w małej ubogiej chatce o jednej izbie. Zabrała 25 kilo pszenicy, nie płacąc ani grosza. A przecież ludzie biedni ale uczciwi postępowali inaczej. Wyjmowali się do pracy u gospodarzy i jakoś radzili sobie. Sołtys jednak nie chciał pracować. Nie dość, że nas obu wykorzystywał jako bezpłatnych robotników, ale jeszcze umiescił nasze nazwiska na liście przygotowanej dla gestapo.

Słusznie bali się go miejscowi, znając powiązania sołtysa z Niemcami. Jednym obniżał wymiar kontrygentów, przetrzucając haracz wobec okupanta na innych. Taka np. Aleksandra Świątek miała 20 morgów gruntu i oddawała mniej zboża, niż właściciel dwumorgowego gospodarstwa. Wszystko to w zamian za ofiarowaną sołtysowi poduszkę. Przychodzących z darami odsyłał do swojej żony władczym gestem ekonoma. Niepokoił gospodarzy dokonujących tajemnego uboju różnych zwierząt.

Pytał wtedy wprost: „Nie dosz?” I dawali, bo wiedzieli, co ich czeka, kiedy sołtys zechce być „urzędowy”. Jego syn obchodził zebranych chłopów, żądając pieniędzy.

Ale zdarzały się i bardziej nikczemne czyny. Oto w krzakach olśniony ukrywali się Żydzi. Sołtys posłał ludzi z poleceniem odwiezienia uciekinierów do getta, gdzie zginęli.

— Niemcy — wspomina dalej Wenc — nakłaniali Polaków, noszących nazwiska o brzmieniu niemieckim do podpisywania volkslisty. Dotyczyło to też Wenców, rodziny, której nazwisko często spotykało się w tej okolicy. Poszedłem do księdza Pająka w Odporyszowie i na podstawie akt stwierdziłem, że moi przodkowie od siedmiu pokoleń byli Polakami. Dalej już nie szukał. W samej Żelazówce były 32 rodziny noszące to nazwisko. Sama żona sołtysa była z domu Wencówna.

Pewne szczegóły rozprawy z Wincentym J. dodaje inny mieszkaniec wsi Grobla Franciszek Kaganek — Nad ranem — wspomina — przyszli tuż partyzanci i oświadczyli, że sołtys Wincenty J. nie żyje. Dodali, że sprowadzili podsłotysa Jana Pytkę na pół rozebranego, w kałesonach, był świadkiem egzekucji. Ten ostatni ze strachu schował się pod ławkę. Przejął się dramatycznym wydarzeniem, zwłaszcza na widok kałuży krwi i w konsekwencji zachorował na serce, a po roku zmarł. Nie przeżył doznane go wstrząsu. Wyrok wykonali dwaj bracia Kotrowie i oficer z Krakowa.

Okoliczności zdrady i wykonanego wyroku potwierdza Stanisław Opiola z Dąbrowy Tarnowskiej, dodając, iż pracująca w Dąbrowie w żandarmerii córka Józefa Puły ostrzegła o donosach sołtysa z Żelazówki.

Raport zbiorowy szefosiwa Kedwu do komendanta Okręgu płk Lutego zawierał zdanie o zastosowaniu represji fizycznych wobec Wincentego J. z Żelazówki, 12 marca 1944 r. Dodajmy, że Niemcy nadali pogrzebowi sołtysa uroczysty charakter. W przemówieniu poświadczonej Wincentemu J. podnosili jego gorliwość i oddanie III Rzeszy.

Każdy tydzień bogaty był w wydarzenia świadczące o nasileniu represji okupanta i narastaniu ruchu oporu. Wymowne są pod tym względem wspomnienia m.in. Jana Węgla z Dąbrowek Breńskich.

— Mój brat, student prawa, ppor. Stanisław Węgiel — mówi on — był dowódcą drużyny AK. Gestapowcy pojawili się we wsi i na drodze armochodu, by mu pozwolił pójść na stronę. Wyszedł i zbiegł ze wsi. Gdy wrócili gestapowcy zajęci tymczasem gdzieś indziej, z miejsca rozbroili kierowcę, zabierając mu pas i pistolet. Niemcy mieli listy z dokładnymi adresami.

Zabrali kilka osób i pojechali z kolei do Wielopola. Tam na szczęście nie zastali por. Tadeusza Musiała „Zarysa”, który był dowódcą placówki „Zofia” (gmina Zabno). Szukali też jego poprzednika por. rez. E. Kozaka „Zora”.

Ja znalazłem się w tarnowskim więzieniu. Hitlerowie prowadzący śledztwo, wrzeszczał i zhorzczył swym podkomendnym, kiedy tłumaczka zapewniała go, że to nie o mnie chodzi. Zostałem zwolniony. Później z Listej Góry przejechał na rowerze chłopiec i wręczył mi kartkę. Partyzanci pytali, czy to prawda, że uratowała mnie tłumaczka. Opisałem jak było naprawdę. Wkrótce zgłosiła się u mnie tłumaczka Janina S. i z płaczem opowiedziała, że partyzanci chcieli ją zastrzelić w domu, we wsi Krzyż pod Tarnowem, ale zdążyła im powiedzieć, że obroniła mnie. Jednak później partyzanci zabrali ją do domu Jana Mikuty w Grądach i ślad po niej zaginął. Po wojnie zrozpoznany ojciec szukał jej i w końcu trafił też do mnie. Niestety, nic mu nie mogłem wyjaśnić.

C cały ten epizod z aresztowaniem miał miejsce po akcji na więzienie w Dąbrowie Tarnowskiej 12 marca 1944 roku, kiedy to patrol AK pod dowództwem mego brata uwolnił 18 osób.

Fakt ten znalazł potwierdzenie w meldunku „Poręby”. Jednak w książce „Region tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej” liczb ta została zawyżona do około 40.

A oto inne przykłady radykalnego zwalczania kolaboracji z okupantem. Jan N. z Gorzyc, przesiódka Hektary dawał wiele dowodów sympatii dla Niemców. Utrzymywał z nimi przyjazne kontakty, pił wódkę u oficjanta granatowego, zamieszkałego w domu Władysława Świątka w Orlinowie. Bywali tam „Kostek” i Rzepecki — mąż naczelnicki urzędu pocztowego. Jan N. obiecywał, że wytropi „tych z lasu”. Zhorzczył swemu synowi, który uszedł za Wisłę, by walczyć w górach. Renegatowi wymierzono surową chłostę. Żył jeszcze trzy tygodnie i zmarł 26 lipca 1944 roku.

Postawy ludzi w czasie okupacji były różne. Tadeusz L., komendant posterunku policji granatowej w Mędzrechowie pochodził z polskiego. Złapaną małą Żydówkę na prośbę swej żony, wyprowadził za wieś i puścił wolno. Na ogół jednak postępował zupełnie inaczej. Świadczyła choćby o tym sprawa Morawca z Radwana. Ktoś doniósł, że ten rolnik dokonuje nielegalnie uboju zwierząt gospodarskich, a uzyskane wyroby sprzedaje „f rakusom” — czyli paskarzom — jak to określano z Krakowa, otrzymując w zamian odzież i obuwie. Tadeusz L.

obawiając się, że granatowi policjanci zechcą uprzedzić Morawca, w tajemnicy przed nimi wybrał się do posiadzonego, biorąc ze sobą jakiegoś Niemca. Dotarli furmanką do Morawca, poczem z łatwo znalezionymi wyrobami mięsnymi zabrali go do Tarnowa. Tutaj Niemcy rozstrzelali aresztowanego na Górze św. Marcina.

Sami granatowi policjanci wspominali Tadeuszowi L., że ma na sumieniu Morawca i jeszcze jednego aresztowanego, który zaginął bez wieści; odpowiadał, iż bał się odpowiedzialności za pomaganie podejrzanemu. Sam Morawiec, znając Tadeusza L. nie miał wątpliwości, jaki los go czeka. Gdy żona w chwili aresztowania chciała mu dać lepszą odzież na drogę, odrzekł po prostu: „Po co? Żeby gawrony rozmosiły w krzakach?”. Tadeusz L. tłumaczył swoje postępowanie tym, że Niemcy zapewnili mu awans, którego odmawiali Polacy.

Musiło dojść do rozrachunku. Tadeusz L. odprowadził siostrę na stację kolejową w Mędzrechowie. Partyzanci zabrali go z drogi na rzekoma rozmowę z komendantem. Zastrzelili go w krzakach. Ktoś znalazł tam ciało, które wkrótce zniknęło. Niemcy próbowali prowadzić śledztwo, zaczynając od miejsca egzekucji. Doszło do wstrząsających i odrażających scen, gdy wdowie kazali iść przodem, a ta cołnęła się na widok krwi i rozprysniętego mózgu. Próbowano ją łudzić, że to ślały zabitego cięcia, a Tadeusz L. może uciekł do lasu. W gruncie rzeczy losy renegata były prowadzącym śledztwo obojętne. Polacy odsłepców nienawidzili, a Niemcy nie darzyli zaufaniem ani sympatią.

W tym samym czasie w Orlinowie zastrzelono również granatowego policjanta Wacława L. Miał on stare i nowe porachunki z żołnierzami podziemia. Gdy grupa akowców rozbiła posterunek, Wacław L. oświadczył, że Polakom broni nie wyda i swój karabin roztrzaskał o drzewo. Piotr Piotrowski i inni wartownicy twierdzili, że pijany Wacław L. swego czasu sam prowadził na cmentarz schwytanego Żyda i zapewniał, że idą do getta. Nagle kazal mu się położyć, wytrząść ręce do przodu i wymierzyć mu strzał, wartownikom wiejskim polecił zakopać ciało.

Zabójcy wymierzono sprawiedliwość w czasie, gdy na rowerze opuścił wieś. Do Wacława L. strzelił Michał Legieć, ojciec Wojciecha zgłodzonego za posiadanie broni. W jednym dniu odbył się w Orlinowie pogrzeb dwóch zgładzonych zdrajców Wacława L. i Jana N. z Gorzyc. W czasie pogrzebu Wacława L. jego syn niósł z początku demonstracyjnie policyjną czapkę ojca. Ostrzeżony, że może to przypłacić jakąś przykrością, rzucił czapkę i uciekł.

W zupełnie wyjątkowych warunkach dokonano aktu sprawiedliwości na Wiktorze W., tłumaczu policji w Żabnie. Przebywał on kiedyś na robotach w Niemczech i w Czechosłowacji, gdzie nauczył się języka niemieckiego. Punktem wyjścia dla poznania szkodliwej działalności Viktora W. było wyjątkowe traktowanie go przez Niemców.

Oto np. wraz z innymi miejscowymi ludźmi słuchał radia. Podczas jednak gdy wszystkich słuchających aresztowano, jego ominęły jakiegokolwiek przykrości.

Rozprawienie się z Wiktoorem W. było przykładem brawurowej akcji podziemia. Konfident ten pracował w centrali telefonicznej fabryki celulozy w Niedomicach. Akowcy czatowali nań przy drodze, ale Wiktor W. świadomy grożącego mu niebezpieczeństwa stale zmieniał trasę. Dzięki łącznikowi z Niedomic można było jedynie ustalić, na którą zmianę pracuje.

Do wykonania wyroku wyznaczono ppor. Tadeusza Musiała, ps. „Zarys” z Wielopola, Ryszarda Kotrę — „Juhas” i por. Jana Musiała ps. „Wicher” z Niecieczy. Tadeusz Musiał przebrał się w płaszcz jaki nosili Niemcy, miał nawet odpowiedni hełm, a przez ramię przewiesił karabin. W trójkę udali się do fabryki, podczas gdy dwaj inni akowcy ubezpieczali akcję: jeden od strony Żabna, drugi — z kierunku Tarnowa. Pierwsi trzej przystanęli pod murem, bo akurat wychodził Ukraińiec-wartownik. Potem weszli do portierni. Obecnego na dyżurze jednokrotnego portiera zmusili do otwarcia centrali, w której pracował Wiktor W. Oświadczyli mu, że zepsut się aparat telefoniczny. Wszystko to działo się przed potudniem. Tadeusz Musiał wygłosił sentencję wyroku i pociągnął za spust pistoletu, ale „vis” nie wypalił. Wtedy strzelili pozostali. Po chwili Tadeusz Musiał usunął zacięcie i padły strzały z trzeciego pistoletu. Wiktor W. zwinął się pod ścianą, w pomieszczeniu pełno było dymu. Odchodząc zabrali ze sobą portiera, który gorąco o to prosił, gdyż bał się zemsty Niemców.

Wyszli w kierunku Tarnowa, by następnie zawrócić do lasu w stronę Wielopola. W wyniku brawurowej akcji, 26 lipca 1944 roku zginął podobno jeden z najmniejbezpieczniejszych konfidentów na tym terenie. Zapytany o bardziej wyraźne dowody winy zlikwidowanego szkodnika Ryszard Kotra, uczestnik akcji, powołał się na znany sobie fakt.

Oto mieszkała w Żabnie rodzina zagrożona hitlerowskimi represjami. Postanowili oni wyprowadzić się i już opuścili mieszkanie, gdy jeden z odchodzących wrócił po instrument muzyczny. Widział to stojący w po-

blizu w towarzystwie Niemca Wiktor W. Szepnął do Niemca parę słów, a ten z miejsca ruszył za chłopcem i aresztował go.

Listę ofiar zdradzieckich denuncjacji wzbogacili inni mieszkańcy, do-rzucając nazwiska:

Stanisław Mleczo, mgr Bolesław Dzik, mgr Zbigniew Tatarczuch, Mieczysław Tatarczuch, Ryszard Baranowski, por. Leon Filipowicz, adw. Stanisław Witek, Stanisław Witek, Wiesław Witek, mgr Leon Kotra, ks. Mieczysław Dydyński, Wilhelm Dydyński, Albin Dydyński, Julian Gardziński, Stanisław Poleński, Zdzisław Poleński, Marian Kwieciński, Zdzisław Bodzek, Julian Dydyński, Władysław Dudek, Czesław Borcz, Maria Kulig, Jan Król, Antoni Wloch, Mameczko — komendant posterunku policji granatowej, Zbigniew Wawrzyński. Ten ostatni został zakatowany w czasie śledztwa. Na prośbę ojca grabarz odkopał ciało w celu identyfikacji.

Nazajutrz ci sami akowcy zgrupowani w lesie w Wielopolu kŻabna, mieli wykonać wyrok śmierci na Stanisławie U. Zajmował on stanowisko burmistrza Żabna, a znany był z tego, że prześladował polską ludność. Nadgorliwy, wyśکاł więcej świadczeń, niż żądali Niemcy. Ludzi pracujących przy przeładunku na kolei bił pałą. Pozwolił sobie na to samo w stosunku do dwóch kobiet: Ciapochy oraz ciężarnej żony Feliksa Zycha z Gorzyc. Okładał pałą chłopców zbierających ziemiaki rozrzucone pod wagonami. Zdarzyło się, że Stanisław U. miał właśnie odwozić do Tarnowa pieniądze, pochodzące z kontrybucji nalożonej na miasto. Partyzanci ruszyli za nim na rowerach. Dopadli wóz w Partyniu pod Tarnowem. Tadeusz Musiał wygłosił sentencję wyroku i powalił hiterowskiego burmistrza strzałami w pierś. Nie wszystkie jednak akcje przebiegały sprawnie, w sposób zaplanowany. Inny patrol usiłował zlikwidować Tadeusza K. Młodzi chłopcy zasłukali do drzwi jego domu. Tadeusz K. otworzył i zorientowawszy się o co chodzi, chwycił za lufę karabinu najbliższej stojącego partyzanta. Wyrwawszy mu broń z ręki, cofnął się do mieszkania i zdołał zatrasnąć drzwi, poczem zaczął się ostrzeliwać. Partyzanci musieli się wycofać.

Bojąc się ponownych odwiedzín, Tadeusz K. uciekł z Żabna wraz z bratem Bronisławem, również skazanym na śmierć przez Sąd Polski Walczącej. Obaj osiedlili się w Gliwicach. Bronisław podjął tu pracę w biurze spółdzielni mleczarskiej. Tadeusz musiał nieraz żałować Żabna, w którym miał na ulicy Kolejowej restaurację — prawdziwą spełnioną konfidentów.

Bronisław z kolei prowadził restaurację „Nur für Deutsche”. Jego teść Otto Pessina był oficerem Wehrmachtu. Cała ta dobrana rodzina miała na sumieniu wielu Polaków, a zwłaszcza Żydów. Do kompletnie rodzinne należał stryj Tadeusza i Bronisława — Emil, pełniący funkcję wójta gminy Wietrzychowice. Miał opinię strogiego satrapy. Okupacyjny szmatławiec zamieścił zdjęcie przedstawiające generalnego gubernatora Hansa Franka, ściskającego dłoń Emila K. za to, że jego gmina wywiązała się z dostaw żywności i innych kontyngentów wyściśniętych z miejscowej ludności. Bolał nad tym upodleniem brata i bratanek Henryk K., znany działacz Stronnictwa Ludowego, człowiek wielkiego serca i gorący patriotą. Ławno wyobrazić sobie tragedię Henryka, ukrywającego się przed gestapo i przed tak bliskimi członkami rodziny.

Czasem było trzeba skierować broń przeciwko kobietom — zdrajczycom. W Radłowie w samym rynku R. Horodyski „Jastrząb” zastrzelił Władysław K., córkę komendanta miejscowego posterunku granatowej policji. Jej siostra mieszkała z Czechem, nadzorczą zwierzyńca toweń w lesie Wąt Ruda. Zbyt gorliwie penetrował on las i kontaktował się z Niemcami. Zginął też w Wietrchosławicach z rąk partyzantów.

W czasie okupacji dość często zmieniali ludzie miejsce zamieszkania. W 1944 roku w Orlinowie u Jana Piotrowskiego zamieszkał Ukrainiec, ożeniony z Polką. Był to mężczyzna 40-letni, wysoki i tęg. Mając parę koni, wynajmował się do różnych prac w miejscowych rolników. Żona przybyła zdrażnia kiedys fakty z jego niedawnej przeszłości. Oto jako wróg Polaków mordował ich, przebywając jeszcze na wschodzie. Postawiono sługusa hitlerowców zlikwidować — ale niełatwo było wywieść go w pole. Wreszcie latem 1944 roku Stanisław N. i Michał Legieć przy udziale kogoś trzeciego zainscenizowali kradzież koni w stodołę wykonywaną przez Ukrainca. Gdy wbiegł tam, zaalarmowany podejrzanymi odgłosami, dwaj mężczyźni uchwycili go pod ramiona i wyprowadzili do ogrodu uspokajając pochwyconego.

— Chodź, chodź, nic ci się nie stanie...

Stało się jednak, bo w pewnym momencie padł strzał, wymierzony w głowę hitlerowskiemu słudze przez żołnierza podziemia Michała Legiecia. W inny sposób, skutecznie pozbyto się dwóch rodzin niepożądanych przybyszów, którzy zamieszkali u Stanisława Legiecia. Żony obu przybyszów pochodziły z Bocheńskiego. Kim byli ich mężowie dowiedzano się przez przypadek. Oto ktoś przejeżdżający przez Orlinów po-

znał ze zdziwieniem pieszka, który należał do Ukraińców, zawziętych wrogów Polaków.

Gdy rozpoznano pieszka i zaczęto się głośno zastanawiać, kto może być jego pancernym, obie rodziny zniknęły natychmiast, jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej.

Na terenie Szczucina mieszkał od niedawna osiady Ukrainiec Wasyl Sz. Były adiutant placówki „Szpak”, „Stanisława”, mgr Jan Orszulak mówi: „Ukrainiec Wasyl Sz. był w majątku Lubasz k/Szczucina szarą cminencją. W majątku tym pracował Franciszek Zygmunt „Piła”, mój poprzednik na stanowisku adiutanta placówki „Szpak”. Aresztowany zginął w niewiadomych okolicznościach. Po jego aresztowaniu podjęto w Lubasz i Szczucinie kontrolę nadawanych przesyłek pocztowych i stwierdzono, że Wasyl Sz. pisze donosy do gestapo. Ich przechwycenie uratowało najprawdopodobniej denuncjowane osoby. Konfident został zastrzelony. W wymienionym już raporcie szefostwa Kedywu jest mowa o zastrzeleniu konfidenta Stanisława W. w Gruszowie, jednak okoliczności nieśkańcy, w tym żyjący członkowie ruchu oporu, nie słyszeli o takim wydarzeniu.

Zbrojne podziemie likwidowało nie tylko konfidentów, ale i różnego rodzaju złoczyńców. Oto niejaki T. w Niwkach k/Pilecy Żelichowskiej grasował z bronią i okradał, a nawet rabował mieszkańców okolicy. Poszkodowani skarżyli się partyzantom, a ci upominali bandytę, ale bez skutku.

Trzeba było uciec się do ostateczności. Przyszli wieczorem, kazali rabusiowi zabrać topatę i zastrzelili go w krzakach. Trupa nie znaleziono.

We wrześniu 1944 roku w Toni pod Bolesławiem zastrzelono Wojciecha M. z Mędzrechowa, zwanego „Szakimem” współpracownika Wojnego w tej okolicy z okrucieństwa Leopolda Wendlanda. Ofiarą „Szakima” był np. Jan Żyrdecki z Zalipia, któremu to, przechwyconemu w lesie, kazano sobie wykopać grób, nad którym został zastrzelony. Na rozkaz Wendlanda „Szakim” bił chłopów. Wiedziانو o nim, że był wdowcem i pracował jako robotnik. Gdy tu i ówdzie zaczęli ginąć zdrajcy, ktoś z Mędzrechowa ostrzegł „Szakima” i ten zaczął się ukrywać na przemian w miejscowym gospodarstwie swojej matki, bądź też u kochanki Bronisławy W. w Toni, a nawet w dość odległym Rzeszowie.

Wyśledzono, że w piwnicy swojej kochanki, którą traktował zresztą bardzo brutalnie, ukrywał się przez trzy miesiące. Pozbawiony dopływu pieniędzy pozostał w końcu bez odzieży, bo wszyscy przepili. Żołnierze

podziemia, wyznaczeni do wykonania wyroku, tropili go długo. Wreszcie wysiedzono, że któregoś wieczoru „Szakim” wybrał się do Toni. Celem jego wyprawy był dom Kazimierza Kozioła. Obok, w szopie Kozioł pędził bimber dla „Szakima”. Zaraz za nim do szopy wszedł dwóch mężczyzn, uzbrojonych w pistolety. Krzyknęli po rosyjsku „Ręce do góry!” i wylegitymowali „Szakima” oraz obecnego również w szopie Wojciecha Karaszkiewicza. Przy „Szakimie” nie znaleziono ani broni, ani dokumentów. Przeczył też gorąco swojej tożsamości, ale Kozioł, zapytany przez partyzantów stwierdził z całą pewnością — że mają do czynienia z „Szakimem”.

Teraz wszystko rozegrało się błyskawicznie. Wyprowadzono „Szakima” z szopy o jakieś 200 metrów i zastrzelono. Po pochowaniu zwłok, ziemię zaraz zaorano.

Wojna przeszła już dawno swój punkt zwrotny i nieuchronnie zbliżała się do końca. Ciągłe jednak trzeba było eliminować szkodników, których zbrodnica działalność zagrażała różnym polskim środowiskom. Oto np. w Strzelcach Wielkich osiadły dwie rodziny wysiedleńców. Często zmieniali one miejsca zamieszkania, przenosili się nawet z jednej wsi do drugiej, ale nieodmiennie utrzymywały kontakty z Niemcami.

Powstało i ugruntowało się podejrzenie o śledzenie ludności i donosicielstwo. Zastosowano ostrą represję. Wieczorem grupkę oskarżonych o zdradę wprowadzono do lasu i zastrzelono. Zginęli wówczas z rąk żołnierzy podziemia: niejaki Z. pochodzący z Woli Przemyskiej, niejaki Sz. z kresów wschodnich dalej ppor. rez. S. i dwie kobiety. Jedną z nich była w ciąży. Skazanych zastrzelił „Jastrząb”, jak relacjonuje to Władysław Myśliński, konspirator z Przyszawic, autor książki „A jednak tak było”.

Przebieg egzekucji dyktowały nieraz doraźne warunki walki. Zjadącego pociąg relacji Szczucin – Tarnów — wspomina mgr Jan Orszulak, b. adiutant placówki „Szpak” — gmina Szczucin — wyciągnięto konfidentkę i zastrzelono w lesie, dodajmy — z wielkim trudem, bo francuski karabin z I wojny światowej mocno się zacinał. Zwłoki porzucono w lesie.

Represje, choćby najostrejsze, wobec zdrajców i szkodników były nieodzowne. Niestety okoliczności śmierci skazanych nie zawsze są jasne, a ich wina nie w pełni udowodniona. 23 września 1944 roku zginęła chyba niewinnie Maria G. — matka kilkorga małych dzieci, mieszkanka Miechowie Wielkich, a ściślej przysiółka Dębowe Domy. Działo się to

w okresie pewnej stabilizacji frontu, gdy Niemcy wzmożli czujność. Wkrótce nadarzyła się im okazja do nowych represji.

Gdy rozbilo stację kopulacyjną ogierów, osiem koni rozdano miejscowym chłopom. Jednego konia przyprowadzono do gospodarstwa sąsiadki wymienionej Marii G. Kobiety pokłóciły się, gdyż Maria G. chciała wypozyczyć konia do pracy i spotkała się z odmową. Zagroziła wtedy złożeniem doniesienia. Dowództwo placówki „Wacława” w gminie Wietrzychowie bez przeprowadzenia śledztwa, nie stosując ostrzeżenia czy też pouczenia kobiety, posłało do niej trzech żołnierzy podziemia, wśród nich Kufrasa i „Jastrzębia”. Ten strzelał do kobiety przez okno i dobił ją w izbie pod łóżkiem. Dziś niektórzy akowcy np. Józef Budzioch, czy Jan Kamysz ps. „Rejtan” dowódca dywersji przy placówce „Wacława” — gmina Wietrzychowie — twierdzą, że wystarczyłoby do Marii G. posłać kogoś rozsądnego i ostrzec ją. Władza nad życiem ludzkim pozbawiła niektórych partyzantów rozsądku i hamulców. Tego rodzaju smutne wypadki należały na szczęście do wyjątków.

27 września 1944 roku rozprawiono się z Franciszkiem D. w Nowopolu. Zorganizował on szajkę złodziejską, która kradła trzodę chlewną, a ludność przypisywała to rekwizycjom AK. Kradzione świnię złodzieje zabijali i dzielili się mięsem. Zastawiono na szajkę liczne pułapki, z których jedna okazała się skuteczna. Schwytanego Franciszka D. poddano dotkliwej chłości. Bito go kijami od pięt w górę i z powrotem. Zwolniony nie mógł zapomnieć bolesnej nauki i odgryzał się członkiem AK z tej samej wsi. Wszystko wskazywało na to, że swoje groźby zechce zrealizować. Ostatecznie został zastrzelony w mieszkaniu w obecności swojej rodziny.

W Borzęcinie doszło do tragicznej pomyłki. Śledząc niebezpiecznego szkodnika, partyzanci zapytali matkę, czy mają do czynienia z jej najstarszym synem. Na twierdzącą odpowiedź zastrzelili chłopaka i wtedy okazało się, że ofiarą rzeczywistości był najstarszy syn, ale z drugiego małżeństwa — Józef Mazur. Natomiast winowajca zbiegł. W Miechowiecch Małych zastrzelono magazyniera obozu pracy, który był agentem gestapo.

Jesienią 1944 roku placówka „Zofia” — gmina Zabno musiała unicestwić kilku konfidentów. Placówka ta miała z początku swoją siedzibę w obszernych zabudowaniach murowanych nauczycielki Genowefy Preis w Wielopolu (lesisty przysiółek Bucze), a później w zagrodzie Mieczysława Kozy w Grobli.

Żołnierze placówki stwierdzili, że w pobliskich Chatupkach Konarskich znaleźli się konfidenti, dość jawnie współpracujący z Niemcami, a szczególnie z żandarmerią, stacjonującą we dworze, przekształconym w koszarę.

Dobraną trójkę zdrajców stanowiło małżeństwo Sz. przesiedlone ze Wschodu oraz rolnik Roman Ś. Tropili oni członków ruchu oporu z Podlesia Dębowego. Jeździli z Niemcami po wsiach, lub sami inwigilowali rodziny zbiegłych akowców. Podczas jednej z obław, wywołanych taką krecią robotą, zginął Franciszek Miś, aresztowany został Stanisław Wenc i inni. Małżonkowie Sz. manifestowali swoją gorliwość wobec Niemców, oburzając aresztowanych wyziskami. Często pojawiało się wśród nich słowo „bandyci”.

Stanisław Wenc, prowadzony przez Niemców, pchnął nagle jednego żandarma na maskę samochodu, drugiego przewrócił silnym uderzeniem i zaczął uciekać. Jeden z Niemców zdążył strzelić do zbiega, raniąc go w pierś. Mimo to Wenc zdołał ujść. Leczyl się potem w zagrodzie Kazi-mierza Miękiń w Wielopolu.

Podobnie w okolicznych domach ukrywało się wielu innych patriotów, ściganych przez gestapo, np. Stanisław Guca z Przybysławic, który uszedł po aresztowaniach w Brzeskiem i przebywał najpierw u Jana Lebicy w Wielopolu. Później znalazł schronienie u Franciszka Kaganaka w Grobli. Po wojnie był czołową osobistością życia politycznego. Inni korzystali z gościnny u Wincentego Motyki, zamożnego rolnika w Borku. Także zachowanie donosicieli groziło dekonspiracją ruchowi oporu, bo dowództwo obwodu „Drewniak” miało swoją siedzibę na tym terenie.

W czasie jednej z obław Niemcy spędzili mieszkańców Borku na łożnie i grozili im zbiorową egzekucją za ukrywanie partyzantów. Tymczasem żołnierze z lasu ukryli się na strychu domu Franciszka Fido, a Niemcy ograniczyli się do pobieżnego przetrząśnięcia jego zabudowań gospodarskich. Obława w Wielopolu (Borek) nie udała się Niemcom. Zwróciła jednak uwagę żołnierzom podziemia na niebezpieczeństwo, jakie im grozi ze strony donosicieli. Konfidenti wyraźnie ujawnili się w Konarach. Toteż tam właśnie skierowano oddział AK dla ukarania winnych. Ppor. Tadeusz Musiał, wieczorem wywiózł do Konar na wozach konnych 20 bojowców przebranych w niemieckie płaszcze wojskowe. „Juhas” zastrzelił małżonków Sz., natomiast skazany podobnie jak i oni Roman Ś. zdołał zbiec. Po wojnie złapany w Tarnowie, wyszedł

z całej sprawy dość obronną ręką. Został skazany zaledwie na dwa lata więzienia.

Ta sama placówka „Zofia” stoczyła walkę z oddziałem Wehrmachtu w Odporszowie, zabijając jednego Niemca. Drugi pojmany, później nad Żabną został również zastrzelony. Dalszy przebieg wydarzeń był niezwykle charakterystyczny dla atmosfery schyłku wojny na tym terenie.

Oto Niemcy ustawili mieszkańców Odporszowa, łącznie z księżmi, pod murem, grożąc wszystkim rozstrzelaniem. Jeden z mieszkańców nazwiskiem Paton, żołnierz austriacki z I wojny światowej tłumaczył, że partyzantami byli obcy zza Dunajca. Niemcy wysłali go z żądaniem dotarcia do oddziału partyzanckiego. Miał spowodować zwolnienie żołnierza niemieckiego, wziętego do niewoli przez podziemny oddział. Nie wrócił już, przesyłając jedynie wiadomość, że „bandyci” wzięli go za niemieckiego szpiega.

Oficer niemiecki odstąpił wtedy od rozstrzelania pojmanyh mieszkańców Odporszowa, biorąc w zamian zaświadczenie o swojej decyzji. Przypadło mu się wkrótce, kiedy go wzięto do niewoli radzieckiej i ludność potwierdziła prawdziwość pisma, okazanego aż w Grudniadzu.

Nieraz na liście skazanych przez sądy podziemne Polski Walczącej znajdowali się granatowi policjanci. Od roku 1940 komendantem posterunku tej policji w Radłowie był niejaki K., z zawodu kolejarz, pochodzący ze Stryja. Typowy kolaborant, organizował obławy na Polaków i kierował ich na przymusowe roboty do Niemiec. Odbierał ludziom żywność wiezioną do miast, brał udział w rozstrzelaniu Żydów. Gorliwie współpracował z niemieckimi policjantami z okolicznych posterunków i m.in. z żandarmerem Robertem Johnem.

W roku 1942 przyjechała do K. jego znajoma ze Stryja. Przyjazd okazał się fatalny, bo policjant oskarżył kobietę wobec Niemców, że jest Żydówką. Została zastrzelona przez żandarma Johna na tyłach mylna. Kiedy K. wkrótce potem został komendantem posterunku w Wietrzychowicach, zakrzętnął się wokół aresztowania wielu Polaków przez żandarmerię i gestapo.

Policjanci granatowi, współpracujący z podziemnym patriotycznym, ostrzegali, że K. uprzedził Niemców o mającym nastąpić „zrzuceniu”. Istotnie zbliżał się czas lądowania samolotu w ramach znanej i doniosłej akcji „Most III”. W nocy 26 lipca 1944 roku z rejonu Biskupic wywieziono na alianckim smolotem trzech emisariuszy i część przejętej przez AK ra-

kiety V-2, produkowanej w rejonie Pustków – Blizne, penetrowanym przez siły podziemia.

Tropiony przez AK ukrywał się K. w Radłowie i w bliskiej okolicy. Był przystojny, czyszy się więc względami znajomych kobiet, które chętnie udzielały mu schronienia. Dopiero w grudniu 1944 roku Zdzisław Guzy, mąż zaufania AK w Radłowie zaszedłszy do restauracji Józefa Brozka spostrzegł, że znajoma kobieta kupuje znaczną ilość żywności i wódki. Powziął podejrzenie, że u niej właśnie ukrywa się K.

Dalsze śledzenie śladów konfidenta przebiegało w sposób łańcuskowy. Dr medycyny Feliks Wolny, grający w bilard z Niemcami zbierał wiadomości dla AK. W jego poczynaniach zorientował się pewien Austriak, ale mimo to do partyzantów dotarła wiadomość za pośrednictwem Mariana Dubieła, że poszukiwany konfident przebywa u swej znajomej, tej właśnie, która zaopatrywała go w żywność.

31 grudnia 1944 roku gdy wielu ludzi przebywało w kościele, wyznaczony patrol akowców ruszył wcześniej do obserwowanego wcześniej domu w rynku.

W rozprawie ze zdrajcą uczestniczyli „Krakus” oraz członkowie grupy dywersyjnej: Zdzisław Masio, Jan Kmiec, Jan Szveda, Stanisław Miślak i Zdzisław Guzy.

Wytopionego K. zastrzelili „Jastrząb”.

W zimie 1944 roku w Zalipiu zastrzelono rolnika Franciszka K. Niency zatrudniali go przy nadzorowaniu robót ziemnych oraz budowie umocnień.

Zgładzono go za ściąganie ludzi, oraz za ściąg i gorliwą współpracę z okupantem. Partyzanci przyszli wieczorem i kazali mu łapać mieszkańców, jak to już nieraz robili.

Rano znaleziono zwłoki gorliwego niemieckiego sługusa.

Mniej więcej w tym czasie w Grądach koło Mędzrechowa zastrzelono Ukrainca, jako tajnego informatora okupacyjnych władz niemieckich. Wojciech Mleczek, uczestnik podziemia wspomina:

„(...) We wsiach i miasteczkach osiadła liczna rzesza przestępców.

Także z kresów wschodnich. Nie wszyscy byli lub czuli się Polakami. Zdarzały się jednostki o wyrażnie proniemieckim nastawieniu, nie kryjące wrogości wobec Polaków. Do takich należał zamieszkały tu od kilku dni Ukraińiec. Oto przebieg akcji. Do domu Stanisława Korca i jego brata Władysława, tuż obok tartaku wkroczyli dwaj uzbrojeni przyszybie, którzy przyświecali sobie latarką elektryczną. Uczestnikom gry w karty

rozkazali paść twarzą do podłogi i wywołali nazwisko. Nie ma tu takiego — zapewnił nowo osiadły Ukraińiec. Jednak zaraz dodał, że jest podobne. Różnica dotyczyła jednej litery nazwiska. Porwali go pod pachy i wyprowadzili na podwórze. Mieczysław Wołowicz z Grądów wspomina, że ciało zastrzelonego przewieziono konnym wozem na cmentarz w Bolestawiu. Bez trumny.

Za dostarczone płody rolne Niemcy płacili tylko w części gotówką, zmuszając do odbierania reszty należności w postaci wódki.¹¹⁵ Partyzli też przez palec, jak rozpowszechnia się domowa produkcja alkoholu w tzw. „bimbrowniach”.

Bimber pędzono ze zboża, ziemniaków lub buraków cukrowych. Przeciwdziałając celowemu rozpizaniu społeczeństwa przez hitlerowców, członkowie drużyn dywersyjnych niszczyli bimbrownie, dodatkowo wspomagając okupacyjną propinacją. Produkcenci bimbrowu dostawali często dodatkową naukę: oblewano ich zacierem i kazano w takim stanie iść pod pierzynę. Bimbrownie istniały niemal w każdej wsi. Liczne więc były przykłady kar nakładanych przez polskie podziemie na producentów alkoholu.

Raport zbiorowy szefostwa Okręgu do Komendanta płk Lutego (Spychalskiego) donosi o represjach fizycznych: chłostcie. Przyczyny tych represji są różnorodne. 12 marca 1944 roku W Orlinowie otrzymał bary agronom Karol T. To samo przydarzyło się w tymże Orlinowie agronomowi Janowi M. W Laskówce ukarano tak samo Zofię i Wojciecha M., a w Mędzrechowie — Władysława Ch., Franciszka G., Bronisława W. i Julię N. W Pilicy naukę od żołnierzy podziemia otrzymali Łukasz W. i Tomasz S. Lista objętych represjami ze strony konspiracji była bardzo długa. W Pawłowic znalazła się na niej Julia i Leokadia N. W Borzęcinie Helena P., której ostrzyżono włosy. W Wielopolu kara spotykała wysiedleńców ze wschodu: Kazimierza B., Franciszka B. i formala Juliana S. Ci ostatni kradli zboże i wyroby mięsne, za co otrzymali chłostę.

Sumianność kronikarza okupacyjnych wydarzeń kaže uzupełnić tę listę dalszymi nazwiskami ukaranych w Wielopolu:

Wincenty P. i Wincenty B., małżeństwo wysiedlone spod Torunia — Maria i Franciszek Sz. W Bolestawiu niejaki J. C. wychłostany został za rabunek wysiedlonych i uciekinierów. W tym wypadku zresztą zarzuty były jeszcze cięższe. Pomówiono wychłostanego o zamordowanie jakiejś kobiety, której zabral pierścien z palca. Ciało miało być podobno zako-

pane koto domu rolnika Skoczyłasa, ale ręka wystawała z ziemi. Po tej chłöße obwiniony szybko zbiegł.

W Dąbrowskach Breńskich mieszkańcy dwie starsze panny. Spacerowały pod rękę z niemieckimi żołnierzami. Niemcy pozwalali sobie na swobodnie rzucane wulgarnie uwagi. Słyszał je obcy wywiadowca i powiadomił partyzantów. Zza Wisły przybył 4-5 osobowy patrol i ostrzegł niebezpieczne panny. W Wielopolu podobnie potraktowano kobiety, która korzystając z pobytu męża za granicą, zamienia swój domek w złodziejsko-pijacką melinę.

Inni żołnierze niemieccy pozawierali znajomości z miejscowymi kocietami w Radowie. Powstało zagrożenie dla ruchu oporu w wypadku gadulstwa tych kobiet. Sekcja dywersyjna z Przybysławic zastosowała wypróbowany środek — ostrzyżenia przyjaciółek niemieckich żołnierzów. Odbywało się to według pewnych ustalonych wzorców. Używano noży do strzyżenia owiec, a samą operację poprzedziło sprawdzenie tożsamości i wyjaśnienie, za co spotyka winne kobiety wymierzona kara. Domownicy odpowiednio strzyżeni leżeli na podłodze.

Jan Kamysz „Rejtan” z placówki „Wacława” (gmina Wietrzychowice) udał się wraz z innymi do Dąbrowy Tarnowskiej, do domu „Pirata” i tu ostrzegł niewiastę utrzymującą zażyłe stosunki z żandarmami oraz urzędniczkę z Arbetzhamu H. Podobnej operacji miała być też poddana trzecia kobieta, niejaka C., ale jej nie zastali w domu. Były to lokatorki.

Jedno z takich przedsięwzięć zakończyło się jednak tragicznie. Oto akowcy z placówki „Malwina” w gminie Mędzrzeczków wybrali się do miasteczka Szczucina i zaczęli strzyć pannę Janinę K. Ta narobiła krzyku, co zaalarmowało mieszkających w tym domu żandarmów. Otworzyli oni ogień i w trakcie ucieczki zginął od kuli Czesław Misiaszek.

Bez przeszkód natomiast wymierzono karę ostrzyżenia niejkiej pannie C. w Bolestawiu. W Gorzycach wysłędzono, że żandarmi bawili w domu Wincentego K., uczestnicząc w libacjach alkoholowych. Dzięki temu ów rolnik zyskał możliwość zakupu deficytowych towarów. Dowiedziano się, że żandarmi mają być w tym domu na weselu. Podjęto zdecydowane działania.

Akowcy w nocy potłukli gramofon, wychłostali bez skrupułów kobiety i zabronili utrzymywania kontaktów z Niemcami. Dopiero takie sposoby okazały się skuteczne. A przecież gadulstwo i pijactwo w każdym wypadku groziło wstypą.

Jan Kamysz „Rejtan” dowódca dywersji przy placówce „Wacława” (gmina Wietrzychowice) w ten sposób opisuje swą charakterystyczną działalność konspiracyjną:

„Ilekrót wydalitem się z miejsca mojego pobytu, tyle razy następowały kradzieże chłopom świń, pieniędzy i innego dobra. To samo czyniono i ze spółdzielcami, którym rabowano pieniądze z kasy. Sprawy tych czynów zawsze podkreślali, że czynią to z ramienia AK. Aby temu położyć kres, aresztowałem jednego spośród podejrzaných osobników. Po przyłożeniu mu na tyłek kilku kijów, wyśpiewał nazwiska wszystkich złodziei, z którymi współpracował. Było ich 14. Zadaniem aresztowanego przeze mnie złodziejaska było ustawić obserwowanie mnie, kiedy opuszczę miejsce swojego pobytu. Po moim wydaleniu się natychmiast przystępowano do wykonywania zaplanowanych uprzednio kradzieży. W planie mieli kolejną kradzież dwumetrowej świni u gospodarza Ziarka w Woli Rogowskiej. Postanowiłem ująć ich w czasie tej akcji. Cetu jednak nie osiągnąłem, bowiem sprawcy dowiedzieli się, że przygotowują na nich zasadkę. Sprowadzone do tej akcji wszystkie sekcje dywersyjnej placówki „Wacława” powróciły do swoich miejsc pobytu.

Ponieważ znanem już wszystkie nazwiska tych złodziei, przeto od tej chwili zaprzestali kradzieży na moim terenie. Po wojnie milicja zażądała ode mnie wykazu tych złodziei. Byli wśród nich i tacy, którzy jeszcze przed wojną kradli chłopom pierzyny, kury, świnię itp.

Przykład drugi. Niemcy wyznaczili chłopom dzień na dokonanie spędu wszystkiego bydła, aby zabrać im najlepsze dojne sztuki. Kiedy dowiedziałem się o tym, udałem się do domu Kucharskich zam. w Woli Rogowskiej, w placówce „Wacława” (gmina Wietrzychowice), u których zanocował przybyły z Dąbrowy Tarnowskiej inspektor wraz ze swoim kierowcą. Zastałem ich śpiących w łózkach. Widząc mnie z bronią w ręku, trzęśli się ze strachu jak liść na osicie, bowiem byli przekonani, że ich zastrzelę jako niemieckich sługusów. Po wygłoszeniu krótkiego ale stanowczego kazania nakazałem temu klasyfikatorowi tak pokierować sprawą, żeby chłopci ponieśli jak najmniejsze straty w bydle rasowym. Moja interwencja tak skutecznie podziałała, że na drugi dzień chłopci sami zdecydowali o tym, którą krowę mają oddać.

Przykład trzeci. U Kunegundy P. w Woli Rogowskiej kwalcerował dowódca kompanii organizacji TODT. Wymieniona kobieta obserwując Niemców i własowców zauważyła, że posiadają oliwę i smar do wozów: tych olejów ludność polska dostać nie mogła. Prosiła więc kwaterując-

go u niej dowódcę, aby jej sprzedał trochę tej oliwy i smaru. Niemiec natomiast wykorzystał tę okoliczność, mówiąc do niej, że jej da oliwy za darmo, tylko niech powie, ilu jest w tej wsi partyzantów i kto jest ich dowódcą. Głupia baba wcale nie przez wrogi stosunek do narodu polskiego, lecz z chęci nabycia tej oliwy, zdradziła 19 żołnierzy i wskazała na mnie jako dowódcę. Pomimo, iż tak nisko oceniła życie moje i pozostałych żołnierzy, nie wyciągnąłem wobec niej żadnych konsekwencji represyjnych, kładąc to wszystko na karb jej głupoty.

Przykład czwarty. Pewnego razu zgłosiła się do mnie gospodyni Mazurowa z Jagodnik. Przyniosła mi list, w którym jego anonimowy autor domagał się od niej, pod groźbą utraty życia, aby w oznaczonym przez niego miejscu złożyła w kopercie znaczną kwotę, której wysokości już dziś nie pamiętam. Szantażysta groził jej równocześnie, że w razie zgłoszenia tego faktu partyzantom, spali jej całą zagrodę.

Po zapoznaniu się z treścią tego listu, nakazałem kobiecie, aby złożyła kopertę wypchaną papierami w wyznaczonym miejscu, zapewniając ją przy tym, że się jej nic złego nie może stać, gdyż ja wystawię żołnierzy na jej i koperty ubezpieczenie. Przez cztery doby żołnierze czekali w ukryciu na szantażystę, ale ten nie zgłosił się z obawy przed nami.

Przykład piąty. Wiadomo, że Niemcy w czasie okupacji usiłowali rozpić polską wioskę dla łatwiejszego jej opanowania. W tym celu płacili miejscowej ludności za dostarczony kontryngent wódki. Pozwalali jej również pędzić tzw. „bimber”. Aby do tej deprawacji nie dopuścić, dokonywaliśmy konsekwentnie rozbijania tych bimbrówni, które deprawowały chłopskie rodziny. Niektóre z żon same donosiły mi o ich istnieniu i prosiły mnie, abym ich mężom, dla postrachu, przyłożył kijem w tyłek, to skłoni ich do powstrzymywania się od picia bimbrow. Spełniając jedno z takich życzeń w Jadownikach Mokrych, zastałem w łóżku skurczoną pod pierzyną kobiecinę i starego, nieogolonego a pijanego jej męża.

Asystował przy tej „egzekucji” pasierb swego ojczyma. Kiedy dziadkowi kazałem się położyć na podłogę i wyłożyć tyłek do góry, wsił się ze strachu jak wyrzucony na brzeg piskorz, błagając przy tym, że już nigdy nie będzie pił bimbrow i bił swojej żony. Wystarczyło dla zapoznania się z kijem jedno uderzenie i słowne ostrzeżenie, aby zaprzestał w przyszłości dopuszczać się tych czynów.

Przykład szósty. W czasie okupacji niemieckiej stosowane były trzy rodzaje kar: upomnienie lub ostrzeżenie, kara chłosty i kara śmierci.

Średniowieczny środek kary chłosty był w praktyce najskuteczniejszy, o ile był stosowany z umiarem i poparty odpowiednim słowem.

Ludność wiejska gnębiona przez okupanta, często w obronie własnego interesu, wskazywała Niemcom swojego sąsiadę, aby tylko obronić swoją krowę, swoje dziecko przed zabiciem go do Niemiec na roboty, lub by uchronić się od dostawy wyznaczonych litrów mleka. Niekiedy pilasano w tych itp. sprawach listy do władz niemieckich, spółdzielczych i innych. Niektóre z tych listów dostawały się do naszych rąk, dzięki działalności konspiracyjnego wywiadu i informacji posiadanych „wycezek” w urzędach pocztowych i posterunkach policji granatowej.

W takich przypadkach trzeba było ingerować kijem na tylek. Po zastosowaniu takiego środka ludzie nie popełniali więcej podobnych czynów.

Temu samemu celowi służyła wydana przeze mnie odezwa do miejscowej ludności, którą w załączeniu, z zastrzeżeniem praw autorskich, Panu przesłałam dla wykorzystania jej w tym przedmiocie. Została ona opublikowana przy kościołach w następujących parafiach: Wietrzycho-wice, Gręboszów, Olinów i Zaborów. Działo się to wówczas, kiedy w obwodzie „Drewniak” czynione były przygotowania do przeprowadzenia akcji pod kryptonimem „Most III”. Wyznaczenie w tej odezwie godzin policyjnej, z którą zapoznali się Niemcy i ją respektowali, było wyrazem świadomej odwagi i poczucia własnej siły.

Zainicjowana przeze mnie, w porozumieniu z Komendantem placówki „Wacława” „Jurandem”, akcja węglowa, którą p. Kabat usiłował przypisać w Głosie Młodzieży „Piratów”, również jednoznacznie służyła ludności cywilnej.

Przykładów podobnego działania AK na terenie „Drewniaków” mogłbym więcej przytoczyć. Ale nie o ich mnożenie mi w tym wypadku chodzi, lecz o wskazanie charakteru zjawiska współpracy z okupantem i jego złożoności. Na tym terenie nie można go było podciągnąć pod jeden stygulec — kolaboracji w całym tego słowa znaczeniu. Kolaboracja moim zdaniem wywodzi się z wrogiego stosunku do narodu polskiego.

Na tym kończę ten zaimportowany list, dołączając do niego wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia.

Jan Kamysz”

„POLACY!

Gdy Polska jest rozpięta na krzyżu swej męki, gdy Armia Polska walczy z wrogiem na wszystkich frontach świata, a Armia Krajowa wewnątrz Kraju, gdy w różnych obozach niemieckich i piecach krematoryjnych giną najlepsi synowie naszej ziemi, gdy sponiewieranych Polaków zapędzono w niewolę germańską i tam przkuto do pruskiego pługa, gdy wreszcie cały naród z zapartym oddechem i głębokim poczuciem godności narodowej znosi walcą się na niego germańską przemoc, to pewne jednostki, bądź to z głupoty, bądź też z chęci zysku, niekiedy i wprost z wrogiego do narodu polskiego stosunku, donoszą Niemcom o naszej konspiracyjnej pracy, o naszych ruchach i o naszym zbrojnym, dywersyjnym działaniu.

Tych wszystkich, którzy z powyższych pobudek na szkodę narodu polskiego lub jego pojedynczych obywateli działają niniejszym —

OSTRZEŻAMY

i zarazem komunikujemy, że o wszystkich tych czynach dokładnie wiemy i że wszystkich donosicieli rejestrujemy. W zależności od popełnionego przez nich czynu, będziemy wobec nich stosować odpowiednie kary, począwszy od kary chłosty, aż po karę śmierci włącznie.

POLACY!

Pamiętajcie, że jeszcze Polska nie zginęła, że nadal o swój niepodległy byt walczy, że posiada swój Rząd i wszystkie władze polityczne oraz walczącą na wszystkich frontach świata Armię Polską, której i my jesteśmy częścią.

Wspierajcie nas w tej walce z wrogiem! Panujcie nad swoim językiem i nie udzielajcie Niemcom żadnych informacji.

Z dniem 15 maja 1944 roku, to jest z dniem opublikowania niniejszej odezwy, ustalamy godzinę 22-gą jako godzinę policyjną, po której nikomu nie wolno się pokazywać poza obrębem własnego domu lub gospodarstwa.

Do każdego spotkanego po tej godzinie człowieka, będziemy strzelać bez ostrzeżenia.

Za zerwanie niniejszej odezwy grozi kara śmierci

M.P. 14 maj 1944 roku.

Dowództwo Armii Krajowej.”

Nieraz już podawaliśmy, że bywały w zakresie wymiaru sprawiedliwości, jak w każdym bojowym działaniu i akcje zakończone niepowodzeniem. Nie udało się zastrzelić kierownika Szkoły Powszechnej w Szczucinie Niedźwieckiego, volksdeutscha, przesiedlonego z Zachodu. Działając jako konfident spowodował on aresztowanie drużynowego AK Józefa Krzyżaka „Lamparta”. Nie udało się również wymierzyć sprawiedliwości Paulowi Prescherowi zwanemu „Małym”. Wspomniany już wcześniej dał się poznać jako morderca i sadysta. On to zastrzelił Mieczysława Łabuza z Zatuża. W Szczucinie uszła karze kobieta, ograbiająca Żydów. Dowody jej winy dostarczył Franciszek Kapel ps. „Wyżel”.

„CZARNE SEPY” ZNAD DUNAJSZA

Jednym z ludzi, którzy terroryzowali ludność powiatu dąbrowskiego w latach okupacji hitlerowskiej, był Stanisław Kosieniak. Do dziś her-
szła i jego bandę wspominają ze zgrozą tutejsi mieszkańcy. Cechy chara-
ktu przwódcy i jego kompanów, ich agresywność i bestialstwo, ka-
żą ich traktować nie tylko jako bandytów ale i wręcz zwyrodniałców.
Z okrucich zebrańch relacji uклада się dość pełny obraz przwódcy
i jego przestępczej grupy¹²⁾.

Stanisław Kosieniak już na długo przed wybuchem wojny dał się po-
znać jako miejscowy awanturnik, dziś powiedzielibyśmy chuligan. Uro-
dził się w 1914 roku w Siedliszowicach. Był blondynem średniego wzro-
stu o jasnej cerze i charakterystycznych sterczących uszach. Nie znosił
dyscypliny i nie uznawał autorytetów. Był na swój sposób bardzo ambi-
ny; lubił wszystkim imponować. Nie ukończył nawet czteroklasowej
szkoły podstawowej w rodzinnej wsi. Kierownik szkoły Piotr Siolaz
często karał go chłostą i wyrzucał z klasy. Już jako chłopiec nad Dunaj-
cem w chaszczach i zaroślach czuł się najlepiej.

Służbę wojskową odbył w 16 pp w Tarnowie w latach 1936 – 1937.
Był wziętym strzelcem. Ojciec, właściciel gospodarstwa o powier-
chni 6 morgów, cieszył się opinią dobrego gospodarza. Ludowcy próbo-
wali go nawet wybrać posłem na Sejm. Natomiast matka, wywodząca się
z osiadłych tu ongiś Tatarów, posądzona była o nielegalny handel i kra-
dzież. Zapamiętano, że wyjechała do Francji. Kosieniakowie mieli sied-
mioro dzieci, większość rodzeństwa cieszyła się opinią ludzi przwó-
dich. Nie potwierdzał tej opinii brat Stanisława — Franciszek, który
zmarł w więzieniu, dokąd trafił za udział w napadzie rabunkowym na
dom Michała Deszcza w Karsach. Michał Deszcz powrócił z USA i zna-
ny był jako człowiek zamożny. Napadnięty poznał rabusiów i próbował
się bronić. Został zastrzelony właśnie przez Franciszka Kosieniaka. Za-
bójca był niegdyś sierżantem Legionów Józefa Piłsudskiego, a po wojnie
krótko komendantem posterunku policji w Radłowie. Potem jednak
zszedł na przestępcze ścieżki.

Dwaj kolejni bracia padli ofiarą represji okupantów — Ludwik po-
dejrzany o posiadanie broni i aresztowany przez hitlerowców spędził
okupację w obozach na terenie Polski i Niemiec. Michał zginął w Oświę-
cimiu.

W przeciwieństwie do nich Stanisław Kosieniak zapisał się w ludzkiej
pamięci jako oślawiony bandyta, zabójca kilkudziesięciu osób, w tym na-
wet swojej żony i brata Tadeusza.

Siedliszowice znane zresztą były w tych czasach z wysokiej przestę-
pczości, a mieszkańców wsi nazywano Tatarami, ponieważ przed wieka-
mi osiedlano tutaj jeńców Złotej Ordy.

Już w latach przedwojennych podejrzany był o okradanie gospo-
darstw chłopskich. Winy nie zdolano mu jednak udowodnić, bo z powo-
dzeniem próbował zastraszać poszkodowanych i podstępnie fałszywych
świadków. Miał kiedyś sprawę sądową za nielegalne posiadanie broni.

Oto podczas przeprawy przez Dunajec natknął się na patrol policji.
Wezwany do zatrzymania, wyciągnął broń i ranił z niej policjanta —
Franciszka Gładkiego. Ten wprawdzie rozpoznał napastnika, ale pod-
czas rozprawy sądowej Kosieniak posłużył się fałszywym świadkiem —
znajomą dziewczyną, która zeznała pod przysięgą, że ową noc spędziła
z oskarżonym. Sąd wydał wyrok uniewinniający. To rozzuchwiałło mło-
dego człowieka jeszcze bardziej. Wkrótce potem, podczas gry w karty
w Pietszyczach nie dopisało mu szczęście. Nie mogąc znieść przegranej
i chcąc zaimponować partnerowi, zaproponował mu siłowanie się na rę-
kę. Jednakże znowu przegrał. Zirytowany śmiechem obecnych tam kole-
gów, wyjął pistolet i wypalił do przeciwnika, przestraszając go na
wylot kłatkę piersiową. Świadków incydentu zastraszył mówiąc, że jeśli
zgłoszą o wszystkim policji, donosieli powysztrela.

Z osobami Kosieniaków wiązano różne przestępcze incydenty w bli-
szej i dalszej okolicy. W 1934 roku został zabity i utopiony w Dunajcu
Michał Kaczmarek. Podejrzewano o to morderstwo braci Kosieniaków.

Czasami podejrzenia były niesłuszne, jak to miało miejsce w wypadku
zabójstwa właściciela młyna elektrycznego Hilariego Wołańskiego
z Siedliszowic. Jak się później okazało, został on podstępnie zastrzelony
przez okno podczas kolacji. Sprawcą był niejaki Burzawa, któremu oj-
ciec przed śmiercią zlecił tę zemstę. Ponoć Wołański przekazał mu
w kupnie gruntu.

Sprawę znała służąca Burzawy i gdy ten żenił się z inną kobietą, za-
groziła mu denuncjacja. W przeddzień ślubu i wesela Burzawa się za-

strzelił. Chłopi sztydził z tego dramatu: „Położcie byka na podeście, będzie weselisko jak w piekle...” Trzeba przyznać, że brzmiało to dość makabrycznie. Cała sprawa miała swój plotkarski podtekst. O zasobach finansowych Wolańskiego głośno mówiono, a on sam wyśpiewywał na weselach:

Ja jestem Hilary
Będę miał dolary,
Będę miał dukaty,
Będę ja bogaty.

Tymczasem o Kosieniakach mówiono coraz częściej, że specjalizują się w złodziejskim procederze. Kradli kury, pierze, odzież. Sprzedawali to potem Żydom w miastach. Zdarzało się to i innym; młodzież z biednych rodzin nie znajdując zatrudnienia tworzyła — jak byśmy dziś powiedzieli — gangi złodziejskich. Graszowano po jarmarkach. Jedni robili szluczny tłok, inni wyciągali chłopom z kieszeni pieniądze. Uparowano zwiaszcza tych, którzy sprzedawali konie. Niektórzy zuchwale ścigali dobro z wozów rolników jadących do miasta. Kradzione przedmioty sprzedawali innym mówiąc „Kup pan, ukradłem chłomowi”. Kosieniacy kradli kury i pierze. Ich postępowanie było w pewnym stopniu efektem specyficznego modelu wychowania w niektórych rodzinach. Gdy np. synowie pobili chłopaków z innej wsi, ojciec mawiał: „Matka gotuj kurę synowi”. Gdy jednak zdarzyło się, że sami wracali pobici, karcił ich surowo: „Trzy dni nie będziecie niczego jeść”.

Podobnie poczynali sobie Kosieniakowie, wyspecjalizowani w kradzieży drobitu, odzieży i pierza. Sami mówili o sobie: pierzoki, a Stanisław śpiewał na weselach: „Ja tylko pierze, bo letko się bierze...”. O tym to Stanisławie mówiono, że w więzieniu wykut otwór w murze, by przegotować sobie drogę do ucieczki.

Przezorność nakazała mu przeprowadzenie osobliwej próby. Dlatego nie ryzykując wyjścia więźniowie wyrzucili przez wybiły otwór koce. I rzeczywiście strażnicy wyrzucone koce przeszli strzałami. Tak więc zorientowali się, że zamiar ich ucieczki został odkryty.

Stanisław Kosieniak lubił bardzo pisać „psie figle”. Gdy brat Ludwik przyjechał z wojska na urlop, Stanisław niepostrzeżenie ubrał się w jego mundur wojskowy i w towarzystwie Józefa Stoklosy, a także z dużym psem poszedł wieczorem do sąsiada — Kowyni, którego zapytał,

gdzie mieszka Ludwik Kosieniak, który zdezerterował z wojska. Kowynia zaprowadził obydwo do domu Kosieniaków i tu dopiero rozpoznał Stanisława. Innym razem przebrał się za kobietę — a miał jasną karnację twarzy: przed domem zapytał brata Ludwika o drogę. Ten dopiero po dłuższej chwili rozpoznał Staszka.

Zięć małżonków Nagórzańskich, Misiaszek, mieszkał w Kanadzie. Stanisław w przebraniu udał się pewnego dnia do domu Nagórzańskich oświadczając, że jest przybyszem z Kanady, kolegą zięcia i przywozi 100 dolarów.

Obecna w domu teściowa Misiaszka, ucieszona niecodzienną wizytą ugościła „przybysza z Kanady”.

Dopiero córka Misiaszkowej, która po pewnym czasie nadeszła, rozpoznała Kosieniaka.

Władysław Barabasz, mieszkający w Janikowicach, znany był z tego, że podwoził różne osoby z dworca PKP w Żabnie. Stanisław ucharakteryzowany, poprosił go o podwiezienie do sklepu Szebesy w Bieniaszowicach. Tam tego popili, a następnie Kosieniak, nie rozpoznany i nie zapłaciwszy za podwoję, ułonił się. Zostawił paczkę z końskim nawozem.

Czasami miejsce humoru zajmowała agresywna złośliwość. Pewnego wieczoru Kosieniak, znany już w okolicy szeroko ze swego zawiadactwa i skłonności do przestępstw wszedł do sklepu w Żelichowie. Zastał tam kilkunastu stuletnich gospodarzy, rozmawiających o potrzebie solidarności między ludźmi. Słyszając rozmowę, nabrał na szufelkę soli z worka, podszedł do najbliższego z gospodarzy i powiedział: „Tak, między chłopami musi być solidarność, dla solidarności — lizoj to!” Chłop nie miał ochoty spełnić polecenia, więc Kosieniak groźnie powtórzył: „— Lizoj” — i wszyscy obecni po kolei lizali podsuniętą sól.

Innym znów razem poszedł w damskim stroju do sąsiada, podając się, za nauczycielkę z Opatowa. Powiedział, że idzie od pociągu z Żabna i poprosił o podwiezienie za opłatą do Ujścia. W drodze kazał chłopu zatrzymać się przed sklepem, tu zamówił po piwie i porcji kielbasy. Gdy zjadł swą porcję, odszedł nity to do ubikacji i więcej się nie pokazał. Chłop, chcąc nie chcąc, musiał za obie porcje zapłacić i nie otrzymawszy zapłaty za odwiezienie, wrócił do domu. Kosieniak opowiadał o tym zdarzeniu w całej okolicy i kpił z sąsiada, który z obawy przed nim przyjmował drwiny za doby dowcip.

Za udział w bójce, w której sąsiad Mieczysław Szarek skreślił mu lewą rękę, Kosieniak został skazany na jeden dzień aresztu. Mimo wezwania do odbycia kary, nie zgłosił się na posterunek. Uniknął spotkania z policją. W roku 1932 był na odpuszczie w Ołfinowie, tu natknął się na komendanta posterunku policji Kasprowa Adamskiego i począł uciekać. Adamski безуспешно зважував його до затримання і, в кінці узяв бронею. Трафію стрілецьким пістолетом в бідро Косієніак упав. Командант поділив йому першої допомоги і самостійно відвіз до шпиталю в Тарнові. Adamski miał za to zranienie sprawę w sądzie.

Wkrótce Kosieniak został przyłapaný na kradzieży i pół roku spędził w więzieniu. W czasie spaceru, na dziedzińcu więzienia w Tarnowie, został skatowany przez współwięźniów za wrodzoną sobie butę i kradzież.

Ale było to nadrabiane miną. Świadczy o tym chociażby taki fakt. W czerwcu 1939 roku na posterunek w Ołfinowie przybył policjant kpr. Tadeusz Krasnodębski. Po raz pierwszy spotkał się z Kosieniakiem na błoni w Siedliszowicach, w dużej gromadzie młodych ludzi, którzy obserwowali zachowanie nowego policjanta.

Ten wiedział o wielu wykróceniach Kosieniaka i zdawał sobie sprawę, że gdy wykaże niezdyscyplinowanie, posądzą go o tchórzostwo i straci prestiż w Ołfinowie. Postanowił więc „złamać” Kosieniaka na oczach zgromadzonych. Mając karabin przewieszony przez pleś, zapytał obecnych czy wiedzą, że nie wolno urządzać zgromadzeń. Wszyscy zaczęli rozchodzić się prócz kilku mężczyzn z rodziny Kosieniaka. Policjant wydobyl pakę i dopiero wówczas odeszli. Nowy policjant zdobył w ten sposób szacunek i uznanie. Kosieniaci wychwalali go, uznawszy jego przewagę, podkreślali jego zdecydowanie w działaniu. Krasnodębski bez obawy mógł się teraz swobodnie i w pojedynkę poruszać o każdej porze, nikt nie wchodził mu w drogę.

Tu warto dodać, że na wesela i zabawy bracia Kosieniakowie wybierali się z bronią. Nie uchodziło to bezkarnie. Bili ich i ścigał policjant Józef Anioł, rosty i silny w przeciwieństwie do Kosieniaków — ludzi drobnej budowy ciała. Miał zresztą ten policjant za sobą dramatyczne przejścia. Będąc komendantem posterunku w Gręboszowie, trafił na złodzieja Jakusa i zastrzelił go nie na swoim terenie, ale w Olesnie. O tym jak różnie układały się losy bliskich sobie ludzi, świadczyć może fakt, że brat tegoż Jakusa był księdzem proboszczem w Gręboszowie.

Zawiodły Stanisław Kosieniaka plany matrymonialne. Chciał się ożenić z miłą sobie Bronisławą Stupek, ale jej rodzice nie dopuścili do tego, znając wyburki niedosłego zięcia.

Jesienią 1938 roku ożenił się więc z Marią Nagórzańską w Janikowicach. Dostał pół domu, ogród o powierzchni 7 arów. Zamieszkali w jednej izbie. Kupił meble, wprawił podłogę. Na ścianie powiesił otrzymaną w ślubnym prezencie obraz przedstawiający Chrystusa w łodzi wśród fal. Akcentował swoją religijność, chodząc do kościoła. Wiadomo było, że nie ma ziemi, ale nie brak mu pieniędzy.

Bywat u swego sąsiada Czesława Hajdasa i płał mu figle. W obecności innych gospodarzy opowiadał kiedyś np., że Dunajec wysychł i ryby leżą na dnie koryta rzeki. Zaintygowany tym jeden z gospodarzy nacisnął czapkę na głowę i pobiegł nad rzekę. Ubawiony Kosieniak żartował, że Władysław grabiami łowi ryby w Dunajcu.

W sierpniu 1939 roku nastąpiła częściowa mobilizacja. Kosieniak popisał właśnie ze zmobilizowanymi żołnierzami, oczekującymi w Zabnie na pociąg. Jakis chłop, mając do niego żal za poniżenie go dawniej, wszczął z nim bójkę i nożem rozciął mu szyję. Kosieniaka uratowano, lecz dzięki ranie nie poszedł na front.

Wybuchła wojna. Kosieniak leczący ranę pozostał w domu. Zajął się gromadzeniem broni i amunicji pozostawionej na szlakah odwrotu wojska, przeprowadzającego się przez Dunajec, bądź też uzbrojenia portucongo przez żołnierzy przebijających się w cywilne ubrania. Broń i amunicję gromadził w schowkach. Dla wielu Polaków nadchodził czas wielkiej próby bohaterstwa, charakteru i postawy.

Z okresem pierwszych dni września 1939 roku związany jest charakterystyczny epizod, w którym główną rolę przypisuje się któremuś z braci Kosieniaków. Oto zdarzyło się, że farmaceutka Zawadzinska, pracująca w aptece w Zabnie uchyliła okno i w tym momencie padł strzał, który ją położył trupem. Wśród miejscowego społeczeństwa krążyła uporzyciwie wersja, że to zabójstwo było dziełem jednego z Kosieniaków. Trudno dziś stwierdzić, jak to było naprawdę, ponieważ w miarę szerzenia się złośliwości popularności bandy Kosieniaków, zapisywano na konto Stanisława lub jego braci wiele niewyjaśnionych przestępstw i działań. Wypada jeszcze dodać, że w kilka dni po tragicznym, a niewyjaśnionym zgonie farmaceutki wrócił z wojska jej mąż, który szczęśliwie uniknął śmierci lub niewoli. Sąsiedzi zabitej byli przeświadczeni i zapewniali wdowca, że zabójstwo miało tło rabunkowe.

Wraz z nastaniem okupacji hitlerowskiej spotykamy Stanisława Kosieniaka w nowej roli. Na miejscowym posterunku odnotowano go np. jako zakładnika. Z czasem zaczęło go widywać w polach, a w nocy w stodołach. Bywał między innymi w stodole Józefa Sachaj w Janikowicach. W walizce nosił przybory do golenia, ale także broń i granaty. Jego współtowarzyszem wędrowek był Ludwik Stokłosa. Ten ostatni miał wygląd łatwy do zapamiętania, charakteryzował go spłaszczony nos, nosił kapelusz i popielate pumpy. Mówiono, że zginął za niego rodzony brat.

Dwaj współtowarzysze sekretnych wędrowek zaszli wieczorem pod dom Stefani Nagórzańskiej. Jeden z nich zastukał gałką w szybę. Przestraszona kobiecie perswadował: „Nie bójcie się, bo g... macie. Ja rabuję bogatych, a biednym płacę za żywność i nocleg”. Kryli się obydwoj w stodole Emilia Krzciuka w Pierszycach. Zmieniali zresztą miejsce pobytu. Brat Marii Kosieniakowej Stanisław Nagórzański dostarczał im pożywienia. Musiało to dotrzeć do Niemców, lub też kierowali się innymi motywami, dość, że pojawili się w domu Nagórzańskich z zamiarem aresztowania głowy rodziny Józefa. Nie zastali go, gdyż wybrał się na jarmark do Żabna.

Zabrali Wiktorię Nagórzańską i jej syna Stanisława. Bili go bestialsko, aż do krwiotoku z uszu. Nie powrócił już z hitlerowskiego więzienia. Dalej sprawa potoczyła się w sposób pozabawiony wszelkiej logiki. Józef Nagórzański (był głuchy) zabrał dzieci Kosieniaków na wóz i zawiózł na posterunek policji. Niemcy uwieźli Józefa Nagórzańskiego w Tarnowie. Biedne dzieci chodziły samopas po wsi, żywione przez mieszkańców. Potem Niemcy oddali je rodzinie.

Synek Kosieniaków Stanisław był u Stefana Zogi w Janikowicach, zaś córka Alfreda u siostry Marii Kosieniakowej — Józefy Podobńskiej. Dzięki staraniom sotyśa Janikowiec Franciszka Kozyry, Wiktoria Nagórzańska została zwolniona z więzienia w Tarnowie. Była ona analabeta, w jej imieniu Józefa Sachaj pisała listy do córki we Francji, skąd nadchodziły paczki dla Wiktorii. Ta sprzedawała ich zawartość w Radowie, by mieć środki na wyżywienie dzieci Kosieniaków. Niechętni oskarżali ją, że ma pieniądze od Kosieniaka, co spowodowało wywiezienie jej do Oświęcimia, gdzie zginęła.

Tymczasem policjant kpr. Tadeusz Krasnodebski wrócił do Orlinowa i wraz z policjantem Kasprem Adamskim przebywał we dworze Diamant pod Orlinowem. Ponieważ dochodzili tu wieści o zuchwałej działalności

Kosieniaka, Adamski obawiał się zemsty za to, że ongiś postrzelił tego awanturnika na odpuszczenie.

W pewien listopadowy wieczór zaszczerkały nagle psy na podwórzu. Domownicy przypuszczając, że Kosieniak napadł na dwór, przygotowali się do odparcia ataku. Usłyszawszy kroki za oknem, zajęli stanowiska. Adamski, gospodarz domu i niejaki Synica, stanęli z siekierami przy drzwiach. Krasnodebski z synem Synicy Władysławem, przy oknach.

Zapukano w drzwi. Synica otworzył. Adamski z siekierą stał obok. Ku zdumieniu wszystkich wkroczył do dworu Niemiec, szukający właśnie Kosieniaka. Zobaczywszy Adamskiego z uniesioną w górę siekierą cofnął się i złożył do strzału. Sprawę wyjaśnił tłumacz Wiktor Węgiel, pochodzący z Żabna, a przybyły do dworu z Niemcami. Z jego słów wynikało, że Niemcy poszukują sprawców napadu rabunkowego i ktoś powiedział im, że być może przebywają oni we dworze.

Krasnodebski pełnił służbę w policji granatowej na posterunku w Orlinowie. Początkowo policjanci nie posiadali broni, byli „uzbrojeni” w kije. Dowiedział się, że Kosieniak ukrył sporo broni. Zagadnięty o to podejrzany potwierdził, że dysponują bronią ręczną i maszynową, którą mógłby uzbroid nawet duży oddział. Nie zdradził jednak schowka. Krasnodebski łudząc się, że Kosieniak wkrótce ujawni skrytki z bronią, długo utrzymywał z nim kontakty, ale ten przezośnie strzegł tajemnicy. Policjant dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że wszystkie napady na bogatych Żydów i rolników po obu stronach Wisły, od Woli Przemykowskiej po Szczucin są dziełem braci Kosieniaków, tym bardziej że ci indagowani przez niego mieli tyle tupetu, że nie wypierali się udziału w napadach. Z czasem jednak nadarzało się coraz mniej okazji do takich rozmów, bo Kosieniakowie zaczęli unikać spotkań z Krasnodebskim i już z daleka schodzili mu z drogi. Żandarmeria nie mogła ująć sprawców napadów na gorącym uczynku: nie czyniła zresztą w tym kierunku zbyt wielkich wysiłków, gdyż poszkodowanymi byli przeważnie Żydzi.

Ponadto ktoś doniósł, że Kosieniakowie posiadają broń. Gestapowcy próbowali aresztować najstarszego z braci Kosieniaków — Ludwika, ale nie zastali go w domu. Rozwścieczeni doznany zawodem, wyładowali swoją złość na sprzętach domowych. Tkuli naczynia, rozbili zdjęty ze ściany klarnet, na którym Ludwik Kosieniak grywał, obsługując wesela. Polecili, aby poszukiwany zgłosił się dobrowolnie. Najstarszy Kosieniak spełnił rozkaz żandarmerii, mającej siedzibę w budynku szkolnym w Żabnie. Gestapowcy pytali o kpl. Orłowskiego, przesiłuchiwany za-

przechrztał jednak jakoby wiedział coś o polskim oficerze. Został zwolniony do domu, ale radość rodziny trwała krótko, bo niebawem żandarmi złapali nocą Stanisława i Michała. Aresztowanych przewieziono do więzienia w Dąbrowie Tarnowskiej. Któregoś dnia, w czasie spaceru po dziedzińcu więzienia Stanisław skoczył nagle na dach przyległej do dziedzińca szopy, przeskoczył mur i zbiegł. Odtąd rozpoczyna się krawy szlak bandy.

Zbiegły z więzienia Stanisław Kosieniak skupił wokół siebie innych ukrywających się przed gestapo podobnych sobie ludzi, między innymi braci Musiałów z Korczyna. Uzbrojona szajka ukrywała się po dokonanych napadach w melinach i przygotowywała do kolejnego skoku. Bandyci działali najczęściej nocą i stale zmieniali miejsce pobytu. Akcje grupy rozpoznawano po sposobie jej działania, a samego Kosieniaka — po charakterystycznym zachowaniu i swoistych zwrotach mowy.

Szef bandy rzadko bywał w swoim domu. Pewnego razu zjawił się wygłodzony, zmarnięty i udał się do stodoły na spocznik.

Wyszedł go granatowy policjant Jan Szewczyk, lecz został rozbrojony. Policjant przyrzekł, że zatrzyma to zającie w tajemnicy i w zamian otrzymał broń z powrotem. Kosieniak w przebraniu kobiecym zbiegł nad Dunajec.

Wiosną 1941 roku szajka opuściła swoją melinę w Woli Żelichowskiej. Ktoś zawiadomił o tym posterunek policji. Policjanci zjawili się jednak w siłę mniejszej niż banda. Ta ostrzeżliwiej się — wycofała się ku Wiśle. Zanim ściągnięto posiłki policyjne, zapadł zmierzch i szajka uszła przez Wisłę w kieleckie. Przez pewien czas o szajce Kosieniaka nie było słyhać w okolicy, ale wnet o sobie dała znać napadami na właścicieli młynów w Żelichowie, Marcinkowicach i Niecieczy.

Wiosną 1941 roku Stanisław Kosieniak i Ludwik Stokłosa udali się do gospodarza Edwarda Gieca w Nowopolu. Poprosili o postiek. Gieco- wa zabrała się do smażenia jajecznic, a tymczasem Giec wysłał swą córkę do Wierzychowic, aby zawiadomiła posterunek policji o przybyciu podejrzanych ludzi. Policjanci z okolicznych posterunków i żandarmi przyjechali pod dom. Rozpoczęła się wymiana ognia, w czasie której Giec został przypadkowo zabity. Od niemieckich pocisków zapalających stanęła w ogniu strzecha domu. Kosieniak i Stokłosa bronili się, strzelając z okien, w końcu zmuszeni byli wystrzelić na podwórze. Kosieniak ukrył się za cembrowiną studni. Próbował podejść do niego na koniu

komendant posterunku w Radłowic plut. Elzner, ale został trafiony prosto w serce.

Mimo nawały ogniowej Kosieniakowi i Stokłosie udało się uciec pod osłoną dymu, w chruści nad Dunajcem. W nocy przeprowadzili się do Bieniaszowic, a stąd uszli do Żelichowa i zatrzymali się w domu Tadeusza Wdowiaka. Po drodze spotkali rolnika Dubieła z Lubiczka i zabrali ze sobą, aby nie zdradził miejsca ich pobytu. U Wdowiaka pozostali do zmroku, nie pozwalając oddać się domownikom.

Zorganizowana przez policję obława szukała bandy po obu stronach Dunajca. Przetłąsano zagajniki, zagladano do zabudowań, jednakże bez skutku. Nazajutrz rano Niemcy zabrali pięćdziesięciu zakładników do Wierzychowic. Wdowa po zabitym Elznerze, mieszkająca w Radłowiu, przybyła do Wierzychowic i wraz z księdzem Stanisławem Opoką wstawiła się za zakładnikami, prosząc aby zwolniono niewinnych, a szukano rzeczywistych sprawców zabójstwa. Zakładników zwolniono.

W kilka dni po walce w Nowopolu szedł wieczorem polną drogą gospodarz Józef Budzioch z Woli Rogowskiej. Nagle za sobą ktoś niespodziewanie zaświecił mu w oczy i pokazał lufę karabinu. Budzioch poznał Stokłosę. Ten wyprowadził przerażonego za wał nadrzeczny, gdzie ukrywała się reszta szajki. Bandyci poczęstowali Budziocha kielbasą i wódką, pytając, co ludzie mówią o walce w Nowopolu. Oświadczyli następnie, że swe ugrupowanie nazwali „Czarne Sępy”, dodali, że idą pod Kraków, tworzyć zbrojne podziemie. Następnie zaproponowali Budziochowi aby ich przencocował. Próbował wykręcić się od niebezpiecznej wizyty, mówiąc, że jego ciotka może przybyśzów zadencuncjować. Szajka jednak kazała prowadzić się do domu. Przy okazji Budzioch wspominał o bojkach nad Dunajcem z udziałem Tadeusza, Stanisława i Michała Kosieniaków, a także Michała Nagórzańskiego, Michała Kaczmareckiego oraz braci Mieczysława i Stanisława Szarków. Stokłosa opowiadał, jak z Budziochem walczyli w kampanii wrześniowej 1939 roku i jak spod wsi Zabawa koto Biskupiec razem zdezerterowali z wojska polskiego. W czasie ucieczki zabili dwóch Niemców.

Szajka Kosieniaka kwatrowała trzy dni u Budziocha. W końcu ruszyła w dalszą drogę, płacąc za gościnę bilonem, który prawdopodobnie pochodził z obrabowanego młyna elektrycznego Walerii Merchutowej z Niecieczy. Przed odejściem Kosieniak namawiał Budziocha, by przyłączył się do nich. Ten jednak odmówił, a później przez dłuższy czas nie sy-
piał w domu, obawiając się napadu.

„Czarne Sępy” dokonywały najczęściej napadów po prawej stronie Dunajca, ukrywając się na cmentarzu w Wietrzychowicach. Rosły tam wysokie drzewa, a murowane ogrodzenie dawało bezpieczne schronienie. Pewnego razu Karol Boksa, kosząc trawę, zauważył w południe dym unoszący się z nad cmentarza. Zaintygowany zbliżył się i zobaczył szajkę Kosieniaka, gotującą strawę. Boksa został poczęstowany obiadem, a następnie musiał przysiąc, że nigdy nie powie nikomu, o tym, co widział.

Zaufanym człowiekiem „Czarnych Sępów” był rolnik Jan Boksa z Woli Rogowskiej, o przezwisku „Rybak”. Nie brał wprawdzie udziału w wypadkach szajki, ale często dawał schronienie ludziom Kosieniaka, a raz ponoć uczestniczył w podziale łupów. Do zaufanych szajki zaliczał się również Michał Piątek z Woli Przemyskiej.

Po prawej stronie Dunajca znajdował się folwark Władysława Flaka, u którego córki bywali w goście Niemcy, a także nauczyciel z Siedliszowic, z którym ładna Miła chętnie flirtowała pod oknem przychylonych nauczycielowi rodziców. Kosieniak chciał poznać dziewczynę i wysłał do folwarku ludzi ze swej szajki. Nie wypuszczono jednak nieproszonych gości, więc po bezskutecznym dobijaniu się do drzwi, odeszli. Nauczyciel obecny przy zjściu zgłosił o wszystkim w gestapo i więcej nie pokazał się w folwarku. Flakowie oświadczyli żandarmom, że nigdy Kosieniaka do swego domu nie puścili, nie ukrywali, że sami byli zaskoczeni niespodziewaną wizytą. Wyrazili przypuszczenie, że bandycki przyszedł najprawdopodobniej do ich parobka — Wincentego Kobosa, który być może współpracuje z szajką. Gestapo zabrało Kobosę, który potem zginął. Od takich przypadków zależało wówczas często życie ludzkie.

Placówka ZWZ „Gena”, działająca w gminie Gręboszów, chcąc podporządkować sobie „Czarne Sępy” i włączyć do walki z okupantem, postanowiła przez dawnego znajomego Kosieniaka — Władysława Świątkę z Lubiczka, nawiązać kontakt z bandą. Spotkanie odbywało się w ogrodzie w Bieniaszowicach, Kosieniakowi towarzyszyło kilku kompanów. On sam zdecydowanie odmówił współpracy.

Oświadczył wprawdzie, że zlecone mu przez podziemie zadania wykona, lecz nie podporządkuje się. Wydał też przy tym trzy czy cztery karabiny i trochę amunicji, ale nadal grasował na własną rękę. Ludzie uskarżali się na napady.

Wiosną 1941 roku szajka Kosieniaka napadła na posterunek żandarmerii w Wietrzychowicach, Kosieniak ze swymi ludźmi zaatakował posterunek pociskami przeciwpancernymi i granatami. Po tym zamachu

Niemcy otoczyli Siedliszowice. Było ich około 150. Motocykliści jedździłi po wsi, po polach za uciekającymi mieszkańcami.

Po bezskutecznych poszukiwaniach zabrali kilkunastu zakładników i odjechali. Ludzi tych jednak zwolnili.

Policjanci natomiast postanowili aresztować Ludwika Kosieniaka, na którego nłożono stały obowiązek meldowania się na posterunku w Ofinowie.

Aresztowanego Ludwika wprowadzono do zamkniętego pomieszczenia pilnowanego przez Polaka z poznalskiego, prawdopodobnie Molendę. Po pewnym czasie do celi wszedł policjant Krasnodębski, dobytej szajki Ludwika i gdy zostali sami mówił, że jeżeli do godziny dziesiętej gestapo nie zabierze więźnia, to po tym czasie Krasnodębski będzie sam przewoził go do Dąbrowy Tarnowskiej i umożliwi mu ucieczkę. Zakładnik był jednak przekonany, że gestapo zdąży po niego przyjechać, zdobył się więc na wybieg i oświadczył Molendzie, że chce wyjść do ubikacji.

Policjant chciał Ludwikowi sprawdzić kieszenie i wtedy ten chwycił go za szyję i pchnął w drzwi, przewracając nadchodzącego właśnie innego policjanta. Następnie wiezień rzucił się do ucieczki i pędząc drogą wskoczył na wóz jadącego właśnie rolnika z Lubiczka. Kosieniak wyrwał chłopu lejce z rąk i zaczął popędać konie. Woźnica przetrzął się nie na żarty, widząc pędzący za wozem pościg. Ścigającymi okazali się policjanci Krasnodębski i Adamski, którzy sprzyjając uciekinierowi, pozorowali tylko pościg na rowerach. Kosieniak zeskokczył z wozu i biegnąc przez pola, dostrzegł samochody z gestapowcami, jadące do Ofinowa. Zrozumiał wtedy, że desperacka decyzja ucieczki z aresztu uratowała mu życie. Na razie schronił się u gospodarza Jana Fedora w Gończycach, który dał mu czapkę, nie pożatował chleba i stoniny. Uciekinier powędrował następnie w kierunku Pilicy.

Po udanej ucieczce z posterunku w Ofinowie, Ludwik Kosieniak ukrywał się najpierw w Lubiczku w gospodarstwie Czesława i Salomei Podsiadłków, skąd pochodziła jego żona, a następnie w domu swego szwagra, mieszkającego w Tarnowie. Gestapowcy jednak wytrypili jego kryjówkę i wpadli do domu w momencie, gdy Ludwik pisał list do swojej siostry Stefani, przebywającej na robotach w Rzeszy. Niemiec uderzył go rewolwerem (do dziś pozostała mu wklęśność w czaszce). Ludwik piśał w liście, że jest niesłusznie oskarżony, że ukrywa się i prosi o przysłanie odzieży dla dzieci. List ten uratował go przed natychmiastową

śmiercią. Został przewieziony do więzienia w Tarnowie, gdzie przebywał sześć miesięcy, a następnie 13 marca 1942 roku wraz z 200 więźniami przewieziony do obozu oświęcimskiego. Stąd we wrześniu 1943 roku przewieziony został do Buchenwaldu.

Niemcy za wszelką cenę chcieli rozbić szajkę Kosieniaka. W tym celu zorganizowali wiele obław. Okoliczna ludność nekana przez szajkę pomagała Niemcom, donosząc o miejscach pobytu „Czarnych Sępów”. W wyniku jednego z meldunków obława osaczyła w Demblinie samego Stanisława Kosieniaka. Niemcy penetrowali domy, mając pewne informacje, że szef szajki się gdzieś w pobliżu ukrywa. Obława zakończyłaby się powodzeniem, gdyby nie przypadek.

Akurat przejeżdżał tamtędy chłop, wiozący gnój na wozie, Kosieniak usiadł z przodu wozu, chłopca zmusił by usiadł z tyłu, karabin schował do gnoju i tak przejechał obok Niemców, nie budząc podejrzeń.

Po którymś z kolei wypadzie w Sądeckie, ludzie z szajki Kosieniaka musieli przejść przez most kolo Muszyny, na którym niemiecki wartownik legitymował przechodzących. Gdy wartownik zażądał okazania dokumentów, jeden z „Czarnych Sępów”, nie tracąc zimnej krwi, wyciągnął pistolet i zastrzelił go.

Innym razem ludzie Kosieniaka szli w stronę Dębicy i w małym miasteczku zauważyli w domach, przy bocznych uliczkach kwatrujących niemieckich żołnierzy. Ponieważ okna były otwarte rzucili do środka granaty i uciekli.

Obławy na szajkę „Czarnych Sępów” organizowane były wielokrotnie. Ludzie Kosieniaka, ścigani przez Niemców, szukali różnych sposobów, by przerwać. Na polu zwanym Chrzanowo, między Lubiczkiem a Zelichowem, w znajdującym się tam przekopie o głębokości trzech metrów szajka miała stałą kwaterę. Był to bunkier, a właściwie dół, zamaskowany przez krzaki i przykryty drewnianym stropem. Gdy spadł śnieg, ktoś zauważył ślady na polu i doniósł o tym Niemcom, którzy otoczyli teren. Jednakże w bunkrze nie znaleźli nikogo. Pozostali jedynie łóżko, naboje i garnki.

Stąd bandyci wyruszyli na wypadu nawet w bardzo odległe okolice. W tych wędrówkach, znowu w pobliżu Muszyny natknęli się na restaurację, w której bawili się Niemcy. W odpowiedzi na próbę wylegitymowania jeden z bandy zastrzelił hitlerowca.

W wyniku strzelaniny dwóch żandarmów zginęło. „Sępy” kazały orkiestrze grać polski hymn państwowy.

Z biegiem czasu Kosieniak z kompaniami rzadziej pokazywał się w rodzinnych stronach. Gdy powracał, napady rozpoczynał się od nowa. Podczas jednego z takich powrotów na przykład dowiedział się, że w Kannie u rolnika Władysława Karceńskiego chłopci grają w karty. Uzbójni bandyci napadli na dom i kazali wszystkim pokazać się na podłodze. Leżącym wyciągnęli portfele z pieniędzmi. Józef Rusiecki akurat sprzedał krowę i miał przy sobie całą gotówkę. Wychodząc Kosieniak polecił streroryzowanym leżeć tak przez pół godziny.

Jednak i na tym terenie Kosieniak poczuł się w końcu niepewnie. Oto Niemcy otoczyli jego szajkę u Kowyni w Woli Gręboszowskiej. Bandyci nie mogli wyrwać się z pierścienia obławy, zaziarta walka przeciągnęła się. Od kuli padło kilka szruk bydła. Wreszcie broniący się użyli świec dyymnych (było to w dzień) i wszyscy schronili się w rosnącym opodal zbożu.

W lecie 1941 roku szajka Kosieniaka znów pojawiła się w okolicach Bieniaszowic i Siedliszowic. Kosieniak, w pojedynkę został otoczony przez żandarmów. Nie tracąc zimnej krwi, uchałteryzował się i w kobiecym przebraniu na rowerze, wyjechał z okrażeń. Niemcy w odwet za ukrywanie go, wywieźli całą rodzinę Nagórzkańskich z Janikowic do Oświęcimia, gdzie wszyscy zginęli. W tym czasie w Janikowicach kilkakrotnie widziano jak Niemcy zatrzymywali Stanisława Kosieniaka, ale ten zaprzeczał zdecydowanie, jakoby był poszukiwanym, mówiąc: „Przebiec Kosieniak przed chwilą tu był, rozmawiał ze mną”. Pewnego razu Stanisław Kosieniak wraz z bratem Tadeuszem i Stokłosą zostali otoczeni przez obławę. Szybko pobiegli przez pola wyprzegli konie od pługów i na koniach uciekli.

Niemcy orientując się, gdzie najczęściej szajka przebywała, stworzyli dwa specjalne posterunki policji, jeden w Gręboszowie, drugi w Siedliszowicach w majątku Andrzeja Czesaka. Z obu posterunków policja wysłała patrole w teren, wystawiała czaty w chatach. Kosieniak musiał więc zmienić miejsce pobytu, przeniósł się do Dąbrówki Gorzyckiej. Ale i tam wysledziła szajkę policja z Ofinowa. Zawiadomiona o przybyciu „Czarnych Sępów” przyjechała do Dąbrówki Gorzyckiej, otoczyła wieś. Bandyci zdążyli i tym razem zbiec na wypożyczonych koniach.

W tym czasie szajka Kosieniaka liczyła zaledwie trzy osoby, mimo to jej szef kpil z policji i z uporem wracał do Siedliszowic. Pewnej nocy, na

wale nadrzecznym, ludzie Kosieniaka spotkali samotnego policjanta, podążającego w ślad za patrolem, który wcześniej wyruszył w teren. Policjanta tego o nazwisku Włodzimierz Głusko, bandyci zastrzelili.

Po tym zabójstwie połączone siły okolicznych posterunków policji urządziły kolejną obławę i otoczyły szajkę „Czarnych Sępów”. Znowu bez rezultatów. Ludzie Kosieniaka zdolali się ukryć w chruście nad Dunajem, chociaż zdawało się, że tym razem nie ma dla nich ratunku. Na szczęście rzeką przepływała flisačka uralwa. Bandyci rozkazali flisakom przybić do brzegu i przeprawili się na drugą stronę Dunajca. Gdy policjanci przedarli się przez chruści i znaleźli się nad wodą, „Czarne Sępy” wyskakiwały właśnie na przeciwny brzeg.

Dziełem Kosieniaka były także rabunki w młynach nad Dunajem: Niecieczy, Żelichowie, Marcinkowicach, Przybysławicach. Mówią o tym między innymi relacje Jana Drewnianego i Wandy Armays (z domu Drewniana). W czasie zniw mianowicie szajka zjawiała się w Żelichowie i wtargnęła do mieszkania właściciela młyna Jana Drewnianego. Był to wieczór i drzwi nie zostały jeszcze zamknięte, a w mieszkaniu znajdowała się jedynie siostra Jana, Wanda. Kosieniak rozkazał oddać pieniądze i odwrócić się do ściany. Napastnicy rozkazali też Wandzie zdjąć z palca złoty sygnet, ale panna zapłakała, mówiąc, że to pamiątka po ojcu zamordowanym przez Niemców za broń, którą zresztą dobrowolnie oddał. Pozostawili jej ten sygnet. Długo szukali pieniędzy. Jak na ich obyczaje, obeszli się z kobietą bardzo łagodnie.

Józefa Witkowska, wdowa po właścicielu młyna w Marcinkowicach — Stanisławie Witkowskim wspomina, że pierwszy raz banda Kosieniaka była tam na początku okupacji niemieckiej. Mąż jej był nieobecny, udał się bowiem do siostry Anny Grabiec w Niecieczy, gdzie zanocewał. Nad ranem szajka Kosieniaka zapukała w okno wołając: „Proszę otworzyć”. Wówczas Józefa udała się do pokoju i kaźla piastunce wyskoczyć tylnym oknem by zaalarmować wieś. Henryka Puchala ze Zdrocha była odważną dziewczyną i rzeczywiście z krzykiem wpadła do domu Anny i Jana Grudniów, wzywając pomocy. Tymczasem dzieci Witkowskich zaczęły płakać, bo bandyci wyważyli drzwi i grozili mordem.

— Wołałam do nich — opowiada dalej Witkowska — że szukam kłucza, by czekać. Zamknęłam okno, żeby nie zauważyli ucieczki piastunki i otworzyłam drzwi. Gdy wtargnęli z bronią w rękę, rozkazali ucieść dzieci i zażądali pieniędzy. Daliśmy im dwieście złotych. Szukali nadal, przekopali dom, wreszcie wartujący na podwórku dał sygnał i wszyscy

wyszli. Ze wsi dobiegały krzyki i wołanie o pomoc. Zabrali nawet pasy z młyna.

Po tym napadzie, słysząc o ciągłych rabunkach i morderstwach dokonywanych przez szajkę Kosieniaka — wspomina Witkowska — mąż wybił otwór w suficie korytarza i przystawił drabinę prowadzącą na strych. W sieni czuwał duży wilczór. Nadto w korytarzu mąż wykopał piwnicę, a jej drzwiczki tkwiące w podłodze zakrył szafką spiżarnianą. Następnym razem banda zaczęła łomotać do drzwi w środku nocy i wołać, by otworzono. W domu był mąż i jego brat — Władysław, który jako palacz w młynie mieszkał w osobnej izdebce. Była piastunka, dzieci i ja.

Weszliśmy wszyscy do piwnicy i otwór zakryliśmy szafką. Pies, prawdopodobnie czujący proch, nie szczekał. Lękałam się, że dzieci będą krzyczeć. Wyważywszy drzwi bandyci wtargnęli do domu i grabowali wszystkie rzeczy, a przede wszystkim garderobę. Odechodząc strzelali w ściany i sufit. Nie słyszeliśmy kiedy odeszli i siedzieliśmy w piwnicy kilka godzin. Po tym napadzie mąż wprawił kraty w okna i zainstalował sygnę za drzwiami.

Banda przyszła jednak po raz trzeci i swoim zwyczajem łomotała wołając, by otworzono drzwi. Wszyscy uciekliśmy po drabinie na strych, a stąd do młyna i ukryliśmy się w koszach na zboże. Bandyci strzelali przez okna. Po tym napadzie dobudowaliśmy piętro i wieczorem zamysłaliśmy bramę. Po odejściu z tych stron bandy Kosieniaka napadła na nas banda Jachimka i Pudelka z Borzęcina. W dodatku mąż musiał się ukrywać przed Niemcami. Na skutek tych napadów popadłam w chorobę nerwową.

Józefa Borowska, wdowa po właścicielu młyna w Przybysławicach, wspomina: — właścicielem młyna był mój mąż Józef Borowski, który wybudował ten młyn za pieniądze zarobione w Ameryce. Na początku okupacji niemieckiej napadła na nasz dom banda Kosieniaka. W sobotę wieczorem usłyszeliśmy głośną rozmowę, więc mąż otworzył drzwi i wtedy trzej bandyci wdarli się z bronią, świecąc latarkami elektrycznymi. Rozkazali paść twardą do podłogi. Byłam przy korysec dziecka, rozkazali mi odwrócić się do ściany. Zrewidowali męża i zabrali pieniądze. Wszczęli poszukiwania, zakończone grabowaniem odzieży. Odchodząc kazali nam leżeć przez dłuższy czas.

Drugim razem weszli wieczorem i po sterroryzowaniu bronią zabrali mężowi pieniądze i obuwie. Odtąd podobnie jak inni właściciele młynów i majątków ziemskich, cenniejsze rzeczy przechowywaliśmy na wsi u za-

ulanych chłopów. Później nie było miejsca bez napadu. Wreszcie mąż zajął kraiy w oknach, okut drzwi i nie wpuszczał bandytów. Strzelali przez okna. Po Kosieniaku grasowała banda Jachimka i Pudełka z Boręcina.

Ci też strzelali przez okna...

Banda napadła też na młyn elektryczny w Niecieczy. Valeria Merchu wspomina: — W kwietniu w wielką sobotę świał Wielkanocnych 1941 roku o godzinie pierwszej w nocy bandyci zapukali do naszego domu i kazali otworzyć drzwi. Dwóch wdarnęło do mieszkania i zaczęli strzelać z karabinów. Klejli i miotali najgorszymi obelgami na mnie i na córkę. Kazali kłekać i modlić się, bo zbliża się nasz koniec. Wreszcie zapylali, gdzie znajdują się pieniądze. Wskazałam kasę, którą natychmiast porwali. Zabrali garderobę. Szukali w szufladach, za szafami, nawet w żelazku. Wreszcie pozbiłali pieczywo, przygotowane na święta, wędliny itp.

Gdy brali rum, córka prosiła, aby część zostawili. Wtedy bandyci odłali pół szklanki. Odchodząc zagrozili, że w wypadku doniesienia policji przyjdą i wymordują całą rodzinę. Nie była to zresztą ich pierwsza wizyta.

Zdarzenia te godne są uwagi, gdyż w podobny sposób postępowali przy każdym napadzie. Modus operandi ułatawiał ich identyfikację.

Kosieniak nie brał tego pod uwagę. Często dawał znać o sobie i często stawał się celem pościgu. Jego ludzie w lutym 1941 roku napadli na młyn w Marcinkowicach, położony po lewej stronie Dunajca. Zawadomiona telefonicznie o napadzie policja — przypuszczając, że rabusie po akcji skorzystają z przerwy rzecznej w Ołfinowie, urządziła w tym miejscu zasadzkę. Przewidywania te sprawdziły się. Bandyci odczepili znajdującą się przy przewozie łódkę i zamierzali spytać Dunajcem. Na pytanie policjantów kim są oświadczyli, że rybakami. Jeden z policjantów załadał, by zawrócili. Odpowiedzieli ogniem. Bandytów było pięciu, policjantów tylko dwóch. Obudzony przez strzelaninę policjant Kasper Adamski wybiegł z posterunku i ukryty za wałem nadrzeczny ostrzeliwał bandytów. Dobili jednak do drugiego brzegu i wykorzystując wiklinę jako osłonę, uciekli za Dunajec. Długo nie zjawiali się w tej okolicy.

Stanisław Kosieniak miał w Janikowicach — jak już podawaliśmy w innym miejscu — sąsiada Czesława Hajdasa, rolnika i kołodzieja w jednej osobie. Często u niego bywał, a kiedyś w nocy zastukał i zawołał do zbudzonego: „Czesław! Otwórz, nie bój się”. Wszedł świecąc latarką

elektryczną, a w tym czasie za oknem jego kompan repetował karabin. Prosił tylko o żywność. Obaj nieproszeni goście szybko się wynieśli. Mieszkańcy Janikowic i tak wiedzieli o tej wizycie.

Próbował tu Kosieniak różnych sposobów zarabiania. Na wale Dunajca strażnik zwany wałowym sprzedawał trawę, którą kosili miejscowi rolnicy. Całość tego pasa zieleni dzielono na części długości 100 metrów, tzw. setki. Żonę Kosieniaka w wykorzystaniu takiego odcinka wyprzedził Franciszek Pietrek. Awanturnicy małżonek złapał chłopca na podwórzu i postrelili go w dłoń. Poszkodowany długo leżył dokuczliwy postrzał i wycofał się z całego przedsięwzięcia. Bał się komukolwiek o tym mówić, co go spotkało.

Krzyża o Stanisławie Kosieniaku wieść w okolicy, że po nocach zjawia się w sąsiednich wsiach i żąda niewielkich kwot pieniężnych. Ułatawiał się, że przyjdzie po nie w odpowiednim czasie, po czym zjawiał się zazwyczaj wieczorem i zabierał haracz tłumaczając, że musi z czegoś żyć. Płacono mu bez oporu i bez grózb z jego strony. Zastrzegł sobie jedynie dyskrecję. Kiedyś w chruścianych zaroślach zatrzymał sobie bydło Franciszka Wróbla, a pasterza postął do gospodarza, by przyszedł z pieniężkami i wykupił zajęte krowy. Gdy właściciel się nie zjawiał, odwiedził go w domu. Przyszedł, oczywiście otoczony kompanami i pieniędzami otrzymał bez trudu.

Dobrze orientował się Kosieniak, kto ma pieniądze w jego rodzinnych stronach. „Czarne Sepy” kryjąc się w dzień napadały nocą, rabowały i znikły. Akcje policji organizowane po napadzie były nieskuteczne, bandyci dawno już spokojnie odpoczywali za Wisłą lub na drugim końcu powiatu, podając się za partyzantów i korzystając z pomocy nieznających ich ludzi. W swych złodziejskich wędrówkach odwiedzili kiedyś Kosieniaka dom zamożnego agronoma w Pietszyczach, Wojciecha Pytlarza. Nie gardził żadnym łupem i zabrał mu miód. Było to przedsięwzięcie dość ryzykowne, bo u agronoma bywali Niemcy, częstowani przez gospodarza wódką.

Do Pytlarza postął Kosieniak swego „podkomendnego” Adama Patkę z Pietszyc z nabojami rewolwerowymi jako symbolicznym ostrzeżeniem. Dodajmy, że Pytlarz cieszył się dobrą opinią wówczas i wcześniej, gdy pełnił obowiązki wójta. U tegoż Wojciecha Pytlarza dokonano zuchwałego rabunku. Gdy policja przebywała w jego mieszkaniu, banda wyprowadziła cielę z obory. Śmiano się głośno z tego „dowcipu” Kosieniakaowej zgrai. Innym razem dokonano najścia na mieszkanie, którego

lokatorów i gości trzymano pokodem na podłodze, twarzami do ziemi. W tym czasie bandyci rabowali portele i co tylko mniejszego wpadło im w ręce.

Przez długi czas herszt bandy w swych rodzinnych stronach kradł, ale nie dopuszczał się mordów ani gwałtów, ponieważ liczył się z faktem, że wciąż mieszka tu jego rodzina. Jego bracia w obawie o bezpieczeństwo najbliższych powstrzymywali go, jak mogli. Jednakże wciąż tropyńcy, ścigani, przebywając w innych okolicach stawał się coraz bardziej niebezpieczny i bezwzględny, wręcz sadyściyczny. Wielu bogatych gospodarzy i właścicieli folwarków płaciło mu w tajemnicy stały haracz. Opornych napadał i rabował. W lecie 1941 roku obrabował Emila Krzciuka w Sikorzycach, usiłował też znowu obrabować Wojciecha Pytlarza w Pierszycach, ale zamiar nie powiódł się, gdyż gospodarz zabarykadował drzwi i trąbił na alarm.

Fiaskiem zakończył się też napad na dom Andrzeja Czesaka w Siedliszowicach, gdyż nie udało się sforsować drzwi ani okien. Coraz więcej napadniętych stawiało „Czarnym Sępom” skuteczny opór. Grupa próbowała działać przez zaskoczenie, ale napady nie zawsze się udawały.

Działalność bandytów ściągła na te tereny wielką liczbę Niemców, którzy penetrowali wieś, dokonywali aresztowań, wywozili ludzi do obozów koncentracyjnych, rozstrzeliwali niewinnych. W jednej z takich akcji zginął Stanisław Kaczmarski z Siedliszewic, podejrzanym o posiadanie broni, kolportaż tajnej gazety „Odwet” i kontakt z „Czarnymi Sępami”. Jana i Józefa Podkówków, Franciszka Brodę, Aleksandra Sumarę z Orlinowa, podejrzanym o posiadanie broni i kontakty z „Czarnymi Sępami”, Niemcy wywieźli do obozu w Oświęcimiu.

Policjant Krasnodębski, mający powiązanie z konspiracją utrzymywał, że dowództwo obwodu ZWZ, działające w powiecie Dąbrowa Tarnowska, groziło „Czarnym Sępom” i wydało im rozkaz usunięcia się z tych stron, ponieważ terroryzowali społeczeństwo i dezorganizowali działalność konspiracji. Wreszcie tropyńcy przez Niemców i walczące z okupantem podziemie, wyniósł się Kosiński w inne okolice i długo nie dawał znaku życia.

Ale 28 października 1941 roku pojawił się znowu w Siedliszowicach wraz ze swym bratem — Tadeuszem i Ludwikiem Stokłosą. Wrócił, by tym razem mordować. Niebawem zawitali do dworu dziedzica Zygmunta Wysockiego. Jego żona, z domu Rozwiorowska, była właścicielką młyna w Siedliszowicach. Dwór nie należał do zasobnych.

Posiadłość liczyła zaledwie 80 morgów ziemi. Pałac sponał jeszcze przed wojną i Wysocky mieszkali w innym budynku. Stanisław i Tadeusz Kosińskowie wraz z Ludwikiem Stokłosą pojawili się wieczorem, uzbrojeni w karabiny, rewolwery i granaty. Byli podpicci, a jeszcze przynieśli ze sobą wódkę. Pani Justyna Wysocka spała na piętrze.

Zaczęli dobijać się do okna pokoju na parterze, gdzie spały jej dzieci: trzyletni Henryk, sześciolatek Antoni oraz siostra pani domu, siedemnastoletnia Franciszka Rozwiorowska. Wysocka otworzyła drzwi przybitym i zapytała, czego chcą. Odpowiedzieli, że chcą zobaczyć dzieci. Kobieta starała się nie wpuścić ich do domu, tłumacząc, że dzieci mogą się przestraszyć. W końcu musiała ustąpić.

We dworze przebywali ponadto: kucharka Tekla Skowron, z domu Stokłosa, z Siedliszewic, Genowefa Cynarówna oraz bliżej nieznana, wysiedlona przez Niemców kobieta o imieniu Stasia. Wysocka poprosiła narętwów, aby sobie poszli, ale ci rozsiadli się i pili wódkę. Kiedy w pewnej chwili Tadeusz wyszedł z pokoju po papierosy, Stanisław usiłował zgwałcić Justynę Wysocką; ponieważ stawiała opór, chwycił ją za włosy i ciągnął po schodach do osobnego pokoju, strzelając po drodze w drzwi. Tadeusz próbował uspokoić brata, w końcu uderzył Stanisława w twarz. Rozwścieczony Stanisław wpakował mu wtedy kulę prosto w pierś.

Następnie podszedł do pani Wysockiej i strzelił do niej z pistoletu, celując w twarz, aż upadła. Strzelał jeszcze do martwego ciała. Potem znów strzelał do trupa brata. Wpadł w szat. Gdy zestrzelił lampę w kuchni, kucharka wraz z jednym z dzieci zdołała się ukryć pod łóżkiem.

Justyna Wysocka pochodziła z lubelskiego. Była kobietą prawą, patriotką. Jako właścicielka młyna pomagała okolicznej ludności, rozdzielając żywność i opiekując się chorymi.

Po tym okrutnym mordzie Stanisław Kosiński wraz z Ludwikiem Stokłosą udali się do wsi, aby rozprawić się z rzekomymi niemieckimi konfidentami. Najpierw zjawili się w sklepie, będącym własnością rodziny Stupków. Stanisław i Maria Stupkowie byli już w łóżkach, Kosiński wpadł do domu z karabinem, a w ganku na warcie pozostawił swego kompana. Wśród przekleństw zastrzelił gospodarzy i ich córkę. Drugą — Bronisławę z którą przyjaźnił się dawniej, zabrał z sobą. Następnie wywołał z domu sołtysa Władysława Literę oraz jego żonę Teklę i oboje zastrzelił.

Z kolei bandyci przyszedł pod dom Władysława Huczka, repatrianta z Francji. Rosły, tegi mężczyzna zorientował się natychmiast w sytuacji

i postanowił się bronić. Drzwi nie otworzył. W końcu schował się w ko-morze. Bandyci wyrwali okno i znaleźli go, po czym Kosieniak zastrzelił nieszczęsnego. Zbliżając się do domu dróżnika Józefa Wołańskiego, Kosieniak wołał: „Wołański, otwórz!” Żona wpuściła bandytów do izby i oświadczyła, że mąż nie wrócił jeszcze ze służby. Obaj ze Stokłosa szukali go, lecz nie znaleźli, zdołał się ukryć. Kosieniak strzelił więc do żony Wołańskiego — Józefy, raniąc ją w twarz. 20-letniego brata Wołańskiego zbrodniarze pozostawili w spokoju.

Potem pobiegli na drugą stronę szosy, do pobliskiego domu byłego oficera — Józefa Burzawy. Córka Zofia nie wpuściła ich dopóty, dopóki ojciec nie uciekł z pieniędźmi. Gdy wreszcie otworzyła, rozwiścieczony Kosieniak chciał ją zastrzelić, lecz Bronisława Słuppek zdołała wyprosić dla niej życie u bandyty.

Tak Kosieniak rozprawiał się z tymi, do których miał jakieś często urojone urazy. Tragicznej opisanej tu nocy w Siedliszowicach zginęli: Władysław Huczek, Tekla Litera, Władysław Litera, Stanisław Słuppek, Maria Słuppek, Janina Słuppek, Justyna Wysocka i Tadeusz Kosieniak.

Bronisław Słupkową zatrzymali bandyci jakiś czas przy sobie, lecz w końcu pozwolili jej odejść oraz wziąć udział w pogrzebie rodziców i krewnych. Kosieniak obserwował kondukt pogrzebowy z piwnicy w Pasiece Wietrzychowskiej. Tutaj tłumny przewożono promem przez Dunajec na cmentarz parafialny. Przewrotna legenda głosi, że Kosieniak ukryty na cmentarzu zastrzelił chłopca, który pozostał na cmentarzu i długo płakał.

Jakie urazy mógł żywić? Józefa Wołańska trafiona w twarz upadła, i dlatego szczęśliwie uznał ją za martwą. Przeżyła jednak i dziś wspomina zbrodnie dokonane przez członków przestępczej szajki. „Kosieniakowie — mówi — dokonywali kradzieży w polu. Np. skosili moją trawę jeszcze przed wojną. Za śladami doszłam do ich domu, gdy jeszcze spali. Złajalam ich i trawę zabrałam. Kosieniak i Stokłosa wracali raz wieczór ze sklepu i spotkawszy męża posztuchiwali go, a w końcu któryś uderzył go pałą w głowę. Nie były to wypadki osobobnione.

Józef Wołański dodaje ze swojej strony inne szczegóły: „Jako dróżnik pracowałem na szosie i często zdarzało mi się rozmawiać z policjantem Józefem Aniołem niekoniecznie o sprawach służbowych. Bandyci podejrzewali, że to właśnie o nich udzielam informacji. O bandzie mówiono zresztą sporo, np. krążyła wersja, że Stanisław wręczył sołtysowi Liczerze pieniądze za przekupienie kogoś w Dąbrowie Tarnowskiej,

a chodziło o uwolnienie Michała Kosieniaka. Wszystkich, którzy donosili Niemcom o działaniach bandy, nazywali Kosieniakowie konfidentami.

Najstarszy z braci Kosieniaków — Ludwik, do którego zresztą po dziś dzień nikt nie zgłasza preleńsji, zapytany o przyczynę rodzinnej tragedii, odpowiada pytaniem: „Czy pan leżał przez cały upalny dzień w pszenicy? Bo ja nierzaz leżałem z powodu ciągłych donosów mieszkańców Siedliszowic”.

Stanisław przed wojną przebierał się, udając i ośmieszając niektórych mieszkańców wsi: narażał się im. Gdy przyszedł Niemcy, zaczęły się donosy. To myślny prosił sołtysa, by wykupił Michała, ale Michał i tak zginął w Oświęcimiu. Stanisław był u siostry we Francji i został wydany, ale nie wiem za co.

Kradła biedota wiejska i towar sprzedawała Żydom. Nasza rodzina nie należała do biednych. Uparcie akcentuje twierdzenie, że wszystkimu winni są tamtejsi ludzie, donosiciele. Ukrywający się nie miał z czego żyć... „Ja wyrabiałem cegły, zarabiałem, ale nie dawał mi spokoju”. Tu pokazywał wkleśnięcie w czaszce, ślad po odniesionej ranie.

Tego rodzaju wyjaśnienia nie usprawiedliwiają jednak zbrodni.

Tymczasem nienawisć do morderców narastała coraz bardziej, mimo że ludzie spodziewali się po Kosieniakach wszystkiego najgorszego, wyrażenia kszmarnej nocy, podczas której zginęło w Siedliszowicach osiem osób, a jedna została ciężko ranna, wywołały ogólne przerażenie. Ten dziki i zuchwały mord obudził w ludziach strach, ale spolegował też po-wszeczne oburzenie. Teraz już wszyscy traktowali kompanów Kosieniaka jednoznacznie: jako bandę. Okrucieństwa do reszty zohydziły bandę Kosieniaka w oczach mieszkańców, ale jak gdyby wzmożyły butę zbrodniarzy.

Zorganizowany w Siedliszowicach posterunek policji też nie odstraszał bandytów. Przebywało tu czasowo osiemu policjantów. Po ich odejściu w teren przybył Stanisław Kosieniak z kompanami. Wdarł się do murowanego budynku i groził mordem oraz pożarem. Krewny właściciela Ludwik Łysiak (obecnie docent) rzucił ze strachu różnymi przedmiotami na głowę Kosieniaka wchodzącego po drabinie na strych. Bandyta rzucił granat, ale Czesaków ostonił duży komini. Ciotka Czesaka pobiegła na wieś, a później na posterunek do Ofinowa po pomoc. Banda odeszła strzelając. Nie opuszczano Kosieniaka upodabanie do płatania różnych figlów. Pewnego dnia zjawił się za oknem domu Andrzej Czesaka — Niemcowi znajdującemu się wewnątrz ukazał twarz tak nie-

samowicie wykrzywną, że ten przerażony zaczął krzyczeć: „Mein Gott!” i czym prędzej opuścił dom. Śmiano się z tego dowcipu Kosieniak, który potrafił wystraszyć oficera ponoć dość wysokiej rangi.

Kosieniak i Stokłosa zamelinowali się teraz w okolicach Mędtrzecho-wa. Ponieważ nie mogli już liczyć na przychylność miejscowej ludności, kryli się po stodolach i w pustych szopach.

W końcu Kosieniak zabrał ze sobą żonę i udał się za Wisłę. Ukryli się w Opatowcu z paromiesiecznym synem. Później uszedł przed ścigającą go policją do powiatu tarnowskiego, gdzie zamieszkał u znajomego w Szczepanowicach, podając się za partyzanta angielskiego.

W tym czasie Kosieniak ze Stokłosą, który również zamieszkał u Rogali, wybrali się na wyprawę w góry i powiedzieli żonie Stanisławie, że wrócą za trzy dni. Kosieniakowa zawiadomiła o wszystkim posterunek policji. Po trzech dniach policja granatowa i żandarmeria zjawiała się pod domem Rogali. W pobliżu ustawiono trzy cekaemy z łufami skierowanymi w stronę ścieżki górskiej, skąd spodziewano się nadejścia bandytów. Kosieniak i Stokłosa wracali ścieżką biegnącą przez mały laszek. Wraz z nimi szedł jako pierwszy Rogala, nieco podchmielony, nuciąc piosenkę. Policja otworzyła ogień i Rogala padł zabity. Pozostałym udało się zbiec w góry. W odwecie Niemcy wysłali wszystkich mieszkańców domu Rogali, zarówno jego rodzinę, jak i przebywających tam przesiedleńców. Zginęło wtedy siedem osób.

Żonę Kosieniak Niemcy zabrali do Tarnowa i dali jej pracę w sio-lówce, potem fabryce czekolady. Była przekonana, że jej mąż zginął w czasie obławy. Ponieważ synka zostawiła u jego ciotki Podobinskiej w Żabnie, przejeżdżała tam często. Kosieniak dowiedział się o tym i zaczął ją śledzić. Przez znajomych rozpowszechnił plotkę, że on i Stokłosa zostali zabici daleko w górach. Nie wiadomo, czy Maria. Kosieniakowa uwiertła tej wersji. Faktem jest, że gdy podejmowała pracę w Tarnowie, załaziła się na męża. Opowiadała jak to Stanisław domagał się, żeby mu to-warzyszyła w wyprawach i koczowała w polach. Chciał ją uczyć, czy na-wet uczyć strzelać i posługiwać się granatami.

Ciotka Handrycka odwiedziła ją w Tarnowie i prosiła, by w miarę możliwości zjawiała się w Siedliszowicach, by pomóc bratowej w młocie. Miała na myśli wdowę po Tadeuszu Kosieniaku. Maria przyjechała 25 września 1942 roku. Nie przypuszczała, że mąż żyje, a tym bardziej, że ją śledzi. Niespodziewanie zobaczyła go na drabinie, schodzącego ze strychu. Zawołał: „Komm, Komm...! ja Boga chwale, żeby przeżyć wojnę!”.

Rzuciła mu się w objęcia. Był już wieczór. Obaj ze Stokłosą zabrali ją do wsi Okreg. Tużaj rolnik Kwiecień dał im litr wódki kontyngentowej, kiebasę i chleb. Przeszli w bród przez Dunajec i schowali się w wiklinie. Obok za wałem rozciągała się wieś Demblin.

Kosieniak wspominał żonie żądanie. Maria przyznała, że źle postąpiła, denuncjując go wobec policji, prosiła o przebaczenie, przyrzekając, że teraz wszędzie pójdzie za nim i już będzie lojalna. Po wspólnym wypiciu wódki udała, że zasypia. Sądząc, że Stanisław zapadł w twardy sen, zerwała się z ziemi i zaczęła uciekać. Kosieniak dogonił ją jednak i — jak to sam później opowiadał w domu swego znajomego Pietrasa — strzelił do niej z rewolwera, a następnie zmasakrował ciało ciężko rannej kobiety.

Obdukcja dostarczyła przerażającego materiału. Zbrodniarz i sadysta pociął kobiecie pierś, poderznął gardło, zadawał ciosy nożem, ciął zwłoki w pasy. Nagą rzucił na kamienie nad wodą. Działo się to w nocy. Strażnik pełniący służbę w pobliżu, słyszał jęki. W dzień znaleziono zwłoki, mizną strażacką. Trudno było rozpoznać tożsamość ofiary, choć zebrano się dookoła zwłok z 15 osób z Siedliszewic i okolicy, a była wśród obecnych dobrze znająca Marię Józefą Sachaj.

Rozpoznał zabiłą Czesław Hajdas po obrąbku sukni i charakterystycznych zachodzących na siebie palcach nóg. To właśnie Hajdas rzekł w pewnym momencie: — Widzicie Słazka? Przebrał się za starą babę, siedzi nad rowem i obserwuje nas. — Obecni na te słowa uciekli. Niemcy przywieźli trumnę i prześcierało, którym owinięto zwłoki.

Sąsiedzi tymczasem wspominali zbrodnicę bestialskiego hejzsa. Przyminali jak podpalili z czterech rogów dom teścia w Janikowicach, dalej stodołę i stajnię. Te ostatnie pomieszczenia były w jednym budynku. Wcześniej jeszcze wyniósł z domu utrzymany jako prezent ślubny obraz „Chrystus w łodzi wśród fal morskich” i powiesił go na drzewie.

Ostatecznie stodoła spłonęła, choć sąsiedzi gasili pożar. Tymczasem Kosieniak stał pod jabłonią sąsiada i z lubością obserwował, jak z gorąca pętały szyby i dachówki. Żywo omawiano liczne zbrodnie, które nagromadziły się w życiu hejzsa „Czarnych Sępów”.

Trzeba było pomyśleć o dzieciach mordercy i jego świeżej ofiarze. Zajął się nimi krewna w Mirosławicach w powiecie Mogiło.

Po tej zbrodni „Czarne Sępy” ukrywały się z kolei w gospodarstwie Kaczora, w Brzezówce pod Mędtrzechowem. Dom ten stał tuż przy wale rzeczny nad Wisłą. Jan Legieć relacjonuje: Z nowo utworzonego po-

sierunku w Siedliszowicach policja wysyłała w teren patrole, wystawiała warty i jakby przy okazji starała się dowiedzieć kto ukrywa broń itp. Do niesienia miejscowych denuncjatorów ułatwiły jej ten proceder. Józef Mika wspomina: 11 listopada 1941 r. funkcjonariusze policji z Siedliszowic konnymi podwodami przybyli do Orlinowa (Goruszów) w poszukiwaniu, jak to określili, broni i złodziei. Wtedy to ze swym szwagrem Stanisławem Lechockim młóciem cepami żyło w stodole. Do tej stodoly wkroczył Niemiec w towarzyswie policjanta granatowego Tadeusza Krasnodębskiego. Rozwścieczony hitlerowski żandarm uderzył mnie na głowę. Skutkiem tego ciosu było głębokie i rozległe wkleśnięcie w czaszce, utrata słuchu i paraliż obu nóg. Zostałem inwalidą. Niemiec bił także żonę. Wreszcie zarządził rewizję, w czasie której wszyscy solidarnie wyrzucali snopy ze stodół na podwórze.

Równocześnie odbywała się rewizja w gospodarstwie mego ojca Michała Legiecia — wspomina Jan Legieć. Policjant nadzorował wyrzucanie przez ojca, brata i mnie słomy ze stodół. Inni penetrowali dom i budynki inwentarskie. Okazało się, że w stodole były skrzynie po amunicji artyleryjskiej, łuski i siódła wojskowe.

Korzystając z nieuwagi policjanta, obaj z bratem Wojciechem, za ręką ojca, rzuciliśmy się do ucieczki. Zauważyliśmy, że z domu Miki ruszył w pościg granatowy policjant. Ja schowałem się w domu Myszaka, a brat nadal biegł. Policjant przeciął poprzecznie trasę ucieczki i pojmaną brata, wszedł z nim do izby. Na pytanie, gdzie jest drugi chłopak, gotujący obiad gospodyni odparła, że wpadł pod tóżko. Zabrał nas obu do domu Miki i przekazał Niemcowi oraz policjantom ze słowami: „Oni coś wiedzą, bo uciekali”. Tak zaczęło się połączone z biciem w twarz i okładaniem patykami śledztwo. Darujmy sobie nader przykre dla nas Polaków szczegóły, gdy idzie o postawę i zachowanie się niektórych policjantów.

Na podwórzu naszego gospodarstwa stała podwoda, którą przyjechała część policjantów. W mieszkaniu jeszcze trwało przesłuchanie naszego ojca. Policjant, który złapał nas i bił przed chwilą, pozwolił sobie na to samo wobec ojca. Jednak zakopanej w ogrodzie broni i amunicji nie znaleźli. Trafila do partyzantów, a resztę po wojnie wydobyl UB. Czekającą podwodą zawieźli nas do domu Czesaka w Siedliszowicach, gdzie mieścił się posterunek i tu zamknęli w osobnych pomieszczeniach.

Policjant, który nas wcześniej złapał, zniważając nadal cieleśnie, żądał wydania broni i ujawnienia przynależności ojca do ruchu oporu, mi-

mo że nikt tej sceny nie widział. A więc był nadgorliwy. Wiedzieliśmy, że uczestniczył w aresztowaniu Jana Podkówki, który schronił się w domu Zakrzewskiej w Orlinowie i Stanisława Piątka w Kłyzu. Lubili się popisować. Inni stali na podwórzu, a on wciągnął przez okno i porwał Piątka.

Mimo ostrych dochodzeń i ciągłego bicia także przez Niemców, prawda nie wyszła na jaw. Ojca i mnie w końcu uwolnili, ale uwięzili brata Wojciecha, który nie wrócił z Oświęcimia. Przebywający w obozie ludzie z tych stron opowiadali, że brat w czasie pracy napłł się skażonej wody i zmarł w boleściach. Wojciech zginął może dlatego, że był najstarszy spośród trzech braci, którzy jak sądzono, przewlekli te militaria znad płynącego tuż obok Dunajca. Opisana akcja była jedną z wielu. Policjant, który nas złapał i katował, z czasem sam znalazł się w podziemi. Narastanie ruchu oporu, likwidacja nadgorliwców i strach przed karą wywoływały nierzadko takie zmiany postaw. (...)

Ale jeszcze inna okoliczność sprawiła, że dom Czesaka zapisał się ponuro w historii. Oto wkrótce z niemieckiej prasy dowiedzieliśmy się, że dwaj szwagrowie Czesaka, bracia Nagórzańscy, którzy tu wyrosli, zginęli w Katyniu. Trzeba dorzucić i tę informację, że Czesław był adwokatem, a Ludwik sędzią we Lwowie.

Ciągłe obawy sprawiły jednak, że bandyci przenieśli się do wsi Jamy, do Wojciecha Idzika. Było to z końcem lata w 1942 roku.

Bandycka „sława” Kosieniaka rozeszła się szeroko. Jest psychologicznie zrozumiałe, że zaczęto obarczać go czynami innych. Na przykład Józef Kowal ze wsi Rataje za Wisłą (kieleckie) bywając u krewnych w Mędrzechowie, mówił: — Wy się tu boicie Niemców, a u nas wasz Kosieniak w biały dzień bije Niemców i jest nieuchwytny... Wydaje się, że czasem dla uniknięcia pacyfikacji, akcje ruchu oporu były celowo przypisywane bandzie Kosieniaka. Składanie całosci obrazu z różnych relacji musi więc uwzględnić i ten aspekt. Konieczny jest ostrożny krytycyzm w traktowaniu całej sprawy. Pewne jest, że banda Kosieniaka traciła grunt pod nogami. Bywało, że bandyci na noc wchodzili do czyjejsz stodół, kładi broń i spali, a odchodzili przed świtem. Zdarzało się kiedyś, że obok nieproszonych przybyszów spały młode kobiety, które rano opowiadały o tym swemu ojcu. Ten po prostu zdrętwiał...

Kiedy indziej w nieprzemakalnych płaszczach koczowali w dołach lub rowach, osłoniętych zarosłami nad brzegami Dunajca. Przeciśnięci głodem, wyszli z kryjówek i widząc przy łodzi Władysława Nowaka z Wietrznowic, prosili go o żywność.

DLA DWÓCH ZA MAŁO MIEJSCA

Przez bandę przewinęło się około 20 osób spośród — jakobyśmy powiedzieli dziś — marginesu społecznego. Szajka jednak topniała. Kosciolak zdał sobie sprawę z tego, że jego małeńki oddział jest zbyt słaby, by dalej wychodzić zwycięsko z polyczek z Niemcami i postanowił przylączyć się do silniejszej szajki. Niedługo musiał czekać na sposobność. Co raz głośniej było w powiecie o wyczynach kolejnego — jak byśmy to dziś określili gangu awanturników — Wojciecha Idzika. Był to znany w okolicy przed wojną zawadiaka — zwolniony w roku 1939 z więzienia. Tam właśnie poznali się z Kosieniakiem.

Idzik pochodził ze wsi Małec, przysiółka największej w Krakowskiem wsi — Radgoszcz. Małec jak inne wsie na tym terenie, była miejscowością biedną i zacofaną. Najprymitywniejsza część młodzieży często okradała dwory i bogatszych gospodarzy. Największymi warchołami byli bracia Idzikowie, wywołujący często krwawe bójkę. Podejrzewano ich też o kradzieże i rabunki. Władysław Idzik, młodszy brat Wojciecha, kilkakrotnie karany za przestępstwa, zmienił swe postępowanie, ożenił się we wsi Jamy i tam zamieszkał. Starszy brat, wspominany już Wojciech, w dalszym ciągu podejrzewany był o kradzieże w bogatych gospodarstwach. W końcu lat trzydziestych został skazany przez sąd na wieloletnie więzienie i osadzony w Tarnowie. Po wybuchu wojny w 1939 roku jak już wspomniano, wrócił do domu podobnie, jak wielu innych więźniów wypuszczonych z chwilą wybuchu wojny na wolność. Wkrótce jednak został aresztowany pod zarzutem posiadania broni i znowu znalazł się w tarnowskim więzieniu.

Wczesną wiosną 1942 roku do więzienia w Tarnowie dotarły wieści o planowanej wysyłce kolejnej partii więźniów do obozu w Oświęcimiu. Jednym z przeznaczonych do wysyłki był Wojciech Idzik, który zaplanował zuchwałą ucieczkę. Udając uległość jak mówił — zdobył zaufanie strażników więziennych, niektórzy z nich byli Polakami wysiedlonymi ze Śląska lub poznańskiego. Magdalena Idzik-Dubielowa, była żona Wojciecha Idzika mówi, że mąż jako więzień chodził z Niemcami do miasta do sklepów i to mu ułatwiło realizację planu. Zdobył ponoć klucze od

strażników, utworzył niektóre cele i kazał więźniom uciekać. Twierdził później z przesadą, że uciekło wtedy około 40 więźniów, a wśród nich jego znajomy Wojciech Lasota, pochodzący z rodzinnych stron Idzików. Lasota i Idzik po ucieczce z więzienia ukrywali się razem między innymi we wsi Małec, w Dulczy Wielkiej i Dulczy Małej, najczęściej jednak we wsi Jamy¹³⁾.

Zandarm Engelbert Guздеk, działający w pobliskiej Radgoszczy, zdawał sobie sprawę z tego, że zbiegli więźniowie ukryli się w pobliżu i wszczął poszukiwania. Któregoś dnia na czele policji granatowej wpadł do wsi Suchy Grunt. Tu aresztowali Franciszka Milkusa, w Małcu zatrzymali braci Wojciecha i Jana Rysiów, braci Michała i Wojciecha Szendaków. Po egzekucji Rysiów i Szendaków, Franciszek Milkus rzucił oprawcom w twarz, że oto padli niewinni ludzie. Wtedy zastrzelili i jego, a ciało zakopali w rowie koło cmentarza. Ojciec zamordowanego — Antoni przewiózł w nocy zwłoki na cmentarz w Szczucinie, za to też zginął. Za posiadanie naboju zapłacił życiem chłopiec Franciszek Żurek z Suchego Gruntu. Zginął jeszcze syn Antoniego Stanisław i Wojciech Zarowiak w Mędzechowie, najpierw skatowani, a potem zastrzeleni.

Prawdopodobnie za sprawą zandarma Engelberta Guzdeka policja z Wadowic Górnych (w ówczesnym powiecie mieleckim) aresztowała Pawła Grzecha z Jam, który będąc w czasie pierwszej wojny światowej, w niewoli rosyjskiej związał się ruchem robotniczym i po powrocie z wojny propagował ideologię socjalizmu. Grzech więziony do więzienia zeszkoczył z wozu i rzucił się do ucieczki. Policjanci chcąc, by udała się ucieczka, strzelali tylko dla pozorów tak, że Grzech zbiegł. Przypłynął się wkrótce do Idzika. Po dwóch miesiącach wrócił jednak do domu, ponieważ dowiedział się, że policja nie poszukuje go.

Na początku sierpnia 1942 roku Wojciech Idzik ze swym dobrym znajomym Julianem Muchą przybył do sklepu w Jamach, którego właścicielem był Wojciech Puła. Dwudziestoletni wtedy Mucha, mieszkaniec Jam krył się przed powołaniem do służby w „Baudienście”. Skądinąd podejrzewany był o kradzieże kur i królików. Idzik i Mucha kazali sobie podać większą ilość papierosów, za które zapłacili za mało, gdyż nie mieli odpowiedniej gotówki. Puła zgłosił o tym nazajutrz na posterunku policji w Wadowicach Górnych. Policja zainteresowała się sprawą. Wieczorem 28 sierpnia Guздеk obstał dom i zabudowania gospodarze Puły policją granatową, aby ująć Idzika. Obława nie udała się, poszukiwanego nie było.

Guzdek wiedział, że we wsi ukrywają się Żydzi, którzy nie postuchali zarządzenia o przeniesieniu się do getta w Dąbrowie Tarnowskiej. Po opuszczeniu domu Puły, Guzdek udał się na drogę, rozgraniczającą wieś Jamy od wsi Matec, do gospodarstwa Jana Gmyra, gdzie ukrywały się dwie siostry Żydówki z rodziny Amsterdamsów, Dąbka i Szajówna.

Ktoś widocznie doniósł o tym Guzdkowi. Policjanci otoczyli dom. Żydówki zauważyły policjantów. Chcąc się ratować, wyszły do sieni do mu, gdzie były ręczne żarna i zaczęły mleć zboże, aby uchodzić za domowników. Guzdek rozpoznał je jednak, wyprowadził za dom i rozstrzelał.

Niedaleko wsi akurat przebywał Idzik i dowiedział się, że Guzdek jest tam z policją. Kiedy żandarm wracał z policjantami na koniach w stronę Radgoszczy, Idzik otworzył do nich ogień z karabinu ręcznego. Zaczęli w panice uciekać i schronili się do opuszczonego, pożądowskiego domu Amsterdamsów. Rano rozważający Guzdek pojechał do wsi Czarkówka, położonej w gminie Radgoszcz, gdzie mieszkała siostra Idzika Honorata Sojkowa i zabrał ją z domu z córkami Zofią i Julią. Więcej nie wrócił.

We wrześniu 1942 roku do wsi Jamy przyjechały niemieckie furmanki konwojowane przez policję, by zabrać od chłopów zboże. Idzik, zawiedziony o tym przez chłopów, stanął na drodze obok kościoła z bronią w ręku i krzyczał, że nie pozwoli zabrać chłopom ani jednego ziarnka zboża. Niemcy odjechali z pustymi wozami. O zająciu w Jamach policja zgłosiła żandarmerii niemieckiej w Mielcu. Odtąd zaczęło Jamom zagrażać niebezpieczeństwo, ale Idzika uznano za bohatera. Wieść o tym zdarzeniu rozeszła się po wsiach lotem błyskawicy.

O Idziku uszysszeli ukrywający się Stanisław Kosieniak i Ludwik Stoklosa. Przybyli oni do Jam i poprosili Władysława Idzika, brata Wojciecha o skontaktowanie ich z jego — jak byśmy to dziś określili — coraz słynniejszym gangiem.

Wojciech Idzik nie miał zamiaru napadać na mieszkańców okolicznych wsi, chciał im nieść pomoc w trudnych czasach niemieckiej okupacji i dlatego długo zastanawiał się, czy przyjąć do swej kompanii Kosieniaka i Stoklosę, o których ponurej działalności słyszał bardzo wiele złego. Po namyśle przyjął ich do siebie pod warunkiem, że wytrzymają się złodziejskiego i rabunkowego, a włączą się czynnie do walki z Niemcami. Kosieniak i Stoklosa przyrzekli posłuszeństwo.

Na początku września 1942 roku odbyło się wesele Jana Fedora we wsi Matec. Był tu Guzdek z policjantami jako zaproszeni goście. Guzdek

każąc wszystkim tańczyć, nawet chłopom po siedemdziesiące w drewnianych butach. Był następnie Józef Fedor z Zabarnia. Słyszeli wiele złego o Guzdku, więc poszedł sobie do domu, ale z odległości 300 m zaczął uciekać. Guzdek strzelał za nim.

W listopadzie 1942 roku odbywało się wesele siostrzeńca żony Idzika. Pan młody miał dwadzieścia lat, przez kilka lat służył jako parobek u swej ciotki i prowadził gospodarstwo Wojciecha Idzika. Nazywał się Bronisław Sołowski. Chłopak żenił się w sąsiedniej wsi Izbiska. Idzik życzył sobie, aby na weselu przygrywała dobra orkiestra ludowa, prowadzona przez niejakiego Piotra Walasa. Walas nie wyraził jednak na to zgody, gdyż był na liście osób, które Niemcy zamierzali wywieść do obozu. Jego żona już tam została wywieziona. Idzik dowiedział się, że Walas nie chce grać i surowo nakazał mu przysiąc, gdyż chciał potańczyć przy dobrej muzyce. W końcu pomimo obaw Walas przybył ze swym zespołem.

Wesele skończyło się po północy i zespół przygotowywał się do snu, gdy nagle wpadła żandarmeria niemiecka z Mielca, aresztowała Walasa i resztę członków jego zespołu. Żandarmi zabrali Walasa do drugiego pokoju, bili okrutnie chcąc, by przyznał się do posiadania broni. Aresztowali Walasa i kłanę się Słę Władysława, a resztę zespołu zwolnili. Walas nie powrócił już nigdy. Z czasem okazało się, że ktoś władcom niemieckim doniósł, że Walas grał Wojciechowi Idzikowi na imieninach „Jeszcze Polska nie zginęła”. W donosie pisano też o broni, którą rzekomo miał Walas posiadać.

Donos był fałszywy. Nie wiadomo kto i za co oskarżył znanego z uczciwości ale i ostrożności człowieka. Sprawa wywołała przerażenie w okolicy. Niektórzy chłopci obawiając się podobnego losu zamierzali dobrowolnie pójść pod komendę Idzika. Sam Idzik nie wziął udziału w nieszczęsnym weselu. Okazało się, że uczyli przeczornie, gdyż Niemcy długo czekali w polu na jego przybycie.

W drugim dniu pobytu Kosieniaka i Stoklosy w szajce Idzika, w lesie koło Dulczy Małej wszyscy przeżyli chwilę grozy. O to około 35 Żydów uciekło z Radomyśla Wielkiego i w nocy przybyło do tego lasu. Guzdek dowiedział się o tym, ale do dziś nie wiadomo, czy od leśniczego Jana Fijała, czy od kogoś innego. Pewne wyjaśnienie tej sprawy można znaleźć w książce „Dzieci oskarżają”. Na jej kartkach umieszczono wypowiedź czternastoletniego Żyda, Amsterdama Jochannan z Matka, który powiedział: „Z powodu okropnych warunków w getcie część Ży-

dów uciekła do lasu. Pewien Polak, leśniczy, widząc ich w lesie, zgłosił o tym policji, a ta ujęła zbiegów, skatowała i na koniec wystrzelała. W odwet za to kilku ukrywających się Polaków zabiło leśniczego.”

Zemsty dokonali Idzik ze swymi kompanami. W skład tego dobrane-go towarzystwa wchodził: Idzik — mężczyzna tegawy, średniego wzrostu, szatyn o ponurej twarzy i niebieskich oczach; Mucha — bardzo niski, tegi, ciemny szatyn; Kosieniak — średniego wzrostu, blondyn o jasnej cerze, stojących uszach, człowiek wyjątkowo sprytny; Stokłosa — niski, niebieskooki, szatyn o pulchnej twarzy, spłaszczonym nosem i Lasota — tegawy, niski, ciemny szatyn o drobnej twarzy i ponurych oczach.

Wszyscy oni chodzili na wspólne wypadki, ale po pewnym czasie Kosieniak zaczął sam wyruszać do Jam i po okolicy rozszedł się wieści o dokonywanych przez niego gwałtach. Chłopi z Jam donieśli o tym Idzikowi, informując go również, że Niemcy w odwecie za jego działalność zamierzają spalić Jamy. Idzik surowo zagroził Kosieniakowi, że w razie dalszego dokonywania przez niego przestępstw, usunie go z oddziału.

Policja coraz baczniej śledziła szajkę, zaniepokojona jej szybkim rozrastaniem się. Pewnego dnia policjanci zatrzymali się u sołtysa we wsi Jamy. Wtem wdarli się ludzie Idzika, a Kosieniak krzyknął: „Rece do gór!” Policjanci poddali się bez walki. Rozbrojono wtedy pięciu policjantów z Wadowic Górnych. Otrzymali oni wprawdzie z powrotem broń, ale amunicję im zabrano. Musieli tańczyć przy dźwiękach harmonijki ustnej.

Julian Mucha, który do grupy przystał pod koniec października 1942 roku, nie od razu chodził z bronią i nie we wszystkich wypadach brał udział, ale ponieważ policja zaczęła go poszukiwać, pozostał w szajce na stałe.

We wsi Jamy policja, z inspiracji Guzdeka, starała się pozyskać agentów, którzy by dostarczali informacji między innymi o nielegalnie posiadanej broni. Również w Radgoszczy Guzdek zorganizował siatkę konfidentów. Próbował sporządzić listę osób współpracujących z Idzikiem. Na listę tę w pierwszej kolejności wpisał jego krewnych i znajomych w Matcu. W sporządzaniu listy współdziałał z posterunkami policji. Powziął decyzję zlikwidowania dowódcy bandy i jego najbliższych.

Nic też dziwnego, że Guzdek poczyniłszy niezbędne przygotowania, przystąpił do akcji zakończonej wystrzeleniem rodziny Idzika do Oświęciz.

mia. Dodajmy, że w Matcu mieszkali dwaj bracia Idzika i cztery jego siostry.

7 listopada 1942 roku, wcześniej rano rozległy się strzały karabinowe we wsi Matec i Jamy. Okrążone zostały domy rodziny Idzika. Niemcy z Dąbrowy Tarnowskiej i Mieła przystąpili do obławy¹⁴⁾.

Podczas tej akcji zabrali Niemcy za wsi Matec 15, a z Jamy 16 osób. Aresztowali wielu członków rodziny Idzika i Muchy, a także tych, których podejrzewano o niesienie im pomocy. Wystarczyło sprzedać chleb, wódkę czy stoninę, by zostać uznany za współpracującego z bandą.

Aresztowano też ludzi pomagających Żydom, a także podejrzanych o działalność polityczną. W czasie akcji zandarmi spalili wiele domów, strzelali do psów, rabowali drób. Zginął chłopiec Mieczysław Szelowski, który wybiegł przed dom. Ludzie uciekali różnymi drogami, np. sąsiad aresztowanego działacza ludowego Aleksandra Dorozę, Jan Kulpa, ostrzeliwany przez Guzdeka, uszedł głębokim rowem. Był trafiony, a Magdalena Pietras, która właśnie piekła chleb, zalepiła mu ranę ciastem. Po latach zmarł z pociskiem, tkwiącym w nodze.

Aresztowano wielu; wielu też uniknęło złapania. Uciekali Władysław Kusiak i Apolonia Puła. Żona Jana Kulpy urodziła wówczas syna, któremu przekornie na pamiątkę zdarzeń z Guzdkiem dano imię Gustaw. Aresztowali Kazimierza Idzika, brata Wojciecha, ale w końcu pozostawili w domu jego żonę, gdy ją otoczyło sześćoro dzieci i narobiło wrzasku. Jedno z nich miało na rękach.

Aresztowani w tej obławie musieli położyć się na ziemi z rękami wyciągniętymi do przodu. Potem zostali załadowani na samochody i przewiezieni na gestapo w Tarnowie. Krewni usiłowali dostarczyć im żywność. W tym celu wyjechali — Jan Bartyzel ze wsi Matec do swojej żony, Władysława Puła z Woli Wadowskiej do ojca, matki i dwu siostr. Franciszek Szeliga też z Woli Wadowskiej oraz Wojciech Pietras.

Zostali jednak zatrzymani przez gestapo. Jedynie Jan Bartyzel był ostryżny, gdyż nie wszedł od razu do budynku gestapo, tylko z daleka obserwował, czy tamci powrócą. Po kilku godzinach zrozumiął, że wszystkich zatrzymano. Szeligę i Pułę dołączono do aresztowanych i wysłano do Oświęcimia.

W kilka dni po wywiezieniu ludzi z Matka i Jam do obozu koncentracyjnego Idzik wyszedł, kto sporządził dla gestapo listę ofiar. W nocy przyszedł ze zbrojną obstawą do domu i zaczął go szukać. Nie znalazł jednak i chciał opuścić mieszkanie z niczym, ale sprytny Kosieniak po-

patrzył za piec i wyciągnął stamtąd przerażonego Wincentego G. W obronie ojca stanęły jego dwie córki i ulubiony pies gospodarza. Szamotanie i krzyki trwały chwilę, ale w końcu Kosieniak wyprowadził ujętego na podwórze i tu zastrzelił go z bronią. Zdarzenie to miało miejsce 22 listopada 1942 roku.

Tymczasem Guzdek usilnie pracował nad zlikwidowaniem watahy. W Matcu w szkole powszechnej, znajdujące się bardzo blisko domu rodziny Idzików, uczył nauczyciel Anastazy Banaś, zakochany w pannie Janinie Pułc, siostrzenicy Wojciecha Idzika. Całą rodzinę Pułów wraz z Janiną wywieziono do Oświęcimia. Banaś rozpaczał po stracie nauczyciela. Obiecał Banasiowi, że jeśli ten zabije Idzika, uwolni Janinę z obozu.

Po tej rozmowie Banaś porzucił pracę w szkole i przyłączył się do kompanów Idzika. Był wciąż zamysłony i zrozpaczony; ludzie uważali, że jest obłąkany z desperacji. Zdarzyło się, że szajka Idzika wybrała się na wesele Magdaleny Właszek, pochodzącej z Woli Wadowskiej z Banaśiem. Przybyli bez zaproszenia, którego Idzik nie otrzymał, mimo że jego żona była krewną pana młodego. O ten brak zaproszenia Idzik miał wielką pretensję do ojca Banasia.

Banda liczyła 6 mężczyzn i włączyła się do śpiewów oraz tańców. Zachowanie Idzika i jego kompanów nie budziło zaufania wśród obecnych. Goście weselni jeden po drugim uciekali. Na sali brzmiała doraźnie zaimprovizowana piosenka.

A kto tu tańczy?
Sikorskiego dzieci.
Kto nas zaczepi,
Kominem wyleci!

Po godzinie z pięciu muzykantów pozostał tylko jeden. To rozszedło porwecznego Idzika. Porozbił kółką naczynia kuchenne. Nie dość tego! Po wyjściu z podwórza strzelał w stronę domu weselnego. Znalazła się na miejscu policja i spisano protokół.

Po kilku dniach cała szajka zakwaterowała się w domu stojącym na granicy Jam i Matca. Wszyscy udali się na spoczynek. Idzik, Mucha i Kosieniak spali w mieszkaniu, Banaś i Stokłosa na strychu. W nocy Banaś wstał, zabrał karabin Stokłosa i trzymając broń za lufę, dwa razy sil-

nie uderzył Stokłosę w głowę, jednakże nie zabił śpiącego. Prawdopodobnie Banaś zamierzał Stokłosa zabrać sześciostopkowy rewolwer, wpaść do mieszkania i wszystkich powysztrekać. Stokłosa podniósł alarm. Zbiegli się na jego krzyk wszyscy i dołączyli do wrzasku Banasia, sędził jednak, że czynu tego dopuścił się w szoku nerwowym i dał mu spokój, a Idzik kazał mu iść precz.

Kiedy zregimentowany Banaś zaczął się oddalać, Kosieniak nagle domyślił się, że Stokłosa został zaatakowany z całą świadomością przez Banasia, któremu po prostu nie udało się zamian podstępny wymordowania wszystkich.

Gwizdnięciem przywołał Banasia z powrotem. Zabrali go do pobliskiego lasu w Dulczy Małej i tu kazali wykopać grób. Kosieniak opowiadał potem, że Banaś został lufami pistoletów załuczony na śmierć i pochowany w pozycji siedzącej.

Na drugi dzień ciekawi przychodzili pod świeżą mogiłę bez krzyża i rozpowiadali o tragedii — jaką ona kryje. Te ponure opowiadania, częściowo oparte na domysłach, zniekształcały prawdę dopóty, dopóki nie rozpowszechniła się wersja podana przez Idzika. On to mówił napotkanym znajomym o podstępnej taktyce żandarma, który nasiał provokatora i zdrając.

Niemcy jeszcze przed akcją w Matcu i Jamach wyznaczyli zakładników odpowiedzialnych za schwywanie Wojciecha Idzika. Ten nie bał się zakładników, gdyż wiedział, że tych ludzi wyznaczono wbrew ich woli. Ale w końcu doszło do tego, że zakładnicy sami zaczęli czynić starania, aby zlikwidować szajkę. Zaplanowali więc, by najpierw oddać w ręce policji młodszego brata Wojciecha, Władysława, którego reszta rodziny przebywała już w obozie oświęcimskim. A wiadomości stamtąd dosłownie mroziły krew w żyłach¹⁵⁾.

Władysław spoykkał się od czasu do czasu ze swym bratem. Nie przyłączył się jednak do jego kompanii, był człowiekiem spokojnym, przykładnym gospodarzem. Niektórzy wiedzieli, że lubił sobie popijać w czasie spotkań z leśnymi. Kiedy prawie całą rodzinę Idzika Niemcy wywieźli, Władysław został samotny z trójgiem dzieci; z ich powodu choćby nie mógł się przyłączyć do gangu brata. We własnym domu jednak nie sypiał.

Guzdek wszakże skutecznie sterroryzował całą okolicę. O ohydnych mordach, których się dopuścił, opowiadano szeroko. Zakładnicy, coraz bardziej naciskani przez Guzdkę, bali się o siebie. Postanowili dostar-

czyć Guzdkowi Władysława Idzika. 12 grudnia 1942 roku poczęstowali go wódką, jak mówili niektórzy, lekko zatrują. Jeden z uczestników ponurej libacji Walenty P. z Jam, widząc, że Władysław upił się, pojechał konno na posterunek w Radgoszcu, aby powiadomić, że Idzik leży pijany w domu swych wywiezionych do Oświęcimia teściów. Doniósł też, że Idzikowi pomagają piętnastoletnia córka i dwiętnastoletni syn Grzanków.

Guzdek zarządził alarm i pojechał do domu Grzanków do Jam. Tu rozkazał policji otoczyć dom, a sam z pistoletem wszedł do środka. W tym czasie ktoś zdążył obudzić Władysława i uprzedził go o zbliżaniu się Niemców. Próbował po drabinie dostać się na strych, ale było już za późno. Guzdek, który akurat wszedł, zobaczył go. Bał się jednak wejść za nim na strych, więc zawołał na pomoc policję i kilku chłopców z sąsiedztwa. Wśród ludzi, którzy mieli Idzika ściągnąć ze strychu, znalazł się ksiądz Józef Głodzik. Chłopi i ksiądz musieli na rozkaz Guzka wejść na strych. Udawali, że szukają Idzika w sianie, a tymczasem ksiądz wyspowiadał go. Guzdek rozkazał wtedy ludziom zrzucać ze strychu siano. Gdy ksiądz skończył spowiedź, owineł Idzika w siano i zrzucił na dół, mając nadzieję, że może Guzdek nie zauważy go, ale niestety, podstęp się nie udał. Idzik, zauważony przez żandarmu uciekł do kuchni pod łóżko, potem wpadł z powrotem do sieni, stąd skoczył na podwórze i pobiegł w pole. Guzdek zabił go celnym strzałem. Tego samego dnia ciało Władysława Idzika zostało pochowane bez trumny na cmentarzu.

Wielka boleść — więcej — prawdziwa rozpacz ogarnęła Wojciecha Idzika po śmierci brata. Wiedział, że zginął, ponieważ wydali go zakładnicy, wyznaczeni przez Guzdkę. Następnego dnia podczas pobytu w lasach koło wsi Dulcza Wielka i Dulcza Mała, podburzony przez Kosieniaka, powołał samozwańczy sąd złożony z członków bandy. Sąd ten wydał wyrok śmierci na zakładników, ale tylko na tych, którzy bezpośrednio mieli schwytać Władysława.

Wojciech Idzik, rozalany i wściekły, gdy zapadł zmrok, wyruszył z lasu i pospisywał w stronę wsi. Tuż przy domach jego kompania spotkała furmankę z Dulczy Matej, na której jeden z mieszkańców Radomyśla przewoził nielegalnie zakupioną swinię. Idzik skierował na jadącego światło latarki, Radomyślanin krzyknął „Zgaś, bucu!” a wtedy któryś z zaczajonych strzelił, zabijając go na miejscu. Poszli dalej i pociskami zapalającymi podpalili stodołę. Następnie wpadli do domu sołtysa Piotra Sypka. Weszli do pokoju, gdzie akurat sołtys siedział przy stole, roz-

mawiając z zięciem i kilkoma sąsiadami. Przez otwarte na oścież drzwi wkroczył Idzik i zapytał, czy sołtys wie ze Władka nie żyje. Sołtys odparł, że wie. Kiedy to powiedział padły dwa strzały wymierzone przez Kosieniaka i Stokłosę. Sołtys padł martwy.

Następnie napastnicy opuścili dom sołtysa, a wtedy jeden ze świadków tragedii, Antoni Głodzik, wybiegł na wieś i powiadomił księdza Józefa Głodzika, swego brata, który był zakładnikiem. Następnie biegnąc przez wieś, zawiadomił o zajściu kilku gospodarzy z Jam.

Franciszek Tomala, który już dowiedział się od kogoś, że Idzik morduje zakładników, uciekł do stawu w sadzie swego domu i tu ukrył się w wodzie, siedząc w niej zanurzony po szyję.

Chłopi z całej wsi uciekali, ostrzegając jeden drugiego o niebezpieczeństwie. Ksiądz Głodzik, zaalarmowany przez brata, zerwał się z łóżka i boso uciekł z plebanii do pobliskiej wsi, Woli Wadowskiej, gdzie u gospodarza Józefa Chudego przeczeekał bezpiecznie całą noc. Rano dostarczono księdzu ubrania, sułanę i buty, po czym uciekł on do sąsiedniej parafii Wadowice Dolne.

Od sołtysa bandyci podążyli przez wieś w kierunku zachodnim. Wyszli do domu Marcina Siembaba i poprosili gospodarza, by poprowadził ich do tych zakładników, którzy mieli schwytać Wojciecha Idzika. Staruszek Siembab nie wiedział z kim ma do czynienia. Sądząc, że to policja w cywilu, zaczął mówić, że „Niemcy, którzy dziś rano zabili jednego Idzika, powinni zabić i drugiego, który ukrywa się w lesie”. Zginął, zastrzelony na miejscu.

Idąc dalej, wstępowali do kolejnych domów, ale nikogo w nich nie zastali, bo ludzie zdążyli uciec. Wreszcie spotkali dwóch chłopów wracających z kościoła i zapytali ich, czy są zakładnikami, którzy wyznaczeni zostali do schwywania Wojdźcicha Idzika. Zapytani nie widzieli, kto ich zatrzymał, przypuszczali, że to Guzdek z Niemcami, więc pełni obawy odpowiedzieli, że zakładnikami są obaj, mimo że żaden z nich zakładnikiem nie był. Byli to Józef Maciejak i Michał Szeliga.

Zostali przez Idzika zastrzeżeni. Jest to jeden z wielu przykładów świadczących jak na włosku wisiato wtedy życie ludzkie i od jak absurdalnych okoliczności zależało.

Wataha opryszków weszła do domu, w którym Guzdek zabił Władysława Idzika. W mieszkaniu znajdowało się troje osieroconych dzieci, którymi opiekował się grabarz — Michał Kokoszka. Ponieważ wygadywał sporo złego na bandytów został też zastrzelony. Stąd poszli na pleba-

nię, ale księdza już nie zastali. Z plebani udali się na cmentarz i oddali sobie honorową nad grobem Władysława. Następnie ukryli się w pobliskim lesie Jamy. W czasie akcji zabili pięć osób. Ubrojona watacha zbrojeczka wędrowała po lasach, manifestacyjnie okazując lekceważenie Niemcom i Guzikowi.

Ukrywali się w lasach, w bunkrach, często razem z Żydami. Tu, gdzie przebywał Idzik, panował względny spokój. Szajka płaciła za żywność i opierunek. Idzik nie chciał słyszeć o rabunkach. Zresztą nie było tu gospodarzy zamożnych. Inaczej natomiast traktował sołtysów, bądź co bądź wykonawców woli okupanta.

Zdarzyło się na przykład w wigilię Bożego Narodzenia 1942 roku w Woli Wadowskiej, że ludzie Idzika zabrali sołtysowi Janowi Spyrze czterdzieści litrów wódki; była ona przeznaczona dla rolników, którzy wywiązali się z kontyngentów. Z kolei sąsiadowi Spiry, Bronisławowi Koziołowi skonfiskowali beczkę piwa, kazali mu nieść ją na barkach aż do lasu i śpiewać przy tym koledy.

Z kolei ludzie z szajki Idzika opuścili las w Dulczy Wielkiej i dotarli do sołtysa tejże wsi Franciszka Piąka. Zażądali pieniędzy i pobili sołtysa. Zmaltretowany na trzeci dzień zmarł. Opuszczając dom sołtysa, rozpoznał strzelaninę. W sąsiednim budynku zginęła trafiona przez ścianę dziewczynka nazwiskiem Gancarz. Przed odejściem w domu sołtysa zgwałcili nauczycielkę. Idzik miał o to pretekst do Kosieniaka. Sam w tym podobno nie uczestniczył. Potem wybrali się aż pod Stopniec, gdzie obrabowali dwór, zarządzany przez Niemca. Wrócili przebrani w inną odzież.

Mimo tych wszystkich zbrodni i okrucieństw Idzik pozostawił po sobie legendę swoistego Janosika. Oto przykład. Władysław M., mieszkający w Porbach (gmina Radgoszcz) był starym i zamożnym kawalerem; jemu to przydzielono rodzinę wysiedloną ze Wschodu, małżeństwo z małym dzieckiem. Ojciec rodziny pracował w Tarnowie, przyjeżdżał jedynie na niedzielę. Dowiedział się, że gospodarz nawiązał z jego żoną romans i oboje ponoć przygotowali na niego zamach. Władysław M. udał się na spotkanie z Idzikiem z propozycją zamordowania męża wysiedlonej. Za zabójstwo chciał zapłacić pieniędzmi, uzyskanymi ze sprzedaży konia.

Idzik cierpliwie wysłuchał, po czym solidnym kijem pobit projektodawcę wołając: „Tyle jest dziwek, a ty za jeden tyłek chcesz go zamordo-

wać?” Chłop nie mógł wrócić o własnych siłach, został odwieziony do domu wyznaczoną podwodą.

W styczniu 1943 roku Niemcy zorganizowali zbrojną akcję przeciwko bandzie Idzika. W przekonaniu, że wieś Jamy nie ma z nim kontaktu, wpadli na chytry pomysł, by ubroić chłopów. Dowództwo całej operacji umieściło w stojącym pośrodku wsi domu Pawła Grzechy. Chłopi, na polecenie Niemców usiłowali wysłedzić Idzika i jego kompanów. Uwierzyli Niemcom, że wszyscy zginą, jeśli nie będą się bronić przed groźnym gangiem.

5 stycznia 1943 roku młody chłopak z Jam spotkał powinowatego Muchy i dowiedział się o planach oraz miejscu zakwaterowania bandy. O ubrojeniu chłopów i planowanej zasadzce nie powiedział jednak ani słowa.

Chłopi postanowili sprowokować szajkę do akcji. Idzik i jego kompani od pamiętnego grudnia 1942 roku nie pokazali się we wsi. Wraz z polią urządzono, że trzeba w gospodarstwie Idzika uporządkować kradzież świnii, ale ten nie zareagował. W końcu podpalili zabudowania gospodarstwa, w którym mieszkała jego żona, dwie córki i teściowa.

Ogień wybuchł nocą. Domownicy spali, dopiero sąsiad na widok ognia przybiegł i obudził wszystkich. Ale Idzik nawet po spaleniu domu nie przyszedł do Jam sądząc, że dom mogli podpalić Niemcy.

W końcu żandarmi aresztowali ulubionego kolegę Idzika, dwudziestoletniego Jana Bochańca w domu narzeczonej w Woli Wadowskiej. Prowadzili pojmanego w stronę Mielca, nad potokiem Jamnica pobili okrutnie i na koniec zastrzelili. Na drugi dzień zwłoki Jana Bochańca przewieziono do wsi Jamy. Trupa powieszono na przydrożnej akacji z tabliczką na piersi głoszącą, że „kto będzie pomagał Idzikowi, będzie tak wisiał”. Przez kilka dni nikt nie zabrał zamordowanego. Strach ogarnął całą okolicę.

Idzik obserwował wieś, zrozumiął, że śmierć Bochańca i spalenie domu rodzinnego to robota chłopów z Jam. 21 stycznia 1943 roku na miejscu, gdzie zginął Bochaniec i na cmentarzu oddał wraz z towarzyszami kilka salw. Nie wiedział, że na wiejskich drogach stały warty. Policja granatowa, Niemcy z Czermina i grupa chłopów jamskich usłyszeli strzał. Wysłano jednego z chłopów, aby poszedł do przysiółka Bór i tu śledził z ukrycia, dokąd pójdzie Idzikowa kompania.

Wyznaczony chłop nazywał się Jan Grzanka, jego siostra była żoną Władysława Idzika. Rodzeństwo i rodzice Grzanki zostali już wysłani do

oboju oświećmieńskiego, przeto ten chciał się przysłużyć Niemcom w obawie o własną skórę. Wystąpił, trzymając się w bezpiecznej odległości podstępnie rozmowę ludzi Idzika, poznał trasę ich marszu, poinformował chłopów i policjantów, że „leśni” idą w kierunku Jam. Kierownictwo oblawy szybko ustaliło linię ogniową w odległości trzystu metrów na wschód od kościoła.

Po prawej stronie w odległości 70 – 80 metrów od drogi były zabudowania wsi. Dalsze zabudowania, z lewej strony znajdowały się bardzo blisko drogi, niektóre nawet w odległości 10 metrów od rowu. Tu było dobre miejsce do zasadzki. Liczba żandarmerów i pomagającym im chłopów oceniana jest na około 40 osób.

Po pewnym czasie banda Idzika wyszła z lasu na drogę, prowadzącą w kierunku kościoła w Jamach. Wstąpili do Walentego P., gdyż Idzik wyszedł, iż to on właśnie nastąpił żandarmu Guzka na brata Władysława. Jednakże Walenty P. od pamiętnego 12 grudnia 1942 roku nie mieszkał u siebie, ale wraz z całym dobrytkiem przeniósł się do leśców, spodziewając się zemsty. Podobnie jak Walenty P. postąpiło wielu gospodarzy, którzy opuścili swe położone na skraju wsi domy i przenieśli się do centrum. Wszyscy byli uzbrojeni. Szajka, nie zastawszy Walentego P., podpaliła zabudowania i idąc dalej, wstąpiła do domu soltysa Franciszka Doroża. Nie wiadomo na pewno jaką urażę żywił Idzik do niego, Ludzie mówili, że poszło o krowę szela szajki, którą to Doroż przetrząsnął na konyngent.

W mieszczeniu soltysa Kosieniaka posturzelł Doroż w ramię, a potem strzelał w szczególnie wrażliwe na ból miejsca na jego ciele, chcąc jak najdłużej męczyć ofiarę.

Podpalono siano na strychu; spłonął cały dobrytek. Dorożowa zdolała wyciągnąć zwłoki męża na podwórze. Kosieniak chciał spalić wszystkie zagrody po kolei, ale Idzik pohamował go tłumacząc, że nie wszyscy mieszkający wsi są winni.

Zbojecki oddział poszedł dalej.

Czajujący w zasadzce dopuścili ludzi Idzika na odległość pięćdziesięciu metrów i dopiero wtedy otworzyli ogień z cekaemu i karabinów ręcznych. Kosieniakowi kula przeszła płuco, zatrzymała się tuż pod skórą. Grupa odpowiedziała ogniem, walka trwała około pół godziny. „Leśni” zabrali ранnego Kosieniaka, wycofali się na zachód w kierunku kościoła i wrócili do lasu w Jamach.

Wtedy odłączył się od nich jeden z członków szajki, Wojciech Lasota. Kosieniaka z przestrzelonym płucem przyprowadzono do mieszkania Jakuba Pury, którego dom stał na uboczu. Kazali Purę zaprzęgać konie, owinęli słomą koła wozu, by nie było słychać ich stukotu po zamarniej tej ziemi. Synowi Pury Filipowi polecieli odwiedzić ранnego do lasu. Idzik sprowadził znachora, który opatrzył ranę Kosieniaka.

Właściwie do dziś nie bardzo wiadomo, czy ранny przebywał jakiś czas w lesie, czy od razu został odwieszony do któregoś z wiejskich domów, najprawdopodobniej do domu Józefa Bartyzela ze wsi Małec. Dziś nikt nie chce się przyznać, że przechowywał u siebie ранnego bandytę.

Tragiczny był los Wojciecha Lasoty, który po tej akcji opuścił townarzystwo. Żandarmi zdolali wykryć miejsce jego ukrycia już nazajutrz. Przebywał we wsi Jamy Małe, w domu narzeczonej. Niemcy okrążyli dom, Lasota był akuraty na strychu. Policjanci dojrzel go, rozkazali zejść na podwórze. Sprowadzili także dziewczynę, obojgu polecieli wykopać grób. Potem oboje musieli uklęknąć i zostali zabici serią z ckm-u.

Jamy i sąsiednie wsi — Małec oraz Dulcza Mała były sierroryzowane. „Leśni” chcieli czasem u kogoś spocząć, zjeść ciepłą strawę, wyprać bieliznę, ale ludzie bali się przetrzymywać ich u siebie, udzielać jakiegokolwiek pomocy. Przeciwnie Guzdek i wyznaczeni przez niego zakładnicy śledzili bacznie, co dzieje się w okolicy, a za udzielenie leśnym pomocy groziła kara śmierci lub obóz koncentracyny.

Jeśli przebywali u kogoś dłużej, sąsiedzi donosili policji. Szajka Idzika została izolowana, przyjmowano ją niechętnie, z lękiem i obawą, tym bardziej, że gestapowcy i policja nasilali represje. W tydzień po walce w Jamach żandarmi wraz z uzbrojonymi chłopami, wyruszyli do Woli Wadowskiej i wstąpili do gospodarstwa Piotra Pietrasa, na którego wpytnął donos.

Przeprowadzono rewizję, zabrano dwieście kilogramów pszenicy i sto kilogramów żyta, matiore, a jeden z chłopów Paweł G. przywłaszczzył sobie pas do kierału. Nieludsko zbito wówczas dwunastoletnią córkę Pietrasów, chcąc się dowiedzieć, czy leżał u nich ранny Kosieniak. Mała otrzymała trzydzieści razy w pośladek, ale nie pisała ani słowa. Po rewizji poleciono Pietrasowi odwiedzić rzeczy do Jam. Jego żona i syn wcześniej zdolali uciec z domu.

Nazajutrz, wcześniej rano, policja i chłopci przybyli do Małca. Jadąc do wsi wstąpili po drodze do domu Jana Muchy. Policjanci zblili straszliwie chłopca i na powrozach ciągnęli w stronę lasu grożąc, że powieszą go

na drzewie. Potem poszli do Jana Dziuby, gdyż do tego domu matka Idzika, Janina Idzikowa przyniosła jakieś drobne, kuchenne sprząty na przechowanie. Zabrali wszystko, a starszka Dziubę pobili tak okrutnie, że zmarł po kilku godzinach.

Następnie wargnęli do kolejnego domu, bo ktoś doniósł, że przebywa tam siostra członka szajki Juliana Muchy — Anna. Zastali ją w mieszkaniu i pobili, to samo spotkało jej męża i domowników. Zabrali dobytek, załadowali na wóz i kazali kobiecie za nim iść. Powiązana powozami musiała trzymać w ustach ogon krowy. Anna została odesłana na roboty do Niemiec, gdzie po sześciu miesiącach zmarła z powodu odniesionych ran w czasie pobicia. Tak Niemcy przy wydanej pomocy chłopów niszczyli rodziny członków szajki. Tymczasem w łonie samej zbrojeckiej kompanii następował coraz głębszy rozłam. Jej szef nie mógł dłużej tolerować coraz zuchwalszego postępowania wyleczonego już z ran Kosieniaka i akceptować jego bestialskich poczynań. Kosieniak natomiast słowo dane przy przyjmowaniu do gangu, że nie będzie krzywdził okolicznej ludności, dokonywał wypadków na własną rękę. Na przykład w Jamach uśmiercał żonę czy córkę gospodarza.

Zdarzył się też wyjątkowo drastyczny wypadek zbrodnicy samowoli awanturników. Oto jesienią 1942 roku w Dulcy rozpędzili oni wesele, a pannę młodą zgwałcili. Stwierdzono, że i inne gwałty dokonywane we wsi były dziełem Stanisława Kosieniaka. Idzik stanowczo zażądał, by Kosieniaka zaprzestali tych czynów. Ale awanturnicy skupiający się wokół Kosieniaka nie zaprzestali zbrodnicych praktyk. W styczniu 1943 roku podchodzili do wsi Jamy na odległość około 400 metrów. Wiedząc, że mieszkańcy tej miejscowości są uzbrojeni, próbowali z tego dystansu ostrzeliwać budynki, by rozniecić w nich pożar. Ostrzeliwani ratowali się padając na ziemię.

29 lutego 1943 roku szajka urządziła zabawę w domu Jana Kulpy. Dom stał w odległości około trzydziestu metrów od lasu. Wywiadowcy z Jam usłyszeli odgłosy zabawy i powiadomili posterunek policji. O godzinie 22 Niemcy otoczyli dom, z którego dobiegały piękne melodie, wygrywane na ustnej harmonijce. Stokłosa, kompan Kosieniaka, wyszedł na dwór, by się ochłodzić, ale oblegający go nie dostregli. Po chwili wyszła żona Kulpy. Zbliżył się do niej policjant z dwoma chłopami i zapytał, kto jest w domu. Kobieta nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż akurat wyskoczył Idzik z rewolwerem w ręku i biegnąc obok nich zawołał: „Jam jest Idzik!”. Chłopi, jak to później sami opowiadali, zamarli ze

strachu i nie oddali do uciekającego ani jednego strzału. Z drugich drzwi wypadli Kosieniak, Mucha i reszta domowników. Rozpoczęła się strzelanina. Stokłosa zajął dogodne stanowisko i ogniem osłaniał swoich, którzy uciekali nie do lasu, lecz w pole. Był to sprytny manewr, bo policja, pewna, że zaatakowani chronić się będą w lesie, tam właśnie skupiała większość sił.

W czasie strzelaniny jeden z policjantów został trafiony. Ranny był też Stokłosa; upadł, ale nie stracił przytomności, czołgał się w stronę lasu, sądząc, że tam bronią się jego towarzysze; wołał o pomoc. Głos rannego usłyszeli policjanci, zblżyli się i zastrzelili go.

Na drugi dzień po tych wydarzeniach policja i chłopci przybyli ponownie na pobojowisko. Policja zarządziła, by zabrać cały dobytek Kulpów i zastrzelili gospodarza. Podpalono budynki, w ogień wrzucono zwłoki Kulpy i Stokłosy. Żona i córki Kulpy ucalały, gdyż wcześniej uciekły z domu.

Pod koniec lutego 1943 roku szajka Idzika wyprawiała się do Mędrzechowa, położonego o kilkanaście kilometrów na zachód. Tu, w biały dzień nie znani w tych okolicach „leśni” odwagili się wejść do sklepu. Ktoś zawiadomił o tym kwatrujące obok — policję i żandarmerię. Zaatakowana banda Idzika rozdzieliła się. Kosieniak i Mucha uciekli w stronę Wisły, a Idzik do lasu. Policja ścigała ich konno.

Ludzie opowiadali, zapewne koloryzując, że Idzik w czasie ucieczki wymachiwał harmonijką ustną i kpił głośno z Niemców. Ci dziwili się, że mimo tyłu oddanych strzałów, nie zginął. Przypuszczali, że nosi kamizelkę kuloodporną. Kosieniaka i Muchy Niemcy nie ścigali. Po tej nieudanej wyprawie szajka spotkała się w umówionym miejscu, w lesie koło Dulcy Wielkiej, w „swoich” stronach.

Wkrótce pomiędzy Idzikiem a Kosieniakiem doszło do nieporozumień i wielkiej kłótni, po której nastąpiła tragedia. Sprawę tę opisał naoczny świadek wydarzenia, Żyd Johannam Amsterdani, w książce „Dzieci oskarżają”^[6]. Czytamy tam:

„Na wiosnę przybyli do nas owi chłopcy, wybudowali osobną kryjówkę dla siebie. Jeden z chłopców, dodajmy od siebie, że chodziło o Idzika, zakochał się w mojej ciotce, ona stała się jego żoną, on jej mężem. Pewnego dnia powrócili owi chłopcy pijani i pokłócili się między sobą, a kiedy położyli się spać, jeden z chłopców zastrzelił moją ciotkę i jej męża, gdy byli oni pogrążeni we śnie. Sprawca zabójstwa i jego towarzysze

ucieki z bunkra. Ojciec mój ścigał sprawcę zabójstwa, chcąc pomścić swoją siostrę i nawet strzelał za nim, ale go nie trafił”.

Amsterdam w ten sposób opisał zbrodnię, w której mordercą był Kosieniak, a ofiarami Wojciech Idzik i Żydówka, ciotka autora cytowanej relacji, pochodząca ze wsi Matec. Johannam opowiadał po wojnie, że Idzik dał mu karabin z nabojami i rzekł: „Bronię się, tak jak my!”

BANDA KOSIENIAKA PO ŚMIERCI IDZIKA

Po zabójstwie Idzika Kosieniak rozpoczął swą okrutną, niczym już nie hamowaną, dalszą bandycką działalność. Dotychczas był podwładnym Idzika i musiał się z nim liczyć. Idzik nie pozwalał na barbarzyńskie wyczyny, dlatego Kosieniak go zabił. Poza tym sam obawiał się, że Idzik może go zastrzelić. Zwłoki Idzika kazał Kosieniak wynieść na drogę. Zwłoki zaś pochowali jej bliscy w lesie.

Podczas obchodu gajowy Stanisław Staniszewski natknął się na trupa Idzika, ale nie rozpoznał zabitego, tylko zameldował na posterunku policji, że znalazł zwłoki. Dopiero policja i chłopci z Jam rozpozнали zabitego. Zabrali ciało do Jam i powiesili je na terenie jego spalonego gospodarstwa, na studziennym żurawiu. Wisi nad studnią kilka dni.

Wiosną 1943 roku radgospozczanie oderchnęli z ulgą. Niebezpieczny kal i oprawca Polaków i Żydów, Engelbert Guzdek został przeniesiony do Mędrzechowa. Na miejsce Guzdeka przybył Władysław Szymanowski, przeciwnictwo swego poprzednika. Chodził nieuzbrojony, tylko z trzciną w rękę. Mówił, że jego ręką nie splamili krew.

Gdy pewien chłop doniósł mu o nielegalnym uboju w Łęgu, za co jak wiadomo, groziła kara śmierci, Szymanowski wysłał przodem policjantów z nakazem usunięcia śladów, sam zaś udał się po pewnym czasie do Łęgu wraz z donosicielem. Oczywiście śladów uboju już nie było. Donosiciel został tego spoliczkowany. Innym razem, gdy do następcy Guzdeka przyszła pewna kobieta z donosem, wyrzucił ją za próg. Kiedyś Szymanowski jadąc do Radgospozczy spotkał w Gruszowie Wielkim dwóch studentów. Legitymowani udowodnili, że są volksdeutscheami. Nieoczekiwanie następcę Guzdeka każdego z nich uderzył, mówiąc, że nie są oni ani Polakami, ani Niemcami.

Innym razem w Nieczajnej czekał, aż ludzie zaczną wychodzić z kościoła. Był jak zwykle bez broni, trzciną uderzał po cholewach butów. Wychodzących zebrał wokół siebie i uprzedził, że za doniesienie o uboju cięgien wymierzy 25 kijów na tyłek.

Znamienny incydent wydarzył się w czasie obchodu imienin Szymanowskiego. O północy solenizant rozkazał zebranym gościom wstać i od-

śpiewać hymn polski. Wieści o takich zaskakujących faktach dotarły jednak do okupantów. Niemcy wywieźli Szymanowskiego. Nie powrócił już do Radgoszczy.

Odejściem Guzodka z Radgoszczy ucieszył się też bardzo Kosieniak, który coraz śmielej grasował w okolicy. Po śmierci Idzika nie miał już kto hamować zdziwiałego i rozbestwionego bandy. Nastąpiła kolejna seria gwałtów, kradzieży i rabunków.

W czerwcu 1943 roku banda znów przeniosła się w inne rejony, w pobliże Sieliszowic. Obowiązywał w całym powiecie wydany przez Niemców rozkaz meldowania o ruchach zespołu Kosieniaka. Wyśledzono go w Lubiczku. Przybyli z Guzdkiem policjanci zatrzymali się u sołtysa, nie poszli jednak po Kosieniaka, który akurat rabował domy właścicieli re-szówek Tracza i Wróbla.

Policjanci oświadczyli, że rano aresztują bandytę. Ten jednak w nocy uszedł za Wisłę. Akcją policji dowodził Guzdek (wówczas przeniesiony do Mędzrechowa), który dopiero rano podążył za Kosieniakiem. Gestapo z Pińczowa pomogło mu odczyć wieś Urzuty, gdzie herasz bandy miał powinowatych Odonów. Zamordowano wtedy rolnika Odona i jego żonę Marię z Podsiadłów. Zabudowania zostały spalone. Kosieniak wyprawił się do odległego od Jam Lubiczka prawdopodobnie dlatego, że w gminie Radgoszcz niewiele zostało już domów zdanych do obrabowania. A może też kierowała nim myśl by „spłacać figla” Guzdkowi, urzędującemu w pobliskim Mędzrechowie. Znów wrócili z pieniędzmi.

Śmiertelna ośmieliła księdza Głodzika, obawiającego się przesładowań ze strony jego bandy. Wrócił do swojej parafii, ale aż do śmierci Stanisława Kosieniaka sypiał w łóżku, ustawionym w kościele za ołtarzem. W Jamach panowała nadal atmosfera strachu. Tylko niektórzy chłopcy mieli odwagę wyruszać poza wieś. Ogół, z obawy przed Kosieniakiem wytrząsł się wypraw do lasu i do miasta.

A tymczasem mnożyły się przykłady bandyckich wyczynów Kosieniak i Muchy w nowym „rejonie operacyjnym”. Przybyli oni między innymi do bogatego rolnika Gromnego. Przed wojną przebywał on w USA, przywiózł stamtąd dolary, kupił dużo ziemi w Zabrnju. Bandyci pobili go i obrabowali zabierając między innymi złoty zegarek kieszonkowy z łańcuszkiem. Znęcali się też nad gospodarzem.

Spalili również gospodarstwo pewnego bogatego rolnika w Podlesiu. Ponieważ dostali zbyt mało, zapowiedzieli, że za kilka dni zgłoszą się po

resztę żądanej kwoty. Gospodarz nie przygotował pieniędzy, ale zastonił okna stalową blachą i wykopał w piwnicy tunel. Bandyci nie mogąc wejść do domu podpalili wszystkie zabudowania gospodarza. Właściciel wraz z córkami zdołał uciec.

W odwet za to banda przybyła po raz trzeci. Kosieniak w obecności całej rodziny w świetle świecy zgwałcił na stole córkę. Znów zapowiedział, że przyjdzie po pieniądze. Podczas kolejnego napadu, prześladowany przez Kosieniak rolnik oświadczył, że przechowuje pieniądze w stajni i udał, że idzie po nie. Mucha skierował się za nim i czekał pod drzwiami stajni. W murze budynku była tymczasem dziura, przez którą chłop uciekł.

Banda przebywała potem na łąkach w Podlesiu, w gospodarstwie Waleńcego Stopy. Tu odpoczywali, tu urządzali libacje alkoholowe. Dom ten znajdował się obok lasu i dawał dość bezpieczne schronienie. Łatwo stąd było czynić wypad, jak na przykład opisany tu, a dokonany na szkoldę owego zamożnego rolnika. W czasie jednego z napadów córka gospodarza, odważna dziewczyna, pobiegła na posterunek do niedalekiej Radgoszczy. Banda strzelała za nią pociskami zapalającymi.

Zawiedziony Kosieniak wypuścił zwierzęta domowe i podpalił zabudowania. Spalił się jednak świnie ukryte przed Niemcami w przemyślnych schowkach na terenie posesji. Policja przybyła w pobliże pożogi i ukryła się pod mostem na rzece Dęba, posyłając jedynie wartę chłopską.

Coraz częściej bandyci odwiedzali dom Pietrasów w Woli Wado-wskiej. W maju 1943 roku Stanisław Pietras podjął pracę w kopalni węgla „Jadwiga” pod Orłowem na Zaolziu, ale ponieważ praca ta była bardzo ciężka, uciekł stamtąd i w połowie czerwca powrócił do domu. Tu dowiedział się o śmierci Idzika i o tym, że Kosieniak wraz z Muchą stworzył bandę, obaj mordując i rabując wokół. We wsi Suchy Grunt pobili ostatnio okrutnie matkę i córkę, żądając pieniędzy za sprzedanego niedawno konia. W innym domu zamożny Michał Pikul napadnięty przez bandę, zdołał uciec z domu.

W dwa dni po powrocie Stanisława Pietrasa bandyci zjawili się w jego domu. Odpowiadano o napadach np. na dom zamożnego rolnika Józefa Saterusa. Ten zabarykadował się w domu, nie złożył również żadnego okupu.

W tym czasie do wsi zaczęły docierać listy od więźniów z Oświęcimia, wywiezionych tam z Matca i Jam. 7 listopada 1942 roku Pietras, znając

nico język niemiecki, pomagał odpisywać na listy, które zawsze brzmiały lakonicznie i pisane były według schematu: „Moja kochana żono! Donoszę Ci, iż jestem zdrowy, powodzi mi się dobrze. Poślij mi suchego chleba, cebuli i czosnku. Oświęcim”.

Stanisław Pietras, wówczas zaledwie dwudziestolenni, dowiedział się od Kosięniaka o okolicznościach śmierci Idzika. Według tej wersji — bezpośrednio przed zabójstwem — obaj pokócili się i Idzik, zdenerwowany już mocno, zamierzał strzelić do leżącego na stole Kosięniaka, ale ten chwycił go za rękę i krzyknął: „Wojciu, Wojciu, co robisz?”

Następnie, widząc wściekłość Idzika, wydobyl swój pistolet i pierwszy strzelił. Opowieści tej nie sposób dać wiary. Kosięniak najwidoczniej pragnął usprawiedliwić się. Poza tym jego wersja jest sprzeczna z przytoczonym uprzednio opisem wydarzenia naoczego świadka, Amsterdama, w książce „Dzieci oskarżają”. Tam właśnie znalazły się słowa Idzika, skierowane do Kosięniaka: „Stasiu, daj tej panie spokój i nie ruszaj jej!”. Chodziło o jeszcze jeden przykład napastowania dziewczyny przez żbójckiego herszła.

Kosięniak opowiadał wtedy wiele o swojej rodzinie. Mucha dowiedział się, że jego siostra zmarła w Niemczech, jej gospodyn przysłała metrykę zgonu. Julian Mucha wpadł w rozpacz, gdyż wiedział, że stało się to przez niego. Narastała w nim nienawiść do Wojciecha Puły, który niegdyś złożył w policji meldunek. Donosił, że za mało zapłacił mu za papierosy i tym właśnie spowodował nieszczęście na rodzinę Muchy. W domu Pietrasa odgrzązał się Puły; mówił, że to przez niego został bandytą. „Zginę ja dziś, ale on jutro, zginęła moja siostra, zginie i jego córka” — mawiał często.

W domach ludzie opowiadali o okrutnych poczynaniach bandy, o gwałtach dokonywanych na kobietach. Teraz cała okolica była we władaniu Kosięniaka. Już nikt nie miał odwagi sprzeciwić mu się, jak to robił dawniej Idzik. Niektóre ofiary jego gwałtów zachodziły w ciążę. Ojcowie odwozili je do szpitala położniczego w Krakowie, tam prawdopodobnie w tajemnicy rodziły się dzieci. Inne usuwały ciążę. Niektóre z nich umierały w wyniku nieudolnych, domowych zabiegów.

Kosięniak i jego ludzie coraz częściej przechodzili do Pietrasów głodni i zmarznieli. Ci bali się tych odwiedzin, skoro za pomoc udzieloną bandzie groziła kara śmierci. Nie odważyli się jednak powiedzieć Kosięniakowi, że nie życzą sobie jego wizyt. Natomiast syn Pietrasów — Sta-

nisław napisał w tajemnicy przed rodziną list, w którym zawiadomił posterunek w Wadowicach Górnych o wizytach Kosięniaka w ich domu.

W tym czasie dom Pietrasów odwiedzał często pewien partyzant pochodzący z kieleckiego. Liczył 35 lat, był wykształcony, znał dobrze język niemiecki i należał do organizacji podziemnej. Mówił, że się ukrywa. Wiele razy nocował u Pietrasów. Czuł się tu względnie bezpieczny, bo dom stał na uboczu i okalały go głębokie rowy.

10 lipca 1943 roku po żniwach, gdy zboże stało jeszcze na polu, Pietrasowie z samego rana wyjechali wozem na targ w Mielcu. Syn pozostał w domu i rozmawiał z gościami, owym człowiekiem z kieleckiego. Uczył on Stanisława języka niemieckiego.

Nagle w drzwiach ukazała się zapłakana matka, mówiąc, że policjanci zawrócili ich z drogi i że są już na podwórzu. Dodała też szybko, że komendant policji pytał, czy była u nich Kosięniak i czy może akurat jest. Kobieta zaprzeczyła nie wiedząc, że syn w liście zdradził już ten fakt policji. Za kłamstwo komendant uderzył ją w twarz. Stanisław zdążył ukryć się w drugim mieszkaniu (wystrepał się, gdyż uciekł z robot w Niemczech). Stamtąd obserwował, co się dzieje.

Policjanci weszli do pokoju, gdzie na przypiecku siedział obłąkany żebrak Kazimierz Kucy. Gdy policjant przystawił lufę pistoletu do jego piersi, żebrak odepchnął mu rękę, mamrocąc pod nosem: „Nie wolno bratku, nie wolno”. Komendant domyślił się, że to nie bandyta, zapytał więc o Stanisława. Żebrak powiedział, że młody Pietras wszedł do komory. Słyszając to Stanisław wyszedł z ukrycia i przywitał się z policjantami. Powiedział, że często bywają tu Kosięniak i Mucha. Komendant Policji wydał mu polecenie, by natychmiast zawiadomił posterunek, gdy zjawia się bandyci. Wychodząc policjanci zabrali przybysza z kieleckiego, ale potem puścili go wolno. Nie zjawił się już więcej u Pietrasów. Aby zmniejszyć czujność Kosięniaka, policjanci zabrali Pietrasów na posterunek. Spisali protokół, że ktoś doniósł o pobycie bandy w ich domu.

Bandyci grasowali wtedy znów w okolicach Dunajca. Po powrocie odwiedzili dom Pietrasów i usłyszeli, że wskutek czyjegoś donosu szukają ich tu policja. Gospodarze mieli nadzieję, że ta wiadomość odstraszy bandytów. Ale wybieg na nic się nie zdał.

Wkrótce po tych wydarzeniach kilku chłopów porozumiało się z policją, że zastrzelą Kosięniaka i Muchę. Latem 1943 roku policja wraz z sześcioma chłopami urządziła zasadzkę przy drodze do Matca, którą

bandyci mieli wracać ze wsi Brzezówka. Zaczajono się w gęstych zarostach. Księżyc jasno świecił.

Okolo północy nadeszli Kosieniak i Mucha, ale gdy zbliżyli się na odległość około piętnastu metrów, komendant policji wydał rozkaz, by nie strzelano. Bandyci spokojnie przeszli, a policja odjechała. Chłopi bali się później, by Kosieniak nie mścił się na nich, bo przecież on miał swoich wywiadowców, którzy za pieniądze dostarczali mu informacje. Była to ostatnia zorganizowana zasadzka.

Przedwczesna była radość Kosieniaka z odejścia Guzodka do Mędrzechowa. Guzdek bowiem z odległej o kilkanaście kilometrów miejscowości dokonywał dość często wypadów w okolice Jam, głównie po to, by urządzać oblawy na Żydów. Widywano Guzodka z policją granatową i Niemcami, którzy mając widocznie jakieś sygnały, wpadali do domów położonych na skraju wsi, przy lesie. Czatali także przy drogach.

Jedną z takich ekspedycji omal nie zakończyła się ujęciem Muchy i Kosieniaka, za którymi Guzdek podążał stale jak cień. W odwet, Kosieniak przyrzekł sobie, że nie pozostawi zandarna w spokoju. Rabunki nad Wisłą w okolicach Mędrzechowa powtarzały się, ale trudno dziś ustalić, które były dziełem Kosieniaka i po których to Kosieniak drwił sobie z Guzodka. Mówił, że ten, zawiadomiony wieczorem o pojawieniu się bandy w rejonie Mędrzechowa, zjawił się dopiero nad ranem z liczną siłą policjantów. Kosieniak przemysliwał stale nad tym, jak wciągnąć Guzodka w zasadzkę.

Stanisław Pietras często spotykał teraz Kosieniaka i Muchę w domu Józefa B. w Matcu. Ten Jom też stał na uboczu. Gospodarze, w starszym już wieku mieli dwie córki, 19-letnią Honoratę i 17-letnią Marię. Byli to ludzie zacięci, więc bandyci czuli się u nich bezpiecznie. Podobno w ich domu leczył się kiedyś ranny Kosieniak.

15 września 1943 roku odbywało się wesele w domu Marcina Witaszka, którego żoną była siostra znanego już czytelnikom Jana Kulpy z Woli Wadowskiej. Razem z gośćmi bawili się również Kosieniak i Mucha. Gdy pojawili się, zaczęli pytać o młode dziewczęta. Ktoś skierował ich do domu Józefa Kupca, we wsi Suchy Grun, stojącego już na granicy z Wólą Wadowską.

Bandyci wdarli nocą do domu, ściągając z tożka 17-letnią Marię i usilowali wywlec na podwórze. Małka w obronie córki rzuciła się na Kosieniaka. Ten upadł na podłogę. Dziewczyna, korzystając z zamieszania wpadła do drugiego pokoju, otworzyła okno i pobiegła w stronę wsi.

Za uciekającą strzelili Mucha, na szczęście niecelnie. Bandyci pobili jej rodziców kołbami pistoletów. Zbudzona ze snu 13-letnia Józefa stanęła w obronie matki. Kosieniak uderzył ją pistoletem w twarz, zalała się krwią. Józef zdołał uciec, jego żona nieprzytomna upadła na podłogę. Opuszczając dom napastnicy strzelali w sufit.

Poranionych przewieziono do lekarza w Szczuclinie. Kiedy wóz z ranymi znalazł się na rynku miasteczka, zbiegli się mieszkańcy, pytając o okoliczności zajścia. Trudno zrozumieć przyczyny, dla których tak beśniastko potraktowano znane z zamożności małżeństwo. Po tych wydarzeniach cała okolica drżała ze strachu przed Kosieniakiem. Teraz wszyscy pojęli, że to łdzik hamował okrucieństwo zwyrodniałego Kosieniaka.

Amsterdam pisze we wspomnianej już książce „Dzieci oskarżają” na str. 71: „Chłopy z lasu przechodzili do naszych bunkrów z wodką i tu jedli. Na zimę odeszli. Wiosną zaś wrócili do nas i zbudowali dla siebie osobną kryjówkę. Ojciec mój i kilku Żydów zamieszkało z nimi w tej kryjówce. To był chyba jedyny bunkier, jaki mieli. To tu zginął łdzik. Żydzi bardzo lubili łdzika, mówili mu: wujku. Było tu dużo młodych, łdnych Żydów. We wrześniu 1943 roku mój wuj Żyd, wybrał się do wsi po prowiant. Wszedł do mieszkania, ale na podwórzu postawił strażnika. Wtem ktoś napadł na strażnika i zabrał mu karabin. Wuj usłyszawszy krzyki wypadł z mieszkania i wtedy został ranny z karabinu.

Udało mu się wrócić do lasu. Aby opatrzyć ranę, ojciec i jego siostra poszli na wieś po bandaż. Pod którymś domem postrzelili ojca ten bandyta, który przedtem zabił ciotkę w lesie”. Kiedyś John Amsterdam poszedł z kolegą do domu Jana i Bronisławy Pisarczyków z Woli Wadowskiej w przysiółku Zaurze. Tu jakiś mężczyzna zranił Johna w rękę. Brat Johna, Mendel i siostra poszli dalej, do Matka i na podwórzu Marcina Rysia spotkali Kosieniaka. Kosieniak poznał Mendla Amsterdama Żyda, który strzelił do niego po zabójstwie łdzika. Z zemsty Kosieniak zabił go i zabrał karabin. Zwłoki zabitego wywieziono za zabudowania.

O wydarzeniu tym opowiadał Kosieniak w domu Baryzela. Tam bandyci myli zakrwawione ręce.

Kosieniak w rozmowach z nieznajomymi chłopami podawał się za partyzanta, częstował papierosami i żegnał się zwykłe słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Z racji takiego złudzenia banda Kosieniaka zwiększyła się o jednego Rosjanina. Przez okolice Dąbrowy przewinęła się duża liczba Rosjan,

zbiegów z oborów w Niemczech. Szli na wschód, wstępowali do domów prosić o chleb, o pokazanie bezpiecznej drogi, omijającej posterunki i miasta. Na polnej ścieżce obok domu Pietrasów jeden z jeńców radzieckich spotkał Kosieniaka. Po rozmowie, jeniec wstąpił do bandy, myśląc, że ma do czynienia z partyzantami. Wszyscy przybyli do Pietrasów, gdzie Rosjanin zdjął stary zniszczony mundur i wdział odzież Stanisława. Rosjanin przedstawił się jako Wasyl. Wiele opowiadał wiedy i o nowej, połącznej broni — katuszach. Dopiero później przekonał się z jakim to ma do czynienia oddziałem. A tymczasem Kosieniak i jego podkomendni kontynuowali swój zbrojeczki proceder.

Bandyci często nocowali w domu B. w Malcu. Pewnego razu pijanemu Kosieniakowi wpadła w oko ich córka. Ściągnął ją z łóżka, wyprowadził na podwórze. Chcąc bronić córki, wybiegli za nim z domu rodzice i siostra. Kosieniak krzyknął, że mają wrócić i strzelił w ich kierunku. Zawrócili do mieszkania. Kosieniak zgwałcił dziewczynę. Od tego czasu zmuszał ją często do współżycia, nie wstydząc się domowników.

Niedługo banda Kosieniaka zapisała na swym koncie nowe zbrojeczkie wykryki.

Jakub P. wydawał swą córkę Apolonie za mąż. Wieczorem nieproszeni — Kosieniak, Mucha i Wasyl zjawili się na weselu. W czapki mieli welkniecie czerwone duże liście dębów włoskich. Wasyl łańczył kozaka. Orkiestra grała im marsza, za który zgodnie ze zwyczajem, honorowo zapłacili. Ponieważ coraz więcej pili, przerażeni goście zaczęli uciekać. Kosieniak łańcząc z siostrą panny młodej śpiewał:

Czy to na góreczce, czy to na dolinie

Gdzie mnie kula trafi, tam mnie śmierć nie minie.

Nie będzie, nie będzie mamusia wiedziata

Gdzie się moja krewka będzie rozlewała.

Po tygodniu spotkali ich Władysław Pietras w domu B. Była niedziela. Bandyci byli już pijani. Około godziny piętnastej, posłali B. do Pietrasów po wódkę. Nie było tam jednak alkoholu. Tymczasem Kosieniak urządził Wasylowi egzamin z obrabowywania bogaczy. Chciał, by Rosjanin pomagał w rabunkach. Ponieważ jednak nie przyniesiono wódki, Kosieniak próbował z kolei posłać Stanisława Pietrasa do domu Puły, ale ten odmówił, utrzymując, że już wystarczająco dużo wypili. Kosieniak nie prosił go więcej, pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł. Kiedy

zbliżył się do bramy płotu, wsparł lufę karabinu o żerdź i wyceLOWał w Pietrasa. Mucha dopadł go i poprosił o rozwałkę. Kosieniak odłożył karabin. Pietras schronił się wiedy u kolegi, a gdy wrócił po pewnym czasie do swego domu, Kosieniak nadal awanturował się i sierdził, że nie przyniesiono mu wódki.

Kosieniak pijany w sztok, zażądał, aby obudzono śpiącego już Stanisława, gdyż chce z nim porozmawiać. Mucha poszedł na strych, gdzie zazwyczaj spał Stanisław, ale tym razem nie było go tam. Odszukał dopiero go na piecu i perswadował, by Stanisław dobrowolnie poszedł do Kosieniaka.

W koszu i boso zjawił się Pietras w komorze, gdzie spał Kosieniak i próbował wytłumaczyć mu, iż wódki nie przyniósł dlatego, że B. prosiła, by już nie podawać więcej alkoholu, już i tak bardzo pijanym. Kosieniak pytał zaczepnie, czy bardziej zależy mu na B., czy na nim. Pietras zapewniał, że oczywiście zależy mu na dobrych stosunkach z Kosieniakiem i jego kolegami.

Wtedy udobruchany Kosieniak wyciągnął jeszcze dwa litry wódki i znowu pił. Pod wpływem kolejnej porcji alkoholu wymierzył w Pietrasa z pistoletu, ale obecna tam wiedy stara Muchowa, która odwiedzała ostatnio dom Pietrasów dla zobaczenia się z synem, podbiła mu rękę i Stanisław zdążył uciec w pole. Wrócił dopiero rano, gdy bandyci jeszcze spali. Wtedy to po raz pierwszy pomyślał o tym, by zabić Kosieniaka.

Do córki właściciela pobliskiego sklepu, szesnastoletniej dziewczyny chodził wiedy w konkury Feliks Ogorzałek z Woli Wadowskiej. Mucha chował od dawna urazę do sklepikarza. Bandyci pozostawali jednak w dobrych stosunkach z Feliksem. Wyświadczył im niejedną przysługę, przewoził im między innymi z Krakowa materiały, o które prosili. Mimo tej znajomości, chcąc jak to tłumaczono — dokuczyć właścicielowi sklepu — zgwałcili narzeczoną Feliksa, a podczas plądrowania sklepu i domu, Kosieniak uderzył jej ojca rewolwerem w głowę. Przedtem zdarzyło się, że Feliks Ogorzałek przywiózł jakiś towar i wstąpił do Pietrasów, pytając, gdzie są chłopcy. Pietrasowa wskazała dom. Za ujawnienie tajemnicy ukarali ją po swojemu. Przechodzili stale po kury, aż wszystkie zabrali.

Mucha i Kosieniak, wszedłszy do domu pewnego rolnika, zastali jego żonę leżącą w łóżku. Sprawiała wrażenie konającej. U jej wezgłowia paliła się gromnica. To rodzina, przeżywawszy zamiary Kosieniaka, upozorowała ciężką chorobę matki. W izbie obecni byli sąsiedzi, Kosieniak

domyślił się, że gospodyni chce go wywieść w pole, wylał na głowę leżącącej dwa wiadra wody. Następnie polecił Wasylowi przynieść jeszcze dwa wiadra wody i ponownie wylał ich zawartość na nią. Gdy zbierał się po raz trzeci do powtórzenia tej czynności, kobieta podniosła się z łóżka. Kosieniak wylał wodkę z kieszeni i podał jej napelniony kieliszek, ale nie chciała go wypić. Wymierzył wtedy do niej z rewolweru. Gdy wypila, zapytał, czy lepiej się czuje. Odparta, że lepiej. Wówczas stwierdził cicho, że gospodyninia zawdzięcza mu życie, bo gdyby nie on i spora ilość wody to byłaby umarta. Ponieważ Wasyl stał w izbie z przyniesioną wodą, Kosieniak wylał ją znowu na nią, a potem wyprowadził jej córkę na dwór i zgwalił.

Nie dziwne, że każda wieść o zbliżaniu się bandy wywoływała pochłoch wśród kobiet, które kryły się, opuszczając mieszkania. Rozjątrzeni przynajmniej mścili się na pozostałych sprzątelach, strzelali do wietrzonych pierzyn.

Różne bywały zachcianki Kosieniakovych rabusiów i awanturników. Kiedyś herdzi spłakał w lesie znanych sobie muzykantów, którzy przyjechali po chrustu. Mieli go już trochę na wozie, ale zaraz musieli zrzucić na rozkaz Kosieniaka. Znalazł dla nich piłę u robotników leśnych i kazał ścinać grube drzewa. Czasem, spotkanego w lesie chłopca częstowali bandyci wodką i kiełbasą, nawiazywali przyjazne stosunki i rozmowy. Taki pozorny kaprys miał swój głębszy sens: po prostu chcieli się czegoś dowiedzieć.

Pewnego razu szli bandyci wałem rzeki Breń kolo wsi Brzezówka. Dwaj wartujący chłopcy zapytali, kto idzie. Kosieniak złapał ich za bary i wepchnął do koryta rzeki Breń. Musieli wędrować w wodzie do pasa około kilometra. To była kara za próbę wylegitymowania.

Lubił Kosieniak wędrować ze swoją bandą po okolicznych wsiach. Przechodząc przez Radgoszcz, usłyszeli w jednym z domów muzykę i bez wahania wstąpili. Okazało się, że to soltys grał ze swymi synami. Sama muzyka bandyów nie interesowała. Zaczęli po swojemu wydzwiać „Cóż to za muzyka bez panien?”. Zabrali jednego z chłopców i wkrótce przyprowadzili dziewczynę. Po jakimś parodii zabawy wyprowadzili je przed dom i swoim zwyczajem zgwałcili w kopie słomy.

Podobnie postępowali z kobietami zbierającymi jagody w lesie, przyczym Kosieniak udawał obcokrajowca, a Mucha tłumacza. Często obiecali sobie z góry ofiary zbrojckich zapędów. Przyszli do Matca, pytając o córkę gospodarza i z góry zapowiadając, że nie wierzą w jej nicobe-

cnosć. Po przetrząśnięciu domu, już zabierali się do odejścia, gdy przebiegły Kosieniak zajrzał do dużego pieca. Gdy znalazł w nim poszukiwaną, wszystko odbyło się według znanego już scenariusza. Przykład herdzi działał na jego podkomendnych. Mucha starał się też dorównywać szefowi, a znajomość terenu ułatwiała mu penetrację i cały proceder.

W grudniu 1943 roku Kosieniak, Mucha i Rosjanin wyszli z lasu z Dulczy i dotarli do jednego z gospodarzy w Matcu. Był to już wieczór i dopiero po dłuższej chwili im otworono. Kosieniak zaczął wzięte od spenetrowania odwiedzanego pomieszczeń. Zagałędał do komór, gdzie były umieszczane skrzynie ze zbożem i beczki z kapustą. Miał przy tym Stanisław Kosieniak swoje zwyczaje, od których nie odstępował. Nigdy np. nie pił wódki pierwszy, gdy go poczęstowano.

Był też zupełnie trzeźwy, gdy w jednej beczce znalazł ukrytą dziewczynę, a to samo powtórzyło się przy spenetroowaniu drugiej beczki. Obu kobietom kazał wyjść, a potem dając upust swojej złości, zaczął im ubliżać. „Wy rudzielce, wy mały skaradne...!” Przyjęły te wymysły w milczeniu. Cały incydent zakończył się dla nich pomyślnie. Herdzi zniechęcony ich bierną postawą, machnął ręką i opuścił niteckawy dla siebie dom. Staraży się swoim kompanom, że panny nie zaimponowały mu urodą, dlatego też zostawił je w spokoju.

Tymczasem w okolicy wyworyła się psychoza wszechobecności Kosieniaka. Prowadziło to do tragicznych śpiew. W grudniu 1943 roku w dzień świąteczny ze Szczucina jechali na rowerach policjanci Kukla i Paul Prescher. Kolo szkoły w Matcu natknęli się na idących mężczyzn: Stanisława Saladygę z Brzezówki i Stanisława Dzięgiela z Radwana w powiecie dąbrowskim. Zapytani, co tu robią, powiedzieli, że idą do kierownika szkoły Kuznowicza.

Niemiec sięgnął do kieszeni Saladygi, a ten nagłym ruchem obalił Preschera na ziemię. Wtedy Kukla strzelił do niego i do Dzięgiela, kładąc obu trupem. Zaraz potem policjant z Prescherem wpadli do szkoły i Kuznowicza skrepowali powrozami. Żonie kierownika udało się wytlumaczyć, że nie znają żadnego z zastrzelonych. Skończyło się na poleceniu zakopania zwłok zamordowanych tuż obok szkoły. Dopiero po wojnie rodziny dokonały ekshumacji i pochowania prochów ofiar na cmentarzu w Szczucinie.

Więści o takich morderstwach docierały do bandy Kosieniaka, która nie zaprzestała swego awanturniczo-rozbójniczego procederu.

W czasie najścia na któryś z domów zdarzyło się, że nagabywana dziewczyna odmówiła przejścia do innego mieszkania. Oparta się nogą o próg tak zdecydowanie, że Kosieniak upadł na podłogę. Rozwiścieczony kazał kobiecie rozebrać do naga i oblać zimną wodą. Potem, ubrana w odświętny strój musiała z nim przejść do drugiego pokoju.

Mnożyły się wypadki gwałtów. Adam Pikul, młody z Radgoszczy udzielał pomocy jednej z ofiar brutalnej przemocy bandytów. Opowiadał, jak to skruszony Kosieniak zdjął pierścien i włożył na palec skrzywdzonej dziewczyny. Podobno klejnot wspinał się byszcząc w mroku. Herszt lubił precjoza i nosił stale sześć pierścieni na dwóch palcach lewej ręki. Chwalił się tym bogactwem, gdy dołączył do grupy Idzika.

O rodzinie Idzików miał zwyczaj mówić: „Dobre ludzie”. Podobnie oceniał Magdalene i Piotra Pietrasów, określając ich: „Złote ludzie”. Natomiast w swojej klasie ocen wrogo odnosił się do chłopów z Jam. Stale odgrzązał się mieszkańcom tej miejscowości. Nadal był Kosieniak posturachem okolicznej ludności. Kiedyś zaprosił Franciszka i Stanisława Pietrasów do domu Józefa B. w Małcu. Mieli tam beczkę piwa i popijali. Ich córka B. wyszła z domu, stroniąc od takiego towarzyswa. Kosieniak próbował odszukać dziewczynę, znalazł ją w zabudowaniach gospodarczych i usiłował zgwałcić, a że broniła się ze wszystkich sił, bił ją kijem. Ojciec próbował bronić córki, ale Kosieniak uderzył go w głowę rewolwerem. Następnie chwycił karabin i strzelił w sufit, gasząc tym strzałem lampę. Mucha złapał Kosieniaka za kohnierz i zanurzył mu głowę w cebrzyku. Dziewczyna słysząc strzał uciekla.

W dziewięć dni później Stanisław Pietras spotkał się z Kosieniakiem i Muchą w domu Józefa B. Bandyci urządzili tu parodję konferencji teherańskiej. Kosieniak wystąpił jako premier angielski Churchill, Mucha jako prezydent USA — Roosevelt, Wasyl jako Stalin.

Po tej „zabawie” bandyci chcieli zanoćować, ale gospodyni odmówiła im kwatery, tłumacząc, że rano przyjedzie tu ze zbożem sąsiad i będzie je młócił w ich stodole. Bandyci poszli więc do Jana Pietrasa. Obserwował ich Jan B. i o swiecie zawiadomiono policję w Radgoszczy, Dąbrowie Tarnowskiej i Szczucinie. Po południu Niemcy wraz z policją granatową zaczęli się w głębokim rowie, oddalonym od zabudowań o 150 metrów. Kosieniak był czujny i w porę zauważył przez okno dwóch policjantów idących w kierunku domu. W chwilę potem, zaatakowali oni obstawę granatami. Wywiązała się strzelanina. Bandyci wycofali się. Podczas odwrotu karabin Wasyla nie wypalił, gdyż był celowo uszkodzony przez

kompanów, którzy zbytnio nie dowierzali Rosjaninowi. I tym razem zdążyli dopaść lasu. W czasie ucieczki jeden padł i czynnie osłaniał towarzyszy, potem drugi padł i znów osłaniał cofających się. Jak widać znali oni pewne reguły wyszkolenia bojowego.

Niemcy i policjanci ścigali bandytów tylko na brzegu lasu. Następnie wrócili do domu Pietrasów. Jeden z oficerów pchnięciem bagnetu w pierś zabił Jana Pietrasa, a synową wysłano do obozu w Piszowice.

Nazajutrz przyjechała do wsi policja z Dąbrowy Tarnowskiej. Z domu Pietrasów zabrali cały inwentarz, a kiedy wszystko załadowano do samochodu, położyli zwłoki siedemdziesięcioletniego gospodarza na stole, przynieśli kilka snopków słomy i podpalili dom.

Kosieniak podejrzewał, że o pobyście bandy z Jana Pietrasa zawiadomił policję Jan B. z Małca, przez żonę spokrewnioną z Idzikiem. Oświadczył więc rodzinie B., że wypowiedzianą bandzie wojnę przegrali i są jakby w niewoli, z której muszą się wykupić kwotą 10 tysięcy złotych. Miał to być odszkodowanie za zgubiony przez Kosieniaka płaszcz, za porzuceną przez Wasyla teczkę z harmonijką usuną, maszynką do gotowania i amunicją. Wszysko to, dodawał, zabrała policja.

Jan B. nie lekceważył tego ultimatum. Sprzedał 150-kilogramowego ucznika za 5 tysięcy złotych. Podobnie uczynił Józef B. i zdobyte 10 tys. złotych posłał Kosieniakowi. Musieli to zrobić z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, gdyż Kosieniak wołał nie zbliżać się do wsi, podejrzewał, że B. ma broń, a nocę spędza na posterunku w Radgoszczy.

Przyszeli jednak Kosieniak do domu Józefa B., a odszedł zabierając córkę gospodarzy Marię, u Leona Wóźniaka „zarekwirował” pierzyny i wycofał się do lasu w Jamach. Po dwu dniach zwolnili zatrzymaną, ale znowu odwiedzili jej dom któregoś wieczoru. Lubili bandyci obrzędowe ceremonie. Kazali domownikom klękać i podnosząc dwa palce przysięgać, że już więcej nie zdradzą Kosieniaka i jego kompanów. Maltretowali przy tym gospodarzy, obrabowywali ich z kur i gęsi.

Stanisławowi Pietrasowi zabronili bywać w tym — jak określali — domu zdających. Grozili, że z tego domu pozostanie komin i garść popiołu, a gospodarze zginą tak, jak ich sąsiad Jan P. Nigdyś Idzik płacił rodzinie B. za pranie bieleziny i dał im zegarek i inne wartościowe rzeczy. Kosieniak wszysko to zrabował i sprzedał po niskie cenie.

Od walki z policją w zagrodzie Pietrasów, bandyci uważali się za „poczęte”, gdyż aż dwudziestu policjantów nie mogło sobie z nimi poradzić. Kosieniak zapowiadał, że echo tej walki znajdzie swoje odbicie w książce

kach. Tym śmielej więc poczynali sobie, wybierając się do Dulczy Wielkiej na wesele u gospodarza Stopy.

Bawili się hucznie. Jednakże po godzinie, goście przerażeni ich obecnością opuścili uroczystość. Bandyci zatrzymali jednak dwie druhy. Kosieniak zgwałcił jedną na łożku, Mucha drugą na podłodze. Następnie polecili Wasylowi aby dopilnował dziewczyn, a sami wraz z muzykantami udali się do drugiego domu po wodkę. Druhom udało się jednak zbiec.

Kosieniak i Mucha, wracając z wesela, wstąpili po drodze do jednego z domów w Dulczy Wielkiej. Mucha oświadczył gospodarzom, że chce spędzić noc z ich córką. Rodzice zabrali więc z łożka jej małą siostrzycką, bojąc się zatargu z pijanym bandytą.

Gwałtów dopuszczali się bandyci także w sąsiedniej Radgoszczy. Chepli się cynicznie, że już im wszystkie panny zbrzydły, a po świętach Bożego Narodzenia będą gwałcić tylko te, które nie ukończyły jeszcze szesnastu lat.

Byli niewątpliwie zwyrodniałcami, zdradającymi wyraźne cechy patologiczne. Lubowali się także w szczegółowych opowieściach o swych crotycznych ekscesach. Chlubili się swymi przestępczymi czynami, nawet w obecności ofiar i ich krewnych. Bywało, że Kosieniak kazał ludziom tańczy nago przy wtórze gry na ustnej harmonijce.

Miejscowa ludność żyła w ciągłym strachu. 28 listopada 1943 roku Stanisław Pietras znalazł się w Wadowicach Górnych. W tym dniu odbywał się tu tzw. przegląd koni. Pietras miał nadzieję, że spotka w drodze komendanta posterunku. Chciał z nim porozmawiać, ale bał się wstąpić do niego, bo ktoś mógłby o tym donieść Kosieniakowi. Wreszcie spotrzął policjanta na drodze i podjechał do niego konno. Skarżył się wtedy, że musi u siebie gościć bandytów i postanowił ich zgładzić. Komendant poradził mu, by zabił bandytów we śnie. Przeciem powinien w jakiś sposób zdobyć ich zaufanie. Może na przykład upozorować, że przyłączył się do bandy i pójść z nimi na jakąś wyprawę.

W powrotnej drodze z Wadowic Górnych Pietras rozmyślał nad sposobem realizacji planu. Wiedział, że Kosieniak ma bardzo lekki sen. Jest czujny i niełatwo go podejść. Kiedy był jeszcze małym chłopcem, słuchał rozmów jakie prowadził jego ojciec z jednym z sąsiadów, na temat snów. Ojciec tłumaczył wtedy, że ten kto ma bardzo czujny sen, zbudzi się natychmiast na odgłos zbliżających się kroków, ale bardzo szybko potem zasypia, gdy podejrzanę odgłosy ucihną. Pietras zapamiętał to sobie.

Stanisław Pietras po powrocie do domu zobaczył, że Mucha śpi na piecu, a Wasyl leży na łożku. Pomyślał więc, że jest okazja, by dopaść Kosieniaka samego, w osobnym pomieszczeniu zwanym komorą. Kosieniak był mocno pijany, ale nie spał. Pietras szybko wrócił do kuchni.

Do domu Pietrasów przechodziła często matka Muchy, Kosieniak prosił ją, by zaprzestała tych wizyt, bo ktoś może ją zauważyć i domyśli się, że idzie na spotkanie z synem. Muchowa zlekceważyła jednak to ostrzeżenie, nadal w biały dzień odwiedzała syna i tylko przezornie ko-rzystała z drogi przez las. Przychodziła tu często ze swym młodszym synem Jóζεłcem. Podburzała najstarszego syna, członka bandy, przeciwko wsi Jamy. Sama pochodziła z tej właśnie wsi, ale ukrywała się w Woli Wadowskiej u znajomych. Ludzie bali się jej, nie lubili starej kobiety. Groziła, że gdyby Julian zginął, doniesie policji, że Pułowie ukrywają broń.

17 grudnia bandyci cały dzień przebywali w domu Pietrasa. Kosieniak zaproponował wtedy Stanisławowi, by poszedł z nimi na wyprawę rabunkową, gdy zapadnie zmrok.

Gdy Pietras wyraził zgodę, wręczył mu karabin. Nauczył też go obchodzić się z bronią i następnie wszyscy ruszyli drogą wzdłuż potoku Łoś i wałem nad rzeką Upust. U ujścia Upustu do rzeki Bręć, Kosieniak częstował wodką. Pietras zjął karabin z ramienia i ukradkiem celował w Muchę, starając się zarazem mieć na linii ognia i Kosieniaka. Ale ponieważ niechylł wierzty w powodzenie przedsięwzięcia, zrezygnował ze swych zamiarów. W końcu ruszyli w dalszą drogę. Teraz Mucha szedł pierwszy, za nim Kosieniak i na końcu Pietras. Pietras znów zjął karabin i mierzyl w Kosieniaka.

Było na szczęście ciemno i nikt tych gestów nie zauważył. Nie wiedział też, że iglica karabinu była przezornie przez Kosieniaka splutowana, tak, że nie można było strzelać z tej broni. Nie zdecydował się wtedy na ostateczny krok, bo nie wierzył, że celnie strzeli. Wiedział, że w razie niepowodzenia zginąłby śmiercią męczeńską.

Pod Zabrnem na wale rzeki Bręć spotkali jakiegoś chłopca, zatrzymali i spytali, kto w okolicy ma dużo pieniędzy. Przerażony chłop odpowiedział, że najbogatszy jest sotys Moryko. Kosieniak kazał prowadzić do niego. Na podwórzu Moryki Wasyl stanął na straży i pilnował chłopca. Moryko zaskoczony w domu i uderzony rewolwerem w twarz, upadł na ziemię krwawiąc. Kosieniak przygasił lekko lampę i poleciał Pietrasowi, aby pilnował leżącego, a sam z Muchą wszedł do drugiego pokoju

szukać pieniędzy. Zabrali stamtąd skóry i płótno, przeznaczone na nagrody dla gospodarzy wywiązujących się z konyngentów. Pietras próbował pocieszać rozpaczoną Morytkową, ale Kosieniak zabronił mu rozmawiać z napadniętymi.

W pewnej chwili Mucha dostrzegł światło w slajni. To córki Morytków doły krowy, nie wiedząc nic o napadzie. Mucha przyprowadził je przed oblicze Kosieniaka, który zaproponował, by je zgwałcić w mieszkaniu. Pietras nie zgodził się jednak na to. Wór z łupem wyrzucił przez okno. Wychodząc słyszeli, jak gospodynini rozpacza, że zabrali im najlepsze ubrania. Kosieniak zawrócił i karabinem uderzył kobietę tak mocno, że złamał jej obojczyk. Była w ciąży. W ciężkim stanie została przewieziona do szpitala w Tarnowie.

Po napadzie na Morytków, puściwszy wolno zatrzymanego chłopca, wstąpili do dużego gospodarstwa i zabrali stąd trochę żywności. Potem odwiedzili jeszcze gospodarza Gromnego i zabowali mu dzieciinne futerko oraz buty. Po skończonej wyprawie pojeźniali się ze Stanisławem Pietrasem przed jego domem, gdzie odebrali mu karabin i dali trochę zdobycznej kietbasy i stoniny.

18 grudnia 1943 roku bandyci znajdowali się wieczorem w swojej meelinie. Kosieniak już trochę podchmielony wyciągnął wódkę i wszystkich częstował. Mówił wtedy, że dreczę go jakieś złe przeczucia, że nie będzie już sypiał u Pietrasów. Opowiadał, że kilka dni wcześniej w komorze, gdzie sypiał, nawiedziło go jakieś straszne widmo. Przerażony chwycił krzyżek na wyłogu bluzy i zapytał, czego widmo żąda. Widmo, nie odpowiadając, znikło, a Kosieniak długo nie mógł zasnąć.

Mimo tych obaw i złych przeczuć Kosieniaka, bandyci znowu odwiedzili dom Piotra Pietrasa, ojca Stanisława, w dniu 21 grudnia. W trakcie rozmowy Kosieniak zaproponował, by pójść się zabawić. Odwiedzili dwa domy, zaczepiając młode kobiety. Wtedy to Rosjanin Wasyl w pełni poznał charakter „partyzanów”. Korzystając z ciemności odszedł od bandytów. Mucha próbował go wprawdzie szukać, ale na próżno. Rosjanin postanowił rościć się z nimi na dobre.

Stanisław Pietras, który był również obecny w domu Józefa B., spostrzegł siewkę leżącą pod stołem, Mucha akurat uganiał się za Wasylem i Stanisław pomyślał o posłużeniu się siewką w swoich planach.

Nazajutrz udali się do Radgoszczy, gdzie mieszkał Władysław Wąż. Przed dwoma tygodniami bandyci byli u niego i kazali przygotować okup w wysokości 5000 złotych. Wąż nie miał takiej sumy, ukrył się więc na

strychu. Prześladowcy ostrzelali strych i zabili gospodarza przypadkowym strzałem, który z odległości 300 metrów trafił nieszczęsnego w oko. Rodzina długo nie mogła znaleźć ciała.

Tego samego dnia szesnastoletniej córce Tomasza Lesińskiego — Genowefie, nalożył Kosieniak na plecy karabin i torbę z amunicją i oświadczył, że zabierze ją do lasu, ale dziewczyna, wykorzystując stosowny moment, porzuciła karabin i amunicję, wybiegła do drugiego pokoju i wyskoczyła przez okno. Ukryła się tak szczęśliwie w kopcu ziemniaków, że jej nie znaleźli. Wówczas bandyci okrutnie pobili starych Lesińskich, którzy mieli dać okup w wysokości 2000 złotych. Nie poprzestając na tym, polecili im za parę dni przygotować nowy okup w wysokości 5000 złotych. Wszystkiego tego było jeszcze mało. Kazali napadniętym przygotować 5 litrów bimbru, po który wrócić przyjdą. Zażądali też, by w czasie tej nieproszonej wizyty była obecna też córka gospodarza Genowefa. Gdy wrócili z tej zbójckiej wyprawy, we wsi powstał krzyk. Bandyci nie reagowali na wywołany popłoch. Zdążyli się już przyzwyczaić do takiej reakcji na swoją obecność.

Nekany przez nich żądaniem Tomasz Lesiński załadował na 3 wozy żywność, dobytek i drob, zabral krowy i świnię, wywożąc wszystko do córki Leokadii w Dąbrowie Tarnowskiej. Był przekonany, że banda po prostu się do ostateczności i spali mu gospodarstwo.

A tymczasem szajka Kosieniaka poczyniła sobie coraz śmielej.

Bandyci odwiedzili wysiedlonego spod Kolbuszowej C., który mieszkał w Radgoszczy. Jego sąsiadem był inny wysiedleńca, który podburzył podobno bandę przeciw C., z powodu jakichś sąsiedzkich sporów. Bandyci pobili C. i jego żonę i zmusili ją, aby rozebrała się do naga. Nie obeszło się bez poniżającej sceny. Odchodząc zażądali 5 litrów bimbru, po który mieli zgłosić się za kilka dni. Teraz natomiast poszli tropić zbiegłego Wasyla, strzelając po drodze swoim zwyczajem do pierzgn, które wietrzyły się na płocie.

W przeddzień wigilii, 23 grudnia Stanisław Pietras był już całkowicie zdecydowany na wykonanie planu likwidacji bandytów. Wszystko dokładnie przemyslał. Zdawał sobie sprawę, że w wypadku niepowodzenia sam zginie. Do śmierci przygotował się już psychicznie. Nie chciał dłużej tolerować bandytów w swym rodzinnym domu, z którego zrobili sobie melinę. Postanowił bronić rodziny, sąsiadów, narzeczoną. Okazi do likwidacji bandytów nie brakło, gdyż Mucha ufał mu z racji ich powinno-

wacwa. Tuż przed świętami Pietras dowiedział się od swojej dziewczyny, że Kosieniak ją zgwałcił.

Nadszedł dzień wigilii Bożego Narodzenia. Stara Pietrasowa wybrała się w odwiedziny do córki. Matka Muchy kręciła się przy piecu, Kosieniak i Mucha, którzy wrócili z wyprawy, dopiero nad ranem położyli się spać w drugim pokoju. Stanisław rąbał drwa. W pewnym momencie z sienią w ręku wszedł do komory, gdzie spali bandyci. Kiedy otworzył drzwi, Kosieniak obudził się i zapytał, co nowego. Pietras odrzekł obojętnie, że nie wydarzyło się nic godnego uwagi i poprosił o zapakowanie. Kosieniak podał mu je. Pietras zamierzał uderzyć siekierrą, ale w komorze było ciemno i obawiał się, że może chybić celu, wyszedł na zewnątrz.

Bandyci wstali o godzinie dziewiątej. Kosieniak poprosił Stanisławę, by ten pojechał do Matka. Tam u niejakiego Mastałera stały dwie beczki piwa, przywiezione ze Szczucina. Pиво to Feliks Ogorzałek kupił dla bandy. W drodze Pietras odwiedził swego szwagra Józefa Sipiore. Zwiertzył mu się, że zamierza zabić Kosieniaka, Muchę i Muchową. Koło południa pokłócił się z Muchą, poszło o drobny zatarg z dawnych czasów. Zdenewowany Mucha wyciągnął rewolwer, ale Kosieniak chwycił go za rękę mówiąc, że do dobrych ludzi nie wyciąga się broni. Następnie schował rewolwer do swojej kieszeni.

Przed wieczerną wigilijną Stanisław dawał paszę bydłu. Kosieniak i Mucha byli dziwnie niespokojni. W biały dzień wyszli na podwórze, jakby obojętne im być, czy ktoś ich zauważy. Chodzili ze Stanisławem do stajni, do stodoły. Stali się nagle dobrodusznymi. Pietras pomyślał: „Szkoła, że dopiero przed śmiercią tak się zmienili”.

Zapadł wieczór i wszyscy zasiedli do wigilijnej wieczerzy. Nawet Kosieniak łamał się opłatkiem i składał wszystkim życzenia. Stanisław zaś prosił na wigilię także narzeczoną. Kosieniak był dla niej uprzedzającą grzeczny, życzył jej wszelkiej pomyślności. W ciągu całego wieczoru wigilijnego Kosieniak i Mucha wstępowali do pobliskich gospodarstw, składali ludziom życzenia. Odwiedzili podobno 15 domów, w tym obejście rodziny B.

Stanisław Pietras opuścił po wieczerzy dom i zanoconął u kolegi. 25 grudnia, nad ranem, obaj bandyci wrócili. Zanim położyli się spać, Mucha parodiował mszę katolicką, udając księdza. Narzucił na siebie czerwone przykrycie z łózka i udawał, że odprawia nabożeństwo. Kosieniak zbliżył się do obrazu Marki Boskiej wiszącego na ścianie i dziękował za

to, że pozwoliła mu doczekać, piątego już Bożego Narodzenia w tych wszystkich „walkach”. Potem położył się w komorze.

Mucha poprosił, żeby zrobiono mu posłanie w kuchni, na piecu albo w łóżku. Ale Pietrasowa odmówiła wyjaśniając, że mogą go tu zobaczyć sąsiedzi, którzy odwiedzają błąd dom w ciągu dnia. Posłuchał jej, poszedł do komory i tam położył się obok Kosieniaka na łóżku, od strony ściany. Dwa rewolwery umieścili między krawędzią łózka, a sienikiem; dwa karabiny stały przy łóżku, granat spoczywał w wiszącym na ścianie torbiszce.

Rano 25 grudnia Stanisław wrócił od kolegi. Przechożąc obok domu Jeżów spotkał brata Zofii, Władysława i zwiertzył mu się, że zaplanował zabić obu bandytów. Władysław życzył mu powodzenia. Kiedy już znalazł się w domu, wszedł najpierw do komory, gdzie spali Kosieniak i Mucha.

Pietras wyjaśnił, że przyszedł zabrać ubranie z szafy. Otworzył szafę i biorąc z niej jakieś rzeczy, odsunął ukradkiem zasuwkę ryglującą drzwi prowadzące do komory na podwórze. Po chwili wyszedł.

Postanowił, że wejście do komory od podwórza przez te odryglowane teraz drzwi po odczekaniu, aż Kosieniak zapadnie w drugi, mocny sen. Drzwi prowadzące na podwórze otwierały się bardzo lekko i cicho. Zasuwka jednak znajdowała się tuż nad łóżkiem, w odległości 40 – 50 cm od głowy Kosieniaka.

Teraz Pietras wyszedł na podwórze, kierując się do innej komory, w której mieścił się warsztat stolarski. Wziął leżącą tam siekierrę i zaczął ostrzyć ją pilnikiem. Obmyślał przy tym szczegółowy plan działania. Ofiec zapytał, po co przy tak wielkim świetle potrzebna mu siekierra. Odpowiedział, że chce naprawić bryczkę i poszedł do pomieszczenia, gdzie stały wozy. Po chwili zawrócił w stronę domu i oparł siekierrę z ostrzem skierowanym w dół o futrynę prowadzących do komory drzwi, gdzie spali bandyci. Sądząc, że Kosieniak już śpi, wrócił do domu i otworzył drzwi do komory. Przekonał się w ten sposób, że obaj bandyci pogrążeni są we śnie. Zbliżył się więc do łózka Kosieniaka i otworzył ostrożnie drzwi prowadzące na podwórze. Następnie pochylił się lekko i wziął opartą o futrynę siekierrę. Cały czas obserwował w napięciu twarz Kosieniaka.

Nie namyślał się długo. Uderzył Kosieniaka siekierrą w głowę tak, że ostrze wbiło się w czoło na głębokość 12 cm. Uderzony odrzucił głowę do tyłu. Pietras trzymając mocno stylisko siekiery, próbował ją wyrwać z czoła Kosieniaka, ale nie udało mu się. Wtedy z desperacją szarpnął

siekiere z całej siły w górę i tak uwolnionym ostrzem uderzył budzącego się w tym czasie Muchę. Ten oszołomiony snem, zasłonił głowę lewą ręką. Pietras jednym ciosem uciął mu ją poniżej łokcia i zadał ranę w po-przek czoła. Powrótnie uderzył w głowę Kosieniaka zadając nową ranę o głębokości 4 cm. Potem dwa razy ciął Muchę w głowę, ale te dwa ciosy zadał przez pierzynę, gdyż Mucha zdążył się pod nią schować.

W tym czasie Pietrasowa nabierała wodę ze studni na podwórku. Zauważyła siekiere opartą o drzwi i trochę ją to zdziwiło. Kiedy wyciągnęła wiadro z wodą, obejrzała się za siebie — nie dostrzegła siekiery. Uściszała natomiast straszliwy łomot dochodzący z komory. Zaczęła krzyczeć, że mężczyźni się biją.

Pietras ostatnim uderzeniem — jak sądził — zabił Muchę.

Ten jednak jeszcze żył, lecz była to tylko przedłużająca się agonia. Opuścił siekiere, wszystko poszło pomysłnie. Z kolei chwycił karabin Muchy i wybiegł na korytarz. Dostrzegł Muchową. Dzielila ich siedmiometrowa izba. Gdy matka bandyry zobaczyła go z karabinem, próbowała uciekać. Nie zdążyła jednak zamknąć drzwi za sobą. Pietras oparł kolbę karabinu o własny brzuch, nie mierząc strzelił do kobiety, która upadła. Nie miał pewności czy żyje, ale nie był w stanie strzelić powrótnie do leżącej. Później zobaczył, że trafił w czoło.

Zaprzagnął o wszystkim jak najszybciej zawiadomić okolicę. Wybiegł na podwórze i strzelił dwa razy w powietrze. Działo się to około godziny dziewiątej dwadzieścia pięć. Matka Pietrasowa uciekała w stronę studni, krzycząc. Ojciec stał osłupiały. Stanisław, stojąc na podwórzu, wołał wielkim głosem, że nastąpi koniec bandyryzmu, mordów i gwałtów.

Ojciec powiedział do niego: „Synu, dobrześ zrobił, ale czemuś w tak wielkie święto ich zabił?”. Stanisław odpowiedział: „Ten dzień Bóg wyznaczył”. U sąsiada Jakuba Puły wszyscy domownicy wybiegli z chaty, by zobaczyć, co się dzieje. Ktoś z Pietrasów zawołało, że bandyci zostali zabici.

Stanisław Pietras pojechał teraz konno na posterunek policji, by zawiadomić o swoim czynie. W drodze spotkał ludzi wracających z kościoła i dzielił się ze wszystkimi nowiną. Wiadomość wywołała wybuch ogólnej radości. Gdy Jakub Puła dowiedział się o wydarzeniu, pognał drogą do Jam, aby podzielić się wieścią ze swymi kuzynami, Walerym i Pawłem Pietrasami. Ci opowiedzieli o wszystkim uzbrojonym chłopom. Chłopska „policja” zaczęła podejrzewać podstęp. Pojechali więc wozami potwierdzić prawdziwość informacji. Wieść o śmierci bandyry w rozno-

ła się w mig po okolicy. Kto mógł, biegł do Pietrasów, aby o wszystkim przekonać się na własne oczy.

Sasiadka Bartyzelów, dowiedziawszy się o wydarzeniu, wpadła do ich domu z krzykiem: „Jezus Maria, wolności!”. Bartyzelowie płakali i cato-wali się z radości.

Tymczasem Stanisław Pietras opowiadał zebranym ludziom swój sen z ubiegłej nocy. Śniło mu się, że wraz z Zofią Jeź kopali na jego polu dół o szerokości 40 cm i długości 1 metra. Pomyslał sobie teraz, że dobrze się stało, że o tym śnie nie przypomniał sobie przed dokonaniem zabójstwa, bo nie zdobyłby się wtedy na tak śmiały czyn. Znalazł w senniku wytłumaczenie takiego snu: „dół — oznacza niebezpieczeństwo”.

Jadąc na posterunek policji wstąpił do sołtysa Woli Wadowskiej Jana Spyry, któremu oświadczył, że zabił dziś bandyry siekiere, a następnie pokazał skrwawione ręce mówiąc, że na prawej ma krew Muchy, a na lewej Kosieniaka. Sołtys nie mógł uwierzyć, kazał sobie wszystko jeszcze raz powtarzać.

Gdy zameldował policji o zabiciu Kosieniaka i Muchy, dyżurny natychmiast powiadomił swych przełożonych w Mielcu. Następnie komendant posterunku wraz z jednym z żandarmerów pojechali wozem do wsi. Przed kościołem zatrzymali się obok grupy żywo rozmawiających chłopów i komendant wyznał kilku z nich do wykopania grobu dla zabitych. Przyjęli polecenie z ochotą, chwycili łopaty i popędzili za wozem.

Obok domu Pietrasów zebrał się tymczasem tłum ludzi; w sumie przewinęło się tu około pięćuset osób. Przyjeżdżali nawet z daleka. Komendant posterunku rozpoczął czynności służbowe od szczegółowej rewizji w domu Pietrasów.

Z komory, gdzie spali bandyci, zabrał rewolwer i g. anat, a z kieszeni Kosieniaka portfel z kilkoma tysiącami złotych. Zdjął mu też z palców cztery złote pierścienie.

Potem zrewidował zwłoki Muchy, którego ręka zaciśnięta była w kieszeni na rewolwerze. Skonfiskował także zabitym zegarki, a następnie wyszedł na podwórze, gdzie powiedział do zebranych: „Ten człowiek, który ich zabił, był naprawdę bardzo odważny”. Chłopi przejęci wydarzeniem wołali patetycznie: „Niech mu Bóg uświęci ręce i nogi, i niech mu nieba przybliży. On ocalił i uratował wiele ludzi!”

W tym momencie komendant Mrowiński wyszukał kilka razy z rewolweru Kosieniaka na wiat. Z kolei wydał polecenie, aby zdjąć odzież ze zwłok Kosieniaka, Muchy i Muchowej, wyjaśniając, że skoro „sami za

żywoła rozbierali innych, to niech przynajmniej po śmierci pokażą swoją nagość”.

Nagie zwłoki ułożono na podwórzu. Ludzie znieważali je, kopali. Prosił Pietrasa, aby po raz nie wiadomo który opowiadał o przebiegu całego wydarzenia. Wszyscy podziwiali odwagę dwudziestolennego Stanisława. Wśród obecnych był też żebak z Jam, Michał Kucy. Komendant Mrowiński rozkazał mu zawlec zwłoki do lasu, gdzie chłopci kopali już dół, a jednocześnie poczesłował go kielbasą znalezionej w teczce Kosieniaka. To, co nastąpiło potem, było wręcz naturalistyczne. Kucy ukreślił powróż ze słomy, powiązał nim nogi i ręce zabitych i tak wiół zwłoki około 200 metrów. Jedną ręką ciągnął, a w drugiej trzymał kielbasę, którą pogryzał.

Tymczasem przybyli Niemcy i policja z Mielca i Dąbrowy Tarnowskiej oraz policja ze Szczucina. Officer niemiecki z Dąbrowy Tarnowskiej biegnąc krzyczał: „Prima, Prima!”. Następnie wyjął aparat fotograficzny i zrobił zdjęcie bandytów i ich zabójcy, Stanisława Pietrasa. Komendant Mrowiński natychmiast ogłosił, że przez tydzień ludność okoliczna może do woli pędzić bimber i urządzić zabawy.

Do późnego wieczora obok domu panował wielki ruch, zewsząd ciągnęli ludzie. Tymczasem niemieccy funkcjonariusze zmienili poprzednią decyzję i rozkazali zawieźć zabitych na posterunek w Wadowicach Górnych. Nie zabrakło i scen okrucieństwa. Ludzie wychodzili z domów, wyrwali szlachę z płotów i bili zwłoki, mszcząc się za krzywdy doznane od bandytów.

Policja z Mielca wezwała Stanisława Pietrasa i spisano protokół. Niemcy pytali go, czy nie obawia się zemsty pozostałych przy życiu członków rodziny zabitych. Pietras pocieszał się, że ani brat, ani siostra Muchy nie będą mu szkodzić. Żandarm niemiecki zapewniał, że za ewentualne pogroźki grozić będzie kara śmierci. Na koniec Niemcy polecili soltysowi załadować na wóz znalezione broń: dwa granaty, dwa rewolwery, lornetki, dwie torby amunicji, dwa karabiny, potem odjechali.

Zbliżał się wieczór. Ludzie rozeszli się do domów. Kilku chłopów wracających przez las do Jam, spotkało księdza Głodzika, który szedł zobaczyć zabitych. Gdy usłyszał, że zwłoki są nagie, zawrócił. Opowiadał, że rano nie uwierzył organiscie, ale w czasie odprawiania mszy, ilekroć odwrócił się od ołtarza widział, że ludzie zamiasz modlić się, rozmawiali półgłosem, a w końcu, nie czekając końca nabożeństwa pobiegli na miejsce wydarzenia. Ksiądz znowu mógł sygnalizować na plebanii.

Nocą trupy złożono w szopie przy posterunku, a po trzech dniach zakopano na polu, przy drodze gromadzkiej. Przechodnie obchodzili mogiłę z daleka, wciąż żywiąc dziwny lęk.

Tego pamiętnego wieczoru urządzono wiele libacji, pito z radości i wciąż na nowo roztrząsano każdy szczegół wydarzenia. Wszyscy podziwiali odwagę Stanisława.

Tak zginął ośmioletni bandyta, herszt szajki „Czarnych Sępów”, zabójca wielu niewinnych ludzi, własnego brata i żony, sprawca nieokreślonej bliżej ilości napadów, rabunków i gwałtów. Swoje imię okrył wieczną hańbą. Do dziś wspomniany jest przez ludzi z odrazą i lękiem.

28 grudnia 1943 roku przybył do domu Pietrasów Tomasz Lesiński. Na wiadomość o śmierci herszta bandytów i jego najbliższego pomocnika, powrócił do swego domu w Radgoszczu nie obawiając się już wymuszeń ani podpalenia. Głęboko nosił w pamięci poczucie doznanej od nich krzywdy.

Przyszedłem — mówił — popatrzeć na krew Kosieniaka, rozbrzyganą po ścianach, bo to on bijąc i kalecząc mnie i żonę patrzył na naszą krew.

Jak to się stało, że człowiek mógł stoczyć się tak nisko, że stał się dla innych niebezpieczniejszy niż najdziksze zwierzę? Spróbujmy zastanowić się przez chwilę nad jego życiem, które ilustruje drogę człowieka bez hamulców etycznych — a także prawnych.

W sylwece Stanisława Kosieniaka od młodości zaznaczały się a następnie coraz bardziej nasilały cechy osobowości, pozwalające na zakwalifikowanie go do najniebezpieczniejszej grupy psychopatów asocjalnych¹⁷⁾. Przede wszystkim uderza brak jakiegokolwiek skrępowania, brak sumienia, a co za tym idzie, swoista nieświadomość poczucia winy. Dla tego herszta bandy świat był terenem walki wszystkich przeciw wszystkim. Skoro rządzi prawo silniejszego i sprytniejszego — mniemał — żyć może się można do woli.

Wykorzystanie słabości innych i czerpanie stąd satysfakcji, zadowolenia, a także korzyści materialnych; dalej zdecydowana niechęć do podporządkowania się ogólnie obowiązującym normom moralnym i społecznym nakazom, to najbardziej charakterystyczne rysy tej pospólnej osobowości.

W swoim postępowaniu Stanisław Kosieniak był niesłychanie brutalny, impulsywny, mściwy — nie liczył się z nikim, nie znosił dyscypliny. Te cechy utrwalały się z pewnością na skutek bezkarności, z jakiej korzystał

w okresie młodzieńcych wystryków chuligańskich, przed wybuchem wojny. Pogłębiała je zapewne postępująca degradacja alkoholowa.

Był nadmiernie pewny siebie, wręcz chorobliwie uważał się za mądrzejszego i sprytniejszego od innych. Z tym też wiąże się nieumiejętność przegrywania, gdyż godziło to w jego wygórowane mniemanie o sobie.

Nie bez przyczyny, najkrwawszym w jego życiu był dzień, w którym zmuszony został do opuszczenia znanych sobie stron na skutek energicznej akcji AK. Wtedy wyjąłował swój gniew na rzekomych konfidentach. W piąckim szale zabił nawet własnego brata. Zawsze gdy napotykał na trudności, stawiał się najdłszy i najbardziej bezwzględny, dawał się ponieść niepowstrzymanej agresywności.

Zaszanawia w tym wszystkim fakt udzielenia pomocy jeńcom polskim i ukrywanie przez rodzinę Kosieniaków z narażeniem życia zdezbilitowanego wojskowego. Nie była to co prawda zasługa samego Stanisława. Można to wytłumaczyć uświadamiając sobie, iż podopieczni Kosieniaków znaleźli się w trudnej sytuacji, niejako poza nawiasem, siłą ustalonego nowego porządku musieli się ukrywać, znaleźli się, paradoksalnie niejako, po tej samej stronie barykady, co i Kosieniakowie. Działo tu jak gdyby prawo solidarności. Tak dzieje się przecież zwykle w czasie zagrożenia, gdy różni ludzie trzymają się razem, pomagają sobie — przeciwko wrogiemu zewnętrznemu światu.

Inną złożoną cechą psychopatów asocialnych jest niezdolność kochania, związana się uczuciowego. Ta cecha szczególnie ostro uwydatnia się u Stanisława Kosieniaka, skoro na skutek jego postępowania wiele wycierpiąta najbliższa rodzina. Była zagrożona, jej członków wyznaczono jako zakładników na wypadek rozbojów, a jednak Stanisław nie zaniechał swoich bandyckich wyczynów. Naraził braci: Ludwika na wieloletni pobyt w obozach koncentracyjnych i Michała — na śmierć w obozie. W piąckim szale, niepoohamowanej wściekłości zabił brata Tadeusza. Zonę, która miała powody by zniechęcić się do niego — zamordował, masakrując jeszcze żywą.

Moment zamordowania żony stał się chyba przełomowy w sferze seksualnej, gdyż do tej pory nie dopuszczał się Stanisław Kosieniak szczególnych ekscesów pod tym względem. Natomiast od tej chwili dał się poznać jako osobnik skrajnie wyuzdany i brutalny w dokonywanych gwałtach, zarówno fizycznych jak i psychicznych. Mimo to wszystko do-

brze widział, co wyprawia i całkiem świadomie i dobrowolnie dopuszczał się swych zbrodni.

Pamiętający dobrze owe czasy płk Stefan Musiałek—Łowicki na pytanie, dlaczego ruch oporu tolerował wyczyny bandy Kosieniaka, znęcającego się nad mieszkańcami wsi, dał następującą dość enigmatyczną odpowiedź: „Na bandyrow, jak bracia Kosieniakowie i inni, nie wydawały wyroków sądy podziemne, lecz byli oni likwidowani w ramach akcji walki z bandyryzmem. W tej sprawie nie mogę, niestety, udzielić panu żadnego wyjaśnienia”.

Zdzisław Baszak ps. „Pirat” twierdzi, że Kosieniak natknął się na akowców nad Wisłą, koło Toni i pierwszy otworzył ogień, raniąc go w rękę. Po tej potyczce wyniósł się do Jam, a więc w Mieleckie.

Jedno jest pewne, że konspiracja była zainteresowana w likwidacji bandyryzmu, który pogłębiając terror wśród narodu skazanego przez hitleryzm na biologiczne wyniszczenie, jak najbardziej sprzyjał założeniom polityki okupanta.

Przesunęła nam się przed oczyma cała galeria ponurnych, przestępczych postaci, ożywionych chorobliwą atmosferą hitlerowskich rządów na polskich ziemiach. Dwie spośród tych postaci są tak jaskrawe w swej szkodliwości i okrucieństwie, że skłaniają do krótkiej: refleksji na temat zagadek psychologii. Mam na myśli, oczywiście, Stanisława Kosieniaka i Engelbertha Guzdka.

Gdyby Kosieniak żył w średniowieczu, uznano by go, być może za człowieka opętanego przez szataną, demona zła. Gdyby żył w końcu ubiegłego stulecia, może zastosowano by do niego formułę Cesare Lombrosa o wrodzonej, przestępczej predyspozycji, towarzyszącej mu od pierwszych lat życia.

Ze swej strony możemy wysunąć przypuszczenie, że bez wojny i jej doraźnych skutków pozostałby Kosieniak tym, na kogo się zapowiadał: awanturnikiem, nie pozabawionym pewnej fantazji, drobnym większym złodziejaszkiem... Wojenny zamęt, lekceważenie przez okupantów wszelkich ludzkich wartości, stworzyły atmosferę, sprzyjającą spotęgowaniu przestępczych skłonności. Stanisław Kosieniak chciał być nie tylko przestępcą, ale i przywódcą podobnych sobie ludzi, wydzierających społeczeństwu jego skromne dobro, narzucających swoją wolę na wzór tego, co w skali całego narodu czynili na co dzień wrogowie — okupanci.

Apejrt rósł w miarę jedzenia; polegowały się zbrodnicze zachcianki. Już nie wystarczał sam rabunek pieniędzy, kosztowności, cennej odzieży.

Kosieniak przywłaszczał sobie pełne prawa do prześladowanych. Gwałcił napadnięcie kobiety, torturował obrabowanych, nawet wiedzy, gdy wcale nie chodziło o ujawnienie miejsca schowanych pieniędzy. Napadniętych ośmieszał i poniżał. Zanotowano fakt obrzucania obelgami kobiet, które nie przypadły mu do gustu.

Większości tych torturowskich praktyk towarzyszyło zapewne pijanństwo, często poprzedzające napad. Nie można jednak tłumaczyć alkoholizmem coraż to liczniejszych zbrodni, wskazujących na polegowanie się zbrodniczego zapamiętania i przechodzenia w swoistą psychiczną dewiację.

Punktem kulminacyjnym sadystycznych wynaturzeń może być zamordowanie własnej żony, pocięcie i zmasakrowanie jej zwłok; a wszystko to poprzedzone wspólnym pijaństwem i porcją prawdziwych, bądź udawanych czułości.

Można sądzić, że w tym nieustanym paśmie zbrodniczych praktyk zdarzały się okazy przejaśnienia, swoje lucida interwala, kiedy do głosu dochodził spryt przestępcy. Wtedy to — rzadko zresztą — udawał Kosieniak, że ma coś wspólnego z antyhitlerowską partyzantką, starał się szerzyć wokół siebie sławę pogromcy okupantów.

Istotnie, niektórzy z nich, a nawet sam ober-kat Guздеk wołał nie wchodzić w drogę zuchwałemu bandycie. Z bardzo zresztą prostej przyczyny: zandarm był odważny w stosunku do bezbronnym ofiar. Uniknął starcia z tymi, którzy mogli się okazać niebezpieczni.

W sumie jednak działalność watazków typu Kosieniak była na rękę okupantowi. Terroryzowała społeczeństwo, osłabiała jego możliwości walki z faszystowskim najazdem. Jeżeli była przezeń zwalczana, to paradoksalnie — niejako ze względów konkurencyjnych.

STANISŁAW PIETRAS — POGROMCA KOSIENIAKA

29 grudnia Stanisław Pietras znalazł się w miasteczku Radomysł Wielki. Koledzy zaprosili go do restauracji. W powrotnej drodze przechodził koło domu Lesińskich, z którego wybiegła córka gospodarzy i przywitała Stanisława słowami: „Cześć, wielki bohaterze!”. Następnie wzięwszy go pod rękę, zaprowadziła do domu, gdzie obecny był między innymi syn Lesińskiego, lekarz z zawodu.

Gościna i rozmowy przeciągnęły się. Gospodarze obdarowali Pietrasa, dając mu w nagrodę dwa zegarki, jeden na rękę a drugi kieszonkowy. Ludzie chcieli na własne oczy zobaczyć pogromcę bandyty, zapraszali go na wesela i inne uroczystości. Niektórzy sądzili, że jest to groźny i ponury mężczyzna, lecz gdy go wreszcie poznali, dziwili się, bo bardzo odbiegał od ich wyobrażeń. Przekonali się, że jest spokojny i skromny.

Chwalili go więc, że szanuje ludzi, nie jest butny. Wieść o zabiciu bandytów rozeszła się daleko. W tym czasie Stanisław Pietras zgłosił komendantowi policji, Mrowińskiemu, że Józef Mucha, brat nieżyjącego bandyty, przechowuje u siebie zamek do karabinu. Komendant zabral mu zamek.

Wówczas Józef Mucha, aby wypełnić wolę brata i zemścić się na Putach, oskarżył ich o ukrywanie broni, natomiast Feliksa Ogorzałka o to, że dorabiał części (kolby) do ukrywanych karabinów. Ponadto obciążył Putów twierdząc, że utrzymywali kontakty z Kosieniakiem i przechowwali rzeczy zabrane przez bandę.

Policja w czasie rewizji znalazła u Puty karabin po zabitym Żydzie, Mendliu Amsterdanie. Sprawdzono jednocześnie, czy broń ta nadawała się do użycia. Po rozłożeniu zamka okazało się, że iglica jest spilowana. Puta tłumaczył Niemcom, że bandyci nie mając własnego domu, mogli bez jego wiedzy schować u niego rezerwową broń.

Na razie zandarmi zabrali Feliksa Ogorzałka, w którego domu znaleźli w czasie rewizji przedmioty pochodzące z rabunków. Po pewnym czasie aresztowali także Putów. 31 grudnia zabrali Wojciecha Putę

i jego żonę Anielę, 3 stycznia 1944 roku rozstrzelali ich. To samo spotkało Ogorzałka i jego matkę w Nowej Dąbrowie pod Tarnobrzegiem. Jedyną córką Pułów — Apolonia, zdążyła się ukryć w porę i uniknęła śmierci. Tak zemsta Muchy dosięgnęła Pułów, już za grobu. Szesnastoletni Józef Mucha został wywieziony na roboty do Niemiec.

Policja i okoliczna ludność miała teraz nadzieję, że skończą się kradzieże i rabunki w okolicy. Trwały one jednak nadal. Komendant posterunku zarzował, że skoro Pietras jest królem w powiecie dąbrowskim i mieleckim, to powinien pozabijać nowych złoczyńców.

Rabunków dokonywali wysiedleńcy oraz niektórzy spośród miejscowych, posiadających broń. I tak, w Słupcu grasował złodziej Kawalec, ale nikogo nie zabijał. Policja prosiła chłopów Jam o pomoc w wykryciu rabusiów. Chłopi sporządzili listę podejrzanych, na której między innymi figurowały nazwiska: Henryk Kokoszka, który akurat wrócił z więzienia, Filip Jacenty, Władysław Cichon. Nie wiadomo czy byli winni.

26 stycznia znowu zaproszono Pietrasa na wesele do Dulcy Wielkiej. Tam powitano go z entuzjazmem i wypytywano o szczegóły zabicia bandytów. Pietras pokazywał między innymi zdjęcia wykonane na miejscu czynu, które otrzymał z posterunku policji w Dąbrowie Tarnowskiej. Zdjęć było osiem. Przedstawiały albo samego Kosieniaka, albo wszystkich troje zabitych, to znów zbliżenie głowy rozbitej ciętami siekier. Po weselu Pietras zanocował u swego znajomego Antoniego Dziubka. Tej właśnie nocy policja aresztowała Kokoszkę, Jacentego, Cichonia oraz Romana Kozłowskiego. Kokoszka i Kozłowski zostali zamordowani, natomiast Cichonia Niemcy zabrali do Mielca, a Jacentego puścili wolno.

Gdy nazajutrz rano Stanisław Pietras dalej bawił się na weselu, dano znów nakaz z policji, aby zgłosił się po nagrodę. 28 stycznia Niemcy przyjechali do Pietrasa na trzech wozach. Był tu między innymi starosta (Kreishauptmann) w randze majora z Dębicy, kapitan policji z Mielca, Niemiec ubrany po cywilnemu, żandarm z posterunku w Wadowicach Górnych oraz sotys — Jan Spyra.

Major podziękował Pietrasowi za dokonanie odważnego czynu i wręczył mu nagrodę, dwa tysiące złotych. Komendant położył na stole dwa portfele bandytów, w których było po czterysta złotych i dał je Pietrasowi. Przybyli oglądali zbrodzone krwią ściany i słuchali relacji Pietrasa.

Stanisław, korzystając z dogodnej okazji, poprosił by ludzi zabranych do obozu jako zakładników w odwet za dzianie bandy uwolnić, major

niemiecki polecił zebrać adresy tych ludzi i dostarczyć na posterunku w Mielcu i Dąbrowie Tarnowskiej.

Niemcy wyjęli trzy litry wódki i wypili ze Stanisławem. Major zabral Stanisława ze sobą mówiąc, że będzie mógł spędzić noc w Mielcu, zaraz rano otrzyma zezwolenie na przejazd pociągłem do Dąbrowy, aby wykupić towar, bo dostarczone mu w nagrodę bony ważne były tylko do 31 stycznia. Pietras wrócił do domu z zakupioną w Dąbrowie Tarnowskiej odzieżą i obuwiem.

W ten sposób, wykorzystując naiwność młodego i niedoświadczonego chłopca, Niemcy próbowali występować w roli jego niemal dobroczyńców. Prezentowali go jako swojego rodzaju sojusznika władz okupacyjnych w walce z przestępcami kryminalnymi. Sprawa była sztywna grubymi nićmi, bo trudno się dopatrzeć w postępowaniu Pietrasa jakichkolwiek tendencji kolaboracyjnych.

Faktem jest, że po zabiciu Kosieniaka miejscowa ludność odczekała swobodniej. Faktem jest również, że publiczne pochwały i wyróżnienia ze strony Niemców nie budziły wśród społeczeństwa sympatii do osoby Pietrasa.

Tymczasem Filip Jacenty próbował jakoś wybronić swego aresztowanego sąsiada, Cichonia. Zwrócił się do Pietrasa o pomoc. 3 lutego pojechał więc Stanisław z Heleną Cichonową, żoną aresztowanego, na posterunek niemiecki. Wyjaśnił Niemcom, że Cichon nie miał nic wspólnego z szajką Kosieniaka, ale Niemcy oświadczyli, że został zatrzymany przez gestapo za współpracę z bandą. Wyszli z niego. Jednakże po sześciu miesiącach, Cichon został zwolniony z obozu w Płaszowie.

W lutym proboszcz zarządził rekolekcje w parafii w Jamach. Do stacji kolejowej w Szczucinie pojechał jeden z małych chłopów, by przywieźć misjonarza. Po drodze chciał opowiedzieć o zabiciu bandytów, ale misjonarz przerwał mu mówiąc, że wie o wszystkim, gdyż wieść do-tarła aż do klasztoru pod Krakowem.

W czasie nauk w kościele misjonarz wspominał również o zabójstwie. Pietrasa, który odbył spowiedź, zapytał, czy zabił dla pieniędzy? Pietras odpowiedział, że powodowała nim intencja, by uwolnić ludzi od zwyrodnalców, którzy mordowali, rabowali i gwałcili. Misjonarz udzielił mu rozgrzeszenia.

W ciągu miesiąca Pietras zebrał wszystkie adresy zakładników, wysłanych do obozu. Ich rodziny starały się działać jak najszybciej. Doręczone przez Pietrasa adresy zostały przesłane do Mielca i Dąbrowy do wyz-

szych władz niemieckich. W podaniu o zwolnienie więźniów zaakcentowano, że Pietras, który zabił bandytów, prosił o uwolnienie niewinnych ludzi. Niemcy, zabięci te nie przyniosły rezultatów. Wyższe władze okupantów po dwóch miesiącach nadesłały odpowiedź odmowną.

W domu Pietrasa schroniły się w luym dwie osoby z Matca, chcąc uniknąć wywieżenia na roboty do Niemiec. O świcie ukrywający się za uwałyli, że od Suchego Gruntu zbliża się do domu policja. Zaczęli więc uciekać do lasu ścigani przez Niemców, którzy też wpadli do zagrody. Był wśród nich Prescher i dwóch policjantów granatowych. Pytali, kim są uciekający. Stanisław odpowiedział, że to nie Żydzi, lecz uciekinierzy z Matca.

Niemcy chcieli się dowiedzieć przy okazji, co Pietras zrobił z zegarkiem, który niegdyś Kosieniak zabrał pewnemu lekarzowi z Wietrzycho-
wic. Zegarek ten lekarz otrzymał od ранego pilota niemieckiego, którego w roku 1939 zeszturzelia polska artyleria przeciwlotnicza. Pietras zgodnie z prawdą odpowiedział, że już dawniej oddał ten zegarek policji w Mielcu.

W kwietniu żandarmeria z Mielca zawiadomiła Pietrasa, aby zgłosił się w Siedliszowicach we dworze ziemianina Wysockiego po nagrodę. Pietras pojechał do Siedliszowic i opowiadał tam, jak zabił pochodzącego z tej wsi Kosieniaka. Ludzie gratulowali mu mówiąc, że o jego śmiertelnie czynie dowiedzieli się już 26 grudnia. Oglądali zdjęcia z miejsca zabójstwa. We dworze Pietras dowiedział się, że Wysocki mieszka obecnie za Krakowem, gdzie powtórnie się ożenił, że wyznaczył nagrodę, gdyż Kosieniak, jak pamiątkamy, zabił kiedyś jego żonę.

Wysocki złożył wówczas pięć tysięcy złotych na posterunku policji w Dąbrowie Tarnowskiej jako nagrodę dla pogromcy Kosieniaka. Ponieważ pieniądze traciły szybko na wartości, obiecał ponadto, wyrówna nie tej kwoty. W czasie mordu w Siedliszowicach w 1941 roku można było za nie kupić siedem krów, a w 1944 roku tylko kilkumiesięczne cieli.

Na początku lipca, na posterunku w Mielcu wręczono też Pietrasowi złoty zegarek kieszonkowy, który kiedyś stanowił up Kosieniaka, ponieważ nikt nie zgłosił się po jego odbiór, choć 25 obrabowyanych osób ogłaszało go.

Latem 1944 roku stało się oczywiste dla wszystkich, że Niemcy przegrali wojnę. Nad potokiem Jamnica stał aż do stycznia 1945 roku front, przebiegający przez Dulczę Małą i Wielką, Wołę Wadowską, Słupiec.

We wrześniu Niemcy przystąpili do budowy umocnień na terenie Radgoszczy, Matca, Zabnia, Brzeżówki i Szczucina. Z Matca lekka artyleria niemiecka strzelała do armii radzieckiej, znajdującej się już nad potokiem Jamnica.

Stanisław Nowik, Ukraińiec w służbie armii niemieckiej, zakochał się w Marysi Bartyzel. Ponieważ Nowika przeniesiono w końcu do Smęgorzwa, zabrał ze sobą Bartyzelów. Również powinien Niemiec z Radgoszczy zakochał się w Marysi. Zazdrośny Nowik zastrzelił rywala. Niemcy nie wiedząc, kto dopuścił się tego czynu, aresztowali dziesięciu chłopów. Dokonali też rewizji u Bartyzelów. Zatrzymanych chłopów zwolniono, gdy ciężko ranny Niemiec, odzyskawszy przed śmiercią przytomność powiedział, że ranił go Nowik. Ten zaś zdążył zbiec.

27 listopada 1944 roku około pięćdziesięciu Żydów ukrywających się w bunkrach w lasach Dulczy Wielkiej i Małej wyruszyło w stronę linii frontu. W okolicy Dulczy Małej podczas przekraczania potoku Jamnica zostali ostrzelani, siedmiu z nich zginęło, wielu odniosło rany. Żydzi musieli opuścić las, bo okoliczna ludność została wysiedlona i nie miał kto im dostarczać żywności.

Rodzinę Pietrasów m.in. Piotra i Magdalene przesiedlono do Radgoszczy, bo front był już blisko. Na zapleczu frontu grasowali nie raz okupanci, rabując polską ludność. Tak np. młoda Ukrainka pozostająca w bliskich związkach z oficerem niemieckim, przeprowadzała rewizje, zabierała mąkę, jajka, chleb. Kobiętom na ich zale odpowiadała: „Was Polaków i tak wnet szlag trafi”.

Mieszkali oboje we wsi Brzeżówka. Oficera przeniesli później gdzieś indziej, a jego przyjaciółka miała później jechać za nim. Około 10 listopada zjechał po nią wóznica; pożegnała się z domownikami i z walizką w ręku wsiadła na wóz. Ujechali zaledwie ze 400 metrów, gdy żołnierze podziemia zabrali ją z wozu i wciągnęli w krzaki olszyny. Zginęła tam od ciosu siekierą. Być może strzelanie w strefie przyfrontowej było wówczas zbyt ryzykowne. Furmanowi polecieli jechać do stacji w Szczucinie i dopiero potem wrócić.

Po pewnym czasie Pietrasowie przenieśli się do Zalipia pod Dąbrową Tarnowską wraz z wysiedloną w listopadzie 1944 roku ludnością Radgoszczy i Brzeżówki. Stąd 15 stycznia 1945 roku obserwowali luny pożarów w Matcu, Jamnach, Suchym Gruncie, Zabniu. Przez Zaliپیe uciekało wojsko niemieckie. Wreszcie 16 stycznia 1945 roku przyszła

upragniona wolność, lecz Pietrasowie nie wracali do swojej wsi, gdyż ich dom spłonął.

Rozpoczęło się nowe życie na wyzwolonych spod okupacji ziemiach. Wielu chłopów rozpoczęło pracę w Urzędzie Bezpieczeństwa, między innymi Paweł Grzech i Władysław Mucha, brat zabitego przez Pietrasa Juliana. Na początku kwietnia 1945 roku do domu Błażeja Kaczówki w Żalipiu, gdzie przebywał Pietras, wszedł z bronią Władysław Mucha, sotys oraz uzbrojeni milicjanci z Dąbrowy Tarnowskiej.

Mucha krzyczał, że szuka mordercy swej matki. Przystawił karabin do piersi Pietrasa mówiąc, że aresztuje go w imieniu prawa. Pokazał też nakaz aresztowania. Na posterunku w Dąbrowie Tarnowskiej zamknęto Pietrasa w piwnicy, skąd Mucha miał poprowadzić areszanta do Mielca. Znajomi Pietrasa nie pozwolili na to, bojąc się, że Mucha zemści się za śmierć brata i matki. Postanowiono wysłać z nim Stanisława Szadego. Na dwa kilometry przed Mielcem, Mucha kazał Szademu zawrócić i zapewniał, że sam zaprowadzi Pietrasa. Szady nie uległ namowom.

W czasie przesłuchania szef Urzędu Bezpieczeństwa w Mielcu wyraził zdziwienie, komentując fakt, że przy Stanisławie Pietrasie znaleziono książeczkę do nabożeństwa, a przecież w bestialski sposób zabił trzech ludzi. Gdy wreszcie komendant dowiedział się od ludzi z Jam prawdy o wypadkach z czasów wojny, wezwał Muchę, aby ten przeprosił Pietrasa. Władysław Mucha nie dawał za wygraną i oskarżył zatrzymanego, że winien jest wystąpienia jego młodszego brata — Józefa na roboty do Niemiec. Szef UB oświadczył, że sprawę tę rozstrzygnie sąd.

Ludzie byli oburzeni tym, że zatrzymano Pietrasa. Domysляли się, że stało się to za sprawą Władysława Muchy. Sotys zebrał podpisy z prośbą o uwolnienie go. Wkrótce wyszedł na wolność.

W 1948 roku MO aresztowało Pawła G., Władysława S. i Feliksa S. z Jam. Chodziło o nadużycie w czasie, gdy chłopci wystąpili zbrojnie przeciwko Idzikowi. Aresztowanym postawiono zarzuty współpracy z Niemcami w tropieniu Żydów w lasach Dulicy Małej i Wielkiej oraz Matca. Oskarżono też ich o zrabowanie rzeczy Jana Kulpy w Dulicy Małej, gdzie zginęli wredy Stokłosa i Kulpa. W więzieniu czekali na rozprawę rok.

Przed sądem wojskowym w Rzeszowie Stanisław Pietras zeznał, że to Kosieniak zabił Idzika i jego kochankę Żydówkę. O rabunku, którego w czasie rewizji w domu Piotra Pietrasa dopiśli się Paweł G., Pietras

nie wspominał. Ponieważ nie było dowodów na to, że chłopci pomagali w ściganiu Żydów, aresztowanych zwolniono.

Jesienią 1962 roku przybył do Stanisława Pietrasa syn Stanisław, mający nazwisko Kosieniak, około dwudziestoletni wredy chłopak. Chciał wiedzieć, dlaczego ojciec zabił swą żonę a jego matkę. Opowiadał, że dwu wycierpeli on i jego siostra. W czasie wojny oboje przebywali w ochronce w Krakowie, po wkroczeniu Sowietów wyjechali do Bydgoszczy, gdzie siostra wyszła za mąż. Ludzie ostrzegali Pietrasa, że chłopak może chcieć pomścić śmierć ojca, ale były to obawy pienne. Syn Kosieniaka okazał się człowiekiem uczciwym. Chciał tylko zobaczyć zdjęcie ojca.

W roku 1965 przyjechał w odwiedziny z Austrii Józef Mucha. Czynił starania, aby zwłoki matki przenieść na cmentarz do Jam. Władze zgodziły się na to pod warunkiem, że przeniesie zwłoki wszystkich trzech zabitych wówczas osób. Józef Mucha kupił trumnę i w obecności komendy Kosieniaka, ale komisja zmusiła go do tego. Szczątki zostały pochowane na cmentarzu. Nagrobka nie postawiono w obawie przed zniszczeniem przez miejscową ludność.

Tak więc echa zbrodniczego życia i dramatycznej śmierci Stanisława Kosieniaka docierały do Stanisława Pietrasa jeszcze w wiele lat po wstrząsających wydarzeniach pierwszego dnia Świąt Bożego Narodzenia 1943 roku.

ENGELBERT GUZDEK — KAT POWIŚLA

Wróćmy teraz do losów jednej postaci, która przeżywała się stale w pierwszej części naszego opracowania, a była związana z losom jej bohaterów — do Engelberta Guzdeka.

Występował on w relacji o wyczynach herszta „Czarnych Sępów” Stanisława Kosieniaka, a także przy omawianiu działalności, mimo wszystko bardzo kontrowersyjnej, Wojciecha Łdzika. Spośród żandarmów wyróżniał się gorywoscią w służbie, szczególną aktywnością i przebiegłością, a przede wszystkim wyjątkową bezwzględnością i okrucieństwem. Nikt jednak wtedy nie potrafił nic bliższego powiedzieć o jego przed okupacyjnej przeszłości, ani skąd pochodził. Nikt bowiem spośród mieszkańców tych terenów nie znał go.

Barwną i ueseńcą, choć nie wolną od pewnych przeinaczeń charakterystykę Engelberta Guzdeka przynosi książka „A jednak tak było” piora Władysława Myślińskiego, wydana przez LSW w roku 1978¹⁸. Poczynając od strony 319 czytamy, co następuje:

„Na pograniczu powiatów brzeskiego i dąbrowskiego grasował nazywany „Krwawym upiorem Powiśla” żandarm niemiecki obcwachimeister Engelbert Guzdek. Władat biegłe językiem polskim, pochodził z Karwiny, a z zawodu był rzeźnikiem. Przed wojną jak się przyznawał — był wielkim, nie lubiącym Polaków awanturnikiem, zabił swoją matkę (ta wersja jest nieprawdziwa — przyp. A. K. Musiał), bo była Polką i byłby zadynał na szubienicy, gdyby nie wojna.

Na pewno tę kanalię, tzn. tego samego (przeszło 190 cm wzrostu) mężczyznę widziałem w listopadzie 1939 roku w Katowicach, jak prowadził ulicą powstańców, razem z innymi kolegami po fachu, czterdziestu ośmiu Polaków — skutych parami i połączonych łańcuchem — do lasu na rozstrzelanie.

W naszym rejonie w czasie okupacji zabił w ciągu roku tysiąc osób i już drugi liczyć zaczynał. Gdy przejeżdżał przez wieś w towarzyskimie policjantów granatowych na wózku z karabinem maszynowym gotowym wciąż do strzału, wieś była jak gdyby wymarła. Do każdego napotkanego młodego zdolnego na partyzanta mężczyzny, strzelał bez zapytania. Na

początku, przebrany za cywila, udając handlarza chodził po okolicy i nabierał stromotnie ludzi.

Dokonywał mordów na bezbronnej ludności polskiej, żydowskiej i cygańskiej i był przez to pożytecznym narzędziem w tym wielkim politycznym mechanizmie hitlerowskiej zagłady. Jego samego uważali niekiedy za przeciwnego ichorzą, który, widząc śmiertelne przerażenie swoich ofiar, nie mniej przerażał się na myśl o własnej śmierci. Stąd dla dodania sobie odwagi wypijał podobno codziennie ćwierć litra wódki na czczo i rozlepiat ałsże, ostrzegające, że za niego zginie stu Polaków.

Miał więc ten ludobójca doskonałą osłonę i wyjątkową wśród tej wojennej spodu prawa ludności polskiej — okazję do dawania upustu swoim zbrodniczym zapędom. Mógł zatem zabić kogo chciał i ilu chciał ludzi na raz. Za nic nie odpowiadał — przeciwnie dostawał awanse, nagrody i pochwały. Wolno mu było stosować różnego rodzaju wyrafinowane tortury i w różny zastraszcający sposób śmierć zadawać.

Najwięcej przerażenia siał ten hitlerowski zbrodniarz w sąsiednim powiecie dąbrowskim, ale zaznaczył się krwawo również w powiecie brzeskim. Gdy w marcu i w kwietniu 1942 roku przebywał na posterunku w Szczepanowie, nikt jeszcze nie domyślał się, co to za niebezpieczny zbój. Tu i tam spotykało się trupy cieżych, nie znanych, z niewiadomej przyczyny zamordowanych ludzi, gdyż dowody osobiste (czytaj: „kennkarty” — przyp. A. K. Musiał) im zabierał, aż się później wyjaśniło, że sprawcą ich śmierci był Guzdek.

Jednego razu Guzdek przybył do Łęgu wraz ze swoim pomocnikiem. Naraz zauważył młodego chłopaka przechodzącego po kładce przez wzebraną rzeczke Uszwicę. Kazał swojemu pomocnikowi do tego czelnicznego chłopca, Władysława Bernadego strzelać — niby z łaski — tylko w kolana, ale to wystarczyło aby chłopiec wpadł do wody, a później z odniesionych ran zmarł.

Niedługo potem spotkał w lesie zdążające do stacji kolejowej w Sterkowcu dwie młode kobiety, prawdopodobnie z Krakowa. Uprawdali je w las i zabił. A już najbardziej obydnego czynu dopuścił się na chodzących tu po żywność, znanych dwóch nauczycielkach z Tarnowa. Wśród nieopisanego lamentu i płaczu wyprowadził je na cmentarz w Bielicy i zamordował.

Tak polując na ustrojnej drodze, w lasku obok torów, prowadzących od stacji lub do stacji kolejowej w Białolinach, Guzdek ze swym pomocnikiem napotkali Stanisława Mieczysławskiego z Borzęcina, niosącego

akurat prasę podziemną. Ale nie o to im chodziło, bo go nie rewidowali, tylko, że Mieczkowski wyglądał na partyzanta. Rzucili się na niego i bili kolbami do nieprzytomności, a następnie do niego strzelili i odeszli. Rannym Mieczkowskim zajęły się dwie przechodzące tamtędy dziewczyny — Wiktoria Wójcik i Elżbieta Nepelska z Warszawy. Przeniosły go na drugą stronę torów i ukryły w lesie, a następnie zawiozły do szpitala w Tarnowie. Tam się wyleczył i żyje do dziś, a jego przygodne pielęgniarki stały się później dzielnymi sanitariuszkami „Zielonego Krzyża”.

Wyjątkowo zaciekle prześladował zbrodniczy żandarm ludność żydowską. Bezpośrednio przed przeniesieniem do Radgoszczy Guzdek brał udział w kaźni Żydów na terenie getta w Tarnowie. Wywożono ich do Bełżca, a niezdolnych do odbycia podróży odstawiano na miejscowy cmentarz żydowski. Tutaj na polecenie Guzdeka wykopano rów długości 30 m, a szerokości 2 metrów. Żandarm kazał się Żydom rozbiierać i osobić ich zabijał.

Uczestniczył także Guzdek w masakrze Żydów pod ratuszem w Tarnowie. Niemcy ustawili tam rkm-y i seriami rozstrzelali doprowadzonych. Mieszkańcy, którym Niemcy kazali uprzątać zwłoki, opowiadali, że krew pomordowanych ściekała po placu Kazimierza, jak woda po deszczu”.

Z takim zbrodniczym doświadczeniem przybył Engelbert Guzdek do Radgoszczy w sierpniu 1942 roku. Rozpoczął tu działalność jako żandarm niemiecki, a był specjalistą od pacyfikacji¹⁹⁾.

Z Radgoszczy dokonywał wypadów w teren, zapuszczając się w okolice położone nad Dunajcem czy Wisłą. Zamieszał na plebani, gdyż tu właśnie czuł się najbezpieczniej.

Po przybyciu Guzdeka do Radgoszczy, Niemcy rozlepili afisze, które zapowiadały, że w razie zamachu na jego osobę lub w razie akcji dwersyjno-sabotażowej rozstrzelanych zostanie stu zakładników. Na liście znaleźli się między innymi dwaj księża z Radgoszczy, ksiądz z Luszwowic, kierownik szkoły Jan Grondalczyk i wielu gospodarzy. Zakładników poinformowano na piśmie o tym rozporządzeniu.

Guzdek ustawił liczne warty nocne. Posterunku, gdzie pracował, strzegło w nocy około czterdziestu wartowników. Stały tam też zawsze jedna lub dwie furmanki, gotowe do jazdy. Do ulubionych „zabaw” żandarma należały szalone gonitwy furmanką, podczas których wrzeszczał i strzelał w powietrze.

Był jednym z reprezentatywnych przedstawicieli ówczesnej zbrodniczej menażerii psychopatów, wyżywających się na bezbronnej ludności z pełną świadomością swego przestępczego działania. Jako żandarm niemiecki kontrolował posterunek policji granatowej w Radgoszczy i pozostawał w stałym kontakcie z gestapo w Tarnowie. Wybierając się w drogę nie mówił nigdy dokąd jedzie.

AK wydała na niego wyrok śmierci. Guzdek czasami wspominał, że wie o istnieniu polskich sądów podziemnych i o tym, że wydają one wyroki śmierci, ale dodawał, że się nie boi.

Działalność w Radgoszczy rozpoczął od wydania polecenia wzniesienia szubienicy z powroзами na szczycie hakach. Wznoszono ją bardzo długo. Robotnicy uchylali się od pracy, do której zmuszał ich, grożąc użyciem broni. Sprowadził też kawał o nazwisku Pubrat, zwanego przez ludzi „Psubratem”. Jego ubranie było czerwone, rękawiczki także. Miał dokonywać egzekucji, jednak jego rola ograniczyła się do pomocy w śledztwach. Guzdek bowiem wołał własnoręcznie rozprawiać się ze skazanymi.

Żandarm zwykle zaczynał swe urzędowanie od wypicia ćwiartki wódki. Towarzyszył mu obłotymi, wytusowanym wilczur. Po zjedzeniu śniadania Guzdek ustalał plan działania i adresy przyszłych ofiar, które wskazywało mu gestapo w Tarnowie lub miejscowi konfidenti.

Często w pojedynkę, w cywilnym ubraniu ruszał w teren i podstępnie wydłubał istotne dla siebie informacje od prostych ludzi. Gestapo wysłało go w wielką wadząc. Strzelał bezkarnie, bez powodu, do przypadkowo napotkanych ludzi; sprawiał mu satysfakcję wzbudzanie postach.

Jeden z gospodarzy, nazwiskiem Fedor, chcąc sobie zaskarżyć względy Guzdeka, zaprosił go wraz z policjantami na wesele. Obecny był tam między innymi młody chłopak Józef Fedor, bliski krewny Jana. Słyszał o Guzdku różne okropności, korzystając więc z pierwszj sposobności opuścił weselników i połą drogą wracał do swego domu. Po spokojnym przejściu około trzystu metrów nie wytrzymał nerwowo i zaczął uciekać. Zobaczywszy to Guzdek porwał karabin i zaczął strzelać do chłopaka. Na szczęście nie trafił.

Ale i zbrodniczemu żandarmowi dopisywało szczęście, o czym świadczą przebieg starcia z żołnierzami podziemia w lecie 1942 roku. W sierpniu partyzanci z okolic Szczucina dokonali kilka wypadów zbrojnych.

Jeden z akowców — „Wyżeł” opracował plan ataku na posterunki, urządził pocztowy i mleczarnię.

Do planu tego włączono również rozprawienie się z brutalnym żandarmem Prescherem.

Jan Wołek i Stanisław Szol „Srokacz” z Lubasza ze swą sekcją ruszyli ogrodami z Targowicy za Prescherem. Ten zwiertzył niebezpieczeństwo i telefonicznie poprosił Guzdek o pomoc. Dzwonił z mieszkania komendanta posterunku policji Sikorskiego i akowcy próbowali — bez powodzenia — zastrzelić go przez okno z zewnątrz. Do mieszkania jednak nie wdarnęli, a co gorsza — nie przecięli linii telefonicznych. Ten błąd miał się na nich zemścić, bo zaalarmowany Guzdek niebawem nadjechał. Tymczasem inna grupa partyzantów niszczyła akta urzędowe i demontowała maszyny w mleczarni.

Po nieudanych próbach zamachu na Preschera partyzanci odskoczyli do lasu w Lubaszu i stamtąd ostrzeliwali przybyłego Guzdeka. Z waju Wisły otworzyli ogień ludzi z oddziałów „Saszy” i „Groma”.

Auto niemieckie wyjechało z rynku i wolno przesuwało się szosą w kierunku Mędrzechowa. Oświetlone utrzymało się środka drogi, eskortowane z lewej i prawej strony przez rowerzystów. W gromadce Niemców jechali Prescher i Guzdek.

Gdy doszło do starcia, Guzdek tak wojowniczy w stosunku do bezbronnych, stichóżył i wycofał się do miasta. Tak skończyła się pierwsza na tę skalę akcja zbrojna w tym rejonie. Brali w niej udział partyzanci z wielu gmin. Echo starcia było bardzo głośnie. Rozeszła się wieść, że „Jędrusie” zaatakowali Szczucin.

Z wyjątkową zaciętością — jak już wspomniano w tej pracy — przesładował Guzdek Żydów. Teren koło Radgoszczy jest lesisty i dlatego ukrywał się tam wielu Żydów, zbiegłych z gett czy transportów. Najwięcej kryjówek istniało w kompleksie lasów Radgoszcz, Radomyśl Wielki oraz na pograniczu powiatów Dąbrowa Tarnowska i Mielec. Łączyli się w grupy, budowali zamaskowane bunkry i kryjówki. W żywność zaopatrywali się we wsiach położonych w pobliżu lasów. W czasie zimy korzystali z kryjówek w wiejskich domach. Okoliczna ludność w miarę możliwości niosła im wszechstronną pomoc, mimo że groziła za to kara śmierci.

Guzdek wyspecjalizował się w akcjach przeciw Żydom. Zatrzymanych wyprowadzał za dom, kazał im uciekać i zabijać. Był to świadomy manewr, mógł powiedzieć, że strzela do uciekających z aresztu. Polaków

natomiast rozstrzeliwał najczęściej pod posterunkiem, gdzie mieścił się areszt.

Kiedys ustawił w szereg pięciu Żydów i z odległości pięćdziesięciu metrów kazał policjantom do nich strzelać. Żaden nie trafił, prawdopodobnie nie chcieli, by ich strzały były celne. Wtedy rozwiścieczony Guzdek porwał parabelum i celnymi strzałami położył trupem wszystkich.

Głodni Żydzi często sami zabierali plody rolne z wiejskich pól. Wrześniowego poranka 1942 roku wykopali część ziemniaków z pola Franciszka Frącza w Małcu. Rozsierdzony chłop poszedł piechotą na posterunek do Radgoszczy i zameldował Guzdkowi, że jego sąsiedzi, rodzina Styczków, kradli mu, być może, ziemniaki z pola. Styczkowie byli przesiedleńcami z pomorskiego. Żandarm polecił mu podpisać donos, następnie pojechał do Mała i zatrzymał Jakuba Styczka oraz jego synów Józefa i Bronisława. Umieścił ich w areszcie przy posterunku. Po paru godzinach Guzdek rozstrzelał ich kolejno. Scenę tę oglądali przez okna mieszkańcy pobliskich domów. Miało to miejsce 28 września 1942 roku. W odwecie tej samej nocy Idzik ze swymi ludźmi zabił donosiiciela.

Guzdek odkrył również, że ksiądz Franciszek Okoński (działający w szereguach AK noszący ps. „Nawa”), proboszcz parafii Luszwice, ukrywał u siebie Żydów z Krakowa. Guzdek zorganizował obławę z udziałem żandarmów, ale nie zdołał ująć księdza ani Żydów, gdyż skończył oknem i zbiegli, przedostali się szczęśliwie przez pierścień obławy. Swą wściekłość wyładował na dwóch osobach spośród służby księdza; nie dociekając kim są, zabił ich na miejscu.

Innym razem zatrzymał Żydówkę nazwiskiem Najlich, której ojciec prowadził przed wojną sklep w Radgoszczy. Więził ją przez pewien czas w areszcie, potem zaprowadził pod ściętą posterunku i zastrzelił. Strzelał do niej z przodu, co było u niego nietypowe, bo zazwyczaj mordował swe ofiary z tyłu, zgodnie ze zwyczajem swych hitlerowskich morderców.

Granatowy policjant Kaszyński z posterunku w Radgoszczy mieszkający u organisty Jana Condka, zwiertzył się znajomym, że Guzdek kazał mu strzelać do kilku Żydów, ale ponieważ z premedytacją strzelał niecelnie, Guzdek osobiście zabił ich wszystkich. Wymordował też żydowską rodzinę w Czarkówce.

Nie zaprzestał systematycznych polowań na Żydów w okolicznych lasach. Zarządzał obławy z asystą policjantów. Jeden z okolicznych mieszkańców, Józef Sz. donosił, że w lesie w Gruszowie Wielkim ukrywają się

Żydzi. Zorganizowano obławę, otoczono las. Ofiarą padło dwu Żydów, których prześladowcy zastrzelili. Po wojnie Józef Sz. został skazany na 6 lat więzienia.

Z powodu gadulstwa chłopów Józefa Ch. i Stanisława P. Guzdek przy udziale granatowych policjantów pojmał Żydówkę z Dąbrowy Tarnowskiej. Córka pochwyconej, Hanka wraz ze swą córeczką zdołały uciec. Zatrzymaną matkę odstawiono najpiętn do sąłysa, Franciszka Koguta, po czym wyprowadzono w olszynowy zagajnik i zastrzelono. Oba chłopcy, których gadulstwo mogło być przejawem zwykłej nieostrożności, zostali ukarani po wojnie.

Jedną z wielu ofiar policji stał się też Władysław Pikul. Został zastrzelony pod swoim domem 20 października 1942 roku, przez policjanta granatowego Kazimierza Młynarczyka w czasie próby ucieczki.

25 listopada 1942 roku w Radgoszczy — Podmaciu wydarzyła się kolejna tragedia w rodzinie Jana Rudka. Syn Rudka Emil, przebywał na przymusowych robotach w Niemczech. Razem z nim pracował w Niemczech młody chłopak Kasper K., ze wsi Gruszków Wielki. Kasper K. przyjechał do domu na urlop i odwiedził w niedzielę dom Rudków. Oświadczył, że wie z ust Emila, że jego rodzice ukrywają w domu ręczny karabin. Za milczenie żądał trzy tysiące złotych. Groził przy tym, że jeśli nie otrzyma pieniędzy, to poinformuje o tym fakcie Guzodka. Rudkowie zaprzeczyli, jakoby posiadali broń i nie dali żadnych pieniędzy.

Kasper K. doniósł o wszystkim żandarmowi. Ten zabrał ze sobą Kaspiera K. i wraz z policją przeprowadził rewizję, ale niczego nie znalazł. Wtedy donosić zaczął krzyczeń, że Rudek przyznał mu się podczas rozmowy do posiadania broni. Niemcy bili gospodarza drążkiem od ręcznych żaren tak długo, aż padł na ziemię. Guzdek powłókł go za nogi do lasu i tam strzelił w głowę ofiary. Następnie Niemcy wyprowadzili z domu Rozalię Rudek i Guzdek strzelił jej w pierś. Oboje nieszczęśliwych małżonków zakopano w rowie.

W miejscu zbrodni długo stał krzyż. Okoliczni mieszkańcy przypuszczali, że Rudkowie zginęli za udzielanie pomocy Żydom. Guzdek zamknął jednak w areszcie i donosić. Kasper K., chcąc uciec, rozebrał piec, a następnie zabrał się do komina. Zauważył to wartownik i zgłosił Guzdkowi. Ten wyprowadził z aresztu zatrzymanego, który natchmiasł rzucił się do ucieczki, biegnąc zyzakami. Gdy przeskakiwał płot, został przez Guzodka trafiony i martwy zawiśł na płocie.

Zdarzyło się na początku, że chciano sobie zjednać przychylność Guzodka. Sąłys Piotr Nowak zaprowadził żandarma do samotnej kobiety, której mąż przebywał we Francji. Nie spodziewano się przykrości dla żadnej z zainteresowanych osób. Rano jednak kobieta zaliła się żonice sąłysa, że Guzdek znęcał się nad nią całą noc. Oburzona całą tą sprawą sąłysowa spoliczkowała męża.

Ten zbrodniczy żandarm był bardzo aktywny. Wysłał na noc policjantów granatowych z poleceniem penetracji wsi. Łapania podejrzanych, czatowania na partyzantów z leśnych oddziałów.

Wielu z tych policjantów starało się uniknąć kłopotliwej nocej służby. Zatrzymywali się m.in. w Naroznikach, przysiółku Radgoszczy, dekowali się u znajomych rolników, a rano pisali protokoły z rzekomych akcji przeciw bandytom.

Zdarzały się jednak i dramatyczne incydenty. Chłopak z Naroznik, widząc idących na czasy policjantów, zaczął uciekać. Został zraniony w rękę. Później ci sami policjanci spotkali go w domu zaprzyjaźnionego ojca, który udzielał im gościny na noc. Nie trudno było o przypadkową ofiarę, bo na widok nienawistnego munduru ludzie, a szczególnie mężczyźni kryli się lub uciekali. Był to normalny odruch prześladowanych, do podejrzanych z jakichkolwiek względów strzelano czasem i bez ostrzeżenia.

Podobnie zachowywał się Engelbert Guzdek, który często jeździł furmanką do Dąbrowy Tarnowskiej, a podczas tych jazd bywało, że strzelał po pijanemu wokoło i poganiał konie tak, że nie raz padały. Kiedyś w drodze powrotnej z Dąbrowy Tarnowskiej zobaczył chłopca, Edwarda Wajdę idącego drogą. Strzelił do niego, chłopak upadł, udając, że strzał go dosięgnął. Dzięki temu uszedł z życiem. Innego dnia żandarm zatrzymał niejakiego Anaszego Kaczmarskiego ze wsi Brzeczówka i zastrzelił go na cmentarzu w Radgoszczy.

W kilka dni później Guzdek wraz z innym żandarmem niemieckim, Ryszardem Kelttem aresztował w Sukowie dwóch braci: Czesława i Zygmunta Starzków, których związanych sznurami przywieźli do aresztu w Dąbrowie. Dwa dni później żandarmi zatrzymali w tym mieście przy próbie dorczenia paczek synom ich ojca, nauczyciela z zawodu — Andrzeja Starzka. Wszyscy wymienieni po krótkim pobycie w więzieniu w Tarnowie zostali wywiezieni w dużym transporcie z końcem stycznia 1943 r. do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Rodzina nie otrzymała od nich żadnego listu, z obozu nadeszły jedynie urzędowe zawiado-

mienia o śmierci więźniów, chociaż niektóre rodziny nie otrzymaty nawet tego. Bywało, że o śmierci bliskich powiadamiano rodziny usunie w budynku Gestapo w Tarnowie. A działy się tam sceny nie do zniesienia. Jednej z matek, która rozplakała się na wiadomość o śmierci męża i dwóch synów, gestapowiec powiedział: „U nas płakać nie wolno”.

W sobotę 28 listopada 1942 roku z Radgoszczy wyruszyły cztery samochody i o świcie zatrzymały się w lesie przy granicy z powiatem mieleckim. Od granicy Niemcy przeszczesywali las i mordowali Żydów ukrywających się w bunkrach. Rewidowali też zabudowania gospodarzy w Porębach i w gminie Radogoszcz. Domy były rozrzucone wśród zagajników. Rano, około dziesiątej Niemców otoczyło dom Anny Wójcik w Porębach, wdowy, bo Guzdek już wcześniej aresztował jej męża, który zginął w Oświęcimiu.

Niemcy wotali, by Żydzi wyszli z zabudowań. Ci jednak siedzieli na strychu. Guzdek zawołał wartę oraz sąsiadów i jednemu z nich, Leonowi Borkowi, kazał wyprowadzić bydło z obory. Zaczęli rzucać granaty. Wtedy Żydzi wyszli na podwórze. Ojca i córkę zabrali prześladowcy na konny wóz i wywieźli. Młodszego Żyda zastrzelili.

Guzdek wpadł do wnętrza i wymordował rodzinę Wójcików. Zginęli: Anna Wójcik, Bronisław Kmicieć — syn z pierwszego małżeństwa, dwoje dzieci Heleny Sołtys, czteroletnia Janina i licząca pół roku Bronisława. Dzieci leżały przy progu z wielokrotnie przestrelonymi pierściami. Ich matka siedziała w kuchni przy ścianie też martwa. Młody Żyd jeszcze żył, ale kazali go zakopać.

We wnętrzu domu sufit był zerwany, z pierzyn sypało się pierze. Guzdek rozkazał pojąć Helenę Kmicieć i powiesić ją na szubienicy w Radgoszczy. Kobieta bowiem w tym czasie była w lesie, zbierała liście. Oprawy poszli do sąsiedniego domu Wojciecha Łachuta. Mieszkańców ustawili w szeregu. Byli to: Wojciech Łachut, zięć Tadeusz Dobosz, córka Helena. Bito ich kołbami, usiłując wymusić zeznania i informacje. Guzdek miał ze sobą kilkuletniego syna Eryka i przysposabiał go do sztuki zabijania.

Akcja zakończyła się zastrzeleciem rodziny Bronisława Łachuta wraz ze znalezionymi w obrębie posesji Żydami. Ciała, jak zwykle w takich przypadkach, wrzucono do ognia.

3 grudnia 1942 roku z ręki Guzdeka zginęli Tomasz i Bronisława Juzbowie z kolonii Narożniki w Radgoszczy. Mieli oni dwoje dzieci, Czesława i Alicję. Teściowa mieszkająca wspólnie z nimi, a licząca przeszło

siedemdziesiąt lat, pokłóciła się z małżeństwem. W złości poszła na posterunek policji granatowej i poinformowała Guzdeka, że Juzbowie pomagają Żydom ukrywającym się w lesie, dostarczając im żywność. Guzdek z policją przyjechał do Juzbów.

Najpierw zabrali Tomasza i odjechali, ale spod lasu zawrócili i zabrali również jego żonę. Juzbów umieszczono w areszcie. W nocy zostali wyprowadzeni przed dom. Guzdek osobiście strzelał do Juzbów. Cieszar na Bronisława kłęcząc błagała o litość. W odpowiedzi usłyszała przekleństwa. Zbudzeni strzałami mieszkańcy najbliższych domów obserwowali egzekucję. Rano przyjezdni patrzyli na zasychającą strugę krwi na placu przed posterunkiem.

Wkrótce potem drogą prowadzącą z Radgoszczy do Małca szedł Kazimierz Kułpa. Został zatrzymany i wylegitymowany przez policję, a następnie aresztowany, jego nazwisko bowiem znajdowało się na liście osób przeznaczonych na wywóz do obozu. Żonę Kułpy już wcześniej tam wywieziono. Ukrywając się, przemysliwał nad przystąpieniem do szajki łdzika, chociaż miał opinię wzorowego gospodarza i ojca. Guzdek uciechy się, że tak niespodziewanie udało się zatrzymać od dawna poszukiwanego.

Przywieziono chłopca do Radgoszczy, zamknięto w chlewiku przy posterunku. Wiedział, że umrze, ale odważnie był Guzdeka. „Ty hitlerowski bandyto! Ty zbrodniarzu! Ciebie też szlag trafi!” Te wołania rozlegały się przez cały dzień i całą noc. Żandarm w końcu nie wytrzymał, wyprowadził Kułpę i rozkazał odwrócić się tyłem. Kułpa jednak nie usłuchał, wołając: „Jeśli mam zginąć, to z przodu strzelaj!”. Stali twarzą w twarz w odległości pięciu metrów. Kułpa rzucił się na Guzdeka, ale ten zdążył go trafić w czoło z parabelum. Trafiony upadł na Guzdeka, który przerażony, krzyczał pomocy, był bowiem, w gruncie rzeczy, jak zwykle mordercy bezbronnym — technikiem. Mieszkańcy pobliskich domów słyszeli, jak Kułpa przepowiadał Hitlerowi klęskę, zagładę Niemców i powstanie wolnej Polski.

Podziwiali jego odwagę. Guzdek po egzekucji wrócił na posterunek bardzo zdenerwowany, gdyż przyzwyczajony był do tego, że jego ofiary proszą zwykle o litość.

W lokalu spółdzielni „Społem” mieszkał z rodziną wysiedlony mężczyzna z poznańskiego o nazwisku Jan Szataśny. Pracował jako egzektor podatkowy. Jeden z rolników radgoszczanskich Marcin Kaczocha, zalegał z opłatą podatku, dlatego Szataśny poszedł do niego zarekwiro-

wać było. W tym celu polecił chłopu otworzyć chlew. Kaczocho znany dowcipniś wpełznął egzektora do chlewa, zamknął drzwi i zawiadomił Guzdkę, że złapał Żyda. Guzdek z policjantami zjawił się u Kaczochy i tu ze zdumieniem rozpoznał urzędnika.

Kaczocho świetnie zagrał tę rolę i przysięgał na wszystkie świętości, że zatrzymał urzędnika, w przekonaniu, że ma do czynienia z Żydem, nic mu nie zrobiono. Tak przynajmniej raz zakpił sobie z Guzdką.

Próbował też Guzdek aresztować Franciszka Ryczka, ale ten boso i w białym uciekł do pobliskiego lasu, gdzie przebywał ponad pół dnia. Nabawił się jednak ostrego zapalenia płuc, wskutek czego zmarł w styczniu 1943 roku. Był podejrzany o przynależność do AK i posiadanie broń.

Inym razem Guzdek zatrzymał byłego przewodniczącego ZMW „Wici” w Radgoszczu, Ludwika Dziedzica. Na placu, pod oknami zarządu gminnego zandarm rozpoczął egzekucję. Swoim zwyczajem rozkazał młodemu mężczyźnie, aby uciekał, lecz ten obezwładniony strachem stał w miejscu. Guzdek piekił się, lecz bez skutku. Trwało to długo. Na koniec pusił wolno ofiarę. Po tych przejściach Dziedzic osiwił.

Od dłuższego czasu gestapo poszukiwało Stefana Batora mieszkańca wsi Nieczajna, położonej niedaleko Radgoszczy. Bator raniony podczas pościgu w rękę, schronił się w domu wujostwa Małgorzaty i Jana Kulągów w Narożnikach. Jego miejsce pobytu wysłedził Guzdek, idąc za sładami krwi na śniegu. W grudniu 1942 roku dom Kulągów został otoczony przez grupę gestapowców pod wodzą Guzdkę, zastrzelili poszukiwanego. Gospodarze na szczęście nie byli wówczas obecni w domu.

Rejestr zbrodni Engelberta Guzdkę jest tak długi i typowy, że mógłby budzić wręcz wrażenie pewnej monotonii, gdyby nie chodziło o tak niewymierne wartości, jak życie ludzkie i cierpienie człowieka. Rejestr ten daje również pewne pojęcie o rozmiarach zbrodni hitlerowskich w okupowanej Polsce. Stęgniemy więc do dalszych przykładów tragedii „czasów pogardy”.

Wiktor Szwałkosz, zamieszkały w Gruszowie Wielkim zajmował się dorywczo garbowaniem skór baranich i cielęcych. Ojciec jego Wojciech miał gospodarstwo o powierzchni 10 morgów. W garbowaniu skór pomagał Wiktorowi jego brat Zygmunt, również zresztą kawaler.

Przyjechał wózkiem Guzdek — wspomina Wiktor Szwałkosz. Nie zastał mnie ani brata, ale znalazł dwie krowie skóry. Swoją złość wywarł na naszym ojcu. Położył go na dyszlu wozu i bił kanem topaty. Po tym po-

biciu ojciec był pokryty ranami, cały czarny. Tego nie wystarczyło, zandarm zapowiedział, że ojca zastrzeli i zabrał go do Radgoszczy.

Z pomocą więzionemu pośpieszyli mieszkańcy kilku najbliższych wsi. Złożyli się na okup, za który można było kupić trzy morgi gruntu. Za pośrednictwem ks. Leśniana wręczono zebrane pieniądze Guzdkowi, a ten wypuścił taskawie Wojciecha Szwałkosza z aresztu, grożąc dla odmiany, że obu jego synów zastrzeli, gdy ich tylko spotka o jakiegokolwiek porze i w jakimkolwiek miejscu. Takie pogrożki bywały jak najbardziej realne. Nic więc dziwnego, że obaj bracia Szwałkoszowie musieli się ukrywać przez pół roku. W lecie sypli w liściach w lesie. Jesienią szukali gościny w różnych domach okolicznych.

Inny jeszcze mieszkaniec Gruszowa padł najprawdopodobniej ofiarą okrucieństwa Guzdkę. Stanisław Kozicki pochodzący z tej samej miejscowości pracował jako robotnik w Tarnowie. W Gruszowie Wielkim miał gospodarstwo o powierzchni trzech hektarów. Wracając od matki do swego domu przez zalesiony teren, przecinał je szosą asfaltową Dąbrowa Tarnowska — Szczucin. Zobaczyli go jadący szosą zandarmi z Dąbrowy Tarnowskiej, a wśród nich podobno Engelbert Guzdek. Zastrzelili przechodzącego Stanisława Kozickiego bez jakiegokolwiek powodu. Nie miała również najmniejszego formalnego (bo o moralnym trudno w ogóle mówić) uzasadnienia śmierć chłopca Władysława Elfera, zastrzelenego przez Guzdkę w Zbylitowskiej Górze za Tarnowem. Przy okazji tego morderstwa zbrodniczy zandarm przechwałała się, że niepodjętym wymierzona osobście po 25 kijów, a podejrzanych zabija.

Zbrodniczy zandarm nie odmawiał sobie okazji do zabawy i pijanstwa. Bywał na weselach, na których grywał Piotr Burzec z Radgoszczy ze swą orkiestrą. Guzdek obserwował ludzi, zbierał materiał do dalszych zbrodniczych akcji, a przede wszystkim pił wódkę. Bywało, że pijany skakał po stole i strzelał. Wszyscy musieli tańczyć w drewnianych trepach. Wójtowi Stanisławowi Szalaśnemu, który nie miał partnerki, kazał tańczyć z kupką tubinu.

Mimo strachu, jaki budził Guzdek, niektórzy policjanci czasem uprzedzali o jego wizytach i innych zamiarach. Najczęściej czynił to Kaszyński, pozostający w dobrej komitywie z organistą Janem Kondkiem.

Pewnego dnia w spółdzielni rolnej „Społem” odbierano od rolników kontyngentowe zboże. Przy pracy pomagał organista Jan Gondek, który potem zmęczony poszedł spać. W tym czasie Guzdek zarządził próbną

alarm pożarowy, połączony z użyciem sprzętu. Wyznaczone furmanki miały w czasie alarmu na dany sygnał jechać natychmiast do wskazanego rejonu. Podczas alarmu Guzdek wszedł do domu Gondka i zażądał, by dano konie do ćwiczeń. Organista zmęczony spał twardo, a jego żona powiedziała, że w akcji mają obowiązek wziąć udział tylko wcześniej wyznaczeni.

Guzdek wezwał policjanta granatowego Andrzeja Szymańskiego i zjawivszy się ponownie razem z nim w domu organisty, wymierzył z rewolweru do śpiącego. Na szczęście nadszedł komendant posterunku policji granatowej Andrzej Szypuński i obronił organistę, tłumacząc, że ten zapadł w pierwszy najmocniejszy sen, gdyż napracował się tego dnia przy noszeniu worków ze zbożem.

Guzdek zamknął w areszcie żonę organisty, oświadczając że całe zajęcie — to sabotaż, gdyż nie chciano dać konia potrzebnego do akcji. Na rodzinę organisty padł strach. Na szczęście za aresztowaną wstawił się ks. Leśniak i nad ranem Guzdek zwolnił ją. Musiała jednak zapłacić mandat. W tym samym dniu Guzdek zabił kilku Żydów, każąc im uprzednio uciekać. W Luszwicach zastrzelił Józefa Kowala, żołnierza BCh. Proboszcz w Radgoszczy, u którego na plebani mieszkał Guzdek cieszył się pewnymi względami żandarma, jednakże cena, jaką zapłacił za tę „przychylność”, nie była niska. Kłopotliwy lokator sprowadzał na plebanię kobiety lekkiego prowadzenia i urządził alkoholowe libacje, a zdarzało się, że będąc niecierpliwy strzelał w sufit. Nieraz też rozwydrzony i bezsilny żandarm zmuszał proboszcza, aby tańczył razem z jego towarzyszem. Księdzu nie pozostawało nic innego, jak cierpliwie i ze stoicyzmem znosić te osobliwe fanaberie i pijackie ekscesy.

Króguś dnia kilku chłopów, wśród których był także Andrzej Minorczyk, rozmawiało na temat sukcesów alianów. Ich rozmowę podsłuchali szpicie i donieśli Niemcom. Wszystkich aresztowano. Wówczas krewni zatrzymanych zwrócili się do ks. Leśniaka i soltysa Piotra Nowaka. Ci napilił Guzdek wodką. Interwencja odniosła skutek. Guzdek zwolnił wszystkich chłopów, jednego tylko skaleczył uderzając go pięciami.

Gospodarz Franciszek Frącz przechowywał w domu amunicję, którą pozostawili cofające się w 1939 roku oddziały polskie. Guzdek odkrył ten arsenał i polecił Frączowi, aby zgłosił się na posterunek. Chłop podany torturom, wskazał też miejsce, gdzie ukryty był szandar gromadzącego koła Stroniciwa Ludowego. Frącz nie powrócił więcej do domu.

Znalazł się zdradca R. z Łęgu, który jak to później uznano przekazał Guzdkowi listę członków AK. Żandarm na czele grupy Niemców przyjechał pod zdobyty adres do Czarkówki, przysiółka Radgoszczy. Aresztował tam trzech braci Dorożów: Jana, Władysława i Mieczysława. Żaden z nich nie powrócił już do domu. Dając upust swemu okrucieństwu, hitlerowcy zastrzelili wiernego psa, który stanął w obronie pojmanych.

Ofiar było zresztą więcej. Michała Szkolaka zastrzelono koło domu w Łęgu. Jadąc dalej hitlerowscy oprawcy zatrzymali samochód przed domem mieszkańca nazwiskiem Kupiec. Ten na szczęście zdołał uciec. Próbowala też ucieczki jego żona, ale prześladowcy zaczęli ją ostrzeliwać, upadła udając martwą i to ją ocaliło, bo Niemcy pojechali dalej. Po drodze wstąpili do jednego z miejscowych rolników. Ten byłby ocalał, gdyby nie nieostrożność przyjaźnego mu pastera. Sądząc, że niebezpieczeństwo minęło, zawołał on półgłosem „Wychodź Janek, bo te skurwysyny już pojechały”. Niestety żandarmi zaczęli się w ukryciu i zgarncili Jana.

Punktem wyjścia wszystkich trzech tragedii była w danym wypadku zdrada mieszkańca Łęgu, który dostarczył Guzdkowi spis miejscowych akowców. Wypadek ten potwierdza wielokrotnie uwzględnioną w tej pracy konieczność czujności wobec osób podejrzanych o kontakty z okupantami. Oto kolejny przykład walki patriotycznego podziemia z konfidenciem wroga. Patrol akowców ruszył nocą do mieszkania człowieka podejrzanego o zdradę. Zamiast w mieszkaniu spotkali się z nim wcześniej na drodze. Zaświecił im latarką elektryczną w oczy i zaskoczył pytaniem „Kto idzie?” Odpowiedzieli ostrzeżeniem, którego nie usłuchał i został postrelony w nogę. Znalazł się potem w szpitalu w Tarnowie, gdzie zmarł. Jego zgon był jak najbardziej po myśli żołnierzy podziemia, którzy i tak musieliby się rozprawić ze szkodnikami.

Cała sprawa miała jeszcze pewien uboczny epilog. Jak się okazało po wojnie, w pobliskich domach ukrywali się Żydzi. Dramatyczny incydent tak na nich podziałał, że nawet w nocy nie wychodzili ze swego bunkra pod chlewikiem, by zacerpnąć świętego powietrza. W owym czasie u Franciszka i Honoraty Soltysów w Czarkowie ukrywali się młodzi Zydzia: rodzeństwo Benedykt, Regina, Felicia i Chaja Grün.

Najbezpieczniejszy schowek mieli w chlewiku pod podłogą. Rodzice ich zginęli, a leżący w odległości 300 metrów folwark o powierzchni blisko 100 morgów, stanowiący ich własność przejął Niemiec. Uciekli tylko z pierzynami.

Prześladowania obejmowały jak wiadomo wszystkich bez wyjątku Żydów, ale i represje wobec ludności polskiej były coraz częstsze i coraz ostrzejsze. Za sprawą Guzdeka został aresztowany w Gruszwowie Wielkim wysiedlony z Wileńszczyzny porucznik rezerwy Sfocej, żołnierz AK. W piwnicy gestapo poddano go wyjątkowo okrutnym torturom. Ich głównym sposobem były kłające, głośnie szczury. Uwięziony nie wytrzymał takich męczarni. Wydał kilkunastu akowców. Na szczęście uwięzieniu ich zapobiegł strażnik więzienny z Tarnowa.

Czym prędzej przejechał do Nieczajnej Górnej i dowódca plutonu 302 Józefowi Wątrobie przekazał tę wiadomość wraz z listą zdekonspirowanych.

Strażnik, jak widać aktywnie zaangażowany w podziemnej walce, zebrał fotografie dla wyrobienia zagrożonym lewym kenkart. Sfocej wyszedł z całej sprawy obroną ręką. Uratował go kolega z Arbeitsamtu. Po wojnie Sfocej osiedlił się na Ziemiach Zachodnich.

Do ukrywających się w okolicy działaczy podziemia należał Jan Podosek (Krogulec) z Nieczajnej. Był łącznikiem obwodu; meldunki i rozkazy z „Drewniaków” (Dąbrowa Tarnowska) zawoził do trzeciego plutonu w Nieczajnej Górnej. Materiały dostarczał bezpośrednio dowódcy plutonu Józefowi Wątrobie (Sęp, Mors). Przez półtora roku ukrywał się Jan Podosek latem w kopkach siana, w zbożu, w szopach bez wiedzy ich właścicieli. Kiedy indziej znów u kolegi. Szukał go Guzdek i wpadał do jego domu w najroźniejszych porach. Zawsze jednak żona potrafiła wytłumaczyć nieobecność poszukiwanego. Ten pracował w polu, kosił, orał a żona przynosiła mu pożywienie. Przygotowany na najgorsze kładł automat w brudzie.

Króregoś wieczoru inny ukrywający się, Kazimierz Gołębiowski zajął do domu i przez okno zobaczył dwu nadchodzących esesmanów w zielonych mundurach. Początkowo myślał, że to żołnierze z obsługi artylerii przeciwlotniczej, którzy kwatrowali w pobliskich bunkrach. Ci jednak nosili szare mundury. W dodatku dwaj przybysze mieli najniebezpieczniejsze oznaki: trupie główki na czapkach.

Sądziłem — wspomina po latach, że dom jest otoczony, a broni nie łatwo było szybko wydobyc z ukrycia. Nie pozostało nic innego, jak schować się za drzwiami z siekierą. Uderzyły mnie pchnięte gwałtownie drzwiami. Bałem się, by mnie mimo woli nie zdradził trzyletni synek. Uciekłem i odjad ukrywałem się. Podobnie postąpić musiał Jan Podosek.

A tymczasem Engelbert Guzdek kontynuował swoje krwawe rzeźmiostwo. 5 grudnia 1942 roku zamordował dziewięć osób w jednym dniu. A oto jak doszło do tragedii. Zygmunt i Teresa Szkotakowie mieli we wsi Kaczówka dwa domy. W jednym mieszkali, drugi zaś nie dokończony stał pusty. W nim właśnie na stychu ukrywali się Żydzi, o czym jednak Szkotakowie nie wiedzieli. Znaleźli tam schronienie m.in. pewien Żyd z Wygody, przysiółka Radgoszczy, nieustalonego nazwiska handlarz z Dąbrowy Tarnowskiej, Żyd o nazwisku Szium i piekarniowa Grozman — razem cztery osoby²⁰. 5 grudnia rano, sotys chodzili po wsi i ostrzegali mieszkańców, aby usunęli Żydów z kryjówek w swych domach.

Wieczorem Guzdek wraz z policją granatową nadszedł do wsi polną drogą. Spotkali oni dwu chłopców i kazali im pilnować niezamieszkałego domu. Uzbrowili ich w widły, aby mogli zaatakować ewentualnych uciekinierów. Przed domem zamieszkałym przez Szkotaków, Guzdek postawił wartę i zabronił gospodarzom wychodzić. Ponieważ w drugim niedokończonym domu znalazł Żydów, rozkazał Szkotaków zwięzać i wyprowadzić na podwórze, tu musieli klęknąć i Guzdek strzałami w tył głowy oboje zabił. Zwłoki pogrzebano potem w rogu podwórza.

Znalezieni u Szkotaków Żydzi przeszli tam z domu Juliana Wataszka. Tymczasem Wataszek z bratem zdążyli uciec do lasu. Żydzi zostali przewiezieni na posterunek policji, gdzie wydobyto od zatrzymanych nazwiska kilku ludzi, pomagającym im ukrywać się. Jeszcze tej nocy Guzdek aresztował w Narożnikach Łacha, Stopę i Nadolskiego. Nad ranem trzej Niemcy wyprowadzili ich z aresztu niby na przesłuchanie. Zandarm wraz z policjantem ukryli się za drzwiami i wychodzących kolejno zabijali. Nie obeszło się przy tym bez zwykłego dla hitlerowskich katów okrucieństwa. Łach, Nadolski i Stopa wrzuceni zostali do wspólnego dołu. Nagle do Guzdeka przybiegł jeden z policjantów wołając:

— Szeffe, Nadolski żyje!

Zandarm machnął pogardliwie ręką:

— Posyp wapnem i zakop!

Tak też zrobili.

Jako ostatnich, Guzdek zabrał czterech Żydów schwytyanych u Szkotaków.

Władysław Nadolski z Narożnik przyniósł z wojny 1939 roku broń palną i białą. Był członkiem AK. Aresztowany został przez Guzdeka wczesnym rankiem. Przyczyną aresztowania była przynależność do zbrojnego podziemia, udzielanie pomocy Żydom i posiadanie broni. O pier-

wszych dwóch faktach Guzdek dowiedział się od aresztowanego Pawła Pinka. Nadolski w czasie przesłuchania był okrutnie torturowany. Kobiecia przynosząca obiad aresztowanym opowiadała, że twarz Nadolskiego wyglądała jak szara plama.

Andrzej Stopa został aresztowany zupełnie omyłkowo. Chodziło o Tomasza Stopę, który dostarczył Żydom karabin, jednakże furman kierujący podwozą pojechał pod dom Andrzeja. Guzdek homotał do drzwi, gdy gospodarz wyszedł, żandarm zapytał go o nazwisko. Uderzył Stopę w twarz i bijąc wepchnął na wóz.

Następnie pojechał aresztować Ludwika Łacha pod zarzutem wykonywania drobnych usług dla Żydów, takich jak naprawa obuwia, usługi krawieckie oraz handlowanie z nimi żywnością. Ludwik Łach był członkiem AK i Żydom przekazał karabin, który otrzymał od Nadolskiego.

W czasie śledztwa Guzdek torturował wszystkich aresztowanych i spisywał protokoły z zeznań. Między innymi szczerł tresowanego psa, który wyrwał ofiarom kawałki ciała. Do ran Guzdek i Pubrat wsympali sół, by przyspieszyć zeznania.

Do grudnia 1942 roku Żydzi żyli w getcie na terenie Dąbrowy Tarnowskiej. Józef Setera z Matka wraz ze swym szwagrem Bronisławem Bardanem z Jam chciał będąc w Dąbrowie Tarnowskiej, dostać się do getta, by — jak mawiano — pohandlować. Strażnik zabrał mu jednak towar, zdolałi jedynie uciec.

Strażnik wiedział, że droga do ich wsi prowadzi z Dąbrowy Tarnowskiej przez Radgoszcz i w tym kierunku pojechali. Zawiadomił telefonicznie Guzdek. Ten czatował na obu mężczyzn, osadzili ich w areszcie, a potem przewiózł do więzienia w Tarnowie. Tutaj mogli się spodziewać dobrej obrony adwokackiej. Zabrał więc obu do Dąbrowy Tarnowskiej, gdzie miał w stosunku do uwięzionych większą swobodę działania. W drodze zapytał Setera i Bardana, czy znają Kosieniaką i Idzika. Gdy usłyszał odpowiedź twierdzącą, obu przewożonych zastrzelił. Ciała wrzucił do rowu, tuż przed optokami Dąbrowy Tarnowskiej.

Nie zaniebyszał Guzdek żadnej okazji, by dać upust swoim sadystycznym zapędom. Kiedyś jechał konnym wozem wraz ze swymi pomocnikami funkcjonariuszami Sonderdienstu. Jakis chłopak przestraszony widokiem Niemców uciekał przed nimi w pole. Zastrzelony został pochowany w rowie. Nie znaleziono przy zabitym żadnych dokumentów.

Podkomendni starali się naśladować zbrodniczego żandarma. Przejżdżający lasem granatowy policjant wraz z funkcjonariuszem Sonder-

dienstu natknął się na dwie wędrujące Żydówki. Jedna z nich miała na ręku dziecko, z miejsca zastrzelił obie kobiety. Niemiec z Sonderdienstu chwycił dziecko za nóżki i roztrzaskał głowę o pień sosny. Potem morderca podważył nożem zaciśnięte szczęki jednej z zabitych kobiet. Pracownicy wydobył swój katowski tup — złote zęby. Cała ta ohydna scena rozgrywała się w Górkach przysiółku Radgoszcz.

Pod koniec grudnia nowy mord wstrząsnął Radgoszczą. Jedną z rolniczek doniosła Niemcom, że jej synowa Siembab przechowuje Żydów. Podejrzaną aresztowano i Guzdek wyprowadził kobietę za plot wikarówki, by tam ją zastrzelić. Była w zaawansowanej ciąży, uklęknęła przed Guzdeklem i błagała, by wstrzymał ekzekucję do czasu aż urodzi się dziecko. Zabił ją jednak bezlitośnie. Donosicielstwo, gadulstwo, nieostrożność rodziny trzęsiedle. Guzdek dowiedział się, że Błażej Moityka w Luszwicach dokonał nielegalnego uboju. Złapanemu na gorącym uczynku polecił stanąć w znacznej odległości i zapewnił, że odda tylko jeden strzał. Jeśli chybi celu, winowajca będzie żył. Strzał jednak nie był celny, rolnik ocalał.

Guzdek zapisał też krwawą kartę w Mędzrechowie, gdzie od początku okupacji wojtem był volksdeutsch Leopold Wendland. Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny, w związku z budową mostu na Wiśle pod Borusową przy ujściu Dunajca, zamieszkał w Mędzrechowie. Prowadził magazyn z materiałami budowlanymi na stacji PKP. W pierwszych dniach wojny 1939 roku zdemaskowano go jako szpicla niemieckiego²¹⁾.

Został aresztowany i tymczasowo osadzony w areszcie gminnym. Tam właśnie groził, że gdyby zginął, to Niemcy w odwecie dokonają masowej ekzekucji na miejscowej ludności. Uniknął jednak sprawiedliwej kary. Władze polskie zmuszone były w pośpiechu ewakuować się przed zbliżającym się frontem, a Wendland zdołał zbiec z aresztu.

Gdy wkroczyły wojska niemieckie, zmuszał ludność do świadczania danin na rzecz armii, do wynoszenia podążającym ku wschodowi żołnierzom mleka, masła, jajek.

Gdy front się oddalał i władze okupacyjne przystąpiły do organizowania administracji, Wendland objął urząd woźta. Osobiście sądził ludzi, wyrokował i karał. W czasie śledztwa bił ofiary tak, że ściany posterunku były zbroczone krwią.

Wezwani do Wendlanda na przesłuchania podkładali sobie pod odzież grube kawałki kożucha, by osłabić siłę uderzeń. Podczas bicia, głosno krzyczeli, co skracало procedurę „przesłuchań”. W sprawowaniu

władzy pomagał mu miejscowy oprych, Wojciech Miaszek, zwany „Szakimem”, zastrzelony później przez partyzantów. W następnym okresie jego współpracownikiem był zniemczony Polak, a potem żandarm niemiecki Knur, który ożenił się z córką byłego kierownika szkoły w Bolesławiu, Ukraińca Teodora Gelemeja, również występującego się Niemcom.

Wendland systematycznie rozszerzał zasięg swojej władzy, tak że obejmowała ona gminy: Bolesław, Szczucin, Gręboszów. W jednym ze swych pierwszych zarządzeń nakazał znosić i zwozić do Mędrzechowa broń i wszelki sprzęt wojskowy, który pozostał po armii polskiej. Samowolnie nakładał i ściagał daniny oraz okup w naturze i w gotówce z miejscowej ludności, głównie jednak Żydów. Nikt nie śmiał mu się sprzeciwić, gdyż wkrótce stał się znany jako stępacz hitlerowski.

W tym początkowym okresie okupacji niektórzy mieszkańcy okolicznych gmin zahartowali zadawnione porachunki między sobą w drodze denuncjacji. Dopiero w miarę narastania terronu i masowych mordów zaczęła się rodzic i krzepnąć solidarność, świadomy opór i walka. Znaleźli się z początku tacy, którzy widząc że Wendland bije ludzi i wręca do aresztu, oskarżyli innych, by się mścić. „Szeł” (tak kazał siebie tytułować) przyjmował wszystkie skargi osobiście, a następnie wyzywał „obwinionych”, bił i wymuszał na ludziach zeznania. Najwięcej doniesień wpłynęło na tych, którzy posiadali broń i nie oddali jej na polecenie władz niemieckich.

Listy ze spisem „winnych” Wendland przedkładał w gestapo w Tarnowie. To na skutek jego meldunków gestapowcy dokonali w dniu 5 grudnia 1939 roku obławy na terenie gmin — Mędrzechów i Bolesław. Wszystkich aresztowanych przewieziono do Tarnowa i tam rozstrzelano. Wśród pierwszych ofiar terronu znaleźli się m.in. Kozaczka z Cwikowa, Józef Curyło z Żalipia, Karol Kurpaska z Samoci i Kochanek oraz Czesław Babiarz z Kanny. Gestapowcy z Tarnowa aresztowali wtedy również proboszcza, Wojciecha Papieża, który zginął w obozie w Dachau 15 grudnia 1943 roku.

Wkrótce Wendland wraz ze swym doradcą Knurem sporządził dalsze listy chłopów przeznaczonych do likwidacji, za rzekomo posiadaną broń. I w tym przypadku prześladowcy opierali się na doniesieniach zdradców. W wyniku meldunków, składanych przez wójta z Mędrzechowa w gestapo, zginęło ponad czterdzieści osób.

Miejscowi gospodarze, którzy cieszyli się pewnymi względami Wendlanda, próbowali go ułagodzić przy pomocy wódki. W czasie jednej z libacji „szeł” pokazał kolejnym anonim w sprawie ukrywania broni. Na liście figurowało nazwisko gospodarza, Antoniego Skowry, Ulegając prośbom zniszczył pismo, lecz narzekał: „co mam zrobić, skoro wciąż piśszą”. Żona Leopolda Wendlanda, powodowana chęcią ostrożnością starała się poskromić zbrodnicze zapędy wójta z Mędrzechowa. Perswadowała mu:

— Poldek, co robisz? Michalida pisata, że Polska powstanie. Odpowiadał jej na to:

— Cicho bądź, ty Żydówko!

Terror rozszalał się, gdy na posterunek żandarmerii w Mędrzechowie niemieckie władze skierowały starszego wachmistrza Engelberta Guzdeka.

Ponieważ na terenie gminy Mędrzechów i okolic od dawna drżała ruch oporu, skierowano tutaj Guzdeka jako specjalistę od pacyfikacji. W pobliskim Bolesławiu nastąpiły właśnie liczne aresztowania, w związku z kolportażem tajnego pisma „Odwet”. Schwytano wówczas między innymi brata dowódcy „Jędrusiów” Władysława Jasńskiego²²⁾.

Przybycie Guzdeka do Mędrzechowa poprzedziła sława kata i oprawcy. Nic dziwnego, że gdy się tu zjawił, na okolicę padł strach. Nikt nie był pewien dnia ani godziny. Guzdek wpadał tu od czasu do czasu już wcześniej.

21 marca 1943 roku zawiadomiono go telefonicznie, że Stanisław Klimczak, akowiec o pseudonimie „Żelazny”, delegat rządu polskiego w powiecie, niedawno aresztowany, obezwładnił wartownika i wraz z synem uciekł z aresztu w pobliskim Szczucinie. W czasie ucieczki policjant Kozłowski zranił młodego Klimczaka, a gestapowcy doбили go. W związku z tym żandarm Guzdek przeprowadził śledztwo w Szczucinie. Przyjechał tu znów, gdy wiosną 1943 roku „Jędrusie” zjawili się blisko Szczucina. Był to jak mówiono „angryt” (niemieckie Angriff) na niemiecki majątek Orczki²³⁾.

Cechowała go znaczna ruchliwość i aktywność. 4 kwietnia 1943 roku zastrzelił Franciszka Grabca z Gręboszowa za sprzyjanie ruchowi oporu i posiadanie broni, której zresztą nie znalazł. Wkrótce potem zamordował Józefa Ołbrycha w Bieniaszowicach i Michała Kosonia z Kars. Równocześnie usiłował aresztować Kozioła w Mędrzechowie, ale ten ostrzeżony, zbiegł i ocalał. Także w kwietniu 1943 roku zastrzelił Józefa

Koże w Bianiaszowicach, podejrzanego o dawne kontakty z Kosiensikiem. Zamordowany osierocił siedmioro dzieci.

Komenda niemieckiej żandarmerii w Mędzrechowie mieściła się we dworze Wardaży. Komendantem był Austriak z Linzu, Neureiter. Guzdek mieszkał kilka miesięcy na posterunku policji granatowej. Stały do niego dyspozycji zawsze dwa konie zaprzężone do wozu. Z Guzdkiem i Wendlandem liczyli się wszyscy. Często godzili oni skłócone małżeństwa na swój sposób, bijąc zwaśnionych.

Wendland i Guzdek często otrzymywali drogą pocztową anonimy. Niektóre udało się sołtysowi, Janowi Kudle z Mędzrechowa, dzięki sprytnym fortelom zniszczyć. Wójt zaczął więc osobiście wybierać listy ze skrzynki, podejrzewając urzędników z miejscowego urzędu pocztowego, że nie dostarczają całej korespondencji.

Mimo to od czasu do czasu udawało się im oszukać go. Na przykład Edward B. złożył kiedyś donos na parobka swego ojca. Ale urzędnicza pocztowa zaniosła pismo księdzu — Stanisławowi Górze. „Szeł” usilnie starał się zdobyć informatorów, ludzi lekkomyślnych i nieodpowiedzialnych, próbując ich przekupować. Tak na przykład rekwirował mięso i rozdać je biednym domagał się od nich informacji.

Ale i sam „szeł” naraził się Niemcom. Pewnego razu żandarmi spróbowali zasłęgnąć o nim informacji u sołtysa Jana Kudy, pytając, jak też zachowuje się wójt Wendland, wiedzieli bowiem, że na przykład rabował uciekinierów w jesieni 1939 roku. Wójt, indagowany przez żandarmów nie przyznał się do zarzutów, aż wreszcie wyjął z szafy garnek z koszlowościami i oddał im.

Pomocnikiem Wendlanda w Mędzrechowie był policjant Knur. Knur odkrył, że wójt gminy Bolesław, Paweł Kochanek zabierał chłopom broń, ale zadnego z nich nie wydał. Policjant z „szefem” sporządzili listę podejrzanych, umieszczając tam również Kochanka. Listę tę przekazali gestapo w Tarnowie, sprawa była poważna.

Rozpoczęła się już dawniej, od tego, że po zajęciu w 1939 roku Mędzrechowa i rozstrzelaniu 9 grudnia w Tarnowie wielu chłopów za posiadanie broni, powstała w okolicy panika. Jedni broń schowali, inni oddawali ją do gminy, chociaż już po wyznaczonym terminie. Kochanek oddał wtedy broń staroście Kezu, a ten obiecał, że nie zrobi z tego użytku.

Zdawało się, że sprawa „przyschła”, ale po latach Knur zarzucił wójtowi, że ukrywa broń. Kochanek dowiedział się o denuncjacji. Oto u cór-

ki jego znajomej w Tarnowie mieszkał funkcjonariusz gestapo, który opowiadając czasami o działalności Wendlanda, napomknął i o owej liście, którą ten sporządził. Życzliwa kobieta ostrzegła Kochanka, a ten przy pomocy łapówki zażegnał niebezpieczeństwo. Pomógł mu w tym Stanisław von Menel z Tarnowa.

Niemcy, najczęściej nie wdający się w dociekania czy były podstawy do aresztowania, rozstrzelali wziętych. Najbardziej bezwzględnie postępowali z Żydami. Kiedyś policja zatrzymała ośmiu Żydów w okolicy wsi Skrzynka i urządziła okrutne polowanie, każąc im uciekać i potem strzelając do nich. Innym razem żandarmi aresztowali za jakiś błąch przewinienie gospodarzy — Kazimierza Malinowskiego, Bernata i Libere. Pobili ich na posterunku, Libere wypuścili dzięki wstawnictwu sołtysa, lecz pozostali rozstrzelali na drodze obok kościoła.

Kiedyś w czasie jednej z licznych libacji u Guzdką, żandarm Ryszard Ketter opowiadał, że żandarmeria z Mędzrechowa aresztowała Miaszka zamieszkałego w Pawłowie. Aresztowanego pchnął policjant Kozub. Aresztant zarzykował ucieczkę, w czasie której Kozub postawił go w nogę. Rannego przywieziono na posterunek. Ketter przewrócił go, okrzakiem stanął nad leżącym Miaszką i zastrzelił go. Obserwowali tę scenę z daleka mieszkańcy.

Nie wszyscy policjanci i żandarmi byli tak okrutni, zdarzyli się wśród nich bardziej ludzcy funkcjonariusze. Sołtys z Mędzrechowa sporządził listę mężczyzn przeznaczonych do Baudienstu (obowiązkowa służba pracy). Obecny przy tym Austriak Franciszek Neureiter komendant posterunku niemieckiej żandarmerii w Mędzrechowie, poskreślał niektóre nazwiska z listy.

Ten sam Neureiter schwytałszy akowców w lesie, puścił ich wolno. Znając jego życzliwość, sołtys Jan Kuda i sekretarz Gryszówka w dzień Wielkanocy, po rezurekcji odwiedzili Neureitera w jego mieszkaniu i uraczyli go alkoholem. Neureiter nie lubił Guzdką, oburzony był jego okrucieństwem. Nieraz kłócili się między sobą i łapali za kabury pistoletów.

Również policjant granatowy Chrzanówek, często uprzedzał sołtysa o mających nastąpić łapaniach lub rewizjach. Czyli to z narażeniem życia, pod bokiem znanych z okrucieństwa Guzdką i Wendlanda. Zdarzyło się np. na skutek zdrady, że Chrzanówek jako policjant granatowy znalazł się wespół z Niemcem Wilhelmem Steinem w jednym z domów w poszukiwaniu broni. Stein zajął miejsce na podwórzu, a Chrzanówek

miał przeszkazać stodołę. Po wejściu do niej od razu spostrzegł broń leżącą przykrytą warsiwą słomą. Udał, że tego nie widzi i Steinowi zameldował, że niczego nie znalazł.

Guzdek przybył do Mędzrechowa także w celach wywiadowczych. Znając doskonale język polski, nie raz zapuszczał się daleko i tropił członków organizacji podziemnej, ludzi pomagających partyzantom, ukrywających się Żydów. Zjawiał się niespodziewanie, próbując nawiązać rozmowę. Ponieważ po okolicy kręciło się sporo uciekinierów szukających pomocy przy przeprawie przez rzekę Wisłę, Guzdek podawał się też za uciekiniera.

22 kwietnia 1943 roku ubrany po cywilnemu, zjawił się we wsi Pawłów i wstąpił do domu Franciszka Woźniaka, mieszkającego tuż przy wale nadrzecznym. Woźniak należał do AK jako przewoźnik, w razie potrzeby przeprowadzał łodzią partyzantów i innych ściganych przez okupanta ludzi na lewy brzeg Wisły. Żandarm nie zastał go w domu, wdał się więc w rozmowę ze szwagierką Woźniaka, Stefaną Lupą.

Udawał partyzanta tropionego przez gestapo. Stwierdził, że ma do sprzedania broń i dodał, że chciałby się przedostać za Wisłę. Zapytał, czy Woźniak mógłby go przewieźć. Nie grzesząc bystrością umysłu kobicia wygadała się przed prowokatorem. Następnej nocy Guzdek, już w mundurze żandarma, wyrzucił Woźniaka z łóżka, bijąc go kolbą automatu. Wywlokł nieszczęśnika na podwórze i tu zasztelfował. Zasztelfował również nocującego tu akurat Michała Wójcika ze Szczucina, brata b. komendanta policji granatowej w Bolesławiu.

Po dokonaniu tej zbrodni wyruszył w poszukiwaniu ofiar. Udał się do przewoźnika Władysława Zajęca w Brzeźnicy. Kazał się prowadzić do przewozu nad Wisłę. Zajęca ostrzegano już wcześniej, że Guzdek chce go zabić. Zdawał więc sobie sprawę, że droga do przewozu może być ostatnią w jego życiu. Nie chciał też iść przed żandarmem, wiedząc, że ten zazwyczaj morduje swoje ofiary strzałem w tył głowy. Zaczął się szamotać z Guzdkiem, a był rosyjśm mężczyzną. Żandarm w końcu usiąpł i pozwolił Zajęcowi iść za sobą. Przewoźnik myślał, że to ostatnie chwile jego życia, ale o dziwo żandarm go nie zasztelfował. Opór i zdecydowana postawa Władysława Zajęca nie tylko zaimponowały Guzdkowi, ale okazywały się też najlepszą formą obrony.

Guzdek często zjawiał się niespodziewanie w domach w poszukiwaniu broni. W tym celu odwiedził między innymi gospodarza Józefa Kozaczkę z Grądów, który ocalał tylko dlatego, że w czasie pierwszej

wojny światowej służył w wojsku austriackim i od tamtych czasów w jego nodze tkwił pocisk.

W jakimś spowrobie Guzdek i „Szeł” — Wendland dowiedzieli się, że Józef Misiaszek ukrywa karabin. Rozmowę usłyszał przypadkowo sołtys, przeczekując tej informacji. Wójt postawił krzyż, zapalił świecę i kazał przysiąc sołtysowi, że powiedział prawdę. Sołtys świadomie popełnił krzywoprzysięstwo, gdyż Misiaszek rzeczywiście posiadał broń, ale w ten sposób uratował chłopca od pewnej śmierci. Taki ratunek nie był łatwy, bo Guzdek, znany ze swej ruchliwości i nadgorliwości, zjawiał się niespodziewanie tam, gdzie go nie oczekiwano.

Kiedys stał na moście nad rzeką Zabnicą między Pilczę a Adamierzem. Wracał tędy drogą prowadzącą do Wielopola Józef Krupa, handlujący wroniem. Guzdek zaczął przywoływać chłopca zbliżającego się już do waju rzeki. Krupa, poznawszy Guzdkę, zawrócił i zaczął uciekać, ostrzeliwany przez żandarma. Udało mu się zbliżyć do Szczęśliwicy.

Miał też Guzdek swoje fantazje. Pewnego razu jadąc przez las wożem, zobaczył idącego, ścieżką chłopca. Był to głuchoniemy Henryk Bał, wracający akurat z pogrzebu swego szwagra, partyzanta, zabitego w Górkach pod Szczucinem. Żandarm wezwał go do zatrzymania się, ale ponieważ Bał nie reagował, więc wymierzył do niego z pistoletu. Dopiero woźnica Guzdkę, wiedząc o kalecwie, donośnym krzykiem przywołał go do wozu, Guzdek zażądał, by pokazał ile pieniędzy ma przy sobie. Ponieważ kwota podana przez chłopca zgadzała się z faktyczną zawartością jego kieszeni, puścił go wolno.

Innym razem Guzdek w drodze do Bolesławia zatrzymał Zbigniewa Kolarza. Zażądał okazania kenkarky, której ten nie miał przy sobie. Kazał mu przeto pobiec po kenkarkę, a gdy mężczyzna odwrócił się, zasztelfował go. Następnie Guzdek wpadł do domu, by zabić żonę Kolarza Franciszkę, ale ta, widząc przez okno całe zajście, zdolała ukryć się w piwnicy. Jej matka powiedziała, że córki nie ma w domu, gdyż wyjechała z mlekiem do Bolesławia.

Chłopa Misiaszka z Matka przetrzymywał Guzdek w areszcie w Mędzrechowie. Ktoś niedzieli zaryzykował on ucieczkę z aresztu, ale zaczęli go gonić policjanci Woźniak i „Szakim” — ów kapuś, współpracujący z Wendlandem. Zbiega dopadli na polu Karoliny Chwałek i okrutnie pobili kolbami karabinów. Następnie wraz z innymi więźniami rozstrzelali na lesistym pagórku w Grądach.

Niemcy często mordowali cichaczem, tak że tylko sotysy i grzebiący zwłoki wiedzieli o zabójstwie. Aresztowanego Lekarzyka wyprowadzili z aresztu w ściślej tajemnicy i udali, że go wiodą na stację kolejową; w drodze kazali mu uciekać. Zabili Lekarzyka mówiąc, że sam chciał uciec. Żandarm Ryszard Ketter, który był zabójcą, polecił sotysowi znaleźć o świcie ciało na cmentarz i pogrzebać. Było to jakby miniaturowe naśladownictwo hitlerowskiej akcji Nacht und Nebel — Noc i Mgła.

Również w zagrodzie Józefa Piekelnika Guzdek pobił do nieprzytomności domowników. Jedną z pobitych kobiet wkrótce zmarła. Antoni Węgiel z Dąbrówek Breńskich koło Mędzrechowa często stał z podwodą przed posterunkiem żandarmerii niemieckiej i najczęściej woził Guzdką. Przed podróżą żandarm rewidował wóz, obawiając się materiału wybuchowego. Jadąc koło zagajników, a szczególnie obok parku i majątku barona Jana Konopki w Brniu, broń trzymał w ręku.

Obowiązywało zarządzenie, aby wartownicy więcej meldowali o wszystkim, co mogło się wydawać podejrzane policji. Ktorejs nocy Antoni Węgiel zameldował o pożarze. Żandarmi niemieccy z Guzdkiem i policjantami granatowymi kazali się wieść podwodami w stronę pożaru. W Wólce Mędzrechowskiej stwierdzili, że pożar wybuchł w mielecim, a więc sąsiednim powiecie, wobec czego zawrócili. W drodze powrotnej złapali Żydów — kobietę z dzieckiem na ręku i mężczyznę. Żydzi ze sznurami na szyi musieli biec za wozami. Przez noc trzymano ich w areszcie, rano Guzdek ich rozstrzelał. Dziecko unióś lewą ręką w górę i z prawej zastrzelił.

Wkrótce potem, jeszcze zbroczony krwią, udał się do stolarza Mieczysława Pięrgi. Stolarz zobaczywszy oprawcę był przekonany, że zginie. Postanowił drogo sprzedać życie. Przygotował siekiere i położył obok siebie. Guzdek kazał mu jedynie przyjść do żandarmerii niemieckiej i naprawić tóżka. Wtedy to Guzdek opowiadał, że kilku mieszkańców gminy, którzy wyjechali na roboty do Niemiec, zostało powieszonych publicznie z powodu podejrzenia o współzycie z Niemkami. Zginęli m.in. Stanisław Knağa, Ludwik Święch i Piotr Chrabąszcz.

W Mędzrechowie mieszkało siedem rodzin żydowskich — razem 38 osób. Na przełomie lat 1942 i 1943 większość z nich przewieziono do getta w Dąbrowie Tarnowskiej. Jednakże siedem osób ukrywało się. Schwytanych Żydów rozstrzeliwano nad stawem przy kościele w Podgórze. W kwietniu Guzdek zawiózł jedenastoletniego Żyda nad staw za

Mędzrechowem i gładząc jedną ręką głowę dziecka, drugą wyciągnął rewolwer i zabił malca.

Ukrywających się Żydów przywożono do Mędzrechowa i tu mordowano. Po jednej z takich ekzekucji okazało się, że młody Żyd postrelony w kark — żyje. Ponieważ nikt nie chciał dobić ранego, zakopano go żywcem.

Złapano m.in. trzy Żydówki z Pawłowa czy też z Bolesławia, wraz z dwójgim dziećmi. Żandarmi z Guzdkiem ustawili całą piątkę w pobliżu figury Św. Tomasza, stojącej przy drodze do Bolesławia i po kolei zastrzelili. Żyda zatrzymanego w Świebodzinie przywieźli Niemcy do Mędzrechowa, strzelali doń, ale zdołał uciec. Żandarm Ketter zabił nad stawem w Podgórzu Żyda o nazwisku Feld, rzeźnika z Mędzrechowa. Zwłoki pogrzebano w Wólce Mędzrechowskiej.

W okolicy wzmagał się terror; ludzie nie byli pewni swego życia ani w dzień, ani w nocy. Guzdek szalał po całym terenie. Bywał m.in. w Cwi-kowie u sotysa Nowaka i pieklił się, że sotys nie składa meldunków o Żydach, ukrywających się w okolicy. W wielu też wsiach ginęli Polacy za niesienie pomocy Żydom; m.in. zginęła Józefa Kogut z Zazamcza za ukrywanie ich u siebie. Pewien Żyd w Dąbrowie ukrywał się w przebraniu księdza. Odprowadził mszę i ktoś zauważył błąd, które popełniał. Żyda zabił. Żandarm Ludwik Billert zabił też Franciszka Pułę z Dąbrowy Tarnowskiej za to, że wynajął mieszkanie rzekomemu księdzu. To była sensacja, o której Guzdek często opowiadał. Pewną sensację stanowił fakt, że Puła śmiertelnie zagrożony chciał się odwetać do samego Hitlera, z którym w czasie I wojny światowej służył w jednej kompanii. Droga okazała się jednak za daleka.

Mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa ludzie starali się pomagać sobie wzajemnie. Tak np. ks. Dybiec z Bolesławia wystawił żydowskiej rodzinie Keglów dokumenty aryskiego pochodzenia na nazwiska przez nich podane. Gdy przyszli do księdza z prośbą o sporządzenie tych dokumentów, ten rzekł: „Jak ja mogę wam takie dokumenty wydać, a z drugiej strony jak mogę nie dać”. Wyszukał jednak w księdze parafalnej odpowiednie dane i wystawił dokumenty. Żydzi przyrzekli, że nawet tortury nie rozwiążą im języków. Dokumenty takie wystawiali również księża: Okoński, Jakubowski i inni...

Inne pole działalności Guzdką — to pomoc w „werbowaniu” na roboty do Niemiec. Niemiecki Urząd Pośrednictwa Pracy skarżył się nie

raz, że zbył mało ludzi zdolną wysłać. Sprytni sotysy często uprzedzali ludzi, że wyznaczono ich na roboty, aby zdążyli się ukryć.

W końcu Niemcy sami wyznaczali ludzi na wyjazd na podstawie sporządzonych specjalnych kartotek. W czasie ich sporządzania ludzie podejrzewali, że będą one podstawą do wymiaru kontyngentu zbożowego, żywności, mleka i dlatego podawali mniejszą ilość posiadanego gruntu, a większą liczbę osób na utrzymaniu. Urząd Pracy wysłał na tej podstawie karty wyjazdu do policji i żandarmerii, celem doprowadzenia wyznaczonych. Nie wszystkich żandarmeria zdolną odnaleźć, gdyż ludzie uciekali i kryli się.

Guzdek oświadczył, że wyszło zarządzenie, aby z każdej gminy wysłać na roboty 10 procent mieszkańców. Ponieważ jednak sotysy i wójtowie wiedzieli, że Niemcy nie mają dokładnej ewidencji ludzi wywiezionych już na roboty, przeto zdobyli się na fortel i nanieśli na listę osób przebywających już na robotach również i tych, którzy jeszcze przed wojną wyemigrowali do obcych krajów. Z tymi listami i sporą ilością gorzałki udał się wójt Paweł Kochanek do kierownika Urzędu Pracy, Juliusza Eimesa. Dzięki sprytowi wójta zamiast 680 ludzi przeznaczonych na roboty faktycznie wyjechało zaledwie 250 osób.

Generalny gubernator Hans Frank wydał zarządzenie, by oddawać dzwony kościelne, gdyż Niemcy stracili na froncie wschodnim dużo sprzętu. Przetapiano więc dzwony kościelne na elementy uzbrojenia. Polacy zamiast dużych dzwonów dostarczali tylko małe sygnaturki, wiedząc, że Niemcy znają prawdzie liczbę dzwonów, ale nie znają ich ciężaru. Wyłaniały się grupy zaufanych ludzi, ratujących mienie parafii przed zaborem.

W Mędrzechowie żandarmeria niemiecka, posterunek policji granatowej i urząd gminy mieściły się w centrum wsi, tuż przy kościele. Spod bloku Wendlanda i Guzdeka odważni ludzie, z przygotowanych do wywieżenia trzech dzwonów, uratowali największy 836-kilogramowy. W akcji tej wyróżnili się Mieczysław Pierga, Stanisław Sendbor, Franciszek Zientara i Tadeusz Misiaszek. Dzwony wiezione do oddania „zniknęły” po drodze, bo wprawdzie Niemcy asystowali przy ich zdejmowaniu, ale jednak nie eskortowali ich do końca podróży²⁴⁾.

Policja wraz z żandarmerią zwalczały nielegalny ubój bydła. W Radwanie koło Mędrzechowa gospodarz Morawiec zabił nielegalnie świnie i mięso wymienił na odzież w Krakowie. Został aresztowany i odwieziony do Tarnowa. Tu wraz z innymi został rozstrzelany na górze św. Marcina.

na. Podobne przypadki miały miejsce w całym powiecie, między innymi w Oleśnie. Siostra robotnika kolejowego w Oleśnie Szczepana Drewnianego, po kłótni z bratem zameldowała, że dokonał on nielegalnego uboju. W zimową noc u Szczepana Drewnianego pojawili się policjanci Matełski i Łagodziński w asyście sotysa Józefa Karty. Matełski rozbił drzwi i wewnątrz domu strzelał z karabinu. Postrzelili sotysa, a za drugim razem ranił Szczepana Drewnianego. Wyroby pochodzące z uboju zostały skonfiskowane.

Sotys zmarł wieczorem w szpitalu w Dąbrowie Tarnowskiej. Szczepan Drewniany wyzdrowiał i ukrywał się w Tarnowie. Ale nie tylko takie dramatyczne zdarzenia składały się na codzienną rzeczywistość. Zdarzały się i epizody humorystyczne, z których śmiano się do rozpuku. Oto np. ks. kanonik Jan Jakubowski w Oleśnie nie mógł się uporać z kradzieżami w polu, tą prawdziwą zmorą ludzi zamożnych.

Sam kanonik zaczął pilnować swego pola. Wypatrzył kobietę, zabierającą liście buraczane złożone w kupki. Był tak schowany, że kobieta nie mogła go doszperce. Gdy już kobieta gotowa była do odejścia z całym bagażem, ksiądz odezwał się błagalnym głosem „Ch-a! Tyłko mnie nie zabierzcie”. Dowództwo kwateryjnego w Oleśnie oddział Whermachtu zmuszało mieszkańców wsi do różnych prac i posług. Przyjął się zwyczaj niewyznaczania do tej robocizny miejscowego kościelnego, ale z czasem i jego sotys wezwał. Urażony kościelnym we właściwy sobie sposób dał wyraz niezadowolona — oj złe zaczyna się dziać, bardzo źle! Bo za duchownych się biorą!

W Wielopolu po zamknięciu drzwi wielkiej betonowej piwnicy okazało się, że nie zdążyli z niej wyjść złodzieje. Nie zawiadomiono jednak władz okupacyjnych, nie chcąc za próbę kradzieży skazać ludzi na niechybną śmierć.

A ta okrutna śmierć groziła z rąk okupanta na każdym kroku.

Guzdek wciąż wędził, jeździł po wsiach. We wsi Ćwików złapał dwie kobiety zajmujące się szmuglem, więc zabral je do sotysa Jana Nowaka i chciał rozstrzelać. Odważna i energiczna sotysowa prosiła Guzdeka o litość i puścił je wolno. Strzelili w ramy okna z izby. Podczas poczęstunku żandarm opowiadał o braciach, którzy, jak podkreślił, polegli w walce z Polakami w roku 1939.

Guzdek interesował się także sprawą kontyngentów, które nalożono na wieś. Opornych odwiedzał i przeprowadzał rewizje. W Bolesławiu rolnik zapewnił, że nie ukrywa żywności. Guzdek ją znalazł, a chłop osi-

wiał ze strachu, ale nie został zastrzelony może dlatego, że oprawca czesał sobie przypominał, zwłaszcza w okresie niemieckich niepowodzeń na froncie, iż chłopi są jednak niezbędnymi producentami żywności dla Rzeszy.

Przyjeżdżał także często do Bolesławia kontrolować tzw. „targowników”. Byli to ludzie, którzy mieli u siebie ściągę ewidencję hodowanych w okolicy zwierząt domowych i bez których wiedzy nie wolno było żadnej sztuki zabić. Ponieważ Guzdek nie wiedział dokładnie, gdzie w Bolesławiu targownik mieszka, wstępował do kolejnych domów, ale nikogo nie zastał, chociaż była pora obiadowa. Ludzie na jego widok uciekali z domów.

Chłopi, ratując dobytek oszukiwali Niemców. Np. brali od setka za świadczenie, że sztuka była rzeźnego padła na zaraziwą chorobę i takie zaświadczenie wójt przekazywał „targownikowi” jako podstawę skreślenia danej sztuki z ewidencji. Niemcy zarządzili znakowanie zwierząt specjalnymi kolczykami, zakładając na uszy zwierzęcia. W Bolesławiu członkowie ruchu oporu napadali czasem na biuro „targownika” i niszczyli ewidencję zwierząt rzeźnych. Ludność korzystała wtedy z okazji i zrywała z uszu zwierząt ewidencyjne znaczki.

Jak widać, Guzdek w swym okrucieństwie i gorliwości wykonując katowskie rzemiosło na ziemiach nadwiślańsko-naddunajskich, działał na wielu płaszczyznach.

W Mędrzechowie groził pacyfikacją z powodu śmierci niemieckiego żołnierza. Jednak przeprowadzone przez Guzdkę śledztwo wykazało, że Niemiec popełnił samobójstwo. Był właśnie w lesie, gdy nadszedł list zawiadamiający go o losie rodziny, która zginęła pod gruzami w wyniku alianckich bombardowań.

Natomiast, mimo meldunku, nie podjął żadnych kroków w związku z pojawieniem się bandy Kosieniaka w Brniu. Wprawdzie bandę ktoś spłoszył, ale istniała groźba napadu, ponieważ Konopkowie jako właściciele dużego majątku ziemskiego uchodzili za ludzi bardzo zamożnych²⁵⁾. Zresztą ta zająca i poważana rodzina miała powody, by bardziej obawiać się wizyty Guzdką, niż napadu bandy Kosieniaka. Tu bowiem ukrywało się wielu „spalonych”, którzy pracowali jako robotnicy rolni.

Ale spokoju i tak nie było. W miarę poszerzania się obszarów niedostatku i pogłębiania ogólnej biedy, aktywizowały się miejscowe grupy złodziei, grasujące także z bronią w ręku, np. szajka Adolfa F. z Olesna i Eugeniusza M. oraz Benedykta P. z Wielopola. Warto trochę przyrzeć

się tym przestępczym grupom, powstałym w atmosferze wojenno-oku-pacyjnego rozprzeżenia.

W skład bandy Adolfa F. wchodził znani w okolicy Jan K., Wincenty B., Mieczysław W. i Franciszek B. W przeciwieństwie do kompanów Kosieniaka rabowali oni nawet biedotę, nie wyjąwszy najbliższych krewnych. Włamali się w nocy do domu Józefa Musiła w Wielopolu, przyswiecając sobie latarkami elektrycznymi. Wśród odrażających przekleństw i groźb Adolf zarepetował pistolet i rozkazał właścicielowi zęnać się.

Dopiero po tej, jak się później okazało, pozorowanej egzekucji zażądał wydania pieniędzy i biżuterii. Nie pogardził i innymi rzeczami. Garderobę, obuwie wynosili do przestronnego korytarza i tu ładowali do worów. Jeden z bandytów schował biżuterię do woreczka, uwieszono go u szyi. Odchodząc zagrozili, że w razie ujawnienia komukolwiek faktu dokonania napadu, wrócą i wymordują całą rodzinę ze służbą włącznie, a budynki spalą.

Właściciel majątku—resztówki popadł w głęboką rozterkę, gwałt w oczach i wkrótce zmarł. Okazało się potem, że banda działała według ściśle określonego planu, mając swoich informatorów we wsi. Ci obserwowali bacznie transakcje zawierane na jarmarkach, notowali fakty bytności w bankach zamożniejszych spośród mieszkańców.

To jednak nie wystarczyło opryszkom. Szukali łupów w biednych domach. W nocy napadli na dom ubogiej kobiety, samotnie wychowującej córkę. Domek stał w polu za wsią. Kobieta zdążyła ukryć się pod żłobem w oborze. Napastnicy byli w maskach. Gdy już odchodzili po dokonaniu rabunku, córka rozpoznała jednego z bandytów i zawołała:

— Jasiek, toś ty przyszedł?

Natychmiast zawrócili. Matka niczego nie słyszała, ale po odejściu bandy zasiała córkę martwą. Po pewnym czasie morderca został aresztowany i zeznał, że udusił dziewczynę, bo go rozpoznała.

Zrabowane przedmioty ukrywali bandyci w kopcach po ziemniakach, a następnie sprzedawali w Tarnowie. Tam właśnie poznał swoją zrabowaną własność jeden z rolników z Sieradzy. Bilans przestępstw szajki Adolfa F. był bardzo bogaty. Oprócz kradzieży bandyci mieli na swym koncie osiem napadów z bronią w ręku. Zostali złapani zaraz po ucieczce Niemców. Wielopolscy złodzieje także sięgali chętnie po cudze dobro, jednak czynili to skrycie, w typowo złodziejskim stylu.

Warunki wytworzone przez hitlerowskich okupantów na ziemiach polskich: terror, lekceważenie życia ludzkiego, pogarda dla wartości celnych przez całe stulecia — wszystko to przyczyniło się do rozwoju pospolitej przestępczości z bandytyzmem na czele. Sprzyjała temu zbrodnia działalność takich hitlerowców jak Engelbert Guzdek, który wołał mordować niewinnych ludzi, niż ryzykować starcia z bandytami.

Wokół tego zandarma wytworzyła się atmosfera panicznego lęku i zrozumiałej nienawiści. Każde spotkanie z nim było wstrząsem pamiętnym na długie lata. Wrażenia z takiego spotkania przekazał Wojciech Mleczek w artykule zamieszczonym w numerze 35 „Tarnowskiego Miesięcznika Informacyjnego” pl. „Moje spotkanie z Guzdkiem” z 31 sierpnia 1986 roku²⁶⁾.

Zanim doszło do tego spotkania, Wojciech Mleczek znał już dobrze ze słyszenia niektóre zwyczaje Guzdeka. Utała się o nim opina, że czuł się źle, jeśli któregoś dnia nie rozlał niewinnej krwi. Mówiono też, że zandarm niezwłocznie po przybyciu do Mędzrechowa zarządził, aby przed posterunkiem stały w pogotowiu dzień i noc dwa parokonne wozy. Podwozy wyznaczali sołtysi poszczególnych wsi gminy.

Pewnego letniego dnia Wojciech Mleczek zobaczył dwie furmanki mijające w galopie jego dom. W jednej z nich obok granatowych policjantów siedział cywil w charakterystycznym dla Niemców zielonym kapteluszu, przyzdobionym „miotelką”. Łatwo się było domyślić, że to Guzdek. Była to, wywołana donosami wyprawa w poszukiwaniu Żydów, podobno ukrywających się u Stanisława Rogowskiego i broni ponoć przechowywanej przez Jana Starsiaka.

Nie znalazłszy ani uciekinierów, ani broni — Guzdek skierował się do Wojciecha Mleczi, prowadzącego w Grądach sklepik z towarami mieszanymi. Wszedł, odepchnął klienta stojącego przy ladzie, pogrzebał w szufladzie z gotówką, posperał na półkach z towarem, na właściciela sklepu natoczył 50-złotową karę za rzekomo zabrudzony odważnik, wręczył wyszedł.

Wojciech Mleczek odepchnął, szczęśliwy, że tak się skończyła wizyta nieproszonego gościa. Ale ta radość nie trwała długo, bo wkrótce zjawił się w sklepie granatowy policjant z żądaniem pół litra wódki dla „wachmajstra”. W dodatku tę wódkę miał Mleczek dostarczyć osobiście do domu Jana Starsiaka, gdzie właśnie gościł Guzdek.

— Wewnątrz — wspomina Wojciech Mleczek — za stołem, na którym był chleb wiejski i masło, siedział obok Starsiackowej — Guzdek. Był

to wysoki silnie zdudowany mężczyzna, o czerwonej cerze i trochę ochrypym, basowym głosie. Nosił spodnie pumpy, grube skarpety i buty turystyczne. Postawiłem przed nim butelkę a on zapytał, ile to kosztuje. Zaskoczył mnie tym pytaniem, ale odpowiedziałem, że złotego. Rozśmiał się, ale widząc, że zabieram się do odejścia zatrzymał mnie i powiedział:

„Teraz proszę się do mnie napić”.

Znów ośupiiałem. Zacząłem się wymawiać, ale stający za mną tym razem komendant Chęć, który był dla mnie przychylnie usposobiony, kopnął mnie nieznacznie w nogę, dając mi do poznania, żebym się nie opierał. W tym momencie pomyślałem, że Guzdek obawia się, czy wódka nie jest zatruta i chce to na mnie wypróbować. Naląłem więc sobie niedużo do kieliszka, ale on zauważył i osobiście dolał mi do pełna. Gdy to wypilem, Guzdek pozwolił mi odejść. Teraz już byłem pewny, że będę miał spokój.

Ale na tym się nie skończyło. Po pewnym czasie u Mleczi zjawił się powtórnie „granatowy” i oznajmił, że „wachmajster” prosi o jeszcze jedną pół litra, najlepiej monopolowej, ale może być i samogon. Tym razem udało się Mlecze zdobyć tylko ciwartkę — i to dość podłego samogonu. Zandarm jednak nie wybredał. Żądał tylko — jak zwykle — by dostawca, tzn. Wojciech Mleczek wypił przed nim kieliszek. Bał się otrucia i trudno się dziwić tej ostrożności zbrodniarza, tak powszechnie znienawidzonego w całej okolicy.

OTFINÓW — ESKALACJA TERRORU

Krwawy oprawca Powiśla został przeniesiony do kolejnej gminy i zamieszkał w połowie maja 1943 roku u księdza proboszcza Józefa Kłocha w Ołfinowie²⁷⁾. Sprowadził tu swą żonę Hildegardę i dzieci, trzyletniego synka Eryka i córki Erykę i Monikę. Chociaż jego łatorośle miały wiele atrakcyjnych zabawek, rówieśnicy obchodzili je z daleka. Maty Eryk był dumny ze swego ojca. Czasami siadał na karku Guzodka i wołał: „Ty mordujesz ludzi!”. Ks. Kłoch u którego mieszkali, starał się, o ile to było możliwe, hamować Guzodka.

Gospodynie wiejskie np. Zofia Kasprzak znosiły drób i nabił jego żonę, nie żądając w zamian pieniędzy, a niektórzy rolnicy i urzędnicy, chcąc przypodobać się żandarmowi, zapraszali go często na wesela i inne uroczystości rodzinne. Pod nadzorem Guzodka znalazły się gminy: Ołfinów, Wietrzychowice, Gręboszów oraz Bolesław i Szczurowa w powiecie brzeskim, a także gmina Radłów w powiecie tarnowskim.

Znano już pierwszy tragiczny rejestr zbrodni żandarma Guzodka. Nie wiele natomiast wiadzano o jego przeszłości, kim był, skąd pochodził? Odpowiedź nie była prosta. Po raz pierwszy żandarm ten pojawił się na terenie powiatu Dąbrowa, gdy organizowano oblavy przeciw ruchowi oporu i bandzie Kosieniaków. W akcjach tych brał udział odziany w mundur żandarma lub po cywilnemu. Podczas jednego z nocnych wypadów schwytano na przykład na polach ołfinowskich dezertera z niemieckiego wojska, który nie chciał walczyć na froncie i ukrywał się. Wywieziono go natychmiast. Po tego rodzaju nocnych akcjach granatowicy policjanci z Ołfinowa odprowadzali rannym Guzodka do komendanta warty, Władysława Gawora lub do sołtysa, Józefa Menela, na spoczynek. Guzdek ponury, małomówny, zabierał poduszki i po drabinie wchodził na siano, gdzie spał. Gospodarza zawsze uprzedzał, kiedy należy go zbudzić. Wtedy poza domyślnymi nikim nie mógł niczego pewnego powiedzieć o nim, nikt też nie znał nawet jego nazwiska. Poznano go dobrze później, gdy już oficjalnie zaczął urządować w Ołfinowie, na posterunku policji granatowej. Guzdek ustalił obowiązek stałego dostarczania po dwu ludzi do pilnowania posterunku, gdzie urządował. We wsiach wpro-

wadził liczniejsze warty. W Ołfinowie co noc pełniło je dwunastu chłopów: ich dowódcą był Władysław Gawor. Guzdek zwracał się do wszystkich przez „ty” i życzył sobie, aby również jego „tykano”. Ale mówiono mu „panie szefie”.

Groźną trójkę na posterunku w Ołfinowie, liczącym 12 funkcjonariuszy stanowili: Władysław Lesiński zwany „Fajką”, Eugeniusz Niechciał i Wacław Lewandowicz. Prócz nich służyli tutaj: przedwojenny komendant policji Kasper Adamski, Tadeusz Krasnodębski, Władysław Walkowski, Jan Szewczyk, Sobczak, Molenda i inni. Komendantem był Stefan Mądry, żandarmem Wilhelm Stein Austriak. Na posterunku mieszkała kucharka Jadwiga Strzok, a także żony policjantów. Posterunek mieścił się w mурowanym domu, stojącym obok kościoła. Właścicielkę Anielę Stupck usunięto do stajni.

Ludność polska była przesładowana i szykanowana przy każdej okazji. Oto Feliks Zych ładował kiedyś ziemiaki na wagony na stacji kolejowej w Żabnie. Były one jednak niezbyt dobrej jakości, toteż policjant Mądry, nadzorujący załadunek pobił go i jego ciężarną żonę, nie przybijając do wiadomości, że z powodu deszczu ziemiaki wygnity. Za niezbyt dobrej jakości plony oddawane na kontyngent pobito też Ciapoche. Pobił ją burmistrz Żabna, Stanisław Uramek, który również przesładował miejscową ludność.

Urzędnicy sabotowali zarządzenia władz niemieckich i z narażeniem życia oszukiwali wroga. I tak Stanisław Przybyłek z Zarządu Miejskiego w Żabnie sporządzał spisy bydła bez ustalania rzeczywistej liczby zwierząt. Burmistrz dr Stanisław Witrek polecił jeszcze podać wielkość pogłowia pomniejszych. Na tej podstawie „targownik” z Ołfinowa, mający w swej „opiece” Żabno oraz kilka innych gmin, ustalił wielkość kontyngentu. Podając obszar gruntów, często fałszował stan faktyczny. Dlatego nakładany kontyngent zbożowy był tu najmniejszy.

Stanisław Przybyłek, prowadzący również rejestr meldunków w Żabnie, sporządzał fikcyjne wymeldowania i dokumenty. Zwrócił się do niego mieszkaniec Żabna, Stefan Poleński, którego dwóch synów aresztowano i który należał do konspiracji, o wydanie kilku czystych blankietów kenkart z pieczęcią burmistrza. Pod nieobecność burmistrza Przybyłek, postępując się podrobionym kluczem wybrał pięć sztuk tych dokumentów i przekazał partyzantom.

Zjawił się w Wielopolu Józef Lekarczyk z Mędrzechowa ps. „Gałązka”, który zmieniał połażemnie znaczki ewidencyjne, czyli tzw. kolczyki

na uszach zwierzał. W ten sposób gospodarze podstawiali młode sztuki w miejsce dorosłych.

Wiedziiano, że Lekarczyk ukrywa się przed Niemcami. Któregoś dnia po południu zatrzymał się on u Antoniego Satka w Zadyczy przysiółku Wielopola i suszył przemoczone deszczem ubranie i onuce. Nagle spostrzegł, że dom otaczają formacje policji i żandarmerii, ściągnięte tu nagle. Ostrzeliwując się z rewolweru, uciekał konno ku Gorzycom. Strzelali doń z wielu stron, jeszcze do zabitego, bojąc się podejść bliżej. Następnie w polu kazano wykopać dół i do wody wrzucono ciało. Mimo terroru, zarządzenia okupanta nagiennie łamano. A terror trwał i obejmował coraz szersze kręgi ludności. Jego zbrodniczym ośrodkiem dyspozycyjnym było gęstąpo w Tarnowie. Na jego polecenie zostali w Żabnie aresztowani przez żandarmerię: Józef Sitko, Alojzy Lechowicz, Stefan Zachara z Podlesia Dębowego. Gestapowcy kazali im zabrać topary i wszystkich wywieźli na teren porośnięty wikliną w Iłkowicach nad Dunajcem.

Zaczęto się kopanie grobów. Nagle Sitko wymierzył topatą cios Niemcowi i pobiegł w wiklinę. Posypaty się strazy. Niemcy ruszyli w pościg. Nie udało się dogonić dzielnego chłopaka. Niestety — pozostali sparaliżowani strachem, stali nieruchomo i zostali zastrzeleni. Ciała przykryli Niemcy liśćmi, bo dołów jeszcze nie było. Pretekstem do masakry było to, że jej ofiary przed wojną odsiadywały wyrok za bójkę, wywołaną podczas jarmarku w Żabnie, kiedy to poszkodowany był niejaki Owca z Konar.

Taka atmosfera terroru, represji i egzekucji sprzyjała zbrodniczym karcom ludzi w typie Engelberta Guzdeka. Był on ciągle aktywnym. Zjawiał się niespodziewanie w odległych nieraz wsiach. Przerzucał się szybko wozem z miejsca na miejsce.

W pobliżu Dąbrowy Tarnowskiej, we wsi Szarwark, Niemcy bywali rzadziej. Toteż ten i ów zabijał świnię po kryjomu. Potrzeba skłoniła również do tego Ludwika Sipiore. Akurat jakiś człowiek z miasteczka chodził po wsi, prosił o wsparcie, więc gospodarz dał mu trochę wyrobów. Jednakże żebrzący został zatrzymany i bity powiedział, skąd ma mięso. Guzdek z Niemcami ruszył ku Szarwarkowi 21 maja 1943 roku i w drodze zobaczył Sipiore sadzącego ziemniaki. Ten, zapytany odpowiedział jak się nazywa. Zabrano go do domu, a podczas rewizji znaleziono wyroby. Niemcy bili Sipiore okrutnie. Wobec płaczu dzieci, Guzdek wyprowadził go do lasu, tu kazał mu uciekać i strzelił dwa razy. Ranny wyl się

z bólu. Guzdek dobił gospodarza, dusząc go jego własnym pasem i rozkazał pochować ciało na miejscu.

Pojemnego uboju dokonał również Roman Moździerz z Szarwarku, a skórę cielenia sprzedał Franciszkowi Węglarskiemu. Niemcy znaleźli ją u Węglarskiego i biciem zmusili do zeznań. Moździerz, zobaczwszy nadchodzących Guzdeka i Niemców, rzucił się do ucieczki, choć ranił go w rękę. Niemcy ruszyli za nim w pościg. W polu ranił go w brzuch po raz drugi. Rannego zawieziono po wybojach do szpitala w Tarnowie, gdzie po trzech dniach zmarł. Niemcy nie pozwolili sprowadzić księdza do umierającego. Nie wydali też rodzinie ciała. Roman Moździerz pochowany został w Krzyżu pod Tarnowem.

W tym samym czasie w Szarwarku na gościńcu Guzdek spotkał nie w pełni poczytalnego wódcę Kmiccia, bosego, obdarłego. Zaczął mierzyc z automatu do żebra. Ten wypiął się i zawołał: „Strzelaj głupku”. Zaskoczony żandarm odłożył broń, a Kmicciowi przydzielił obuwie. Dodajmy, że Kmicć potrafił płać figle. Kiedyś np. zamknął miejscowego księdza w pokoju, a czekającym parafianom zapowiedział, że mszy nie będzie.

Podczas święta Bożego Ciała w czerwcu 1943 w areszcie w Otrynowie przebywali: zegarmistrz z Opatowca i nieznanego nazwiska Żyd. Obaj byli przywiezieni przez Guzdeka z jednej z jego wypraw. Zegarmistrz, słysząc odgłosy uroczystości w pobliskim kościele, głośno rozpaczal. Uspokajał i pocieszał go Żyd — współtowarzysz niedoli.

Guzdek najpierw wywołał zegarmistrza, każąc mu iść przed sobą, nie drogą przez wieś, ale wałem Dunajca. Zegarmistrz był pewny, że zostanie zastrzelony z tyłu. Obceirzał się dopiero po przebyciu dwóch kilometrów. Tym razem skończyło się na torturze strachu.

Z Żydem posłąpił Guzdek według hitlerowskich reguł. Wyprowadził go pod Czantorię i tu zastrzelił na szosie. Oto przykład jednego z czepizdów wojennych. Było ich tyle, że niepodobna wszystkich odnotować.

Jednym z upodobań Guzdeka była kontrola wart, ustanowionych we wsiach przez okupanta. Jadąc do Siedliszowic, na skraju wsi skontraktował wartę złożoną z kilku chłopów. Zagroził im egzekucją, ponieważ uważał, że jeden spośród wartowników uciekł kukurydzą i zniknął. Po prostu chłop nie wytrzymał, bo wiedział, że żandarm szuka kogoś innego o tym samym nazwisku. Sprawę załagodził Tadeusz Złotnicki, przyrzekając, że za niepoważny postępek strachliwego chłopca przywiezie Guzdekowi beczkę piwa.

Innym razem Guzdek ze swym pomocnikiem Niechciałem zjawił się w samym centrum rozległej wsi Siedliszowice. Zrobił apel wartowników, zjawili się wszyscy — wbrew instrukcji, nakazującej jednemu pozostać zawsze w ukryciu. Guzdek zareagował w zwykły sobie sposób i nakazał uciekać komendantowi warty Józefowi Kosonowi i zarepeliować broni. Scenę tę z przerażeniem oglądała rodzina Mieczysława Kosonia (brata Józefa) mieszkająca w stojącym obok domu. Sam Mieczysław nie mogąc w niczym pomóc bratu, zemlał. Wtedy Niechciał ułożył przed Guzdkiem i błagał go o darowanie życia Józefowi Kosonowi — ojcu dziesięciorga dzieci. Jedną z córek Kosonia, nie mogąc znieść atmosfery ciągłego zagrożenia, zdecydowała się dobrowolnie jechać na roboty do Niemiec.

Mieszkańcy Otfinowa i okolic wspominają, że Guzdek oprowadzany bez reszty duchem represji, znieważał nawet policjantów. Pewnego dnia Piotr Piotrowski wioząc Guzdeka na wózku. Za nimi policjanci większym wozem transportowali trzech mężczyzn, złapanych przy przeprawie promem przez Dunajec. Mieli ich dostawić do siedziby żandarmerii w Dąbrowie Tarnowskiej.

W drodze powrotnej jechali przez Żabno, tutaj Guzdek miał do odebrania przydział papierosów, które zostawił w jednej z restauracji tego miasta. Przypomniał sobie o tych papierosach już po minięciu Żabna i posłał po nie Piotrowskiego. Ten wrócił z wiadomością, że ktoś ukradł przydział. Wtedy żandarm posłał policjanta Walkowskiego, a gdy i ten wrócił z niczym, został spoliczkowany. Przez całą drogę Guzdek przeklinał złodzieja papierosów.

Wkrótce Guzdek znalazł godnego siebie kompana. 18 czerwca 1943 roku zjechał do Otfinowa tarnowski gestapowiec Wilhelm Heinrich Rommelman z pomocnikiem. Zamieszkali razem w pokoju wikarego ks. Piechoy. Rommelman wezwał przed swe oblicze kucharkę Annę Stownik, ks. Lisa, ks. J. Kłocha i ks. Piechołę i uprzedził ich, że jeżeliby się dowiedzano, że gestapo mieszka na plebanii to wszyscy zostaną rozstrzelani. Wezwał też gospodynię i zapowiedział, że będzie jadł posiłki z księżmi przy jednym stole i te same potrawy. Również zagroził jej rozstrzelaniem w razie popełnienia niedyskrecji.

Rommelman mieszkiał na plebanii przez miesiąc. Swymi morderstwami niewiele ustępował Guzdkowi. Wkrótce po przybyciu do Otfinowa Rommelman spotkał w drodze do Żabna chłopca, Michała Lire z Zadyczy²⁸⁾. Chłopak szedł do fotografa, by zrobić zdjęcie do kenkar-

ty. Zaskoczony przez gestapowca powiedział ze strachu, że idzie odebrać już gotowe zdjęcie. Niemiec sprawdził tę wiadomość i gdy okazało się, że Lirio u fotografa jeszcze nie był, zaarrestował go i rankiem rozstrzelał w Otfinowie. Guzdek wiedząc, że Jan Wróbel z Pawłowa, przebywający za Wisłą, bierze czynny udział w ruchu oporu, odwiedził w cywilnym ubraniu dom jego matki, Rozalii Wróblowej, wdowy i matki czworga dzieci i wypytował ją o syna i pismo „Odwet”, czytane w wielu miejscowościach. Zanim powstały na tym terenie punkty przebitkowe, kurierzy „Jedrusów” dowozili egzemplarze „Odwetów” z Mieleckiego. Udawał partyzanta. Kobieta odpowiedziała na pytania.

Nad ranem 28 czerwca 1943 roku oddział złożony z gestapo i żandarmerii w liczbie 150 ludzi przybył pięcioroma samochodami. Obstawili pobliskie wsie Tonie, Pawłów i Strojców, tak, by nikt nie mógł uciec. Jeden z patroli wszedł do domu Wróblowej, pytając o syna Jana. Kobieta odpowiedziała, że jej syn ukrywa się nie wiadomo gdzie. Niemcy zastrzelili ją. Potem zabili jej dwunastoletniego syna, Stanisława. Najmłodszy syn zdążył się ukryć, a córki na szczęście nie było wtedy w domu. Po podpaleniu zabudowań Wróblowej, Niemcy nabili zwłoki pomordowanych na widły i wrzucili w ogień²⁹⁾.

Następnie zaczęli szukać ludzi, którzy figurowali na sporządzonej wcześniej liście. Aresztowali wówczas: Stanisława Czuprynę, P. Burgiela, Władysława Wójcika, Stanisława Kowala, Michała Zajęca, Władysława Skowrona, Jana Sochę, Stanisława Przewoźnika — wszystkich z Toni oraz Józefa Czuprynę ze Strojцова. Przewieźli ich do tarnowskiego więzienia, a stamtąd do Oświęcimia. Do domu wróciło tylko trzech spośród wówczas aresztowanych: Burgiel, Przewoźnik i Czupryna.

29 czerwca 1943 roku wrócił się do Urzędu Gminnego w Otfinowie chłopiec Stanisław Boduch z Przybysławic i prosił o skierowanie go na leczenie do Solca Zdroju. Ponieważ Przybysławice należały administracyjnie do gminy Radłów, odmówiono mu. Gdy chłopiec wychodził z urzędu, zwrócił nań uwagę Rommelman, któremu rzuciła się w oczy okrągła czapka, jaką zawiadacko nosił dwudziestolenni Boduch. Gestapowiec aresztował przybysza. Wkrótce zastrzelili go i kazali narychmiast pogrzebać zwłoki. Władysław Mysliński w swej książce „A jednak tak było” przypisuje tę zbrodnię Engelbertowi Guzdkowi. Ale kronikę parafii Otfinów, prowadzoną przez ks. Kłocha oraz relacje świadków można uznać za bardziej wiarygodne.

Pod kościołem usiadł na chwilę, by odpocząć, goniec Jan Lipiński. Rommelman chciał go zastrzelić. Pechowca obronił ks. Kłoch i urzędnicy z Gminnego Urzędu. Gestapowiec przejawiał dużą aktywność, szczególnie na terenie Otfinowa. Zamknął np. w miejscowym areszcie nieznanego z nazwiska, bogato odzianego mężczyznę z Kars. Aresztowany wołał przez drzwi pomieszczenia, by zawiadomić o tym jego znajomego w Tarnowie. Rommelman i Guzdek wyprowadzili go do samochodu, obiecując, że zgodnie z jego prośbą dokonają konfrontacji w Tarnowie. Pod młynem Merchutowej w Niecieczy polecieli mu zdjąć ubranie i Rommelman go zastrzelił.

To on również odwiedził dom przy ulicy Cmentarnej, gdzie mieszkali rodziny Strzoków i Poloneckich. Wyprowadził z domu szwagierkę Poloneckiego i koło cmentarza zastrzelił. W lipcu 1943 roku spotkał pod urzędem pocztowym nauczycielkę pochodzącą z Drohobycza, Julię Woźniak, handlującą tekstyliami i porcelaną. Swoją przyjaźń zgłosiła ona na posterunku w Otfinowie, aczkolwiek granatowi policjanci ostrzegali ją, żeby tego nie czyniła. Rommelman sprawdził kennkartę, była w porządku, ale mimo to zatrzymał dokument i polecił kobiecie, aby zgłosiła się na posterunku przed odjazdem. Ks. Kłoch radził wtedy nauczycielce opuścić te okolice, ale nie usłuchała.

Po dwóch tygodniach znów zgłosiła się na posterunku. Gestapowiec zabrał jej walizy i obiecał, że podwiezie ją, bo chciała odjechać. Mijając domy znajomych machała ręką na pożegnanie, rozśmiana. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co ją czeka. Wóz skręcił jednak na cmentarz. Tu gestapowiec kazał jej rozebrać się i zejść z wozu. Krzyczała i na kolanach prosiła go o darowanie życia. Została jednak bezlitośnie zastrzelona.

Natomiast policjanci granatowy, Władysław Lesiński, zwany „Fajką” naraził się czymś Niemcom. W związku z tym został wezwany telefonicznie przez gestapo do stawienia się w kermendzie. Wsiadł więc na rower i pojechał tam walem rzeczny. Gestapowcy natomiast nadjechali z przeciwną i zatrzymali go w drodze. Ponieważ przywołano go do wozu, Lesiński podszedł do Niemców salutując. Siedzący na wozie Rommelman strzelił do policjanta w momencie, gdy ten odwrócił się, by odejść. Chłopu, który akurat zawiózł buraki na stację kolejową i wracał, kazali zabrać ciało na wóz. Krew zabitego ściekała na szosę.

Tak więc w Otfinowie mieszkali teraz i działali dwaj najniebezpieczniejsi i najbardziej bezwzględni na opisywanym terenie funkcjonariusze hitlerowscy, Rommelman i Guzdek. Obaj też poczynali sobie coraz

śmielej. Pewni bezkarności, uzurpowali sobie prawo sądzenia i decydowania o ludzkim życiu lub śmierci.

Policjant granatowy, Krasnodębski, zakonspirowany członek BCh miał za zadanie na posterunku w Otfinowie kontrolować zbrodnicze zapędy Guzdeka i hamować go. Dlatego starał się być przy nim jak najęśniej. Imponując Guzdkowi postawną posturę, udawał jego przyjaciela. Krasnodębski często na przykład wypytywał kucharkę Guzdeka noszącą nazwisko Jadwiga Strzok, o treści jej rozmów z żandarmem. Baczny obserwator pochodzący z tych stron Władysław Sekula wspominał, jakie wrażenie sprawiał na nim fakt, że Krasnodębski jest prawą ręką Guzdeka. Dziwiło go zawsze, że policjant nie robi ludziom krzywdy, wręcz przeciwnie, w miarę nadarzającej się sposobności starał się ich bronić. Gdy dowiedział się od Guzdeka, że ten zamierza aresztować Franciszka Biela z Czyżowa, ukrywającego radio, w nocy pojechał do chłopca, ostrzegł go i pomógł wywieźć radio. Guzdek dokonał następnie szczegółowej rewizji, ale niczego nie znalazł.

Krasnodębski zdawał sobie sprawę z tego, jak wiele ryzykuje. Niemcy byli czujni, bo w Dąbrowie Tarnowskiej złapali na szpiegostwie piękną urzędniczkę starsiwa mgr Stefanję Hanausek „Mariola”, działającą na rzecz ZWZ. Zastrzelili ją pod Tarnowem.

Pewnej nocy Guzdek wybrał się wraz z Krasnodębskim do wsi Żelichów, by skontrolować chłopską wartę. Zastali wartowników grających w karty. Wpadł we wściekłość, ustawił chłopów pod ścianą i zamierzał rozstrzelać. Któremuś udało się wyprosić u Guzdeka darowanie im życia. Ten zgodził się w końcu, polecając ukarać chłopów chłostą, ale nadal trzymał ich pod ścianą. Udaając, że wykonuje wyrok śmierci, strzelał w ich kierunku nad głowami i pod nogi. Na koniec darował im życie.

Granatowi policjanci bywali często w trakcie Józefa Powroźnika w Gorzycach, stojącej na skraju wsi od strony Otfinowa. W trakcie rozmowy Krasnodębskiego z właścicielem sklepiku okazywało się, że obaj pochodzą z kieleckiego. Policjant nabrał do niego zaufania.

Powroźnik, były wyrobnik dworski, urodzony w Zagajowie koło Solca Zdroju, w roku 1930 kupił kawałek gruntu, na którym postawił sklep. Od czasu tej rozmowy Krasnodębski przyjeżdżał do Powroźnika i dawał mu znać, kiedy Niemcy będą zabierać bydło i pędzić je do Żabna. Powroźnik ostrzegał o tym tylko zaufanych gospodarzy, obawiając się zdrady.

W sierpniu 1943 roku chłopci oddawali kontyngent na stacji kolejowej w Żabnie. Nagle wybuchła kłótnia, bo ktoś dostarczył pod wagą podkową żelazną, fałszującą odczytywanie ciężaru. W trakcie zajścia nadszedł Guzdek i spytał o przyczynę sporu, a następnie zapisał jakieś nazwiska ludzi z Goruszowa pod Ofinowem. Żandarm był podchmielony, a więc tym bardziej niebezpieczny. Wzburzony pognął na posterunek w Ofinowie, tu wsiadł na rower i już chciał jechać do Goruszowa, ale na szczęście Krasnodebski powstrzymał go.

Zdarzyło się kiedyś, że pewien zamożny gospodarz z Niecieczy — Ozga, otrzymał nakaz złożenia dwustu tysięcy złotych na cele konspiracyjnego wojska polskiego. Do nakazu dołączone było zdjęcie gen. Sikorskiego. Pieniądże miał Ozga złożyć nad Dunajcem. Była to próba przestępczego wymuszenia. Sprawa była gwałtowna. Złożenie okupu groziło śmiercią z rąk okupanta, niełożenie zaś śmiercią ze strony, jak należało się domyślać, jakiejś podziemnej organizacji. Ozga zwlekał i wtedy otrzymał pismo ponagające. W tajemnicy przed Niemcami przejął sprawę z ramienia posterunku policji Krasnodebski. Dzięki swoim kontaktom i powiązaniom potrafił sytuację rozwiązać i wszystko zatuzować.

Niełatwo było działać pod czujnym okiem Guzdeka. Niechcąc do zandarma w pewnym stopniu przenosiła się na wszystkich ludzi, związanych z nim w jakimkolwiek stopniu, bo Guzdek był powszechnie znienawidzony w okolicy. Ludzie na jego widok uciekali, bo nigdy nie było wiadomo, jak się zachowa. Oto we wsi Kłyz kilku chłopców ucinano sobie pogawędkę na podwórzu. Na widok Guzdeka zaczęli uciekać. Żandarm zeskoczył na rower i popędził za jednym z nich, Stanisławem Piątkiem. Wyrzucił z pistoletu i pocisk trafił uciekającego w nogę, następny trafił go w głowę w okolicy lewego ucha i wyszedł pod lewym okiem. Chłopca odwieziono do szpitala. Po pewnym czasie już wyleczony wrócił do domu. Guzdekowi towarzyszył „Kostek”.

Oczywiście wszystkie te interwencje Krasnodebskiego komentowano w okolicy, dlatego właśnie Eugeniusz Kotra adiutant Komendanta Obwodu AK Dąbrowa Tarnowska, ostrzegł Krasnodebskiego, że ludzie zbyt dobrze o nim mówią i może to zwrócić uwagę Niemców. Krasnodebski chcąc odwrócić od siebie ewentualne podejrzenia, poturbował wicemarem młodych chłopców pod sklepem w Stediszowicach.

Pewnego dnia Stein, Niechciał i Krasnodebski wzięli udział w obławie Żydów. Wybrali się podwodą konną za Dunajec. Zginęła wtedy ciężarna Żydówka i jej mąż. Krasnodebski, zmuszany do uczestnictwa

w takich akcjach komentował je krótkim zdaniem, że dla Żydów nie ma ratunku.

Po akcji partyzantów przeciw tzw. „targownikom” Niemcy wzmogli czujność i częściej teraz kontrolowali warty. W Dąbrowie istniały dwa posterunki: policji oraz żandarmerii, których komendy mieściły się w Tarnowie.

Komendant żandarmerii z Tarnowa, porucznik Hofman, wizytował pewnej nocy posterunek w Dąbrowie. Po zakończeniu służbowych czynności udał się w towarzystwie tłumacza Franciszka Matejskiego na posterunek policji granatowej. Tu przy telefonie pełnił dyżur sierżant Franciszek Kwarta, który półleżąc przy stole, nie podniósł się nawet na widok wchodzącego. Hofman dokonał wpisu w książkę służbowej, we wpisie tym żądał przedstawienia Kwarty do karnego raportu. Zameldował również o incydencie komendantowi powiatowej komendy policji, Ostrowskiemu. Hofman zagroził Kwartcie przeniesieniem na posterunek w Rożnowie, gdzie komendantem był satrapa, znany z tego, że za byle przewinienie wysyłał podwładnych do obozu.

Sprawa skończyła się jednak na ostrej naganie, udzieleniu Kwarcie. Odtąd, ilekroć Hofman był na posterunku w Dąbrowie, zawsze pytał o sierżanta. Kwarta sądził, że ktoś zdradził Niemcom, iż przez znajomych ostrzeża on ludzi o łapaniach. Ostrzegł on rzeczywistość między innymi Zbigniewa Jaworskiego, syna urzędnika sądowego, ale ten zamiast uciec pobiegł jeszcze po jakieś notatki do biura i Niemcy schwytali go. Uprzedził też Albina Włodarczyka o mającym nastąpić aresztowaniu, ale ten nie uwierzył, bo mówił, że nie należy do ruchu oporu. Włodarczyk wkrótce zginął.

18 maja 1943 roku w Ujściu utworzono posterunek Stützpunkt w składzie 30 policjantów ze szkoły policyjnej w Zegiestowie i kilka żandarmów niemieckich. Tu, u ujścia Dunajca do Wisły zbierały się drogi przy przeprawie na lewy brzeg Wisły. Kursował tu duży prom, można było również wynająć prywatne łódzkie.

W Borusowej także korzystano z promu i łodzi. Nie było tu lasów ale rozległa, zakrzewiona i zalesiona kepa nadwiślańska porośla chrustem i wikliną, dawała schronienie ściganym. Tędy kursowali po wale łącznicy „Jędrusiów” i AK. Wzdłuż Wisły podążali zbiegli z obozów jeńcy radzieccy. Już od początku okupacji był to punkt neutralizacyjny. Tu odbywały się obławy obfitujące w krwawe żniwo. Wśród pierwszych ofiar

znalazł się między innymi Józef Rura z Borusowej, pogrzebany w Gręboszewie.

Nie dziwnego, że i Guzdek często tu zaglądał. Kiedyś wybrał się po cywilnemu do Ujścia Jeznickiego, zwanego też Dunajecim. Szedł przez wieś pieszko z plecakiem. Ludzie, unikający spotkania z nim oko w oko, nie znali twarzy żandarma. Tam napotkał mieszkankę Ujścia D. Kobieta spytała go:

— Panie, pan „Krakus”?

Przez to pojęcie rozumiano paskarzy z Krakowa, handlujących żywnością i dowożących towar statkiem do miasta.

Ten odpowiedział:

— Tak, „Krakus”.

Na to ona:

— Panie nie chodź pan tam, bo tam gdzieś jest Guzdek.

Ten pyta:

— Guzdek, a co to za jeden?

— Panie, to pan nie słyszał o Guzdku? To morderca, kogo napotka — strzela!

Gdy powiedziała mu wszystko co myśli o żandarmie, wtedy ten oświadczył:

— Ja jestem Guzdek.

Kobieta z wrażenia osłupiała i osunęła się na ziemię. Ten piorunujący efekt sprawił żandarmowi taką satysfakcję, że zostawił ją w spokoju. Opowiadał potem wiele razy o tym spotkaniu. Chwalił się wokoło, jaki to strach wzbudza jego nazwisko.

Guzdek zaczepił górala, który za smar do wozów kupił zboże i wracał przez Ujście. Góralowi kazał iść prosto przed siebie i wtedy strzelił. Żona zabrała ciało i wóz z końmi, ale bez zboża, które skradziono w nocy.

Właśnie z Ujścia przywiózł Guzdek wozem Józefa Bochenka i zamknął go w areszcie w Olfinowie. Bochenek był szefem pracowniczey grupy żydowskiej, wyrabiającej kosze z wikliny w Karsach. Bochenek był dumny ze swej funkcji, ubierał się elegancko, nosił buty oficerskie. W południe któregoś z dni lipcowych 1943 roku Stein i Rommelman zastrzelili go na wale rzecznyym na Zakanalu w Olfinowie.

W lipcu 1943 roku w Ujściu Dunajecim zginął w Kępie nad Wisłą Antoni Moros, którego Guzdek podejrzewał o niesienie pomocy partyzantom, także o kontakty z grupą Kosięniaka. Posiadając klucze od spichlerza, miał Moros dostęp do bezpiecznego pomieszczenia. Jeszcze

przedtem pracował jako strażnik więzienny. Morosa ostrzegali przed groźnym niebezpieczeństwem: Bolesław Dudek, członek AK, aktywny bojownik podziemia oraz zakonspirowany akowiec Jan Tomasiak. Przygotowano nawet łódź, czekał już zaufany przewoźnik, ale Antoni Moros ps. „Henryk Rachwał” nie usłuchał ostrzeżeń. Policjant Zacharski zastrzeliwszy go kazał zakopać ciało w Kępie nad wodą, a spichlerze rozebrać.

Dał się też poznać Guzdek jako sadysta. Często udawał, że daje ofierze jakąś szansę, ale były to tylko pozory, bo próby ucieczki kończyły się śmiercią.

W Bieniaszowicach podczas takiej ucieczki postrelili Józefa Czuję. Interesował się przebiegiem kuracji w szpitalu. Po powrocie ozdrowieńca zjawił się i Guzdek. Kazał Czujowi wyjść z domu i kiedy ten przekraczał próg, strzelił doń w tył głowy. Ciało kazał zakopać bez trumny obok obornika, ale żona obłożyła je deskami. Po trzech dniach pozwolili zawieźć zwłoki na cmentarz.

Guzdek przyjeżdżał potem do wdowy, która odznaczała się urodą. Napastowana udała się do księdza po poradę i ten podsunął jej myśl dobrowolnego wyjazdu na roboty do Rzeszy. Tak też uczyniła.

Guzdek mówił, że Czuj jako krawiec szył odzież dla bandy Kosięniaka. W jego stodole miały się też ukrywać „Czarne Sępy”. Nadto żandarm pamiętał takie oto zdarzenie:

Banda Kosięniaka zjawiła się w reszłówce Okolica po odbiór okupu. Kosięniak ukryty za węgiem sięgnął po pieniądze i wtedy został postrelony w rękę przez czatujących nań Niemców. Ci ściągali bandę, mrok nocny rozjaśniły rakiety, ślady krwi prowadziły w stronę zagrody Czuję.

Wkrótce po tym Guzdek zapisał się w pamięci nowymi mordami. Zabrał z domu chłopca nazwiskiem Chrobak i zastrzelił na torach kolejowych w Dąbrowie Tarnowskiej; rządce Świerczka obronili właściciele majątku Bzowscy. Chrobak pochodził z Koszyc Wielkich, był siostrzeńcem rządcy.

Wszecchwładny Guzdek naraził się jednak innemu żandarmowi działającemu na posterunku policji granatowej w Olfinowie, Wilhelmowi Steinowi. Znajomy Steina targownik miał urodziwą żonę. Guzdek polecił jej zgłosić się z dokumentacją „targownika” i wykorzystując pretekst, pocał ją brutalnie napastować. Na jej krzyk przybył Stein i zbieszał żandarm, a Paszkowska uciekła i ukryła się. W urzędzie gminy Guzdek oświadczył, że chce ją przeprosić.

Lubił Guzdek bywać w restauracjach, a pił wiele i przy tym inwigilował ludzi. Zdarzyło się w restauracji w Dąbrowie Tarnowskiej, że żandarm uparczywie obserwował Alfreda Suma, z Wielopola. Sum był wysoki, miał podłużną głowę i wysokie czoło, nosił wasy. Zapewne ten nietypowy wygląd prowokował Guzdkę. Sum zauważył, że jest obserwowany i z przestrachu uciekł. Po powrocie do Wielopola nie wychodził już z domu swego teścia, trzął na odgłos turkoju każdego pojazdu, tym bardziej, że w obejściu ukrywał się Władysław Bienkowski z Warszawy, a na polu pracował zbiegły z niemieckiej niewoli Rosjanin Andrzej, zwany Rusinem.

Dwie restauracje w Żabnie były własnością Krzciuków. Nieraz bywał tu Guzdek. Kiedyś chciał zastrzelić szewca Bratka z Tarnowa, idącego do restauracji Jana Pantery. Nieszczęśliwa obronił dziadek, który podjął Guzdkę obfitym poczęstunkiem.

Innym razem Guzdek wracał pijany z Żelichowa i zauważył, że go-spodarz Kasper Tyro mieł zboże w swym obejściu. Wpadł na podwórze i chciał chłopca zastrzelić. Z trudem odwołano go od tego. Istniał bowiem zakaz mielenia zboża, które Niemcy zabierali w ramach kontryngentu.

W Żabnie urzędnicy opowiadają — że Guzdek będąc w urzędzie, częstował panie gruszkami i groził, że w wypadku nieprzyjęcia zastrzeli je. Był to zapewne jeden z jego makabrycznych żartów.

Często kupował beczki piwa. Kiedyś nie mógł się doczekać na powrót chłopca, który wozem pojechał po piwo do miasta. Biegał wokół posterunku, wygrażając, że powolnego chłopca zabije za opieszałość. Wściekły, położył swój znany w okolicy zielony kapelusz z pędzelkiem i przestrzelił go. Jadącego wreszcie z piwem chłopca ostrzeżono, że Guzdek się wścieka. Chłop zostawił beczkę z piwem i długo się nie pokazywał. Bał się zemsty żandarma. A Guzdek chodził w dziurawym kapeluszu.

Z osobą Engelberta Guzdkę wiązały się stopniowo coraz to bardziej makabryczne opowieści, może nieco tylko przesadzone, ale w zasadzie — jak najbardziej prawdziwe. Opowiadano, jak to Stanisław K. w Siedliszowicach zgwałcił 81-letnią Teklę K. i udusił ją. Nie wiedział, że pod łóżkiem ukrywa się dziewczyna, która zda relację z makabrycznych przeżyć.

Wiadomość dotarła do Guzdkę, a ten zabrat zabójcę do Ofinowa i postąpił z nim, jak z wieloma innymi z reguły niewinnymi ludźmi. Ka-

zał Stanisławowi K. uciekać koło domu zakonnicy, w stronę wałków Dunajca. Biegnącego przeszył serią z broni maszynowej.

Lubił Guzdek bywać u lekarza Eugeniusza G. w Miechowicach Wielkich za Dunajcem znanego z dorodną córką kwiatarki z Krakowa. Pani doktorowa swego męża lekceważyła bardzo wyraźnie. Mówiono o niej, że chętnie widzi wokół siebie wielu adoratorów. Guzdek zapraszał obojętnie na pijackie orgie. Lekarz wykorzystywał tę znajomość, próbując hamować zbrodnicze zapędy żandarma. Kiedyś, po kolejnej libacji, pijany Guzdek odwoził lekarza do jego domu. W drodze z Sikorzycach żandarm wymierzył z automatu do trzech dziewcząt, idących rano do kościoła. Szczęściem lekarz zdołał podbieć do góry łutę broni i w ten sposób uratował życie trzech osób.

To zachowanie Guzdkę nie było odosobnionym wybrzykiem zbrodniarza. Oto pewnego razu, jadąc z Zabna, otworzył ogień do kobiet pracujących w polu. Strzelał jednak z daleka i dlatego na szczęście niecelnie.

Guzdek przyjechał pewnego razu w gościnę do dworu Jana Augustyńskiego w Gorzycach z komendantem posterunku z Ofinowa. Stefanem Mądrym i policjantem Wacławem Lewandowiczem w gości, jak to zresztą nieraz już czynił. Augustyński nabył ten dwór od księcia Romana Sanguski po powrocie z zagranicy w roku 1930. Okazało, piękne zabudowania i dworek stały w ogrodzie, na wzgórku nad stawem, w zachodniej części Gorzyc, a więc od strony Ofinowa i przy drodze. Guzdek postął syna Augustyńskiego, Mariana do pobliskiej trafiki Powroźnika po setkę papierosów marki „Sport”. Powroźnik kupował czasem te papierosy okazynie w trafice Bodzeka w Żabnie, nie zawsze więc miał je na składzie. Powiedział chłopcu, że nie ma ani jednego papierosa tej marki. Dodał jeszcze, że są we wsi jeszcze dwie trafiki, u Ryglickiego i Jana Chłonia, którzy być może mają te papierosy. Chłopiec odszedł, ale za chwilę powrócił i przyniósł pieniądze od Guzdkę na zakupienie sznurka, na którym na polecenie Guzdkę Powroźnik miał się powiesić. Przerażony właściciel trafiki uciekł i długo się ukrywał. Obecność Guzdkę w jakimkolwiek miejscu mogła się okazać bardzo niebezpieczna. Okolicą była pełna zbiegów, ukrywających się przed hitlerowcami. Oto np. służba rolna majątku w Wielopolu, wracająca z pola, spotkała dwu lotników francuskich, którzy uciekli z niewoli niemieckiej. Szli oni przez wieś z widłami i grabiami, udając chłopów. Fornale zaopiekowali się nimi. Odtąd kryli się na stychach obór i stajen, skąd obserwowali ruch na sosie. Gdy kiedyś na dziedziniec zajęchały samochody z żołnierzami nie-

mieckimi, którzy mieszkali tu czasowo w związku z przebudową mostu na rzece Żabnicy, zbiegowie ledwo uszli za Pilczę. Jak się później okazało, w samym dworze Jana Augustyńskiego ukrywał się również Żyd, Jakub Fisiek, który po wojnie był prokuratorem. Czasami opuszczał on gościnny dwór, wędrował i wracał po pewnym czasie.

W Niecieczy zjawił się Żyd — profesor (naukowiec czy pedagog) i w stodółkach znajomego rolnika ukrył kosztowności — precjoza ze szlachetnych kruszców. Któregoś wieczora zgłosili się dwaj policjanci w towarzystwie Żyda — syna owego profesora. Bili chłopca i zażądali wskazania schowka z biżuterią. Maltretowany nie potrafił jednak wskazać tego miejsca i widać było, że go nie zna. Miel już odejść, ale jeden z nich odsunął belkę i znalazł cenne przedmioty. Odeszli razem z Żydem, a rano zwłoki tego ostatniego znaleziono pod Ofinowem. Taki był finał tej rabunkowej wyprawy chciwych policjantów.

Ilektroć Guzdek zjawiał się w jakiejś wsi, ludzi, co zresztą nie może dziwić — ogarniała panika. Wielu nie miało „czystego sumienia” wobec okupantów, wielu udzielało schronienia Żydom lub partyzantom, ukrywało broń, niektórzy posiadali aparaty radiowe. W Jadownikach bracia Paweł i Franciszek Kosięcy oraz ich sąsiad Alojzy Gradura zostali zamordowani przez Guzdek za niesienie pomocy partyzantom i Żydom.

Guzdek buszował po całej okolicy bezkarnie. Pewnej nocy pojechał w towarzystwie policjanta do Jana Szczepańskiego z Siedliszowic, który podejrzany był o nielegalne posiadanie broni. Chłop, chcąc się ukryć, wszedł na strych, a stamtąd zeskoczył wprost na czekającego nań Guzdeka, tak, że ten upadł. Chłop uciekał pod silnym, ale chaotycznym ostrzałem.

Niemcy byli zaskoczeni tą desperacką ucieczką, strzelali niecelnie i nie zdołali trafić Szczepańskiego. Guzdek wściekły utopił go wszędzie, ale ten ukrywał się skutecznie. Mniej szczęścia mieli dwaj chłopcy Jan Morawiec i Piotr Łata z Pilczy, którzy zostali zabici za posiadanie broni. W pobliskim Wielopolu w przysiółku Grobla gromadził broń Jan Buczak. Miał sporą liczbę ukrytych karabinów, o czym dowiedziano się, gdy został zaskoczony i wywieziony do Tarnowa. Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Marszałków z Gorzyc, ojca i syna, zastrzelili w Krakowie.

Było w zwyczaju Guzdeka, gdy spotkał dwu mężczyzn rozmawiających ze sobą, zapylać ich zniemacka, o czym mówili. Dlatego też z góry ustalo-

no rzekomy tekst rozmowy i odpowiedź na ewentualną indagację żandarma.

Kiedyś szedł w stronę Ofinowa Kijowski z Podlesia w towarzystwie swego kolegi. Guzdek zaczął ich legitymować, ale na szczęście nadszedł akurat wójt niosący przy sobie ewidencję ludności. Ponieważ zatrzymanymi widnieli w spisie, żandarm puścił ich wolno.

Pewnego dnia Guzdek wybrał się bryczką z Ofinowa do Żabna. W okolicy Czyżowa mijął nauczyciela, który niedawno przybył tu z nowosądeckim i nie znał żandarma. Nauczyciel poprosił o podwiezienie, ale woźnica, zdając sobie sprawę z tego, kogo wiezie, zamiast założyć się, podciął konie. Wtedy nauczyciel chwycił za białnik. Guzdek będący w tym dniu w cywilnym ubraniu, rozkazał stanąć i pokazał nauczycielowi miejsce obok woźnicy. Jechali dalej w milczeniu. Chłop wiedział dobrze, co dalej będzie.

Guzdek popił w restauracji w Żabnie i poprowadził nauczyciela na cmentarz. Teraz dopiero nieszczerzy człowiek zorientował się, co mu grozi. Przechodząc przez rynek ułożył przed kościołem i prosił spotkanych ludzi o modlitwę. Wzwany grabarz cały czas trzymał go za rękę. Tuż za bramą cmentarza nauczyciel nagle skoczył w bok i zbiegł.

Są wypadki, kiedy mieszkańcy jakiejś miejscowości nie wiedzą, kto dokonał egzekucji. Nie wszyscy znali Guzdek, zwłaszcza mieszkańcy oddalonych od posterunku wsi i miasteczek. Zapewne dokonał on więcej zbrodni, niż ustalono. Bywając w Dąbrowie Tarnowskiej uczestniczył w masowych egzekucjach Żydów. Na miejscowym cmentarzu żydowskim, jak podaje Tadeusz Wroński, w roku 1943 dokonano kilkunastu egzekucji w grupach liczących od 120 do 160 osób.

Guzdek nie poprzestął na likwidacji Żydów w lasach za Radgoszczą. Nadal mordował. Pojono go nieraz wódką, by trochę odwracać uwagę żandarma od zbrodni, ale i to nie na wiele się zdało. Jeszcze przed utworzeniem getta w Żabnie zabijano Żydów na ulicy, w domach, wszędzie tam, gdzie ich schwytano. Ponadto oficjalnie zapowiadano, że Żydów będzie się wywozić do roboty. Niemcy przypominali, aby wywożeni zabierali ze sobą co cenniejsze przedmioty. Miało to ułatwić rabunek, bo wszyscy i tak zostali zabici. Między innymi zamordowano Żydówkę Libę, bogatych Żydów Wolfisera, Golberta, Sachera, Kaimera, Salpetera, Grossbarda, Rodenbluma i wielu, wielu innych. Niemcy zabili też sklepikarza Gotra. W miejsce nauczyciela religii Żyda Krauta, zgłosił się dobrowolnie jego syn.

Można podać serię faktów świadczących wymownie o udziale Guzdek w martyrologii Żydów także i w rejonie Ofinowa. Hitlerowcy, penetrujący w tej akcji eksterminacyjnej każdy zakątek okupowanego kraju, mordowali również tam. Sprowadzili na przykład w jednym dniu z okolicznych wsi około pięćdziesięciu Żydów do Zabna. Żydowskiej policji polecił przygotować furankę. Wybrali następnie kilku silnych Żydów i zlekomo do pracy w ceglarni, wyprowadzili ich za miasto i zastrzelili. Powstało jednak pewne zamieszanie, część Żydów rozproszyła się, a niekiedy z nich ukrywali się później w okolicy.

Engelbert Guzdek postanowił szukać nowych ofiar na sąsiednim terenie. Po otrzymaniu donosu przeprawił się promem na drugi brzeg Dunajca, do Pasieki Ofinowskiej, gdzie udało mu się schwytać młodą i urodziwą Żydówkę, Apolonię Brand. Nieszczęsną kobietę zgwałcił, skatował i w końcu zastrzelił. Był wściekły, że kobieta tak długo korzystała z ludzkiej pomocy, nie wydana przez nikogo.

Innym razem jechał furanką do Dąbrowy Tarnowskiej i w Oleśnicy zobaczył idącą ścieżką obok lasu kobietę. Była to Żydówka, spiesząca do kryjówki w lesie, by przynieść żywność czekającym tam na nią dzieciom. Guzdek z dużą rozpoznal, że to Żydówka i przywołał kobietę bliżej, a gdy podeszła, bez słowa zastrzelił ją, po czym pojechał w dalszą drogę. W noocy słyszano płacz dzieci, które przyszy do grobu matki.

Innym razem Guzdek przywiózł z Czyżowa młodą i ładną Żydówkę oraz dwie inne z Siedliszowic, a potem także Żyda Werdę. Wszystkich zamknął w areszcie. Którś z młodych posterunkowych wzięli ową ładną Żydówkę do siebie na noc i obiecywał jej wolność. Na drugi dzień odprowadził ją jednak z powrotem do aresztu.

Wkrótce potem Guzdek wytopił i schwytał Żyda w stodole w Siedliszowicach. Jego również zamknął w areszcie gminnym koło kościoła. Zastrzelił go w końcu na wałe rzeczny w pobliżu ochronki, gdzie mieszkali zakonice, każąc mu przedtem uciekać, jak to zwykle czynili.

Zabił też pastucha gospodarzy Poloneckich, który był Żydem. W akcjach przeciw Żydom wyróżniał się policjant Robert John z posterunku w Szczurowej³⁶⁾. Obaj z Guzdkiem przy udziale policji i żandarmów urządzali często obawy policyjne na Żydów, ukrywających się w nadrzecznych zarostach koło Ofinowa i Radłowa. I tak ujętego Żyda Landolfę żandarm John zabił na miejscu. Potem zastrzelili jego syna, który widząc śmierć ojca wyszedł z kryjówki.

John był synem niemieckich kolonistów z Feliksowa w powiecie radomskim. Zdobył też w całej okolicy sławę okrutnego prześladowcy Polaków. Nie raz czaił się na przystankach kolejowych, rabował żywność, bił ludzi kołbą karabinu po głowie. Kiedyś złapał w drodze handlarke Dragową, wiozącą towar. Zmusił kobietę by została jego kochanką. Wykorzystał przy tym fakt, że mąż Dragowej wysłany został wcześniej na przymusowe roboty do Niemiec. John nie poprzestął na wykorzystaniu trudnej sytuacji kobiety. Od rodziców Dragą dowiedział się adresu ich syna w Niemczech. Potem po mężu Dragowej Władysławie wszelki słuch zaginał.

Miał Robert John na sumieniu życie licznych ofiar. Zamordował wielu Żydów osobście, uczestniczył między innymi w rozstrzelaniu 28 osób w Brzesku. Guzdek żartował nawet kiedyś w swoim stylu, że John albo swawoli po pijanemu ze swą kochanką, albo morduje — nie innego nie potrafił robić. To właśnie John zlikwidował między innymi rodzinę Sury Bergenbaum ze wsi Kunki. Żyda Froima Kilusa, Henrykę Książkę z Maszkenic i wielu wielu innych. W czerwcu 1943 roku przygotował wspólnie z innymi zasadzkę w lesie w Iwkowej; podczas tej akcji rozbito sześcioposobowy oddział AK z Czchowa.

Po wojnie John ukrywał się w miejscowości Piaski pod Lublinem. Miał dokumenty na nazwisko Władysława Draga. W roku 1974 oboje zostali aresztowani, gdyż rozpoznała ich rodzina autentycznego Draga. Dziwić może, a nawet obrzydzeniem napawać fakt, że Dragowa zdecydowała się zamieszkac z prawdopodobnym zabójcą jej męża Władysława.

Wielu Żydów ukrywało się w lasach. Tak np. w okolicach Szarwarku pod Dąbrową Tarnowską Żydzi urządzili swoje kryjówki, korzystając z pomocy mieszkańców okolicznych wsi. Na skutek doniesienia o godzi nie drugiej w nocy 5 lipca 1943 roku Niemcy z Guzdkiem otoczyli las i wieś. Na szczęście nie zdążyli schwytać Żydów, natomiast w zagrodzie Franciszka Médali znaleźli przygotowane w większych ilościach mleko, jajka, chleb.

Teraz nastąpiła tragedia. Żandarmi zabili Franciszka Médalę z żoną Teresą, babkę Wiktorję Wężowicz oraz dzieci: Józefa i Stanisława. Następnie podpalili zabudowania i ciała wrzucili do ognia. Sąsiada Médali, Władysława Starca, spalili żywcem. Gdyby wówczas schwyłali Żydów, zamordowałby i spalili całą wieś. Po ekzekucji cenniejsze rzeczy Médalów zabrali na dwa wozy i wywieźli do budynku żandarmerii w Dąbrowie Tarnowskiej; mieściła się ona w gmachu gimnazjum.

Po akcji Guzdek i funkcjonariusz granatowej policji popili w restauracji i wrócili do Ofińowa, opowiadając o makabrycznych szczegółach egzekucji.

Krwawą kartę zapisała w tym samym czasie żandarmeria — mająca swoją komendę w Dąbrowie Tarnowskiej. Wykorzystując pomoc zdajców — renegatów, którzy służyli informacjami, żandarmi przeprowadzili rewizję w pociągu relacji Szczecin — Tarnów, łapali pasażerów wiozących żywność do miast, a schwytych odsławiali do swojej siedziby.

Pewnego dnia żandarm Artur Zimmermann prowadził kilku zatrzymanych. Jeden z nich zaczął uciekać tuż przed bramą żandarmerii. Był to jak się potem okazało — pochodzący spod Szczecina niejaki Dziubasik. Postrelony przez Niemca upadł na pastwisku i prosił prześladowców o darowanie życia.

— Daruję ci życie, sk...synu — drwni żandarm, strzelając parę razy kolo głowy ranego i rozszarpując mu ucho.

Mówiono potem, że policjant Marecki, udając odprowadzenie Dziubasika do lekarza zastrzelił nieszczonego w drodze. Tymczasem żandarm Zimmermann i jego kompan Ryszard Ketter buszowali po miejscowych gospodarstwach. W Bagienicy zabierali sieckę dla swych koni, chowanych w garażach żandarmerii. Bywali u rymarza — tapiciera Władysława Jureckiego, który robił im futerały na pistolety.

Jurecki był człowiekiem odważnym i czynił żandarmom wymówki za mordowanie ludzi z byle jakiego powodu. Odpowiadali, że muszą tak postępować, bo stale otrzymują liczne donosy. Nie mogą być wobec nich obojętni, bo sami boją się o siebie. Podpity Ketter twierdził, że dobrze wie, iż u Borsy i u Opioty ukrywają się Żydzi. Skoro jednak nikt dotąd tego nie spytał, zostawiają obu gospodarzy w spokoju.

Dodawali też, że widują ukrywających się przed służbą w „Baudienst” Tadeusza Musiała i Tadeusza Koguta z Biegienicy. Ale — usprawiedliwiali się — nie będą ich aresztować dopóki nie muszą tego robić. Ketter potrafił się czasem zdobyć na humanitarny gest. Obronił chłopca Benedykta Pochronia z Wielopola, który naraził się innemu żandarmowi tylko dlatego, że jako robotnik „Baudienstu” nie potrafił wykonać wyznaczonej normy. Pochron był bardzo wysokiego wzrostu, a przy tym chorowity. Żandarm zinytowało to, że przy pracy ledwie włożył się za grupą robotników. Przewrócił go uderzeniem w twarz; potem bił kolbą

po głowie, co pozostawiło trwałe skutki. Ketter przerywał wtedy to zgnęanie się, ratując życie katowanemu.

Bez porównania gorsze były jednak losy ludności żydowskiej.

Przez pewien czas młode kobiety żydowskie z rodziny Fis, pochodzącej z Dąbrowy Tarnowskiej, ukrywały się we dworze Jana Augustyńskiego w Gorzycach, ale ponieważ często bywali tu Niemcy, musiałby przeniesć się na wieś, gdzie ich kolejnym schronieniem stał się dom Flaków. W Gorzycach utrzymywał z nimi bliższe kontakty i opiekował się nimi, przynosząc im żywność ze dworu, młody kawaler Bronisław Rajski. Został jednak złapany i zastrzelony w krzakach za wsią.

Zanim doszło do tej tragedii, Bronisław Rajski przeżywał chwilę prawdziwej trwogi. Oto np. przyjechali z Ofińowa trzej policjanci i kazali mu przynieść wódkę. Przerażony chłopiec myślał o ucieczce. Radził się Józefa Powroźnika, ale ten odpowiadał: „Nie pytałeś przedtem, nie pytaj teraz”.

Rajski przyniósł wreszcie żądaną wódkę, a policjanci długo się nią raczyli. W końcu wyprowadzili Żydówki za wieś w kierunku Ofińowa, ale i tu nie mogli się zdobyć na morderstwo, które między sobą określali jako egzekucję. Zauważyły to nieszczone kobiety i zaczęły prosić nie o darowanie życia, bo wiedziały, że to jest nierealne, ale już o skrócenie męki oczekiwania i zastrzelenie.

Tak się też stało, a policjanci próbowali się na swój sposób usprawiedliwić. Powtarzano potem, że starali się uprzedzić Niemca, bo ten był po znalezieniu Żydówek pół wsi spalił i ludzi pozabijał. Tak to życie w tym czasie obfitowało w jakieś paradoksalne sytuacje. Mordercy w pojęciu niektórych ludzi Okazywali się obrońcami innych.

Niektórym Żydom udało się uniknąć zagłady. Niedaleko od miejsca śmierci nieszczonej kobiet, u Feliksa Świerczka ukrywało się rodzinne sioło żydowskie. Mgr Feiga Birken najpiew przebywała u gospodyni Janny Tarnowskiej i rodziny hrabiego Żaby w Zbylitowskiej Górze. Później przeniosła się do Świerczka.

Ten ostatni wybrał się w drogę za Tarnów, wioząc zdjęcie do kenkarty dla Feigi Birken. Kenkartę z kolei wydał Żywu Mieczysław Kampf, zatrudniony w Arbeitsamcie. Kampf był rudy, nie miał cech semickich, chodził w mundurze. I oto Feiga Birken została zameldowana jako Franciszka Kryształ. Pracowała w polu. Jej brat, o wyglądzie typowo semickim, nie mógł wychodzić z piwnicy, w której się ukrywał.

W sąsiedniej wsi Niecieczy matka i syn ukrywali się w bunkrze pod stajnią u Jana Tomala. Podobnie było w wielu innych wsiach.

Groźne niebezpieczeństwo dla ukrywających się stanowiły organizowane przez Niemców łapanki, związane z wywozem na roboty rolne. Maria Kosoń-Magierowa wspomina, jak w Siedliszowicach Niemcy i wyznaczeni przez nich Polacy wragnęli jednocześnie do domów, by zaskoczyć miejscową ludność i zapobiec ucieczkom. Było to w 1943 roku.

— Po mnie — przypomina sobie — przyszli: sołtys Władysław Nagó-rzański, Jan Skowron i jakiś Niemiec. Ludzie zerwali się do ucieczki, ale Niemców było dużo i wielu uciekinierów połapali i zagnali do sołtysa. Przed odjazdem było pożeganie. Mnie żegnało młodsze rodzeństwo, a ojciec się rozplakał. Jeden z Niemców strzelił trzy razy na postrach i odpędził od nas rodzinę.

Potem na siedmiu furmankach 28 osób starszych i młodszych powieźli do aresztu w Orlinowie. Jeden z przywiezionych Szymon Kopeć, który był już po sześćdziesiątce, dostał bóleści i jęczał całą noc. W areszcie byli też ludzie połapani pod Zabnem, np. 7 osób z Podlesia Dębowego. Razem zabrano ze 40 osób. Gniełsiśmy się w wąskim pomieszczeniu od strony wału Dunajca. Do dnia ojciec przez sołtysa wykupił mnie za wódkę i kielbasę. Stanisław Baran, rolnik z Orlinowa, był feldfebel wojska austriackiego, dogadał się z Niemcem.

Zabrali wszystkich połapanych do Niemiec, a po wojnie wielu wróciło. Część wyjechała do USA. To byli ci, którzy znaleźli się w strefie amerykańskiej. Zanim doszło do wyjazdu, w nocy chłopci podchodzili pod budynek aresztu do okien i podawali wodę oraz żywność. Wokół budynku aresztu był parkan ze sztachet wysokości poniżej metra, więc ludzie przezeń przechodzili. Nie było za to żadnego płotu z wikliny, ani żywopłotu, jak to opisywał w gazecie niejaki „Kostek”. Teren był otwarty i to utrudniało podejście do okna opatzonego kratami.

Tadeusz Krasnodębski pisał, że zaczęli się u wejścia do aresztu za wysokim (1,5 – 2 m) plecionym pionowo z wikliny płotem i stąd strzelili zabijając Guzka. Gdy mu udowodniono w „Więściach”, że nie było tu takiego płotu, „Kostek” takrycznie się wycofał utrzymując, że chodzi o dalszy płot od strony ochronki. Dlatego zapewniam, że tam też były niskie sztachetki. Potwierdza to multum osób. Wspomnienia z tych dni wywoźki do Niemiec pozostały w pamięci miejscowych ludzi żywe przez długie powojenne dziesięciolecia.

ZAGŁADA CYGANÓW W SZCZUROWEJ I ŻABNIE

W lipcu 1943 roku wstrząsnęła mieszkańcami Szczurowej wiadomość o likwidacji przez Niemców osiedla cygańskiego. „najdującego się przy głównej szosie, prowadzącej do tej miejscowości. Mieszkali tam od niepamiętnych czasów Cyganie w byle jak pokleconych chatkach, przykrytych papą lub słomą, słoczonych jedna obok drugiej, tworzących wielkie obozowisko.

„W osiedlu liczącym 130 osób mieszkało wielu utalentowanych muzykantów, tworzących jedną wielką kapelę lub w razie potrzeby kilka mniejszych, którym nie była w stanie sprostać żadna konkurencja z okolicy. Żadne huczne wesele nie mogło się obejść bez cygańskiej orkiestry.

W cygańskim osiedlu nie brakowało też dobrych rzemieślników, dwóch z nich na przykład trudniło się kowalstwem, naprawiając także przy okazji narzędzia rolnicze i różny sprzęt domowy. Jeszcze inni wynajmowali się z konieczności do prac w miejscowych gospodarstwach.

Od samego początku okupacji Cyganie rozumieli, że nie mogą niczego dobrego spodziewać się od Niemców, dlatego starali nie rzucać się hitlerowcom w oczy i nie oddalali się zbyt daleko od swego osiedla. Nie uchroniło ich to jednak przed zagładą.

3 lipca 1943 roku o godzinie trzeciej nad ranem ponad dwudziestu Niemców i dziesięciu granatowych policjantów otoczyło osiedle cygańskie. Kolbami wyważali drzwi i wypędzali wszystkich na dwór³¹⁾.

„Akcja była sprytnie przemyślana. Druga część uczestników obławy otoczyła kilka domów Cyganów, mieszkających we Włoszyczynie oraz jeszcze siedmiu małżeństw mieszanym. Cała ekspedycja liczyła w sumie około 60 ludzi. Cyganie z Włoszyczyny mieli zostać doprowadzeni do osiedla, a małżeństwa mieszane z drugiego końca osady do pobliskiego posterunku policji.

Cyganie zupełnie zaskoczeni w swoich domach sądzili z początku, że Niemcy zamierzają ich wywieźć do któregoś z obozów lub przesiedlić,

dlatego przygotowywali się jak do podróży, zabierając do niewielkich zawiniątek, co tylko mieli cennego.

Muzykanci, których główny dobytek stanowiły instrumenty, pierwsi stawili się na placu. Był tam także już wójt cygański, Wojciech Ciurón. On też, jako przywódca plemienia, wystąpił z gromady przed Guzdkiem i obejmując go za nogi, prosił o litość nad swymi ludźmi. Mówił, że przecież oni, zamieszkałi tu od pradziadków, nie wyrządzili nikomu żadnych krzywd. Powoływał się przy tym na sąsiadów jako na świadków.

Śledzący z zapartym tchem tę scenę grajkowie cygańscy, próbując przebłagać żandarma, chwycili za instrumenty i zaczęli wycinać od ucha skoczne melodie, patrząc przy tym prosząco w oczy Guzdką. Kapelmistrz cygański Michał Kotiuk, grający na skrzypcach, zagrzewał muzykantów, by nie żalowali instrumentów i obrzucali Guzdką co chwila bystrym spojrzaniem. Echo tej muzyki niesło się daleko w ciszy poranka, wyrывая się ze snu mieszkańców okolicznych domostw, którzy nie mogli zrozumieć, co się stało, że ten dzień tak wesoło się zaczyna.

Cyganie grali coraz ognistej, lecz gdy zobaczyli wozy zbliżające się od strony Włoszczyna, a na nich swych współziomków w kajdanach, w poszarpanych koszulach, bez żadnego dobytku, dzieci, kobiety i starców stłoczonych razem, płaczących i krzyczących z rozpaczą — ręce im opadły. Grajkowie jeden po drugim urywali melodie i prostowali się, opuszczając instrumenty. Teraz też dostrzegli zmienione, bezlitosne i złowrogie twarze Niemców, a gdy których z oprawców krzyknął: „Niczego nie zabierać, bo nic już wam nie będzie potrzebne!” — zrozumieli wszystko.

Kapelmistrz Michał Kotiuk z wyrazem niewypowiedzianego bólu po patrzył na swoją młodą żonę, siedzącą obojętnie pod ścianą. Podniósł wysoko w górę skrzypce i jednym uderzeniem roztrzaskał je o kamień w kawałki. To był również sygnał dla pozostałych. Każdy z grajków zdruzgotał swój instrument. Michał Kotiuk nie poprzestał na tym, lecz począł deptać i łamać swoje skrzypce bosymi nogami i w tym momencie zastrzelił go Guzdek.

Część zgromadzonych próbowała się rozbiec, lecz zatrzymał ich na miejscu terkot broni maszynowej. Niemcy przystąpili do zakuwania w kajdany mężczyzn w sile wieku, a gdy jeden z nich usiłował się opierać, Guzdek na miejscu położył go trupem. To złamało opór Cyganów, którzy pozwolili się teraz zapędzić w zwartą gromadę.

W tym czasie sołtys szukał we wsi furmanek, które potrzebne były Niemcom do zawiezienia Cyganów na cmentarz. Mieszkańcy Szczurowej wiedzieli już o wszystkim, dlatego w domach nie było nikogo. Niemcy niecierpliwiili się coraz bardziej, zaczęli więc zatrzymywać przygodnie przejeżdżające wozy chłopskie. Wreszcie około godziny ósmej rano przystąpili do wywożenia Cyganów furmankami.

I tu znowu napotkali kolejną przeszkodę. Wójt Ciurón przemówił do Cyganów, zabraniając im opuszczać swoje siedziby. Rozwścieczony, a po części zaskoczony tym Guzdek chwycił wójtą za kołnierz, aby doprostać go do wozu. Wtedy Ciurón splunął oprawcy w twarz, krzycząc z całym siłą: „Bandyto! Kacie! Zbrodniarzu! Tu mnie zabij, bo nigdzie dalej nie pójde!”

Wyrывая się żandarmowi i plując mu powtórnie w twarz, krzychał: „Przekleci mordercy! Zawieście na szubienicy za swoje zbrodnie! Wkrótce was wszystkich spotka ten sam los, co nasi!” Nie zdołał powiedzieć więcej, bo Guzdek trzymając go lewą ręką za kołnierz, prawą ujął pistolet i wpakował wójtowi kulę prosto w usta. Cygan zakrzuszył się krwią i obrzygał nią Guzdką.

Drużyna trzecia kula z pistoletu żandarma ugodziła wójtą w piersi; załamał się i z podniesionymi w górę rękami runął na ziemię.

Wtedy ze wszystkich stron podniósł się wielki płacz i lament. Cała zbrojna ekspedycja niemiecka ostupiała na moment. Guzdek, zdenerwowany, zaczął pośpiesznie wycierać lepkie od krwi ręce i ubranie. Upodobił się wtedy do krwawego upióra.

Wyprowadzeni z równowagi Niemcy przystąpili teraz do zapędzenia wszystkich na wozy, kopiąc przy tym i bijąc kolbami bez opamiętania. Jeden z nich uderzył żonę wójtą Ciuronia, Marylę, która pochyłona nad głową męża, wydrapywała spomiędzy kamieni jego zastygłą krew i zlepiła z ziemią grudki zbierała do kapelusza jak relikwie.

Pochodziła ona z chłopskiej rodziny ze wsi Wygoda, a odznaczała się niepospolitą urodą. Włożyła na siebie najpiękniejsze, cygańskie szaty. Pochłonięta do reszty swoją czynnością, zdawała się nie zwracać uwagi na oprawców, powtarzała przy tym głośno ostatnie słowa męża. Tej krwi nie pozwolili jej Niemcy zabrać. Któryś kopnął kapelusza z całej siły i ponownie uderzył Marylę kolbą.

Wreszcie cały konwój ruszył w stronę cmentarza. Na wozy włożono ciała martwego wójtą Ciuronia i zabitych cygańskich muzykantów. Na pozór wydawało się, że cała Szczurowa jak gdyby wymarła, lecz dziesiątki

oczu śledziły z ukrycia przerażające sceny, żegnając w milczeniu nieśczęsne ofiary hitlerowskiego barbarzyństwa.

Po przejechaniu około półtora kilometra, na drugim końcu osady, niedaleko cmentarza wydarzyła się niespodziewanie nowa historia. Kroczącemu na czele konwoju Guzdkowi rzuciła się nagle pod nogi Maria Piotrowska, właścicielka miejscowej piwiarni, z błaganiem, aby uwolnił Pietrynę Rowińską i jej męża, bo ona z Cyganami nie ma nic wspólnego poza tym, że mieszka w osiedlu cygańskim i stamtąd została zabrana.

Prowadzi przecież własne gospodarstwo rolne, oddaje kontyngenty, jest pracownią i pobożna, wyszła za Polaka. Te argumenty wprawiły Guzdkę w zakłopotanie. Konwój składający się z jedenastu furmanek stanął. Powstało zamieszanie, konwojenci nie mogli pomiarkować, co się tam w przodzie dzieje.

Guzdek przypomniał sobie, że jedno małżeństwo zostało do osiedla skądś doprowadzone. Wtedy wskazując na Marię Piotrowską zapytał, co to za kobieta, a gdy usłyszał w odpowiedzi, że jest to właścicielka pobliskiej restauracji i że mówi prawdę, zdecydował się na puszczanie Pietryny Rowińskiej i jej męża. Z powstałego zamieszkania skorzystało troje Cyganiat. Dzieci zdolały umknąć z wozów.

Guzdek nie spuszczał oka z konwoju i pragnął jak najszybciej dotrzeć na cmentarz, by tam ostatecznie rozprawić się z Cyganami. Zapachniała mu wódka, i jedzenie, bo nie wątpił, że Piotrowska przygotowuje sutą kolację z wdzięczności za zwolnienie Rowińskich. Wreszcie konwój zatrzymał się pod bramą cmentarza.

Furmani ledwo trzymali się na nogach, nie mogąc znieść widoku tragedii. Po drodze zdolali nawet zaopatrzyć się w bimber i teraz pili prosto z flaszek. Chcieli w ten sposób zobojetnić na wszystko, nie słyszeć lamentu, płaczu, krzyku matek i dzieci, nie widzieć nieopisanych rozpaczonych rodzin, żegnających się nawzajem ostatnimi spojrzeniami oczu.

Podobnie postąpili policjanci, a nawet Niemcy. Każdy z nich co chwila wypijał coś dyskretnie, chociaż nie w takich ilościach co furmani, bo dalej zachowywali czujność i nie dali poznać po sobie, że są niezdolni do pełnienia służby. W każdym razie, jakkolwiek postępowali z Cyganami bezwzględnie, to jednak do tego czasu żaden z nich jeszcze do Cyganów nie strzelił i widocznie nie zamierzał tego robić.

Inicjatywę przejął Guzdek zaopatrzony w dwa pistolety i całą masę rezerwowych magazynków z amunicją; miotał się jak opętany, żeby zbrodnica akcja szła jak najsprawniej.

Widząc, że Cyganie nie chcą się uspokoić i podnoszą coraz większy krzyk, postanowił ich po swojemu przestrzec, wyjaśnić ich położenie i skłonić do uległości. Przemówił mniej więcej w ten sposób:

Niechćnie przejechałem do Szczurowej, aby poznać was życie — po tych słowach wybuchł ogromny krzyk, który jednak zaraz się uspokoił. — Zmuszony zostałem do tego z rozkazu Hitlera, który jako wódz narodu niemieckiego, a także opiekun narodów Europy, daremnie oczekiwał od was pomocy w pracy na roli, w fabrykach niemieckich wówczas, gdy my wszyscy zajęci jesteśmy wojną i nie ma nas kto zastąpić. Nie chcieliście jechać na roboty do Niemiec, więc myśmy musieli do was przyjechać.

Jesteście wrogami Rzeszy, szkodnikami, ludźmi niepotrzebnymi. Dlatego wszyscy zostaniecie zaraz rozstrzelani! — Tu podniósł głos, aby nie dopuścić znów do krzyku i płaczu. — Dla każdego z was będzie lepiej, jeżeli nie będziecie stawiać oporu. Posłusznie i spokojnie poddajcie się mojej woli. Nie będę marnował dla was za wiele amunicji, kto nie zostanie trafiony w głowę i zaraz nie umrze, będzie i tak zakopany. Nic więcej dla was zrobić nie mogę, jak tylko dobrze celować, żeby wam nie zadawać cierpień.

Słowa, które usłyszeli Cyganie, były wypowiedziane z takim okrucieństwem i tak druzgocąco, że teraz nawet płakać nie mieli odwagi.

Guzdek, zgodnie z zapowiedzianymi słowami przystąpił do egzekucji. Uznał, że najpierw należy zlikwidować dzieci. Natrafił tu zarówno na rozpaczliwy opór matek, jak i samych dzieci, które przestraszone, trzymały się kurczowo ze wszystkich sił swych rodziców. Zostały jednak w końcu brutalnie od nich oderwane i siłą zawleczone po ziemi przed Guzdką.

Ten kolejno unosił każde dziecko do góry lewą ręką, a w prawej, trzymając pistolet mordował jedno po drugim, raz po raz zmieniając magazynki z amunicją. Po strzale odrzucał ciała dzieci w jedno miejsce. Zerknął co chwila w ich stronę, aby przekonać się czy przypadkiem któreś z nich nie ucieka.

Nie wydawało się jakoś Niemcom, że w ten sposób egzekucja przebiega sprawnie, dlatego postanowili z kolei zabrać z trzech wozów same matki. Te, nie mając już innego wyjścia, posłusznie poklekały rzędem na ziemi, a Guzdek mordował je jednym strzałem w tył głowy.

Teraz jednak dzieci pozostałe na wozach rwały się do matek, a kilku z nich przybiegło na cmentarz, gdzie odbywała się egzekucja. Opowie-

oczu śledziły z ukrycia przerażające sceny, żegnając w milczeniu nie-szczęsne ofiary hitlerowskiego barbarzyństwa.

Po przejechaniu około półtora kilometra, na drugim końcu osady, niedaleko cmentarza wydarzyła się niespodziewanie nowa historia. Kroczącemu na czele konwoju Guzdkowi rzuciła się nagle pod nogi Maria Piotrowska, właścicielka miejscowej piwiarni, z błaganiem, aby uwolnił Pietrynę Rowińską i jej męża, bo ona z Cyganami nie ma nic wspólnego poza tym, że mieszka w osiedlu cygańskim i stamtąd została zabrana.

Prowadził przecież własne gospodarstwo rolne, oddaje kontyngenty, jest pracowita i pobożna, wyszła za Polaka. Te argumenty wprawiły Guzdkę w zakłopotanie. Konwój składający się z jedenastu furmanek stanął. Powstało zamieszanie, konwojenci nie mogli pomiarkować, co się tam w przodzie dzieje.

Guzdek przypomniał sobie, że jedno małżeństwo zostało do osiedla skądś doprowadzone. Wtedy wskazując na Marię Piotrowską zapytał, co to za kobieta, a gdy usłyszał w odpowiedzi, że jest to właścicielka pobliskiej restauracji i że mówi prawdę, zdecydował się na puszczenie Pietryny Rowińskiej i jej męża. Z powstałego zamieszkania skorzystało troje Cyganiąt. Dzieci zdolały umknąć z wozów.

Guzdek nie spuszczał oka z konwoju i pragnął jak najszybciej dotrzeć na cmentarz, by tam ostatecznie rozprawić się z Cyganami. Zapachniała mu wódka, i jedzenie, bo nie wąpił, że Piotrowska przygotowuje sutą kolację z wdzięczności za zwolnienie Rowińskich. Wreszcie konwój zatrzymał się pod bramą cmentarza.

Furmani ledwo trzymali się na nogach, nie mogąc znieść widoku tragedii. Po drodze zdolali nawet zaopatrzyć się w bimber i teraz pili prosto z flaszek. Chcieli w ten sposób zobojeźnić na wszystko, nie słysząc lamentu, płaczu, krzyku matek i dzieci, nie widzieć nieopisanych rozpacznych rodzin, żegnających się nawzajem ostatnimi spojrzeniami oczu.

Podobnie postąpili policjanci, a nawet Niemcy. Każdy z nich co chwila wypijał coś dyskretnie, chociaż nie w takich ilościach co furmani, bo dalej zachowywali czujność i nie dali poznać po sobie, że są niezdolni do pełnienia służby. W każdym razie, jakkolwiek postępowali z Cyganami bezwzględnie, to jednak do tego czasu żaden z nich jeszcze do Cyganów nie strzelił i widocznie nie zamierzał tego robić.

Inicjatywę przejął Guzdek zaopatrzony w dwa pistolety i całą masę rezerwowych magazynków z amunicją; miotał się jak opętany, żeby zbrodnica akcja szła jak najsprawniej.

Widząc, że Cyganie nie chcą się uspokoić i podnoszą coraz większy krzyk, postanowił ich po swojemu przestrzec, wyjaśnić ich położenie i skłonić do uległości. Przemówił mniej więcej w ten sposób:

Niechętnie przyjechałem do Szczurowej, aby pozabawić was życia — po tych słowach wybuchł ogromny krzyk, który jednak zaraz się uspokoił. — Zmuszony zostałem do tego z rozkazu Hitlera, który jako wódz narodu niemieckiego, a także opiekun narodów Europy, daremnie oczekiwał od was pomocy w pracy na roli, w fabrykach niemieckich wówczas, gdy my wszyscy zajęci jesteśmy wojną i nie ma nas kto zastąpić. Nie chcieliście jechać na roboty do Niemiec, więc myśmy musieli do was przyjechać.

Jesteście wrogami Rzeszy, szkodnikami, ludźmi niepotrzebnymi. Dlatego wszyscy zostaniecie zaraz rozstrzelani! — Tu podniósł głos, aby nie dopuścić znów do krzyku i płaczu. — Dla każdego z was będzie lepiej, jeżeli nie będziecie stawiać oporu. Postusznie i spokojnie poddajcie się mojej woli. Nie będę marnował dla was za wiele amunicji, kto nie zostanie trafiony w głowę i zaraz nie umrze, będzie i tak zakopany. Nic więcej dla was zrobić nie mogę, jak tylko dobrze celować, żeby wam nie zadawać cierpień.

Słowa, które usłyszeli Cyganie, były wypowiedziane z takim okrucieństwem i tak druzgocąco, że teraz nawet płakać nie mieli odwagi.

Guzdek, zgodnie z zapowiedzianymi słowami przystąpił do egzekucji. Uznał, że najpierw należy zlikwidować dzieci. Natrafił tu zarówno na rozpaczliwy opór matek, jak i samych dzieci, które przestraszone, trzymały się kurczowo ze wszystkich sił swych rodziców. Zostały jednak w końcu brutalnie od nich oderwane i siłą zawleczone po ziemi przed Guzdką.

Ten kolejno unosił każde dziecko do góry lewą ręką, a w prawej, trzymając pistolet mordował jedno po drugim, raz po raz zmieniając magazynki z amunicją. Po strzale odrzucał ciała dzieci w jedno miejsce. Zerkał co chwila w ich stronę, aby przekonać się czy przypadkiem któreś z nich nie ucieka.

Nie wydawało się jakoś Niemcom, że w ten sposób egzekucja przebiega sprawnie, dlatego postanowili z kolei zabrać z trzech wozów same matki. Te, nie mając już innego wyjścia, postusznie poklekły rzędem na ziemi, a Guzdek mordował je jednym strzałem w tył głowy.

Teraz jednak dzieci pozostałe na wozach rwały się do matek, a kilku z nich przybiegło na cmentarz, gdzie odbywała się egzekucja. Opowie-

działy one następnie jej przebieg tym, którzy czekali za bramą cmentarza. Dlatego Guzdek uznał z kolei, że powinien zająć się tymi dziećmi. Wówczas Cyganki, doprowadzone na cmentarz, klęły na ziemi z dziećmi trzymającymi się ich szyi i tak każde z nich otrzymywało po kolei swoją kulę.

W kolejnej grupie rozstrzeliwanych znalazła się brzemienna, bliska rozwiązania Cyganka, żona zamordowanego wcześniej kapelmistrza Michała Kotlika. I ona również uklęka na ziemi, lecz po otrzymaniu dwóch kul wyjęła zza pasa chustkę i zaczęła wycierać ciekącą jej po skroniach krew.

Wszyscy obecni zamarli ze zgrozy, również sam Guzdek poczuł się nieswojo. Wystrelił już niemal cały magazynek w jej głowę, a ona za każdym razem wstawała. Oprawcy ośłupieli, a jeden z nich rzucił po niecieku uwagę — że z pewnością wyjątkowo silne dziecko w łonie matki dodaje jej żywotności. Wtedy Guzdek strzelił kilkakrotnie w brzuch Cyganki.

Przyszła też kolej na Marylę, żonę zabitego już wójta Ciuronia, która siedząc przy zmarłym mężu prosiła, aby zostawić ją na koniec, bo pragnie być świadkiem całej tragedii niejako w zastępstwie męża, przywódcy Cyganów. Chciano ją przemocą zrzucić z wozu, lecz jeden z Niemców oświadczył, że prawo międzynarodowe zaleca, aby wypełnić tego rodzaju ostatnie życzenia, więc oni jako przedstawiciele kulturalnego narodu, zastępują się do tego.

Pozostawiono więc Marylę w spokoju i z kolei wprowadzono na cmentarz skutych mężczyzn. Ci ustawieni w rzędzie, padali od kul jeden obok drugiego. Z kolejnej grupy rozstrzeliwanych rzucił się do ucieczki młody Cygan, lecz nie zdolał uciec daleko. Guzdek trafił go na odległość. Cygan upadł i nikt więcej już się nim nie interesował. Okazało się później, że nie był nawet ranny. Korzystając z tego, że oprawcy zajęci byli egzekucją, zdołał zbiec w pole i uratował życie. Był to Sobek Smoruk.

Teraz przyszła kolej na wójtową Marylę. Szła na śmierć z podniesioną głową, modląc się przy tym na głos. Odchodząc od wozu, zobowiązała obecnych tam furmanów, aby w jej imieniu przeprosili ludzi za przykrości, jakie kiedykolwiek Cyganie im wyrządzili. Dodać trzeba, że prawie wszyscy rozstrzelani modlili się w godzinę śmierci. Byli przecież ochrzczeni, małżeństwa miały śluby kościelne.

Egzekucja została zakończona. Niemcy odetchnęli. Dziewięćdziesiąt cztery ofiary leżały na cmentarzu pomiędzy grobami. Wielu dawało jesz-

cze znaki życia, ale Guzdek ich nie dobijał. Stwierdził tylko, że nie ma mowy, aby ktoś uciekł. Wystał natomiast kilku Niemców i policjantów granatowych na posterunek po sześć par małżeństw mieszanym Polaków z Cyganami.

Tam jednak wójt Bartłomiej Sulma, sołtys Stanisław Giemza oraz Piotrowska, nawet granatowi policjanci Strzałkowski i Kiciński, jak się później okazało, członkowie AK, prosili o darowanie im życia, dowodząc na różne sposoby, że to są gospodarze, z Cyganami od dawna nie mają wspólnego, oddają kontyngent, a niektórzy z nich wysłali swe dzieci na roboty do Niemiec.

Guzdek, nie mogąc się na nich doczekać, polecił furmanom rozjechać się do domów, a sam pobiegł na posterunek. Tutaj oczekiwali go wszyscy. Rozpoczęło się dramatyczne błaganie ofiarnej i stanowczej właścicielki restauracji Marii Piotrowskiej, która odważnie zaprosiła Guzdek i całe towarzystwo na obiad. Tym łatwiej przekonała krwawego upiora, bo był jeszcze bez śniadania, a minęło już południe.

Pozostało już Niemcom tylko jedno do zrobienia: pogrzebać pomordowanych. Jak wiadomo, do tych czynności hitlerowcy zmuszali strażaków. Guzdek polecił sołtysowi niezwłocznie zwołać straż pożarną. Na sygnał trąbki w ciągu 5 minut zgłosiło się 21 strażaków. To na razie wystarczyło, Guzdek zabrał ich na cmentarz. Wnet zadzwoniły łpapy. Guzdek osobiście odmierzał długość, szerokość i głębokość rowu, w którym miano zabitych pochować. Zdziwiła wszystkich ta fachowość żandarma. Wymiary przez niego podane okazały się trafne.

Dzień był bardzo upalny. Strażacy na zmianę kopali w pośpiechu. Gdy dół był już wystarczająco wielki, Guzdek rozkazał wrzucić doń ciała i przysypywać je wapnem. Oznajmił przy tym, że całe mienie znajdujące się przy trupach, a więc zegarki, pierścionki, ubrania, złote zęby można zabrać. Ze 130 mieszkańców ocalało 36 osób i to tylko dlatego, że w tym czasie przebywały poza ośiedlem.

Po powrocie ze Szczurowej hitlerowski zbior oświadczył na posterunku w Olinowie, że przekroczył liczbę tysiąca zabitych przez siebie ofiar.

Wkrótce E. Guzdek złapał cały tabor cygański w lesie radłowskim i własnoręcznie zastrzelił kilkadziesiąt osób.

Najwięcej trudności miał z korpułentną Cyganką, która trzymała za rękę małą córeczkę. Guzdek strzelał do niej wielokrotnie, a ta ciągle dźwigała się i próbowała wstać, trzymając dziecko na ręku. Przy tym jesz-

cze zlorzeczyła zabójcy. Tak oto Guzdek w sumie zamordował 130 Cyganów ze Szczurowej”.

Jednym ze świadków, których wspomnienia złożyły się na całość relacji o wymordowaniu Cyganów, był Jan Dzik z Otfinowa. Na rozkaz Niemców podwoził on Guzdkę do Szczurowej i widział całą egzekucję. Twierdził, że hitlerowscy mordercy kazali nawet furmanom pilnować Cyganów.

Po tej potwornej masakrze, jej główny wykonawca Guzdek był pijany. Nie chciał czekać na prom, ale dał rozkaz jazdy w bród przez Dunajec. W ostatniej chwili granatowy policjant nazwiskiem Motyka złapał za lecce i zmusił do czekania na nadejście promu. Echa tych sporów na przejeździe przez Dunajec okazały się tragiczne dla Jana Dzika. Zachorował na serce i zmarł. Zdążył podobno wyznać przed śmiercią, że nie może się pogodzić z widokiem zabijanych dzieci i ruszających się mogił.

Zaledwie tydzień później okolicą miasteczka Żabna wstrząsnęła wiadomość o wymordowaniu Cyganów, którzy mieszkali w Żabnie, Konarach, Podlesiu Dębowym i Chałupkach.

Z nastaniem okupacji Cyganie szybko się zorientowali, że Niemcy traktują ich wyjątkowo wrogo, gorzej niż ludność polską. Z czasem utwierdzili się w najgorszych przypuszczeniach. Toteż tu i ówdzie przechodzili na osiadły tryb życia i angażowali się do różnych prac. Co przeźorniejsi trzymali się z dala od miast, gdzie obecność Niemców była najbardziej widoczna i niebezpieczna. Nie chcieli im przypominać o swoim istnieniu. Właściciel cegielni w Żabnie, Kazimierz Kurkowski, tym łatwiej mógł zatrudnić kilkudziesięciu Cyganów. Wielu z nich sprawdził z Królewskiej Huty (Chorzów).

Przybyli z rodzinami i zamieszkali w przysiółku Chałupki nad Dunajcem (dzisiaj ul. św. Jana) oraz w Żabnie w domu Miałkowskiego, który wyjechał do USA. Był to spory budynek i pomieścił kilka rodzin. Około dziesięciu rodzin zamieszkało u Jana Zachary w Podlesiu Dębowym. Część we wsi Konary. Innym przysięgnęli okoliczni mieszkańcy.

Cyganie porzucili dawne zajęcia i nawyki, wrócenie z kart, chodzenie po domach o proszalnym chlebie, wysturzały się też ściągania rozwieszanej na płotach lub w obejściach gospodarstwach, a nie strzeżonej bielizny, unikali starannie jakichkolwiek konfliktów z miejscową ludnością. Przeciwnie w pobliskiej Radgoszczy, Mędrzechowie, Otfinowie i innych wsiach czy miasteczkach grasował osławiony kat Powiśla Dąbrowskiego

st. wachmistrz Engelbert Guzdek. Ale ta zmiana sposobu życia wcale nie miała uratować Cyganów od zagłady.

W końcu czerwca trwały, finalizowane właśnie, przygotowania do likwidacji Cyganów. Zgodnie z poleceniem gestapo w Tarnowie nastąpić miały w najbliższych dniach. Tuż przed wymordowaniem Cyganów, Guzdek pojechał wozem z Otfinowa do Żabna na naradę z Rommelmanem, który był oddelegowany z Tarnowa na czas akcji eksterminacyjnej³²⁾.

Rommelman rozkazał wezwać wszystkich urzędników magistratu w Żabnie, z burmistrzem Teofilem Włochem na czele, na godzinę 24.00. Polecił też przysłać dwie furmanki Maksymiliana Mikosa i Tomasza Kozaka.

Zobowiązał Rommelman urzędnika Stanisława Przybyłkę, aby przygotował specjalne, imienne wezwania, które roznosił następnie woźny Stanisław Strąk. O północy Rommelman wezwał urzędników do kancelarii burmistrza i objaśnił zadanie. Na koniec oświadczył zebranym, że na szosie prowadzącej do Otfinowa, na jej odcinku za Konarami, znajdując się oddziały policji niemieckiej i polskiej, wspomaganą przez Sonderdienst. Wśród policjantów był też Engelbert Guzdek. Urzędnicy otrzymali numery i zostali przydzieleni do grup policji. Następnie ruszyli w teren. To właśnie urzędnicy poprowadzili policję, wskazując okna i domy, w których mieszkali Cyganie.

I tak w nocy 10 lipca 1943 roku, wśród bicia i jęków rozpoczęły się aresztowania Cyganów. Zupełnie zaskoczonych odprowadzano całymi rodzinami na rynek w Żabnie. Tu stały już dwa wozy. Guzdek rozkazał, aby wsiadać. Siepacze Sonderdienstu, w tym niejaki Subik, kolonista z Żółkwi, popchnęli kilku mężczyzn i kobietę w stronę wozu. Ci jednak stawili opór.

Guzdek znał dobrze skuteczność uderzenia swym pistoletem typu parabellum. Wymierzył szybko cios stojącemu najbliżej. Powaloną na ziemię ofiarę bił, kopał, łżył. Powstało zamieszanie. Dzieci i kobiety podniosły krzyk, rozbiegały się w różne strony. Z dwuseregów powstała kłębiąca się gromada. Gdzieś z boku magistratu padły ostrzegawcze strzały. Nieszcześliwcy stali teraz w zbitej ciżbie.

Również Cyganie, których Niemcy pozbiierali po wsiach, zgarnęli z dróg i chwilowo trzymali na kwaterach, stawiali rozpaczliwy opór i nie chcieli nawet zbliżyć się do wozów. Pierwszy z brzegu wyrwał się na chwilę z rąk oprawców. Szamotanie przedłużyło się, a silny Cygan zaparkowywał się nogami w ziemię, mimo że zaciągnęli go do wozu i odarli

z koszuli, nie ustępował. Wówczas dwaj najsilniejsi Niemcy półnagiego i pokrwawionego powalili na ziemię — lecz dopiero przy pomocy innych oprawców zdolali rzucić na wóz jako pierwszego.

Siłą załadowano na wóz dalszych czterech Cyganów i konie ruszyły w stronę cmentarza. Znajdował się on tuż za opłotkami Żabna, na piaszczystym wzgórzu. Niewiele upłynęło czasu, gdy rozległy się strzały i wóz wrócił pusty.

Krzyki i jęki oczekujących wypełniły miasteczko. Mieszkańcy pobliskich domów z okien i strychów patrzyli, tak jak już nie raz oglądali egzekucję Żydów. Pamiętali, że jeszcze tak niedawno Żydówka Liba wyszła do sklepu po wiktuały dla dzieci oczekujących na posilek, lecz Niemcy poprowadzili ją na cmentarz za to tylko, że chustka przykryła jej opaskę. Popędzali wdowę kolbami. Dzieci wyszły na próg i wołały: „Mamino, mamino!” Oglądała się z rozpaczą. Co dzień ginęli tu Żydzi.

Teraz dzieci cygańskie wołały tak samo za swymi rodzicami. Wreszcie skazańcy przycichli, nasłuchiwali uważnie. W pewnym momencie do gestapowca podszedł Cygan tłumacząc, że jest „przechrztą”, prowadzi gospodarstwo, oddaje kontyngenty, jest Polakiem, tak jak i jego ojciec, a tylko matka jeździła z taborem.

Tłumacz przełożył te słowa na język niemiecki. Gestapowiec wysłuchał ich, patrzył i widać było, że waha się. Właśnie w tej chwili rozległy się znowu strzały na cmentarzu. Następowały po sobie w takich samych odstępach czasu, jak poprzednio. Na nowo wybuchł wielki wrzask i lament. Jakiś półnagi Cygan zaczął nawoływać do buntu. Gestapowiec, wściekły odesłał więc petenta na miejsce i wyciągnął pistolet, skierował jego lufę w niespokojną gromadę.

Od cmentarza nadjeżdżał pusty wóz. Guzdek, widząc wzrastające zamieszanie, ze schodów urzędu, podobnie jak to było w Szczurowej, wygłosił swoiste przemówienie. Stwierdził, że przybył tu z rozkazu Hitlera, który wie, iż Cyganie nie są przyjaciółmi państwa niemieckiego, nie chcą pracować w cegielni, ani jechać na roboty do walczącej Rzeszy i sabotują zarządzania. Są pasożytami gorszymi od insektów. Krążące tabory zakładają spokojną pracę wsi dla Niemiec, a nierzadko sięją postrach swymi rabunkami. Dlatego Cyganie muszą zginąć.

Po tych słowach rozległ się znowu przejmujący groźny lament kobiet i dzieci, ale parabellum wycelowane w piersi najbliższej stojących przywróciło jeszcze raz spokój w zbitej gromadzie.

Te okrutne, obezwładniające słowa odebrały ofiarom resztę odwagi. Jakaś młoda, ładna Cyganka upadła na bruk. Nikt się nie ruszył.

Policjanci granatowi, wśród nich Niechciał i Molenda, przystąpili do ładowania ofiar na wóz. Ich nowy rozkaz, choć brzmiał tak samo jak poprzedni, uderzył w Cyganów jak grom. Znowu spotęgowało się zamieszanie wśród Cyganów, którym odebrano ostatnią nadzieję. Niemcy wpędzili teraz wszystkich do pomieszczeń magistratu i tam strzegli.

Minęło niewiele czasu, gdy Guzdek wrócił z cmentarza i wywołał z gmachu 3 – 4 mężczyzn. Później zabierał na jeden wóz 7 – 8 osób. Te raz wozy ruszyły pędem. Zaraz też padały strzały. Guzdek z kilkoma oprawcami dowoził ofiary, zwijał się jak w ukropie, popędzał ciosami parabellum. Denerwowało go każde, najmniejsze nawet niedopatrzenie organizacyjne w tym katowskim dziele.

Na koniec kazał wyprowadzić matki z dziećmi i stare kobiety. Ale tu znów oprawcy napotkali szaleńczy opór. Wrzask dziatwy, płacz oszalałych z bólu matek, krzyki Niemców, tworzyły jakąś piekielną atmosferę tej rozdzierającej sceny rozpacz. Wszyscy odsuwali się jak najdalej od drzwi, jakby te oddziaływały od piekielnych otchłani, męki i śmierci.

W tym czasie na cmentarz przyszło dwudziestu rolników z Zakirchala, których woźny magistracki wezwał z łopatami do grzebania zwłok. Było już około dwudziestu zabitych. Rommelman dokonujący egzekucji polecił, aby zgłosili się w magistracie. Od tej grupy odłączył po drodze Józef Tyłmanowski i wstąpił do szewca Wojciecha Włocha, którego zabudowania znajdowały się w odległości 50 metrów od cmentarza. Ze strychu wraz z gospodarzem oglądał przebieg egzekucji.

Cyganie byli przewożeni pod eskortą. Wszyscy siedzieli słotczeni na wozach, gdyż jechało wraz z nimi kilku Niemców. Członkowie eskorty zatrzymywali wóz pod murem cmentarza i prowadzili skazańców za bramę. Tu już krzyki i szamotanie nie trwały długo. Do przywiezionych mówił Rommelman, że już nie zobaczą światła dziennego i kazał im rozbierać się do naga.

Na ogół wśród mężczyzn panowała śmiertelna cisza, byli zaskoczeni i odrętwiali. Nie wszyscy byli dobrze odziani, albowiem Niemcy wypędzili ich prosto z łożek. Ci, którzy w domu zdążyli się jako tako przyodziać lub coś ze sobą zabrać, by w drodze na siebie włożyć, teraz rozbierali się do bielizny osobistej, a popędzani krzykiem Rommelmana, obnażali się całkowicie. Z kolei kładli się obok zabitych pobratymców, a Rommel-

man podchodząc kolejno do każdego oddawał strzał w tył głowy z bardzo małej odległości.

Po rozstrzelaniu któregoś z rzędu grupy, kolejny Cyganie nie chcieli kłaść się obok trupów. Wtedy któryś z policjantów przy pomocy karabinu uzbrojonego w bagnet dźgał w plecy opornych i popędzał ich na wskazane miejsce. Jednego z nich, przebitego bagnetem, Rommelman dobił z pistoletu. Większość jednak wołała ginać od kuli niż od bagnetu.

Łańcuszki i kosztowności oprawcy zdejmowali i wieszali na starej siatce. Ubrania kładli rzędem. Nadeżdżający widzieli, jak zabijano poprzedników.

Gdy nadejechał wóz z trzema Cyganami w wieku od 35 lat i jedną kobietą, przed bramą dwaj mężczyźni zeskoczyli z wozu i rzucili się do ucieczki ku Podlesiu Dębowemu. Pierwszy padł na między po przebiegnięciu trzydziestu metrów. Kula trafiła go w bok i wyrwała dziurę w okolicy serca. Drugi padł nieco dalej. Z kolejnego wozu również jeden z Cyganów próbował ucieczki, ale padł od kuli Guzdką.

Na jednym z wozów przywieziono małżeństwo z siedemnastoletnią córką. Ci, wzięwszy się za szyję, położyli się. Matka z córką płakały. Wśród następnej partii skazańców znajdował się sześćioletni chłopiec. I on położył się posłusznie na ziemi. Gdy oddano do niego strzał, zerwał się i rzucił do ucieczki. Dopiero po 3-4 strzałach padł.

Rommelman stał tuż za bramą, jakby na granicy życia i śmierci. Z wielką satysfakcją pilnował każdego szczegółu zbrodniczej akcji.

Z pogardą patrzył na więzione ludzkie „stado”. Jego twarz wyrażała kamienny spokój.

Tuż przed bramą cmentarną zrobił się ruch. Dwaj Niemcy ciągnęli szamocącego się Cygana w postrzępionej brudnej koszuli. Ten opór początkowo był zacięty, trwał całą niemal drogę. Teraz wygasł. Podszedł do niego Rommelman. Gruby Niemiec opowiadał potem, jak go trzymali, jak Cygan bronił się rękami i nogami, jak głośnym krzykiem usiłował zaalarmować miasteczko, ale odpowiadały mu tylko szczekania psów. Po chwili wprowadzono na cmentarz i wśród uderzeń pokaleczonego rzuceno na ziemię. Jeszcze podniósł wzrok, by spojrzeć po raz ostatni w niebo, wyjątkowo tego dnia czyste. Ludzie mówili, że było jakby obmyte łzami.

Tak Rommelman zastrzelił 47 osób.

Wezwani przez Guzdką chłopci stawili się na cmentarzu, by pogrzebać pomordowanych. Rommelman wydał rozkaz burmistrzowi Włochowa

wi, by mogię wykopać w rogu cmentarza od strony południowo-wschodniej, gdzie kończyły się rzędy świeżych grobów. Gdy burmistrz zapytał ile należy wykopać mogił, Rommelman odrzekł, że wystarczy jeden dół o głębokości trzech metrów.

Jedni przy bramie układali ciała ofiar na wozach i wieźli je w róg cmentarza, a inni wrzucali trupy do wspólnej mogiły. Mogli naocznie stwierdzić, że o ile ciała dorosłych nosiły ślady postrzału w tył głowy, to dzieci, zwłaszcza chłopcy w wieku 5-6 lat otrzymywali po trzy lub cztery kule.

Gdy ludzie przystąpili do wypełniania poleceń Rommelmana, ten pobierał do torby co cenniejsze drobniaki pozostające po ofiarach zbrodni i pieszo udał się do magistratu (obecnie w tym budynku mieści się szkoła), skąd zatelefonował do gestapo w Tarnowie, meldując o wykonaniu zadania. Następnie po libacji w restauracji Kazimierza Seweryna oprawca wyjechał z Żabna.

Przedtem groził jeszcze urzędnikowi magistrackiemu, Stanisławowi Przybytkowi, że go rozstrzela (z powodu podobieństwa do Żyda). Przybytek był bardzo lubiany wśród współpracowników i ci dosłownie wyrwali go z łap zbira.

W Ujściu Jezuickim ukrywały się dwie rodziny cygańskie, ocalale z pogromu w Szczurowej. Guzdek odnalazł Cyganów ukrytych w chruście. Jednej z Cyganki chciał zdjąć piękny pierścień z palca, ale pierścień nie dał się zsunąć, odciał więc palec, a potem powystrelał obie rodziny, Bielików i Gulików.

Eksterminacja Żydów, a po nich Cyganów, przeprowadzana z żelazną konsekwencją i okrucieństwem, mogła zwrócić wyobraźnię ku temu, co z kolei w planach hitlerowskich zamierzano zrobić z terroryzowaną ludnością polską.

Wkrótce Guzdek jadąc z Dąbrowy Tarnowskiej, wstąpił do Wielopola, gdyż dowiedział się, że były naczelnik gminy Józef Musiał posiadał broń. Uwierzył jednak, że rewolwer został oddany władzom przed wrześniem 1939 roku. Tymczasem faktycznie przyjął go do naprawy Wojciech Molo w Swarzowie, rzemieślnik-samuok.

W czasie poszukiwań na strychu tłumaczył na język polski stare austriackie rejestry poborowych, które należały do archiwum dworów — ojca Franciszka w Wielopolu i dziadka Michała w Pasiece Otfinowskiej. Austriacy zaborcy bowiem opierali się na dominacji przy egzekwowa-

niu służby wojskowej. Manewr ten miał zaognić antagonizmy społeczne wśród Polaków.

Ten brutalny, pozbawiony wszelkich ludzkich odruchów sadysta, zachowywał się nie raz na co dzień, jak skrzyty gospodarz. Interesowała np. Guzka uprawa rzepaku dla potrzeb III Rzeszy. Najlepsze obszary żywej ziemi przeznaczali Niemcy pod uprawę rośliny, stanowiącej, jak mówiono, surowiec do wyrobu gumy (kok-sagiz). Okoliczną ludność a nawet uczniów miejscowej szkoły powszechnej spędzano do pracy przy wysianiu i pielęgnacji tej tajemniczej rośliny. Jakiekolwiek niepowodzenia i straty w narzuconych temu gospodarstwu uprawach mogły być poczytane jako sabotaż. Guzdek opowiadał, że sotys w Mędrzechowie ledwie uniósł głowę z takiej sprawy. Straty w uprawach tłumaczył ów sotys nieznajomością zasad pielęgnacji tej rośliny. Wkrótce zresztą udało się sotysowi wyjechać do sanatorium.

W resztówce objętej uprawą kok-sagizu, zjawiali się nie tylko żandarmi, ale i cywile agronomowie. Ci ostatni snuli plany rekultywacji wielkiego stawu rybnego, który właściciel osuszył, zamieniając zbiornik wodny na pastwisko i uprawę trawy. Do niedawna ten wielki staw, ciągnący się wzdłuż wsi Wielopole aż do wsi Borek, był obok lasu — głównym atutem dworu w Wielopolu. Z jednej strony opierał się o pagórek wsi, z drugiej za wysokim wałem płynęła rzeka Wielopólka, która zasilała wtedy staw w świeżą wodę. Hodowla ryb, w pierwszym rzędzie karpi, była trudna z powodu bliskości wsi. W czasie mgły chłopcy łowili ryby. W dni upalne wjeżdżali wozami rachwowymi, kalesząc ryby, które znajdowano bez głów.

Wspominane przeszłości były atrakcyjne, ale praktyczne odwołanie ich w czasie okupacji było uciążliwe. Bywało, że na różne akcje, przeprowadzane nawet w odległych okolicach, Niemcy brali ze sobą Guzka. I tak np. z Dąbrowy Tarnowskiej wyruszyło kilka podwódek konnych z Niemcami.

Był już wieczór, pora objęta zakazem poruszania się. W Swarzewie na szosie spotkali wracającego do domu Antoniego Pilasa. Jadący na przedzie Guzdek wezwał chłopca do podniesienia rąk w górę i zapytał się, dokąd idzie, gdzie mieszka. Zabrał go na wóz, posadził obok siebie. Wnet jednak uderzył niespodziewanie w podbródek i kazał uciekać. Pilas spełnił polecenie spodziewając się, że lada chwila padnie strzał. Dziś wspomina te chwile trwogi i dodaje, że jego odpowiedzi Guzdek tłumaczył na język niemiecki.

Mimo zagrożenia dokonywano nielegalnego uboju zwierząt, różni handlarze i paskarze krążyli po wsiach.

Kazimierz Giza z Adamierza zakupił świnie w Gręboszowie i część wyrobów przywiózł gospodarzowi, gdyż taka była umowa. Jednak w drodze powrotnej natknął się na wszechobecnego Guzdkę, który zakwestionował worki po wędlinach i kanapkę. Podejrzanego zamknął w Ofinowie w areszcie i wzywał na przesłuchanie. Giza wiedział, czym grozi przyznanie się do winy. Dlatego kluczył wokół wymyślonych wybiegów. Wreszcie żandarm zjawił się w oknie aresztu, zarepetowawszy bronią i odszedł. Guzdek miał na myśli głośne zdarzenie, które miało miejsce na cmentarzu w Gręboszowie.

Grabarz mianowicie kopiąc nowy grób usłyszał w pobliżu dziwne odgłosy wydobywające się spod ziemi. Pobiegł więc po księdza, a ten polecił odkryć świeżą mogiłę. Okazało się, że w grobie tym rozegrał się straszny dramat. Ktoś pochowany w stanie pozornej śmierci po przebudzeniu z braku powietrza udusił się. Miał pogryzione palce u rąk. Odsiecz była spóźniona.

Po dwu tygodniach aresztu, na skutek usilnych próśb matki, Giza został wypuszczony. Nie miał takiego szczęścia mieszkaniac sąsiedniej wsi Olesno, Franciszek Wajduła, który za drobne pospolite przewinienia został aresztowany i już nie powrócił. Z Janem Liro było podobnie.

Prześladowani Żydzi szukali wszelkich możliwości ratunku. Ukrywali się między innymi w osłoniętych zaroślami dołach nad Dunajcem. Któregoś dnia Guzdek dojrzał dym, wijący się wstęgą nad chrustem. Zaskoczył rodzinę żydowską w czasie gotowania posiłku. Rodzicom udało się wówczas uciec, ich synek został zastrzelony.

ZACIEKŁY PRZEŚLADOWCA KONSPIRACJI

Żandarm Guzdek z pasją i prawdziwym fanatyzmem zwalczał konspirację. Ta karta dziejów opisywanego rejonu zasługuje również na utrwalenie.

30 czerwca 1943 roku panował wielki ruch na obu posterunkach — w Mędrzechowie i Ofinowie. Jadący ku Szczucinowi żandarmi zabrali stąd część załogi. Ludzie domyślali się, że nastąpi coś poważnego. Gestapo i żandarmi pojechali do wsi Borki i otoczyli dom Jana Kapki. Gospodarz był nieobecny, a jego żona wraz z dziećmi zdążyła uciec w ostatniej chwili. Niemcy zastali tylko teściową Kapki, Marię Gadziałę, liczącą 73 lata. Staruszkę skatowali i uwięzili. Zmasakrowali też Wojciecha Kmicika, który akurat zbierał kwiat lipowy w obejściu Kapki.

W pięciu chlebowym żandarmi znaleźli baterię do aparatu radiowego, a na strychu urządzenie antenowe, kilka numerów nielegalnej gazety „Pobudka”, w tajni zaś w sianie aparat radiowy. Zwołani ze wsi ludzie przeskakali i przekopali podwórze i klepisko w stodole i znaleźli w zakopanej skrzynce dwa aparaty radiowe, kilka karabinów, amunicję i granaty. W następnych dniach rozebrano dom i zabudowania gospodarcze. Starą Gadziałową Niemcy wypuścili później z aresztu, lecz po to, aby ją śledzić. Cała pozostała rodzina zdołała uciec.

W trzy dni później żandarm Neureiter zebrał swych kompanów w okolicznych wsiach i znów pojechał do Szczucina. Przeprowadzono rewizję w domu Franciszka Kapla (o pseudonimie „Wyżel” oraz „Regiel-ski”), który był mężem zaufania przy placówce AK w Szczucinie, mającej kryptonim „Szpak”. Bito jego rodzinę, szczuto psami. Znajomi policjanci chcą pomóc rodzinie zaświadczyć, że Kapłowa jest niewinna, ponieważ mąż bandyta maltretuje ją i dzieci i że nie zna ona spraw męża.

W rezultacie żandarmi zwolnili kobietę z aresztu. Guzdek wszczął w tej sprawie śledztwo.

Mimo wznagającego się terroru ludzie z szeregów AK i BCh zawiązali pod bokiem Guzdeka tajny kurs nauki sztyfowania w Żabnie, w domu, w którym mieszcza się trafika Jana Bodzeka. Kurs prowadził

naczelnik urzędu pocztowego, Mieczysław Magiera z Niecieczy, który przed wojną służył w wojsku polskim jako plutonowy łączności.

Już w listopadzie 1939 roku Feliks Zych spotkał swego byłego przełożonego, dowódcę piątego plutonu strzelców konnych w Tarnowie, który poinformował go, że posiada sporo broni i amunicji pozostawiej po walkach w 1939 roku nad Dunajcem w rejonie Radłowa. Skontaktował też Zycha z byłym oficerem piątego plutonu strzelców konnych, Filipowiczem, mieszkającym w Żabnie. Filipowicz, działający w podziemiu, odebrał od Zycha przysięgę i włączył go w działalność ZWZ-AK. Zych dowiadywał się, kto gdzie ukrył broń. Najpierw zwracał się do ludzi z prośbą o dobrowolne wydanie broni, a jeśli jej nie otrzymał, nocą zabierał ze schowków. Tak zgromadził siedem tysięcy sztuk amunicji i około dwudziestu karabinów.

AK starała się również powiększyć swe szeregi przez zwerbowanie coraz nowych ludzi. W takim przypadku pozyskanemu wyznaczano spotkanie w bezpiecznym, najlepiej zakrzaczonym i oddalonym od wsi miejscu. Tam np. w chruście nad Dunajcem odbierano od niego tradycyjną przysięgę.

Guzdek za wszelką cenę chciał zniszczyć działające na jego terenie podziemie. Podejrzewając przewoźników o pomoc w przeprowadzaniu partyzantów na drugi brzeg Dunajca, zjawili się niespodziewanie w domu jednego z nich, Jana Kmicika i zabrali go do dworu w Borusowej, gdzie na oczach służby i właścicieli dworu Bzowskich przystąpił do egzekucji. Jednak Bzowscy uprosili go, by nie dokonywał zabójstwa w ich domu. Guzdek zawiózł więc Kmicika na cmentarz w Gręboszowie i tu zamordował go strzałem w tył głowy. Młody chłopak Eryk Bojko, mieszkający obok cmentarza, obserwował z dala tę egzekucję.

Guzdek bywał w Radłowie, w restauracji Stanisława Budzyńskiego i tu Roman Horodyński, pseudonim „Jastrząb”, chciał go zastrzelić lub dokonać tego za miastem, ale dowództwo nie zezwoliło. „Jastrząb”, syn Jeśniczego ze Śmietany pod Zabawą — wykonywał liczne wyroki śmierci z ramienia AK. Był niezwykle odważnym partyzantem, prawdziwie ofiarnym i lubującym się w brawurowych akcjach. Zastrzelił też kilku Niemców za Dunajcem.

Niektórzy ludzie, chcąc zaskarbić sobie względy okupanta, będz z chęci zemsty, informowali Niemców o sprawach, za które inni placili życiem. Oto Stanisław K. mieszkający w Stedliszowicach, sporządził listę działających tam członków BCh, bo była przekonana, że to rzekomo

członkowie AK i BCh donieśli Niemcom, iż jej mąż kradnie. Został przez Niemców zamordowany, a żona przysięgła zemstę denuncjatorom. Dwunastu najlepszych ludzi AK-BCh, których dowódcą był Złotnicki, pseudonim „Zagłoba” i Urbaś, pseudonim „Budzik”, zostało aresztowanych przez gestapo.

Przesługiwał ich gestapowiec, który jak się okazało, znał Urbasia jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej. Urbaś jednak nie domyślał się tego. Niemiec życzył sobie, aby aresztowany opowiedział swoje przeżycia z czasów I wojny światowej i pytał, czy pamięta jeszcze swego dowódcę z tamtych czasów. Urbaś rozpoznał go wtedy i gestapowiec powiedział, iż pewna kobieta złożyła doniesienie, że ukrywa broń. Chłop tłumaczył się, że mieszkali u niego niemieccy żołnierze i jeden z nich przebywający akurat w szpitalu, zostawił swą broń, każąc ją wyzyścić. Dodał, że z kabinem tym poszedł do cegielni, by pożytyć brakujący wycior. Gestapowcy zadzwonili do szpitala, gdzie leczył się wspomniany przez Urbasia żołnierz. Ten potwierdził zeznania chłopca.

Urbaś poprosił wtedy również o zwolnienie z aresztu swego bliskiego znajomego, Tadeusza Złotnickiego. Niemiec zwolnił ich wszystkich. Po powrocie chcieli rozprawić się ze Stanisławem K., ale ta zdążyła zbiec.

Do tarnowskiego gestapo wpłynął anonim oskarżający wielu mieszkańców Otfinowa o sprzyjanie partyzantom. Zajechał do Otfinowa szef gestapo w Tarnowie z tym właśnie listem. Autor podał w nim jeszcze szereg nazwisk i policjanci rozbiegli się po wsi, każąc stawić się na posterunku wszystkim, których nazwiska były podane w anonimie. Na wezwanie zgłosili się: Władysław Sekuła, Józef Kasprzak, Józef Waluś, Wojciech Grzymek, Jan Tomczyk, Józef Seruś, Wojciech Kozera, Marian Kiniarz, Wojciech Pytka i wielu innych.

Na posterunku zameldowali się w jedną z lipcowych sobót 1943 roku uważając, że nie ma powodu do obaw, ponieważ nie dopuścili się żadnego wykroczenia. Już w areszcie dowiedzieli się, że są oskarżeni o czytanie tajnej gazetki „Odwet”; zdjęli ich strach, bo faktycznie tę gazetę czytali. Przerażony Tomczyk chciał się do wszystkiego przyznać. Pozostali perswadowali, że nie wolno mu się załamać, bo wtedy wszyscy zginą.

Życie aresztowanych za czytanie „Odwetu” chłopów próbował ratować ksiądz Kloch. Tłumaczył Rommelmanowi, że „Trybuła”, prawdziwy dobytek autoru anonimu, z zemsty napisał nieprawdziwy donos. Rommelman pod wpływem tych próśb zmieknął trochę i obiecał, że śledztwo będzie łagodne i jeśli aresztowani nie popełnią błędów, wrócą do do-

mów. Nie pozwolił jednak rodzinom aresztowanych na widzenie się z nimi.

Jeden z członków Sonderdienstu wywołał z aresztu Józefa Kasprzaka i zaprowadził go przed oblicze Oppermanna. Tam pokazano mu przed rokiem pisane pismo, w którym anonimowy autor donosił, że niejaki Seruś handlował wyprawioną skórą, przywoził z Krakowa konspiracyjną prasę i rozprowadzał po terenie. Seruś miał pozwolenie od władz okupacyjnych na dokonywanie legalnego uboju zwierząt w Otfinowie.

Przesłuchania w sprawie czytania tajnej gazety odbywały się w kancelarii więziennej w Tarnowie i prowadził je Niemiec Oppermann wraz z sędzią śledczym w cywilnym, granatowym ubraniu ze swastyką w klapie.

Aresztowani byli pewni, że zostaną straceni i przygotowywali się na śmierć. Mówili: „No, chłopcy, idziemy na górę św. Marcina”. Było to znane miejsce straceń w pobliżu Tarnowa. Wszystkich aresztowanych kolejno wzywano na przesłuchania i wszystkich też bito, aby wymusić zeznania.

Ku ogólnemu zaskoczeniu, po pewnym czasie puszczono ich wolno. Przedtem zebrano ich w sali i tłumaczono, że idą na wolność i mają teraz przyczynić się do zwycięstwa Niemiec, bo od wschodu idzie wroga, ciemna siła — bolszewizm. Na zwolnionych czekały furmanki przy ul. Kłikońskiej. We wsi Klikowa wyszedł na spotkanie jadącym właściciel tamtejszego szynku, nazwiskiem Wrona i poczęstował wszystkich piwem, wódką i kanapkami. Cieszył się podobnie jak cała okoliczna ludność, z tego szczęśliwego finału. Zresztą sami strażnicy więzienni wyrażali wielkie zdziwienie z powodu tego wydarzenia, bo było wielką rzadkością w tej hitlerowskiej katowni.

Akurat w tym czasie w Otfinowie odbywało się wesele, na które przybyli Guzek i policjant Lewandowicz. Rozkazali orkiestrze zagrać wesoło, ponieważ jak mówili, więźniowie zbliżają się do wsi. Jedną z druhen, córka aresztowanego Kasprzaka, myślała, że to kolejny okrutny żart oprawców, odpowiedziała, że dopóki nie ujrzy ojca, dopóty orkiestra grać nie będzie. Guzek zapewnił, że mówi prawdę. I nagle ku radości wszystkich weszli zwolnieni z więzienia. Tańczono w drewnianych butach, gdyż brak było skór na obuwie. Sam Rommelman przyjechał do wsi i przyjmował od wdzięcznych chłopów prezenty: jabłka, masło, drób, wędliny, o które było tak trudno w wojennych czasach. Ksiądz Kloch ra-
dził aby niczego nie żałować, mówiąc: „Trzeba paść byka tortami”.

Warto dodać, że to właśnie córka Kasprzaka zawiozła żonie Guzodka i jaja. Prosiła żonę, by Guzdek ratował jej ojca. Inne kobiety postąpiły tak samo.

Pomimo krwawych zbrodni i terroru, pod bokiem Guzodka działało podziemie nadal i to ze wzmoczoną siłą. W sierpniu 1943 roku akowcy z Biskupic, Borzęcina, Radłowa, Konar przeprowadzili się przez Dunajec kładką do Niecieczy, sąsiadującej z Otfinowem, ruszyli ku mleczarni, urwali kłódkę i zniszczyli aparaturę łomami³³.

Następnie próbowali ująć i wychłostać Józefa K., który pobierał próbki mleka, a był zbyt wymagający i gorliwy w pracy dla okupantów. Ten jednak zbiegł i uniknął chłosty.

Siedziwo w tej sprawie prowadził Guzdek wraz z policjantami, ale ci sugerowali, że ślady sprawców napadu prowadzą za Dunajec. W nocy urządzono zasadzkę przy przewozie przez rzekę. Wtedy to Guzdek, nie widząc dobrze w ciemności, a słysząc stuk łańcucha promu, strzelił z automatu, raniąc śmiertelnie komendanta policji granatowej z Gręboszowa, Andrzeja Płazińskiego pochodzącego z Bochni. Zranił też sekretarza gminy Cisle.

— Guzdek! Co robisz? — zawołał sołtys.

— O Matko Boska! — odkrzyknął żandarm.

— Guzdek, co robisz? — jęknął ranny Płaziński...

Jan Kuc miał podziurawioną bluzę.

Płaziński zmarł w drodze do szpitala. W związku z tym incydentem na przestępcanie przybyło gestapo. Guzdek podawał sprzeczne wersje zajścia i gestapowicze zauważyły to. Natomiast Kuca pochwalił za prawdą mówność.

Guzdek — jak zwykle, gdy był w sytuacji słabszego — nie ukrywał strachu.

Inni znówu podsuwali Guzdkowi myśl, że napadu na mleczarnię w Niecieczy mógł dokonać Kosieniak ze swoimi ludźmi, bo pojawia się tu czasem, zna doskonale te okolice, ukrywał się tu i rabował. Opowiadano, że niedawno widziano go z innymi przy ognisku w polu. W ten sposób najłatwiej można było zmylić czujność Guzodka, gdyż powszechnie wiadomo, że Kosieniak obrabował niedawno właścicielkę młyną elektrycznego w Niecieczy — Merchutową.

Tak relacjonują te wydarzenia uczestnicy akcji m.in. Stanisław Pęczak i Ryszard Kotra z Żabna. Szczegółowy opis akcji w mleczarni i innych obiektach zawiązujemy też Kazimierzowi Witkowskiemu, ówczesnemu

żołnierzowi AK, walczącemu pod pseudonimem „Orzeł”. Relację tę spisana w Niecieczy w marcu 1978 roku zamieszczam w przypisach do niniejszej pracy.

W ówczesnych płynnych i bardzo różnicowanych warunkach, jakie stworzyła okupacja, przeciwko żandarmom i granatowej policji działały różne ugrupowania, nie tylko patriotyczne, narodowo-wyzwoleńcze. Pewną rolę odgrywały też środowiska szmuglerów, starających się dla zysku o ominięcie zarządzeń okupantów w zakresie gospodarki żywnościowej. Oto przykład jednej z takich akcji, wymierzonych przeciwko hitlerowskiemu zakazom uboju zwierząt gospodarskich i handlu mięsem. Chodziło w pierwszym rzędzie o wyprowadzenie w pole niemieckich wartowników.

Wartownicy ci byli bardzo ostrożni i czujni, bali się wciąż podstępów. Mimo to szmuglerzy, nie mogąc ominąć Żelichowa, nastraszyli wartowników i przyjechali. Jeden znający trochę język niemiecki i ubrany w szary płaszcz, udając taniaka, zgarnął wartowników z szosy i „legitymował”. Pozostali przewieźli świnie. Było ciemno i to ułatwiło akcję.

Ale byli i nieuczciwi szmuglerzy z Tarnowa (kolejarze) którzy zakupili świnie u Jana Janika w Wielopolu. Koledzy będący z nimi w zmoć, wpadli w wieczór do stodoły i „skonfiskowali” wyroby, a „krakusów” zbiili. Mistyfikacja udała się. I znów gruchnęła wiadomość, że Guzdek w Gręboszowie zastrzelił Stefana Lewickiego i Jana Lewickiego — rolników. Wkrótce sam ze swymi żandarmami i policjantami zorganizował obławę w Kępie nad Wisłą, zastrzelił sześciu Żydów. Byli wśród nich Kaimier Hersz, Kaimier Mosze, Kaimier Toche, Maun Ryka, Maun Wolf.

Nic dziwnego, że sołtysi starali się udobrychować okrutnego żandarma pojąc go wódką. W Kłyzu zjawił się Guzdek u sołtysa, który chciał zastrzymać żandarma przynajmniej przez chwilę, aby nie zaskoczył wsi. Odważne panny zabawiały go i częstowały. Guzdek pijany, zabrał dwie z nich do Otfinowa, oblał wódką i odesłał do domu.

Terror narastał lawinowo. Różne wydarzenia, ważniejsze i mniej istotne, piętrzyły się. Guzdek często jeździł po wsiach. I tak raz Adam Ciemiński z Gorzyc stał z podwodą pod posterunkiem policji granatowej w Otfinowie. Wieczorem Guzdek kazał się zawieźć do Żelichowa. Przed wsią wręczył woźnicy automat bez magazynka i kazał powiedzieć wartownikom, że wiezie partyzanta i nawet dobrze zapłacił za przepuszczenie.

Gdy dwunastu chłopów zatrzymało ich, woźnica ze strachu zagrał swą rolę, wiedząc, że poznają go. Guzdek też prosił, by puszczono ich wolno. Wreszcie zapalił papierosa i w świetle zapalniczki chłopci poznali Guzdeka, który teraz kazał jechać do dworu. Tu rozkazał woźnicy przywołać sołtysa i poczęstować wódką i papierosami. Chłopak pobiegł do wartowników i powtórzył rozkaz.

Sołtys był w Tarnowie, ale agronom przyniósł wódkę. Guzdek częstował obecnych, jadł kolację i co chwila strzelał w okno. Zabronił komukolwiek wychodzić, ale towarzysząca im panna i tak uciekła oknem. Woźnicę postawił pod ścianą, krzycząc: „Tyś partyzant, bo wszystko wiesz! Nie znasz wsi, a znalazłeś siano, agronoma i wódkę!”. W drodze powrotnej wciąż strzelał.

W związku z sygnałami o ponownym pojawieniu się Kosieniaka Guzdek, Artur Zimmermann i Stein wybrali się do Siedliszowic, gdzie w przystółku Zielona, rodzina Stokłosów prowadziła sklep. Swego czasu wstępował tu Kosieniak po zakupy, jak każdy inny klient. Ale ostatnio czynił to rzadko i skrycie. Ponieważ Guzdek groził mordem całej rodziny i spaleniem zabudowań, granatowi policjanci, chcąc uratować zagrożonych zawiadomili Stokłosów, żeby pozostali w domu, bo przyjdzie Guzdek. Sądził, że Stokłosowie na sam dźwięk nazwiska Guzdek uciekną.

Tak też pewnie by się stało, gdyby nie stara matka, która powstrzymała synów, tłumacząc, że przecież są niewinni, więc dlaczego mieliby uciekać.

Niemcy otoczyli zabudowania Stokłosów. Romana i Michała Zygmunta Guzdek wyprowadził za dom i zamordował kilkoma strzałami. Budynki podpalił.

Ale mimo tego Kosieniak zjawiał się w Siedliszowicach: po amunicję, którą ukrył w 1939 roku, a przy okazji wymuszał okup. Nie wchodził do mieszkań, ponieważ pieniądze kazał podawać przez okno. Toteż Guzdek w czasie swego pobytu w pobliskim Otfinowie wielokrotnie wpadał do Siedliszowic i poszukiwał bandy.

I tak raz Niemcy i granatowi policjanci otoczyli kilka zagród, a Guzdek wrzucił granat do pustej stodoły znajdującej się obok zabudowań Franciszka Mazura. Spędzeni chłopci musieli rozebrać ową stodołę, miejsc noclegów bandy, jak zaznaczył Guzdek.

W czasie jednej z takich akcji, Niemcy i policjanci otoczyli wies Działoszowice i wszczęli poszukiwania w gospodarstwach. Guzdek, swoim zwycięstwem, znów wrzucił granat do jednej ze stodoł.

W sierpniu 1943 roku rolnik z Niecieczy Chłoń spełniając życzenie komendanta posterunku, zaprosił Guzdeka na wesele. Córka Chłonia, Anna wychodziła za mąż za Jana Sanka, krawca z Otfinowa, zamieszkałego blisko posterunku. Guzdek dobrze znał Sanka i nieraz korzystał z jego usług krawieckich, podobnie jak inni policjanci. Komendant Mądry i Guzdek przejechali bryczką. Orkiestra przywitała ich godnie, podbiegła też panna młoda z wąsatym ojcem, ponieważ Sanek, świadek okrutnych i mroźnych krew w żyłach egzekucji, po prostu uciekł.

Starsi, którzy podczas pierwszej wojny światowej walczyli w austriackich mundurach, to i owo już widzieli, teraz otoczyli kołem przybyłych gości. Dobrze wiedzieli, jakie myśli kłębią się w głowie pod zielonym kapeluszem z pędzelkiem: jakie zamiary przyszyły tu Guzdeka.

Po obiedzie wszyscy wyszli przed dom, by pozować do pamiątkowego zdjęcia. Honorowe miejsce, obok pani młodej, zajął Guzdek.

Oczywiście, później żandarm wszczął rozmowę o napadzie na mleczarnię w Niecieczy.

Chłoń chytrze zapewnił, że ludność tutejsza jest spokojna i pracowna. Jedynie w roku 1846 niecieczanie mordowali szlachtę. Zginął wtedy Duleba we dworze w Niecieczy oraz Wojciech Szumowski w Wielopolu. Prażuch opowiadał, jak to niecieczanie na koniach pognali do Wielopola, by napaść na dwór. Siekierami roztrzaskali kołeczne drzwi w pałacu i ścigali dziedzica. W końcu korytarza dopadł go dziadek Prażucha i ciął toporem w głowę, ale szlachcic zdążył jeszcze strzelić w pierś napastnika, który wkrótce zmarł. Inni zamordowali barona Prospera Konopkę z Brnia.

To znów Mendrys dzielił się wrażeniami z włoskiego frontu, by odwrócić uwagę żandarma i odwieść go od prób indagacji. Znajac psychikę Guzdeka wiedzieli, że tylko takie makabryczne wątki potrafią go zainteresować. Wescelnicy odetchnęli dopiero po ich odjeździe.

Każdemu pojawieniu się gdziekolwiek Engelberta Guzdeka towarzyszył strach. Ciągłe też rozważano możliwość uwolnienia się od żandarma terrorysty. Uznano jednak, że likwidacja hitlerowskiego zbrodniarza jest na razie zbyt ryzykowna. Jak już podawaliśmy, za śmierć Guzdeka okupanci grozili egzekucją stu zakładników. Sprawa miała się wkrótce rozstrzygnąć w sposób zupełnie nieoczekiwany.

ŚMIERĆ GUZDKA

Guzdek orientując się w obyczajach wsi, w których przebywał — zarządził, aby uroczystość dożynek odbyła się w niedzielę 22 sierpnia 1943 roku w Otfinowie⁵⁴. W ramach przygotowań do święta plonów, inspirowanego przez propagandę hitlerowską, zatrzymał w areszcie trzech chłopców — Ukraińców, schwytanych w momencie gdy przeprawiali się przez Dunajec. Byli to uciekinierzy z robót w Rzeszy.

Ich śmierć miała — zgodnie ze zбочoną mentalnością Guzdk — ukwiecić dożynkową uroczystość. Policjanci natomiast rozjechali się po terenie i ubezpieczali miejsce dożynek, które zlokalizowano na dziedzińcu posterunku. Było to żałosne widowisko w umęczonym okupacją kraju, ale niektórzy musieli brać w nim udział pod przymusem.

Do takich stałych bywalców święta należał wbrew swojej woli ksiądz Kloch, którego Guzdek darzył wielką sympatią z powodu jego niemieckiego nazwiska. Obecny też był zawsze podczas święta wójt Zygmunt Wrzosek, który dawno już chciał zrezygnować z pełnionej funkcji, ale pozostał na stanowisku wskutek próśb ludzi, którzy cenili jego prawosławie i odwagę. W uroczystości brał też zwykle udział kierownik szkoły Józef Cierniak.

Przed rozpoczęciem dożynek, na polecenie Guzdk przyniesiono litr wódki i rozpoczęła się libacja, podczas której żandarm stawał się coraz bardziej agresywny, uderzył swą żonę, bo nie chciała pić, groził obserwowującemu go wójtowi Zygmuntowi Wrzosekowi, że strzeli mu wprost w serce. Potem przyszedł Władysław Sekuła z wódką, ale Krasnodębski odprawił go, mówiąc: „Nie wiecie, co się będzie tu dzisiaj dziać”.

Orkiestra Maziarzów grała z całych sił. Po pewnym czasie żona nauczyciela Józefa Cierniaka wywołała męża, bo ich dziecko było chore. Ksiądz Klocha natomiast wezwała pilnie gospodyni, bo akurat cieliła się krowa w księżym gospodarstwie. Guzdek zawsze pełen obaw, mówił, że Polacy chcą go zabić, ale boją się o stu zakładników.

Był już późny wieczór, gospodarze położyli się spać. Nie spał jeszcze Józef Wróbel, mieszkający w domu gminnym, w którym mieścił się areszt. Żona Wróbla była położna. Areszt tutejszy mieścił się w drewnia-

nym budynku. Z ganku wchodziło się do sieni, kuchni i celi. Stąd często dobiegały odgłosy bicia, przekleństwa i wrzaski katów oraz jęki więźniów. Nic dziwnego, że żona Wróbla wolała przebywać jak najdłużej we wsi.

Guzdek jako jeden z ostatnich podniósł się od stołu i wezwawszy żandarma Wilhelma Steina oraz komendanta posterunku Stefana Mądrego, poszedł w stronę aresztu.

Wyprowadził aresztantów na plac i udali się z nimi w kierunku muru ogradzającego kościół. Pierwszy zabił swą ofiarę Mądry, kładąc młodego Ukraińca trupem. Podobnie postąpił Stein. Teraz obaj cofnęli się, robiąc miejsce Guzdkowi. Ten zamierzał strzelić, swym wypróbowanym nie raz sposobem w tył głowy ofiary. Ale Ukraińiec, widząc trupy współtowarzyszy, skoczył w bok i pognął ku pobliskiemu wałowi. Pijany Guzdek nie potrafił utrzymać równowagi, strzelił niecelnie.

W tym momencie nastąpiło niespodziewane i do dziś bulwersujące mieszkańców okolicy wydarzenie. Gdy Guzdek ścigał Ukraińca, został trafiony pociskiem. Śledztwo wykazało, że pierwszy strzelił Stein, potem Mądry. Dlatego Stein wziął całą winę na siebie i został najsurowiej ukarany. Taką konstatacją zakończyło się dochodzenie i sprawę uznano za wyjaśnioną.

Trafiony Guzdek upadł, ale już po chwili wstał i biegł w stronę aresztu wołając: „Aleście mnie urządzili!”. To wołanie przechodziło w przeraźliwe charczenie. Krew tryskała z rany. Stein i Mądry, mocno podpidci osłupieli, ale od razu zorientowali się w sytuacji. Pojęli, że Guzdek przypadkowo dostał się pod ogień z ich broni.

Od strony posterunku nadbiegła żona Guzdk z krzykiem, że zabiło jej męża. Żądała od obecnych, by sprowadzili lekarza, a sama pobiegła po księdza. Ale ksiądz Kloch nie zdecydował się na udzielenie zbrodnia- rzowi ostatniej pomocy. Ciało Guzdk przeniesiono z małego kaluża tarza do celi aresztanckiej. Na podłodze szybko rozlała się wielka kałuża krwi.

Gdy przybyli wożem wezwani lekarze: Kazimierz Przybyszewski z Zabna i Eugeniusz Gofron z Miechowie Wielkich, Guzdek już nie żył. a na posterunku zapanowała panika. Policjanci chcieli po prostu uciekać, zabrali się już nawet w gromadkę na ulicy Omentarnej. Ucieczkę przeszkodził Stein. Argumentował, że uciekający ściągłoby na siebie podejrzenie, a ponadto za życie Guzdk musiałoby dać głowystu zakładników.

Stein stwierdził, że ta śmierć była pomyłką i on za tę pomyłkę odpowiada.

Podczas zajścia ogrodnik Józef Wróbel przebywał w mieszkaniu, w pobliżu którego śmiertelnie raniono Guzdkę. Według jego relacji żandarm ranny w głowę i bardzo już broczący krwią, zdołał wbiec do sieni domu i tu upadł, uderzając głową o drzwi. Ranny krzyczał: „Ogrodniku, ratuj! Wróbel, ratuj!”

Ogrodnik w pierwszej chwili pomyślał, że to mąż naczelniczki urzędu pocztowego Aleksander Rzepecki, wołała o ratunek. Próbował otworzyć drzwi, ale nie zdołał, ponieważ żandarm już teraz bezwładny, zabłokował je swym potężnym ciałem. Wobec tego Wróbel przecisnął się przez podłужne okienko w kuchni i ogrodami pobiegł do piątego z kolei domu — Józefy Dziądzko. Tam gwałtownie dobijał się do drzwi, lecz gospodarz, sądząc, że Wróbel jest pijany, zwlekał z otwarciem drzwi.

Ogrodnik wołał jednak uparcie, że stało się coś złego i trzeba ratować człowieka. W tym samym czasie u sołtysa do późnej nocy siedzieli chłopcy — nie wiedząc nic o wypadku.

Wspomniano już, że ustalenie z czyjej broni padł śmiertelny strzał w stronę Guzdkę, było od początku niezwykle trudne. Bardzo pomocna w próbie rozwikłania tej tajemnicy może się okazać spisana w obecności autora niniejszej pracy 11 lutego 1988 roku relacja naocznego świadka tych wydarzeń Władysława Magier z Otfinowa, zamieszkałego obecnie w Siedliszowicach.

Oto treść tej relacji, podana w wersji oryginalnej z pozostawieniem wszystkich charakterystycznych zwrotów i określeń.

Z polecenia sołtysa Otfinowa Stanisław Baran wyznaczył mnie na wartownika od godziny 24.00 do rana. Przyszedłem do domu pożydowskiego koło sklepu, gdzie mieściła się wartownia. Przyszli też moi sąsiedzi: Jan Sroka, Ludwik Grela, Jan Sowa — krawiec (później sprostował: Baran był komendantem warty, Jan Sowa zjawił się po śmierci Guzdkę — A. M.).

Sołtys polecił zabrać łopatę, gdyż jak powiadam — dodał będziemy się bawić w grabarzy. Wiedzieliśmy, że mają zastrzelić Ukraińców, których wzięli w areszt. Posłaliśmy z tymi łopatami i staliśmy przed schodami urzędu pocztowego.

Na dziedzińcu posterunku policji grała orkiestra. W jej skład wchodził: Franciszek Maziarz, jego syn Gabriel, którego niedawno Żyd Polonecki uczył gry na skrzypcach. Chłopak ten również ładnie śpiewał;

obaj byli z Otfinowa. Byli też: kłarnecista Pęcak i harmonista z Biskupic Radłowskich.

Około godziny 24.00 Guzdek, Stein i Mądry opuścili biesiadników dożynekowych i mijając nas poszli do aresztu, który stał zaraz za urzędem pocztowym. Guzdek sam wszedł do budynku aresztu i wyprowadziwszy trzech Ukraińców każdego bił po twarzy. Stein złapał jednego za ramię, Mądry drugiego a Guzdek trzeciego. Odeszli z 10 metrów w stronę muru kościelnego. Mądry zabił jednego, potem Stein drugiego.

Tymczasem Guzdek polecił swojej ofercie uciekać, taki miał już zwyczaj! Był pewien siebie. Jednak chłopak pognął ku wałom Dunajca, a Guzdek strzelił i zrobiwszy dwa kroki, upadł. Zaraz wstał i zawołał: „Aleście mi dogodzili.”

Charczał, dławił się własną krwią i biegł ku aresztowi. Widząc to Stein zaczął wzywać pomocy. Zbiegli się policjanci. Guzdek wpadł do wnętrza aresztu i wołał: „Wróbel, ratuj!”. Przedtem Guzdek upadł w odległości 8 – 10 metrów od aresztu, ale zaraz potem wstał.

Koledney na rozkaz policjanta włożyli ciała dwu zabitych na wóz i zawieźli na cmentarz. Nie pojechałem z nimi, kazali mi stać na warcie przy kościele.

AK, do której sam spośród wartowników należałem, poleciła mi obserwować co się będzie dziać. Zbudziłem więc kilku mających broń.

Za pół godziny zjechały 2 – 3 wozy osobowe z esesmanami z Tarnowa. Mieli psa tropiącego. Chodzili z tym psem wokół miejsca wypadku. Jeden z nich zapytał, co ja tu robię.

— Wartuję — odrzekłem po niemiecku. Byłem 3 lata w Niemczech, w Austrii i trochę znam ten język.

Wiedziałem, że rano wieś Goruszów miała odwozić zboże konyngentowe do stacji kolejowej w Żabnie. W takich razach Guzdek jadąc przodem na wózku prowadził sznur wozów.

Wartownicy z cmentarza nie wrócili, bali się. W nocy na posterunku było śledztwo. Rano zabrali do Tarnowa Steina i Mądrego. Byli tam jeszcze potem wzywani. Rano, któregoś dnia na rowerach, na koniach przejeżdżali ludzie z Radgoszczy, spod Szczucina, pytali się czy jest to prawda, że Guzdek nie żyje. Zapanowała ogromna radość, padali na kolana.

Po śmierci Guzdkę policjanci chcieli uciekać, byli już na ulicy Cmentarnej, ale powstrzymał ich Stein, przekonując o swojej winie.

I jeszcze parę słów na temat miejsca, w którym kula dosięgła Guzdkę. Przed budynkiem areštu był parkan ze sztachet wysokości poniżej metra. Żadnych krzewów, jakichkolwiek zarośli wokół budynku nie było.

W ciekawych okolicznościach zetknęli się z dramatycznymi wydarzeniami towarzyszącymi śmierci Guzdkę, dwaj mieszkańcy tamtych stron Piotr Piotrowski i Józef Marek.

W przeddzień zastrzelenia żandarma na polecenie sołtysa Wojciecha Grzymka przygotowali oni piłę, aby w poniedziałek pójść na posterunek i porządkować tępki na opał.

Nie wiedząc o śmierci Guzdkę, o godzinie 7 zjawili się na dziedzińcu posterunku. Piotrowski nabrał ze studni wody i ugaśił pragnienie. Wówczas dostrzegł na schodach, z tyłu posterunku znany wszystkim kapelusz z piórkami i pędzelkiem, oraz marynarkę w kratę. Syn policjanta Wacław Lewandowicz wyszedł właśnie z budynku posterunku i rzucił w jego stronę: „Pieter, uciekajcie bo Guzdek zastrzelony i zaraz tu Niemcy zjadą.”

— Poszliśmy — wspomina Piotrowski — polnymi drózkami przez cmentarz, by uniknąć spotkania z Niemcami. Opowiadano później, że Niemcy przyjechali z Tarnowa i taśmą mierzyli odległość od progu areštu do miejsca gdzie upadł Guzdek. Żandarm wtedy zaraz wstał i prosił zamieszkałego w budynku areštu ogrodnika Józefa Wróbla o ratunek.

Nazajutrz rano przyjechali gestapowcy. Dokonali wizji lokalnej w miejscu wypadku, długo mierzyli krokami odległości. Steina i Mądrego rozbrojono i zatrzymano. Przybysze próbowali zastraszać granatowych policjantów z posterunku, ale ci mieli żelazne alibi, ponieważ poprzedniej nocy pełnili służbę z dala od miejsca wypadku, lub w ochronie Guzdkę. Ci ostatni widzieli całe zajście i teraz odtwarzali jego przebieg. Pokazywali doładnie gdzie Guzdek upadł.

Zdarzały się i inne, wiele mówiące relacje. Oto np. rano Jan Rojek przyszedł do domu Józefa Dziadźko i powtarzał to, co mówił policjant Szewczyk, który był u niego po słome, by wyścielić nią samochód. A Szewczyk zapewniał, że Guzdkę zabił Stein i innym nic nie grozi, że teraz nie będą drżeli każdego dnia o życie własne i swoich najbliższych. Nie żatowali tu sobie bimbru, rzetelnie opijając uwolnienie od zbira.

Dookoła mówiono, że Guzdek ścigając Ukraińca, wysunął się do przodu i z tyłu trafił go Stein. Zbyt wiele osób widziało wypadek, by wówczas mogła powstać jeszcze inna wersja.

Stein wrócił z gestapo na posterunek do Otfinowa i zajął się pogrzebem. Napis na jednym z wieńców na trumnie Guzdkę głosił: „Der Held des Oberwachtmajstrowsi Guzdkowi — parafia Otfinów.”

Po pogrzebie oprawy, wielu ukrywających się przed Guzdkiem ludzi wróciło do domów. Żadnych represji w stosunku do Polaków nie było. Trzeba też tu z naciskiem dodać, że nieprawdą jest, jakoby Niemcy trzymali stu zakładników w więzieniu jako rękojmnię za życie Guzdkę, jak to stwierdza Wiesław Sachs, w książce wydanej w roku 1976 pt. „Nie bijcie reportera” na str. 20. Nie cenili widać zbyt wysoko wielkiej gorliwości żandarma.

Na pogrzeb przyjechał między innymi teść Guzdkę z Cieszyzna, podający się za urzędnika magistratu. Opowiadał, że Guzdek pracował kiedyś jako robotnik rolny w posiadłości księcia pszczyńskiego oraz w rzeźni w Cieszyźnie. Wtedy właśnie poznał swą przyszłą żonę Niemkę Hildegardę Perleger, której ojciec sprzeciwił się stanowczo małżeństwu ze znanym w okolicy pijakiem. Hildegarda nie usłuchała jednak ojca, uciekła z domem, wzięła potajemnie ślub. Stary wstydił się swego zięcia. Dał temu wyraz w rozmowie ze zgromadzonymi przed urzędem gminnym chłopami. Mówił o tym między innymi z wójtem Zygmuntom Wrzoskiem.

Wspominał, że Guzdek podczas pijackiej zwady zabił kiedyś człowieka i że tak to wszystko się zaczęło, był zagorzałym hitlerowcem, szczylił się swą niemieckością. W pogrzebie wzięli też udział ojciec i brat zabitego.

Ksiądz Kłoch w prowadzonej przez siebie kronice tak opisał okoliczności śmierci Engelberta Guzdkę:

„W areszcie ofińskim było trzech Rusków. 22 sierpnia 1943 roku Guzdek ich wyprowadził. Jednego z nich zastrzelono, z innym Guzdek będąc pijany szamotał się. Rzeczony Ruski jeden uciekł, za uciekającym strzelił Stein, żandarm niemiecki i Mądry, policjant. Któryś z nich trafił Guzdkę w głowę i na miejscu położył. Pogrzebano go w Tarnowie.”

Steina ukarano degradacją i przeniesiono do Bolestawia. Na temat okoliczności towarzyszących śmierci Guzdkę wypowiadali się działający na tym terenie członkowie podziemia walczącego z okupantem: Władysław Kabat pseudonim „Brzechwa”, były dowódca obwodu AK „Drewniaki” w powiecie Dąbrowa Tarnowska, obecnie pułkownik w stanie spoczynku, Mieczysław Magiera pseudonim „Sęk” z Niecieczy oraz Tadeusz Krasnodębski pseudonim „Kostek”, Jan Kamysz pseudonim „Rejtan” i inni⁽³⁵⁾.

Do 11 lutego 1988 roku nikt nie zasięgał opinii u bezpośrednich świadków — wartowników, z których żyje do dziś Władysław Magiera. Właśnie jego relację zacytowano w niniejszym rozdziale.

Początkowo wypowiedzi ustne i w prasie charakteryzowała zgodność z ustaleniami śledztwa. I nie mogło być inaczej, skoro zaraz po wypadku gestapo (Rommelman i Oppermann) świadkami wagi sprawy, przystąpili do zbadania wszystkich okoliczności wypadku. Gestapo szukało błędów i znalazło go jedynie w odniesieniu do Steina i Mądrego. Taki był werdykt. Materialnym dowodem było aresztowanie obu podejrzanych i podanie ich dalszemu dochodzeniu w Tarnowie. Różni autorzy artykułów bądź relacji, nie wyłączając „Kostka” pisali o tym, że rano gestapo ustawiło w szeregu na dziedzińcu posterunku wszystkich funkcjonariuszy i pytało się każdego z osobna, gdzie był, co robił, co widział. Ośmiu zapewniło, że strzegli bezpieczeństwa Guzdką. Inni pełnili służbę w terenie. Gestapo przesłuchiwało wartowników (dwaj pilnowali aresztu, dwaj posterunku, trzej stali pod pocztą) i nie miało zastrzeżeń.

Niefortunny zwrot w ocenie tego faktu dokonał się za sprawą artykułu Kozaczki w „Wieściach”.

Autor w oparciu wyłącznie o relację „Kostka”, bez dochodzenia prawdy (żyli świadkowie) zastępcę zgładzenia żandarma przypisał bezkrytycznie „Kostkowi”.

Bywają postacie tak odrażające, że autora książki ogarnąć muszą wątpliwości, czy należy im poświęcić miejsce w swoich historycznych relacjach. O Engelbercie Guzdku pisano zazwyczaj, używając należnych mu określeń kata, zbrodniarza, sadysty. Wiadomo, że był on jedną z licznych szumowin, jakie grasowały na ziemiach polskich, okupowanych przez hitlerowskich zbrojnych. Wiadomo też, że w tym szaleństwie zbrodni była metoda. Ścisłej — wypełnianie programu celowej, zakrojonej na szeroką skalę eksterminacji społeczeństwa, przeznaczonego na zagładę w nieco dalszej kolejności — po wymordowaniu takich grup ludnościowych, jak Żydzi i Cyganie.

Wszystko co robił gorliwy żandarm, zwany katem Powiśla, było morderstwem na co dzień i starannie przygotowywaną perspektywą dalszej serii zbrodni — na bliższą i dalszą przyszłość.

Okruciństwo towarzyszyło panowaniu hitlerowców na każdym kroku. Przybierało jednak wyjątkowo jaskrawy i zbrodniczy charakter, gdy sprężynkami i kółkami w monstrualnej maszynie wyniszczania byli ludzie o przeszłości i psychice reneatów. Nikt nie traktuje Engelberta

Guzdka jako przypadkowego odstępę od polskości. Jako dziecko chodził do niemieckiej szkoły, a przez całe swoje dorosłe życie podkreślał, że jest Niemcem.

Nie wystarczała jednak sama deklaracyjność. Trzeba ją było poprzeć czynami — im bardziej bestialskimi, w tym większym stopniu przekonywującymi. Wertując relacje o zbrodniach żandarma Guzdką, mimo woli dochodzi się do wniosku, że tkwił w tym gorliwym służbiście kompleks janczara. Musiał na każdym kroku przekonywać zwierzętników, a może i siebie samego o pełnym oddaniu Rzeszy i jej planom zawiadnięcia światem.

„Heute gehört uns Deutschland, und morgen die ganze Welt!” — śpiewali hitlerowcy od początku swojego marszu po trupach, rozzuwchaleniu pierwszymi sukcesami. Kto wie, czy żandarm Guzdek nie był na tyle tępy, że szczerze wierzył w spełnienie obłądnych planów opanowania świata, do czego wiodła droga przez zmasakrowanie Polaków, których język i obyczaje znał bardzo dobrze, jako urodzony na Zaolziu i wychowany w otoczeniu społeczeństwa, stanowiącego większość ludności swoich stron rodzinnych.

To jednak nie wystarczyło. Nie przeszły bez echa obrazy najwzrętszego dzieciństwa. Nie każdy syn rzeźnika traktuje rzemiosło swojego ojca ze szczerym upodobaniem. Ale o małym Engelbercie mowiono w jego rodzinnych stronach, że z satysfakcją towarzyszył zabijaniu zwierząt, a widok krwi sprawiał mu nawet osobistą radość. Cóż zaś warte było zabijanie zwierząt domowych, uzasadnione koniecznością żyć, w porównaniu z możliwością uśmiercania ludzi i to z pełnym błogosławieństwem służby oraz perspektywą nagród za dobrze wykonaną katowską robotę?

Można więc zaryzykować opinię, że gorliwa służba Engelberta Guzdką była wyrazem wyboru życiowego i znalezienia pełnego ujęcia dla osobistych skłonności charakteru. Nie był to przy tym żołnierz, który walczył dzielnie i zadaje śmierć w zapale walki, ale widoku męki nie lubił. Nie miał żandarm Guzdek mentalności żołnierza, gotowego do walki z ubrojonym przeciwnikiem i pełnego uznania dla jego męstwa. Zchędza mu była nawet jego okazała postawa i chyba znaczna siła fizyczna, skoro miał do czynienia z reguły z przeciwnikiem bezbronnym i psychicznie przygotowanym do poniesienia męczeńskiej śmierci.

Spotykamy Guzdką na kartkach książki z reguły jako bardziej lub mniej przebiegłego tropiciela i kata swoich ofiar. Bodaj w jednym wy-

padku wystąpi on z dłuższym przemówieniem, jeśli tak można nazwać słowa, skierowane do nieszczęśliwych szamoczących się i próbujących ująć okrutnej śmierci Cyganów. Zaskoczony ich oporem, Guzdek zabiera głos i tłumaczy skazanym na rzeź, że muszą umrzeć, bo nie pracują należycie dla zwycięstwa Wielkiej Rzeszy, bo są plemieniem koczowniczym w czym zresztą nie ma ani słowa prawdy, bo zwraca się do ludzi od dawna osiadłych i w pełni żytych z miejscową ludnością.

Obłądana teoria podziału na podludzi i „übermenschów” łączyła w szeregi morderców licznych Niemców i ich sojuszników. Rzadko jednak znajdowała tak znakomicie dopasowanych do swego rzemiosła ludzi, jak Engelbert Guzdek. I dlatego, wracając do punktu wyjścia, wypada stwierdzić, że mimo wewnętrznej oporu nie można się wyrzec odmalowania, choćby najciemniejszymi barwami, prawdziwego życiorysu człowieka z dobrowolnie wybranego marginesu, a w pewnym sensie i epoki pogardy. Epoki, w której tacy właśnie ludzie mieli przed sobą perspektywę awansu i życiowego powodzenia, kosztem też i krwi niewinnych ludzi.

RODOWÓD MORDERCY

Engelbert Guzdek stał się na długie lata dla regionu Dąbrowy Tarnowskiej uosobieniem i symbolem zbrodnicego hitleryzmu. Pamiętano, że właśnie ten żandarm wybudował w Radgoszy pod Dąbrową wielką szubienicę z sześcioma powroźami, wiszącymi na hakach. Przypominano, że to on sprowadził sobie do pomocy kata Pubrata, odzianego w czerwone szaty. Powtarzano — zgodnie z prawdą — że w ciągu jednego dnia zdołał być — jak to miało miejsce w Szczurowej wymordować około stu osób. Powoływano się na złowrogą zapowiedź, że za głowę tego zbraja miało dać życie stu polskich zakładników.

Wszystko to w połączeniu z własną tendencją Guzdeka do efekciarskich, a nieraz błazeńskich, ale zawsze złowrogich występów — stwarzało wokół niego jakąś atmosferę tajemniczości, może właśnie upragnioną przez sadystę i okrutnika.

Na temat tego żandarma niemieckiego, starszego wachmistrza, w różnych czasopiśmiech po wojnie ukazało się wiele wstrząsających artykułów, w tym i autora niniejszej książki. Nikt z nas jednak wtedy nie wiedział, skąd wziął się ten hitlerowiec, zwany przez miejscowych ludzi — krwawym upiorem. Ktoś zapytywał w piśmie „Za Wolność i Lud”: „Kim jest to złowieszcze widmo?” Przez 32 lata nie było odpowiedzi. Tymczasem Engelbert Guzdek stał się źródłem inspiracji dla ludzi pióra, trafił nawet na karty prac naukowych.

I trzeba było przy tym rzetelnych starań, o których piszę we wstępie do tej pracy, by ustalić, że miejscowością rodzinną zbrodnicego żandarma była Stonawa, po czeskiej stronie Śląska Cieszyńskiego³⁶. Parę zdań należy się opisać tej miejscowości.

Stonawa zajmuje rozległą przestrzeń, a jej wygląd odbiega od stereotypowego obrazu polskiej wsi. Przybysza uderza widok szybu kopalni, schłodzone mury zabudowania wzdłuż asfaltowych jezdni, krzyżujących się w centrum wsi. Brak tu tradycyjnych studni, wodociągi doprowadzają wodę do mieszkań. Od dziesięciu lat dopiero należy Stonawa do powiatu Karwina, przedtem znajdowała się w granicach powiatu Cieszyn (chodzi o czeską część Cieszyna).

Stonawa była największą i najludniejszą gminą w części Śląska Cieszyńskiego, należącej do Czechosłowacji. Przed rokiem 1939 liczyła około 3 tys. mieszkańców, a przed pięciu laty było ich 5490, ale na skutek rozwoju kopalni węgla i związanych z tym szkód górniczych, wielu powędrowało do sąsiednich miasteczek i miejscowości, takich jak Frysztat, Karwina, Cieszyn, Cierlicko, Olbrachcice. Przed wojną istniało tu dziesięć gospód, do dziś przetrwało tylko cztery.

Dawniej w Stonawie było pięć dworów, stanowiących własność grafa von Larisch-Mönnich (żona Mönnich była Angielką), którego ród od pokoleń władał okolicznymi dobrami ziemskimi i dworami. Były to dwory: Owczarnia, Drzewiennik. Zamek, gdzie mieszkał rządcą, dalej Nowy Dwór, Smolkowice, Duński Dwór. Sam graf mieszkał w zamku w Karwinie Solcy. Za rządów monarchii austriackiej stary graf, marszałek Śląska mniej interesował się dworami, kopalnią węgla kamiennego, octownią, gorzelnią, rafinerią spirytusu, niż liczną sforą psów.

W październiku 1938 roku wojska polskie zajęły Zaolzie, posuwając się w kierunku Ostrawy. W Stonawie mieszkano wówczas mało Czechów, ci napylneli później.

Po roku 1900 do tejże Stonawy przywędrował czeladnik masarski, Jan Guzdek, bardzo wysokiego wzrostu. Był synem Józefa i Marianny z domu Nowak, urodzony w Andrychowcie 9 kwietnia 1880 roku. Pracował w okolicznych dworach i wsiach. Z czasem nabył uprawnień mistrza masarskiego i osiadł w Stonawie, wstępując w związek małżeński 26 stycznia 1909 roku z urodziwą, byłą kucharką plebani w Skoczowie, Anną Ciemałą. Anna urodziła się w Harbutowicach, wsi koło Skoczowa, 29 września 1882 roku. Była córką Jerzego Ciemały i Marianny z domu Gawlas.

Guzkowie zamieszkali w domu nr 258, którego właścicielem był niejaki Alois Feber. Duży, murowany dom, stojący w centrum wsi przy skrzyżowaniu asfaltowych dróg, stał się ich przystanią i gniazdem na okres osiemnastu lat. Wynajęli kilka pomieszczeń od ulicy. Pokój z prawej strony od wejścia, o dość niskim pułapie i małej powierzchni, służył jako sypialnia, pokój po lewej od wejścia jako kuchnia, w trzecim pomieszczeniu stały urządzenia i maszyny do produkcji wyrobów mięsnych, a w dalszej części tego pomieszczenia znajdowała się tzw. szlachta, czyli miejsce uboju zwierząt rzeźnych, które skupowali aż nawet w Słowacji.

W ogrodzie była wielka piwnica, umieszczona na znacznej głębokości, do której schodziło się po licznych schodach. Tu pośród wielkich brył łodu przechowywali wyroby mięsne. Sztyd z krowim porożem i na zwiskiem Jan Guzdek widniał na ścianie domu. Obok domu stała budka, gdzie sprzedawano wyroby.

W tym domu przyszło na świat trzech synów: Engelbert Karol 29 października 1909 roku, Rudolf w 1912 roku, Józef w 1913 roku (Metr. tom IV, Fol. 28)³⁷. W metryce brak wzmianki o tym, że Anna Guzdek miała syna Franciszka Jana Guzdkę urodzonego 6 stycznia 1911 roku. Jan Guzdek wydał to dziecko ze Stonawy i oświadczył, że jego ojcem jest Jan Mocko — proboszcz i zarazem burmistrz w Skoczowie. Chłopiec wychowywał się u krewniej Anny Guzdek, o nazwisku Górniak w Harbutowicach. Jako obywatela Czechosłowacji i katolicy, Guzdkowie posyłał synów do polskiej szkoły w Stonawie, gdzie nauka trwała pięć lat. Do dziś istnieje ten okazały budynek pośród dostojnych, sędziwych drzew. Przybysze wrastali w krajobraz Stonawy, wtopili się w jej obyczajowość, a lepszy od przeciętnego standard życia zapewniał im pozycję i prestiż.

Rówieśnicy Engelberta, zwanego zdrobniale Enga lub Enguś, nie widzieli w nim nic szczególnego. Z czasem, jak to bywa, chłopiec odkrył w sobie pasję sportowca i grał w futbol na niejscowym boisku sportowym jako bramkarz i członek Klubu Stonawa. Według jednego z sławo, według innych nieźle i ambitnie, z zaangażowaniem emocjonalnym. Na zachowanej fotografii Enga jest najwyższy pośród kilkunastu członków Klubu Stonawa i trzyma piłkę pod prawą stopą.

Później posłali go rodzice do niemieckiej szkoły wydziałowej (Bürger Schule) we Frysztacie (obecnie po scaleniu Karwina I). Tu nauka trwała trzy lata. W jednym budynku mieściła się szkoła polska i niemiecka. Enga chodził pięć kilometrów ze Stonawy. Z nim uczęszczał do jednej klasy Józef Burek, dziś nauczyciel i działacz Związku Antyfaszystowskich Bojowników w Karwinie (odpowiednik ZBoWiD). Burek dochodził z Dąrkowa odległego o dwa i pół kilometra. Rówieśnicy dziś żyjący mówią, że Enga był tępy, uczył się źle. Nie dbał o wygląd, zawsze usmarowany, o krzywym nosie. Później okazało się, że w parze z poziomem intelektualnym szedł poziom moralny.

Józef ukończył polską szkołę i polskie gimnazjum w Orlowej oraz zaliczył rok studiów rolnych w Brnie na Morawach. Najmłodszy z braci był

uzdolniony i zupełnie inny pod względem charakterologicznym. Nato-
miast Rudolf przysposabiał się do zawodu fryzjera.

Wybór szkoły był nie lada problemem. Funkcjonowały tu szkoły pol-
skie, czeskie i niemieckie. Pojęcie narodowości tu i ówdzie było dość
płynne i nie skrytalizowane, czasem uwarunkowane koniunkturalnie.
Bywało, że ktoś nie wiedział jakiej jest nacji lub starał się zrobić tak nie-
zdecydowane wrażenie. Jak zwykle, na styku dwóch granic państwowych,
ludność mieszała się.

Wszyscy wiedzieli jednak, że jeśli dziecko ukończy szkołę niemiecką,
to będzie mieć większe szanse w życiu. Panie z zamożnych domów nie-
mieckich nie zatrudniały, w charakterze piastunek lub kucharek kandy-
datek nie znających języka niemieckiego. W kopalni, dyrektor czy
urzędnik, przyjmował mówiących po niemiecku. Skoro sam burmistrz
Stonawy, Karol Cyganek, posyłał swoje dzieci do szkoły niemieckiej, to
inni z czasem brali z niego przykład. O pracę było trudno i to nie tylko
w okresie rządów Austrii. Jednak zmieniających narodowość pobratym-
cy polscy traktowali z pogardą, zwąc ich „przeskoczkaami”. Rozróżniano
też Ślązaków, tj. mieszkańców Śląska o proniemieckim nastawieniu.

Enga już w szkole dał się poznać ze złej strony. I tak np. wracając kie-
dyś ze szkoły z Frysztatu, podpałił siano, które niosta jakaś kobieta na
plecach w tzw. dzichcie, tj. płachcie trzymanej za cztery rogi. Nie wia-
dmo tylko, co bardziej radowało Engę, czy walory widowiskowe płonące-
go siana, czy cierpienie zadane starej i biednej kobiecie.

Miedzy innymi organizował też rówieśników do wybijania szymb w sa-
mochodach zaparkowanych przed restauracją Febera. Stawał się coraz
brutalniejszy i bardziej bezwzględny, pozycje najsilniejszego w całej
większej społeczności zdobywał przez bójki, zwady.

Do dziś ludzie pamiętają jak doszło do poważniejszej bójki z rówieś-
nikiem Antonim Dudą, na boisku sportowym. Rówieśniczy Enga pró-
bował wcisnąć przeciwnika do dziury w parkanie, lecz bez powodzenia.
Brat Rudolf dopadł z młotkiem do Dudy, mierząc w jego plecy, a Enga
pobiegł do tzw. szlachty po nóż, którym zarzynał cielęta. Podobne wy-
padki nie były odosobnione i nadawały niepokojący rys obyczajowości
Stonawy.

Gdy synowie Jana Guzka uczyli się, ojciec jeździł po okolicy i kupo-
wał zwierzęta na rzeź. Otworzył też drugi sklep na skraju Stonawy, od
strony Darkowa, gdzie wyroby sprzedawał Engelbert. Mięso rozwoził na
małym wózku, do którego zaprzężone były dwa czarne psy wielkości ber-

nardynów. Mieszkańcy okolicy podziwiali je, mówiąc, że są wielkie jak
cielęta. Engelbert pomagał ojcu w uboju. Dziś najstarsi ludzie wspomi-
niają, że wieszał cielęta za tylne kończyny podrzynał gardziele i pił świeżą
krew.

Enga dał się również poznać jako pijak, odwiedzający liczne w pobli-
żu gospody. Lubił zakładać się o to, kto jest wytrzymalszy na ból. Stawką
była beczka piwa. I tak — opowiadają — Feber uderzył raz „złą” z byłą
zgiętego Engę, ubranego w skórzaną kurtkę. Enga tylko sięgnął, ale gdy
z kolei on uderzył Febera, ten wpadł pod synkwas. Oznaczało to, że Fe-
ber przegrał zakład i stawiał beczkę piwa. Wtedy Guzdek czuł się bolą-
terem.

Ludzie w Stonawie pamiętają, że w maju 1929 roku Faustyn Głabek
— 33-letni kawaler szedł ze Stonawy polną drogą do Łęk. Przy tej dro-
dze, w zaciszu leśnym, prowadziła knajpę wdowa Lemanowa. Usiadł przy
kuflu piwa. Wtedy wtargnęło trzech zamaskowanych osobników i jeden
z nich zaatakował odpoczywającego. Ten, zerwawszy maskę z jego twa-
rzy zawołał: „Toś ty, chacharze! Toś ty, Enga?!” Wówczas bandyta strze-
lił prosto w pierś Głabka, zabijając go na miejscu. Bandyci zbiegli.

Na temat tego zabójstwa krąży wieść, że Lemanowa wezwała oprysz-
ków, zresztą częstych bywalców jej lokalu, aby nastraszyli kawalera, któ-
ry zbyt natarczywie zalecał się do niej. Nie przypuszczała, że skończy się
to tak tragicznie. Twierdzi też niektórzy mieszkańcy, że Enga i kilku po-
dobni strzegli Lemanowej, usiłując ograniczyć krąg adoratorów. Przeciwi-
Endze przemawia jeszcze inna okoliczność. Tuż przed tym wypadkiem
otrzymał od ojca pieniądze i udał się do Słowacji, celem zakupienia byd-
ła rzeźnego. Przepił je w Łękach i nie wrócił do domu. Wtedy to zginął
Głabek. Mówiono, iż nie wraca do domu, że boi się nie tylko ojca, które-
go oszukał, ale i żandarmerii szukającej sprawców napadu i mordu.
Zbrodni mu nie udowodniono, ale chodził w „glorii” oprycha.

Tak kształtował się charakter psychopaty o wyraźnie zarysowanych
cechach sadystycznych. Leszka („Pchła”) bo i taki przydomek nadano
Endze, był już na etapie psychodegradacji alkoholowej.

Enga pił coraz więcej i razem z matką okradali ojca. Ale i senior ro-
du lubił odwiedzać gospody. W domu dochodziło do kłótni i awantur,
podczas których Jan wypominał żonie dawny romans z fardożem. Coraz
częściej też bywało, że chodził do gospody, aby zjeść gorący posilek, gdyż
w domu nie było obiadu.

Tymczasem Jan Guzdek starzał się, tracił dawną siłę. Jatkę prowadziła teraz żona, kobieta energiczna i obrotna, do kasy go nie dopuszczała. Już coraz rzadziej dokonywał uboju, chyba że w domach i dworach, dokąd go proszono.

Anna już wcześniej nawiązała romans z robotnikiem z pobliskiej kopalni, Rybą i z nim oraz z synami odeszła w latach trzydziestych do Trzyńca, osady rozrastającej się wokół huty żelaza. Później mieszkała w małej izdebce w Cieszynie, chciała wrócić do Stonawy, ale Wilma Haddartowa, córka Febera, jako sukcesorka dzierżąca schedę po ojcu nie zgodziła się na to. Dziś twierdzi, że Anna Guzdek była złośliwa, swego czasu otrulią jej siedem kocurów i psa.

Enga ożenił się w Cieszynie Czeskim (21 października 1934 roku) z córką niemieckiego kolejarza, Hildegardą Perleger, zresztą wbrew woli ojca.

Gdy w 1938 roku nastąpiło zajęcie Zaolzia przez Polskę, Engelbert Guzdek pracował jako brygadzysta w firmie Brenner – Kopecki, która zajmowała się produkcją materiałów do budowy dróg. Surowiec, w tym między innymi szlakę otrzymywano z huty. Później zatrudniony był w rzeźni w Cieszynie. Jego brat Józef pracował natomiast krótko w polskiej szkole w Porębie, gdyż dawał się mocno odczuć brak pedagogów — Polaków. Przedtem służył w czeskim wojsku.

Po hitlerowskiej agresji na Czechosłowację, a następnie Polskę, nastąpił okres obfitujący w dramaty, szczególnie wśród działaczy i inteligencji. Niektórzy Polacy podpisali volkslistę dla ratowania życia i mienia, co zresztą aprobował rząd polski w Londynie, w odniesieniu do ziem włączonych do Rzeszy. Twardzi przycupnęli lub rozproszyli się i wegetowali jako tania siła robocza, gardzili perspektywą lepszej pracy, awansu i wyższego uposażenia, czyli tym, co umożliwiałoby przyjęcie volkslisty.

Byli pilnie śledzeni, wciąż podejrzani, srodze prześladowani, ale trwali w oporze, stanowiąc na swym terenie ostoję polskości.

Losy Guzdków splethły się z burzliwymi wydarzeniami tych czasów. Jedyną dziś żyjącą brat Engelberta, Józef usiłował mi tłumaczyć, że Enga jako brygadzysta był wymagający i naraził się Czechom, którzy podkopali jego pozycję w oczach Niemców. Było pewnie inaczej, a przynajmniej nie ten motyw decydował.

Enga dostrzegł możliwość lekkiego życia, urzekła go „tysiącletnia Rzesza”. Zafascynowała go wizja osobistej przyszłości, jako członka Herrenvolku. Leszka był „filozofem” i teraz zrozumiał, że zajmował się

zbyt prymitywną robotą: budową dróg. Ziclony mundur otwierał przed rycerzem Hitlera drogę w świat. Posiadał niezbędne predyspozycje psychiczne: brak skrupułów, swoistą tępotę i cynizm.

Wszystko to ułatwiło start. Engelbert Guzdek wstąpił do żandarmerii niemieckiej, odbył miesięczny kurs w Krakowie, a później, jak pisała matka do Józefa, został kolejno skierowany na placówkę w Gorlicach, Jasle, Tarnowie, Radgoszy, Mędrzechowie i Otfinowie. Był więc Niemcem z wyboru.

Inaczej zgola potoczyły się losy Józefa. W 1939 roku nie zdążono go nawet umundurować, bo wraz z wojskiem polskim podążał aż do Tarnopola. Po klęsce, czasowo miał ukrywać się w okolicy Tarnowa, później pracował — jak mówił — w majątku na terenie powiatu Biała Podlaska, to znów jak później prostuje, w powiecie Sokół nad Bugiem, w Kofczewie, majątku hrabiego Ostrońskiego. W Krakowie proponowali mu Niemcy przyjęcie volkslisty, lepszą pracę i placę. Odmówił. Po roku 1945 pracował w „Polwidzie”, jako główny księgowy, obecnie przebywa na rencie w Cieszynie Polskim.

Rudolf, powołany na front wschodni jako żołnierz niemiecki, nie powrócił — pozostawiając dwóch synów żyjących obecnie w Czechosłowacji. Franciszek Jan Guzdek rozbił małżeństwo Husarów w Harbutowicach. Husarzowa zostawiła dwie córki, męża i odeszła do Cieszyna.

Franciszek Jan (Żanek) z powodu płaskostopia zwolniony przez Niemców od służby wojskowej, ale później wezwany, wrócił z powodu opuchlizny nóg. Zmarł w Czeskim Cieszynie 15 lipca 1967 roku.

Podczas okupacji Enga pojawił się w Stonawie w zielonym mundurze i wysokiej czapce. Z nastaniem okupacji Stonawa krwawiła. Wciąż ktoś aresztowano, zabijano lub zsyłano do obozu. Przed wojną powstał tu Związek Powstańców Polskich. Przystąpili doń między innymi: Feber, starszy gospodarz i górnik Mrajca. Otrzymali mundury i podobno karabiny. Po napaści Niemiec SS-mani aresztowali ich, jak również naczelnika straży pożarnej Bilkę. Powstańcom kazano ubrać się w mundury. SS-mani masakrowali ich przez kilka dni i tych pierwszych dwóch zastrzelili w lesie, w pobliskiej Suchej. Po wojnie ich ciała Polacy przenieśli na cmentarz.

Mimo terroru Polacy opiekowali się grobami 24 żołnierzy polskich, którzy polegali w Stonawie. Gdy w pobliskim Cierlicku Niemcy przystąpili do niszczenia pomnika lotników polskich Żwirki i Wigury, na drugi dzień już nie zastali go na postumencie. Został przewieziony i ukryty

przez Polaków. Niemcy weszli bezskutecznie. Policja niemiecka w odwet aresztowała 14 mężczyzn, których rozstrzelano w Łekach.

Czy i tu był Enga? Guzdek, który dość często odwiedzał Stonawę i manifestował swą niemieckość, interesował się rasami — ulubionym tematem pijackich rozhoworów.

Niemcy grozili, że za zamach na jednego Niemca zabiją dziesięciu Polaków. Wkrótce przekonano się, że nie były to czcze pogrozki. Oto do Cieszyńska spędzono Polaków, aby oglądali wieszanych dwudziestu czterech polskich skazańców. Obecny przy kaźni był Jan Guzdek, opowiadał o tym później w Stonawie. W roku 1940 przeprowadzono akcję wysiedlania Polaków z tej wioski. Tylko niektórzy, jak np. Adam Hebda uratowali się pracując w kopalni.

Ojciec Engelberta Jan Guzdek pił coraz więcej, stawał się niesympatyczny, ale nikomu nie szkodził. Po śmierci Engelberta w Otfinowie 22 sierpnia 1943 roku matka chodziła do wróżbitów i sama wróżyła; mówiła, że Enga został postrzelony przez ... brata Józefa, który jest polskim partyzantem. Ojciec zaś twierdził, że Engę zabili polscy partyzanci na Rusi Podkarpackiej. Znamienne to wypowiedzi, choć mijają się z prawdą.

Mieszkańcy Stonawy aż do mojej tam bytności w roku 1975, nie znali okupacyjnej przeszłości swego współziomka, Engelberta Guzdeka. Nie wiedzieli, że był hitlerowskim zbirzem, oprawcą i mordercą ponad tysiąca Polaków. Rozmawiałem w Stonawie z emerytowaną nauczycielką Julią Jeżowiczową, mgr Karolem Klużą, Julią Sikorową, lekarzem ppłk Ziełinką, inż. Włodzimierzem Hebda, Adamem Hebda oraz innymi, ale wszyscy oni usłyszeli prawdę o Guzdku dopiero z moich ust.

Moi informatorzy w Stonawie i Czeskim Cieszynie pomogli mi jednak wyjaśnić i ustalić wiele faktów, wiążących się z losami najbliższej rodziny Engelberta Guzdeka. Ojciec niemieckiego żandarma, Jan Guzdek, zmarł w Cieszynie Czeskim 5 stycznia 1956 roku. Anna Guzdek, z domu Ciemała, u schyłku życia zamieszkała wraz z mężem w Czeskim Cieszynie, zmarła 5 lutego 1968 roku, natomiast jej nieślubny syn Jan (Zanek) o rok wcześniej. Wszyscy są pogrzebani na cmentarzu w tym mieście.

Natomiast wdowa po Endze, Hildegarda Guzdek, zamieszkała w swym domu rodzinnym w dzielnicy Cieszyńska Siwibiec (przed wojną Siwice) i podjęła pracę w pralni. Wyszła ponownie za mąż, urodziła kolejną córkę. Wkrótce jednak owdowiała.

Syn Engi, Eryk mieszka w założonym przez Czechów miasteczku Havirowie i pracuje jako górnik w kopalni węgla w Ortowej, córki wyszły za mąż.

W kręgu rodziny krążyła między innymi pogłoska, że Engelbert zgrabił sporo pożytkowskiego złota, ale nikt spośród krewnych upióra nie potrafił nic dokładniejszego o tym powiedzieć. Zresztą hitlerowski żandarm zginął niespodziewanie.

Oczywiście rodzina nie może odpowiadać za czyny Engelberta, której nie obarczają. Niemniej nie można ukrywać prawdy o Guzdku, który całym swoim życiem zasłużył sobie na miano mordercy, krwawego kata. Ponieważ człowiek ten pozbawiony był wszelkiej moralności i sumienia, spróbujmy — a w moim przekonaniu należy się to Czytelnikom — odpowiedzieć, podobnie jak w wypadku Kosieniaka, na pytanie: jak to się dzieje, że człowiek zmienia się w bestię?

Engelbert Guzdek pochodził z rodziny zamożnej, jak na ówczesne wiejskie warunki. Jego ojciec, właściciel masarni, prowadził na dużą skalę skup zwierząt z odległych nawet okolic. Rodzice nie byli zgodnym małżeństwem — ojciec często pił i wypowiadał matce nieślubne dziecko, matka była kłótniwa i złośliwa. Z biegiem czasu ojciec tak często upijał się, że praktycznie masarnię prowadziła matka, która w końcu nawiązała romans z innym mężczyzną i opuściła męża wraz z dorosłymi już synami.

Engelbert był ich najstarszym synem, obok Rudolfa i Józefa. Nauka szkolna przychodziła mu z trudnością. Dał się poznać społeczności wiejskiej jako chuligan wyróżniający się brutalnością i okrucieństwem. Nad rówieśnikami górował wzrostem i siłą, dlatego odnosił częste i łatwe zwycięstwa, co powodowało narastanie agresji, jako dającej zawsze sukces, a także umacniało mniemanie o własnej nieetykalności i możliwościach. Z tym także wiąże się nieumiejętność przegrywania.

Nie bez znaczenia był fakt, że jako najstarszy syn, pomagając ojcu w pracy w warsztacie masarskim, przy uboju zwierząt rzeczywiście, od najmłodszych lat oswajał się z widokiem krwi, bólu i śmierci. Już wtedy wiczał żywe cielecia w rzeźni, następnie je podrywał i pił świeżą krew. Wzorem ojca zaglądał również do kieliszka.

Pozycja i pieniądze ojca zapewniały im prestiż, lecz nie tak duży, by nie musiał się liczyć z panującym porządkiem prawnym. W gruncie rzeczy, jak to wynika z późniejszych poczyną, był tchórzem i silny czuł się tylko uzbrojony wobec słabszych od siebie.

Jako volksdeutsch, „nający rysy wybitnie aryjskie, bez przeszkód został przyjęty do niemieckiej żandarmerii. Już nie musiał swej wyższości podpieierać pozycją ojca, nie musiał udowadniać swej siły w bójkach i możliwości w knajpach, co groziło zawsze sankcjami porządkowymi. Niejako z urzędu należał teraz do rasy „wyższej”, „rasy panów”, a wszystkie ich pocznania i przekonania przyjął jako swoje i wcielał w życie.

W osobowości tej, obok cech psychopatycznych, dominuje sadizm — dreczenie i zabijanie z upodobania.

„Śmierć była rzemiosłem”, jak wielu innych zbrodniarzy, których wydał hitleryzm i faszyzm. Już w młodości zetknął się zresztą z fachem rzeźnika i potem wykonywał to rzemiosło tak samo metodycznie i beznamietnie, bez żadnego zabarwienia emocjonalnego, tyle, że na ludziach.

Na takie poczynanie obok niskiego poziomu intelektualnego niewątpliwie wpływ miała degradacja alkoholowa.

Być może, gdyby nie sprzyjające warunki, sadyzm nigdy by nie ujawnił się w tak jaskrawy sposób, gdyż niedostatki intelektu nie pozwoliłyby Guzdowski na zostanie prowodyrem. Samą agresywnością mógł bowiem imponować tylko w grupie słabszych. Dopiero wykorzystany jako narzędzie mordu, mógł ujawnić w pełni swe cechy. W niesprzyjających mu warunkach prawdopodobnie podporządkowałby się społecznym regułom współżycia, jak to miało miejsce na przykład w Cieszynie i ograniczyłby się do pijania świeżej krwi przy świnioobiciu, w czym lubują się podobno niektórzy, na szczęście nieliczni ludzie.

ZANIM PRZYSZŁA WOLNOŚĆ

Uzupełnienia wymaga garść informacji o ruchu partyzanckim w ostatnim okresie przed nadejściem wolności, jeśli tak umownie można rzec.

Ruch oporu wobec okupanta zaczął się szczególnie intensywnie rozwijać dopiero z początkiem 1944 roku, a więc już po śmierci „Krwawego upióra”. Fronti bowiem od wschodu zbliżał się coraz bardziej. Na ten okres przypada wiele poważniejszych akcji, a także związane z nimi pa-
cyfikacje.

Zbliżanie się frontu ożywiło ruch oporu. 4 maja 1944 roku, jak wspominali mieszkańcy tamtych stron, Niemcy otoczyli leżące w widłach Dunajca i Wisły wsie Jadowniki Mokre i Wietrzychowice.

Na skrzyżowaniu dróg tkwiły cekaemy. Niemcy z psami chodzili po domach i wywekali mieszkańców, których nazwiska figurowały na sporządzonej przez konfidentów liście. Było to uderzenie w AK i BCCh. Hitlerowcy zamordowali wtedy 8, a aresztowali 18 osób. Miał to być odwet za rozbiście 12 marca 1944 roku więzienia w niedalekiej Dąbrowie Tarnowskiej.

Wówczas to akowcy wdarszy się do więzienia, rozpytywali w celach o Buchańca, nie wiedząc, że na skutek starań inż. Władysława Buchanica był już zwolniony. To niestrożne wymiennienie nazwiska dotarło do Niemców, którzy znów przyjechali i uwięzili go. Po tym drugim aresztowaniu podział sobie żyły, ale strażnik to zauważył i odratowano niedoszłego samobójcę.

Został jednak rozstrzelany. Jego nazwisko figurowało na jednym z afiszów. Dlatego wymienił je Stanisław Dąbrowa-Kostka w książce „Hilberowskie afisze śmierci”³⁸). Akcja na wzięcie była dziełem miewscowych konspiratorów i Niemcy po omacku szukali sprawców. Brak latwosów i bliskość Tarnowa ułatwiały pacyfikację. Jan Kamysz dziś twierdzi, że o akcji pacyfikacyjnej miał uprzedzić „Kostek” — Krasnodębski. Jednak nie zdołał tego w porę uczynić.

Niektóre akcje skłonni byli ludzie przypisać „Jędrusiom” o których mówiono dużo i głośno. Zasadniczo działali oni poza powiatem dąbro-

wskim. Faktem jest, że drugiej głośniejszej akcji dokonali „Jędrusie” 8 czerwca 1944 roku w Szczucinie.

Po pozbawieniu Niemców łączności i sterroryzowaniu ich, dokonali aktu sabotażu, wymierzili kary chłosty, zarekwirowali pieniądze i ładując różny sprzęt na Wiśle mos'u na próżno wystrzelili rakietę, odeszcz nie nadeszła. Przy użyciu galaru przeprowadzili się partyzanci na lewy brzeg rzeki. Udali się drogą na Połaniec, do leśnych kwater.

Wzmogły się też różne inne akcje przeciw Niemcom. Partyzanci stoczyli walkę z siłami wroga w Odporyszowie; zaatakowali batalion nacjonalistów ukraińskich w czasie przeprawy promem przez Dunajec w Ujściu Dunajec (Jezuickim). Rozbroili też posterunki żandarmerii i policji w Żabnie, Demblinie, Radgoszczy i Orfinowie. Razem, sobiając się do realizacji planu „Burza”, przenieśli się do lasu w rejonie Radłowa.

Potęczka w Żabnie była jednym z najważniejszych starć z siłami wroga na tym terenie, tak ze względu na jej gwałtowność, jak i na kluczowe położenie miejscowości na skrzyżowaniu szlaków komunikacyjnych, bliskość Tarnowa, brak lasu³⁹. Uczestnik akcji Kazimierz Witkowski, pseudonim „Orzeł” wspomina o rozkazie, jaki otrzymał wraz z bratem rankiem 28 lipca 1944 roku: Mieli się stawić z bronią w zagrodzie Marii Lechowicz, położonej w przysiółku wsi od strony Żabna; przysiółek ten zwano Podkarcem.

Po raz pierwszy w rozkazie nie wspomniano o kryciu się z bronią. Żołnierze podziemia grupowali się jawnie. Czyżby to oznaczało początek ogólnego powstania?

Kazimierz Witkowski wraz z bratem wydobyli dwa ukryte karabiny, zabrali naboje i przybyli na miejsce zbiórki. Zastali tu kilku kolegów z konspiracji; dalsi zgłaszali się nieustannie. Wkrótce był na miejscu cały pluton placówki „Zofia” pod dowództwem sierżanta Macieja Prażucha ps. „Zawor”. Żołnierze AK przeczyścili broń, założyli na ramię przygotowane białe-czerwone opaski, posilili się i gawędzili w oczekiwaniu na rozkaz wymarszu.

Rozkaz ten pochodził od d-cy obwodu „Drewniak” kpt. Zbigniewa Rogawskiego ps. „Baca” przywiózł gońiec na rowerze, rozmawiał krótko z dowódcą i razem potem całe zgrupowanie w liczbie około 12 ruszyło gęsiego w stronę Żabna. Droga przemarszu wiodła koło wału od strony Dunajca.

Dotarli pod Żabno, do znajdującej się tam cegielni. Czekano tu już kilku innych partyzantów, wśród których Witkowski rozpoznał Eugeniusza Kozaka ps. „Zor” z Żabna i Eugeniusza Kotrę ps. „Leszek”, a także zastępcę dowódcy placówki „Zofia” st. sierżanta Józefa Luszowskiego z Niecieczy oraz Eugeniusza Łosia z Żabna.

Krótko wyjaśniono żołnierzom AK ich zadanie bojowe. Mieli zaatakować opuszczającą placówkę posterunek żandarmerii niemieckiej w Żabnie, w momencie przewożenia broni, sprzętu i zaopatrzenia na stację kolejową. Po krótkiej chwili oczekiwania, na dany znak oddział podszedł polną drogą pod dom Władysława Wójcika, położony przy rynku od strony południowo-zachodniej.

Część akowców skierowano do wylotu uliczki od ul. Kolejowej na wprost apteki. Z ukrycia poza domem można było dojrzeć, jak spod budynku poczty, mieszczącego się przy rogu ulic Dąbrowskiej i Kolejowej ruszyła załadowana furmanka konna, obstawiona z obu stron przez 6 lub 7 żandarmów.

W momencie gdy konwój skręcał w ulicę Kolejową, na dany znak partyzanci wyskoczyli z ukrycia, biegnąc na ukos przez rynek w kierunku Niemców. Gdy dobiegali do wylotu ulicy Kolejowej, do konwoju podszedł stojący na chodniku Antoni Jakubiec z Żabna i strzelił z pistoletu do jednego z żandarmów.

Strzał był chybiony. Niemiec zdążył się uchylić, a furmanka stanęła. Zaatakowani żandarmi chwycili za krótką broń i zaczęli uciekać w stronę dawnego targowiska. Partyzanci z początku nie mogli strzelać, bo między nimi, a uciekającymi Niemcami stała pozostawiona furmanka konna wraz z woźnicą. Dopiero po minięciu furmanki można było otworzyć ogień.

Z tyłu za grupą partyzantów rozległy się okrzyki. To nadbiegli uzbrojeni chłopcy z białe-czerwonymi opaskami, przybyli furmanką z Orfinowa. Jednocześnie z uliczki na wprost apteki wyskoczyli ci partyzanci, których skierowano z cegielni, by zabiegli Niemcom drogę. Przybyli trochę za późno. Wspólnie ścigano i ostrzeliwano uchodzących Niemców.

— Zdążyłem zauważyć — wspomina Kazimierz Witkowski — że jeden żandarm był ranny. Kulając z boku w domostwa od strony wschodniej i znikł z pola widzenia. Za dalszymi trwał pościg. Niemcy zdążyli dobiec do ciągnących się w stronę torów kolejowych i młynów pszenicy. Tam jednak trzech z nich legło. Gdy stanęliśmy nad nimi — kończyli życie.

Okazało się jednak, że leżący i ranni zdążyli ostrzelać z pistoletów naszych nadbiegających żołnierzy. Ranny został w skroń Krzysztof Sroczński ps. „Zbroja” z Bolesławia, a w rękę Jan Woźniczka z Otfinowa. Żał nas ogarnął, ale nie było czasu na jakiegokolwiek refleksje. Rannych odprowadzono do miasta, a partyzanci stanęli do walki z nowymi przeciwnikami.

Żołnierzy AK zaczęto ostrzeliwać z punktu obserwacyjnego w jednym z domów przy ulicy Kolejowej. Miało tam swój posterunek kilku lotników niemieckich. Oddano kilka strzałów w stronę ich umieszczonych na dachu domu wieżyczki i to wystarczyło. Niemcy nie dali więcej śladu życia.

Partyzanci jeszcze nie ochłonęli z wrażenia po tym starciu, gdy nadszedł meldunek, że do Żabna od strony Niedomic nadciąga kolumna samochodowa niemieckich żołnierzy z bronią maszynową. Nad polskim oddziałem zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo, bo nadciągający Niemcy mieli przynajmniej przewagę. W tych warunkach nie można było podjąć walki i akowcy musieli się wycofać wzdłuż kanału Żabnica – Breń.

— Wracaliśmy do domu — wspomina Kazimierz Witkowski — około godziny 16, pełen złości przeczuci. Rzeczywiście Niemcy wzięli odwet. Wtrąnęli do Żabna i zabili 4 mieszkańców Żabna, oraz 2 przybyłych tam, wysiedlonych z innych miejscowości. Zginęli: Jan Pantera, Adam Macko, Tadeusz Boduch, Ignacy Szalatiniewicz, Stanisław Kochan, Feliks Kłos.

Gdy Niemcy z powrotem opanowali Żabno, zdawało się, że dwaj ranni partyzanci umieszczeni w mieście nie mają żadnych szans ratunku. Miejscowy lekarz Eugeniusz Rapała nie mógł im udzielić pomocy w obawie o własne życie. Umieszczono obu rannych w sąsiednim domu rodziny Ciukajów przy ul. Kolejowej, gdzie ratunek nieśli im inni lekarze z Żabna: najpierw Witold Szlegier, a następnie Kazimierz Przybyszewski.

Okazało się jednak, że ta pomoc nie wystarczy. Obu rannych, a szczególnie Krzysztofa Sroczńskiego trzeba było odwieźć do szpitala w Tarnowie. To jednak okazało się niemożliwe. Istniało niebezpieczeństwo natknięcia się na Niemców, szczególnie zawzięcie patrolujących wszystkie okoliczne drogi. Ponadto w samym szpitalu lekarze pod groźbą śmierci musieli zgłaszać władzom niemieckim każdy wypadek, którego przyczyną był postrzał z broni.

W tych warunkach zdecydowano się na przywiezienie lekarza z Tarnowa. Wieczorem bryczką przywieziono chirurga szpitala Miejskiego w Tarnowie, dr Niespodziańskiego. On też dokonał udanych operacji. Później rannych przewieziono do Wielopola i Sieradzy koło Dąbrowy Tarnowskiej. Ukrywali się tam długo, pozostawiając pod doraźną opieką znanych nam już lekarzy.

Szczególną ofiarność w opiece nad rannymi okazały: Maria Kulig ps. „Rys” oraz Cecylia Barszcz z Żabna. One to zorganizowały pomoc pierwszych lekarzy. Osobiście dopilnowały przyjazdu chirurga z Tarnowa i asystowały przy operacji. Im też w znacznym stopniu zawdzięczali Krzysztof Sroczński i Jan Woźniczka swój powrót do zdrowia.

Dzięki wspomnieniom Kazimierza Witkowskiego można przekazać wdzięcznej pamięci rodaków przynajmniej część nazwisk uczestników akcji, którą miejscowa ludność zwykła przez dłuższy czas nazywać powstańczym zrywem. Ze wsi Nieciecza brali w tej akcji udział m.in. Ignacy Banak, Józef Grzebienowski, Józef Musiał, Tadeusz Musiał, Marian Musiał, Stanisław Mendrys, Eugeniusz Pyrka, Henryk Prażuch, Józef Witkowski — wespół z bratem Kazimierzem autorem wspomnienia.

Z Otfinowa uczestniczyli w zbrojnym napadzie: Józef Grzymek, Marian Kiniarz, Jan Paszkowski, Stanisław Magiera, Michał Lęgieć, Jan Woźniczka, Zygmunt Żoładz, Witold Prażuch oraz Leon Hajdas z Janikowic. Wielu z nich już nie żyje. Warto też dodać, że akcja — jakkolwiek oceniałoby się jej skutki — przebiegała w atmosferze gorącego patriotyzmu i prawdziwego entuzjazmu.

— Gdy uzbrojeni szliśmy z bratem na zgrupowanie — wspomina Kazimierz Witkowski, na twarzach spotykanych po drodze mieszkańców widać było wzruszenie, a u ludzi starszych — nawet łzy w oczach. Poruszenie było ogólne. Wyobrażono sobie, że nadchodzi tak długo oczekiwane wyzwolenie. Wywieszano flagi narodowe... Nikt nie przypuszczał, że na wyzwolenie przyjdzie jeszcze poczekać pół roku.

Tymczasem do śmiałych akcji przystąpiono w lipcu 1944 roku i w Otfinowie, która to miejscowość związała się w pamięci mieszkańców całej okolicy z dramatyczną likwidacją żandarma — sadysty Guzodka. Do zdecydowanej walki wystąpił tu pluton AK na czele z Janem Paszkowskim. Wykorzystano obecność żołnierzy AK i BCh w szeregach granatowej polskiej. Właśnie w lipcu 1944 roku postanowiono zlikwidować posterunek policji granatowej w Otfinowie. Po otoczeniu budynku, w którym przebywali bardzo już niespokojni i strwożeni funkcjonariusze, „Kostek”

z dwoma partyzantami wszedł do środka i przy pomocy broni straszył obecnych.

Zaskoczeni, niektórzy podejrzewający żart ze strony „kolegi”, powoli zaczęli oddawać broń i z rękami uniesionymi do góry wychodzili na dziedziniec. Gdy już uwierzyli i zrozumieli co się stało, jeden z nich, Władaw Lewandowicz, pochodzący z poznańskiego, porwał swój karabin i roztrzaskał o drzewo. Oświadczył z wściekłością, że do Polaków nie przystanie.

Tadeusz Krasnodębski „Kostek”, po rozbiciu posterunku w Otfinowie i zdemaskowaniu się, ukrywał się u Józefa Powroźnika w Gorzycach. Gospodarz, dawny karbowy majątku ziemskiego w Gorzycach, formalnie w Lisiej Górze u dzierżawcy Superlaka, pochodził z Zagajowa pod Solcem Zdrojem. Krasnodębski był jego ziomkiem i dlatego znalazł tu bezpieczne schronienie.

Po żniwach, w czasie jesiennych podorywek, przybyli do wsi niemieccy żołnierze, w samego Powroźnika zamieszkało ich czterech. Krasnodębski nie zmienił jednak kwatery. Pewnego razu jeden z Niemców, chcąc sobie uciąć poobiednią drzemkę, wszedł do mieszkania od strony ogrodu i natknął się na Krasnodębskiego, który akurat się golił. Cofnął się ze strachem, mówiąc, że zobaczył partyzanta. Na szczęście żona Powroźnika nie straciła zimnej krwi i wyjaśniła po niemiecku, że ten człowiek jest ich krewnym, nauczycielem i że mieszka tu u nich, bo jego mieszkankę w szkole zajęto wojsko. Niemiec uwierzył kobiecie.

Któregoś dnia Powroźnik zauważył, że Krasnodębski trzymał pod kapłą tornister z granatami i nabojami. Natychmiast wyrzucił tornister za okno w krzaki winogron, a w nocy ukrył w stogu słomy.

W Otfinowie u gospodarza Świątką mieszkał żandarm, który rano zapuszczał się do Gorzyc i dalej do Wielopola, aby sprowadzić ludzi do budowania i umacniania rowów nad Dunajcem.

Sotysy mieli obowiązek dopilnować, aby wyznaczeni do pracy ludzie co dzień rano czekali w ustalonych miejscach. I tak w Wielopolu zbiórki odbywały się na skrzyżowaniu dróg pod resztówką podworską Józefa Musiała, w Gorzycach na głównym placu pod figurą. Żandarm kontrolował jednocześnie, czy ktoś w tym czasie nie ośmielił się pracować w polu, a jeśli tak było, zabierał delikwenta do obozu pracy. Żandarm był człowiekiem bardzo podejrzliwym, zatrzymywał i legitymował wszystkich przechodniów.

Innym razem chłopcy dostrzeżeni przez żandarma uciekli przed nim do zagrody Łosia w Gorzycach. Ten podjechał pod drzwi, ale bojąc się wejść do środka, zagroził podpaleniem domu. Chłopcy wreszcie wyszli i żandarm zabrał ich z sobą.

Powroźnik przyznawał, że cierpnie ze strachu, gdy Krasnodębski rano mijał się z owym żandarmem na szosie, „Kostek” bowiem zapowiedział, że jeśli żandarm zaczepi go, to zginie. Jednakże Niemiec jakoś nigdy go nie zaczepił. Krasnodębski mieszkał u Powroźnika prawie rok. Bywało, że musiał opuszczać na pewien czas dom. Gdy pewnego razu dwoma bryczkami przyjechali Niemcy, Krasnodębski uciekł ogrodami. Następnie pod osłoną nocy przedostał się do leśnego oddziału partyzantów w Wielopolu.

Pod koniec wojny Józef Lis z Kłyża spotkał w lesie w Jadownikach dwóch lotników, którzy wylądowali tu na spadachronach i zaprowadził ich do Powroźnika, gdzie, jak wiedział, ukrywał się Krasnodębski. Lotnicy ci byli Rosjanami. Piotr Baran z Otfinowa odprowadził ich do Zadyczy. Tu, w domu Salka znajdowała się stacja nadawcza; tutaj też ppot. Tadeusz Musiał powiełał tajne pisma.

Wojsko niemieckie, kwatrujące chwilowo na tym terenie, rabowało dwory. Żołnierze głównie nocami otwierali kurniki, stajnie, spichlerze i zabierali, co się dało. To znów Ukraińcy w służbie niemieckiej zajęli działali wozami w biały dzień i zabierali świnie.

W majątku ziemskim barona Jana Konopki w Brniu mieszkający tam Ukraińcy urządzili w nocy strzelaninę, pozorując odpieranie ataku partyzantów i wyprowadzili świnie oraz bydło z obór. Zdemoralizowani i źle zaopatrzeni żołnierze sprzedawali benzynę i inne artykuły za nabiał. Front zbliżał się już od wschodu, a na prowizorycznym cmentarzu w parku w Brniu przybывало mogił. Pałac zmieniono na szpital. Kryło się tu wielu „spalonych”.

Żołnierze, znający nierzadko język polski, częstowani byli wódką i karmieni. Na przykład u Eugeniusza Musiała w Niecieczy kwatrował Niemiec z batalionu budującego mosty. Gdy do domu weszli żołnierze niemieccy, by zarekwirować żywność, ten po prostu wyrzucił ich. Niemiec ten nie był hitlerowcem i odchodząc powiedział, że wie, kto należy do AK. Dodawał też, że gdyby był Polakiem, to również należałby do tajnej organizacji. W ten sposób przekonano się, że z powodu pijactwa i gadulstwa tajemnice, od których zależało życie ludzkie, przeciekały do okupantów.

Każdy dzień, każda chwila wymagała czujności i ostrożności. Zwłaszcza ze strony uczestników konspiracji. Kazimierz Witkowski ps. „Orzeł” mieszkał w domu w Niecieczy z bratem bliźniakiem Józefem ps. „Kruk” i zameżną siostrą Anną. Rodzice ich nie żyli. Obaj bracia należeli do grupy dywersyjnej. W domu było zakonspirowane radio na użytek podziemia.

Podczas wycofywania się wojsk niemieckich, na kwaterę do ich domu przydzielono czterech żołnierzy Wehrmachtu. Mimo ich pobytu w piwnicy mieszkańcy słuchali audycji i komunikatów wojennych. Jednego razu tylko zimna krew uchroniła ich od zguby. Oto podczas słuchania radia, do kuchni, w której była siostra Kazimierza Witkowskiego, wszedł żołnierz z naczyniem, aby zagrać sobie wodę i usiadł przy stole.

Wtedy właśnie słyszalność radia nasiliła się do tego stopnia, że Niemiec zaczął zdradzać niepokój i pilnie nasłuchiwać. Wtedy siostra Kazimierza Anna, niewiele myśląc, zaczęła myć naczynia, tłukąc się przy tym niemilosiernie. Niemiec uspokoił się, zabrał podgrzaną wodę i wyszedł.

Od 1941 roku istniejąca w Ofinowie delegatura Polskiego Komitetu Opiekunczego wspierała coraz liczniejszych wysiedlonych. Fundusz otrzymywała z Krakowa, rozdzielała żywność, odzież i pieniądze. Dzięki jej wsparciu zakonnice prowadziły punkt dożywiania dzieci i młodzieży, a nawet więźniów w obozach pracy np. w Diamencie czy Miechowicach. We wdzięcznej pamięci zachowały się ss. Bronisława Pała, Wawrzyna Żoczek, Marcela Świdarska, Małgorzata Kołpa. Prócz tego zajmowały się wysyłaniem chleba dla więźniów politycznych.

Niemcy w Ofinowie i okolicy zabierali konie i wozy do wożenia drewna na budowę bunkrów. Na placu we wsi stała zawsze furmanka do ich dyspozycji. Podczas prowadzenia prac przy umocnieniach nie wolno było uprawiać pola, groziła za to kara śmierci. Wszyscy bowiem musieli oddawać wszystko bez reszty dla frontu. Niemcy grozili sołtysom karami za to, że zbyt niewielu ludzi kierują do prac przy umocnieniach. Chcieli wysłać chłopów z Wielopola z podwodami w strefę frontu do Jam.

Zaniepokojony pogrózkami sołtys Wielopola, Wawrzyniec Szelaż wraz z gospodarzem Stanisławem Krupą, Wincentym Pochroniem i Franciszkiem Krupą udali się do majątku Józefa Musiała i prosili, by oddał ze swego gospodarstwa buhaja, którego miano ofiarować Niemcom w celu udobruchania ich. Buhaj, liczący półtora roku, został Niemcom przekazany, a chłopci przyrzekli zwrócić właścicielowi majątku równowartość ze składkowych pieniędzy, czego jednak nie uczynili.

W lipcu 1944 roku front ustalił się we wschodniej części powiatu na linii Baranów, Słupiec, Radgoszcz, Jastrząbka. Do Ofinowa przybyło Ortskommando, którego zadaniem była budowa ziemnych umocnień obronnych, a więc okopów, bunkrów i rowów strzeleckich. Kopano rowy przez Pasiekę i Sikorzyce.

Wał Dunajca ufortyfikowano, za rzeką kopano szerokie i głębokie rowy przeciwzołgowe, wznoszono sztuczne wały, na których siano trawę i kładziono darni. Przed wałem aż do wody postawiono gęste kolczaste zasieki.

Potem zaczęto obwarowywać Ofinów aż po sam Żelichów. Rowy, bunkry i zasieki ciągnęły się od Zakanała przez wał Dunajca. Od rowów i bunkrów szły ścieżki. Jedna od budynków plebanii przez pastwiska księdza, pole organisty, koło domostwa Saletników aż do Dunajca. Druga ścieżka na końcu wsi biegła obok zabudowania Józefa Mencla. Przy budowie umocnień obronnych pracowali ludzie z obozu i mieszkańcy okolicznych wsi. Do pracy tej zobowiązany był każdy. Roboty nie ustawały nawet w niedzielę. Do bunkrów zwożono drzewo, niszcząc okoliczne lasy. Rano zbierano ludzi po wsiach i wieszono do robót nad Dunajcem.

SS-man w randze kapitana czuwał, aby z każdej chaty zabrano kogoś. Pracujących wieszono do robót nad Dunajcem, a pilnowali ich uzbrojeni wartownicy. Gospodarz Owca z Niecieczy pozwolił sobie na drwinę z celowości tych prac. Wówczas dozorujący Niemiec rozkazał, aby wykopał sobie grób. Na szczęście inny strażnik, Polak, Gawroński, odwrócił uwagę Niemca i chłop zdołał uciec. Szefowie Ortskommando mieszkali na plebanii.

Ponieważ wielu mężczyzn w okolicy ukrywało się, przeto na dwa tygodnie przed adwentem ogłoszono, że w najbliższą niedzielę wszyscy muszą pracować, zaś kobiety i dziewczęta mogą odpoczywać. Po robocie wszystkich mężczyzn zabrano do obozu pracy. Ludzie starali się różnymi sposobami pomagać przebywającym w obozie, bo panowały głód, brud i wszawica.

Jedynie kobiety pracowały przez dwa tygodnie, a następnie wymieniano je na inne. Gdy jedna z nich, Jadwiga Musiał wróciła do domu do Wielopola i opowiedziała o sytuacji w obozie, rodzinę ogarnął niepokój o syna, Zbigniewa. W tej niełatwej sytuacji przyszli im z pomocą wydzielcy, którzy również na terenie Wielopola prowadzili handel wymienny głównie żywnością np. sprzedawali cukier za jaja.

POSŁOWIE

Wysiedleńcy, którzy kontaktowali się z rodziną Jana Musiała, obiecali w zamian za prowiant czynić starania o uwolnienie Zbigniewa. I rzeczywiście, dzięki znajomościom w obozie pracy, spowodowali jego uwolnienie przy pomocy zręcznego fortelu. Chłopaka wywieziono przez bramę na wozie, ukrytego pod śmieciami.

Wojna dobiegła końca. Nad Otfinowem i okolicą coraz częściej pojawiały się samoloty radzieckie i staczały walki powietrzne z samolotami niemieckimi. W czasie nalotów więźniowie z obozu, korzystając z zamieszania uciekli.

Większych walk nad Dunajcem właściwie nie było. Niemcy bez dużego oporu porzucili umocnienie i uciekli, bojąc się okrążenia. Tempo natarcia Armii Radzieckiej było błyskawiczne.

Wojna skończyła się, ale ludzie którzy ją przeżyli, wspominają do dziś te okrutne czasy. Cierpienia, których wówczas doświadczali, pozostawiły trwałe piętno, w niejednym przypadku uczyniły z nich psychicznych inwalidów.

Każda wieś, często każdy dom mógł być miejscem scen jakby z najbardziej makabrycznego filmu. Każdy dzień, każda chwila grozić mogła żywym odtworzeniem czasów Apokalipsy. Żadne opracowanie historyczne, a nawet powieść czy film nie oddadzą w pełni szczegółowo prawdziwego piękła tamtego czasu.

Trzeba jednak — na miarę swoich sił — przypomnieć przeszłość, tym bardziej wstrząsającą, że łącząca realia zamierzonego, barbarzyńskiego okrucieństwa z tym, co w dziedzinnie nowoczesnej techniki przyniosło w swej pierwszej połowie XX wiek. Niech więc ta skromna praca będzie jeszcze jednym przyczynkiem dla potępienia morderców, hołdem dla ofiar i wyrazem nadziei, że nie powtórzą się czasy, w których panoszyła się w jakiegokolwiek formie brutalna przemoc, stanowiąca zaprzeczenie humanizmu i humanitaryzmu.

Przedmiotem niniejszego opracowania jest jedna z najciężniejszych stron okresu okupacji: pełna grozy działalność przestępcza band, nękających ludność regionu Dąbrowy Tarnowskiej. Zbrodnie kryminalistów, zorganizowanych w bardzo ruchliwe i nie znające skrępułów szajki, wystrząsają kontury obrazu konspiracji. Stanowią tragiczny kontrast wobec najważniejszego nurtu patriotycznej walki podziemia. Tworzą swoiste, często mało znane tło prawdziwej martyrologii, stanowiącej kilkuletnią codzienną rzeczywistość tamtejszej ludności.

Czytelnicy mają przed sobą często wstrząsający zbiór, swoisty pitaval przykładów kolaboracji, rozbojów, gwałtów, których dopuszczali się bandyci, wprowadzeni na karty tej książki. Ci ze wszech miar negatywni bohaterowie opowieści, zimni, bezwzględni, agresywni psychopaci, asocialni i zwyrodniali, byli jednak w pełni świadomi swych czynów i również w pełni za nie odpowiedzialni. Nosili w swojej psychice zarodki zła, które rozwinęła sprzyjająca zbrodniczym instynktom hitlerowska okupacja.

W ogólnym obrazie przekazanym nam z lat wojny, był to fragment poruszany dość rzadko i niezbyt chętnie. Kilka zaledwie artykułów, które ukazały się w lokalnej prasie, nie mogło ani w drobnej części wyczerpywać tematu. Trudno było nadal przemilczać fakt bandytyzmu, który szczególnie w powiecie Dąbrowa Tarnowska zaznaczył się bardzo silnie.

Banda Stanisława Kosieniaka, z którą Czytelnik się zapoznał, terrorizowała obszar aż dwóch powiatów: fakt ten — poza na przykład drobną wzmianką w powieści Tadeusza Nowaka „Dwunastu” — nigdzie nie znalazł odbicia.

Charakterystyczne jest, że w wydanej w roku 1975 książce „Dąbrowa Tarnowska, zarys dziejów miasta i powiatu” ani słowa nie napisano o Kosieniaku i jego współtowarzyszach, a o Engelbercie Guzdku, który był kosztownym postrachem okolicy, wspomniano jedynie na marginesie.

Podobnie jest z przynależnością organizacyjną „Kostka”. Ostatnio w piśmie urzędowym zapewniał o przynależności do AK i otrzymaniu krzyża Virtuti Militari właśnie za, jak to podał, zastrzelenie Guzdk. Na związane z tymi niejasnościami pytania oczekiwałem bezskutecznie od powiedzi. Kompetentne czynniki nie zareagowały na me listy polecane.

Płk. Władysław Kabat w relacji pisemnej pominął fakt rozstrzelania w jego rodzinnych stronach przez AK oskarżonych o współpracę z okupantem.

Pewna tendencyjność cechuje wypowiedzi Ludwika Kosieniaka, brata Stanisława. Starat się on przedstawić sylwetkę brata w korzystniejszym świetle, niż wynika to z faktów.

Najdrażliwsza jest sprawa wyroków śmierci wykonywanych na osobach, które oskarżono o współpracę z wrogiem. Rodziny ludzi zlikwidowanych przez partyzantów przekonywały mnie o niewinności swych krewnych. Niektóre wyroki — zapewne w warunkach okupacji i konspiracji — nieraz zbyt pochopne, bądź niedostatecznie uzasadnione i niezbyt przemysłane — kwestionują również sami uczestnicy podziemia. Na przykład nie wyjaśniona jest sprawa studenta Stanisława M., usuniętego przez podziemie.

Otóż Józef Budzioch twierdzi, że M. zginął niewinnie, natomiast Zdzisław Baszak stwierdza stanowczo, że przy zabitym znaleziono pismo pozwalające na swobodne poruszanie się w nocy, a wystawione przez Niemców.

Budzioch uważa, że niewinnie zginęli: Maria Giza, Michał Gucman, Stanisław Moros a także pięcioosobowa grupa przesiedleńców w Strzelcach Wielkich.

Różnice i z autorskiego punktu widzenia niedostatki w relacjach nie są tutaj bynajmniej żadnym wyrzutem pod adresem rozmówców i re-spondentów, ilustrują tylko trudności i dystans z jakim w imię obiektywizmu musi się podchodzić do źródeł nie wolnych z natury od subiektywizmu. Przeciwnie, wszystkim, którzy udzielił informacji, należy się szczerza wdzięczność i podziękowanie, bez nich bowiem nie zdołaliby się zgromadzić tak obfitego materiału, mnóstwa konkretnych faktów, opisów i epizodów, dość dobrze osadzonych w czasie i miejscu.

Najbardziej podstawowe twierdzenia w tej książce nie są oczywiście rewelacją dla historyków. Wiadomo np. ogólnie, że w latach okupacji rozprzestrzeniły się lokalnie: bandytyzm na wsi, rozboje, rabunki i gwałty i że malały one pod wpływem potęgowania się aktywności BCh,

Te same uwagi dotyczą najnowszej książki Aleksandry Pietrzykowej „Region tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej, polityka okupanta i ruch oporu”.

Książka ta powstała w dużej mierze dzięki uprzejmości rozmówców i respondentów. Szybkie i rzetelne odpowiedzi otrzymałem m.in. z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, KM MO w Krakowie, Sądu Wojewódzkiego w Tarnowie, Szczucina, Luszowic, Radłowa, Zalipia, Jam, Otfinowa. Natomiast wcale nie odpowiadały na listy: Wojewódzki Zarząd ZBoWiD w Tarnowie i ZBoWiD w Muszynie.

Chętnie korespondowały ze mną osoby związane niegdyś z ruchem oporu na tym terenie m.in. płk Stefan Musiałek-Łowicki, były inspektor Inspektoratu „Tama” (Tarnów, Dąbrowa Tarnowska, Brzesko), Stanisław Przybyłek, Józef Budzioch, Józef Tomal, Jan Kalafarski, Ludwik Kosieniak, Stanisław Pietras, dr Jan Bardan, Tadeusz Krasnodębski i inni; długo czekałem na informację od Franciszka Kapla oraz od koła gminnego ZBoWiD w Radgoszczy (i wielu innych).

Wiele osób nie odpowiedziało pisemnie na moje listy, chociaż w czasie rozmów chętnie udzielały informacji i przyrękały służbę dodatkowymi wyjaśnieniami: są to m.in. Zdzisław Baszak, Tadeusz Złotnicki, Władysław Myśliński, Władysław Świątek, Jan Kudła, Władysław Sekuła, Jan Gondek, Ryszard Kotra, Julian Dydyński, Katarzyna Walas. Cennych informacji udzielił mi były sołtys Mędrzechowa Jan Kudła, który dotychczas nigdzie nie składał relacji o czasach okupacyjnych. Ludzie w podeszłym wieku nieraz chętnie mówią o owym okresie, lecz wzbierają się przed spisywaniem wspomnień, mając różne w tej mierze trudności.

W relacjach, które zebrałem, niewiele było sprzeczności. Pewne nieścisłości i luki pamięci mych rozmówców wynikały ze sporego upływu czasu od zakończenia wojny tudzież z braku pełnego wtajemniczenia w niektóre sprawy. Wiele dokumentów uległo zniszczeniu np. w Jamach spalono je. Nieścisłości starałem się weryfikować tak, że udało mi się do-ciec prawdy poza nielicznymi wyjątkami np. niejasna mianowicie pozo-staje sprawa, czy policjant Krasnodębski pseudonim „Kostek”, rzeczywiście wymykał się w wypadku nagłych zagrożeń z posterunku w Otfinowie do wójta Zygmunta Wrzosa, by uprzedzić o niebezpie-czeństwie; Zygmunt Wrzosek tej relacji nie potwierdził. Od początku budziła zasirzeżenia sprawa udziału „Kostka” w zgładzeniu Guzdk. sprawę tę uważam jednak za otwartą.

organizacji podziemnych. Pisz o tym np. Eugeniusz Duraczyński w książce „Wojna i okupacja. Wrzesień 1939 — kwiecień 1943” (Warszawa 1974, Wiedza Powszechna, str. 78). Nawet o Guzdku, którego działalność określiła w zasadzie obszar poszukiwań źródłowych zawartych w tej książce, można napotkać jak wspomniano, drobne informacje, by powołać się tutaj jeszcze na „Spętanego konia” Krystyny Kozłowskiej i Janiny Pałuckiej (Warszawa 1978, Wydawn. MON, str. 175 — tam mowa o zabijaniu przez niego itp.)

Celem książki było odległe wyjście od podstawowych ogólników i rudymyntarnych, luźnych informacji do zespołu opisów i epizodów połączonych w możliwie wyczerpujący, barwny obraz oddający atmosferę owego mrocznego okresu.

O ile się to autorowi udało, mogą ocenić dopiero inni. Byłoby z pewnością pożyteczne, gdyby powstały z kolei publikacje dotyczące w zakresie tego tematu także innych rejonów okupowanego kraju.

Literatura

1. Józef Buszko, Alina Fitowa, Jan Nowak: Ruch oporu na wsi małopolskiej w dokumentach konspiracyjnych ruchu ludowego (1940–1944). PAN, Wrocław. Warszawa, Gdańsk 1973.
2. Stanisław Dąbrowa-Kostka: Hitlerowskie afisze śmierci. Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1983.
3. Dąbrowa Tarnowska. Zarys dziejów miasta i powiatu. Pod redakcją Feliksa Kiryka, Zygmunta Rutę, PWN, Warszawa — Kraków 1974.
4. Eugeniusz Dąbrowski: Szlakiem „Jędrusiów”. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1971.
5. Eugeniusz Dąbrowski: Bez broni. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1969.
6. Elżbieta Fonberg: Nerwica. Przesady i nauka. Wiedza Powszechna, Warszawa 1971.
7. Maria Hochberg-Mariańska: Dzieci oskarżają. Centralna Żydowska Komisja Historyczna przy Centralnym Komitecie Żydów w Polsce, Kraków — Łódź, Warszawa 1947.
8. Wojciech Jakielek: Bataliony Chłopskie w Małopolsce i na Śląsku. Kalendarium BCCh. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1987.
9. Andrzej Kamiński: Faszizm. Wiedza Powszechna, Warszawa 1971.
10. Tadeusz Kisielewski, Jan Nowak: Chleb i krew w czasie okupacji. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1969.

11. Paweł Maria Lisiewicz: W imieniu Polski podziemnej. Z dziejów wojskowego sądownictwa specjalnego Armii Krajowej. Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1988.
12. Jan Masłowski: Pielęgniarki w drugiej wojnie światowej. PZW, Warszawa 1976.
13. Władysław Myśliński: A jednak tak było. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978.
14. Aleksandra Pietrzykowa: Region Tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej, polityka okupanta i ruch oporu. PWN, Warszawa – Kraków 1984.
15. Przewodnik po upamiętnionych miejscach walk i męczeństwa lat wojny 1939 – 1945. Rada Ochrony Pomników Walk i Męczeństwa, Warszawa 1964.
16. Wiesław Sachs: Nie bijcie reportera. Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1967.
17. Studium Polski Podziemnej. Armia Krajowa w dokumentach 1939 – 1945. Tom I. wrzesień 1939 – czerwiec 1941. Londyn 1970.
- Studium Polski Podziemnej. Armia Krajowa w dokumentach 1939 – 1945. Tom II. czerwiec 1941 – kwiecień 1943. Londyn 1973.
18. Melchior Wańkowicz: Sztafeta. Książka o polskim pochodzie gospodarczym. Wydawnictwo Biblioteka Polska, Warszawa – Kraków 1939.
19. L. Wołoszynowa: Materiały do nauczania psychologii. zeszyt IV tom I. Psychologia kliniczna i psychopedagogika specjalna. PWN, Warszawa 1965.
20. Stanisław Wroński i Maria Zwolakowa: Polacy Żydzi 1939 – 1945. Książka i Wiedza, Warszawa 1971.
21. Tadeusz Wroński: Egzekucje na terenie województwa krakowskiego w latach 1939 – 1945. Ministerstwo Sprawiedliwości. Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, Warszawa 1975.

PUBLIKACJE PRASOWE

1. Jan Antol: Podwójne życie żandarma Johna. Wieści, 1974, nr 42
2. Władysław Kabat: Krwawy upiór. Za i Przeciw, 1974, nr 10, 11, 13
3. Józef Kozaczka: Kat Powiśla Dąbrowskiego. Wieści, 1967, nr 3
4. Józef Kozaczka: Zawsze wierni Ojczyźnie. WTK, 1972, nr 5
5. Tadeusz Krasnodębski: Nie twórzmy nowej historii. Wieści, 1979, nr 49
6. Tadeusz Krasnodębski: Wykonałem wyrok na Guzdku. Wieści, 1984, nr 41
7. Tadeusz Krasnodębski: Jeszcze raz o Guzdku. Wieści, 1985, nr 2
8. Tadeusz Krasnodębski: Kto naprawdę zastrzelił żandarma Guzdkę? Tarnowski Magazyn Informacyjny, 1989, nr 42
9. Wojciech Mleczko: Moje spotkanie z Guzdkiem. Tarnowski Magazyn Informacyjny, 1986, nr 35
10. Adam Kazimierz Musiał: Gdzie są teraz? Przyjaźń, 1975, nr 24
11. Adam Kazimierz Musiał: Masowa egzekucja Cyganów w Żabnie. Wieści, 1974, nr 17
12. Adam Kazimierz Musiał: O krwawym upiorze. Gazeta Południowa, 1980, nr 184.
13. Adam Kazimierz Musiał: Siewca strachu. Wieści, 1984, nr 28.
14. Adam Kazimierz Musiał: Wyzwolenie 1945. Tarnowski magazyn Informacyjny, 1983, nr 20
15. Adam Kazimierz Musiał: Jeszcze w sprawie likwidacji Guzdkę. Wieści, 1984, nr 47

16. Adam Kazimierz Musiał: Powiśle w ogniu. Tarnowski Magazyn Informacyjny, 1987, nr 37
17. Adam Kazimierz Musiał: Kto naprawdę zastrzelił żandarma Guzdka? Tarnowski Magazyn Informacyjny, 1989, nr 35
18. Adam Kazimierz Musiał: Czarne sepy. Tarnowski Magazyn Informacyjny, 1990, nr 49
19. Adam Kazimierz Musiał: Guzdka zabił Stein. Powiśle Dąbrowskie, 1988, nr 6
20. Władysław Myśliński: Finale Mordercy. Gazeta Krakowska, 1968, nr 16
21. Władysław Myśliński: Egzekucja Cyganów w Szczurowej. Wieści, 1970, nr 25
22. Jerzy Paśnik: Kierunki i formy zwalczania przestępczości pospolitej w latach 1943 – 1944 przez podziemie w organizacji prolondyńskiej.
23. Tadeusz Seweryn: Polskie sądownictwo podziemne. Przegląd Lekarski, Kraków, zeszyt szósty, rok XXII, seria II
24. Jan Sowa: Jeszcze w sprawie Guzdka. Tarnowski Magazyn Informacyjny, 1989, nr 50
25. Józef Więclaw: Noc grozy. Gromada Rolnik Polski 1968, nr 32

Przypisy

1. J. Zawistowski. Stosunki społeczno-gospodarcze i polityczne w powiecie Dąbrowa Tarnowska 1918 – 1939. W: Dąbrowa Tarnowska Zarys dziejów miasta i powiatu. Pod redakcją Feliksa Kiryka, Zygmunta Ruty. PAN, Warszawa – Kraków 1974, str. 376 – 429
2. Melchior Wańkowicz. Sztafeta. Książka o polskim pochodzie gospodarczym. Wydawnictwo — Biblioteka Polska nr 280, Warszawa – Kraków 1939.
3. W. Masiarz: Ruch ludowy w powiecie dąbrowskim w latach 1918 – 1939. W: Dąbrowa Tarnowska, op.cit. str. 447 – 448.
4. H. Kotarski. Działanie wojsk regularnych na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska podczas II wojny światowej. W: Dąbrowa Tarnowska, op. cit. str. 628 – 641.
5. A. Pietrzykowska: Region tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej, polityka okupanta i ruch oporu. PWN, Warszawa – Kraków 1984, str. 211 – 321.
Powiat dąbrowski w latach okupacji hitlerowskiej (1939 – 1945)
W: Dąbrowa Tarnowska op. cit str. 557 – 610.
- WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI POLSKI WALCZĄCEJ**
6. Armia Krajowa w dokumentach 1939 – 1945, Tom I — str. 220
Armia Krajowa w dokumentach 1939 – 1945, Tom I — str. 229
Tom I, wrzesień 1939 – czerwiec 1941. str. 220.
Uchwała Komitetu dla spraw kraju z dnia 16 kwietnia 1940 roku w sprawie sądów kapturowych w kraju.

1. Wydawanie wyroków śmierci na prześladowców, zdrajców, szpiegów i prowokatorów należy do kompetencji specjalnych sądów, które są powoływane:

- a) przy komendach okupacji, obszarów i okręgów ZWZ dla przestępstw, popełnionych w szeregach organizacji wojskowej;
 - b) przy Delegatach Okręgowych i przy Delegacie Głównym Rządu dla przestępstw, popełnianych przez osoby nie wchodzące w skład organizacji wojskowej oraz przez osoby spośród aparatu okupantów; tam, gdzie delegatury nie istnieją, funkcję sądu przy Delegacie pełni sąd wojсковy.
2. Każdy wyrok śmierci wymaga zatwierdzenia przez Delegata Rządu odpowiedniej instancji, o ile delegat taki istnieje.
3. Wyroki śmierci, przewidziane w punkcie 1 i 2 wykonuje ZWZ.
4. Postanowienia powyższe nie ograniczają wymiaru sprawiedliwości wewnątrz stronnictwa w stosunku do ich własnych członków.

Studium Polski Podziemnej
Londyn 1970.

str. 229. Zasady organizacyjne i procedura sądów kapturowych.

Komendant Główny ZWZ
ldz. 2955/Og.tjn.40
M.p. dnia maja 1940r.

KODEKS SĄDÓW KAPTUROWYCH ZWZ

1. Sądy kapturowe na terenie okupacji powołane są do sądzenia i wyrokowania w wypadkach zbrodni zdrady, szpiegostwa, denuncjacji oraz nieludzkiego prześladowania i krzywdzenia ludności polskiej.
2. Zbrodnie popełnione przez członków ZWZ, a także przez byłych członków ZWZ, nawet po ich wystąpieniu z ZWZ rozpatrują:
 - a) Sądy Kapturowe przy Komendach okupacji — dla obszaru i Okręgu, na terenie którego znajduje się Komenda okupacji;
 - b) Sądy Kapturowe przy komendach obszaru — dla okręgu, na terenie którego znajduje się komenda obszaru;
 - c) Sądy Kapturowe przy komendach okręgów — dla terenu każdego okręgu.

Zbrodnie wymienione w punkcie 1. popełnione przez osoby nie należące do ZWZ tj. przez obywateli polskich, okupantów oraz przez innych cudzoziemców, rozpatrują Sądy Kapturowe przy Delegaturze Rządu.

W okręgach, w których Delegatury Rządu nie istnieją, zbrodnie wymienione w punkcie 1. popełnione przez osoby nie należące do ZWZ, sądzą odpowiednie Sądy Kapturowe ZWZ.

3. Sądy Kapturowe rozpatrują zbrodnie dokonane lub ujawnione na właściwych im terenach oraz dokonane za granicą, jeżeli sprawy znajdują się lub znajdą na tychże terenach.

4. Każdy Sąd Kapturowy składa się z prokuratora, sędziego śledczego i Sądu Wyrokującego. W skład Sądu Wyrokującego wchodzi przewodniczący i dwóch sędziów.

5. Przewodniczącym Sądu Kapturowego przy Komendzie okupacji jest Komendant okupacji. Może on zlecić tę funkcję najbliższemu Komendantowi obszarowi.

Przewodniczącym Sądu Kapturowego przy Komendzie obszaru jest Komendant obszaru. Może on zlecić tę funkcję najbliższemu komendantowi okręgu.

6. Przewodniczący każdego Sądu Kapturowego ZWZ mianuje 2-óch stałych sędziów Sądu Wyrokującego; jednego niefachowca, drugiego spośród sędziów Polskiego Sądu Wojskowego lub w braku tychże — spośród sędziów polskich sądów karnych, ewentualnie spośród adwokatów lub innych osób z wykształceniem prawniczym.

Ponadto — stałego prokuratora, możliwie spośród sędziów polskiego sądu wojskowego, oraz sędziego śledczego i obrońcę możliwie z wykształceniem prawniczym. Wszyscy wyżej wymienieni członkowie Sądu Kapturowego muszą być członkami ZWZ.

7. Dochodzenie wszczynają sędzia śledczy na polecenie — odpowiedniego Komendanta ZWZ, względnie Delegata Rządu, albo prokuratora wskutek:

- doniesienia urzędowego lub prywatnego o dokonaniu zbrodni podlegającej rozpatrzeniu przez Sąd Kapturowy;
- faktów powszechnie znanych;
- zdarzenia wynikłego ze zbrodni itp.

Dochodzenie przeciwko osobie oznaczonej powinno trwać jak najkrócej, najdłużej jednak 7 dni. Dochodzenie winno odbywać się ściśle i bezwzględnie tajnie i w zaocznosci. Wyniki dochodzenia i zebrane dowody składa sędzia śledczy prokuratorowi, który niezwłocznie albo zwraca-

ca akta dochodzenia sędziemu śledczemu, celem uzupełnienia w pewnym określonym kierunku, albo też sporządza krótki akt oskarżenia i przekazuje go wraz z aktami dochodzenia przewodniczącemu Sądu Kapturowego. Prokurator może także wskazać świadków, których należałoby wezwać na rozprawę.

8. Przewodniczący Sądu Kapturowego niezwłocznie po otrzymaniu aktu dochodzenia i oskarżenia prokuratora wyznacza termin i miejsce rozprawy. Wezwanie na sprawę świadków i przeprowadzenie dowodów, wskazanych przez prokuratora lub też powołanych przez przewodniczącego, zależy wyłącznie od uznania przewodniczącego. W wyjątkowych wypadkach i tylko w razie istotnej potrzeby przewodniczący może zażądać pisemnej opinii biegłego, którym będzie członek ZWZ, zaprzysiężony i wyznaczony przez przewodniczącego. Biegłemu będzie przedstawiony na piśmie krótki opis okoliczności faktycznych, podlegających opinii biegłego, ewentualnie okazany przedmiot podlegający rozpatrzeniu, wraz z pytaniami, bez wymieniania jednakże osoby oskarżonego. Pisemna opinia biegłego będzie udzielona do 48-u godzin i załączona do akt sprawy przed rozprawą.

W razie potrzeby przewodniczący wyznaczy również tłumacza spośród członków ZWZ.

9. Rozprawa winna być tajna, odbywać się możliwie przed południem i trwać wraz z wydaniem wyroku nie dłużej niż 3 godziny. W rozprawie bierze udział Sąd Wyrokujący, prokurator oraz obrońca, względnie oskarżony.

Oskarżony doprowadzony będzie tylko w dogodnych okolicznościach na zarządzenie przewodniczącego, według jego uznania i to wyłącznie wtedy, kiedy osobę oskarżonego można bezwzględnie zabezpieczyć dla wymiaru kary, kiedy jest prawdopodobieństwo, że da się wydobyc od oskarżonego pewne ważne wiadomości i wyłącznie wtedy, jeżeli nie zagrozi to bezpieczeństwu Sądu albo organizacji.

W miejsce oskarżonego wezwany będzie na rozprawę obrońca.

10. Przewodniczący otwiera, prowadzi i zamyka rozprawę. On zadaje pytania świadkom po ich zaprzysiężeniu i udziela głosu stronom. Po otwarciu rozprawy przez przewodniczącego, sędzia fachowiec, jako referent sprawy, odczytuje akta sprawy i składa sprawozdanie. Po przesłuchaniu zaprzysiężonych świadków, odczytaniu i okazaniu materiału dowodowego, przewodniczący udziela głosu prokuratorowi, a następnie

obrońcy, względnie oskarżonemu, któremu przysługuje zawsze głos ostatni.

Jeden z sędziów sporządza krótki protokół rozprawy.

11. Po zamknięciu rozprawy Sąd Wyrokujący odbywa naradę tajną. W toku narady przewodniczący przytacza krótkie zestawienie materiału dowodowego, po czym następuje głosowanie. Narada i głosowanie odbywa się jedynie co do winy. Cała narada jest usna, protokołu narady nie sporządza się. Wyrok zapada większością. Ostatni głosuje przewodniczący. Wyrok musi być skazujący lub uniewinniający. Podstawę wyroku stanowi całokształt okoliczności, ujawnionych w toku przewodu sądowego. Wyrok skazujący winien być wydany z wielką ostrożnością i tylko na podstawie niewątpliwych faktów i dowodów. Wyrok winien zawierać krótkie uzasadnienie, które nie może przytaczać żadnych nazwisk. Po odbytej naradzie i sporządzeniu wyroku przewodniczący odczytuje wyrok wraz z uzasadnieniem wobec prokuratora i obrońcy, względnie oskarżonego.

12. Wyrok skazujący wraz z aktami sprawy zostaje wysłany przez przewodniczącego niezwłocznie do zatwierdzenia. Wyroki Sądu Kapturowych ZWZ zatwierdzają odnośni Delegaci Rządu.

Zatwierdzony wyrok Sądu Kapturowego jest ostateczny i prawomocny, nie przysługując też od tego wyroku żaden środek prawny.

13. Po zatwierdzeniu wyroku akta sprawy wraz z wyrokiem otrzymuje przewodniczący, który ustnie nakazuje wykonanie wyroku. Sposób wykonania wyroku i ewentualnie zatarcie śladów należy do wykonawców. Nazwiska wykonawców nie mogą być ujawnione w żadnym wypadku. Po zameldowaniu o dokonaniu wykonania wyroku w umówiony sposób, przewodniczący umieszcza na oryginale wyroku następującą wzmiankę: „Wyrok został wykonany dnia...” Pod wzmianką przewodniczący umieszcza znak krzyża.

14. Wyrok uniewinniający, załącznic od uznania przewodniczącego może być odczytany uniewinnionemu przez Przewodniczącego wraz z udzieleniem uniewinnionemu odpowiedniego ostrzeżenia. Na zarządzenie przewodniczącego albo na wniosek przewodniczącego, skierowany do odnośnego komendanta organizacji poza obrębem Sądu Kapturowego, który wydał wyrok, treść wyroku skazującego oraz jego wykonanie mogą być ogłoszone bądź publicznie, bądź w tonie jednej lub kilku organizacji, w sposób wskazany przez zarządzającego ogłoszenie wyroku. Jeżeli w wypadku wyroku uniewinniającego, z uwagi na to, że

czyn oskarżonego nie stanowi zbrodni podlegającej rozpatrzeniu Sądu Kapturowego, Sąd Wyrokiujący dojdzie do przekonania, iż czyn oskarżonego stanowi przestępstwo przez inne sądy organizacyjne ścigane, przewodniczący prześle opis stanu faktycznego wraz z dowodami lub ich wskazaniem Sądowi Organizacyjnemu do dalszego rozpatrzenia.

15. Akta każdej sprawy będą przechowywane w miejscu i w sposób zależnie od uznania odpowiedniego Przewodniczącego Sądu.

16. Cały niniejszy kodeks Sądu Kapturowego stanowi najgłębszą tajemnicę, może być ujawniony jedynie tylko Komendantowi ZWZ lub Delegatowi Rządu, którzy zaznajomią z treścią kodeksu wyłącznie osoby wchodzące w skład Sądów Kapturowych (art. 4 Kodeksu).

17. Na terenach państw obcych miejsca sądów Kapturowych w czasie okupacji zajmują Sądy Kapturowe przy Komendancie Głównym i Komendantach Baz.

Przewodniczący Sądu Kapturowego przy Komendancie Głównym jest I lub II Zastępcą. Przewodniczącym Sądu Kapturowego przy komendzie bazy jest zastępca komendanta bazy.

W postępowaniu przed Sądem Kapturowym przy Komendancie Głównym i przy Komendancie bazy, biegły oraz świadkowie winni w zasadzie być obecni na rozprawie, oskarżony zaś jedynie wtedy, gdy nie zachodzi obawa jego ucieczki i gdy osoba jego może być względnie zabezpieczona dla wymiaru kary. Wyrok Sądu Kapturowego przy Komendancie Głównym musi być natychmiast po jego wydaniu zatwierdzony przez Komendanta Głównego; wyrok sądu przy bazie musi być niezwłocznie zatwierdzony przez kierownika placówki dla politycznej łączności z krajem.

Akta spraw Sądów Kapturowych będą przechowywane przez Komendę Główną względnie przez Komendy okupacji. Dla spraw Sądów Kapturowych Komenda Główna założy repertorium ze skróconymi nazwiskami; repertorium będzie prowadzone na podstawie akt nadsyłanych przez bazy oraz na podstawie związanych meldunków nadsyłanych z Kraju.

Zatwierdza

Komendant Główny

Eugeniusz Strażnica

Józef Godziemba

Komendant Główny ZWZ

Idz. 2955/Og.tjn.40

M.p.dnia maja 1940r.

(brak w oryginale liczby oznaczającej dzień)

PRZYPISY MATERIALNE

Zbrodni zdrady dopuszcza się obywatel Państwa Polskiego, który ujawnia innej osobie tajemnicę organizacji ZWZ lub tajemnicę Państwa Polskiego, dotyczącą obrony państwa lub Sił Zbrojnych.

Zbrodni szpiegostwa dopuszcza się ten, kto udziela rządowi obcego państwa informacji, wiadomości, dokumentów lub innych przedmiotów dotyczących istnienia lub działalności organizacji ZWZ, Polskich Sił Zbrojnych, organizacji i spraw polskich stowarzyszeń, instytucji i władz, które mogą być użyteczne obcemu państwu przeciwko ZWZ, państwu lub narodowi polskiemu.

Zbrodni prowokacji dopuszcza się ten, kto w porozumieniu z władzą obcego państwa lub z własnej inicjatywy, bez rozkazu organizacji polskiej namawia, nakłania lub podżega do czynów lub działalności przeciwko obcemu państwu, celem ich ujawnienia.

Zbrodni denuncjacji dopuszcza się obywatel polski, który przed rządem obcego państwa oskarża lub kieruje ściganiem o czyn przeciwko obcemu państwu.

Kto w sposób niehumaniczny, sprzeczny z naturalnym poczuciem sprawiedliwości przesładowuje lub krzywdzi ludność polską czynem lub zarządzeniem, dopuszcza się zbrodni niehumanicznego przesładowania i krzywdzenia ludności polskiej.

Kto dopuszcza się zbrodni zdrady, szpiegostwa, prowokacji, denuncjacji albo niehumanicznego przesładowania i krzywdzenia ludności polskiej, podlega karze śmierci.

Zatwierdza

Komendant Główny

Eugeniusz Strażnica

Józef Godziemba

Pseudonimu Eugeniusz Strażnica używał Premier i Wódz Naczelny generał dywizji Władysław Sikorski. Pseudonimu Józef Godziemba Komendant Główny ZWZ (w owym czasie) generał broni Kazimierz Sosnkowski.

List ppłk Stefana Musiałka-Łowickiego

Rzeszów, dnia 25.X.1976 r.

W odpowiedzi na postawione mi przez Pana pytanie w liście z dnia 10 bm. muszę na wstępie zaznaczyć, że dysponuję tylko b. skromnymi notatkami odnośnie działalności sądów podziemnych, a szczególnie jeżeli chodzi o sąd w obwodzie Dąbrowa Tarnowska. Toteż chcąc Panu dać pełniejszy obraz działalności sądów w Inspektoracie Tarnowskim AK muszę z konieczności „wypisać się” szerzej poruszyć i inne związane z sądami sprawy. Tym bardziej, że do „Tamy” (Tarnów) zostałem przeniesiony z Rzeszowa przez Komendę Okręgu AK Kraków dopiero w pierwszych dniach maja 1942 roku.

1. Równolegle do organizowanego podziemia wojskowego (oddziałów wojskowych) zaczęto tworzyć podziemną administrację państwową (Administrację zastępczą), która przez delegatury powiatowe i okręgowe organizowane przez partię polityczne miała podlegać Delegatowi Rządu na Kraj. Partie jednak nie dotrzymały zawartej umowy z Komendą Główną ZWZ, w związku z czym gen. Rowecki (Komendant Główny ZWZ) nakazał przerwanie współpracy z Delegaturą. Powstały więc dwie administracje państwowe, administracja tworzona przez wojsko tzw. administracja zmlitaryzowana i przez partię polityczne (Delegatury) administracja zastępcza. W obwodach (komendach) placówkach powstały referaty do spraw cywilnych (lub tzw. mężów zaufania).

Takimi „mężami zaufania” czy referentami do spraw cywilnych w obwodzie (komendzie) Dąbrowa Tarnowska byli Henryk Krzciuk ps. „Daniel”, następnie inż. Jan Mika ps. „Migacz”, a po aresztowaniu Miki mjr Józef Banaś ps. „Skiba”. Scalenie administracji zmlitaryzowanej z administracją zastępczą nastąpiło jeśli chodzi o nasz teren w grudniu 1943 r.

W związku z tym powstały Delegatury na powiaty (starostwa podziemne) a przy Delegaturach Powiatowych sądy podziemne. A więc sądy podziemne wyłonione przez Delegatury na powiaty rozpoczęły działalność mniej więcej od stycznia 1944 r. Oczywiście, że do tego czasu wydawano również wyroki śmierci i wykonywano je.

A kto je wydawał?

2. Podobnie jak istniały dwie administracje państwowe: wojskowe (zmlitaryzowane) i tworzone przez polityków zastępcze, tak również poza oddziałami wojskowymi utworzono dwa kierownictwa walki. I przez wojsko Kierownictwo Walki Konspiracyjnej (KWK) i przez Delegaturę Kierownictwo Walki Cywilnej (KWC).

Do zadań KWK należało wykonywanie sabotażu, dywersji, drobnych działań partyzanckich itp. natomiast m. in. KWC miało wyłonić sądy specjalne do walki ze zdrajcami, służalcami. Wg mnie KWC nie utworzyło takich sądów na terenie Inspektoratu „Tama” (przynajmniej ja nie przypominam sobie tego) a wyroki, jeżeli to tak można nazwać, wydawali dowódcy, inspektor, komendant obwodu w nagłych wypadkach komendanci placówek.

Po scaleniu Kierownictwa Walki Konspiracyjnej i Kierownictwem Walki Cywilnej (również przy końcu 1943 r.) powstało Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP) podporządkowane Komendzie Głównej AK, odpowiedzialne za całokształt walki, natomiast sądownictwo podziemne zostało przekazane Delegaturze na powiaty, przypuszczalnie na okręgi.

3. Komendant Główny AK chcąc, aby wojsko (nie tylko Delegatury) miało wpływ na wyroki, zastrzegł sobie, że wyroki śmierci wydane na wniosek (z oskarżenia) dowódców wojskowych muszą być zatwierdzone przez wojskowych Inspektorów AK. Z jednej strony hamowano zbyt „ostre” sądy specjalne, z drugiej zaś miało zapobiegać by sądy nie lekceważyły oskarżeń (doniesień karnych) dowódców wojskowych.

Prócz dowódców wojskowych doniesienia do sądu specjalnego (podziemnego) mieli wносить członkowie władz cywilnych, partii politycznych itp. Wyroki śmierci z tych oskarżeń nie podlegały zatwierdzeniu przez Inspektora.

4. Do powyższego zarządzenia Komendy Głównej AK (i przypuszczalnie Delegata na Kraj) zastosowały się jedynie sądy podziemne przy Delegaturze Tarnowskiej i częściowo (w ważniejszych sprawach) przy Delegaturze Brzeskiej. Natomiast Delegat na powiat Dąbrowa Tarnowska Stanisław Klimczak wyroków śmierci do zatwierdzenia nie przysy-

łał do Inspektoratu. Sprawa więc w tym obwodzie pozostała jak dawniej; wyroki wydawali dowódcy wojskowi omijając sąd delegacki.

5. Skład sądu podziemnego przy Delegaturze Tarnowskiej, z którą współpracę ułożyła się jak najlepiej: Przewodniczący dr prawa Stanisław Skwarczyński ps. „Korczak”, oskarżyciel Piotr Wilkoń ps. „Piotr”, Tomasz Jędrzykiewicz ps. „Stały”, zdaje się ktoś trzeci poza oskarżycielem, którego nazwiska nie znam.

Sąd podziemny jak i Delegatura był w składzie opalowym przy ul. Krakowskiej. Sąd w tym składzie przeprowadzał rozprawy i wydawał wyroki.

6. Doniesienie (oskarżenie) do sądów podziemnych (jak również w poprzednim okresie do władz wojskowych) wnosł też dowódca w rejonie którego ujawniono przestępce np. jeśli w jakiejś wsi najstarszym dowódcą był dowódca plutonu i w tej miejscowości wykryto konfidenta — d-ca tego plutonu po przeprowadzeniu skrupulatnych dochodzeń, wnosł oskarżenie do sądu drogą służbową tj. przez d-ccę placówki i obwod. Dowódcy pośredni (Placówki Obwodu) mieli obowiązek sprawowania czy oskarżenie polega na prawdzie i po zaopiniowaniu doniesienia karnego przesłać „wyżej”. Przypisy w sprawie sporządzania doniesień karnych do sądu były b. rygorystyczne by zapobiegały tzw. „pomysłom sądowym” tj. strzelaniu ludzi niewinnych, jak to niestety zdarzało się w okresie poprzednim, doniesienia miały być w pełni uzasadnione zwłaszcza w sprawach cięższych „gardłowych”. Toteż wiele doniesień w tych sprawach (chyba ok. 33%) było zwracanych wnioskodawcom celem uzupełnienia np. celem dodatkowego przesłuchania świadków. W takich wypadkach sprawa ta się przewlekła ale sąd był nieugięty, bo chodziło o życie ew. niewinnego człowieka.

Zdarzało się często, że zwrócony do uzupełnienia wniosek nie wracał do sądu, gdyż przy skrupulatnych ponownych dochodzeniach okazało się, że oskarżenie było bezpodstawne, często oparte na zatargach sąsiedzkich czy też innych poglądach politycznych, „oskarżyciela” i podejrzanego.

7. Wyroki sądu specjalnego—zasadniczo były dwa: w sprawach ciężkich (współpraca z Niemcami, z gestapo, żandarmerią, spowodowanie „wsypy”) o ile wina oskarżonego nie budziła najmniejszych zastrzeżeń — kara śmierci.

W przypadku, gdy były poszlaki ale całkowicie nie udowodnione, oskarżony otrzymywał ostrzeżenie. Część tych spraw (niewielka) a raczej

doniesień była odkładana do archiwum (niezależnie od wysłania oskarżonemu ostrzeżenia) z adnotacją do ponownego rozpatrzenia po wojnie.

Ostrzeżenia sądu podziemnego działały piorunująco, oskarżeni poza nielicznymi wyjątkami zmieniali swoje postępowanie, swój stosunek do Niemców gwałtownie. W wypadku jednak, gdy oskarżenie okazało się słuszne, wykonywano wyroki śmierci. Wyroki śmierci wykonywały specjalne patrole „likwidacyjne” (1+2 do 1+4) uzbrojone w broń krótka a czasami posiadały maszynową (obstawa, ubezpieczenie).

Dodam tu jeszcze, że w sprawach drobnych (np. zbyt gorliwych wójtów czy sołtysów przy ściąganiu kontyngentów) stosowano karę chłosty. Ale winny karany był nie przez sąd (zazwyczaj) lecz przez miejscowych dowódców np. były wypadki karania służalców w miejscach publicznych po sumie w kościele wychodził sobie taki obywatel, a przed kościołem czekał nań patrol złożony z ludzi nieznanych w tej okolicy. Kludli winników „w odwrotną stronę medalu ku ucieście pobożnych”.

Tak wymierzona kara chłosty działała podobnie jak ostrzeżenie. Dowódcy miejscowi karali również stryżeniem głowy te dziewczęta, które swą cnotę „nadwyreżały” z Niemcami. Wyrok śmierci podpisany przeze mnie stawał się prawomocny i wracał do wnioskodawców celem wykonania.

Trudno mi dzisiaj powiedzieć ile dokładnie wydał sąd podziemny przy Delegaturze na powiat Tarnów wyroków śmierci, przypuszczam, że nie mniej niż 30 (podpisanych, zatwierdzonych przeze mnie).

Ale było około 15 wypadków, że wyroków nie podpisałem, gdyż uznalem, że brak dostatecznych dowodów, by zastosować ten najwyższy wymiar kary. Wówczas pisałem na dokumencie: brak dostatecznych dowodów; do ponownego rozpatrzenia sprawy po wojnie.

Stefan Musiałek—Łowicki

7. Tadeusz Seweryn: Polskie sądownictwo podziemne. Przegląd lekarski 1961, I. Kraków, zeszyt szósty, rok XX, seria II str. 16.

8. Pplk. Stefan Musiałek—Łowicki, relacje.

LIKWIDACJA KONFIDENTÓW I WALKA Z DONOSICIELSTWEM

9. A. Pietrzyk: Powiat dąbrowski w latach okupacji hitlerowskiej (1939 – 1945). W: Dąbrowa Tarnowska, op. cit. str. 590.

Relacje: Zdzisław Baszak, oficer dywersji Komendy Obwodu

Wł. Świątek dowódca placówki AK „Genia” gmina Gręboszów, Tadeusz Krasnodebski — policjant granatowy i członek BCH w Orlinowie, Józef Budzioch — dowódca drużyny łączności przy placówce „Wacława” Wietrzychowice, Ludwik Zajac — policjant granatowy i członek AK w Dąbrowie Tarnowskiej. Jan Kamysz — dowódca plutonu i sekcji dywersji przy placówce „Wacława”, Michał Guzy — mąż zaufania i członek AK przy placówce „Rena – Róża” gmina Radłów, Władysław Kabat — dowódca obwodu „Drewniak” powiat Dąbrowa Tarnowska, Ryszard Kotra — członek sekcji dywersji przy placówce „Zofia” gmina Żabno, Antoni Węgiel — członek AK w Dąbrowskich Breńskich.

Dziękuję P.T. księżom z terenu b. powiatu Dąbrowa Tarnowska i części parafii b. powiatu Brzesko oraz Mielec: ks. Marianowi Jachowiczowi, Antoniemu Ślezakowi, Janowi Dudkowi, W. Stępieniowi, Kazimierzowi Jaroszowi, St. Górze, P. Łabuzowi, W. Banachowi, Janowi Pięcie, Franciszkowi Głabowi, Franciszkowi Węglowi, T. Gnojskiemu, J. Jakubowskiemu i innym, którzy podpisali się nieczytelnie.

10. Józef Kozaczka: Tragiczna pomyłka.

Zielony Sztandar, 1974, nr 17, str. 4.

Na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska, podczas okupacji hitlerowskiej z wyroku sądu konspiracyjnego zostało pozbawionych życia kilkunastu obywateli polskich — jawnie lub skrycie współpracujących z okupantem. Wśród nich zginął Tomasz Madura z Luszowic, jako podejrzany o współpracę z tarnowskim gestapo. Wyrok wykonano 30 października 1943 r. w Luszowicach, gdzie narodził się i mieszkał T. Madura. Na krótko przed najazdem hitlerowców na Polskę przybył tu i zamieszkał Józef Szalski rodem z Kalisza. Poznał on bowiem przebywając na zarobkowej pracy sezonowej w Niemczech luszowiankę i z nią się ożenił. Znał język francuski i niemiecki. Gdy wojska niemieckie wkroczyły do Dąbrowy, we wrześniu 1939 roku, Szalski przyjął obywatelstwo

niemieckie, dzieci swoje wypisał z miejscowej szkoły i przeniósł je do niemieckiej w Tarnowie. Otrzymał też broń palną i zezwolenie na otwarcie sklepu w Luszowicach. Wkrótce stał się on postrachem mieszkańców tylko wsi, w której mieszkał. Był ponadto „ubezpieczony” na 10 głów zakładników. Tomasz Madura rodak z Luszowic, wicarz, później działacz SL, uchodził na wsi za ruchliwego działacza i dobrego organizatora, spokojnego mieszkańca, zgodnego sąsiada, lecz upartego i nieustępliwego gdy uważał, że racja po jego stronie.

W latach okupacji sołtysiem w Luszowicach był Stanisław Król. Miał on z Madurą osobiste porachunki. Stosunki między nimi uległy pogorszeniu gdy Stanisław Król jako sołtys stał się jak o nim mówiono „panem życia i śmierci”. Miał więc przewagę nad swym przeciwnikiem. Madura żalił się nieraz na sołtysa, że zbyt często wyznacza go nad podwoje, zbyt też wysokie nakłada nań kontyngenty zboża oraz żywa i innych produktów na rzecz okupanta. Dochodziło więc często między tymi dwoma nieustępliwymi ludźmi do ostrych starć, a nawet do rękoczynów. We wsi mówiono o nich „trafiła kosa na kamień”. Ze strony Tomasza Madury padły pogłoski pod adresem sołtysa, „odpowiesz za swe sprawy po wojnie”. Natomiast sołtys wykrzykiwał „zginie ten, kto się mnie sprzeciwi” (z zeznań świadków przed SO w Tarnowie).

Tomasz Madura zginął pod zarzutem rzekomej współpracy z okupantem. W rok później zapłacił życiem faktyczny zdrajca narodu poskiego — Józef Szalski. O ile wypadek drugi przyjęty został z ulgą i aprobatą nie tylko mieszkańców Luszowic, ale również i całego powiatu: dąbrowskiego i tarnowskiego. Godzi się wyjaśnić, że w listopadzie 1942 roku, groźny na terenie powiatu kat Powiśla Dąbrowskiego wachmeister żandarmerii Engelbert Guздеk przybył do Luszowic z zamiarem aresztowania Tomasza Madury, ale nie zastawszy go w domu, aresztował jego żonę Marię, mimo że miała paromiesięczne dziecko. Była ona kierowniczką szkoły w Luszowicach i nie tylko nauczycielką, ale wielkiej wiary patriotką i działaczką społeczną. Zginęła w Oświęcimiu.

Po wojnie rodzina Tomasza Madury dopinguowana opinią przeważającej większości mieszkańców wsi, złożyła skargę do prokuratury przeciwko byłemu sołtysowi Stanisławowi Królowi (po wyzwoleniu wyjechał z rodziną na Ziemię Odzyskane i tam się osiedlił), jako inspiratorowi śmierci ich brata i ojca nieletniego syna Marii i Tomasza Madurów. Zmudne dochodzenie, przesłuchania kilkudziesięciu świadków z Luszow-

wie i Dąbrowy, a nawet działaczy konspiracyjnych podziemia z Krakowa rozpoczęto na polecenie prokuratury we Wrocławiu w lutym 1946 r. Zakończono werdyktem Sądu Okręgowego w Tarnowie z dnia 26 września 1950 roku. Sąd na podstawie kontrowersyjnej opinii świadków nie mógł jednak bezbłędnie uznać winnym jako jedynego inspiratora śmierci Madury — b. sołtysa Stanisława Króla. Wobec czego wydał wyrok uniewinniający. Przewód sądowy nie ujawnił również dowodów obciążających Madurę jako współpracownika okupanta. Przy zabitym — jak zeznał jedyny świadek Józef M. — znaleziono w jego kieszeni dowód nadania listu do gestapo w Tarnowie. A przecież jak zeznało wielu innych świadków, żona Tomasza Madury była w łapach gestapo, chodziło o złodzieństwo okupu za więzioną żonę, którego Tomasz nie był w stanie uiścić. Dziś jeszcze po upływie 30 lat od tamtych wydarzeń, mieszkańcy Łusowic z ubolewaniem wspominają tragiczną śmierć bohaterskiej kierowniczki szkoły pani Wierchowskiej Madurowej, a także tragiczną pomyłkę w wydaniu pochopnego wyroku na człowieka.”

Tu gwoździści należy dodać, że Szalski znalazł na cmentarzu wódek z granatami, a będąc w złych stosunkach z Madurą doniósł gestapo, że to własność Madury. Tak doszło do aresztowania żony Madury.

11. Józef Buszko, Alina Fitowa, Jan Nowak: Ruch oporu na wsi małopolskiej w dokumentach konspiracyjnych ruchu ludowego (1940 – 1944).

Wyd. PAN, Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk 1973, str. 65.

CZARNE SEPY ZNAD DUNAJCA

12. Policja kryminalna. Archiwum Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Krakowie 2/O:

Relacje: Józefa i Józefa Wolańscy, Maria Gala (wdowa po Tadeuszu Kosieniaku), Józef Migala, Ludwik Kosieniak, Jan Surdek, Maria Litera, Tekla Skowron, Franciszek Mazur, Władysław Magiera z Siedliszowic.

Jan Żołędź, Władysław Sekuła, Władysław Gawor, Józef Kasprzak, Karol Libura, Piotr Piotrowski, Tadeusz Krasnodębski, Witold Prażuch z Orlinowa, red. Władysław Grabka z Brnika.

Czesław Sysło z Borzęcina, Jan Kalafarski, Henryk Wolański z Gręboszowa, Władysław Świętek z Lubiczka, Józef, Teofil i Jan Musiałowiec, Władysław Rachmaciej z Wielopola, Mieczysław Wątroba, Jan Walusiak

z Szarwarku, Józef Rzepka z Brnika, Józef Budzioch z Woli Rogowskiej, Feliks Konopka z Brnia, Eugenia Kowol ze Swarzowa, Maria Stadnicka-Lasotowa z Brzostkowa, Stanisław Boduch z Żelichowa, Eugeniusz Wdowiak z Woli Żelichowskiej, Kazimierz Kozioł, Józef Sajdera, Józef Kmiecik, Franciszek Ząbek, Józef Rusiecki z Toni, Ewaryst Terczyński z Bochni, Kazimierz Sierak z Pierszyc, Józef Drowniany z Olesna, Józefa Sachaj z Janikowic, Jan Kluba z Łapanowa, Adam Kucharski, Feliks Pitas z Żabna, Danuta Henryka Telesińska z Warszawy.

13. Relacje: Magdaleny Idzik-Dubiellowej, Stanisława Pietrasa, Wojciecha Puły i Juna Gondka.

Informacja Idzika o wypuszczeniu przez niego 40 więźniów, jak się wydaje, jest tyleż sensacyjna co nieprawdopodobna. W przedmiotowej literaturze nie znalazłem wiadomości o tak wielkiej ucieczce więźniów z tarnowskiej katowni. Kwerenda archiwalna także nie dała pozytywnego rezultatu, ale trzeba pamiętać, że dokumentacja więzienia w Tarnowie jest zdekompletowana. Zarówno rozmowy z wieloma osobami, które otarły się o tę problematykę, jak i obfita korespondencja, nie wniosły tu niczego nowego.

Jednak waga i niezwykłość informacji oraz towarzyszący jej niezmienne sceptycyzm skłonił do dalszych nieustannych poszukiwań. W stale poszerzanym kręgu indagowanych osób znalazła się także, obok b. funkcjonariuszy i pensjonariuszy więzienia, społeczność rodzinnych stron Idzika, która jednak uparcie utrzymywała mit o masowej ucieczce. Sprawa wydawała się już beznadziejna — zagadka nie do rozwikłania. I wówczas pospieszyła z pomocą wdowa po Idziku. Widocznie tylko ona była najbardziej wjaśniona we wszystko, co przeżył i czego doświadczył Idzik. Na zewnątrz zaś, może dla doraźnych celów i potrzeb chwili podtrzymywał krzepiący mit, budował pozytywny (bardzo) obraz bohatera. Wydaje się, że relacja wdowy polega na prawdzie, jest logiczna, spójna, rzeczowa.

Przecież Tarnów, znaczący ośrodek miejski, był w tym czasie nasycony różnymi elementami aparatu przemocy, a nade wszystko wojskiem i różnymi formacjami policyjnymi wroga. Te fakty mówią same za siebie.

14. A. Pietrzyk: Powiat dąbrowski w latach okupacji hitlerowskiej (1939 – 1945).

W: Dąbrowa Tarnowska op. cit. str. 573.

Stwierdza, że aresztowania te miały miejsce 13 listopada 1942 roku, zaś mieszkańcy utrzymują, że było to 7 listopada 1942 roku. Monografia ta podaje jedynie jedenaście nazwisk aresztowanych, pomijając zresztą nazwy wsi z których pochodzili. Dlatego przytaczam we wstępie również te nazwiska i jednocześnie podaję nazwy wsi.

1. Stanisław Błacho, wieś Lisiaki.
2. Jakub Błacho, wieś Lisiaki.
3. Jan Doroż, wieś Czarkówka.
4. Kazimierz Doroż, wieś Lisiaki.
5. Władysław Doroż, wieś Czarkówka.
6. Julia Frącz, wieś Poręba.
7. Antoni Kawa, wieś Żdźary.
8. Jan Gondek, wieś Zarzeczce Małe.
9. Piotr Gondek, wieś Zarzeczce Małe.
10. Zygmunt Golec, wieś Żdźary.
11. Antoni Łabuz, wieś Poręba.

Po wojnie wrócili z Oświęcimia: Feliks Ziobroń, wieś Jamy; Apollonia Guła, wieś Jamy; Piotr i Julia Bobkowie, wieś Jamy; Katarzyna Ziobroń, wieś Małec; Jan Idzik, wieś Małec; Wojciech Pietras z żoną, wieś Małec; Bronisława Bartyzel, wieś Małec; Bronisław Puła, wieś Małec.

Nadto w oparciu o archiwum ZBoWiD w Radgoszczu oraz relację jego prezesa Jana Podoska i Stanisława Pietrasa ustalono nazwiska pozostałych aresztowanych wtedy osób:

1. Władysław Gmyr, wieś Małec, 2. Aleksander Doroż, wieś Małec, 3. Bronisława Bartyzel, wieś Małec, 4. Władysław Piela, wieś Małec, 5. Katarzyna Idzik, wieś Małec, 6. Kazimierz Idzik, wieś Małec, 7. Jan Koper, wieś Małec, 8. Izabela Puła, wieś Małec, 9. Janina Puła, wieś Małec, 10. Jan Pietras, wieś Małec, 11. Wojciech Pietras, wieś Małec, 12. Barbara Pietras, wieś Małec, 14. Tomasz Sołtyś, wieś Górki, 15. Piotr Lezoń, 16. Antoni Kawa, wieś Żdźary, 17. Franciszek Frącz, wieś Trzydniaki, 18. Karol Nizek, wieś Trzydniaki, 19. Franciszek Frącz, wieś

Zarzeczce Małe, 20. Genowefa Gondek, wieś Zarzeczce Małe, 21. Kazimierz Grabowski, wieś Żdźary.

Natomiast wkrótce zostali zastrzeleni przez Guzdek:

1. Piotr Oleś, wieś Podlesie, 2. Sołtyś (imięcia nie ustalono).

15. Jan Masłowski: Pielęgniarki w drugiej wojnie światowej. PZWL, Warszawa 1976, str. 123.

16. Maria Hochberg-Mariańska: Dzieci oskarżają. Centralna Komisja Historyczna przy Centralnym Komitecie Żydów w Polsce, Kraków, Łódź, Warszawa 1947, str. 58.

17. L. Wołoszynowa: Materiały do nauczania psychologii. Seria IV, tom I, Psychologia kliniczna i psychopedagogika specjalna. PWN, Warszawa 1966, str. 89 – 96

Elżbieta Fonberg: Nerwice, przesady i nauka.

Wiedza Powszechna, Warszawa 1971, str. 142, 143, 37, 39.

ENGELBERT GUZDEK — KAT POWIŚLA

18. Władysław Mysliński: A jednak tak było. LSW, Warszawa 1978, str. 119 – 321.

19. A. Pietrzyk: Powiat dąbrowski w latach okupacji hitlerowskiej (1939 – 1945).

W: Dąbrowa Tarnowska, op. cit. str. 573

Podaje błędnie, że E. Guzdek zaczął działać w Radgoszczu w listopadzie 1942 roku. Tymczasem, jak wynika z zapisów w archiwum ZBoWiD w Radgoszczu oraz relacji prezesa Mariana Podoska i innych Guzdek już 28 sierpnia zjawił się u Józefa Puły w Jamach i czynił wypadły w teren. Również nie był członkiem SS, jak piszą niektórzy autorzy artykułów.

Eugeniusz Dąbrowski: Bez broni.

Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1969, str. 97

Tadeusz Kisielewski i Jan Nowak: Chleb i krew. Moja wieś w czasie okupacji. Wspomnienia.

LSW, Warszawa 1968, str. 109

„Innym znacznie większym oprawcą był niejaki Guzdek, który strzelał do ludzi gwoili zaspokożenia własnej przyjemności, dla dogodzenia

dzikim zachciankom i ucieszenia się. Ofiar swoich nie wybierał... bali się go sami granatowi policjanci..."

Józef Koraczka: *Kat Powiśla Dąbrowskiego*.

Wieści, 1967, nr 3 str. 5

Jest tu krótka charakterystyka E. Guzdką, kilka przykładów zbrodni bez ich opisu.

Władysław Myśliński: *Morderca*.

Głos Młodzieży, 1970, nr 20 str. 5

Informuje tu błędnie, że Guzdek zamordował własną matkę.

Tadeusz Wroński: *Egzekucje na terenie województwa krakowskiego w latach okupacji 1939 – 1945*.

Ministerstwo Sprawiedliwości. Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce nr 67, Warszawa 1975.

Autor wspomina tu o ważniejszych egzekucjach, nie podaje opisu. Jednak niekompletna baza źródłowo-dokumentacyjna sprawiła, że pominał wiele egzekucji i faktów z nimi związanych, np. nie wspomina o tragedii Wójcików.

Braki dotyczą m.in. roku egzekucji (i dat w ogóle) ich liczby i ofiar. Mimo najlepszych chęci zbyt często pisze „egzekucji dokonali żołnierze nieustalonej formacji. Powodu nie ustalono o zwłokach brak danych”.

Tymczasem z zebranych przeze mnie materiałów źródłowych wiadomo, że w wielu zasygnalizowanych wypadkach dane te są znane aż nadto dokładnie. Bardzo często są to właśnie zbrodnie E. Guzdką. Z przytoczonych przez Wrońskiego danych statystycznych wynika, że liczba zbrodni dokonanych na tym terenie nasiliła się wyraźnie w latach 1942 – 1943. Należy tu podkreślić, że to krwawe żniwo było w dużej mierze wynikiem zbrodniczej działalności Guzdką.

Relacje: Władysław Kopia, red. Władysław Ławicki, ks. Józef Leśniak, organista Jan Gondek, kościelny Franciszek Wąż, Władysław Akşamit, Marian Podosek — prezes miejscowego ZBoWiD, Jan Komoński b. policjant granatowy, Piotr Burzec — członek miejscowej kapeli ludowej, Ludwik Dudek — nauczyciel, Leon Borek, Emilia Urban z domu Juzba, Piotr Urban, Miłotia z Radgoszczy, dr Józef Marszałek ze Smykowa, mgr Zygmunt Gula, Stanisław Pietras z Woli Wadowskiej, dr Jan Bardan z Jam.

20. Stanisław Wroński i Maria Zwolakowa: *Polacy Żydzi 1939 – 1945*. Książka i Wiedza, Warszawa 1971, nr 344

Autorzy wymieniają jedynie część nazwisk.

Józef Więclaw: *Noc grozy*.

Gromada Rolnik Polski, 1967, nr 28 str. 6

Mgr Andrzej Woźniak pisze w relacji: „Guzdka ogarnęła wściekłość na wiadomość, że Żydzi przygotowali nań zamach, a ocalenie swe zawdzięcza bojaźliwości Żyda, który widząc jadącego Guzdką porzucił kabinę i uciekł do lasu.”

Jan Gondek wspomina:

Po wyzwoleniu na rozprawie w sądzie w Tarnowie jako świadek służącem wystąpił b. policjantów granatowych z Radgoszczy. Twierdzili, że w sprawie Szkotaków ktoś podrzucił anonim na posterunku, dlatego wysłali scyitya Piotra Pikulę z poleceniem usunięcia Żydów ze wsi. Tak bronił się b. komendant Szypulski i policjanci: Młynarczyk, Nowicki, Szalański i inni.

Jednak Szkotakowie nie wiedzieli, że Żydzi ukrywają się na ganku w pustym domu.

21. A. Pietrzyk: *Powiat dąbrowski w latach okupacji hitlerowskiej (1939 – 1945)*.

W: Dąbrowa Tarnowska, op. cit. str. 572.

Monografia ta nie podaje jednak nazwisk ofiar. Archiwum ZBoWiD w Dąbrowie Tarnowskiej i relacja Wojciecha Młeczki z Grądów pozwoliły ustalić nazwiska ofiar Wendlanda: Mędrzechów — Stefania Kogut, kręciła się koło getta. Wendland aresztował: z polecenia Wendlanda policjant Nowak zastrzelił kogoś w kopce żyła w Grądach.

Kupcinin — Paweł Karol, Franciszek Białek, Józef Curyło, Stanisław Białek. Wólka Mędrzechowska: Tadeusz Kleszczyński b. legionista, który przed wojną w odpowiedzi na apel prasowy zgłosił się ochotniczo w charakterze tzw. żywej torpedy, Zofia Sroczyńska, jego kochanka — straceni w Złobicach za broń, którą wozami przywiózł ze stacji PKP i ukrył w folwarku kochanki. Jan Zagraniczny za uprawianie antynieemieckiej propagandy — wywieziony — zginął.

Bronisław Wadas — członek KPP zginął w Oświęcimiu, Czesław Babiarczyk za broń, Józef Bzdula zabity w Mędrzechowie, Marian Minor kierownik szkoły powszechnej.

Pawłów: Jan Misiaszek, Kazimierz Malinowski, Julian Saletnik — katowani i zastrzeleni w Mędrzechowie.

Odmęt: Stanisław Woźniak za broń, Mazur ze wsi Skrzyńska i Franciszek Sieroń za niewykonanie poleceń zamordowani w Tarnowie.

Wólka Grądzka: Aniela Kowal za sabotaż, Jan Woźniak aresztowany za udział w ruchu oporu zginął w Oświęcimiu.

Małec: Franciszek Mikus, Jan i Wojciech Rysowie, Wojciech i Michał Szendolowie. Wólka Mędrzechowska: Stefan Krajewski, Grzegorz Dudek, Władysław Bzdula za broń, Karolina Orszulak za udzielenie pomocy Żydom, rozstrzelana w Dąbrowie Tarnowskiej, ks. Wojciech Papież za wrogie wypowiedzi pod adresem okupanta (m.in. „ściecie bób, tego wam Niemcy nie wezmą”), Stanisław Knaga, wywieziony na roboty do Niemiec publicznie powieszony. Wójcina: Tomasz Kaczor członek SL i ruchu oporu zginął w Oświęcimiu. Ludwik Święch i Piotr Chrabaszcz powieszeni w Rzeszy. We wsi Samocice koło Bolesławia mieszkali rolnik Józef Kurpaska ojciec 12-cioorga dzieci. W grudniu 1939 roku na podwórzu wjechał samochód z gestapowcami. Niemcy zabrali Kurpaskę, ponieważ oddał pistolet przyniesiony do domu przez syna Karola. Dzieci zaczęły krzyczeć, ojciec zęgnął się z nimi.

Kiedy podał na pożegnanie rękę synowi Karolowi, ten ucałował dłoń ojca i powiedział: „Pistolet był mój, zabierzcie mnie za ojca...”. Wraz z innymi został zastrzelony w Zbylitowskiej Górze koło Tarnowa.

Relacje: Paweł Kochanek z Toni, wójt w Bolesławiu, Janina Kolarz w Bolesławiu, Benedykt Menel z Warszawy, Józef Skowron, Jan Kudła, Mieczysław Pięga, ks. Stanisław Góra z Mędrzechowa, Wojciech Młeczko, Józef Zagraniczny z Grądów, Julian Nowak z Ówlikowa.

22. Eugeniusz Dąbrowski: Szlakiem „Jędrusiów”. op. cit. str. 64 – 65

23. Eugeniusz Dąbrowski: Szlakiem „Jędrusiów”. op. cit. str. 71

24. Józef Kozaczka: Zawsze ojczyźnie wierni. WTK, 1972 nr 5 str. 6

25. Adam Boniecki: Herbarz Polski. Warszawa 1901, tom I, str. 70.

W roku 1782 dwaj bracia Konopkowie Jan i Piotr synowie Józefa i Anny z Moszyńskich, dzierżawców żup solnych w Wieliczce i Bochni. W połowie XVIII wieku otrzymali godność rycerską, zostając wpisanymi do matrykuły ekwitów Galicji, a w roku 1791 tytuły baronowskie od cesarza Leopolda II. Baron Jan Konopka (1732 – 1804) nabył od książąt Czartoryskich majątek Breń, który od tej pory był główną siedzibą tej linii baronów Konopków.

26. Wojciech Młeczko: Moje spotkania z Guzdek.

Tarnowski Magazyn Informacyjny, 1986, nr 35 str. 5.

OTFINÓW — ESKALACJA TERRORU

27. A. Pietrzyk: Powiat dąbrowski w latach okupacji hitlerowskiej (1939 – 1945).

W: Dąbrowa Tarnowska, op.cit. str. 574

Podaje krótką informację: „W Otfinowie koło Żabna niejaki Guzdek — żandarm z tamtejszego posterunku zabija po parę osób dziennie”.

Ks. Józef Kłoch zanotował w kronice parafii Otfinów, że Guzdek to Wawerpolak ze Śląska i przed przybyciem do Otfinowa zamordował 1000 Polaków.

Relacje: Tadeusz Krasnodębski — policjant, Zygmunt Wrzosek z Niecieczy — wójt, Józef Menel, Jan Grzymek — sołtysi, Jadwiga Strzok — kucharka posterunku policji granatowej, Władysław Gawor — komendant 12-osobowej warty, Józefa Dziądko, Józef Kasprzak — agronom, Cecylia Wróbel — położna, Władysław Sekula, Jan Żołędź z Otfinowa.

Józef, Teofil i Jan Musiałowie z Wielopola, Eugenia Kowol ze Swarzewa.

Piotr Baran, Feliks Zych, Józef Powroźnik, Kazimierz Augustyński z Gorzyc, Stanisław Przybyłek, Stanisław Pęczak z Żabna, Tadeusz Złotnicki z Siedliszowic, baron Feliks Konopka z Brnia, hrabia Jan Stanisław Łoś z Brzysk koło Jasła, profesor KUŁ-u, Emilia Węgiel z Olesna, Eugeniusz Kopeć z Olcńcy, Czesław Sysło z Radłowa, Natalia Stadnicka-Kalinowa z Rytwian koło Staszowa.

28. Kronika parafii Otfinów podaje, że Liro z Wielopola został zastrzelony przez Rommelmana. Opinia publiczna, w tym rodzina ofiary mniemają, że uczynił to Guzdek. Jednak kronika jest bardziej

wiarygodna. Ludność natomiast zasugerowana złą sławą Guzdką, skłonna jest przypisywać mu wszystkie zbrodnie.

29. A. Pietrzyk: Powiat dąbrowski w latach okupacji hitlerowskiej (1939 – 1945).

W: Dąbrowa Tarnowska, op. cit. str. 574.

Wspomina o tragedii Wróblów i okolicznych wsi tylko w jednym zdaniu, nie podając ani nazwisk ofiar, ani nazwisk osób, które po wojnie wróciły z obozów.

Relacje: Paweł Kochanek z Toni, wójt w Bolesławiu, Władysław Kudła z Olesna.

30. Jan Antoń: Podwójne życie żandarma Johna.

Więści, 1974, nr 42, str. 7.

ZAGŁADA CYGANÓW W SZCZUROWEJ

31. Tadeusz Kisielewski i Jan Nowak. op. cit. 109

Władysław Myśliński: A jednak tak było. op. cit. 324 – 328.

Relacje: Władysław Magiera w Siedliszowicach.

Przewodnik po upamiętnionych miejscach walki i męczeństwa, lata wojny 1939 – 1945.

Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, Warszawa 1964, str. 143.

32. A. Pietrzyk: Powiat dąbrowski w latach okupacji hitlerowskiej (1939 – 1945).

W: Dąbrowa Tarnowska, op. cit. str. 574

Ogranicza się do zasygnalizowania tego faktu w przypisach.

Przewodnik po upamiętnionych miejscach walki i męczeństwa, lata wojny 1939 – 1945 op. cit. w ogóle przemilcza ten fakt masowej zbrodni.

Adam Kazimierz Musiał: Masowa egzekucja Cyganów w Żabnie.

Więści, 1974, nr 17, str. 3.

Sprawa tej egzekucji wymaga sprostowania. Otóż Władysław Kabat w artykule „Krwawy upiór”, Za i Przeciw, 1974, nr 10, str. 5 – 6 przypisuje tę zbrodnię Guzdkowi i innym, co jest niezgodne z prawdą. Z relacji

naocznych świadków Teofila Włocha i Józefa Tyłmanowskiego z Żabna jednoznacznie wynika, że mordu w Żabnie dokonał W. Rommelman.

Stanisław Przybytek urzędnik miejski tak relacjonuje sprawę: „Jako delegat miejski był przy egzekucji viceburmistrz Żabna Teofil Włoch, który mi to wszystko opowiedział.

Rommelman kazał wszystkim Cyganom rozobrać się i kłęczącym lub leżącym kolejno strzelał w tył głowy. Jednego z uciekających zastrzelił Guzdek. Po egzekucji Rommelman z urzędu gminy telefonował do Tarnowa, podając wiadomość o likwidacji Cyganów. Mówiła mi o tym koleżanka znająca język niemiecki. Rommelman zauważył, że na grobie ofiar złożono kwiaty i zapowiedział urzędnikom miejskim, że w razie ponownej dekoracji grobu spacyfikuje Żabno. Dlatego burmistrz Żabna każdego ranka posyłał woźnego, by ten sprzątał kwiaty z mogiły. Jeszcze przed egzekucją Rommelman zażądał od burmistrza Stanisława Uramka listy osób niepotrzebnych dla władz miasta.

Burmistrz odpowiedział, że w Żabnie przebywa dopiero od czasu wojny, więc nie zna mieszkańców. Wobec tego załatwienie tej sprawy zlecił viceburmistrzowi Teofilowi Włochowi. Włoch odpowiedział, że takich ludzi nie ma, jest tylko on sam stary i niepotrzebny. Wtedy gestapowiec poklepał viceburmistrza po ramieniu i powiedział, że Włoch jest dobrym człowiekiem.

Po wojnie Rommelman został rozpoznany przez Żydówkę, której rodzinę wymordowano w Tarnowie. Przed Sądem Okręgowym w Tarnowie, gdzie zeznawałem w charakterze świadka Rommelman nie chciał się przyznać do zbrodni popełnionych w Żabnie. Oskarżał niektórych Polaków o to, że byli jego konfidentami. 25 marca 1946 roku został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 9 listopada 1948 roku na dziedzińcu więzienia w Tarnowie.

33. Relacje: Kazimierz Witkowski:

„... Skutki prowadzonej przez Niemcy wojny dało się odczuć nie tylko na linii frontu, ale również na dalekim jego zapleczu. Brzemieniem kładły się i na naszą wieś przymusowe dostawy zboża, trzody chłownej, bydła — wszystko dla potrzeb frontu. Plody rolne oddawać musiano prawie za darmo pod groźbą obozu koncentracyjnego a nawet utraty życia.

Drugą nie mniejszą złą, która trapiła wieś były przymusowe wyjazdy na roboty do Niemiec i w związku z tym urządzano przez władze okupacyjne łapanki.

Ludność żyła w ciągłym strachu, w obawie przed aresztowaniem, które w okolicy nasilały się. Znany był już Oświęcim.

Na terenie gminy Otfinów szalał Guздеk osławiony, bezwzględny żandarm niemiecki, mający na sumieniu śmierć wielu Polaków. W tym trudnym czasie jakby zaprzeczeniem pierwszego, istniało we wsi drugie życie, życie w konspiracji. O wydarzeniach na frontach i walce narodu polskiego w kraju informowała prasa podziemna. Słuchaliśmy w ukryciu radia. Każda akcja przeciw okupantowi czy to zbrojna, czy sabotażowa podnosiła na duchu i pozwalała wierzyć w ostateczne zwycięstwo.

W tym czasie szczególnie nasilały się akcje sabotażowe.

Władze niemieckie chcąc przeciwstawić się tym działaniom, które pomniejszały potencjał gospodarczy i obronny Niemiec, organizowały obronę. Wznaczano w gminach obsady posterunków policji granatowej i policji niemieckiej. We wsiach organizowano warty nocne mieszkańców oraz warty Ochotniczych Straży Pożarnych.

Zadaniem wart było pilnowanie obiektów o znaczeniu gospodarczym przed dywersją oraz czuwanie, aby nie dopuścić do powstania pożarów.

Zorganizowana we wsi warta nocna składała się z 6-ciu ludzi, komendanta i 2-ch gońców. Na każdą noc wyznaczeni byli przez sołtysa inni wartownicy według kolejności.

Byłem wyznaczony na gońca.

Zadaniem gońców było powiadomić posterunek policji w Otfinowie o wszelkich zaistniałych napadach i ewentualnych pożarach. Pełnienie wart było bardzo uciążliwe. Wiesz nie była duża, dlatego też zmiany następowały szybko po sobie.

Nieobecnym na warcie nie można było być, ponieważ groziło to konsekwencjami. Warty były kontrolowane przez policję granatową i policję niemiecką.

Wracając do akcji sabotażowych, to jak dotąd na naszym terenie nie miały one miejsca.

Przypominam sobie, że raz w rozmowie z moim bezpośrednim dowódcą st. sierż. Józefem Luszowskim ps. „Zapora” ten wspomniiał, że brane jest pod uwagę zniszczenie urządzeń mleczarni w Niecieczy, ale nie wiadomo jeszcze, czy to nastąpi i kiedy.

Było wiadomo, że mleczarnia w Niecieczy, jak na ówczesne czasy prowadziła na dużą skalę produkcję. Produkowane masło odstawiane było do Tarnowa, gdzie trafiało do magazynów wojskowych. Taka akcja

wyłączyłaby na pewien okres dostawy masła dla wojska. W czasie tym na naszym terenie miały miejsce akcje, ale o innym znaczeniu. Może nie były one tak widoczne, niemniej jednak były bardzo potrzebne. Tu i ówdzie słysząc było o zniszczeniu bimbrowni. Zniszczeń dokonywały grupy dywersyjne podziemia, aby w ten sposób choć częściowo uchronić okoliczną ludność przed szerezeniem się pijactwa. Był miesiąc czerwiec. Wartę nocną we wsi pełniliśmy od miesiąca maja. Przez ten czas nic się nie wydarzyło.

Jednego wieczoru jak zwykle podczas pełnienia służby, siedzieliśmy z drugim gońcem, starszym kolegą Stanisławem Krupą na ławeczce pod domem Szczepana Prażucha, położonym po drugiej stronie drogi, gdzie stał Dom Ludowy. W jednym jego skrzydle był punkt zborny, a w drugim mieściła się mleczarnia. Była piękna pogodna noc. Dom Ludowy częściście oświetlony. W środku znajdowała się część warty, część zaś poszła na obchód wsi. Rozmawialiśmy. Nagle zatrząsły się druty telefoniczne, które prowadziły do biura mleczarni, mieszczącego się w domu prywatnym Michała Latochy, oddalonego o jakieś 60 metrów.

W jednej chwili przyszło mi na myśl, że to nic innego, tylko akcja sabotażowa na mleczarnię i że druty telefoniczne zostają odcinane. Rozległ się szybki tupot nóg, zobaczyłem sylwetki osobników. Wycofaliśmy się. Rozległy się okrzyki polecające warcie paść, a następnie usłyszeliśmy detonację granatów ręcznych i trzask wybitych szyb.

Dla mnie było wszystko jasne. O zaistniałej akcji trzeba było powiadomić posterunek w Otfinowie. Stanisław w tym czasie w konspiracji jeszcze nie był, wstąpił później. Naglił. Zdawaliśmy sobie sprawę, że telefon w biurze jest nieczynny, ponieważ druty są zerwane. Drugi telefon w Niecieczy znajdował się w młynie Walerii Merchut, oddalony o kilkaset metrów drogi. Okrężnie, międzami udaliśmy się do młyna.

Pamiętam, była duża rosa, przyszlizmy cali zmoczeni. Domownicy jeszcze nie spali. Przypadła nam bardzo niewdzięczna rola powiadomienia o napadzie. Podniosłem słuchawkę, zgłosił się pełniący dyżur policjant granatowy. W krótkich słowach przedstawiłem całą sprawę. Był zaskoczony, polecił mi czekać przy telefonie. Może pięć razy odzywał się dzwonek z posterunku, za każdym razem mówił kto inny, między innymi Guздеk.

Po głosach poznałem, że policjanci byli bardzo zdenerwowani. Pytali, czy „bandyci” już odeszli. Za każdym razem odpowiadałem, że nie wiem, bo stąd do mleczarni jest około jednego kilometra drogi. Trwało to

wszystko blisko jedną godzinę. Wyczuwałem, że boją się spotkać z grupą dywersyjną i zlekają z przyjazdem i powoli organizują się.

Poczekaliśmy jeszcze jakiś czas, a następnie udaliśmy się do wsi.

Mleczarnia była zdemolowana, maszyny i kotły zniszczone, na posadzce rozłana śmietana i maślanka. Pod mleczarnią warta i grupa zbudzonej ludności.

Dowiedzieliśmy się, że przed chwilą przyjechał na rowerach patrol uzbrojonej policji granatowej i po oglądnięciu pomieszczeń mleczarni udał się z kilkoma mieszkańcami wsi w kierunku Dunajca, gdzie według relacji warty grupa miała odejść. Upiętno może pół godziny, gdy od strony Dunajca usłyszeliśmy strzelaninę. Zastanawialiśmy się co to może być. Czyżby doszło do spotkania grupy dywersyjnej z policją? Chyba to niemożliwe. Od przeprowadzenia akcji minęło już kilka godzin i było dość czasu, aby grupa dywersyjna mogła spokojnie odejść. Za jakiś czas po strzelaninie usłyszeliśmy znów furmankę konną, która od strony dunajca zmierzała do drogi Ofinów — Żabno. Było tak cicho, że słychać było i furmankę i jeszcze jakieś wołanie o pomoc — jęki.

Dniało, gdy na rowerach od strony Dunajca pod mleczarnię nadjechała grupa policji z Guzdkiem na czele. Było ich dużo, nie tylko z posterunku z Ofinowa. Byli bardzo podnieceni. Prym wodził Guzdek.

Wszedł z kilkoma z policji do pomieszczeń mleczarni, oglądnął wszystko i wyszedł wściekły.

W tym czasie policjant granatowy przyprowadził pod mleczarnię drogą od strony Dunajca dwóch młodych nieznanych mężczyzn. Byli bardzo brudni, zaniebani, w podartej odzieży. Gdy Guzdek ich zauważył, krzyknął aby podeszli pod schody mleczarni. Kazał im klęknąć, a następnie kolbą uderzył ich kilka razy po plecach i głowie.

Nieznani nie mówili nic, a tylko rękami zasłaniaли się przed uderzeniami.

Rozkazał następnie policjantowi, aby zaprowadził ich na posterunek w Ofinowie. Biedni z trudem podnieśli się i poszli. Guzdek podszedł do niego i podniecionym głosem rozkazał, aby cała warta i gońcy już dzisiaj na godzinę ósmą rano stawili się na posterunku policji w Ofinowie.

Następnie rozmawiał z kierownikiem mleczarni.

Zagadka co do całej tej sprawy wyjaśniła się wreszcie. Z relacji tych mieszkańców wsi, którzy udali się z patrolem policji do przewozu na Dunajcu dowiedzieliśmy się, co było przyczyną strzelaniny. Otóż policja, która przybyć miała z posterunku z Ofinowa do Niecieczy podzielona

została na dwie grupy. Jedna przejechała drogą do mleczarni i tak, jak już wspominałem udała się do przewozu na Dunajcu i weszła na prom. Druga grupa z Guzdkiem na czele udała się tzw. „brzegiem” czyli ścieżką wzdłuż Dunajca i natknęła się przy przewozie na Dunajcu na grupę pierwszą. Grupa ta sądząc, że na promie są „bandyci” bez żadnego ostrzeżenia otworzyła ogień. Działo się to w nocy, widoczności nie było. Ostrzelani padli na podłogę promu.

Gdy zorientowano się, że strzela się do swoich, było już za późno. Ciężko ranny w brzuch został komendant posterunku w Gręboszowie Andrzej Płaziński. Postrzał po skórze na plecach otrzymał mieszkanec wsi — Cisto Stanisław. Jęki, które słyszeliśmy pochodziły od rannego komendanta policji, którego na furmance konnej wioził do lekarza w Żabnie Jan Srebro z Niecieczy. Po drodze ranny zmarł.

Dowiedzieliśmy się również, skąd wzięli się przyprowadzeni przez policję dwaj osobnicy. Istniało przypuszczenie, że mogli to być uciekinierzy z robót przymusowych. Przypadkowo natknęli się we wsi na policję. Co się później z nimi stało, nie wiadomo. Poszedłem do domu. Położyłem się. Zasnąć nie mogłem, mimo że byłem zmęczony i nie wyspany. Na myśl przychodziły mi rozegrane w nocy wypadki jak i to, że za kilka godzin znów musimy stawić się na przesłuchanie. Gdzieś około godziny siódmej cała warta i my, gońcy, wsiedliśmy na przygotowaną przez sołtysa furmankę i udaliśmy się do Ofinowa. Wartę stanowili już ludzie starsi. Rozmowa nie kleiła się. Każdy zajęty był myślą, jak to się wszystko skończy. Pocieszeniem było to, że dywersja została zgłoszona. Najbardziej obawialiśmy się Guzdką. Ten straszny policjant niemiecki pochodzenia polskiego, rzeźnik z zawodu był bezwzględny w pełnieniu swoich obowiązków.

Przybył do Ofinowa z terenu gminy Radgoszcz, gdzie strzelał do ludzi niewinnych, niejednokrotnie gdy nie spodobala mu się czyjaś twarz. Na postrach ludności kazał w Radgoszczy postawić szubienicę.

Podczas pobytu w Ofinowie zastrzelili już kilka osób. Prócz tego brał udział w likwidacji Żydów i Cyganów. W takich nastrojach podjechaliśmy pod posterunek policji w Ofinowie, mieszczący się w dużym budynku drewnianym na wprost kościoła. Przed budynkiem na drodze zauważyłem stojące samochody niemieckie, a w ganku posterunku i na drodze mnóstwo policji i żandarmerii niemieckiej, jak się później dowiedziałem z Dąbrowy Tarnowskiej. Wśród nich uwijał się Guzdek w mundurze niemieckim i wysokich sztywnych butach.

Gdy nas zauważył, zapytał po polsku czy to warta, gdy odpowiedziałem, że tak, powiedział — dobrze i zaprowadził nas do pomieszczenia po prawej stronie korytarza z oknami na drogę. Przez okno widziałem, jak przybywały następne samochody z policją niemiecką, widać z szarą, bo Guzdek za każdym razem wybiegał przed samochód, strzelał obcasami i witał pozdrowieniem hitlerowskim, podnosząc rękę ku górze.

Rozmawiali między sobą po niemiecku. Widać było, że Guzdek dawał relacje z zaistniałych przypadków. Za każdym zapytaniem oficera policji podrywał się na baczność i odpowiadał. Widać było, jak wielkim był służbiście. Po chwili weszli wszyscy do pomieszczenia po drugiej stronie korytarza, gdzie mieściła się komenda posterunku.

Upłynęło może dwadzieścia minut, gdy przybył do nas policjant granatowy, rozejrzał się, zawrócił i zamknął nas na klucz. Spojrzeliśmy po sobie. Odczuwaliśmy, że jesteśmy aresztowani. Spojrzałem na okna, spostrzegłem to, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi, w oknach były kraty. A więc sprawa dla nas jasna.

Gdy tak rozmyślałem, pod posterunek podjechała połówka niemiecka, a w niej dwóch żandarmów, którzy przywieźli Jana Musiałę i Józefa Kuligę z Nieciecy. Zdebiłem. Jan Musiał wchodził w skład grupy dywersyjnej i był jej komendantem, wprawdzie nie tej, która dokonała dywersji na mleczarni, niemniej jednak przerażeniem się widząc, że prowadzą ich na przesłuchanie. Po jakichś 10–15 minutach zostali zwolnieni. Odetchnąłem. Okazało się później, że przypadkowo żandarmi spotkali ich idących wałem z Nieciecy do Otfinowa i podejrzwając ich, że są Żydami — zabrali na posterunek. Tam wytłumaczyli się. Za chwilę posterunkowy ponownie wszedł i powiedział, żeby gońiec, ten który zawiadomił posterunek o napadzie, siedzi za nim na przesłuchanie. Poszedłem. Po wyjściu spostrzegłem, że komenda posterunku mieściła się w dwu pokojach. W pierwszym za balustradą za stołem siedzieli oficerowie policji niemieckiej, z boku przy maszynie do pisania policjant niemiecki, a przy nim Guzdek. W przyległym pokoju zebrana była policja granatowa i niemiecka.

Przesłuchiwał mnie Guzdek, zadając pytanie najpierw dotyczące mojej tożsamości, a potem jak to określał „napadu bandytów na mleczarnię”. Pytał po polsku, a następnie tłumaczył po niemiecku piszącemu protokół. Od czasu do czasu pytania zadawali oficerowie zza stołu, które z kolei Guzdek tłumaczył dla mnie. Przez cały czas starałem się zachować pewność siebie i bez najmniejszego zająknięcia odpowiedzieć na

każde pytanie. To budziło u przesłuchujących wiarę, że mówię prawdę. Przedstawiłem wszystko jak było, poza jednym, że byłem w organizacji podziemnej i że o akcji wiedziałem wcześniej.

Po skończonym zeznaniu dali mi protokół do podpisania i kazali pozostać.

Następnie zeznawał drugi gońiec Stanisław Krupa. Ze względu na to, że jego zeznanie pokrywało się z moim, zaniechali dalszego przesłuchania.

Z kolei do zeznań przywołano trzech mieszkańców wsi z warty nocnej. Zeznali tak jak było. Po przesłuchaniu kazali nam przejść do pomieszczenia, gdzie poprzednio byliśmy zamknięci. Po jakimś czasie przyszedł do nas Guzdek w otoczeniu policji. Byli wszyscy w dobrym nastroju. Spodobały się im widać nasze zeznania. Guzdek pochwalił nas wszystkich za należyte wywiązanie się z zadania, mnie poklepał po ramieniu.

Oświadczył, że da polecenie kierownikowi mleczarni, aby wydał nam gońcom dwa kupony na ubrania, papierosy i wódkę.

Wróciliśmy do domu zadowoleni, że wszystko się dobrze skończyło. Bo pomyśleć tylko, co mogłoby być, gdyby w odpowiednim czasie o dywersji nie powiadomiono policji.

Zgodna opinia była wszystkich, że wartę by wystrzelano. Potwierdził to zresztą sam Guzdek w rozmowie z wójtem gminy Otfinów Zygmuntem Wrzosem.

Guzdek, jak już wspomniałem, był człowiekiem straszynem, bezwzględny niepoczytalnym, bała się go cała okolica.

W tym miejscu aż ciśnie się pytanie, dlaczego nie likwidowała go organizacja podziemna. Było wiadomym, że w dowództwie podziemia rozpracowywano Guzduka. Nie wydano jednak wyroku od razu. Guzdek musiał zginąć w okolicznościach, które wykluczałyby wszelką akcję zorganizowaną. W razie likwidacji, zastrzelonych miało być 120 ludzi z Otfinowa. Takie były czasy.

Dla ścisłości należałoby wspomnieć, która grupa dywersyjna podziemia i pod czym dowództwem dokonała sabotażu. Są trudności z ustaleniem, bowiem ludzie z dowództwa, którzy znali te sprawy, już nie żyją.

Dodatkową trudność sprawia i to, że w roku 1944 dokonano drugiej akcji sabotażowej na mleczarni w Nieciecy. W związku z tym przybyła jeszcze jedna trudność w ustaleniu, kto brał udział w pierwszej, a kto

w drugiej akcji. Nie ulega jednak wątpliwości, że byli to ludzie z placówek „Zofia” i placówki „Renata” — organizacji podziemnej „AK” ...”

ŚMIERĆ GUZDKA

34. Aleksandra Pietrzykowa: Region tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej, polityka okupanta i ruch oporu. op. cit. str. 475

Władysław Myśliński: A jednak tak było, op. cit. str. 330

Władysław Kabat: Krwawy upiór.

Za i Przeciwn 1974, nr 13, str. 21.

Tadeusz Krasnodębski: Wykonałem wyrok na Guzdku.

Więści 1984, nr 41 str.9.

Adam Kazimierz Musiał: Gdzie są teraz?

Przyjaźń, 1974 nr 24.

Adam Kazimierz Musiał: O krwawym upiorze.

Gazeta Południowa 1980, nr 184 str. 5.

Adam Kazimierz Musiał: Siewca strachu.

Więści 1984 nr 28 str. 9.

Adam Kazimierz Musiał: Jeszcze w sprawie likwidacji Guzdku.

Więści 1984 nr 47 str. 9.

Adam Kazimierz Musiał: Guzdku zabił Stein. Powiśle Dąbrowskie. Informator 1988, nr 6 str. 31 – 32.

Adam Kazimierz Musiał: Kto naprawdę zastrzelił żandarma Guzdku?

Tarnowski Magazyn Informacyjny 1989, nr 35 str. 7.

Wiesław Sachs: Nie bijcie reportera. op. cit. str. 51

Jan Sowa: Jeszcze w sprawie Guzdku.

Tarnowski Magazyn Informacyjny 1989, nr 50 str. 6

Relacje: ks. Józef Kłoch, Jan Żołędź, Józefa Dziadko, Józef Wróbel, Władysław Gawor, Cecylia Wróbel, Jan Rojek z Otfinowa. Kazimierz Miękina, Adam Kucharski z Żabna, Stanisław Gubernat z Wielopola, Helena Sierak z Pierszyc, Maria Magiera, Władysław Magiera z Siedliszowic, Edward Kogut z Dąbrowy Tarnowskiej, Felcja

Andrzejak z Dopiewa, Antoni Siakała z Gorzyc, Jan Tomasiak, Stanisław Drewniany z Ujścia Jezuickiego, Hildegarda Guzdek z Havirowa, Władysław Myśliński z Przybysławic, Ludwika Misiakowa (zd. księżna: duchesse von Marcke de Lummen) z Tarnowa.

35. Władysław Kabat relacjonuje:

„Zostałem zaalarmowany meldunkami z terenu Radgoszczy. Wydałem odpowiednie rozkazy aby zlikwidować zbrodniarza.

Władze okupacyjne po przybyciu Guzdku na teren mego rodzinnego powiatu ogłosiły, że jeżeliby włos z głowy spadł temu sadyście, rozstrzelanych zostanie stu zakładników. Nakazałem więc Guzdku zlikwidować tak, aby ani cień podejrzenia nie padł na Polaków.

Chcąc mieć sprawny wywiad ze zbrojnych placówek okupanta, nakazałem komendantom naszych placówek wciągnąć do Armii Krajowej po jednym lub po dwóch policjantów granatowych na każdy posterunek policki czy żandarmerii. Była to bardzo niewdzięczna służba dla tych ludzi, ale konieczna.

Każde zarządzenie i każdy ruch hitlerowców był natychmiast sygnalizowany komendantom placówek odwodu. Robili to ci bohaterzy niejednokrotnie z narażeniem życia.

Do najbardziej oddanych sprawie należeli: kapral Karol Olecki, ps. „Zapora” z posterunku żandarmerii w Wietrzycowicach, a przede wszystkim bohater tej mojej relacji plutonowy Tadeusz Krasnodębski, z posterunku żandarmerii w Otfinowie. Byli to patrioci i na wskroś oddani walce żołnierze.

Komendanci placówek w czasie przekazywania przeze mnie obwodu, urządzili z mego polecenia kilka zasadzek na Guzdku. Nie zabito go jednak, bo albo chłopcy z drużyn dywersyjnych przybyli na wyznaczone miejsce po odjeździe Guzdku, albo też ten groźny potwór zmienił plan i na sygnalizowane miejsce nie przybył.

Odszedłem do dyspozycji Komendy VI Okręgu Batalionów Chłopskich w Krakowie, którym dowodził ppor. rez. Narecz Wiatr ps. „Zawojna”. Wspaniały to był człowiek, polityk i żołnierz. Kierował konspiracją (Bataliony Chłopskie) na terenie Małopolski i Górnego Śląska.

Był wściekle w podróży, a wtedy zastępował go mój brat Mieczysław, szef jego sztabu.

Po przychyciu do Krakowa mój brat major BCh. skontaktował mnie z komendantem Krakowskiego Okręgu Armii Krajowej, pułkownikiem dyplomowanym Józefem Spychalskim, ps. „Luty”.

Był to jedyny komendant tego okręgu, który umiał się dogadać z działaczami ruchu ludowego na szczeblu okręgu. Niestety, ten szlachetny Polak i wybitny oficer sztabowy zginął. Pochwyciło go gestapo. Zginął w jednym z obozów zagłady.

„Luty” zaproponował mi, już jako oficerowi BCh, funkcję inspektora na Mielec. Pojechałem tam rozglądać się. Guzdek hulał w tym czasie dalej krwawo po moim rodzinnym powiecie. Wracając z mieleckiego przez gminę Radgoszcz, udałem się nocą na rowerze do miasteczka Żabno. Tam spotkałem się z podporucznikiem Eugeniuszem Kotrą ps. „Leszek”. Był wtedy adiutantem Komendy Obwodu „Drewniak”.

Powiedziałem mu, że Guzdek winien być natychmiast zlikwidowany. Niech „Młot” weźmie się do tego energicznie, bo w przeciwnym razie polici ze swojej funkcji. „Leszek” przejął się tym bardzo. Żył w wielkiej przyjaźni z „Młotem”, czyli kapitanem Rogawskim, który przyjął po mnie obwód i przyrzekł, że będzie działał.

„Uruchomcie Krasnodębskiego, dając mu wolną rękę, a Guzdek szybko pójdzie do ziemi” — powiedziałem mu na zakończenie. Odjechałem do wsi Sikorzyce, oczekiwałem tam na wynik. Guzdek istotnie za parę dni poszedł do ziemi.”

Mieczysław Magiera tak oto zrelacjonizował okoliczności wydarzenia:

„Nie pamiętam daty. Wiem, że było to przed południem. Na przewozić przez Dunajec, pod wsią Nieciecza, Jan Kuc, żołnierz AK, przewoził z lewego brzegu Dunajca na prawy trzech Ukraińców, którzy zbiegli z obozu pracy z rejonu Katowic i sponiewierani, brudni niesamowicie i głodni, dotarli wiklinami Wisły i Dunajca do przewozu rzeczno. Kiedy prom zbliżał się do prawego brzegu Dunajca, pod wsią Niecieczą pojawił się na brzegu Guzdek z patrolem z posterunku żandarmerii z Otfinowa.

Biedny Jan Kuc robił już rachunek sumienia. Guzdek bowiem swego czasu wydał surowy nakaz, by nie przewoził nikogo obcego. Pod łufami karabinów prom dobił już do brzegu. Guzdek pochwytył chłopców z Ukrainy i zamknął ich w budzie przewoźnika. Jana Kuca chciał z miejsca rozstrzelać. Obronił go wielkim występką Krasnodębski. Guzdek

popił w Niecieczy i zabrał nieszczęśliwych chłopców do Otfinowa. To go zgubiło.

Tadeusz Krasnodębski następująco przedstawił historię śmierci Engelberta Guzdeka:

„Do Otfinowa przyjechał Guzdek z Mędrzechowa 15 maja 1943 roku. Tu prawie zawsze chodził po cywilnemu. Korzystając ze znajomości języka polskiego, wypadł czasami ze mną, a przeważnie sam, w teren na wywiady. Gdzieś w pierwszej czy drugiej dekadzie marca 1943 roku „Artur”, adiutant kapitana „Brzechwy”, zorganizował pod wsią Samocię jego spotkanie ze mną. Dowiedziałem się, że „Brzechwa” odchodzi z „Drewniaków” do BCh na wyższe stanowisko. Był wstrząśnięty tym, co zrobił Guzdek na terenach Placówki. „Brzechwa” mówił do mnie w marcu:

— W lesie mamy ludzi, ale na pańskie miejsce nie będziemy mogli dać innego. Dużo więcej robi pan tam, niż w lesie. Dopóki pan może, niech pan tam siedzi, robi, co może i stara się być jak najdłużej. Guzdek musi być zabity i to jak najszybciej, ale najlepiej za Wisłą, gdzie trzeba go sprytnie wprowadzić w zasadzkę.

Po pewnym czasie „Leszek” podał mi próbówkę z trucizną i polecił tak zlikwidować Guzdeka, jak to uczyniono swego czasu z wójtem Wendlandem. Twierdził, że trucizna działa po siedmiu dniach i pozostawia owrzodzenia na jelitach podobne do nowotworowych, co wykluczy podjęcie mu tej trucizny, nadarzyła się inna okazja, a mianowicie w czasie patrolu nad Dunajcem w okolicy Niecieczy żandarmeria zatrzymała trzech młodych Ukraińców, zbiegłych z robót w Niemczech.

Guzdek oświadczył, że o zmroku „zrobi ich”, to znaczy zastrzeli. W pierwszej chwili ostrożnie próbowałem rozmawiać z Ukraińcami, mówiąc im, co im grozi i planując zaopatrzyć ich w broń. Chciałem im dać możliwość obrony, a tym samym zlikwidować swojego kata.

Ten plan mi się nie udał, ponieważ Ukraińcy nie chcieli wierzyć, że zostaną zastrzeleni, tylko ludzili się, że zostaną z powrotem odesłani na roboty. Byli to młodzi chłopcy i bardzo naiwni. Doszedłem do wniosku, że ten plan nie przejdzie. Zrezygnowałem w obawie o wysyp i stratę broń. Szukałem jakiejś innej okazji do wykorzystania. Chciałem zlikwidować Guzdeka i uratować chłopców z Ukrainy.

W tym czasie powiadomiono mnie, że mam nocną służbę w Żabnie. Tworzyło to dla mnie stuprocentowe alibi i jedyną okazję do wyłączenia miejscowej ludności z podejrzeń. Do Żabna jeździliśmy we trzech lub czterech na rowerach i kontrolowaliśmy wartowników pełniących służbę w mieście, a w szczególności przy magazynach zbożowych. Służba wyglądała w ten sposób, że od czasu do czasu wychodziło się i patrolowało, a gros czasu dekowało i spało.

Po przybyciu do Żabna około godziny siedemnastej obszedłem miasto i sprawdziłem wartowników zgłaszających się na warty. Pokazałem się tu i tam i wróciłem na posterunek. Wyznaczyłem następnego, który przeprowadzi kontrolę — byłem dowódcą patrolu i oświadczyłem, że idę do znajomej, Marysi, u której w razie czego można mnie szukać. Zabranem ze sobą rower. Teraz niepostrzeżenie przekradłem się nad Dunajec i wałem nadrzecznym wróciłem do Otfinowa. Ukryłem rower w wiklinach, a sam udałem się pod areszt, zajmując dogodne stanowisko za płotem, przy wejściu do aresztu, mając przy sobie colt.

Panował już silny mrok. Z posterunku dochodziły odgłosy libacji, trwającej od południa. Gdy wyjeżdżałem do Żabna wiedziałem, że Guздеk ma już mocno w czubie, jak zresztą i inni. Wiedziałem, że już z góry było postanowione iż Ukraińców mieli powysztrelać: Guздеk, Stein i Mądry, teraz już mocno pijani. Każdy miał zastrzelić jednego aresztanta.

Po pewnym czasie wyczekiwania usłyszałem kroki i głosy zbliżających się od strony posterunku. Po głosach ustaliłem, że idą Guздеk, Stein i Mądry — już mocno pijani. Guздеk łatwo odróżniłem po wzroście. Weszli do aresztu. Za chwilę wyszedł Mądry, prowadząc przed sobą skazańca, za nim Stein ze swoim, następnie Guздеk ze swoim. Mnie miał Guздеk ze swoim Ukraińcem w odległości dwóch metrów. Oslaniał mnie płot pleciony z wikliny, wysokości około półtora metra. W tym czasie zaczął strzelać do swego skazańca Mądry, a następnie Stein.

Ja wykorzystalem odgłos strzałów i strzeliłem do Guздеka, mierząc w głowę. Sylwetka jego zniknęła mi z oczu. Więcej oddałem jeszcze kilka strzałów. Słyszałem kroki i głosy Mądrego i Steina, wracających na posterunek. Nie słyszałem głosu Guздеka. Nie miałem żadnej pewności, że mój strzał był celny. Nie miałem odwagi mimo ciemności wyjść i sprawdzić, co się stało, bałem się spotkania kogoś i wyspy.

Wycofałem się ogrodami na wał. Wsiadłem na rower i szybko odjechałem do Żabna. Tam znowu pokazałem się na posterunku. Nikt mojej nieobecności nie spostrzegł.

Chodziłem po mieście i spotkałem doktora Przybyszewskiego, który mnie powiadomił o śmierci Guздеka od jednego strzału w tył głowy. Przybyszewski był bowiem wezwany do konającego Guздеka. Stało się to w niedzielę 22 sierpnia 1943 roku późnym wieczorem.

Dnia 3 września 1943 roku pogrzebano krwawego zbira SS w Tarnowie. W pogrzebie musiałem obowiązkowo wziąć udział. Rano, po powrocie do Otfinowa ustaliłem, że Guздеk zginął od jednego strzału w tył głowy. Inne strzały oddane przeze mnie były niepotrzebne i niecelne. Ukraińcy zostali zastrzeleni przez Mądrego i Steina. Natomiast ten do którego miał strzelać Guздеk, zdołał zbiec."

Wydarzenia po śmierci Guздеka zrelacjonował Władysław Kabat następująco:

"Początkowo Niemcy podejrzewali, że Guздеk pomyłkowo zabił Mądrego lub Stein. Zostali oni zatrzymani, ale po ekspertyzie pocisku wyjętego z głowy Guздеka zostali zwolnieni. Przyjęto, że Ukraińiec musiał mieć broń. Zastrzelił Guздеka a sam zbiegł".

Komendant okręgu BCh ppor. „Zawoja”, na moją prośbę wysłał do Komendy Głównej BCh wnioski o awans dla „Kostka” do stopnia podporucznika i przyznanie mu wysokiego odznaczenia. Po likwidacji Guздеka prosiłem inspektora AK „Tama” o wysłanie do KG AK wniosku o odznaczenie go Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari V klasy. Odznaczenia jednak nie przyznano.

Tak natomiast opisał śmierć Guздеka Władysław Myśliński w „Gazecie Krakowskiej”:

„Kat Powiśla. Engelbert Guздеk, znając doskonale nasze obyczaje, postanowił w sierpniu urządzić dożynki w rejonie Otfinowa. Miejscem dożynek miało być obejście posterunku zlokalizowanego u Anieli Słupka. Przygotowania były w pełnym toku. Zamówiona została orkiestra Maziarzów. Guздеk zdecydował się uświetnić tę uroczystość kilkoma kolejnymi mordami. Odbywały się więc polowania, raczej bez powodzenia, bo młodzi uchodzili, a starzy nie wchodzili w tej sytuacji w rachubę.

Dopiero 14 sierpnia 1943 roku na prawym brzegu Dunajca spotkał Guздеk trzech Ukraińców, których przewoził Jan Kuc. Byli to uciekinie-

rzy wywiezieni na roboty przymusowe do Niemiec. Guzdek ze swoim pomocnikiem zabrali czterech mężczyzn — trzech Ukraińców i przewoźnika. Temu ostatniemu też groziła kara śmierci. Zamknieni zostali w budynku w oczekiwaniu na podwodę. Do Otfinowa odjechało tylko trzech Ukraińców. Kuc został ułaskawiony, a przeżył dzięki argumentowi, że to on przecież przewoził „potrzebnych” na ten dzień przestępców.

Podnienie grozą niecodziennych dożynek wzrastało. Nie było dla nikogo tajemnicą, że w pilnowanym areszcie koło kościoła czeka na ich uświetnienie trzech młodych ludzi, którzy mają być zamordowani podczas dożynek.

Wszyscy policjanci, z wyjątkiem przodownika Stefana Mądrego, zostali wyeliminowani z dożynekowej zabawy. Ich zadaniem była służba na posterunku i ubezpieczenie miejsca dożynek, aby bawiący się mogli być bezpieczni. Wzmocnione zostały warty i posterunki. Odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo byli policjanci. Jedyny Tadeusz Krasnodębski wyknął się, wpisując w książkę służbową Żelichów. Ostatni zabezpieczył sobie alibi u soltysa. Był tam, ale nim mrok zapadł w wiklinach, był już ukryty gdzieś w żywopłotach albo bardzo blisko posterunku i aresztu skazańców. Cóż, dożynki były żalosnym widowiskiem w kraju umęczonym okupacją. W imprezie wzięli więc udział ci, którzy musieli. Niemniej obrzęd się odbył, a najważniejszym gościem był ksiądz kanonik Józef Kloch, który ku swemu niezadowoleniu cieszył się sympatią Guzdeka.

Okolo godziny dwudziestej drugiej, gdy Maziarz oraz jego ekipa grała, ile sił starczyło, cały Otfinów z ukrycia obserwował, jak Guzdek się bawi. Wtedy to podniósł się krwawy upiór Powiśla i wezwawszy żandarmę Wilhelma Steina i policjanta S. Mądrego poszedł w stronę aresztu, w którym leżeli Ukraińcy. Starym zwyczajem Guzdek „podzielił rolę”, przydzielając po jednym aresztancie swoim kompanom do zlikwidowania.

Ofiary krwawej zabawy zostały wprowadzone w białiznie na pole w kierunku pobliskiego wału Dunajca. Pierwszy „zalatwił” swą ofiarę S. Mądry pod murem. Wystrzelił w głowę i już... nie musiał poprawiać. Za chwilę położył trupem swego skazańca Stein. Robiąc miejsce Guzdkowi, cofnęli się obaj strzelający do tyłu. Orkiestra, mimo że grała na cały głos, nie była w stanie zagłuszyć strzałów i jęków skazanych. Guzdek zamierzał zamordować swą ofiarę klasycznym strzałem w tył głowy. Jego ofiara, widząc leżących, wyprzedziła go o sekundy. Wyrwała się z rąk

oprawcy i dokonując wirazu pobiegła. Guzdek, który stracił na chwilę równowagę, nie mógł strzelać celnie. Chybili też i pozostali strzelcy.

Tego, co się w tych sekundach stało, nie udało się po dziś dzień jasno ustalić. Były to bowiem ostatnie chwile życia zwyrodniałca i kata Powiśla. Guzdek ścigał swego Ukraińca. Skąd padł strzał tak celny i precyzyjny, że trafił go w tył głowy? Strzelali policjanci, mógł też być to ogień z drugiej strony muru, za którym czuwać miał Krasnodębski „Kostek”. Guzdek upadł, lecz zerwał się po chwili i rzucił się w stronę Steina i Mądrego — wołając: „Aleście mnie urządzili!” — Byłby pewnie strzelał do nich, ale upadł ponownie przeraźliwie chając.

Stein i Mądry osłupieli. Mogli wierzyć, że Guzdek upadł pod ich strzałami. Przybiegła żona Guzdeka i rzuciła się na nich z krzykiem, że zabili jej męża. Zażądała przywiezienia na pomoc lekarza z Michowic, a sama pobiegła po księdza, lecz ksiądz odmówił przybycia. Jako pierwszy przybył lekarz Przybyszewski z Żabna, a następnie lekarz Gołtron. Guzdek już nie żył.

Na posterunku wybuchł popioch. Policjanci chcieli uciekać. Zauważył to Stein i począł im tłumaczyć, że uciekając ściągają na siebie i okoliczne groźne podejrzenie.

Przecież za głowę Guzdeka wyznaczonych było stu zakładników. Zapewniał wszystkich, że bierze wszystko na siebie i prosił o zimną krew.

Przyjechało gestapo z Tarnowa. Rozbroili i aresztowali Steina i Mądrego. Wszyscy policjanci, a pośród nich „Kostek” mieli alibi. Byli na służbie...

Ludność całego Otfinowa opuściła swoje domy. Oczekiwano masowej egzekucji.

Ekspertyza tkwiącego w głowie pocisku wykazała jednak, że nie mógł on pochodzić ze służbowej broni Steina czy Mądrego. Nie pochodził on również z broni używanej przez partyzantów — Colt LAMA. W tej sytuacji Stein mógł zasugerować Niemcom, że do Guzdeka strzelił Ukraińiec, który wyrwał mu pistolet podczas szamotaniny — zatrzymani nie byli przez niedopatrzenie zrewidowani. Tym sposobem, W. Stein uratował okolicę od egzekucji. Uciekający w kałesonach Ukraińiec (nazwisko nieznane) schronił się w Gorzycach u Władysława Augustyńskiego.

W. Stein po zwolnieniu z gestapo powrócił do Otfinowa i ufundował wieniec z napisem brzmiałym jak na ironię „Dzielnemu Oberwachmajstrowi SS Guzdkowi — Parafia Otfinów...”

Również Józef Kozaczka w „Wieściach” z dnia 15 stycznia 1967 roku w artykule pt. „Kat Powiśla Dąbrowskiego” opisał okoliczności śmierci Guzdkę na podstawie usnej relacji Krasnodębskiego. Kozaczka sugeruje, że Guzdek zgładził „Kostek”. A oto fragment artykułu:

„Wyjęty z ciała pocisk poddano badaniom. Stwierdzono jednak, że nie pochodził on z broni, którą posługiwał się Stein, komendant posterunku. Zwolniono więc Steina z aresztu. Przeprowadzono dochodzenie, gdzie byli pozostali członkowie załogi posterunku. Na podstawie książki służby i potwierdzenia pobytu ich w miejscu skierowania odpadło podejrzenie na któregośkolwiek z nich.

Niemiec Stein, by nadać dochodzeniu jakąkolwiek możliwą do przyjęcia wersję, podsunał myśl, że zatrzymani nie byli rewidowani i jeden z nich mógł posiadać broń, której użył, zabijając Guzdkę. Ewentualność ta została potwierdzenie, gdyż na miejscu egzekucji znaleziono dwa ciała zabitych Ukraińców, a trzeci zbiegł z bronią.

Na najbliższej odprawie władze niemieckie posłużyły się przykładem z Ofinowa i położyły nacisk na rozkaz, by wszystkich zatrzymanych podać dokładnej rewizji osobistej. Mieszkańcy Ofinowa dowiedziawszy się, co zaszło, a nie znając okoliczności — świadomi liczby ofiar, którymi miała zapłacić ludność polska w wypadku zlikwidowania Guzdkę, opuścili wieś, szukając ukrycia w sąsiednich wioskach. Po upływie kilku dni, widząc, że nie się nie dzieje, ludzie zaczęli wracać do swych zagrod.

O powyższym fakcie poinformował biuletyn informacyjny „Pobudka” nr 39/51 z dnia 22 października 1943 roku m. p. „Żadnych represji w stosunku do ludności polskiej za śmierć Guzdkę nie zastosowano. Nawet policjantom granatowym nie nie było, gdyż wśród strzelających do uciekinierów znajdował się prócz Guzdkę jeszcze jeden żandar niemiecki. Przyjęto poszlaki, że kula, która trafiła Guzdkę — mogła pochodzić również dobrze z broni Steina, lub pierwszego lepszego policjanta...”

W sprawie E. Guzdkę, płk Stefan Musiałek-Łowicki dowódca Inspektoratu „Tama” napisał w liście z 6 października 1976 r. do autora:

„Guzdek pojawił się na terenie obwodu Dąbrowa Tarnowska około listopada 1942 roku. W grudniu tego roku zostałem zaalarmowany jego już licznymi morderstwami Żydów i Polaków. W pierwszej połowie stycznia 1943 roku pojechałem na odprawę do komendanta obwodu

„Drewniak” kpt. „Brzechwy” Władysław Kabata, na której omówiliśmy również zbrodnię Guzdkę i pilną potrzebę jego likwidacji.

Ale ta ostatnia sprawa nie była łatwa, gdyż Niemcy odgrążali się, że za Guzdkę zamordują stu Polaków — zakładników. Trzeba więc było tak zbrodniarza zlikwidować aby nie było po nim śladu, by Niemcy nie mieli dowodu, że uczynili to Polacy. Ale jak?

Guzdek jeździł bryczką, okoliczni mieszkańcy widzieli, z kim jechał, kto i czyją bryczką go wioził. Ktoś z obecnych na odprawie poddał myśl, że w nocy wzdłuż Wisły w kierunku wschodnim uciekają jeńcy radzieccy, na których Niemcy, tj. żandarmeria i policja niemiecka i czasem granatowa urządzali polowanie. Więc może przy tej okazji można będzie Guzdkę zlikwidować, a może inny sposób się znajdzie. Kazałem więc tę sprawę przemyśleć kpt. „Brzechwie” i możliwie jak najprędzej Guzdkę zlikwidować.

W tym mniej więcej czasie przyjechał do mnie prezes „Tarczy” (było to stowarzyszenie okolicznych ziemian, którzy nam ułatwiali sprawę w terenie m. in. melinując naszych „spalonych” ludzi po okolicznych dworach, a dla okręgu AK prowadzili wywiad i kontrwywiad), Zborowski z Partynia, przedstawiając mi okropne szczegóły „działalności” Guzdkę. Omówiłem z nim sprawę likwidacji, przedstawiając trudności i zapytałem, czy „Tarcza” nie mogłaby nam w tej sprawie udzielić pomocy. Prezes Zborowski nie widział takiej możliwości, gdyż jak oświadczył Guzdek do dworów nie zajeżdżał, terroryzował tylko ludność wiejską i w małych miasteczkach.

Po pewnym czasie otrzymałem pismo z okręgu, w którym szef sztabu na podstawie donosu „Tarczy” w sposób bardzo ostry robił mi wyznanie, że „toleruję” w „Drewniakach” morderstwa Guzdkę i w końcu dał mi jedynomiesieczny czas na jego likwidację.

Wysłałem do okręgu wyjaśnienie, a odpis pisma okręgu do kpt. „Brzechwy”, by w jak najkrótszym czasie załatwił się ze zbrodniarzem.

W drugiej połowie marca 1943 roku, przechodząc w Tarnowie przez park koło dworca, spotkałem byłego adiutanta „Brzechwy” pppor. Krzysztofa Sroczyńskiego ps. „Zbroja” syna właściciela majątku w Bolesławiu. Pytam m.in. czy Guzdek nie został zlikwidowany, na to otrzymuję odpowiedź „Panie inspektorze, „Brzechwa” z „Piratem” nigdy nie zlikwidują Guzdkę, gdyż obawiają się pacyfikacji, a pochodzą przecież z tych okolic. Gdy Guzdek pokaże się w gminie, w której przebywają,

przenoszą się do następnej. Musi pan komus innemu powierzyć to zadanie, o ile możliwości komus spoza powiatu dąbrowskiego”.

Następnego dnia wyjechałem do „Brzechwy”, by sprawę Guzdkę ruszyć z miejsca. „Brzechwa” poprosił o zwolnienie, gdyż rzekomo komendant okręgu AK zaproponował mu objęcie inspektoratu mieleckiego. A jeśli chodzi o likwidację Guzdkę, nie widzi możliwości bez spowodowania ostrej represji niemieckiej.

Od 1 kwietnia 1943r. komendę obwodu „Drewniak” objął kpt. „Młot”, „Baca” — Zbigniew Rogawski. Na odprawie bardzo szczegółowo omówiłem sprawę Guzdkę i sposób jego likwidacji. „Młot” uważał, że zlikwidować Guzdkę bezkarnie mogą tylko funkcjonariusze policji granatowej, których (współpracujących z nami) w „Drewniakach” mieliśmy kilkunastu.

Wyszuka odpowiedniego kandydata i przygotowuje z nim akcję likwidacyjną, ale to może potrwać dłużej, gdyż konieczna jest ku temu odpowiednia okazja.

Czekaliśmy prawie pięć miesięcy; dopiero w końcu sierpnia otrzymałem od „Młota” meldunek, że wyrok na Guzdkę został wykonany. Robota była „czysta”, bez ofiar z naszej strony. Kpt. „Młot” powierzył wykonanie wyroku na Guzdkę policjantowi granatowemu, Tadeuszowi Krasnodębskiemu ps. „Kostek”...

Kpt. „Brzechwa” twierdzi, że rozkaz zlikwidowania Guzdkę dał „Kostkowi” on, co zresztą potwierdza i sam „Kostek”. Tak jednak nie jest, gdyż nie był on w tym czasie komendantem obwodu (odszedł w końcu marca 1943 roku) a nawet nie był na tym terenie.

Kiedy w roku 1974 zobaczyłem się z „Brzechwą”, poleciłem mu przedstawić „Kostka” za wykonanie wyroku na Guzdkę do Virtuii Militari i wniosek ten podpisałem. Czy „Kostek” otrzymał odznaczenie, nie wiem.

Dziś w tyle lat po wojnie sprawę tę trudno wyjaśnić. „Młot” z osobistych powodów nie chce wracać do wspomnień z tamtych czasów. Kpt. „Brzechwa” jest inwalidą, amputowano mu obie dolne kończyny — piścze dalej pułkownik Stefan Musiałek — w pewnych okresach podlega również jawnym załamaniom psychicznym.”

Tezę o likwidacji Guzdkę przez „Kostka” obala jednak Jan Kamysz, Mieczysław Magiera, Jan Żołądź i inni, co pokrywa się z opinią publiczną.

Jan Kamysz ps „Rejtan”, dowódca plutonu dywersyjnego placówki „Wacława” (gmina Wietrzychowice), napisał w liście do autora:

„Latem 1943 roku komendant Inspektoratu „Tama” otrzymał ostrą interwencję z wytykaniem z komendy Okręgowej AK Kraków, dlaczego dotąd nie został zlikwidowany Guzdek, na którego już dawno został wydany przez sąd specjalny wyrok śmierci. Z kolei komendant Inspektoratu zażądał od komendanta obwodu „Drewniak” wyjaśnienia powodów, dla których „Pirat” nie wykonał jego w tym względzie rozkazu?”

Po otrzymaniu odpowiedzi, że nie może sobie poradzić z wykrętną samowolą „Pirata”, który tłumaczy się coraz to inną rzekomą trudnością, wezwał „Pirata” do siebie do raportu, w czasie którego udzielił mu ostatniego ostrzeżenia i nakreślił termin wykonania wyroku. Zaczęłam, że wykonanie wyroków sądowych należało do jego obowiązków służbowych jako pełniącego obowiązki oficera dywersyjnego obwodu (...). W tej przykrej dla niego sytuacji, w której groziło mu zdjecie ze stanowiska, whrew opinii „Brzechwy” przyszedł mu w sukurs zwykły przypadek, a mianowicie trzech żołnierzy sowieckich...”

Tu opisuje egzekucję w Ofinowie, w czasie której, jego zdaniem, Stein lub Mądry omyłkowo trafili Guzdkę i z tego właśnie powodu nikomu włos z głowy nie spadł, to jest ani komendantowi posterunku, ani załóżnikom, a w kościołach odprawiano nabożeństwo dziękczynne.

.... Podsumowując to wszystko, com napisał, stwierdzam solennie, że uczyniłem to według swojej najlepszej wiedzy i woli w oparciu o posiadane ustne i pisemne informacje ludzi wiarygodnych, takich jak np. pan M. Czech, były komendant placówki „Wacława”, pan Stefan Musiałek-Łowicki, były komendant Inspektoratu „Tama” (Tarnów) i innej wiarygodny Mieczysław Magiera z Niecieczy. Ponadto informacje podane Panu oparłem o własne rozeznanie w tej sprawie, jako że w tym czasie pełniłem obowiązki dowódcy plutonu 318 w placówce „Wacława”, tudzież funkcjonariusza kontrwywiadu, dla którego tego rodzaju sprawy były działaniem podstawowym. Przedstawioną przez siebie wersję uważam dlatego za najbardziej wiarygodną, że powstała ona w momencie zaistnienia wypadku, kiedy jeszcze nie narodził się żaden samozwańcy, przyszli kandydaci do likwidacji oślawionego zbrodniarza.

W związku z coraz częstszym pojawianiem się w tej i innych sprawach samozwańców, udałem się samochodem w dniu 24 lipca 1968 roku, do powiatowego Zarządu ZBoWiD w Dąbrowie Tarnowskiej. W biurze

zastanę tylko p. Kozaczka... Przeprowadziłem z nim wówczas prywatną rozmowę na różne interesujące mnie tematy, a między innymi i na temat Guzduka. W trakcie tej rozmowy mój rozmówca powiedział, że do likwidacji tego osławionego zbira dobijają się różni kandydaci, co jeden to ważniejszy, pochodzący z Otfinowa i Niecieczy. Dołączył do nich także były policjant granatowy z posterunku w Otfinowie — Krasnodębski.

W tych personalnych przetargach — powiedział mój rozmówca — trzeba było się na kogoś z nich zdecydować: Ja stanąłem po stronie Krasnodębskiego, ponieważ przy tym wyborze najłatwiej można było ten rekomy zamach uprawomocnić i tym samym przypisać go działalności dywersyjnej AK ...

Mieczysław Koza, zastępca dowódcy pl. „Zofia” gmina Żabno:

„W dowództwie obwodu „Drewniak”, które schroniło się w mej posesji w Podlesiu Dębowym mówiono, że Guzduka zabiła wódka. Pijany Stein po prostu pomylił się. Ale Mądry zwierzał się z żalem, że zastrzelił najłepszego kolegę — Guzduka ...”

Wersję Mieczysława Kozy potwierdzają mieszkańcy Otfinowa: Karol Libura, Józef Gawor, Zofia Magiera, Jan Żołądź, Józef Kasprzak i inni. Władysław Myśliński w książce pt.: „A jednak tak było” opisuje śmierć Guzduka w sposób następujący:

„Wreszcie i na zbrodniarza Guzduka przyszedł kres. Stało się to w Otfinowie 15 sierpnia 1943 roku o godzinie 22.30, w czasie hucznych przez niego urządzonych dożynek. W tym dniu Guzdek postanowił zamordować trzech Ukraińców — uciekinierów z robot przymusowych w Niemczech, znajdujących się w pobliskim areście gminnym, schwytanych przez niego pod Niecieczą za wałem Dunajca.

W tym celu wziął sobie dla ochrony, a może za świadków Austriaka Wilhelma Steina i polskiego policjanta granatowego.

Gdy trzeciego z kolei Ukraińca, trzymanego za łył koszu, doprowadził Guzdek do miejsca zabitych jego towarzyszy, ten na ułamek sekundy wyprzedził jego strzał, zakreślił mu się, wyrwał i począł uciekać. Guzdek skutkiem tego na chwilę znalazł się na ziemi, a gdy swoim zwyciężającym ruszył za nim w pogoń, strzały z broni Steina i policjanta granatowego, które synęły się za uciekającym Ukraińcem, ugodziły w Guzduka.

Na posterunku w Otfinowie powstał popłoch. Policjanci granatowi chcieli uciekać. Zauważył to Stein i wytłumaczył im, że uciekając ścigani na siebie i okolice wielkie podejrzenie. Przecież za głowę Guzduka wyznaczonych jest 100 zakładników. Przy czym zapewnił, że wszystko będzie na siebie.

I rzeczywiście, bo gdy obaj z policjantem zostali aresztowani, a eskorty tkwiącego w potylicy Guzduka podisku wykazała, że nie pochodzi on z ich broni ani broni partyzanckiej „Colta” lub „Lamy”, wówczas żandarm Stein mógł zasugerować gestapo, że strzał do Guzduka oddany był z broni Ukraińca w czasie szamotanii. Zarzymani Ukraińcy przez niedopatrznie Guzduka nie byli rewidowani.

O tym wydarzeniu organ AK „Pobudka” z dnia 22 października 1943 roku donosił: „Żadnych represji w stosunku do ludności polskiej ani policjantów za śmierć Guzduka nie stosowano, gdyż przyjęto poszlaki, że kula godząca w Guzduka mogła pochodzić również dobrze jak z broni Ukraińca, z broni skierowanego niedługo na front wschodni — samego Steina” (cały tekst zacytowano ze strony 330 w/w książki).

Jak widać, Władysław Myśliński ani jednym słowem nie wspomina o późniejszej wersji, która wiązała likwidację Guzduka ze świadomą akcją AK, a nawet — w jednym z dość dowolnych ujęć — przypisywała ją Taudeuszowi Krasnodębskiemu.

Przygotowując niniejsze opracowanie udałem się do p. Józefa Kozaczki i usłyszałem taką samą odpowiedź jak Kamysz.

Oceniając krytycznie zebrany materiał w sprawie śmierci Guzduka, należy podkreślić, że koronnym dowodem w tej sprawie byłaby relacja zbiegłego Ukraińca lub też akta gestapo w Tarnowie. Szukałem zbiegłego jeńca za pośrednictwem prasy radzieckiej, ale na próżno — nikt taki nie odezwał się.

Nie udało mi się też odszukać aktu gestapo w Tarnowie i policji w Otfinowie. Okazało się, że gestapo zdołało swoje akta spalić. Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych w Warszawie pisze, że brak aktu potwierdza Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Krakowie. W tej sytuacji obiektywny badacz okoliczności śmierci Guzduka, w oparciu o relacje świadków zająć powinien zakwestionować możliwość zastrzelenia go przez kogoś ukrytego w ogródku, znajdującym się przy areście. Musi stwierdzić, że na niekorzyść relacji „Kostka”, jakoby to on zastrzelił Guzduka, przemawiają dodatkowo niektóre fakty i okoliczności.

Otóż, gdy Józef Kozaczka zbierał materiał źródłowy do artykułu w „Wieściach”, zwrócił się w tej sprawie do „Kostka”. Ten zaś, nie znając daty, nawet miesiąc śmierci Guzdzka, pojechał na cmentarz w Tarnowie, chcąc odczytać tę datę na nagrobku. Okazało się jednak, że groby niemieckie zostały po wojnie zlikwidowane. Dlatego Kozaczka mylnie podał w artykule datę śmierci Guzdzka, lokując to wydarzenie w pierwszych dniach września 1943, a u Władysława Mysłęńskiego, nie korzystającego w relacji „Kostka” czytamy, że zbrodniarz ten zginął 14 sierpnia 1943 roku.

Obie daty są błędne. Prawdziwą datę śmierci Guzdzka odkryłem w kronice parafialnej w Otfimowie oraz w księdze zmarłych w Stonawie koło Karwiny w Czechosłowacji. Zapisano tam, że Guzdek zakończył życie 22 sierpnia 1943 roku.

Żdziwić może fakt, że „Kostek” nie potrafił podać właściwej daty śmierci Guzdzka. Z psychologicznego punktu widzenia jest regułą, że pamięta się daty związane z wykonaniem tak wybitnego czynu. Rzeczywistej daty śmierci zandarma „Kostek” nie znał do 29 sierpnia 1973 roku tj. do chwili rozmowy ze mną mówił, że chyba to było 29 sierpnia 1943 roku.

Józef Kozaczka opiera się tylko i wyłącznie na relacji „Kostka” stąd rażąca jednostronność jego artykułu pt. Kat Powiśla Dąbrowskiego, który ukazał się w „Wieściach” z 15 stycznia 1967 roku.

A przecież wcześniej do zgładzenia Guzdzka przynależał już Franciszek Sas — akowicz z Ujścia Jezuitckiego, który swą relację także upublicznił. Jednak jego wersja zdarzenia nie trafiła na łamy prasy. Artykuł Kozaczki wywołał protesty, które nie ominęły ówczesnego PUBP. Ze skargą przyszli tu dwaj akowicy — zapewnił szef Alojzy Gadziąła.

Jan Zołądź „Łast” relacjonuje: „Wiosną 1942 roku lub 1943 roku przyszedł do mnie „Kostek” i oświadczył, że dowództwo placówki „Zo-fii” (gmina Żabno) mianuje plutonowego podchorążego Feliksa Woźniczki dowódcą plutonu w Otfimowie.

Chodziło o kogoś mi bliskiego, bo o mego szwagra. Odparłem, że Woźniczka prawie na wieś nie wychodził. Gdyby został dowódcą, byłby zmuszony poruszać się często po wsi, spotykać się z jej mieszkańcami. Ponadto jest on bardzo wysoki i rzuca się w oczy. Zostań przeto dowódcą powiedziałem „Kostkowi” a Woźniczka będzie zastępcą. Jesteś na posterunku, będziesz nas ostrzegał o niebezpieczeństwie.

„Kostek” czekał dziesiątki lat, aż świadkowie wymrą, ale przeliczył się. W jego relacjach jest mnóstwo nieścisłości i świadomych przeinaczeń. Przeciwnie egzekucji Ukraińców strzegło ośmiu policjantów i kilku wartowników, a ci widzieli śmierć Guzdzka. Tu opisuje znane już fakty... to ja powodowany potrzebą chwili wmawiałem, że Guzdzka zastrzelili „Kostek”.

Jak łatwo zauważyć, to już mój autorski komentarz (A. K. Musiał) — relacja Jana Zołądźa jest bardzo krytyczna w stosunku do „Kostka” T. Krasnodębskiego. Potwierdza więc niejako wątpliwości, wysunięte w stosunku do „Kostka” wcześniej, w toku niniejszej pracy. Spór ten (ostatecznie) przerwała wspomniana relacja Władysława Magiery, ostatniego żyjącego świadka śmierci Guzdzka.

27 sierpnia 1989 roku w „Tem” opublikowałem artykuł, w którym na podstawie relacji Magiery wykluczyłem „Kostka” jako zabójcę Guzdzka. „Kostek” złożył skargę w sądzie w Tarnowie, a ten prawomocnie orzekł, że nie da się stwierdzić pozytywnie, kto postrzelił Guzdzka, ale „Kostka” nie należało wykluczyć... Sąd uznał, że relację Magiery podważył Jan Soswa. Poruszeni tym werdyktem mieszkańcy Otfimowa i okolicy złożyli pisemne oświadczenia, że opisany przez „Kostka” plot nie istniał, a były jedynie niskie ozdobne sztachetki, które przetrwały wojnę. Kazimierz Miękina, funkcjonariusz MO od 1945 roku stykał się z nimi na co dzień.

Oto artykuł Jana Sowy zamieszczony w TeMi z 10 grudnia 1989 r.:

„Jestem kombatantem, który działał w Armii Krajowej, pluton „Dziwoły — WSOP — 350”, co potwierdza zaświadczenie nr 661529 Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD w Krakowie. Byłem w nocy z dnia 21 na 22 sierpnia 1943 r. członkiem grupy wartowników, którzy nie tylko przeżyli grozę skutków zastrzelenia Guzdzka, lecz także radość z likwidacji tej bestii w ludzkim ciele. Zabieram głos w tej sprawie dopiero teraz, bowiem wcześniej nie znane mi były artykuły ob. Musiała i innych. Zniekształcające prawdę.

Nasuwa się pytanie, jaki jest prawdziwy cel ob. Musiała, że metodą dawnych, stalinowskich czasów prowadzi dochodzenie — jak pisze „prawy historycznej” w imię „ludzkiej uczciwości”. Dla uzasadnienia tej refleksji przytaczam fakty.

1. Nieprawdą jest twierdzenie ob. Musiała, że wokół budynku posterunku policji czuwało 8 policjantów i 4 wartowników. Wszystkich poli-

ciantów na posterunku było służbowo 7-miu — Guzdek, Stein, Mądry, Szewczyk, Lewandowicz, Niechciał, Krasnodębski — ostatni dwaj nie brali udziału w biesiadzie dożynekowej — wyjechali służbowo do Żabna. Kto zatem miał biesiadować z Guzdkiem jeśli wszyscy „czuwali wokół”?

2. Nieprawdą jest, że pilnowało 4 wartowników. Było ich więcej, lecz system polegał na tym, że przed posterunkiem wartowało dwóch zmierzających co dwie godziny. Tej nocy, dodatkowo około godziny 11 wiecznych zostało dwóch wartowników z łopatami, co oznaczało, że libacja zakończyła się akcją, znaną z praktyki Guzodka.

3. Mija się z prawdą również informacja, że Wł. Magierę do wartowania wyznaczył soltys Baran. Soltysiem był Wojciech Grzymek, a zastępcą Władysław Sekuła.

4. Mylna jest również informacja Wł. Magier, że był wyznaczony do wartowania od godz. 24 do rana. Magiera pełnił wartę do godz. 24, wraz z tymi dokooptowanymi, i w tym też czasie była akcją zastrzelenia więźniów i Guzodka. Po tej godzinie do pełnienia warty przed posterunkiem policji, a nie jak w opisie Magier — przy kościele — (jakiż cel miało mieć pilnowanie kościoła?), zostałem wyznaczony wraz z Ludwikiem Grelą. Wartę tę pełniliśmy do rana, bowiem ze względu na okoliczności nikt nas nie podmienił.

Niezależnie od w/w sprzeczności, istotne są również fakty poprzedzające śmierć Guzodka i atmosfera owej nocy. Zmienieni wartownicy sprzed godz. 24 poinformowali nas, że na posterunku odbywa się libacja, oczywiście jak zawsze z alkoholem. Takie libacje kończyły się prawie zawsze zastrzeleniem kogoś z więzionych. W tym czasie więzionych było trzech — jak głosiła informacja — uciekinierów z przymusowych robót w Niemczech. Nikt wtedy nie mówił (jak informuje Magiera) o Ukraińcach, bo byli sprzymierzeńcami Niemców — raczej przypuszczaliśmy, że są to Rosjanie.

O godz. 24, razem z L. Grelą, zmieniliśmy wystraszoną zmianę, w której był również Wł. Magiera. Zmiana ta poinformowała nas, że zostali zastrzeleni więźniowie, ale nastąpił jakiś rozgardiasz na posterunku — słysząc różne podniesione głosy, lecz nie słysząc charakterystycznego głosu Guzodka.

Wywnioskowaliśmy, że w tej akcji prawdopodobnie zginął Guzdek, w wyniku znanego wyroku Armii Krajowej. Znając cenę: 100 Polaków za śmierć Guzodka, którą wyznaczali Niemcy — powstał u mnie i L. Greli

problem — czy zniknąć z warty i z domu, by uniknąć ewentualnej egzekucji (wtedy to samo groziło naszym rodzinom), względnie pozostać. Ze zrozumiałych względów zmuszeni byliśmy dotrwać na warcie do czasu przyjazdu dwóch samochodów z tarnowskiego gestapo — osobowego i sanitarki. Wtedy posterunkowy Szewczyk zwołał nas z warty, co przyjęliśmy ze zrozumiałą ulgą.

Zadziwiającą bajką jest informacja Magier, jak za Guzdkiem, Steinem i Mądrym, którzy szli do budynku arestowanych, z ciekawości szli i w bliskiej odległości jako wartownicy obserwowali egzekucję oraz śmierć Guzodka, łącznie z dławieniem się własną krwią. Guzdek znany był z podejrzliwości w stosunku do Polaków, czyżby tyle zaufania miał Magiera i pozostali wartownicy? Również do fantastycznych urojeń należy zaliczyć informację Magier o rozmowie z esesmanami, którzy przyjechali z Tarnowa, oraz o budzeniu kilku akowców, którzy posiadali broń. Ciekawe w jakim celu?

Mieszkałem w Orlinowie od 1947 roku i nie słyszałem o przyjeździejących na koniach i rowerach z Radgoszczy i Szczucina by padać na kolana z okazji śmierci Guzodka. Są to opowieści sprzeczne z groźbą represji za takie wyrazy radości.

Równie „wiarygodna” jest rzekoma relacja wdowy po ogrodniku Józefie Wróblu, którego rzekomo Guzdek po postrzeleniu prosił o pomoc. Prosił o pomoc Polaka, a nie kompanów libacji Steina i Mądrego? Pragnę dodać, że nie było danym mi poznać szczegółów rzekomych relacji J. Zołędzia o tym, że Guzodka zastrzelił Kostek-Krasnodębski, jak również późniejszego rzekomego zaprzeczenia. Nie był on świadkiem wydarzenia i jego postawa ma również swoją wymowę.

Kostek-Krasnodębskiemu zbudne były mity i legendy. W tym czasie okupacji pracował w paszczy lwa z korzyścią dla mieszkanców okolic Orlinowa. Jego dekonspiracja, przez gadulstwo Zołędzia byłaby niepowetowaną stratą dla AK. Guzdek zginął w wyniku wyroku AK. Wykonawcą wyroku w czasie okupacji — ze zrozumiałych względów — nie był znany. Jednakże sposób wykonania wyroku i okoliczności wskazywały, że wykonał go Kostek-Krasnodębski.

Niezaplacenie ceny — 100 Polaków wynikało z faktu, że Stein, który w porównaniu z Guzdkiem był przez nas oceniany jako stosunkowo przyzwyczajony żandarm, wziął na siebie odpowiedzialność za rzekomą pomyłkę.

W czasie okupacyjnej nocy zawsze myślałem, że po wyzwoleniu Polakowi będzie bratem i przyjacielem. Cały artykuł ob. Musiała (TeMI nr 35/10.12.1989 r. — przyp. A. M.) opracowany z napastliwością i złośliwością, a szczególnie obrażający Kostka-Krasnodębskiego, potwierdza jednak dowcip o polskim piekle. Jest to szczególnie przykre, w 1989 r. po tylu fingowanych procesach akowców, po tylu krzywdach wyrażonych okresem stalinowskim.”

W odpowiedzi wypada mi powołać się na powszechnie dostępne przekazy. I tak np.: T. Krasnodębski w „Wieściach” (nr 41, październik 1984 r.) pisał:

„Z liczby 12 polskich policjantów, w tym czasie tylko czterech było na służbie w Żabnie. Pozostających ośmiu pozostało na posterunku i bez przymusu brali oni udział w libacji. Tylko w czasie rozstrzelania Ukraińców, ubezpieczali tych oprawców”.

A teraz inny tekst. Wł. Kabat w swej relacji „W cieniu złowrogiej swastyki” napisał, że Guздек spędzał ludzi ze wsi, by wzięli udział w dożynkach. Inni wspominają, że w uroczystości uczestniczyli nauczyciele, księża, urzędnicy, sołtysi i rodziny policjantów. Ale wróćmy do Kabata, który w podanym wyżej źródle informuje, że radość z powodu śmierci Guздеka była powszechna i nawet w kościołach odprawiano dziękićne nabożeństwa.

I jeszcze jedno. Guздек wiedział, kto doń strzelał, a że winowajców było dwóch, dlatego zawołał: „Aleście mi dogodzili”. I w tym, jakże wymownym epizodzie, jak sądzę, tkwi klucz do rozwikłania interesującej zagadki.

Aby uniknąć zbędnych wywodów i powtórzeń posłużę się wypowiedzią wspomnianego już świadka Kucharskiego.

W czasie wojny — mówi Kucharski — mieszkałem w Żabnie i pracowałem w charakterze listonosza, ale w dniu śmierci Guздеka pełniłem dyżur w centrali telefonocnej od 20-tej do rana. Było już późno, gdy Aleksander Rzepecki z Otfinowa zatelefonował z informacją, że w myśli rozkazu policji mam wezwać natychmiast lekarza Przybyszewskiego do kogoś rannego w Otfinowie. Kogoś bardzo ważnego. Wypadłem na rynek i przekazałem polecenie wartownikom, a ci pobiegli do domu leka-

rza. Za około 20 minut, nie pamiętam dokładnie, tenże Rzepecki odwołał rozkaz informując, że ranny już zmarł. Podekscytowany tą wiadomością wykonałem telefon z prośbą o krótkie zrelacjonowanie tego, co zaszło. Chciałem wiedzieć o kogo chodzi. Wtedy dowiedziałem się, że to Guздеk był postrzelony i już nie żyje. Rzepecki, mąż naczelniczki tamtejszego urzędu, ścisłym głosem mówił, że Guздеk, Stein i ktoś trzeci, ale nie wie kto, strzelali do Ukraińców i wówczas któryś trafił Guздеka. Kucharski podtrzymał w sądzie tę wersję zdarzenia.

W tygodniku „Za i Przeciw” nr 13/31 marca 1974 r. „Kostek” pisał, że był w BCh, co jego dowódca „Kabat” potwierdził, a także o zastrzeleniu Guздеka ze zrzutowego colta. W roku 1990 zeznał, że zabił go z naga- na kal. 7.62 mm. W „Wieściach” nr 41/7 października 1984 napisał, że Guздеk padł przy płocie i ani nie zipnął. W sądzie dodał, że po strzałach chwilę oczekiwał, by się upewnić o śmierci żandarma, a ciało leżało tam do rana, nikt spośród otfinowian nie był obecny przy wynoszeniu go stąd do sanitarnego samochodu. Tymczasem świadkowie zeznali, że ranny Guздеk wpadł do arestu i wzywał pomocy. Pozostał tu do rana. Inny przykład. Pracownik Urzędu Poczto-Telekomunikacyjnego w Żabnie Adam Kucharski zeznał, że policja z Otfinowa za jego pośrednictwem do rannego Guздеka wezwała lekarza z Żabna.

Wdowa po Guздеku oznajmiła, że na życzenie policji udała się z synkiem o godzinie 1.00 do celi, gdzie z wiązką słomy pod głową, w kałuży krwi, leżał martwy mąż, a obok siedział jego wilczur. Eryk usiłował pogłaskać twarz ojca i wtedy pies niebezpiecznie ugryzł go w rękę (przegryzienie żył). Dziecko zawieziono do lekarza w Opatowcu.

Józefa Dziadźko zeznała, że była obecna rano przy wynoszeniu Guздеka i opisała jego ubiór: niebieska koszula, granatowe spodnie i buty z cholewami. Albo. Katarzyna Lepa oznajmiła, że w domu jej rodziców w Otfinowie mieszkał z rodziną policjant Lewandowicz Wacław z poznańskiego, który rano po śmierci Guздеka wrócił i powiedział: Nie bójcie się, bo Stein zgłodził Guздеka i nie będzie żadnych represji (...). Przed sądem potwierdziła tę informację. Tego typu zeznań jest więcej.

Warto w tym miejscu zaakcentować, że w werdykcie sądu jest stwierdzenie, iż Guздеk nie był zastrzelony a jedynie ranny. Jest to niezmiernie ważne ustalenie.

Okolo 1985 roku „Kostek” opowiadał w domu soltysa, że zastrzelił Guздеka zza ogradzającego kościół muru, podaje Zuzanna Kozłara, cór-

ka sołtysa Władysława Sekuły. „Kostek” nie przyznał się do tego, że już przed wojną był policjantem w Otfinowie i zapewnił, że wstąpił jako wycieczka podczas wojny itd., itd.

(pieczęć) Bóg Honor Ojczyzna
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kraju
Federacja Światowa
Podbeskidzki Okręg Woj. Bielskiego

opracowało 30 kwietnia 1990 r. specjalne Sprawozdanie dotyczące zamieszkałego w Bielsku-Białej Tadeusza Krasnodębskiego „Kostka”.

Widnieją tu cztery podpisy spośród sześciu członków komisji.

Na stronie 4 i 5 czytamy między innymi:

Uwagi i ocena działalności okupacyjnej Tadeusza Krasnodębskiego

Analiza dostępnej dokumentacji, szczególnie życiorysów Tadeusza Krasnodębskiego, których było 5 w okresie 23 lat, nasunęła Komisji wiele uwag i zastrzeżeń co do ich wiarygodności, m. in.

1. Tadeusz Krasnodębski podaje, że brał udział w Wojnie Obronnej w 1939 r., za każdym razem podaje w życiorysach sprzecznie, że np.:

a) wg daty 7.IX.1967 r. przed wojną pracował w Warszawie w Przedsiębiorstwie Budowlanym (nie w policji), a powołany przed samą wojną do wojska walczył nad Sanem (bez posiadania numeru jednostki wojskowej i miejscowości walk),

b) wg daty 24.XI.1977 r. powołany z końcem sierpnia 1939 r. do kompanii telegraficznej 7 DP w Częstochowie i walczył pod Lublińcem, a pod Żabnem został włączony w skład jednostek gen. Monda (6 Krakowska DP).

c) wg daty 24.IV.1987 r. powołany w drugiej połowie sierpnia 1939 r. do 7 DP i po rozbiciu jednostki w odwrocie zameldował się dnia 7.IX.1939 r. w dowództwie 21 DPG i walczył pod Tomaszowem Lub. (tam 21 DPG nie walczyła lecz pod Oleszycami),

d) wg daty 1.II.1990 r. był przed wojną w granatowej policji (co podaje po raz pierwszy) i wraz z całą policją dnia 7.IX.1939 r. włączony został

w skład 21 DPG) jest to nieprawda, bo policja została zmilitaryzowana i miała określone zadanie na tyłach frontu).

Nadmieniamy, że wg relacji wielu żołnierzy 21 DPG, policjanci w czasie działań bojowych nie byli włączani w skład jakiegokolwiek jednostki 21 DPG.

e) wg zapisu w książce wojskowej Nr 0 867735 RKU Głogów z dnia 18.I.1956 r. Tadeusz Krasnodębski w ogóle nie brał udziału w Wojnie Obronnej 1939 r. (...).

4. Uczestnictwo w tajnym nauczaniu z uzyskaniem świadectwa egzaminu dojrzałości (nie posiada dokumentu władz tajnego nauczania)(...).

8. Poważne zastrzeżenie odnosi się do wniosku weryfikacyjnego odznaczenia Krzyżem Orderu Virtuti Militari — V kl. dla T. Krasnodębskiego wystawionego przez Zarząd Oddziału ZBoWiD w Bielsku-Białej z dnia 16.IV.1973 r., a które uzasadniał ppłk Kabat, były inspektor BCh IV Okręgu Krakowskiego BCh dla członków Stronnictwa Ludowego T. Krasnodębskiego z czasów okupacji co świadczy o niedopuszczalnej działalności ppłk Kabata po opuszczeniu szeregów AK w roku 1943, kiedy to „zdezertował” do BCh, aby tam objąć funkcję inspektora w IV Okręgu Krakowskim BCh.

Dokument jest obszerny i nie przytaczam go w całości w przeświadczeniu, że ukazana jego część stanowi doskonałą ilustrację skali trudności, z którymi musi zmierzyć się historyk. Sprawozdanie kończy się stwierdzeniem, że komisja nie znalazła dowodu na okoliczność zastrzeżenia Guzdka przez T. Krasnodębskiego. Wypada dorzucić, że komisja była złożona z ekspertów i wyższych oficerów WP.

Między fikcją a faktami, trzeba dla dobra nauki i w imię prawdy historycznej postawić grubą kreskę. Armii Krajowej i Batalionom Chłopskim nie trzeba taniej reklamy, dość mają one własnych zasług. Przed prawdą trzeba schylić czoło, mimo że czasem ma ona — przyznajmy — bardzo gorzki smak.

Relacje Józefa Wróbla i Władysława Magiera pozwoliły odtworzyć, jak myślę, fakt o niepodważalnej wiarygodności.

Drobne rozbieżności w relacjach świadków nie naruszają sprawy zasadniczej. Nikt z opowiadających się za wersją „Kostka” nie należał do grona świadków, a więc opiniodawców najbardziej wiarygodnych. Natomiast wersję przeciwną głoszą ludzie, którzy patrzyli na dramatycz-

ne wydarzenia własnymi oczami. Do takich należą liczni policjanci, war-
townicy, nawet naczelnicy dożnyek, przede wszystkim zaś wspomniani
już wcześniej Józef Wróbel i Władysław Magiera — niewątpliwi świad-
kowie dramatycznego wydarzenia. Ich to relacje, opinie i spostrzeżenia
dotarły do kroniki parafialnej, prowadzonej przez księdza Józefa Klo-
cha. Zgodnie z moją wiedzą i najczystszyimi intencjami, Guzdką postrze-
lił (a nie zastrzelił) Stein.

Pragnąłbym, by ta praca, oparta na zgodnych relacjach bezpośred-
nich świadków stała się fragmentem pracy historycznej, obrazującej losy
okolic bliskich mej ziemi rodzinnej.

Pragnę jeszcze dodać, że do osoby „Kostka” Tadeusza Krasnodęb-
skiego odnoszę się z uznaniem należnym aktywnemu bojownikowi pa-
triotycznego podziemia. Chcę jednak pozostać wierny starej
grecko-rzymskiej maksymie „*Amicus Plato, sed magis amicae veritas*”.
— Przyjacielem mi Platon, lecz jeszcze większym (bliższym) przyjacie-
lem prawda.

RODOWÓD MORDERCY

36. Relacje: Adam Hebda — kowal, Julia Jeżowicz — em. nauczycielka,
Wilma Hadariowa ze Stonawy, Józef Guzdek z Cieszyna polskiego.

37. Ks. Franciszek Bogacz ze Stonawy, ks. dr S. Sikora oraz Anna
Mrowiec z USC w Andrychowie, ks. prałat Walter Wrzoł z Cieszyna
polskiego przedstawili obszerne wyciągi metrykalne.

Andrzej Kamiński: Faszyzm.

Wiedza Powszechna, Warszawa 1971, str. 65

.... kto stronił od uczciwej pracy i w nieustannej wojnie widział jedy-
ną możliwość egzystencji, ten szedł do korpusów ochotniczych. Stały się
one zbiorowiskiem wszystkich obwici z całego narodu, motłochu,
lupenproletariatu, owych zezwierzęconych elementów, które prowadziły
wojnę dla samej wojny. Wyrzutki społeczeństwa kapitalistycznego po-
wołano na obrońców tegoż społeczeństwa...”

Wydaje się, że taka rekrutacja i kryteria doboru „rycerzy Hitlera”
nie mogły ominąć perły marginesu społecznego, bandyty ze Stonawy.
Pewne więc światło na motywy wstąpienia Guzdką do żandarmerii hitle-
rowskiej rzuca literatura naukowa.

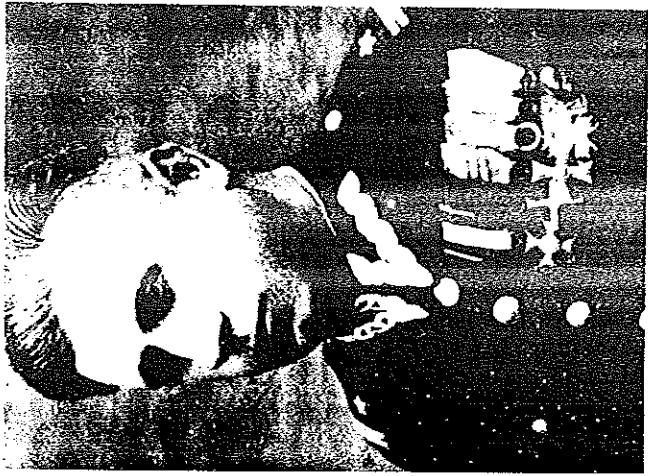
ZANIM PRZYSZŁA WOLNOŚĆ

38. Stanisław Dąbrowa-Kostka: Hitlerowskie afisze śmierci.
Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1983, str. 243.

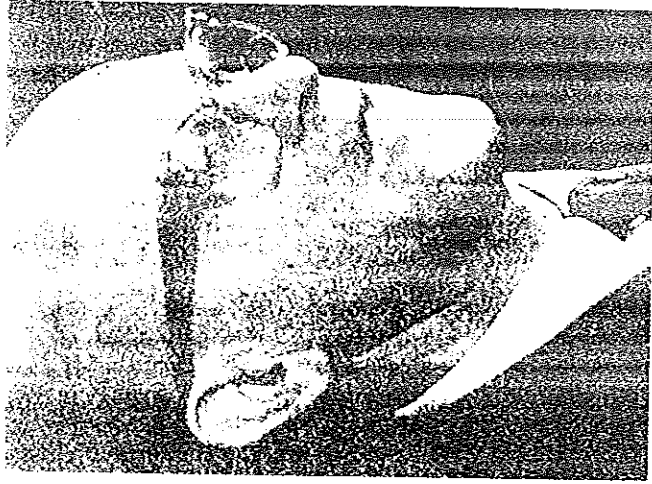
39. A. Pietrzyk: Powiat dąbrowski w latach okupacji hitlerowskiej
(1939 – 1945).

W: Dąbrowa Tarnowska, op. cit. str. 605

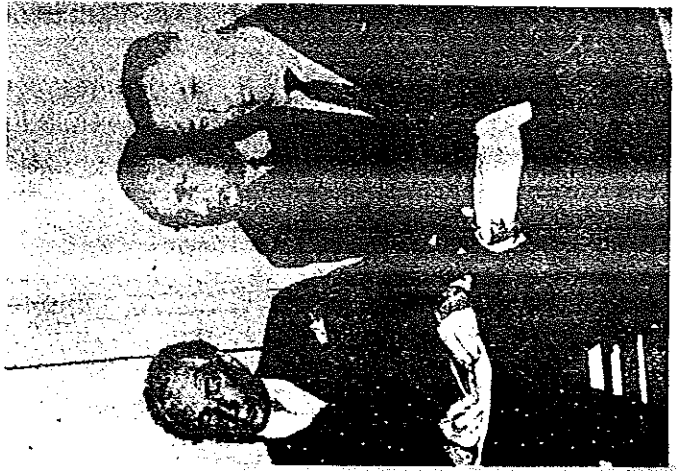
Relacje: Kazimierz Witkowski.



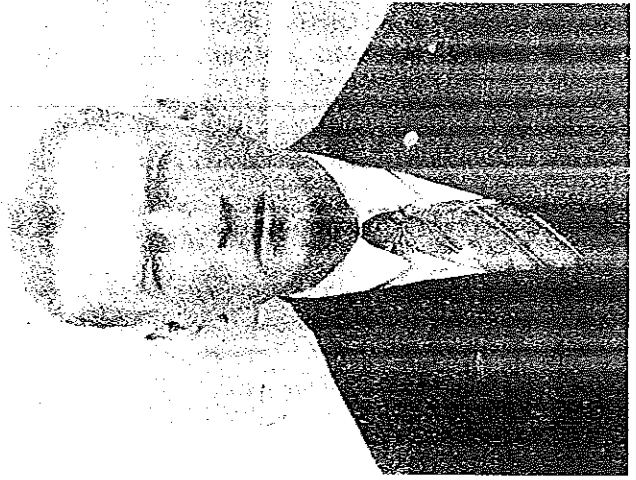
1. Płk Stefan Mustiałek-Łowicki — zdj. archiwalne.



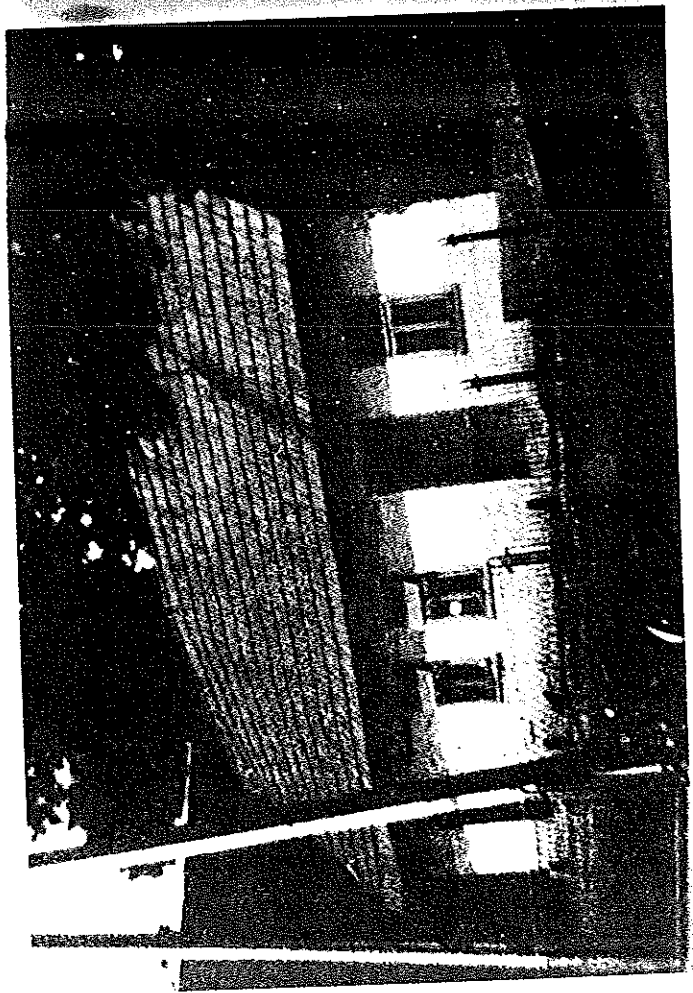
2. Kpt. Władysław Kahat ps. „Brzechwa” — zdjęcie z 1974 roku.



3. Płut. pchor. Zdzisław Baszak ps. „Pirat” w środku — zdj. archiwalne.



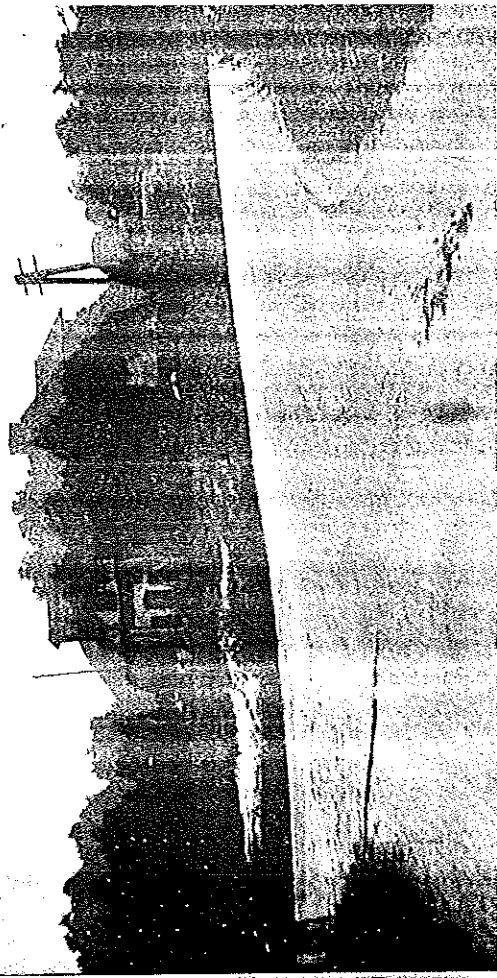
4. Władysław Idzik — zdj. archiwalne.



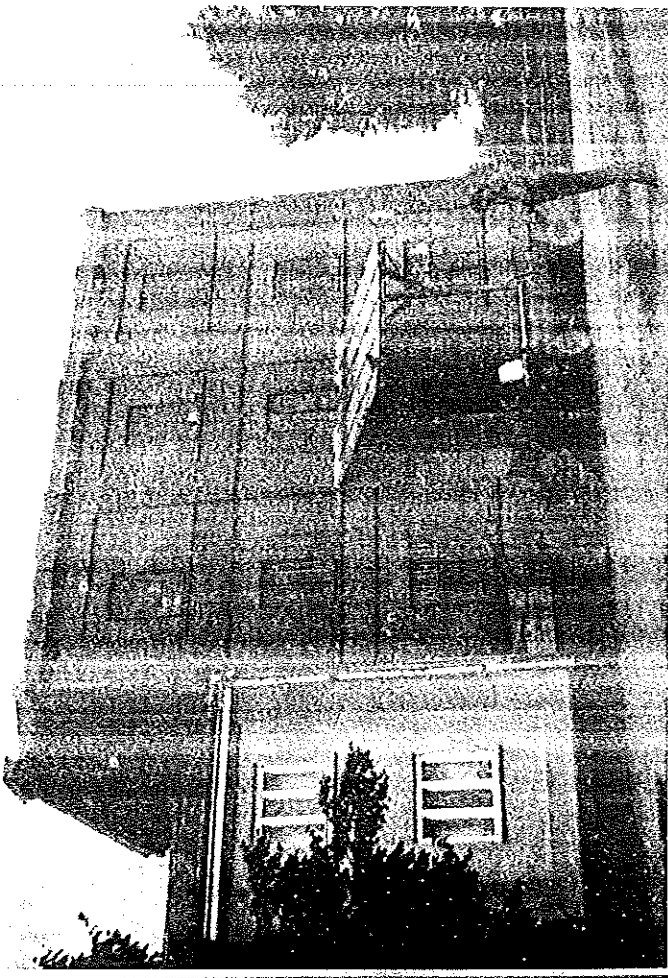
5. Dom Stanisława Kosienińskiego w Janikowicach.



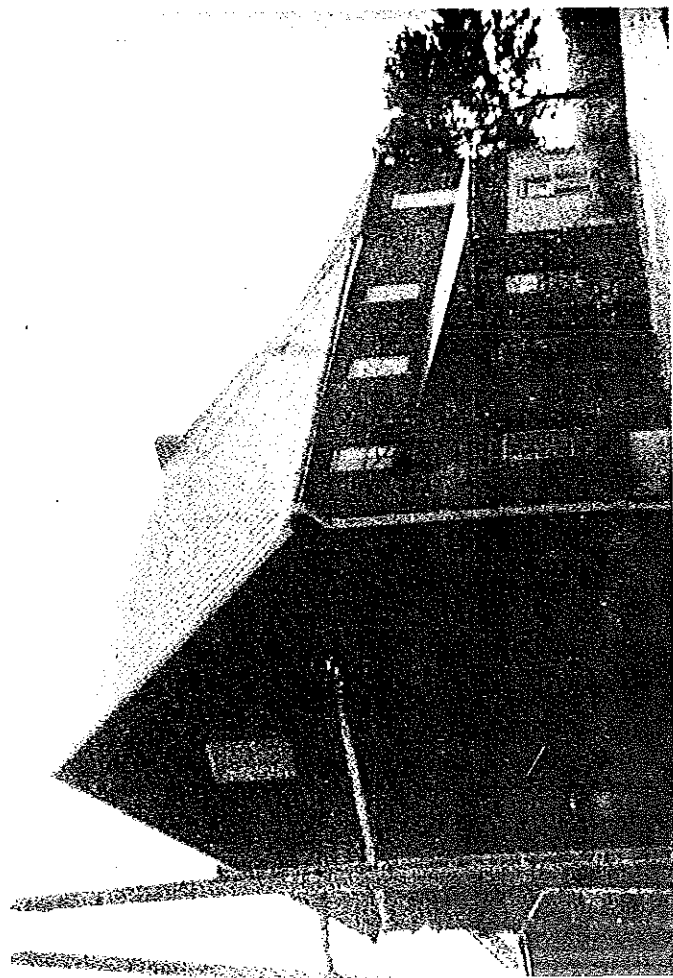
6. Dom rodziny Ludwika Stokłosy w Siedliszowicach.



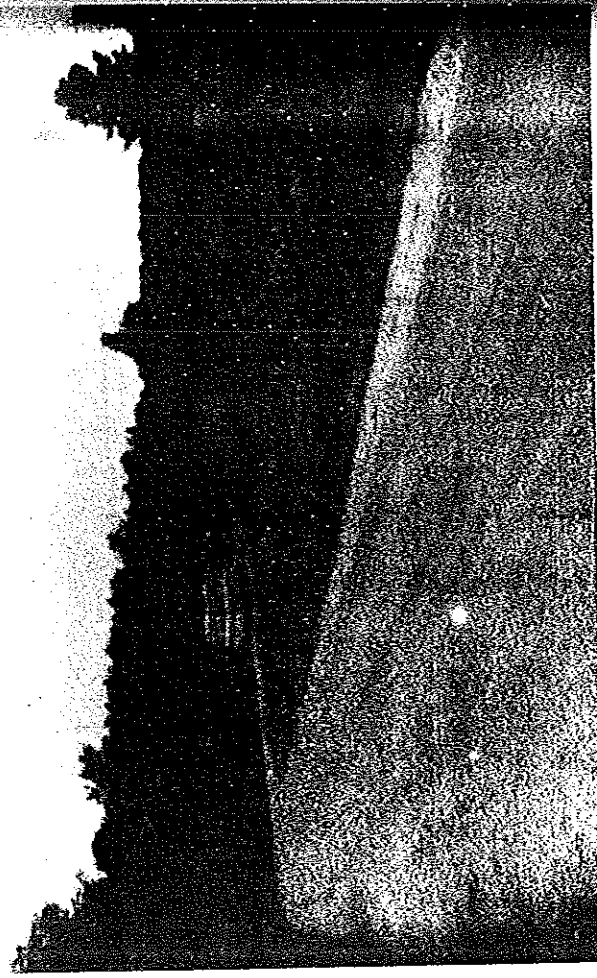
7. Młyn w Siedliszowicach.



8. Młyn w Żelichowie.



9. Młyn w Niecieczy.



10. Las we wsi Jamy.



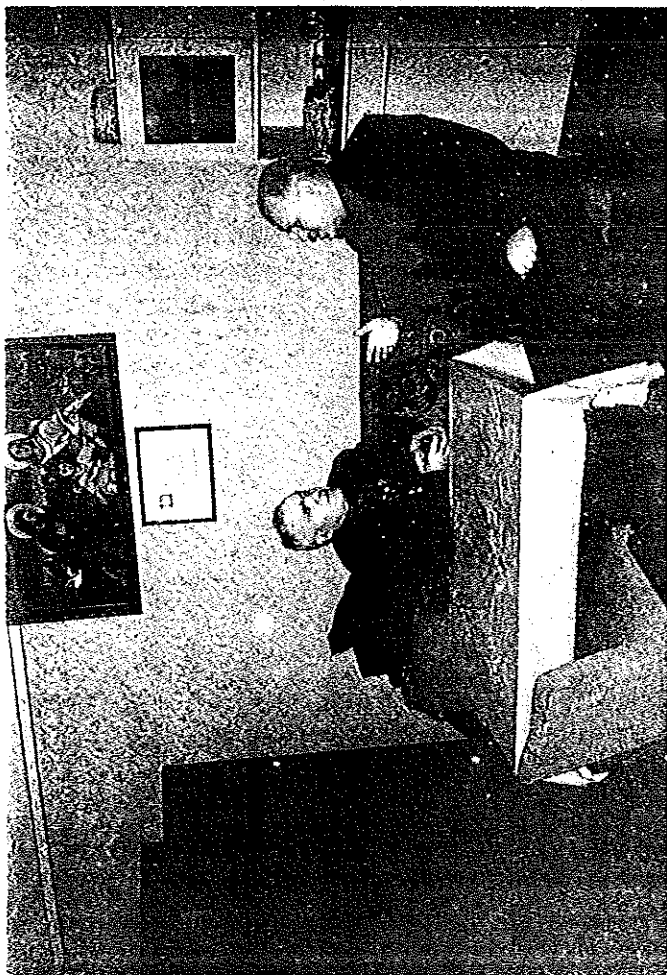
11. Uczestnicy uroczystości weselej w Jamach. Stanisław Pietras w ostatnim rzędzie po lewej — zdj. archiwalne.



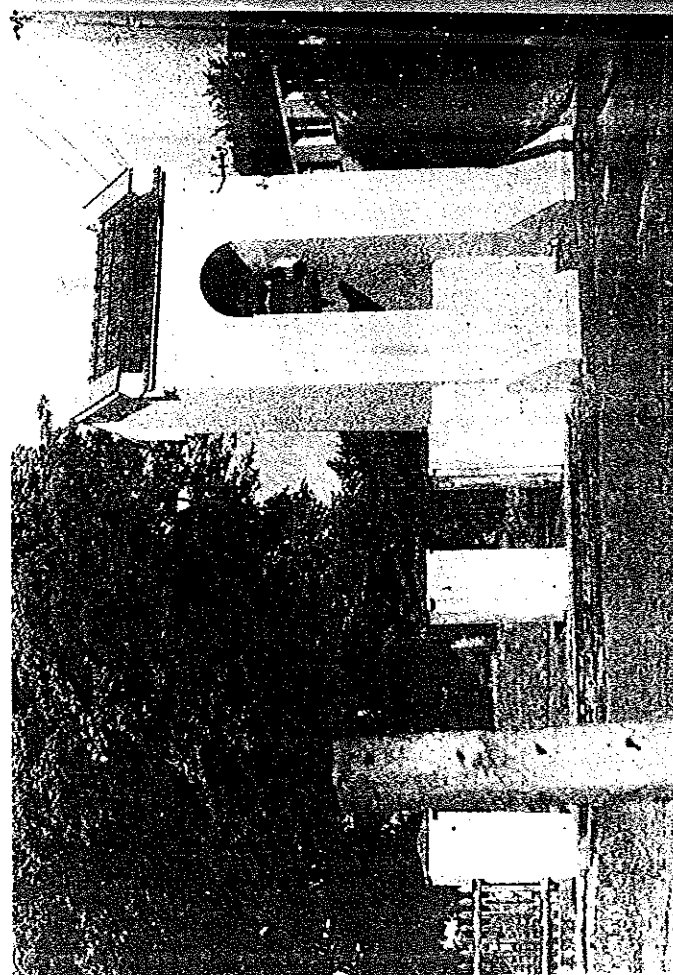
12a. Stanisław Pietras.



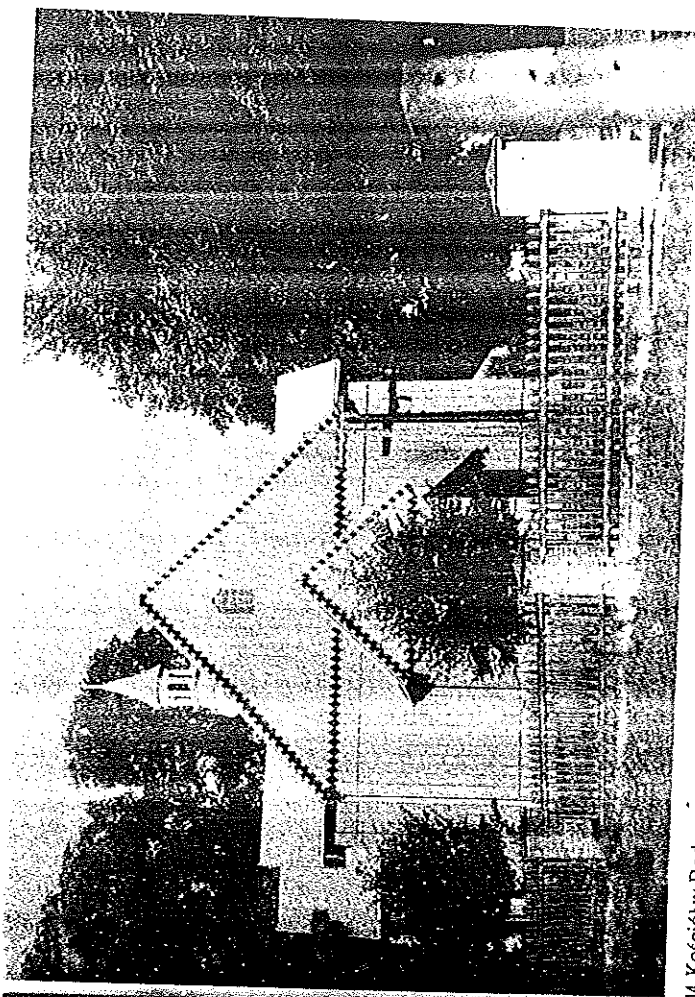
12b. Adam K. Musiał — autor niniejszego opracowania.



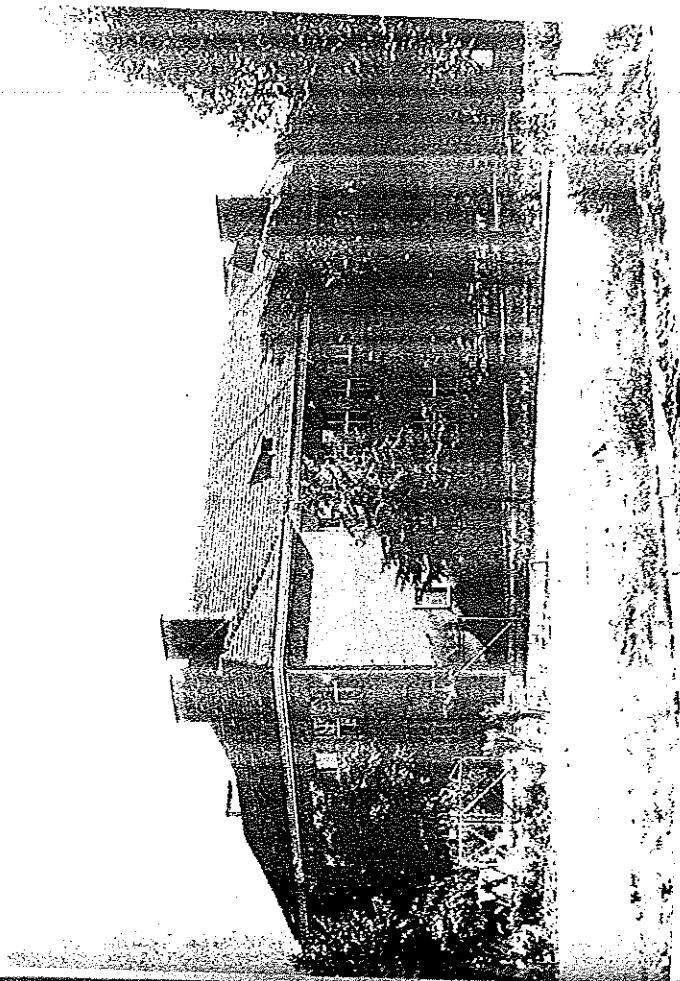
12. Po latach spotkanie Pietrasa (siedzi za stołem) z autorem — zdjęcie z 1992 roku.



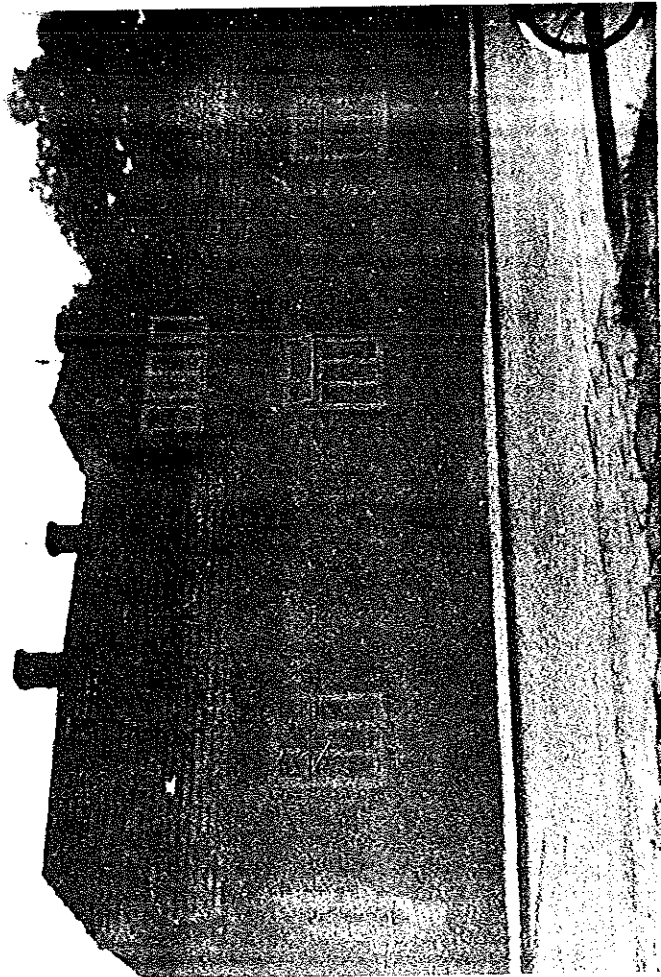
13. Dawonmicka kościół w Radgoszczu, miejsce licznych egzekucji. W głębi po prawej posterunek policyjny.



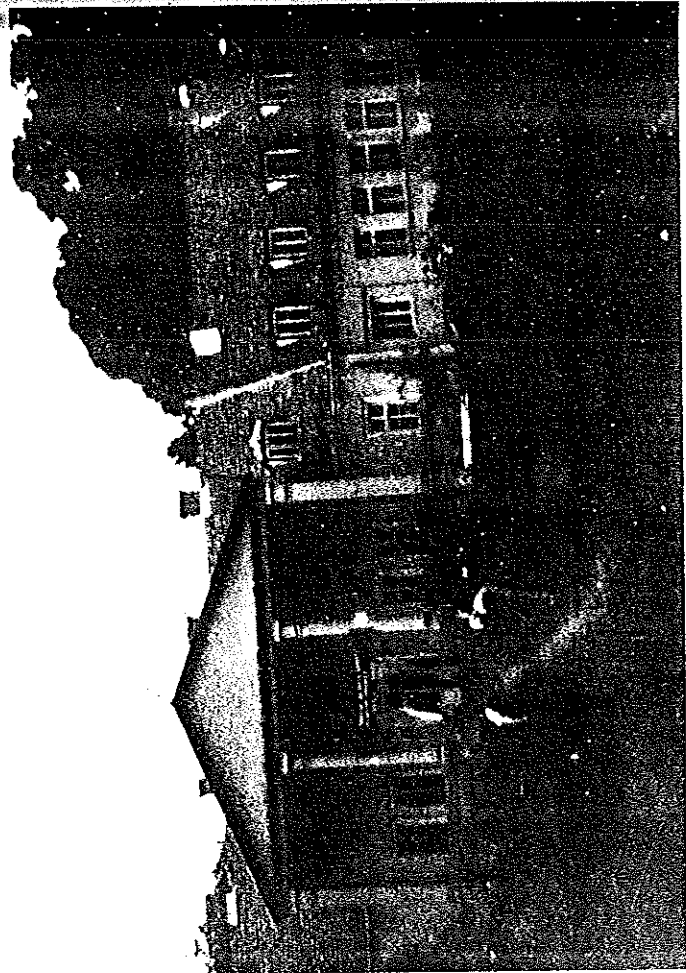
14. Kościół w Radgoszczu.



15. Szkoła w Radgoszczu — miejsce gdzie stała szubienica.



16. Posterunek policji w Miedzechowie.



17. Dwór w Oleśnicy — owoczarnia. Prawe skrzydło dobudowano po wojnie.

KOMENDA WOJEWÓDZKA
POLICJI PAŃSTWOWEJ
URZĄD ŚLEDCZY

Odręcznie

Łódź dnia 25.11.1945 r.

Wymieniona drugostronnie osoba jest w Urzędzie Śledczym

Alenotowana:

1. Józef Landauer; mający 15 lat
2. Józef Landauer; w dniu 25.11.1945 r.

- 3. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 4. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 5. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 6. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 7. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 8. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 9. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 10. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 11. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 12. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 13. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 14. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 15. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 16. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 17. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 18. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 19. Józef Landauer - 12/12/1945 r.
- 20. Józef Landauer - 12/12/1945 r.

3. Wezwanie dla podejrzanych o ukrycie broni.

Województwo Wielkopolskie
Urząd Wojewódzki w Poznaniu
Wydział Administracyjny
Poznań, dnia 20 września 1948 r.

nr 21/48.

pan Sottor wspaniały

Wielka Gmina

na skutek zawarcia - kade ośmiu dniach i dnia 21.9.48.
nr 1306/48 i z dnia 22.9.48. nr 1546/48. zostały wyznaczone na zakazanie
z tutejszego ręk. wyłączenie osoby:

- 1/ Marcja 15 lat, polska, ✓
- 2/ Andrzej 10 lat, polski, ✓
- 3/ Józef 10 lat, polski, ✓

Zakładnicy ci są odpowiedzialni za ewent. akty sabotażu
na terenie Gminy Zielonki. Wrazie zaskarżenia wyznaczenia
tytułu - zakładnicy ci zostali pozbawieni.
Poniżej tym zakładnicy ci zostali wyznaczeni do kolejnego
strzeżenia mającego na celu kontrolowanie i ostrzeżenie się w czasie
w Wielkopolce. W tym celu w dniu 21.9.48. została wyznaczona
przez Gminę Zielonka osoba do strzeżenia dnia o godzinie 2.00
i później nie dnia następnego i później B.M.
W tym celu wyznaczeni do strzeżenia wyznaczeni są
zakładnicy, wyznaczeni do strzeżenia wyznaczeni są
na tutejszym i porostu pod kontrolą, tutejszym.
Zakładnicy ci są odpowiedzialni za następcę strzeżenia mającego
na celu strzeżenie.

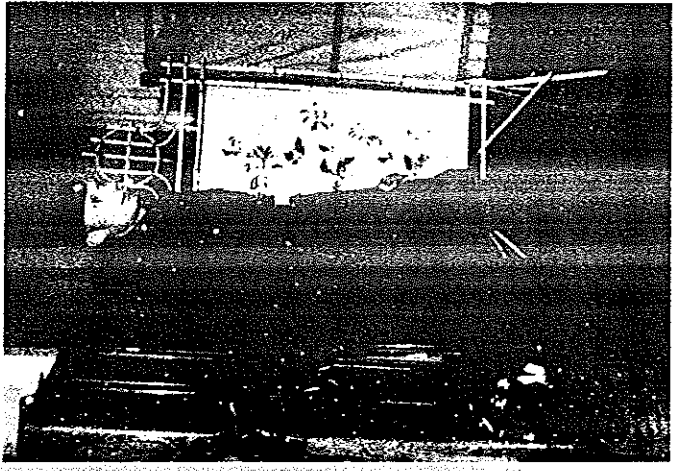
1. Zakładnicy.

Komendant Gminy

19. Obwieszczenie Wendlanda w Miedzechowie.



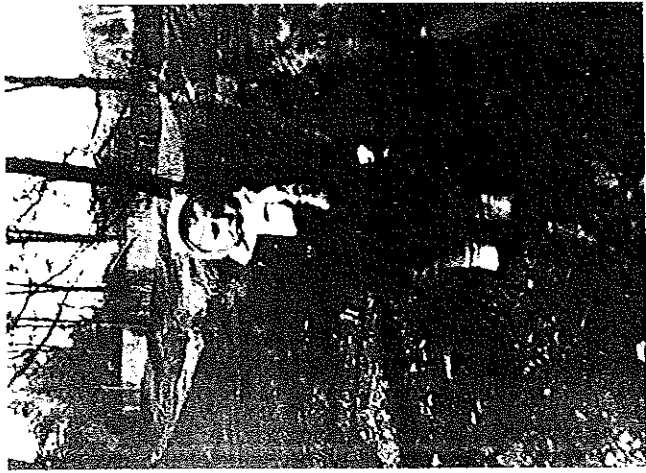
20. Dwór w Bmju. Stan obecny po przebudowie.



21. Engelbert Guzdek — zdj. archiwalne.



22. Żona Guzka, Hildegarda — zdj. archiwalne.



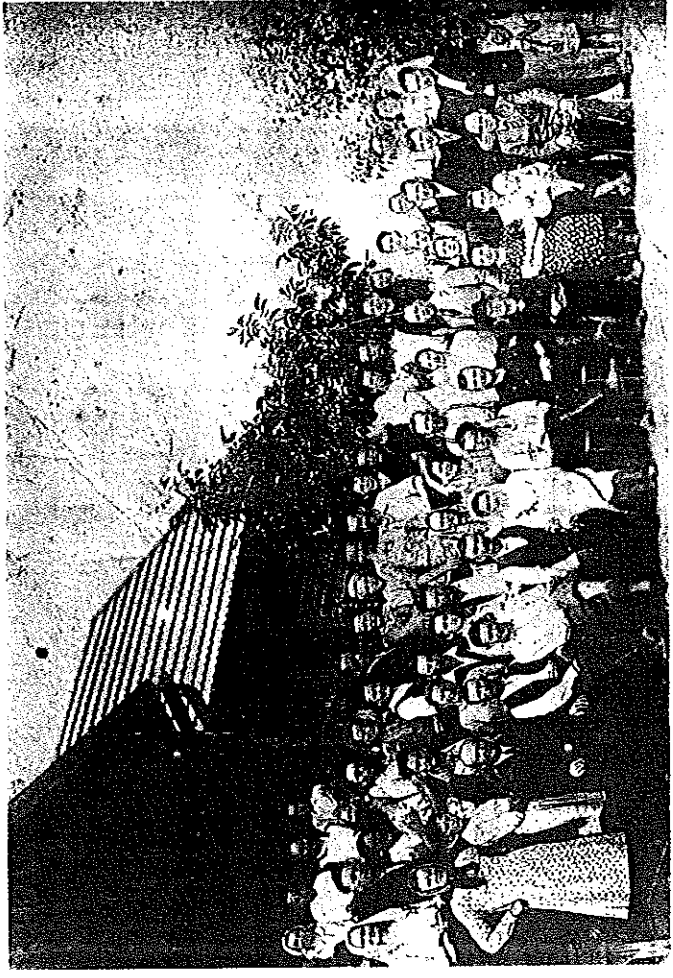
23. Syn Guzdzka. Eryk — zdj. archiwalne.



24. Matka Guzdzka. Anna — zdj. archiwalne.



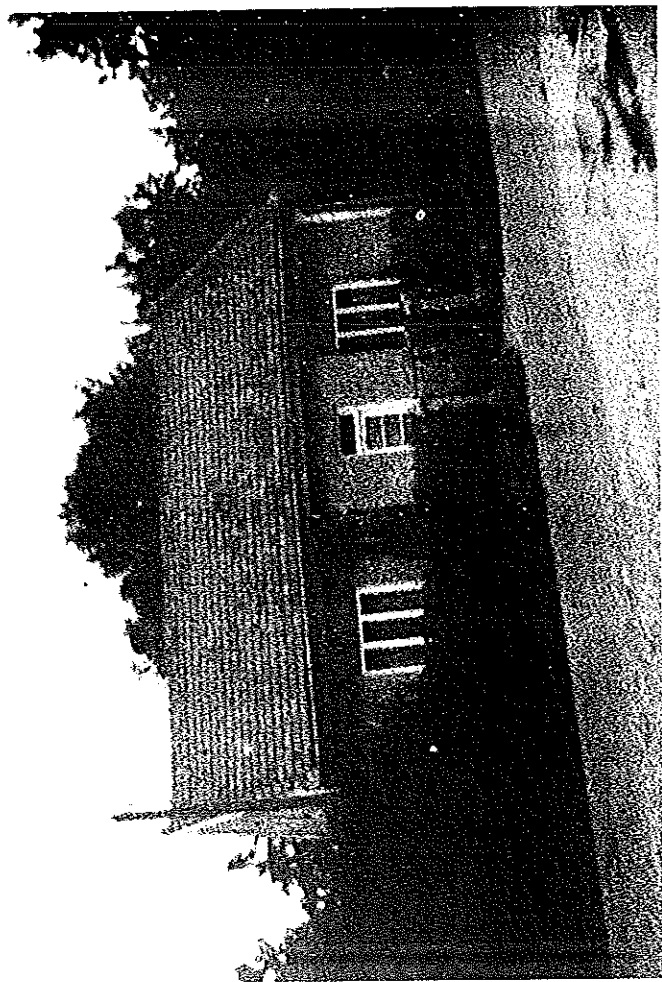
26. Wilhelm Stein i Stefan Mądry na weselu Stanisława Węca w Podlесьiu Dębowyń.



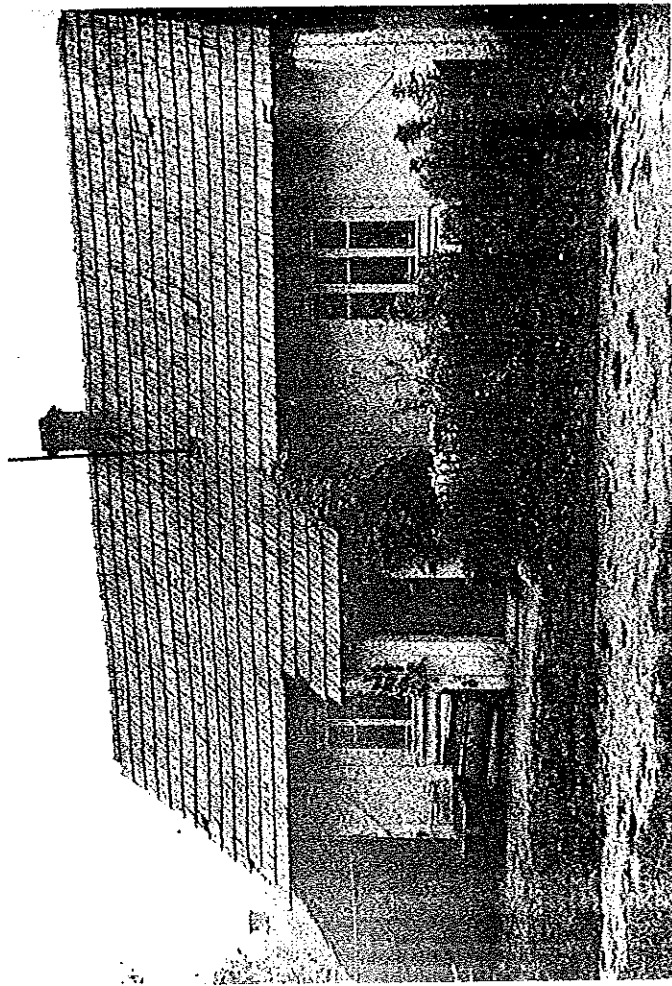
25. Guzdzek na weselu Sanka w Niciocy. Siedzi obok panny młodej.



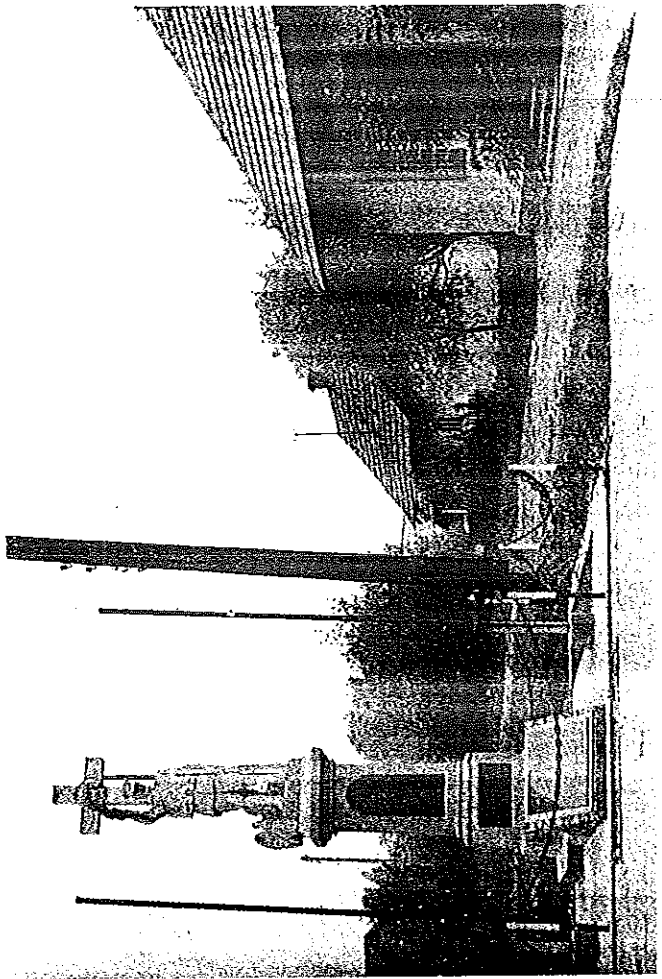
27. Eugeniusz Niechciń (w pumpacki) na weselu Sanka.



28. Posterunek policji w Otfinowice.



29. Arcyś w Otfinowice.



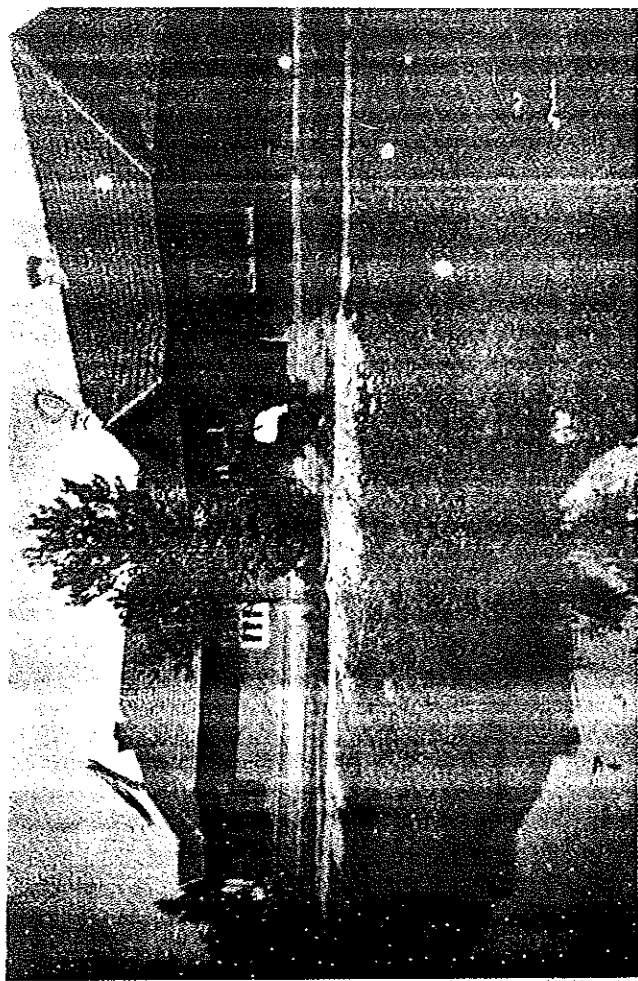
30. Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny w Otfinowice, w głębi arcysz.



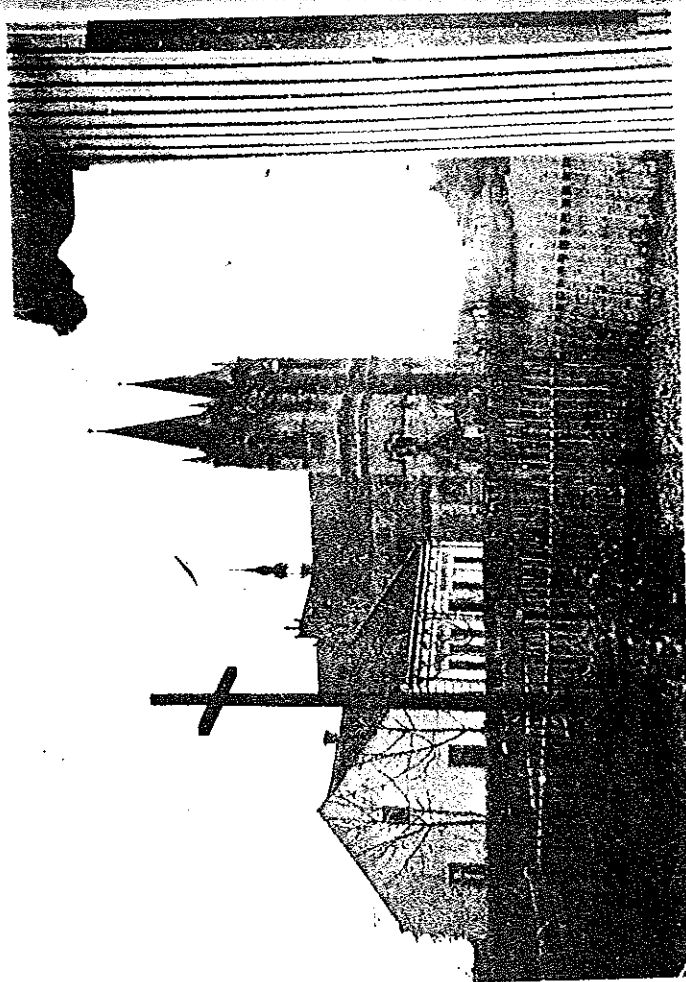
31. Proboszcz parafii Otfinów, ks. kanonik Józef Kłoch (w środku między księżmi) — zdy. arc-hwalne.



32. Ks. Jan Piechota i pp. Cierniakowie wśród uczniów kl. VII.



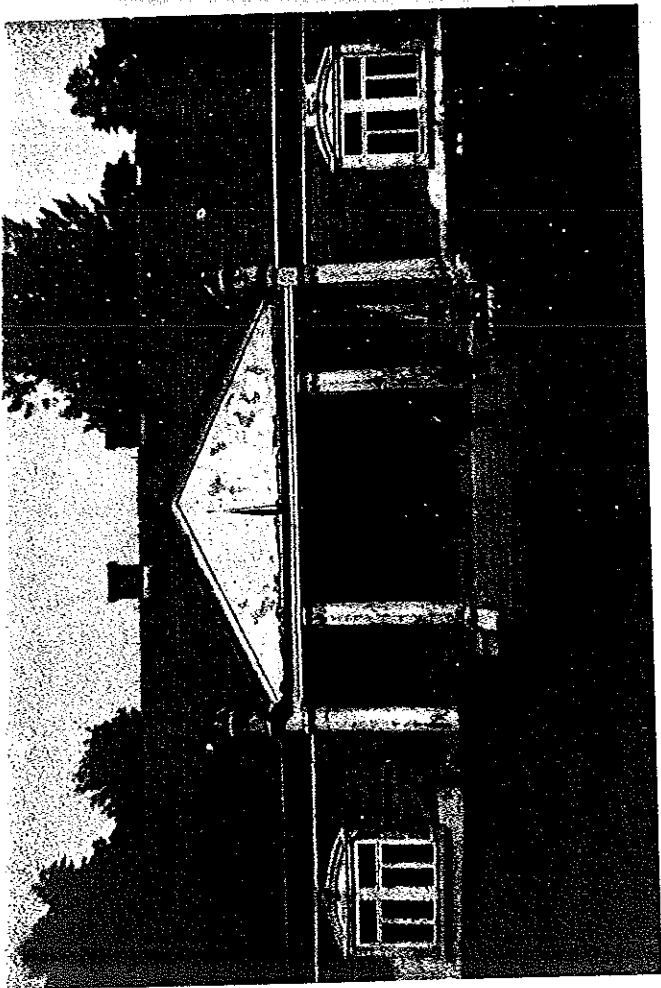
34. Siedziba Urzędu Gminnego w Ołfinowie (w tle po prawej).



33. Budynecz szkolny i kościół w Ołfinowie.



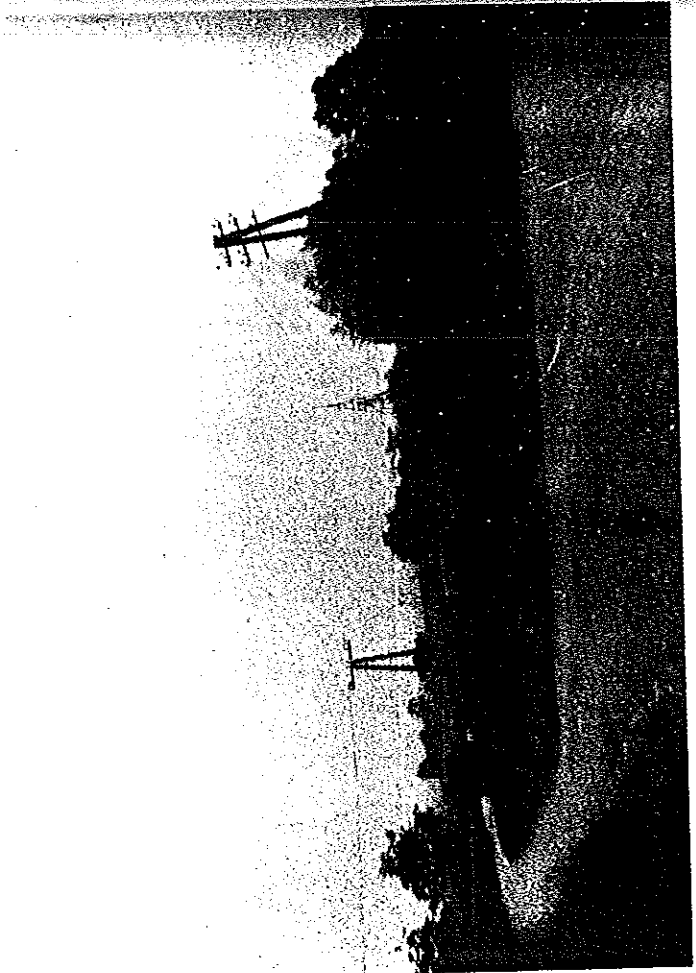
35. Przeprowa promowa w Ołfinowie — zdj. archiwalne.



36. Dwór w Diamencie.



38. Dwór w Niwkach.



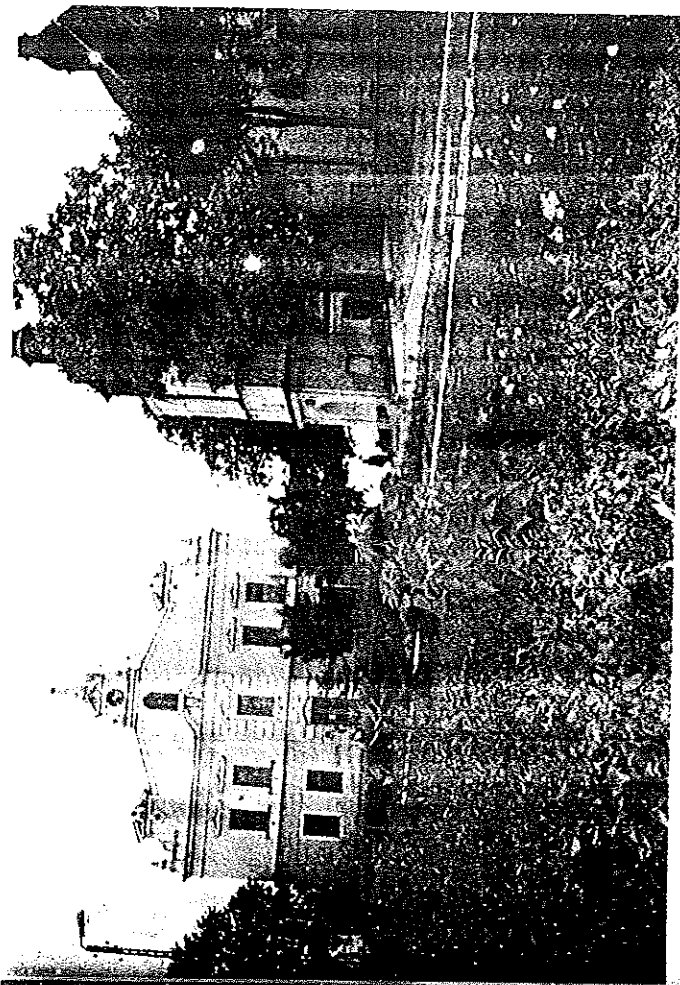
37. Czantoria pod Otfinowem, miejsce straceń.



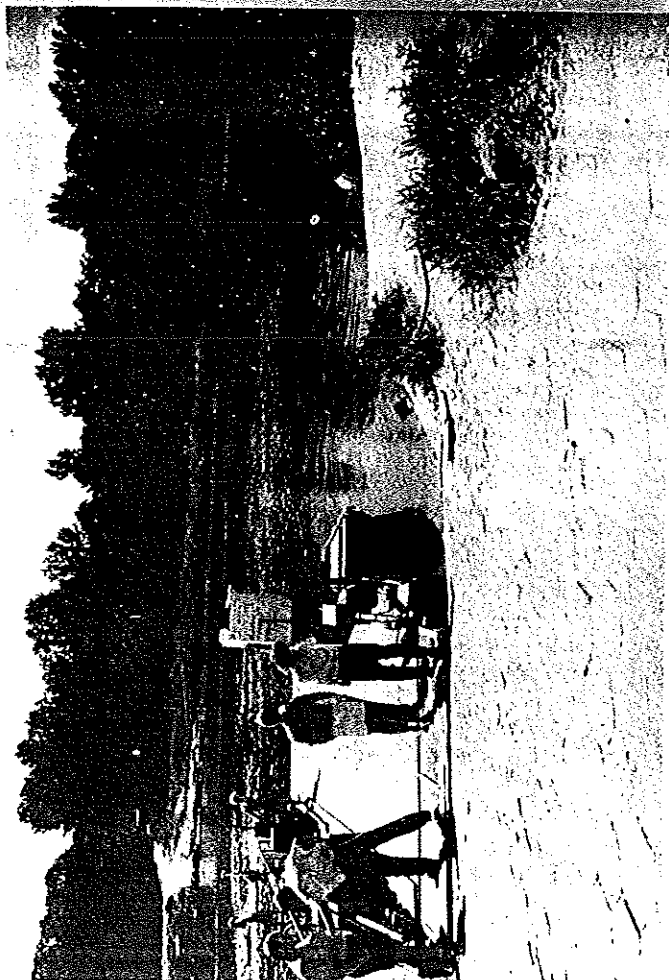
39. Spichlerz dworski w Niwkach.



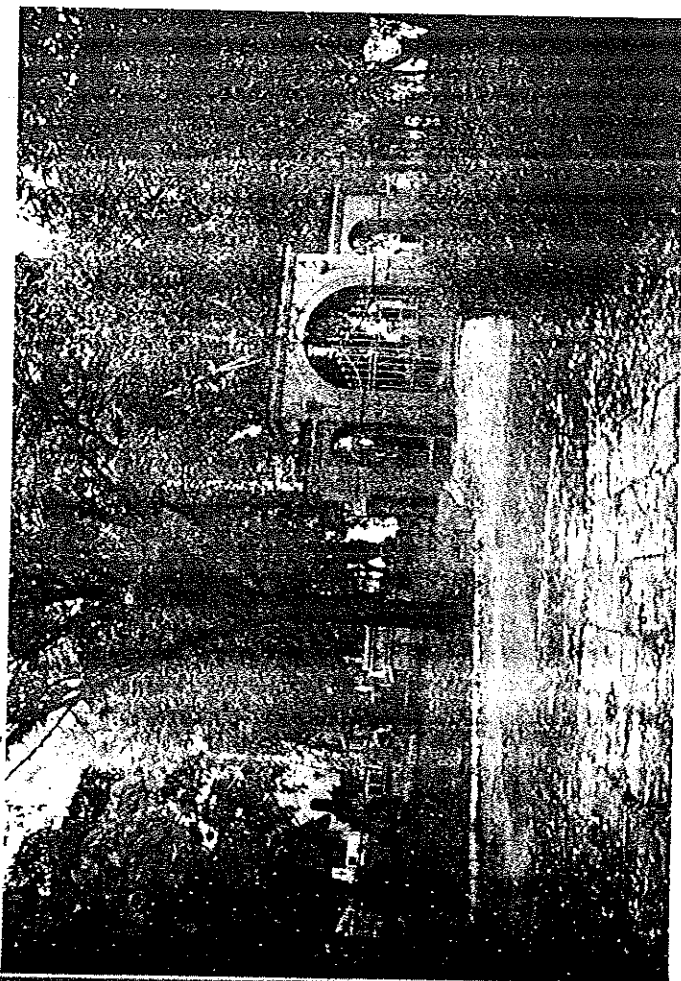
40. Dwór w Gorzycach.



42. Posterunek żandarmerii niemieckiej w Żabnie.



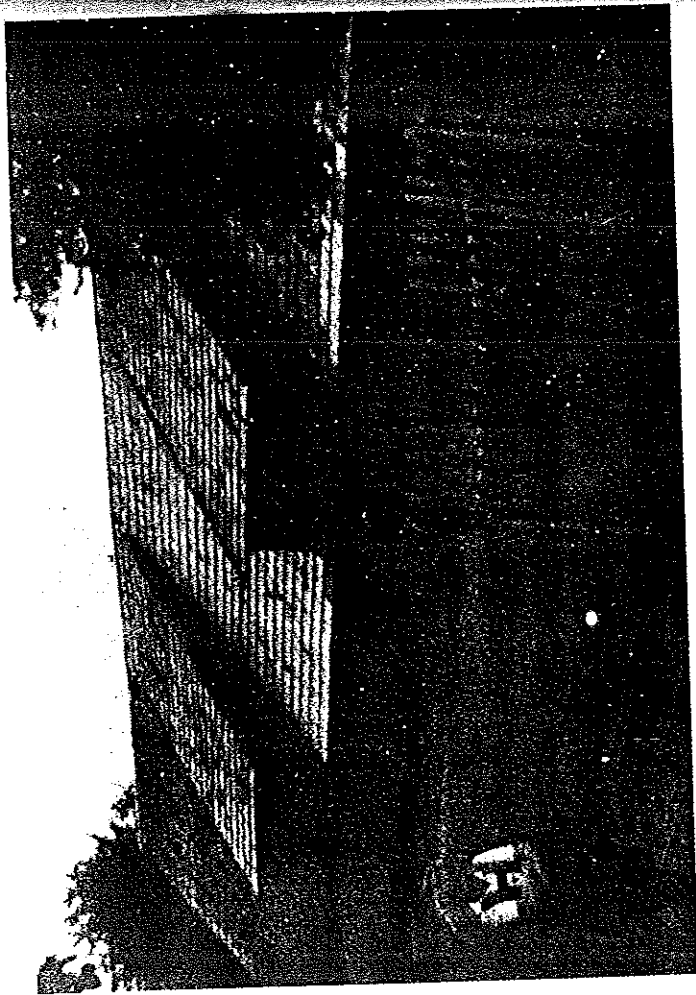
41. Przeprawa promowa na Wiśle w Ujściu Jezuitskim pod Opatowem.



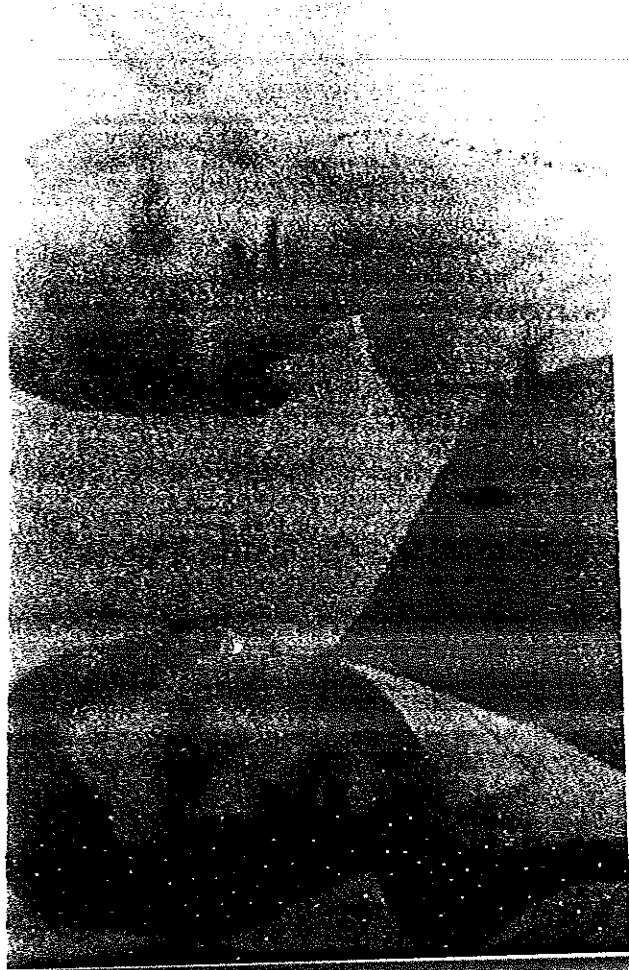
43. Cmentarz w Żabnie.



44. Zbiorowa mogiła Cyganów w Żabnie.



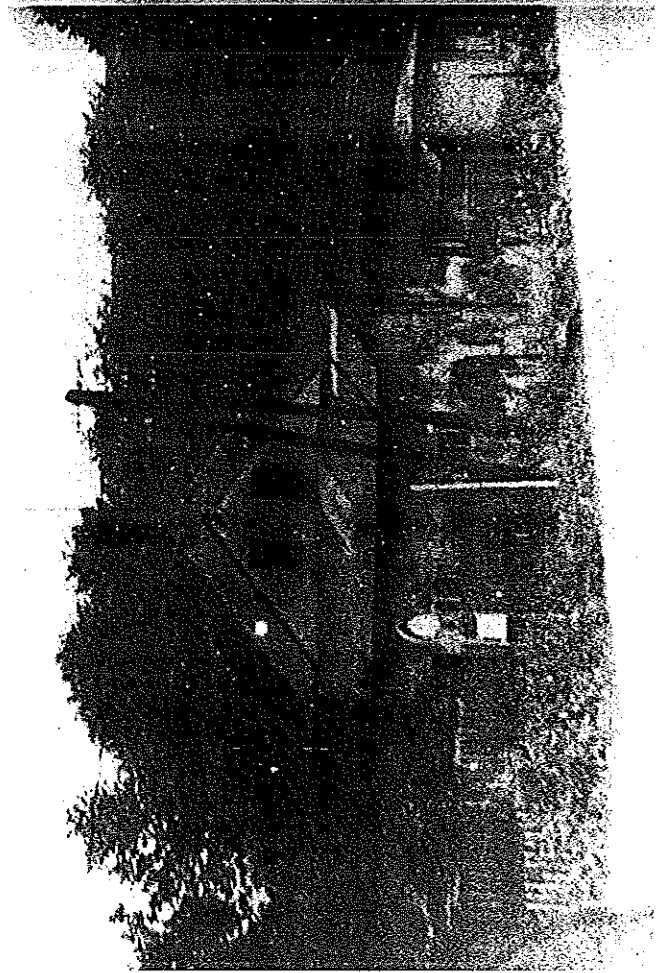
45. Jedna ze stodół resztków podworskiej w Wielopolu, miejsce ukrycia się jeńców wojennych.



46. Józef i Maria Musiałowie, właściciele resztkówki w Wielopolu — zdj. archiwalne.



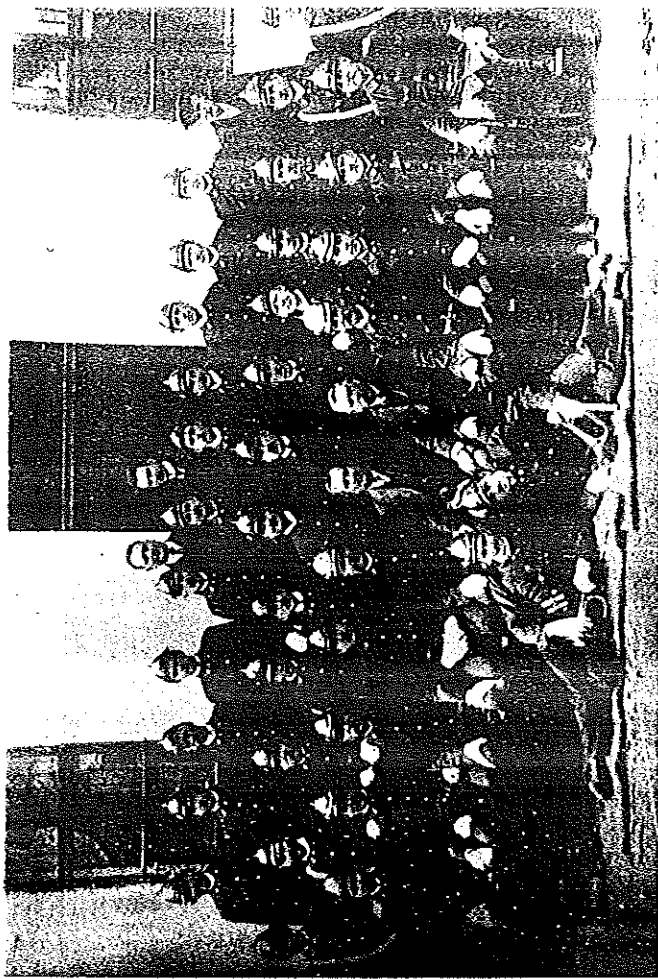
47. Władysław Magiera, świadek śmierci Guzdzka, jako przewodnik na promie (obok tablicy informacyjnej) na Dunajcu w Siedliszowicach — zdjęcie z 1982 roku.



-48. Dom Guzdków w Stonawie koło Karwiny.



-49. Guzdek pośród uczniów szkół niemieckiej.



50. Ojciec Guzodka, Jan, na pamiątkowym zdjęciu strażaków (oznaczony krzyżykiem).



51. Pamiątkowe zdjęcie kombatanatów, wykonane w 1988 roku w Orlinowie. Tadeusz Krusnolęski (na lewo) i Władysław Magiera (pierwszy z lewej).

Spis ilustracji

1. Ppłk. Stefan Musiałek-Łowicki — zdjęcie archiwalne.
2. Kpt. Władysław Kabat ps. „Brzechwa” — zdjęcie z 1974 roku.
3. Plut.pchor. Zdzisław Baszak ps. „Pirat” (w środku) — zdjęcie archiwalne.
4. Wojciech Idzik — zdjęcie archiwalne.
5. Dom Stanisława Kosieniaka w Janikowicach.
6. Dom rodzinny Ludwika Stoklosy w Siedliszowicach.
7. Młyn w Siedliszowicach.
8. Młyn w Żelichowie.
9. Młyn w Niecieczy.
10. Las we wsi Jamy.
11. Uczestnicy uroczystości weselnej w Jamach. Stanisław Pietras w ostatnim rzędzie po lewej — zdjęcie archiwalne.
- 12a. Stanisław Pietras.
- 12b. Adam K. Musiał — autor niniejszego opracowania.
12. Po latach spotkanie Pietrasa (siedzi za stołem) z autorem — zdjęcie z 1992 roku.
13. Dzwonnica kościoła w Radgoszczy, miejsce licznych egzekucji. W głębi po prawej posterunek policji.
14. Kościół w Radgoszczy.
15. Szkoła w Radgoszczy — miejsce, gdzie stała szubienica.
16. Posterunek policji w Mędrzechowie.

17. Dwór w Oleśnie — owczarnia. Prawe skrzydło dobudowano po wojnie.
18. Wezwanie dla podejrzanych o ukrycie broni.
19. Obwieszczenie Wendlanda w Mędrzechowie.
20. Dwór w Brniu. Stan obecny po przebudowie.
21. Engelbert Guздеk — zdjęcie archiwalne.
22. Żona Guzodka, Hildegarda — zdjęcie archiwalne.
23. Syn Guzodka, Eryk.
24. Matka Guzodka, Anna — zdjęcie archiwalne.
25. Guздеk na weselu Sanka w Niecieczy. Siedzi obok pani młodej.
26. Wilhelm Stein i Stefan Mądry na weselu Stanisława Wenca w Podlesiu Dębowym.
27. Eugeniusz Niechciał (w pumpach) na weselu Sanka.
28. Posterunek policji w Otfinowie.
29. Areszt w Otfinowie.
30. Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny w Otfinowie, w głębi areszt.
31. Proboszcz parafii Otfinów, ks. kanonik Józef Kłoch (w środku między księżmi) — zdjęcie archiwalne.
32. Ks. Jan Piechoła i pp. Cierniakowie wśród uczniów kl. VII.
33. Budynek szkolny i kościół w Otfinowie.
34. Siedziba Urzędu Gminnego w Otfinowie (w tyle po prawej).
35. Przeprowadzenie promowa w Otfinowie — zdjęcie archiwalne.
36. Dwór w Diamencie.
37. Cmentarz pod Otfinowem, miejsce straceń.
38. Dwór w Niwkach.
39. Spichlerz dworski w Niwkach.
40. Dwór w Gorzyczach.

41. Przeprowa promowa na Wiśle w Ujściu Jezuickim pod Opatowcem.
42. Posterunek żandarmerii niemieckiej w Żabnie.
43. Cmentarz w Żabnie.
44. Zbiorowa mogiła Cyganów w Żabnie.
45. Jedna ze stodoł resztek podworskiej w Wielopolu, miejsce ukrycia się jeńców wojennych.
46. Józef i Maria Musiałowie, właściciele resztek w Wielopolu
zdjęcie archiwalne.
47. Władysław Magiera, świadek śmierci Guzka, jako przewoźnik na promie (obok tablicy informacyjnej) na Dunajcu w Siedliszowicach
— zdjęcie z 1982 roku.
48. Dom Guzdków w Stonawie koło Karwiny.
49. Guzdek pośród uczniów szkoły niemieckiej.
50. Ojciec Guzka Jan na pamiątkowym zdjęciu strażaków.
51. Pamiątkowe zdjęcie kombatantów, wykonane w 1988 roku w Orlinowie. Tadeusz Krasnodebski (na tle sztandaru) i Władysław Magiera (pierwszy z lewej).

Indeks nazwisk

- Adamski Kasper, 74, 76 – 77, 81, 86, 179
Aksami Władysław, 276
Amsterdamskie, 98
Amsterdam Dąbka, 98
Amsterdam Jochannan, 99, 111, 116, 119
Amsterdam John, 119
Amsterdam Mendel, 119, 139
Amsterdam Szajówna, 98
Amsterdamskie, 98
Andrzej, 190
Andrzejak Felicja, 289
Aniol Józef, 74, 90
Anto Jan, 46, 257, 280
Arciszewski Tomasz „Szymon”, 24
Armatus Wanda, 84
Armatus Zbigniew, 10
„Artur”, 291
Augustyński Jan, 191 – 192, 197
Augustyński Kazimierz, 279
Augustyński Marian, 191
Augustyński Władysław, 295
B. — rodzina z Malca, 120 – 121, 125, 130
B. Edward, 166
B. Franciszek, 63, 175
B. Honorata, 118
B. Jan — konfident, 36 – 37, 39, 124 – 125
B. Józef, 40, 43, 118, 124 – 125, 128
B. Józefa, 119
B. Kazimierz, 63
B. Maria, 118, 125
B. Marian, 42
B. Tadeusz „Tygrys”, 35
B. Wilhelm, 41
B. Wincenty, 63, 175
Babiarz Czesław, 164, 278
„Baba”, 242, 298
Bal Henryk, 169
Banach W., 270
Banak Ignacy, 245

zob. kpt. Zbigniew Rogawski

Banaś Anastazy, 102-103
 Banaś Józef mjr „Skiba”, 266
 Barabasz Józef, 50
 Barabasz Władysław, 73
 Baran, 304
 Baran Piotr, 247, 279
 Baran Stanisław, 198, 224
 Baranowski Ryszard, 55
 Barański, 32
 Bardan Bronisław, 162
 Bardan Jan dr, 252, 276
 Barszcz Cecylia, 245
 „Bartnicki”, 24
 Bartyzel, 119
 Bartyzel Bronisława, 274
 Bartyzel Jan, 101
 Bartyzel Józef, 109
 Bartyzel Maria, 143
 Bartyzelowie, 133
 Baszak Zbigniew „Bogdan”, 45
 Baszak Zdzisław „Pirat”, 22, 32, 42, 137, 252-253, 270, 312
 Bator Stefan, 156
 Becker, 9
 „Bej”, 24
 Bergebaum Sura, 195
 Bernady Władysław, 147
 Bernat, 167
 Białek Franciszek, 277
 Białek Stanisław, 277
 Biel Franciszek, 185
 Biciłkowie, 211
 Bielski Romuald „Bej” mjr saf., 24
 Biełkowski Władysław, 45, 190
 Billert Ludwik, 171
 Bitka, 237
 Birken Feiga mgr, 197
 Błacho Jakub, 274
 Błacho Stanisław, 19, 274
 Bobek Julia, 274
 Bobek Piotr, 274
 Boberek Tadeusz, 19
 Bochaniec Jan, 107
 Bochenek Józef, 188
 Boduch Stanisław, 183, 273
 Boduch Tadeusz, 244
 Bodzick Jan, 191, 214
 Bodzek Zdzisław, 55

zob. Jan Domański

zob. mjr Romuald Bielski

Bogacz Franciszek ks., 310
 „Bogdan”, 45-46
 Bogusz Edward, 12
 Bojko Eryk, 215
 Bojko Jakub, 13
 Boksa Jan — „Rybak”, 80
 Boksa Karol, 79-80
 Boniecki Adam, 278
 Borecz Czesław, 55
 Borek Leon, 154, 276
 Borowska Józefa, 85
 Borowski Józef, 85
 Borsia, 196
 Boruta — Spiechowicz Mieczysław gen. bryg., 15
 Brand Apollonia, 194
 Bratik, 190
 Brenner, 236
 Broda Franciszek, 88
 Brożek Józef, 62
 „Brzechwa”, 25, 32, 227, 291, 297-299, 312
 Buchaniewicz Władysław inż., 241
 Bucmanik, 37
 Buczak Jan, 192
 „Budzik”, 216
 Budzioch Jan, 270
 Budzioch Józef, 59, 79, 252-253, 273
 Budzyński Stanisław, 215
 Burek Józef, 233
 Burgiel P., 183
 Burzawa, 71
 Burzawa Józef, 90
 Burzawa Zofia, 90
 Burzec Piotr, 157, 276
 Buszko Józef, 255, 272
 Bylica, 37
 Bzdula Józef, 278
 Bzdula Władysław, 278
 Bzowsky, 189, 215
 C. — panna, 64, 129
 C. Władysław, 38-40
 Ch. Józef, 152
 Ch. Władysław, 63
 Chęć, 177
 Chłoni, 221
 Chłoni Anna, 221
 Chłoni Jan, 191

zob. Zbigniew Baszak

zob. płk Władysław Kabat

zob. Urbaś

zob. kpt. M. Kabat

„Chmura”, 25
 Chrabaszcz Piotr, 170, 278
 Chrobak, 189
 Chrzanówek, 38, 167
 Chudy Józef, 105
 Churchill Winston, 24, 124
 Chwałek Karolina, 169
 Ciapocha, 55, 179
 Cichoniowa Helena, 141
 Cichoń Władysław, 140 – 141
 Ciemala Anna, 232
 Ciemala Jerzy, 232
 Ciemala Marianna z d. Gawlas, 232
 Ciemiński Adam, 219
 Ciemiński Józef, 222
 Ciemińskie, 313
 Cieslar Emilia, 9
 Cisko Stanisław, 218, 285
 Ciukajowie, 244
 Ciuroń Maryla, 201, 204
 Ciuroń Wojciech, 200 – 201, 204
 Curylo, 44
 Curylo Józef, 164, 277
 Curylo Władysław, 32
 Cwajnos, 33
 Cyganek Karol, 234
 Cynarówna (Cieniewska), 89
 Czartoryscy, książęta, 279
 Czech M., 299
 Czesak, 94 – 95
 Czesak Andrzej, 83, 88, 91
 Czesakowie, 91
 Czuj Józef, 189
 Czupryna Józef, 183
 Czupryna Stanisław, 183
 D. Eugeniusz, 34
 D. Franciszek, 59
 D. Jan, 35
 D. Rudolf, 39 – 40
 „Daniel”, 266
 Dąbrowa-Kostka Stanisław, 10, 241, 255, 311
 Dąbrowa-Kostka Stanisław, 9
 Dąbrowski Eugeniusz, 255, 275, 278
 Deszcz Michał, 70
 Diebal, 9
 Dobosz Helena, 154

Dobosz Tadeusz, 154
 Doktor Michał, 19
 Domański Jan „Bartnicki”, 24
 „Domin”, 35
 Doróż Aleksander, 101, 274
 Doróż Franciszek, 108
 Doróż Jan, 159, 274
 Doróż Kazimierz, 274
 Doróż Mieczysław, 159
 Doróż Władysław, 159, 274
 Doróżowa, 108
 Doróżowie, 159
 Drag Władysław, 46, 195
 Dragowa, 195
 Drewniany Jan, 84
 Drewniany Józef, 273
 Drewniany Stanisław, 289
 Drewniany Szczepan, 173
 Drzyzga, 9
 Dubiel, 79
 Dubiel Marian, 62
 Duda Antoni, 234
 Dudek Bolesław, 189
 Dudek Grzegorz, 278
 Dudek Jan, 270
 Dudek Ludwik, 276
 Dudek Władysław, 55
 Dulęba, 221
 Duraczynski Eugeniusz, 253
 Duszyński, 49
 Dybala Rudolf, 32
 Dybiec ks., 171
 Dydyński Albin, 55
 Dydyński Julian, 55, 252
 Dydyński Mieczysław ks., 55
 Dydyński Wilhelm, 55
 Dziadziło Józef, 224, 226, 279, 288, 307
 Dziędzie Ludwik, 156
 Dzięciel Stanisław, 123
 Dziuk Bolesław mgr, 55
 Dziuk Jan, 206
 Dziuba Jan, 110
 Dziubasik, 196
 Dziubek Antoni, 140

zob. Henryk Krzciuk

Eimes Juliusz. 172
 Elzner plut., 78
 Eifer Władysław. 157
 F. Adolf. 174 - 175
 Fabrycy Kazimierz gen. dywiz., 15
 „Fajka”, 179, 184
 Feber Alois. 232, 234 - 237
 Fedor Jan. 81, 98, 149
 Fedor Józef. 99, 149
 Feld. 171
 Fido Franciszek. 60
 Fijał Jan. 99
 Filipowicz. 215
 Filipowicz Leon prof., 55
 Fisiek Jakub. 192
 Fiś. 197
 Flotowa Alina. 255, 272
 Flak Emilia. 80
 Flak Władysław. 80
 Flakowie. 80, 197
 Folga Rronisław. 37
 Fonberg Elzbieta. 255, 275
 Frank Hans. 34, 56, 172
 Frącz Franciszek. 151, 158, 274
 Frącz Julia. 274
 Frydmanowie. 49
 Frydmanówna. 49
 G. — kobieta. 64
 G. Eugeniusz. 191
 G. Franciszek. 63
 G. Maria. 58
 G. Michał. 33
 G. Paweł. 109, 144
 G. Wincenty. 102
 Gadziata Alojzy. 302
 Gadziata Maria. 214
 Gala Maria. 272
 „Gałazka”, 179
 Gancarz. 106
 Gardziński Julian. 55
 Gawor Józef. 288, 300
 Gawor Władysław. 178 - 179, 272, 279
 Gawroński. 249
 Gedymin „Włodek” por., 23
 Gelemej Teodor. 164

zob. Józef Lekarczyk

zob. Władysław Lesiński

Giec Edward. 78
 Gicowa. 78
 Giemza Stanisław. 205
 Giza Kazimierz. 213
 Giza Maria. 253
 Gładki Franciszek. 71
 Gład Franciszek. 270
 Gładek Faustyn. 235
 Głodzik Antoni. 105
 Głodzik Józef ks., 104 - 105, 114, 134
 Głusko Włodzimierz. 83
 Gmyr Jan. 98
 Gmyr Władysław. 274
 Gnoiński T. ks., 270
 Godziemba Józef. 28, 264 - 265
 Gofron Eugeniusz. 223, 295
 Golbert. 193
 Golec Zygmunt. 274
 Gołębiowski Kazimierz. 160
 Gondek Genowefa. 275
 Gondek Jan. 151, 157, 252, 273 - 274, 276 - 277
 Gondek Piotr. 274
 Gotr. 193
 Góra Stanisław ks., 166, 270, 278
 Górniak. 233
 Grabiec Anna. 84
 Grabiec Franciszek. 165
 Grabka Władysław. red., 272
 Grabowski Kazimierz. 275
 Gradura Alojzy. 192
 Grela Ludwik. 224, 304
 „Grom”. 150
 Gromny. 114, 128
 Grondalczyk Jan. 148
 Grosshard. 193
 Grozman. 161
 „Groźny”. 46
 Grudniowie. 84
 Grudzień Anna. 84
 Grudzień Jan. 84
 Grün Benedykt. 159
 Grün Chaja. 159
 Grün Felicia. 159
 Grün Regina. 159
 Gryszówka. 167
 Grzanka Jan. 107
 Grzankowie. 104

zob. gen. broni Kazimierz Sosnkowski

Grzebiński Józef, 245
 Grzech Paweł, 97, 107, 144
 Grzymek Jan, 279
 Grzymek Józef, 245
 Grzymek Wojciech, 216, 226, 304
 Gubernat Stanisław, 288
 Gucman Michał, 253
 Guwa Stanisław dr, 60
 Gulikowie, 211
 Guła Apollonia, 274
 Guła Zygmunt mgr, 276
 Guzek Anna, 233, 236, 238, 314
 Guzek Engelbert Karol, 6, 8-9, 33-34, 97-101, 103-105, 108, 113-114, 118, 137-138, 146-163, 165, 167-174, 176-178, 180-184, 186, 188-192, 194-196, 198, 200, 202-205, 207-215, 217-223, 225-229, 231, 233-240, 251-253, 257-258, 271, 275-277, 279-301, 303-304, 306-307, 309-310, 313-314
 Guzek Eryk, 154, 178, 239, 307, 313
 Guzek Eryka, 178
 Guzek Franciszek Jan, 233, 237
 Guzek Hildegarda, 178, 238, 289, 313
 Guzek Jan, 232-236, 238, 314
 Guzek Józef, 8, 232-233, 236-239, 310
 Guzek Marianna z d. Nowak, 232
 Guzek Monika, 178
 Guzek Rudolf, 233-234, 237, 239
 Guzikowie, 233, 236
 Guzy Michał, 37, 270
 Gury Zdzisław, 48, 62
 H. — urzędniczka, 64
 Hadariowa Wilma, 236, 310
 Hajdas Czesław, 75, 86, 93
 Hajdas Leon, 245
 Halicki, 9
 Hatudziński Adam sierż., 36
 Hanausek Stefania mgr „Mariola”, 185
 Handrycka, 92
 Hanka, 152
 Hebda Adam, 238, 310
 Hebda Włodzimierz inż., 238
 Hitler Adolf, 155, 171, 203, 208, 237, 310
 Hochberg-Mariańska Maria, 255, 275
 Hofman, 187
 Horodyński Roman „Jastrząb”, 48, 56, 215
 Iluczek Władysław, 89

Husarzowa, 237
 Husarzowie, 237
 Idzik Jan, 274
 Idzik Katarzyna, 274
 Idzik Kazimierz, 101, 274
 Idzik Władysław, 96, 98, 103-105, 107
 Idzik Wojciech, 95-106, 108, 110-111, 113-116, 119, 124-125, 144, 146, 151, 155, 162, 273, 312
 Idzik-Dubielowa Magdalena, 96, 273
 Idzikowa Janina, 110
 Idzikowie — bracia, 96, 124
 J. Paweł, 38-39
 J. Wincenty, 49, 51
 Jacenty Filip, 140-141
 Jachimiek, 85-86
 Jachowicz Marian ks., 270
 Jachym Józef, 49
 Jakielek Wojciech, 255
 Jakubiec Antoni, 243
 Jakubowski Jan ks., 171, 173, 270
 Jakus, 74
 Jan — mieszkaniec Łęgu, 159
 Janik Jan, 219
 Janosik, 106
 Janusz, 22
 Jarosz Kazimierz, 270
 Jasiński Władysław, 165
 „Jastrząb”, 48, 56, 58-59, 62, 215
 Jaworski Zbigniew, 187
 Jeż Władysław, 131
 Jeż Zofia, 131, 133
 Jeżowicz Julia, 238, 310
 Jeżowie, 131
 „Jędrusie”, 150, 165, 183, 187, 241, 255, 278
 Jędrzykiewicz Tomasz „Stary”, 268
 John Robert, 46, 61, 194, 257, 280
 „Juhas”, 42, 45, 54, 60
 „Jurand”, 67
 Jurecki Władysław, 196
 Jurkowski Józef ks., 37
 Juzba Alicja, 154
 Juzba Bronisława, 154
 Juzba Czesław, 154
 Juzba Tomasz, 154
 Juzbowie, 155
 zob. Stanisław Węgiel ppor.
 zob. Roman Horodyński
 zob. Ryszard Kotra

K. Isńczy, 46-47, 61, 64
 K. Bronisław, 55
 K. Emil, 56
 K. Franciszek, 62
 K. Henryk, 56
 K. Jan, 175
 K. Janina — panna, 64
 K. Józef, 218
 K. Kasper, 152
 K. Stanisław, 40, 190
 K. Stanisława, 215-216
 K. Tadeusz, 55
 K. Tekla, 190
 K. Waleria, 41
 K. Władysław — konfident, 36
 K. Władysław, 56
 Kabat M. „Chmura” kpt., 25
 Kabat Władysław „Brzechwa”, 16, 18, 25, 38, 67, 227, 253, 257, 270, 280, 288-289, 293, 297, 306, 309, 312
 Kaczmarek Anastazy, 153
 Kaczmarek Michał, 71, 79
 Kaczmarek Stanisław, 88
 Kaczocho Marcin, 155
 Kaczor, 93
 Kaczor Tomasz, 278
 Kaczówka Błażej, 144
 Kaganek Franciszek, 49, 51, 60
 Kaimier, 193
 Kaimier Hersz, 219
 Kaimier Mosze, 219
 Kaimier Toche, 219
 Kalafarska Stanisława, 10
 Kalafarski Jan, 252, 272
 Kamiński Andrzej, 255, 310
 Kampf Mieczysław, 197
 Kamysz Jan „Rejtan”, 22, 32, 59, 64-65, 67, 227, 241, 270, 298, 301
 Kapel Franciszek „Wyżel”, 69, 214, 252
 Kapka Jan, 214
 Kapława, 214
 Karaszkiewicz Wojciech, 58
 Karczeński Władysław, 83
 Karol Paweł, 277
 Karyta Józef, 173
 Kasprzak Józef, 216-217, 272, 279, 300
 Kasprzak Zofia, 178
 Kaszyński, 151, 157
 Ketter Ryszard, 153

Kawa Antoni, 274
 Kawałec, 140
 Kęglowie, 171
 Ketter Ryszard, 167, 170-171, 196
 Kezu, 166
 Kieński, 205
 Kijowski, 193
 Kilus Froim, 195
 Kiniarz Marian, 216, 245
 Kiryk Feliks, 255, 259
 Kisielewski Tadeusz, 255, 275, 280
 Kleszczyński Tadeusz, 277
 Klimeczak Stanisław „Żelazny”, 18-19, 21, 35, 165, 267
 Kłoch Józef ks., 178, 182-184, 216-217, 222-223, 227, 279, 288, 294, 310, 313
 Klubka Jan, mgr, 273
 Kluza Karol mgr, 238
 Klos Feliks, 244
 Kmiecik Jan, 215
 Kmiecik Józef, 41, 273
 Kmiecik Wojciech, 214
 Kmieć, 181
 Kmieć Bronisław, 154
 Kmieć Helena, 154
 Kmieć Jan, 48, 62
 Knaga Stanisław, 170, 278
 Knur, 164, 166
 Kobos Wincenty, 80
 Kochan Stanisław, 244
 Kochanek, 164
 Kochanek Paweł, 166, 172, 278, 280
 Kochanek Stanisław, 32
 Kogut Edward, 288
 Kogut Franciszek, 152
 Kogut Józefa, 171
 Kogut Stefania, 277
 Kogut Tadeusz, 42, 196
 Kokoszka Henryk, 140
 Kokoszka Michał, 105
 Kolarz Franciszka, 169
 Kolarz Janina, 278
 Kolarz Zbigniew, 169
 Kolpa Małgorzata, 248
 Komorowski Jan, 276
 Konopka Anna z Moszyńskich, 279
 Konopka Feliks, baron, 12, 273, 279
 Konopka Jan, baron, 170, 247
 Konopka Jan, baron, 279

Konopka Jan Leon, baron, 12, 21
 Konopka Józef, 279
 Konopka Piotr, baron, 279
 Konopka Prosper, baron, 221
 Konopkowie, 174, 279
 Kopecki, 236
 Kopeć Eugeniusz, 279
 Kopeć Szymon, 198
 Kopeć Zofia, 10
 Koper Jan, 274
 Kopia Władysław, 276
 „Korczak”, 268
 Korzyc Stanisław, 62
 Korzyc Władysław, 62
 Kosiba Kazimierz major, 16
 Kosieniak Alfreda, 76
 Kosieniak Franciszek, 70
 Kosieniak Ludwik, 71 – 72, 77, 81, 91, 136, 252 – 253, 272
 Kosieniak Michał, 71, 77, 79, 91, 136
 Kosieniak Stanisław, 6, 40, 70 – 72, 74 – 75, 77 – 78, 80, 82 – 83, 85 – 86, 88, 90 – 91, 93, 96, 98 – 102, 104, 106, 108 – 111, 113 – 133, 135, 137 – 142, 144 – 146, 162, 166, 174, 188, 218, 220, 239, 251, 253, 312
 Kosieniak Stanisław – sym., 76, 145
 Kosieniak Stefania, 81
 Kosieniak Tadeusz, 71, 79, 83, 88, 90, 92, 136, 272
 Kosieniakowa Maria, 76, 92
 Kosieniakowie, 70, 72, 76 – 77, 79, 90 – 91, 136 – 137, 178
 Kosioń Józef, 182
 Kosioń Michał, 165
 Kosioń Mieczysław, 182
 Kosioń-Magierowa Maria, 198
 Kossakowski Tadeusz „Krystynek” gen., 24
 Kostecki Franciszek, 192
 Kostecki Paweł, 192
 „Kostek”, 34, 52, 186, 198, 227 – 228, 241, 245, 247, 252, 295, 298, 301 – 302, 305, 307 – 308, 310
 Kotarski H., 259
 Kotiuk Michał, 200, 204
 Kotra Eugeniusz, 186, 243, 290
 Kotra Leon mgr, 55
 Kotra Ryszard „Juhas”, 45, 54, 218, 252, 270
 Kotrowie – bracia, 51
 Kowal Aniela, 278
 Kowal Józef, 95, 158
 Kowal Stanisław, 183
 Kowol Eugenia, 273, 279
 Kowynia, 72, 83

Koza Józef, 166
 Koza Mieczysław, 45, 59, 300
 Kozaczka, 164, 228
 Kozaczka Józef, 168, 257, 270, 276, 278, 296, 300 – 302
 Kozaczka Stanisław, 19
 Kozak Eugeniusz „Zor” por., 22, 52, 243
 Kozak Tomasz, 207
 Kozera Wojciech, 216
 Kozłara Zuzanna, 307
 Kozicki Stanisław, 157
 Kozioł, 165
 Kozioł Bronisław, 106
 Kozioł Emil, 18
 Kozioł Kazimierz, 39, 58, 273
 Kozłowska Krystyna, 254
 Kozłowski, 165
 Kozłowski Roman, 140
 Kozub, 167
 Kozyna Franciszek, 76
 Krajewski Stefan, 278
 „Krakus”, 48, 62
 Krasnodębski Tadeusz, 9, 34, 74, 76 – 77, 81, 88, 94, 179, 185 – 186, 198, 222, 227, 241, 246 – 247, 252, 257, 270, 272, 279, 288 – 290, 294, 296, 298, 300 – 301, 303 – 305, 308 – 310, 314
 Kraut, 193
 „Krogulec”, 160
 Król Jan, 55
 Król Stanisław, 271
 „Kruk”, 248
 Krupa Aleksander, 44
 Krupa Franciszek, 248
 Krupa Józef, 169
 Krupa Stanisław, 248, 283, 287
 Krupa Tadeusz, 37
 „Krystynek”, 24
 Kryształ Franciszka, 197
 Krzciuk Emil, 76, 88
 Krzciuk Henryk „Daniel”, 266
 Krzciukowie, 190
 Krzyżak Józef „Lampart”, 69
 Książek Henryk, 195
 Kubik, 21
 Kuc Jan, 218, 290, 293
 Kucharski, 65
 Kucharski Adam, 273, 288, 306 – 307
 Kucy Kazimierz, 117
 Kucy Michał, 134

Kudła Jan, 166 – 167, 252, 278
 Kudła Władysław, 280
 Kufras Stanisław, 48 – 49, 59
 Kukla, 123
 Kulig Józef, 286
 Kulig Maria, 55, 245
 Kułka Jan, 48
 Kulpa Gustaw, 101
 Kulpa Jan, 101, 110, 118, 144
 Kulpa Kazimierz, 155
 Kulpowicz, 111
 Kulaga Jan, 156
 Kulaga Małgorzata, 156
 Kulagowicz, 156
 Kunze, 36
 Kupełmanowa, 38
 Kupiec, 159
 Kupiec Józef, 118
 Kurkowski Kazimierz, 206
 Kuroczkin Paweł gen. płk, 25
 Kurpaska Józef, 278
 Kurpaska Karol, 164, 278
 Kusiak Władysław, 101
 Kurnowicz, 123
 Kwarta Franciszek sierż., 187
 Kwiecień, 93
 Kwieciński Marian, 55
 L. Tadeusz, 52 – 53
 L. Władaw, 53
 „Lampart”, 69
 Landolf, 194
 von Larisch-Mönnich, graf, 232
 Lasota Wojciech, 97, 100, 109
 Latocha Michał, 283
 Latocha Władysław, 18
 Lebica Jan, 60
 Lechocki Stanisław, 94
 Lechowicz Alojzy, 180
 Lechowicz Maria, 242
 Legieć Jan, 93 – 94
 Legieć Michał, 53, 56, 94, 245
 Legieć Stanisław, 56
 Legieć Wojciech, 94 – 95
 Lekarczyk, 170
 Lekarczyk Józef „Gałązka”, 179
 Leliwa Zbigniew „Wyga” mjr, 24

Lemanowa, 235
 Leopold II, cesarz, 279
 Lepa Katarzyna, 307
 Lesiński, 129, 139
 Lesińska Genowefa, 129
 Lesińska Leokadia, 129
 Lesiński Tomasz, 129, 135
 Lesiński Władysław, 179, 184
 „Leszek”, 243, 290 – 291
 Leśniak Józef ks., 157 – 158, 276
 Lewandowicz Wacław – ojciec, 179, 191, 217, 246
 Lewandowicz Wacław – syn, 226
 Lewandowicz Wacław, 304, 307
 Lewicki Jan, 219
 Lewicki Stefan, 219
 Leżoń Piotr, 274
 Liba, 193, 208
 Libera, 167
 Libura Karol, 272, 300
 Ligęza Szytko, 34
 Lipiński Jan, 184
 Liro Jan, 213
 Liro Michał, 182, 279
 Lis ks., 182
 Lis Józef, 247
 Lisiewicz Paweł Maria, 256
 Litera Maria, 272
 Litera Tekla, 89
 Litera Władysław, 89 – 90
 Lombrosa Césare, 137
 „Lot”, 22, 45
 Lubomirska Eleonora księżna, 12
 Lupa Stefania, 168
 Luszowski Józef st. sierż., 243, 282
 „Luty”, 32 – 33, 51, 63, 290
 L. Kazimierz, 38, 40
 Łabuz Antoni, 274
 Łabuz Józef, 19
 Łabuz Mieczysław, 69
 Łabuz P., 270
 Łach Ludwik, 161
 Łachut Bronisław, 154
 Łachut Jan por., 20
 Łachut Wojciech, 154
 Łagodziński, 173
 „Łast”, 302
 zob. Eugeniusz Kotra
 zob. Ignacy Łazarz
 zob. płk. dyp. Józef Sychalski
 zob. Józef Krzyżak

zob. Jan Żołędź

Łata Piotr, 192
 Ławicki Władysław, mgr, 276
 Łazarz Ignacy „Lot”, 22, 45
 Łoś, 247
 Łoś Eugeniusz, 243
 Łoś Jan Stanisław, hrabia, 279
 Łoś Józef, 44
 Łoś Mieczysław, 44
 Łoś Zbigniew inż., 10
 Łucarz, 37
 Łysiak Ludwik, 91
 Łysik Kazimierz, 32
 M., 37
 M. Eugeniusz, 45, 174
 M. Jan, 63
 M. Józef, 272
 M. Stanisław, 43, 253
 M. Tcofil, 43
 M. Władysław, 106
 M. Wojciech, 57, 63
 M. Zofia, 63
 M. Zygmunt, 43 – 44
 Machaj Józef, 43
 Maciejak Józef, 105
 Macko Adam, 244
 Madura Maria, 271
 Madura Tomasz, 35, 270 – 271
 Magiera Maria, 288
 Magiera Mieczysław, 215, 227, 290, 298 – 299
 Magiera Stanisław, 245
 Magiera Władysław, 224, 272, 280, 288, 303 – 304, 309 – 310, 314
 Magiera Zofia, 300
 Malinowski Kazimierz, 167, 278
 Małek Janina, 48
 „Mały”, 69
 Mameczko, 55
 Marek Józef, 226
 „Mariola”, 185
 Marszałek Józef dr, 276
 Marszałkowie, 192
 Masiarz W., 259
 Masło Zdzisław, 48, 62
 Masłowski Jan mgr, 256, 275
 Myśliński Władysław, 256
 Mastalerz, 130
 Matełski Franciszek, 173, 187, 196

Maun Ryka, 219
 Maun Wolf, 219
 Maziarz, 294
 Maziarz Franciszek, 224
 Maziarz Gabrieli, 224
 Maziarzowie, 222, 293
 Mazur, 278
 Mazur Franciszek, 220, 272
 Mazur Józef, 59
 Mazurowa, 66
 Mądry Stefan, 9, 179, 191, 221, 223, 225 – 227, 292, 294 – 295, 299 – 300, 304 – 305, 313
 Mądry Władysław, 38
 Mendrys Stanisław, 221, 245
 Menel Benedykt, mgr, 278
 Menel Józef, 178, 249, 279
 von Menel Stanisław, 167
 Merchut Waleria, 79, 86, 184, 218, 283
 Mędala Franciszek, 195
 Mędala Józef, 195
 Mędala Stanisław, 195
 Mędala Teresa, 195
 Mędalowiec, 195
 Miałkowski, 206
 Micał August, 20
 Mieczkowski Stanisław, 147
 Miękina Kazimierz, 60, 288, 303
 „Migacz”, 266
 Migala Józef, 272
 Mika Jan inż., 34, 266
 Mika Józef, 94
 Mikos Maksymilian, 207
 Mikus Antoni, 97
 Mikus Franciszek, 97, 278
 Mikus Stanisław, 97
 Mikuta Jan, 52
 Minor Marian, 278
 Minorczyk Andrzej, 158
 Miotha, 276
 „Miroslaw”, 23, 25
 Misiaszek, 73, 167, 169
 Misiaszek Czesław, 64
 Misiaszek Jan, 278
 Misiaszek Józef, 169
 Misiaszek Tadeusz, 172
 Misiaszek Wojciech, 164
 Miś Franciszek, 60
 Miśtak Stanisław, 48, 62

zob. inż. Jan Mika

zob. ppłk Stefan Musiałek-Łowicki

zob. Prescher Paul

zob. Stefania Hanausek

Mleczko Stanisław, 55
 Mleczko Wojciech, 21, 62, 176, 257, 277 – 279
 „Młot”, 23, 32, 290, 298
 Młynarczyk Kazimierz, 152, 277
 Mocko Jan, 233
 Molenda, 81, 179, 209
 Molo Wojciech, 211
 Mond gen., 308
 Morawiec, 52 – 53, 172, 192
 Moros Antoni ps. „Rachwał Henryk”, 188
 Moros Stanisław, 253
 „Mors”, 160
 Morytko, 127
 Morytkowa, 128
 Motyka, 206
 Motyka Błażej, 163
 Motyka J. „Groźny”, 21
 Motyka Wincenty, 60
 Moździerz Roman, 181
 Mirajca, 237
 Mrowiec Anna, 310
 Mrówiński, 133 – 134, 139
 Mucha Anna, 110
 Mucha Jan, 109
 Mucha Józef, 127, 139, 144 – 145
 Mucha Julian, 97, 100, 102, 107, 110 – 111, 114 – 118, 120 – 124, 126 – 134, 140
 Mucha Władysław, 144
 Muchowa, 121, 127, 130, 132 – 133
 Musiał Adam Kazimierz, 257, 280, 288, 303, 306
 Musiał Eugeniusz, 247
 Musiał Franciszek, 211
 Musiał Jadwiga, 249
 Musiał Jan, 45, 54, 250, 272, 279, 286
 Musiał Józef, 175, 211, 245 – 246, 248, 272, 279, 314
 Musiał Maria, 314
 Musiał Marian, 245
 Musiał Michał, 211
 Musiał Tadeusz ppor., 52, 54 – 55, 60, 196, 245, 247
 Musiał Teofil, 272, 279
 Musiał Zbigniew, 249
 Musiałek-Łowicki Stefan plk. „Miroslaw”, 17, 23, 27, 30 – 32, 39, 45, 137, 252, 266, 269, 296, 298 – 299, 312
 Musiałowa Ludwika, 289
 Musiałowie — bracia, 78
 Myszak, 94
 Mysłiński Władysław, 58, 146, 183, 252, 258, 276, 280, 288 – 289, 293, 300 – 302

N. Jan, 52 – 53
 N. Julia, 63
 N. Leokadia, 63
 N. Stanisław, 56
 Nadolski Władysław, 161 – 162
 Nagórzańscy, 73, 76, 83, 95
 Nagórzańska Maria., 75
 Nagórzańska Stefania, 76
 Nagórzańska Wiktorja, 76
 Nagórzański Czesław, 95
 Nagórzański Józef, 76
 Nagórzański Ludwik, 95
 Nagórzański Michał, 79
 Nagórzański Stanisław, 76
 Nagórzański Władysław, 198
 Najlich, 151
 Napelska Elzbieta, 148
 „Nawa”, 151
 Neurciter Franciszek, 166 – 167, 214
 Niechciat Eugeniusz, 179, 182, 186, 209, 304, 313
 Niedźwiecki, 69
 Niespodziański dr., 245
 Nizek Karol, 274
 Nowak, 171, 277
 Nowak Jan, 173, 255, 272, 275, 280
 Nowak Julian, 278
 Nowak Piotr, 153, 158
 Nowak Tadeusz, 251
 Nowak Władysław, 95
 Nowicki, 277
 Nowik Stanisław, 143
 Obara Ludwik, 47
 Odon, 114
 Odon Maria, 114
 Odonowic, 114
 Ogorzałek Feliks, 121, 130, 139 – 140
 Okoński Franciszek ks. „Nawa”, 151, 171
 Olbrycht Józef, 165
 Olecki Karol „Zapora”, 289
 Oleś Piotr, 275
 Opiola, 196
 Opiola Stanisław, 51
 Opoka Stanisław, 33, 79
 Oppermann, 217, 228
 Ortowski kpt., 77
 Orszulak, 47

zob. ks. Franciszek Okoński

Orszulak Jan mgr, 57 – 58
 Orszulak Karolina, 278
 Orzechowski Władysław, 37
 „Orzel”, 219, 242, 248
 Ostrogski hrabia, 237
 Ostrowski, 187
 Owca, 180, 249
 Ozga Jan, 186

 P. Apolonia, 120
 P. Aurelia, 43
 P. Benedykt, 174
 P. Helena, 63
 P. Jakub, 120
 P. Jan, 42 – 43, 125
 P. Kunegunda, 65
 P. Ludwik „Walek”, 43
 P. Stanisław, 152
 P. Walenty, 104, 108
 P. Wincenty, 63
 Pająk książdz, 51
 Pała Bronisława, 248
 Pałęcka Janina, 254
 Palka Adam, 87
 Pantera Jan, 190, 244
 Papież Wojciech ks., 164, 278
 Paszkowska, 189
 Paszkowski Jan, 245
 Paśnik Jerzy, 258
 Patoń, 61
 Perleger Hildegarda, 227, 236
 Pessina Otto, 56
 Pęczak, 225
 Pęczak Stanisław, 218, 279
 Piątek Józef plut., 37
 Piątek Michał, 80
 Piątek Stanisław, 95, 186
 Piątkowski Stanisław, 37
 Piechota Jan ks., 182, 313
 Pickielniak Józef, 170
 Piela Władysław, 274
 Pięka Jan, 270
 Pierga Mieczysław, 170, 172, 278
 Pietras Barbara, 274
 Pietras Franciszek, 124
 Pietras Jan, 124 – 125, 274
 Pietras Magdalena, 101, 124, 143

 zob. Kazimierz Witkowski

Pietras Paweł, 132
 Pietras Piotr, 109, 124, 128, 143 – 144
 Pietras Stanisław, 115 – 118, 120, 124 – 135, 139 – 142, 144 – 145, 252, 273 – 274, 276, 312
 Pietras Walenty, 132
 Pietras Władysław, 93, 120
 Pietras Wojciech, 101, 274
 Pietrasowa, 130 – 132
 Pietrasowie, 109, 115, 117, 120 – 121, 125, 127 – 128, 133, 135, 143
 Pietrek Franciszek, 87
 Pietrzyk Aleksandra, 251, 256, 259, 270, 274 – 275, 277, 279 – 280, 288, 311
 Pikul Adam, 124
 Pikul Michał, 115
 Pikul Piotr, 277
 Pikul Władysław, 152
 Pila Antoni, 212
 Pila Władysław, 42
 „Piła”, 57
 Piśudski Józef Marszałek, 13, 70
 Pinkiel Paweł, 162
 „Piotr”, 268
 Piotrowska Maria, 202, 205
 Piotrowski Jan, 56
 Piotrowski Paweł, 37
 Piotrowski Piotr, 53, 182, 226, 272
 „Pirat”, 22, 32, 43, 64, 67, 137, 297, 299, 312
 Pisarczyk Bronisława, 119
 Pisarczyk Jan, 119
 Pitas Feliks, 273
 Płaziński Andrzej, 218, 285
 Pochroń Benedykt, 196
 Pochroń Wincenty, 248
 Podkowska Jan, 88, 95
 Podkowska Józef, 88
 Podobińska Józefa, 76, 92
 Podosek Jan „Krogulec”, 160, 274
 Podosek Marian, 275 – 276
 Podsiadio Czesław, 81
 Podsiadio Salomea, 81
 Podsiadtowie, 81
 Poleński Stanisław, 55
 Poleński Stefan, 179
 Poleński Zdzisław, 55
 Polonec, 184, 194
 Polonecki, 184, 224
 „Poręba”, 52
 Powroźnik Józef, 185, 191, 197, 246 – 247, 279

 zob. Franciszek Zygmunt
 zob. Piotr Wilkoń
 zob. Zdzisław Baszak
 zob. płk Stefan Musiałek-Lowicki

Prażuch, 221
 Prażuch Henryk, 245
 Prażuch Maciej sierż. „Zawor”, 242
 Prażuch Szczepan, 283
 Prażuch Witold, 245, 272
 Preis Genowefa, 59
 Prescher Paul, 33, 69, 123, 142, 150
 Przeczoźnik Stanisław, 183
 Przybyłek Stanisław, 179, 207, 211, 252, 279, 281
 Przybyszewski Kazimierz, 223, 244, 293, 295, 306
 Ptak Franciszek, 106
 Pubrat, 149, 162, 231
 Puchala Henryka, 84
 Pudółko, 85 – 86
 Puła, 120, 139
 Puła Aniela, 140
 Puła Apollonia, 101, 140
 Puła Bronisław, 274
 Puła Filip, 109
 Puła Franciszek, 171
 Puła Izabela, 274
 Puła Jakub, 109, 132
 Puła Janina, 102, 274
 Puła Józef, 51, 275
 Puła Władysław, 101
 Puła Wojciech, 97, 116, 139, 273
 Pułowie, 102, 127, 139
 Pyrcz Mieczysław, 10
 Pytka Eugeniusz, 245
 Pytka Jan, 51
 Pytka Wojciech, 216
 Pytlarz Wojciech, 87
 R. zdrajca z Łęgu, 159
 R. Antoni — konfident, 36
 R. Zbigniew, 45
 Rachmaciej Władysław, 272
 Rachwał Henryk, 189
 Rajski Bronisław, 197
 Kapata Eugeniusz, 244
 „Regijski”, 214
 „Rejtan”, 22, 59, 64 – 65, 227, 299
 Retinger Józef „Salamander” dr, 24
 Ręgorowicz Ludwik dr, 20
 Riedelmeier, 9
 Rodenblum, 193
 Rosala, 92

zob. Antoni Moros,

zob. Franciszek Kapel
 zob. Jan Kamysz

Rogawski Zbigniew kpt., 18, 22 – 23, 242, 290, 298
 Rogowski Stanisław, 176
 Rojek Jan, 226, 288
 Rommelman Wilhelm Heinrich, 182 – 184, 188, 207, 209 – 211, 216 – 217, 228, 279, 281
 Roosevelt, 124
 Rowińscy, 202
 Rowińska Pietryna, 202
 Rozmus Zbigniew, 32
 Rozwiorowska Franciszka, 89
 Rudek Emil, 152
 Rudek Jan, 152
 Rudek Rozalia, 152
 Rudkowie, 152
 Rudkowski Roman „Rudy” plk, 24
 „Rudy”, 24
 Rusiecki Józef, 83, 273
 Rusin Andrzej, 190
 Ruta Józef, 188
 Ruta Zygmunt, 255, 259
 Ryba, 236
 „Rybak”, 80
 Ryzek Franciszek, 156
 Rygielki, 191
 „Ryś”, 245
 Ryś Jan, 97, 278
 Ryś Marcin, 119
 Ryś Wojciech, 97, 278
 Rzepecki Aleksander, 52, 306
 Rzepecki Andrzej, 224
 Rzepka Józef, 273
 S. — konfident, 33
 S. — konfident, 58
 S. Antoni, 34
 S. Feliks, 144
 S. Janina, 52
 S. Julian, 63
 S. Piotr, 47 – 49
 S. Tomasz, 63
 S. Władysław, 144
 Sachaj Józefa, 76, 93, 273
 Sacher, 193
 Sachs Wiesław, 227, 256, 288
 Sajdera Józef, 39, 273
 Sak Wilhelm, 18
 „Salamander”, 24
 Saletnik Józef, 34
 zob. dr Józef Retinger

zob. plk Roman Rudkowski

zob. Jan Boksa

zob. Maria Kulig

Saletnik Julian, 278
 Salctnikowic, 249
 Salpeter, 193
 Saladyga Stanisław, 123
 Saneł Jan, 221, 313
 Sangusko Roman, książę, 191
 Sas Franciszek, 9, 302
 „Sasza”, 150
 Saternus Józef, 115
 Satko Antoni, 180, 247
 Schmidt, 9
 Sekuła Władysław, 185, 216, 222, 252, 272, 279, 304, 308
 Sendbor Stanisław, 172
 Seruś Józef, 216
 Setera Józef, 162
 Severyn Kazimierz, 211
 Severyn Tadeusz, 27 – 28, 258, 269
 „Sek”, 227
 „Sep”, 160
 Sfozzaj por. rez., 160
 S. Antoni, 34
 Siakata Antoni, 289
 „Sikba”, 266
 Siembab, 163
 Siembab Marcin, 105
 Sierak Helena, 288
 Sierak Kazimierz, 273
 Sieroń Franciszek, 278
 Sikora S. ks. dr, 310
 Sikorowa Julia, 238
 Sikorski — policjant, 150
 Sikorski Władysław gen. dywizji, 28, 186, 266
 Siptora Józef, 130
 Siptora Ludwik, 180
 Siła Władysław, 99
 Sitko Józef, 180
 Skoczylas, 64
 Skowron Jan, 198
 Skowron Józef, 278
 Skowron Tekla, 89, 272
 Skowron Władysław, 183
 Skowrya Antoni, 165
 Skrzyński Henryk hrabia, 37
 Skulnicki, 33
 Skwarczyński Stanisław dr „Korczak”, 268
 Słowik Anna, 182
 Stupek Aniela, 179, 293

Stupek Anna, 19
 Stupek Bronisława, 74, 89
 Stupek Janina, 90
 Stupek Maria, 89 – 90
 Stupek Stanisław, 19, 89 – 90
 Stupkowie, 19, 89
 Smoła, 40
 Smoruk Sobek, 204
 Sobczak, 179
 Socha Jan, 183
 Sojka Julia, 98
 Sojka Zofia, 98
 Sojkowa Honorata, 98
 Solawski Bronisław, 99
 Sotys, 275
 Sotys Bronisława, 154
 Sotys Franciszek, 159
 Sotys Helena, 154
 Sotys Honorata, 159
 Sotys Janina, 154
 Sotys Tomasz, 274
 Sotysowie, 159
 Sosnkowski Kazimierz gen. broni, 28, 266
 Sowa Jan, 224, 258, 288, 303
 Spychalski Józef „Luty” plk., 32, 63, 290
 Spyra Jan, 106, 133, 140
 Srebro Jan, 285
 Sroczyńska Zofia, 277
 Sroczyński Krzysztof „Zbroja”, 244, 297
 Sroka Jan, 224
 „Srokacz”, 150
 Stadnicka—Kalinowa Natalia, 279
 Stadnicka—Lasotowa Maria, 273
 Stalin Józef, 124
 „Stały”, 268
 Staniszeński Stanisław, 113
 Starsiak Jan, 176
 Starsiakowa, 176
 Starzec Władysław, 195
 Starzyk Andrzej, 153
 Starzyk Czesław, 153
 Starzyk Zygmunt, 153
 Słasia, 89
 Stein Wilhelm, 9, 167, 179, 186, 188 – 189, 220, 223, 225 – 227, 258, 288, 292, 294 – 296, 299 – 301, 304 – 305, 307, 310, 313
 Stępień W., 270
 Stokłosa Józef, 72

zob. Stanisław Szot

zob. Tomasz Jędrzykiewicz

- Stokłosa Ludwik, 76, 78, 83, 88, 90, 92 – 93, 98 – 99, 102, 105, 110, 144, 312
 Stokłosa Michał Zygmunt, 220
 Stokłosa Roman, 220
 Stokłosowie, 220
 Stolarz Piotr, 70
 Stopa, 125
 Stopa Andrzej, 161
 Stopa Tomasz, 162
 Stopa Walenty, 115
 Strażnica Eugeniusz, 28, 264, 265
 Strąk Stanisław, 207
 Stróż Andrzej, 44
 Strzyżek Bronisław, 151
 Strzyżek Jakub, 151
 Strzyżek Józef, 151
 Strzyżkowie, 151
 Strzałkowski, 205
 Strzok Jadwiga, 179, 185, 279
 Strzokowie, 184
 Subik, 207
 Sucharski Henryk major, 16
 Sulma Bartłomiej, 205
 Sum Alfred, 190
 Sumara Aleksander, 88
 Superlik, 246
 Surdek Jan, 272
 Synica, 77
 Synica Władysław, 77
 Sypek Piotr, 104
 Syso Czesław, 272, 279
 Sz. – konfident, 58
 Sz. – małżeństwo, konfidenti, 60
 Sz. Franciszek, 63
 Sz. Józef – konfident, 35, 151
 Sz. Maria, 63
 Sz. Wasył, 57
 Szady Stanisław, 144
 „Szakim”, 57, 164, 169
 Szalski Józef, 270 – 272
 Szalaśny, 277
 Szalaśny Jan, 155
 Szalaśny Stanisław, 157
 Szalatniewicz Ignacy, 244
 Szarek Mieczysław, 73, 79
 Szarek Stanisław, 79
 Szczepański Jan, 192

zob. Wojciech Misiaszek

zob. gen. dyw. Władysław Sikorski

- Szebesta, 73
 Szeląg Wawrzyniec, 248
 Szeliga Franciszek, 101
 Szeliga Michał, 105
 Szelowski Mieczysław, 101
 Szembek hrabia, 37
 Szendol Michał, 97, 278
 Szendol Wojciech, 97, 278
 Szewczyk Jan, 78, 179, 226, 304
 Szkotak Michał, 159
 Szkotak Teresa, 161
 Szkotak Zygmunt, 161
 Szkołakowie, 161, 277
 Szlegier Witold, 244
 Szot Stanisław „Srokacz”, 150
 Szum, 161
 Szumowski Wojciech, 221
 Szwałkowski Wiktor, 156
 Szwałkowski Wojciech, 156
 Szwałkowski Zygmunt, 156
 Szwałkowski, 157
 Szwałkiewicz, 42
 Szveda Jan, 48, 62
 Szyling Antoni gen. bryg., 15
 Szymanowski Władysław, 113 – 114
 Szymański Andrzej, 158
 „Szymon”, 24
 Szypulski, 277
 Szypulski Andrzej, 158
 Ś. Roman, 60
 Ściuk Mieczysław, 36
 Ślęzak Antoni, 270
 Świątek Aleksandra, 50
 Świątek Władysław z Lubiczka, 80, 252, 270, 272
 Świątek Władysław z Orlinowa, 52, 246
 Świdarska Marcela, 248
 Świerad Tadeusz, 37
 Świerczek, 189
 Świerczek Feliks, 197
 Święch Ludwik, 170, 278

zob. Tomasz Arciszewski

- T. – złoczyńca, 57
 T. Karol, 63
 Tarnowska Janina, 197
 Tatareczuch Mieczysław, 55
 Tatareczuch Zbigniew mgr, 55
 Telesińska Danuta Henryka, 273

- Terczyński Ewaryst, 273
 Tomal Jan, 198
 Tomal Józef, 252
 Tomala Franciszek, 105
 Tomasiak Jan, 189, 289
 Tomczyk Jan, 216
 Tracz, 114
 Tracz Franciszek mgr, 38
 Treterowa Maria, 17
 „Trybula”, 34
 „Trybula”, 216
 „Tygrys”, 35
 Tyłmanowski Józef, 209, 281
 Tytiro Kasper, 190
 U. Stanisław, 55
 Uramek Stanisław, 179, 281
 Urban Emilia z d. Juzba, 276
 Urban Piotr, 276
 Urbas „Budzik”, 216
 W. Bronisław, 39, 63
 W. Bronisława, 57
 W. Józef, 34
 W. Kazimierz, 34
 W. Łukasz, 63
 W. Mieczysław, 175
 W. Stanisław, 57
 W. Wiktor, 54 – 55
 Wadas Bronisław, 278
 Wajda Edward, 153
 Wajduła Franciszek, 213
 Walas Katarzyna, 252
 Walas Piotr, 99
 „Walek”, 43
 Walkowski Władysław, 179, 182
 Walusiak Jan, 272
 Walus Józef, 216
 Walaszek Julian, 161
 Wańkowicz Melchior, 13, 256, 259
 Wardzala Antoni, 43, 166
 Wasyl, 120, 122, 124, 126 – 129
 Wawrzyński Zbigniew, 55
 Wąroba Józef, 160
 Wąroba Mieczysław, mgr, 272
 Wąz Franciszek, 276
 Wąz Władysław, 128
 Wdowiak Eugeniusz, 273

zob. Tadeusz B.

zob. Ludwik P.

- Wdowiak Tadeusz, 79
 Wenc Jan, 49 – 51
 Wenc Stanisław, 60, 313
 Wencowie, 51
 Wendland Leopold, 32, 41, 57, 163 – 164, 166 – 167, 169, 172, 277, 291, 312
 „Werbel”, 33
 Werd, 194
 Węgiel Antoni, 170, 270
 Węgiel Emilia, 279
 Węgiel Franciszek, 270
 Węgiel Jan, 51
 Węgiel Stanisław „Janusz” ppor., 22, 51
 Węgiel Wiktor — tłumacz, 77
 Węglarski Franciszek, 181
 Wężowicz Wiktoria, 195
 Wiatr Narcyz ppor. rez. „Zawojna”, 289
 „Wicher”, 54
 Wiczorek Tomasz, 49
 Więclaw Józef, 258, 277
 Wigura, 237
 Wilkoń Piotr „Piotr”, 268
 Wilmanowie, 40
 Witaszek Magdalena, 102
 Witaszek Marcin, 118
 Witaszek Wojciech, 18
 Wittek Stanisław dr, 55, 179
 Wittek Stanisław — syn, 55
 Wittek Wiesław, 55
 Witkowsy, 84
 Witkowska Anna, 248
 Witkowska Józefa, 84 – 85
 Witkowski Józef, 245, 248
 Witkowski Kazimierz „Orzeł”, 218, 242 – 245, 248, 281, 311
 Witkowski Stanisław, 84
 Witkowski Władysław, 85
 Włoch Antoni, 55
 Włoch Teofil, 207, 281
 Włoch Wojciech, 209, 211
 Włodarczyk Albin, 187
 „Włodek”, 23
 Wolańska Józefa, 90, 272
 Wolański Henryk, 272
 Wolański Hilary, 71
 Wolański Józef, 90, 272
 Wolański — syn Józefa, 90
 Wolfiser, 193
 Wolny Feliks dr, 62

zob. por. Gedymin

- Wołek Jan, 150
 Wołoszynowa L., 256, 275
 Wołowicz Mieczysław, 63
 Woźniak, 169
 Woźniak Andrzej mgr, 277
 Woźniak Franciszek, 168
 Woźniak Jan, 278
 Woźniak Julia, 184
 Woźniak Leon, 125
 Woźniak Stanisław, 278
 Woźniczka Feliks, 302
 Woźniczka Jan, 244 – 245
 Wójcik Anna, 154
 Wójcik Michał, 168
 Wójcik Wiktor, 148
 Wójcik Władysław, 183, 243
 Wójcikowie, 154, 276
 Wrona, 217
 Wronski Stanisław, 256, 277
 Wronski Tadeusz, 193, 256, 276
 Wróbel (z Pawłowa), 40, 114
 Wróbel Cecylia, 279, 288
 Wróbel Franciszek, 87
 Wróbel Jan, 183
 Wróbel Józef, 222, 224 – 226, 288, 305, 309 – 310
 Wróbel Stanisław, 183
 Wróblewski Tadeusz „Werbel”, 33
 Wróblewa Rozalia, 183
 Wróblewie, 280
 Wrzół Walter ks. prałat, 310
 Wrzosek Zygmunt, 34, 222, 227, 252, 279, 287
 „Wyga”, 24
 Wysocka Justyna z d. Roziworowska, 88 – 90
 Wysocki, 142
 Wysocki Antoni, 89
 Wysocki Henryk, 89
 Wysocki Zygmunt, 88
 „Wyżel”, 69, 150, 214
 Z., 58
 Z. Stefan — konfident, 33
 Zachara Jan, 206
 Zachara Stefan, 180
 Zacharski, 189
 „Zagoba”, 216
 Zagraniczny Jan, 277
 Zagraniczny Józef, 278
 Zając Ludwik, 270
 Zając Michał, 183
 Zając Władysław, 168
 „Zakliczyński”, 18
 Zakrzewska, 95
 „Zapora”, 282, 289
 Zarowiak Wojciech, 97
 „Zarys”, 52, 54
 Zawadziska, 75
 Zawistowski J., 259
 Zawisła Julian, 18
 „Zawoja” ppor., 293
 „Zawojna”, 289
 „Zawor”, 242
 Ząbek Franciszek, 273
 Zborowski, 297
 „Zbroja”, 244, 297
 Ziarek, 65
 Zielinka lekarz ppłk, 238
 Zientara Franciszek, 172
 Zimmermann Artur, 196, 220
 Ziobroń Feliks, 274
 Ziobroń Katarzyna, 274
 Ziotnicki Tadeusz, 181, 216, 252, 279
 Zoga Stefan, 76
 „Zor”, 22, 52, 243
 Zwolakowa Maria, 256, 277
 Zych Feliks, 55, 179, 215, 279
 Zygmunt Franciszek „Piła”, 57
 Żaba, hrabia, 197
 „Żelazny”, 18, 165
 Żoczek Wawrzyna, 248
 Żołądź Jan, 272, 279, 288, 298, 300, 302
 Żołądź Józef, 305
 Żołądź Zygmunt, 245
 Żurawscy, 46
 Żurawski por., 46
 Żurek Franciszek, 97
 Żwirko, 237
 Żyrdecki Jan, 57
 zob. Karol Olecki
 zob. st. sier. Józef Luszowski
 zob. Musiał Tadeusz
 zob. ppor. rez. Narcyz Wiatr
 zob. Maciej Prażuch
 zob. ppor. Krzysztof Stoczyński
 zob. Eugeniusz Kozak
 zob. Stanisław Klimczak
 zob. mjr Zbigniew Leliwa
 zob. Franciszek Kapel
 zob. Tadeusz Ziotnicki

Indeks nazw geograficznych

Adamierz. 42, 169, 213
 Ameryka, 85
 Andrychów, 310
 Anglia, 23 - 24
 Austria, 145
 Bagienica, 196
 Baranów, 16, 249
 Bcżec, 148
 Biadolin, 147
 Biała Podlaska, 237
 Biegieńca, 196
 Bieleza, 37, 147
 Bielisko-Biała, 308 - 309
 Bieniaszowice, 79 - 80, 83, 165, 189, 221
 Biskupiec, 15, 61, 79, 218
 Biskupice Radłowskie, 15, 225
 Blizne, 62
 Bocheńskie, 56
 Bochnia, 218, 279
 Bolęsław, 11, 15, 18, 25, 32, 38 - 42, 57, 63 - 64, 164 - 166, 168 - 169, 171, 173 - 174, 178, 227, 244, 278, 280, 297
 Borek, 60, 212
 Borki, 214
 Borusowa, 16, 163, 187 - 188, 215
 Borzęcin, 59, 63, 85 - 86, 147, 218, 272
 „Bór”, 37, 107
 Breń, 12, 21, 122, 127, 170, 174, 221, 244, 247, 273, 279, 313
 Brindisi, 24
 Brnik, 49, 272 - 273
 Brno, 233
 Brzesko, 45, 195, 252, 270
 Brzeźówka, 93, 118, 122 - 123, 143, 153
 Brzeźnica, 168
 Brzostków, 273
 Brząska, 279
 Buchenwald, 82
 Bug - rzeka, 237
 Busko, 17
 Bydgoszcz, 38, 145

Chatupki, 206
 Chalupki Konarskie, 60
 Chranowo, 82
 Cierlicko, 232, 237
 Cieszyń, 227, 231, 236 - 238, 240
 Cieszyń Czeski, 236 - 238
 Cieszyń polski, 8 - 9, 237, 310
 „Czantoria” dół, 34 - 35, 181, 313
 Czarkówka, 98, 151, 159, 274
 Czechów, 195
 Czechosłowacja, 8, 54, 232 - 233, 236 - 237, 302
 Czermin, 107
 Częstochowa, 308
 Czyżów, 35, 185, 193 - 194
 Ówików, 12, 19, 164, 171, 173, 278
 Dachau, 164
 Darkowa, 9
 Darków, 233 - 234
 Dąbrowa - wieś, 11
 Dąbrowa Tarnowska, 7, 10 - 13, 15 - 16, 18 - 21, 25, 27, 31, 35, 38, 41 - 45, 49, 51 - 52, 64 - 65, 78, 81, 88, 90, 98, 101, 119, 124 - 125, 129, 134, 140 - 143, 150, 152 - 153, 157, 160 - 162, 170 - 171, 173, 178, 180, 182, 185 - 186, 189 - 190, 193 - 195, 197, 211 - 212, 227, 231, 241, 245, 251 - 252, 255, 259, 266 - 267, 270, 272, 274 - 275, 277 - 280, 285, 288, 296, 299, 311
 Dąbrowka Gorzycka, 83
 Dąbrowski Bręńskie, 12, 51, 64, 170, 270
 Delastowice, 47
 Demblin, 82, 93, 242
 Dęba - rzeka, 115
 Dębica, 82, 140
 Dębowa Dony, 58
 Diamant - dwór, 76, 248, 313
 Dopiewo, 289
 Drohobycz, 184
 Drzewiennik, 232
 Dukieliszczyna, 9
 Duleza, 110, 123
 Duleza Mała, 97, 99, 103 - 104, 109, 142 - 144
 Duleza Wielka, 97, 104, 106, 111, 125 - 126, 140, 142 - 144
 Dulski Dwór, 232
 Dunajec, 11 - 12, 15, 23, 25, 33, 43, 61, 70 - 71, 75, 78 - 79, 84, 86, 90, 93, 95, 117, 148, 163, 180 - 182, 186 - 187, 191, 194, 198, 206, 213, 215, 218, 222, 225, 241 - 242, 246, 249 - 250, 284 - 285, 290 - 291, 293 - 294, 300, 314
 Europa, 203

- Feliksów, 195
 Francja, 70, 76, 89, 91, 153
 Frysztat, 232 – 234

 Galicja, 279
 Gdańsk, 255, 272
 Gliwice, 8, 55
 Gorlice, 237
 Goruszów, 94, 186, 225
 Gorzyce, 52 – 53, 55, 64, 81, 180, 185, 191, 197, 219, 246, 279, 289, 295, 313
 Górki, 163, 169, 274
 Górny Śląsk, 289
 Grądy, 52, 62 – 63, 168 – 169, 176, 277 – 278
 Gręboszów, 11, 13, 16, 18, 67, 74, 80, 83, 164 – 165, 178, 188, 213, 215, 218 – 219, 270, 272, 285
 Grobla, 44 – 45, 49, 51, 59, 192
 Grudziądz, 61
 Gruszów, 57
 Gruszów Wielki, 113, 151 – 152, 156 – 157, 160

 Harbutowice, 232 – 233, 237
 Havirov, 239, 289
 Hekiary, 52

 Ilkowice, 180
 Iwkowa, 195
 Izbiska, 99

 Jadowniki, 192, 247
 Jadowniki Mokre, 18, 20, 22 – 23, 66, 241
 Jagodniki, 66
 Jamnica — potok, 107, 142 – 143
 Jamy, 95 – 98, 100 – 103, 105 – 110, 113 – 115, 124 – 125, 127, 132, 134, 137, 140 – 141, 143 – 144, 162, 248, 252, 274 – 276, 312
 Jamy Małe, 109
 Janikowice, 73, 75 – 76, 83, 86, 93, 245, 273, 312
 Jarosławskie, 9
 Jasielskie, 9
 Jasto, 237, 279
 Jastrząbka, 249

 Kaczówka, 41, 161
 Kalisz, 270
 Kanada, 73
 Kanna, 32, 39 – 40, 83, 164
 Karsy, 12, 70, 165, 184, 188
 Karwina, 146, 231, 233, 302, 314
 Karwina Solcy, 232

 Katowice, 146, 290
 Katiń, 95
 Kępa, 188, 219
 Kłikowa, 217
 Kłyż, 95, 186, 219, 247
 Kolbuszowa, 129
 Kolbuszowskie, 9
 Kotcewo, 237
 Konary, 15, 60, 180, 206 – 207, 218
 Korczyn, 78
 Kosocice, 28
 Koszyce Wielkie, 189
 Koziów, 33
 Kraków, 12 – 13, 22, 29, 34, 38, 41, 51 – 52, 79, 116, 121, 141 – 142, 145, 147, 151, 172, 191 – 192, 217, 237, 248, 252, 255 – 256, 258 – 259, 269, 272, 275, 289, 299, 301, 303, 311
 Krośnice, 9
 Królewska Huta (Chorzów), 206
 Krzyż, 52, 181
 Kunki, 195
 Kupienin, 277

 Laskówka, 63
 Laskówka Delastowska, 12
 Linz, 166
 Lipiny, 36
 Lisia Góra, 15, 43, 52, 246
 Lisiaki, 274
 Londyn, 27, 29, 34, 236, 256, 260
 Lubasz, 12, 23, 57, 150
 Lubiczko, 79 – 82, 114
 Lublin, 46, 195
 Lubliniec, 308
 Luszowice, 21, 35, 148, 151, 158, 163, 252, 270 – 271
 Lwów, 95

 Łapanów, 273
 Łęg, 113, 147, 159
 Łęki, 235, 238
 Łoś — potok, 127
 Łódź, 255, 275

 Małec, 96 – 103, 109, 112, 115, 117 – 120, 122 – 125, 130, 142 – 144, 151, 155, 162, 169, 274, 278
 Małopolska, 255, 289
 Marcinkowice, 78, 84, 86
 Maszkienice, 195
 Mędzichów, 11, 15, 18, 20, 25, 32, 41, 45, 52 – 53, 57, 62 – 64, 92 – 93, 97, 111,

- 113 – 114, 118, 150, 163 – 172, 174, 179, 207, 212, 214, 237, 252, 277 – 278, 291, 312
- Miechówce, 248, 295
- Miechówce Małe, 16, 59
- Miechówce Wielkie, 58, 191, 223
- Mielec, 15, 37, 98 – 99, 101, 107, 117, 133 – 134, 140 – 142, 144, 150, 270
- Mirowsławice, 93
- Mogilno — powiat, 93
- Morawy, 233
- Muszyńska, 82, 252
- Narodniki, 153 – 154, 156, 161
- Nietciecza, 15, 34, 54, 78 – 79, 84, 86, 184, 186, 192, 198, 215, 218, 221, 227, 243, 245, 247, 249, 279, 282 – 287, 290 – 291, 299 – 300, 312 – 313
- Nieczajna, 113, 156, 160
- Nieczajna Górna, 160
- Niedomice, 12, 36, 54, 244
- Niemcy, 25, 47, 54, 61, 67, 71, 116, 140, 142, 144, 152, 170 – 171, 195, 198, 203, 205, 270, 278, 282, 291, 294, 300
- Niwki, 17, 57, 313
- Nowa Dąbrowa, 140
- Nowa Wieś, 37
- Nowopole, 59, 78 – 79
- Nowy Dwór, 232
- Nowy Sącz, 17
- Odmęt, 278
- Odporyszów, 51, 61, 242
- „Okolica” — majątek, 189
- Okreg, 93
- Olszowiec, 232
- Olesno, 12, 15, 25, 74, 173 – 174, 213, 273, 279 – 280, 313
- Oleszyce, 308
- Oleśnica, 44, 194, 279
- Opatowiec, 16, 92, 181, 307, 313
- Opatów, 35, 73
- Oreżki, 165
- Orłowa, 115, 233, 239
- Ostrawa, 232
- Oświęcim, 37, 42, 71, 76, 83, 88, 91, 95 – 96, 100 – 101, 104, 108, 115 – 116, 153 – 154, 183, 271, 274, 278, 282
- Ottinów, 11, 15, 33 – 35, 43, 52 – 53, 56, 63, 67, 74, 76, 81, 83, 86, 88, 91, 94 – 95, 178 – 179, 181 – 185, 196 – 198, 205 – 207, 213 – 214, 216 – 220, 222, 224, 227, 237 – 238, 242 – 250, 252, 270, 272, 279, 282 – 290, 292 – 296, 299 – 303, 305, 307, 313
- Owczarnia, 232

- Partyni, 55, 297
- Pasieka Ottinowska, 194, 211, 249
- Pasieka Wietrzykowska, 90
- Pawezów, 50
- Pawłów, 40, 63, 167 – 168, 171, 183, 278
- Piaski k/Lublina, 46, 195
- Pierzysce, 34, 71, 76, 87, 273, 288
- Pilecza, 63, 81, 169, 192
- Pilzno, 17
- Pięczów, 15, 114
- Płaszów, 125, 141
- Podborze, 12, 43
- Podgórze, 170 – 171
- Podkarce, 242
- Podlesie, 21, 114 – 115, 193, 275
- Podlesie Dębowe, 60, 180, 198, 206, 210, 300, 313
- Podmałec, 152
- Pojawie, 40
- Polska, 5 – 6, 8, 11, 13, 28, 68, 71, 155 – 156, 165, 236, 255 – 256, 260, 270, 275 – 276
- Polaniec, 242
- Pomorze, 46
- Poręba, 236, 274
- Poręby, 106, 154
- Powisłe Dąbrowskie, 10, 15, 207, 257 – 258, 276, 288, 296, 302
- Przybysławice, 36, 58, 60, 64, 84 – 85, 183, 289
- Pustków, 37, 62
- Radgoszcz, 11, 17, 20, 25, 96 – 98, 100, 104, 106, 113 – 115, 122, 124 – 126, 128 – 129, 135, 143, 148 – 159, 161 – 163, 193, 207, 225, 231, 237, 242, 249, 252, 274 – 277, 285, 289 – 290, 305, 312
- Radłowszczyzna, 37
- Radłów, 15, 33, 36 – 37, 46 – 48, 61 – 62, 64, 70, 76, 78, 183, 194, 215, 218, 242, 252, 270, 279
- Radom, 13
- Radomyśl Wielki, 15, 99, 104, 139, 150
- Radwan, 47, 52, 123, 172
- Rataje, 95
- RI-N, 8
- Różnów, 13, 187
- Ruda Żazamecz, 43
- Ruś Podkarpacka, 238
- Rybawa, 37
- Rytwiary, 279
- III Rzecz, 34, 47, 51, 81, 174, 189, 203, 208, 212, 222, 236, 278
- Rzeszów, 15, 57, 144, 266
- Samocice, 40, 164, 278, 291
- San, 15, 308

Sanok, 17
 Sądectkie, 82
 Siedliszowice, 70 - 71, 74, 80, 83, 88, 90 - 92, 94, 114, 142, 181, 186, 190, 192, 194, 198, 215, 220, 224, 272, 279 - 280, 288, 312, 314
 Sieradza, 245
 Sikorzycze, 88, 191, 249, 290
 Skoczów, 232 - 233
 Skrzynka, 23, 46 - 47, 167, 278
 Słowacja, 232, 235
 Słupiec, 18, 140, 142, 249
 Smęgorzów, 143
 Smółkowiec, 232
 Smyków, 276
 Sokal, 237
 Solec Zdrój, 183, 185, 246
 Słazów, 279
 Sterkowice, 147
 Stonawa, 8 - 9, 231 - 237, 302, 310, 314
 Stopnica, 106
 Strojów, 183
 Strój, 61
 Strzelec Wielkie, 58, 253
 Sucha, 237
 Suchy Grunt, 97, 115, 118, 142 - 143
 Sutków, 153
 Swarzęd, 43, 211 - 212, 273, 279
 Szarvark, 180, 195, 273
 Szczepanowice, 37, 92
 Szczepanów, 147
 Szczucin, 11 - 13, 15, 17, 20, 25, 33, 35, 41, 47, 57 - 58, 64, 69, 77, 97, 119, 123 - 124, 130, 134, 141, 143, 149 - 150, 157, 164 - 165, 168 - 169, 196, 214, 225, 242, 252, 305
 Szczurowa, 46, 178, 194, 199, 201, 203, 205 - 206, 208, 211, 231, 258, 280
 Śląsk, 8, 96, 232, 234, 255, 279
 Śląsk Cieszyński, 231 - 232
 Śmictana, 215
 Św. Marcina góra, 53, 172, 217
 Świebodzin, 171
 Targowica, 150
 Targowisko, 18
 Tarnobrzeg, 140
 Tarnów, 13, 15, 17, 31 - 33, 36, 38, 42 - 43, 46, 50, 52 - 55, 58, 60, 70, 74, 76, 81, 92, 96, 101, 106, 128, 147 - 149, 153 - 154, 157, 159 - 160, 162, 164, 166, 172 - 173, 175, 180 - 181, 184 - 185, 187, 190, 192, 196 - 197, 207, 211, 215 - 217, 219 - 220, 225 - 227, 237, 241 - 242, 244, 252, 266, 269, 271 - 273, 277 - 278, 281 - 282, 289, 293, 295, 297, 299, 301, 305
 Tomaszów Lub., 308

Tonia, 39, 57, 137, 183, 273, 278, 280
 Toruń, 63
 Trzgniaki, 274
 Trzynie, 236
 Tuchów, 33
 Ujście, 9, 73, 187
 Ujście Jezickie (Dunajec), 16, 188, 211, 242, 289, 302, 313
 Upust, 12, 127
 Urzuty, 114
 USA, 70, 114, 124, 198, 206
 Uzwica, 147
 Wadowice Dolne, 105
 Wadowice Górne, 97, 100, 117, 126, 134, 140
 Wal Ruda, 23, 36 - 37, 56
 Warszawa, 45 - 46, 190, 253, 255 - 256, 259, 272 - 273, 275, 277 - 278, 280, 301, 308, 310
 Waryś, 148
 Westerplatte, 16
 Węgry, 17
 Wieliczka, 279
 Wielkopolska, 46
 Wielopole, 43, 45, 49, 52, 54, 59 - 60, 63 - 64, 169, 173 - 174, 179, 190 - 192, 196, 211 - 212, 219, 221, 245 - 249, 272, 279, 288, 314
 Wielopółka - rzeka, 212
 Wierchosławice, 56
 Wietrzachowice, 11, 13, 15 - 16, 33, 35, 40, 43, 48, 56, 59, 64 - 65, 67, 76 - 80, 93, 95, 142, 178, 241, 270, 289, 299
 Wileńszczyzna, 160
 Wisła, 11 - 12, 15, 22, 24, 38, 40, 42, 52, 64, 77 - 78, 87, 92 - 93, 111, 114, 118, 137, 148, 150, 163, 168, 183, 187 - 188, 219, 241 - 242, 290 - 291, 297, 313
 Wisłoka, 15
 Włoszczyn, 199 - 200
 Wola Gręboszowska, 83
 Wola Przemyskowska, 58, 77, 80
 Wola Rogowska, 65, 79 - 80, 273
 Wola Wadowska, 101 - 102, 105 - 107, 109, 115, 118 - 119, 121, 127, 133, 142, 276
 Wola Żelichowska, 78, 273
 Wójcina, 278
 Wólka Gradzka, 21, 278
 Wólka Mędrzechowska, 21, 170 - 171, 277 - 278
 Wrocław, 255, 272
 Wygoda, 161, 201
 Zabawa, 37, 79, 215
 Zaborów, 67
 Zahrmie, 99, 114, 127, 143
 Zadycz, 34, 180, 182, 247

Zagajów, 185, 246	
Zakanał, 188, 249	
Zakirchale, 209	
Zalipie, 57, 62, 143 – 144, 164, 252	
Zatuże, 18 – 19, 69	
Zaolzie, 115, 229, 232, 236	
Zarzecze Małe, 274 – 275	
Zaurze, 119	
Zazamcze, 171	
Złotowska Góra, 157, 197, 278	
Zdroheć, 37, 84	
Zgłobice, 277	
Zielona, 220	
Ziemię Odzyskane, 271	
Żabnica, 61, 169, 192, 244	
Żabno, 10 – 11, 18, 20, 22, 25, 34 – 35, 42, 45, 49, 52, 54 – 55, 59, 73, 75 – 77, 92, 179, 182, 185, 190 – 191, 193 – 194, 198 – 199, 206 – 208, 211, 214 – 215, 218, 223, 225, 242 – 245, 270, 273, 279 – 281, 284 – 285, 288, 290, 292 – 293, 295, 300, 302, 304, 306 – 308, 313	
Żdźary, 274	
Żegiestów, 187	
Żelazówka, 49 – 51	
Żelichów, 73, 78 – 79, 82, 84, 185, 190, 219, 249, 273, 294, 312	
Żółkiew, 207	
Żywiecczyzna, 45	

Spis treści

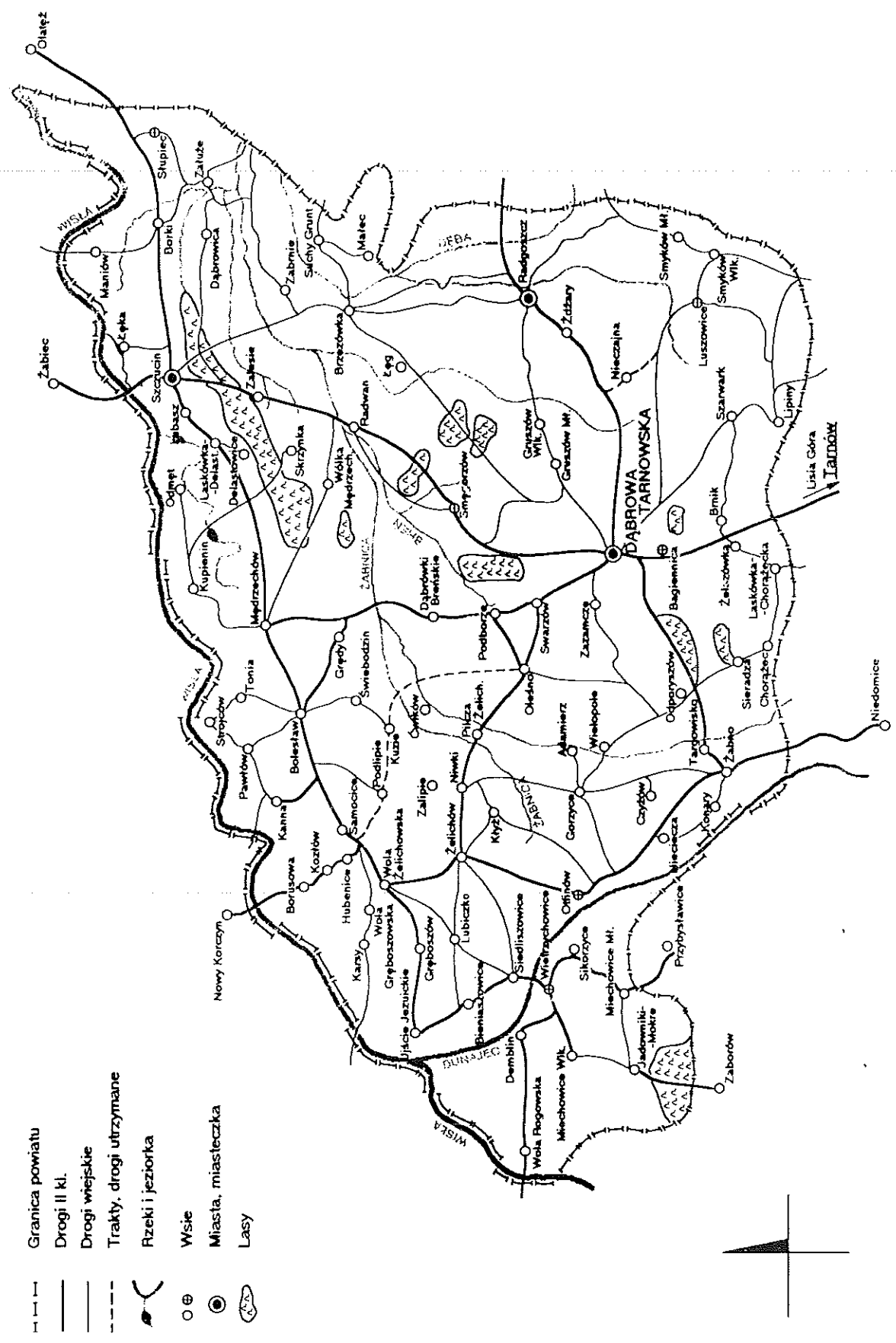
Wstęp	5
Teatr wydarzeń	11
Stosunki społeczno-gospodarcze i polityczne w powiecie Dąbrowa Tarnowska (lata 1918 – 1939)	11
Sytuacja społeczno-ekonomiczna	11
Rozwój życia politycznego	13
Działania wojsk regularnych na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska podczas II wojny światowej	15
Ruch oporu w powiecie dąbrowskim ZWZ – AK	16
Konspiracje ruchu ludowego	18
Podziemny nurt rewolucyjny	19
Formy i efekty walki	20
Akcje „Mostowe”	22
Zmierzch konspiracji	24
Wymiar sprawiedliwości Polski Walczącej	27
Likwidacja konfidentów i walka z donosicielstwem	32
„Czarne Sępy” znad Dunajca	70
Dla dwóch za mało miejsca	96
Banda Kosieniaka po śmierci Idzika	113
Stanisław Pietras — pogromca Kosieniaka	139
Engelbert Guzdek — kat Powiśla	146
Oufinów — eskalacja terroru	178
Zagłada Cyganów w Szczurowej i Żabnie	199
Zacieki prześladowca konspiracji	214

Śmierć Guzka	222
Rodowód mordercy	231
Zanim przyszła wolność	241
Postowie	251
Literatura	255
Przypisy	259
Ilustracje	313
Spis ilustracji	340
Indeks nazwisk	343
Indeks nazw geograficznych	374
Spis treści	383



.....	222
.....	231
.....	241
.....	251
.....	255
.....	259
.....	313
.....	340
.....	343
.....	374
.....	383

- — — Granica powiatu
- Drogi II kl.
- Drogi wiejskie
- - - Trakty, drogi utrzymywane
- ~ Rzeki i jeziora
- Wsie
- Miasta, miasteczka
- ~ Lasy



Powiat Dąbrowski (1 : 200 000)